This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

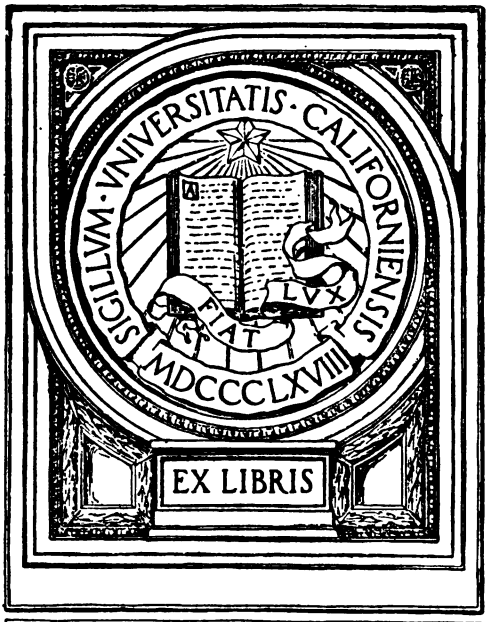

SIGILLVM · VNIVERSITATIS · CALIFORNIENSIS
FIAT LVX
MDCCCLXVIII
EX LIBRIS
v. 2

1521

WIEK XIX

STO LAT MYŚLI POLSKIEJ

PRESERVATION
COPY ADDED
ORIGINAL TO BE
RETAINED
MAY 08 1995

UNIV. OF
CALIFORNIA

WIEK XIX

STO LAT MYŚLI POLSKIEJ

ŻYCIORYSY, STRESZCZENIA, WYJĄTKI

POD REDAKCYĄ

BRONISŁAWA CHLEBOWSKIEGO,
IGNACEGO CHRZANOWSKIEGO, HENRYKA GALLEGO,
GABRYELA KORBUTA, STANISŁAWA KRZEMIŃSKIEGO

TOM II

WYPISY Nr 143—273

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1907

UNIV. OF
CALIFORNIA

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

PG 7135
W5
1906
v.2
MAIN

WYKAZ WYPISÓW.

XVIII.

DMOCHOWSKI FRANCISZEK KSAWERY (1762—1808).

Wypisy Nr 143—144.

Str.

Mowa na obchód pamiątki Ignacego Krasickiego (1801) 4

XIX.

PRZYBYLSKI JACEK (1756—1819).

Wypis Nr 145.

O języku polskim (1816) 11

XX.

OSIŃSKI LUDWIK (1775—1838).

Wypisy Nr 146—147.

A) Oda na cześć Kopernika (1808) 18
B) Wykład literatury porównawczej (1818 i nast.) 21
Teatr angielski. Szekspir 21

XXI.

KOŹMIAN KAJETAN (1771—1856).

Wypisy Nr 148—172).

A) Oda na zawieszenie orłów francuskich w Lublinie (1809) 33
B) Do tańcującego Krakowa (1813) 35
C) Oda na upadek dumnego w roku 1815 36
D) List. Odpowiedź Franciszkowi Morawskiemu na jego list o klassykach i romantykach (1825) 38
E) Ziemiaństwo polskie, poema w czterech pieśniach (1839) 40
F) Stefan Czarniecki, poemat w 12 pieśniach (1858) 49
G) Pamiętniki (1858—1865) 57
a) Junacy starej daty 57

430699

Str.
b) Kuliki starościny Stanisławowej Kossowskiej 60
c) Galicya pod panowaniem austryackiem 63
d) Wojska polskie w Lublinie 66
e) Stanisław Potocki 68
f) Nadzieje Staszica 69
g) Król saski 71
h) Dzień 29 listopada 1830 r. 75
H) Z listu do Franciszka Morawskiego z marca 1827 r. 80
I) Z listu Franciszka Morawskiego z dnia 22 grudnia 1827 roku . . 81

XXII.

FELIŃSKI ALOJZY (1771—1820).

Wypisy Nr 173—183.

A) Hymn na rocznicę ogłoszenia Królestwa Polskiego, z woli Naczelnego Wodza Wojsku Polskiemu podany. Wiersz Alojzego Felińskiego. Muzyka Jana Kaszewskiego (1816) 86
B) Ziemianin czyli ziemiaństwo francuskie Jakóba Delila, przełożone wierszem polskim 1816 (L'Homme des champs ou les Georgiques françaises) 87
a) Z pieśni I. 87
b) 88
c) 88
d) 89
C) Barbara, tragedya w 5 aktach (1817) 89
a) Akt I. Scena II. 91
b) Akt II. Scena III. 92
c) Akt III. Scena VII. 93
d) Scena VIII. 94
e) Akt IV. Scena I. 95
f) Akt V. Scena III. 96

XXIII.

KROPIŃSKI LUDWIK (1767—1844).

Wypisy Nr 184—186.

A) Ludgarda, tragedya w pięciu aktach (1816) 98
B) Pieśnie 100
C) Julia i Adolf, czyli nadzwyczajna miłość dwojga kochanków nad brzegami Dniestru (1824) 101

XXIV.

WĘŻYK FRANCISZEK (1785—1862).

Wypisy Nr 187—197.

A) Oda na powrót wojska do stolicy 18 grudnia 1809 r. 109
B) Okolice Krakowa (1820) 111

Str.
C) Gliński, trajedya w pięciu aktach wierszem (1821) 114
D) Władysław Łokietek czyli Polska w XIII wieku (1828) 117
E) Do A. M. po wydaniu «Wallenroda» w Petersburgu; w czasie pobytu jego we Włoszech (1831) 124
F) Bezkrólewie II; dramat w pięciu aktach (1853) 125
G) «Smutno mi, Panie» (1860) 129
H) O poezyi dramatycznej (1811) 132
a) Rozdział VI. § 3. O czasie i miejscu, w którem się dzieła dramatyczne odbywać mają 132
3) Powstanie Królestwa Polskiego 136
a) Rzezie 15 sierpnia 136
b) Ogólne uwagi o powstaniu 140

XXV.

GORCZYCZEWSKI JAN (około 1750—1823).

Wypis Nr 198.

Gotowalnia sentymentalna (1804) 149

XXVI.

TOWARZYSTWO IKSÓW (1814—1819).

Wypisy Nr 199—201.

A) «Ludgarda» tragedya 159
B) «Barbara Radziwiłłówna» tragedya 163
C) Teatr Narodowy. Trzecie wystawienie tragedyi «Barbara» . . . 171

XXVII.

POTOCKI STANISŁAW KOSTKA (1757—1821).

Wypisy Nr 202—213.

A) Pochwała Grzegorza Piramowicza (1802) 186
B) Rozprawy o języku, wymowie i literaturze polskiej (1811—5) . . 194
C) O wymowie i stylu (1815) 198
D) Mowa na obchód pogrzebu Józefa ks. Poniatowskiego (1816) . . 210
E) Rozprawa o duchu pism Machiawela (1818) 213
F) «Świstek krytyczny» (1816) 216
G) «Podróż do Ciemnogrodu» (1820) 220

XXVIII.

SŁOWACKI EUZEBIUSZ (1772—1814).

Wypis Nr 214.

Teorya smaku w dziełach sztuk pięknych 229
Rozdział II. § 1. O piękności 229

XXIX.

BOROWSKI LEON (1784—1846).

Wypisy Nr 215—216.

Str.

A) Uwagi nad Monachomachią Krasickiego 237
B) Przedmowa do wydania Jerozolimy Wyzwolonej w przekładzie Piotra Kochanowskiego 237

XXX.

KOPCZYŃSKI ONUFRY (1735—1817).

Wypisy Nr 217—220.

«Gramatyka Języka Polskiego» (1817) 245
a) Ze «Wstępu czyli Przemowy do Narodu» 245
b) Z części I. Powierzchność Języka 247
c) Z części II. O Wewnętrzności Języka Polskiego 248

XXXI.

LINDE SAMUEL BOGUMIŁ (1771—1847).

Wypisy Nr 221—222.

Prawidła etymologii, przystosowane do języka polskiego (1805—6) . 253
Ostateczne zamiary etymologii 254

XXXII.

MROZIŃSKI JÓZEF (1784—1838).

Wypis Nr 223.

O znamionach nad samogłoskami (1830) 257

XXXIII.

KRÓLIKOWSKI JÓZEF FRANCISZEK (1781—1839).

Wypisy Nr 224—225.

Prozodya polska (1821) 262

XXXIV.

TOWARZYSTWO SZUBRAWCÓW (1817—1822).

Wypisy Nr 226—230.

A) Mowa Dygnitarza Szubrawissymussa Okkopirnosa z powodu przyjęcia do Szubrawstwa nowego członka (zwój dziuplowy) . . . 268
B) Wyjątek z podróży na wyspę Balnibarbi 273
C) Tabella, ukazująca liczbę bogatych mieszkańców tego kraju, bawiących się zagranicą, oraz ilość wywiezionych pieniędzy i ich wydatek, ze wszystkich gazet i dzienników zagranicznych przez niżej podpisanego pracowicie i rzetelnie ułożona, a teraz dla dobra publicznego na jaw wydana (Artykuł nadesłany) . . . 276

Str.
D) Ogłoszenie o nowej pensyi dla panien 278
Prospekt lekcyi, dawać się mających na pensyi 278
E) Rozmaitości 281

XXXV.
BANDTKE v. BANDTKIE JERZY SAMUEL (1768—1835).
Wypisy Nr 231—232.
A) Dzieje Narodu Polskiego (1835) 287
B) «Historya drukarń krakowskich» (1815) 290

XXXVI.
BANDTKE JAN WINCENTY (1783—1846).
Wypis Nr 233.
Historya prawa Polskiego (1850) 296

XXXVII.
RAKOWIECKI IGNACY BENEDYKT (1783—1839).
Wypis Nr 234.
«O stanie cywilnym dawnych Słowian» (1820) 306

XXXVIII.
SZANIAWSKI JÓZEF KALASANTY (1764—1843).
Wypisy Nr 235—236.
Co to jest filozofia? (1802) 312

XXXIX.
JAROŃSKI FELIKS (1777—1827).
Wypis Nr 237.
Jakiej filozofii Polacy potrzebują? 318

XL.
SIARCZYŃSKI FRANCISZEK (1758—1829).
Wypis Nr 238.
«Obraz wieku panowania Zygmunta III» 325
Z rozdziału V: Wolna obieralność króla, swobody szlachty, przewaga możnowładców 326

XLI.
SUROWIECKI WAWRZYNIEC (1769—1827).
Wypisy Nr 239—241.
A) «O upadku przemysłu i miast w Polszce» (1810) 333

Str.
a) Z przedmowy do Łubieńskiego 334
b) Z rozdziału: O przemysłach w Polszce, Rolnictwo 334
B) «Sledzenie początku narodów Słowiańskich» 339

XLII.
SOŁTYKOWICZ JÓZEF (1762—1831).
Wypis Nr 242
«Rozprawa nad przyczynami uwłaczających naukom mniemań» (1828) 346

XLIII.
CZARTORYSKA Z FLEMINGÓW IZABELLA (1746—1835).
Wypis Nr 243.
«Pielgrzym w Dobromilu» (1818) 352

XLIV.
WIRTEMBERSKA KSIĘŻNA Z KSIĄŻĄT CZARTORYSKICH MARYA (1768—1854).
Wypisy Nr 244—245.
«Malwina czyli domyślność serca» (1816) 361

XLV.
CHODŹKO JAN (1777—1851).
Wypis Nr 246.
«Pan Jan ze Świsłoczy, kramarz wędrowny» (1821) 371
Kiermasz w Czaśnikach. — Zdanie pana Jana o żebrakach. — Przygoda z małżeństwem swarliwem. — Wróżbiarstwa Cyganów 372

XLVI.
CHODAKOWSKI ZORYAN (1784—1825).
Wypis Nr 247.
«O Slawiańszczyźnie przed chrześcijaństwem» (1818) 387

XLVII.
GODEBSKI CYPRYAN (1765—1809).
Wypisy Nr 248—249.
A) «Granadyer-Filozof». Powieść prawdziwa (Warszawa 1805) . . . 394
B) «Wiersz do Legiów Polskich» 398

XLVIII.
REKLEWSKI WINCENTY (1786—1812).
Wypisy Nr 250—254.
A) Krakowiaki 412

Str.
B) Jolenta 414
C) Halina 417
D) Wiesław 418
E) Urodziny 420

XLIX.

BRODZIŃSKI ANDRZEJ (1786—1812).

Wypisy Nr 255—259.

A) Pożegnanie z kochanką 423
B) Ranny powraca zwycięzcą 424
C) Polak powstający 424
D) Pieśń 425
E) Mazurek 426

L.

TYMOWSKI KANTORBERY (1790—1850).

Wypisy Nr 260—266.

A) Dumania żołnierza polskiego w starożytnym zamku Maurów nad Tagiem 428
B) Elegia z powodu wprowadzenia zwłok ks. Józefa Poniatowskiego przez wojsko narodowe wracające do ojczyzny 431
C) Elegia na śmierć Tadeusza Kościuszki 435
D) Oda do brzucha 439
E) Narodowość 442
F) Ojczyzna 443
G) Zamiłowanie prawa 444

LI.

GORECKI ANTONI (1787—1861).

Wypisy Nr 267—273.

A) Zdobycie przez wojsko polskie w Hiszpanii wąwozu pod Samo-Sierra 448
B) Duma o Zakrzewskim 449
C) Krakowiaki (1816) 450
D) Do kmiotków (1817) 452
E) Chłop i kaznodzieja (1818) 453
F) Dyabeł i zboże (Bajka) 454
G) Bajka o furmanach (1828) 454

UNIV. OF CALIFORNIA

XVIII.

DMOCHOWSKI FRANCISZEK KSAWERY

(1762—1808).

Rodzina Dmochowskich wywodzi się ze wsi Dmóchy, w województwie Podlaskiem. Na Podlasiu też urodził się Franciszek Ksawery, r. 1762, jako jedno z 8 dzieci średnio zamożnych rodziców. Z 6 synów dwu poświęciło się stanowi duchownemu; z tych jednym był Franciszek. Po ukończeniu szkół drohiczyńskich został namówiony przez Pijarów, by wstąpił do ich zakonu. W 18 roku życia rozpoczął nowicyat w Podolińcu, a jako 21-letni młodzian, już był nauczycielem: zrazu w Łomży, gdzie wykładał gramatykę i język francuski, przemawiając też często z ambony, po dwu zaś latach w Warszawie, gdzie uczył łaciny i polskiego. Tu rozpoczęła się jego praca literacka i publicystyczna: tłómaczy «Sąd Ostateczny» (1785) i «Nocy» (1787) Junga, czyta Miltona, w r. 1788 wydaje «Sztukę rymotwórczą, poema w 4 pieśniach», najcelniejsze swoje dzieło, w którem, jak mówi, chciał, «zagrzany czytaniem dzieł o sztuce rymotwórczej Horacego, Despra, podobnem język ojczysty zbogacić. Z obudwuch czerpał myśli; do drugiego układu szczególniej się przywiązał. Że wiele winien dwóm tym nauczycielom, chętnie wyznaje; ale się też i swoich myśli nie zapiera». Dziełko to, w swoim czasie niezmiernie popularne, kilkakrotnie przedrukowane (1788, 1820, 1826), było książką szkolną u Pijarów. Jak stwierdza krytyka najnowsza (Chmielowski), wiele się tu znalazło uchyleń od założeń boilowych w stronę pewnego zwolnienia od rygoru obowiązujących przepisów. Bajka p. t. «Orzeł i paw», wydana podczas znanej sprawy Dogrumowej (1786), przyniosła mu popularność oraz pierwsze honoraryum, kilkanaście dukatów od Grölla. Około r. 1790 zbliżył się do Kołłątaja, za którego wpływem uzyskał zwolnienie od ślubów zakonnych i został proboszczem w Piątku, w Wielkopolsce; przez dłuższy czas był sekretarzem Koł-

łątaja, a także jednym z najgorliwszym kowalów jego «kuźnicy». Z tego okresu pochodzi kilka jego broszurek politycznych oraz słynna polemika z Akademią krakowską i Przybylskim: «Zakus nad zaciekami Wszechnicy krakowskiej» (1788) i «Urywek Bicza kręconego w Krakowie z okazyi zakusu nad zaciekami Wszechnicy Krakowskiej» (1789).

W r. 1791 wyszedł jego przekład «Iliady» Homera. W rok później Dmochowski uszedł przed Targowicą zagranicę z Ign. Potockim, Małachowskim i in.; tu pomagał Kołłątajowi w redakcyi dzieła «O ustanowianiu i upadku konstytucyi Polskiej 3-go Maja» (p. życiorys Kołłątaja). W r. 1794 wraca do kraju i jest przez kilka miesięcy redaktorem «Gazety rządowej» (od 1 lipca do 3 listopada). Po upadku Rzpltej przez kilka lat tułał się po obcych krajach, Niemczech i Włoszech, dłuższy czas przebywał w Paryżu, cierpiąc okrutną nędzę, nie przestając działać wszakże w emigracyi. Z Paryża pieszo przywędrował do Getyngi, gdzie kształcił się pilnie, studyując literaturę antyczną i nowożytną. Za protekcyą Krasickiego otrzymał pozwolenie powrotu do pruskiej Warszawy. Tu rozwinął bogatą działalność literacką i naukową: był jednym z pierwszych organizatorów i członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wydawał przez kilka lat «Nowy Pamiętnik Warszawski» (1801—1805), a zostawszy po śmierci Krasickiego mocą jego testamentu opiekunem jego puścizny literackiej, wydał ją w 10 tomach (1802—4). Zachęcony przykładem ks. Wolskiego i Maciejewskiego, nie zrzucając sukni duchownej, wziął ślub w zborze protestanckim z panną Izabellą Mikorską, co dało powód do zgorszenia i licznych dla Dmochowskiego nieprzyjemności. Zakupioną w woj. kujawskiem wieś oddał pod zarząd żonatego brata, sam zaś zamieszkał w Warszawie, w pałacyku z ogrodem przy ul. Pawiej, nabytem od kaszt. Zakrzewskiego; tam na obiady czwartkowe zbierali się przyjaciele, między innymi ks. Kopczyński. Na zaproszenie Akademii Wileńskiej, by objął katedrę z pensyą 1000 czerw. zł., odpowiedział odmownie. Życie jego małżeńskie nie było szczęśliwe, a fałszywa pozycya społeczna zwiększała jeszcze kwasy domowe. W r. 1807, po śmierci prezydenta Pawła Bielińskiego, podał się do magistratu o to miejsce; wskutek intryg duchowieństwa otrzymał odmowę ku wielkiemu rozgoryczeniu. Ostatnie lata życia miał smutne: opuściła go żona z synem, wyjechawszy do majątku na Kujawy, sądy ścigały go za małżeństwo, chciano je unieważnić; dopiero za sprawą hr. Feliksa Łubieńskiego, Dyrektora Spraw., zarządzającego Wydziałem Spraw Duchownych, uzyskał z Rzymu uprawnienie ślubu. Dnia 19 czerwca 1808 r. podobno cierpka rozmowa z Józefem Wybickim rozdrażniła go. Na drugi dzień wyjeżdżał z Warszawy na wieś wśród straszliwego upału. Na pierwszym popasie, między Błoniem a Nową Wsią, nagle zakończył życie, nie doczekawszy się pomocy lekarskiej. W rok później wdowa wydała jego przekład «Eneidy», dopełniony 3 ostatniemi pieśniami przez Winc. Jakóbowskiego, prowincyała Pi-

jarskiego. Ludwik Osiński przeczytał o nim pochwałę w Tow. Przyj. Nauk. Pochowany w katakumbach na Powązkach; miejsce to zajęto później pod mur, gdzie zaś złożono kości, niewiadomo.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

a) Wydanie zbiorowe pism Dmochowskiego wyszło w 2 tomach w Warszawie r. 1826 p. t.: «Pisma rozmaite» i zawiera następujące utwory: tom I — Sąd Ostateczny i Noc pierwsza Junga, Ułamki Raju utraconego Miltona i Odyssei Homera, Horacyusza Flakka listów księgi II i Wiersze różne (przekłady); tom II — Zakus nad zaciekami, Urywek bicza kręconego, O cnotach towarzyskich i występkach im przeciwnych, Życia uczonych ludzi (St. Konarski, K. Wyrwicz, T. Waga, T. Ostrowski, Ig. Zaborowski, M. Wolski, J. Rogaliński, Grz. Piramowicz, J. Szymanowski), Mowy (o potrzebie i sposobie uczenia się łaciny, na pochwałę Ig. Krasickiego), Sztuka rymotwórcza.

b) Oddzielnie ukazały się prócz powyższych: 1) «Do... T. Czackiego i M. Wolskiego... z okoliczności wydanego pisma o konstytucyi trzeciego Maja» (1791) bezimiennie, może i nie przez niego napisane; 2) «Idées sur la Pologne» (Paryż 1796); 3) «Orzeł i paw» bajka (1786): 4) «Pochwała dobroczynności JEgm. Pana Karpia» (1787); 5) «Do stanów sejmujących» (Warszawa 1788); 6) «Précis des causes de la destruction de la Pologne» (Paryż 1797); 7) «Réflexions sur une brochure intitulée: Kościuszko au peuple français» (Paryż, 4 rok republiki); 8) «Do stanów z okoliczności uchwały sto tysięcy wojska» (1791); 9) przekład pani de Genlis: «O religii, jako jedynej zasadzie szczęśliwości ludzkiej» (1781); 10) przekład z Goldoniego: «Mecenas poczciwy» (1779); 11) przekład Iliady Homera (1791); 12) «Oratio pro instauratione studiorum» (Warsz. 1784).

c) O Dmochowskim pisali: Osiński L. w «Rocznikach Towarz. Przyj. N.» VIII: 120—143. XVI: 252; Wójcicki K. Wł. «Cmentarz Powązkowski» (I, str. 163—165; II, str. 256—262 — tu przytoczony urywek z pamiętników Jana Duklana Ochockiego, szwagra Dm., z «Gazety warszawskiej» 1856 r. i sprostowanie w tejże «Gazecie» 1857 r., Nr. 5; Kraszewski J. I. «Pamiętnik anegdotyczny» (Poznań 1867); Bielski «Vitae piar.» (str. 199); Smoleński Wł. «Kuźnica Kołłątajowska» (osobno i w «Pismach historycznych)», dalej życiorysy w «Przyjacielu Ludu» (Leszno 1839, II); w «Tygodniku Illustrowanym» (1861, III); w «Rozmaitościach» (Lwów, 1825 i Warszawa t. r.), w «Bibliotece Warszawskiej» (1871, III); poglądy estetyczne Dm. poddał wyczerpującej krytyce Chmielowski P.: w «Dziejach krytyki literackiej w Polsce» (Warszawa 1902).

Mowa na obchód pamiątki Ignacego Krasickiego (1801).

(Pisma rozmaite, T. II, str. 268—296).

143) *Str. 268—270.* Jeżeli z rzeczy ludzkich może co sobie rościć prawo do nieśmiertelności, to zapewne geniusz. Inne zalety, bądź władzy, bądź bogactw, bądź urodzenia, przemijającą mają trwałość. Rażą niekiedy pozornym blaskiem mniej uważne oczy; ale zgon wraca je do nikczemności, z której się niesłusznie wydobyć usiłowały. Sama nawet cnota, najpierwsze i największe między ludźmi dobro, wkrótce nieznana gaśnie, jeśli pióro geniuszu nie wydrze jej zapomnieniu i nie zapisze w księgę nieśmiertelności. Sam tylko geniusz żyje z siebie: on jest i przedmiotem i sprawcą swej chwały; on sam tworzy dzieła godne wieków; a te same dzieła stają się dla niego niezatartą pamiątką.

Któż ze współczesnych nad Krasickiego może być najpewniejszym tego gatunku chwały? kto nad niego może sobie dłuższe obiecywać życie w pamięci potomności? Póki się utrzyma język polski, ta znakomita i najkształtniej okrzesana gałąź słowiańskiego języka, póty jego imie wspominane będzie z tem uczuciem, jakie jego dzieła w każdym z czytających wzbudzają. Co mówię! Dzieła jego przyłożą się do utrzymania tego języka. Najodleglejsi potomkowie, chciwi tych samych kosztować słodyczy, które w czytaniu Krasickiego ich pradziadowie czerpali, uczyć się będą ich mowy i prześlą ją swoim następcom.

Zaiste, mąż tak wysokich talentów wyższy jest nad wszystkie pochwały. Żyje on i żyć będzie z siebie; i ten wieniec, który sam swoją ręką uplótł, nie potrzebuje żadnej ozdoby z przydanych obcą ręką kwiatów. Ale posłuszny być winienem rozkazom Zgromadzenia, które, uiszczając się ze swoich obowiązków, aby pamięć uczonych ludzi winny hołd w gronie jego odbierała, mnie do tej posługi, tak dla mnie pochlebnej, wezwać raczyło. Należy się od tego Zgromadzenia najżywsza wdzięczność zmarłemu książęciu, że imie swoje w rejestr jego najskwapliwiej zapisał; że w początkach zaraz największą gorliwość względem jego ustanowienia, utwierdzenia i skutków okazał. Niestety! jeśli nie wcześnie dla siebie, zanadto prędko

umarł dla Towarzystwa, którego i najcelniejszą był ozdobą i byłby najużyteczniejszym członkiem. Do tego, nie może być rzeczą obojętną dla światłej publiczności, posiedzenia nasze tak liczną przytomnością zaszczycającej, słyszeć rzecz o mężu, którego dzieła z takiem czyta ukontentowaniem. A ja największy stąd pochop, największą śmiałość biorę, że o Krasickim mówić będę.

Żyjemy w tym wieku, kiedy opinia, do prawideł natury i rozumu zwrócona, ceni ludzi podług osobistej ich wartości. Wyschło dziś źrzódło owych pysznych pochwał, tak obficie szafowanych, a z takiem unudzeniem słuchanych. Nie pytają się teraz, jak długi szereg przedków liczyć kto może, ale jakim był i co uczynił. Szczęśliwa, zaiste, zmiana, która, obaliwszy słabe podstawy, na jakich oparte dawniej dumne bałwany przywłaszczały sobie prawo do czci świata, każe szukać rzetelnej chwały w talentach, zasługach i cnocie. Taką sobie zapewnił Krasicki. Miał on wszystkie zaszczyty panującej dawniej opinii; lecz tak je zaćmił osobistą wartością, iż samo ich wspomnienie zdawałoby się ujmą jego chwały. Dowcip jego, talenta, przymioty stawią go w rzędzie najznakomitszych ludzi, jakimi się ta ziemia w oczach Europy i potomności zaszczycać będzie.

Po tym wstępie Dmochowski daje krótki życiorys, obszerniejszy przegląd pism poetyckich i prozaicznych Krasickiego, wreszcie taką ogólną charakterystyką kończy swą pracę.

144) *Str. 291—296.* Miała razem dwuch ludzi Polska, których dzieła lubiła czytać i porównywać, a na których, jak na dwie celne literatury swojej ozdoby, patrzyła: Naruszewicza i Krasickiego. Pierwszy, wychowany w surowej szkole uczonego Zgromadzenia, drugi, wykształcony w polerownej szkole świata, wzięli odmienne na umysłach piętna, które na swoich pismach wycisnęli. Stąd Naruszewicz poważny, a w samych żartach ciężki; stąd Krasicki miły, zabawny, ujmujący. Obadwa obdarzeni świetnymi od natury talentami; lecz Naruszewicz więcej sobie zadawał pracy, Krasicki więcej szedł za swoim dowcipem. Naruszewicz miał więcej głębokości, więcej świetności Krasicki. Tamten się zapuszczał w nieprzebrnione morze erudycyi, ten biegał po uśmiechających się imaginacyi

przestrzeniach. Krasicki w pierwszej zaraz młodości nabrał dobrego smaku; Naruszewicz w początkowej edukacyi wyczerpnął coś z szumnego stylu, który niedawno panował w Polsce, i nigdy się zupełnie z tej wady otrząsnąć nie mógł. Dlatego Krasicki zawsze gładki, naturalny; Naruszewicz często szumny, a czasem nadęty. Naruszewicza niezmierna z początku chwała wierszopiska, coraz w oczach ludzi gustownych zmniejszała się, a natomiast wzrastała sława jego dzieł, pisanych prozą; Krasicki, mimo pięknych i dowcipnych dzieł, niewiązaną mową wydanych, utrzymał celniejszy zaszczyt z poezyi. Obadwa ludzie rzadcy, wzajemnie siebie szacujący, byli ozdobą narodu i światłem nauk polskich. Lecz Naruszewicz pójdzie do potomności, jak tłómacz Tacyta i dziejopis, Krasicki, jak poeta. Naruszewicz będzie w ręku uczonych, Krasicki w ręku wszystkich.

Tak zajął uwagę moję autor w Krasickim, żem prawie zapomniał uważać w nim człowieka. Najświetniejsze przymioty umysłu wzbudziłyby podziwienie, ale nie zapewniłyby szacunku bez tych, których czucie jest źrzódłem. Lepiej jest dla człowieka, lepiej dla społeczności, aby być rozsądnym tylko a cnotliwym, niż przy największych talentach — złym człowiekiem. W Krasickim przymioty serca równe były wysokim przymiotom umysłu: zadziwiał swoim najpiękniejszym dowcipem, a pociągał ku sobie miłość i przywiązanie najlepszem sercem. Bieg życia publicznego, wcześnie dla niego przecięty, pozbawił go sposobności okazania tych cnót, w oczy bijących, które tylko na wielkim teatrze i w wielkich okolicznościach jaśnieć mogą. Ale miał wszystkie cnoty prywatne. Przyjemny, ludzki, umiejący w drugich szanować talenta, bo je sam posiadał; uczynny, skoro mu tylko możność pozwolila, i gdyby był więcej chciał się rachować z szafunkiem swego majątku, byłby zyskał sławę dobroczynności; bo miał serce prawdziwie szlachetne. Właściwa jest rzecz umysłom wyniosłym nie przywiązywać ceny do pieniędzy. Tę obojętność Krasicki w najwyższym miał stopniu. Ludzie bogacili się przy nim, a on prawie zawsze był potrzebującym. Lecz, mimo tej potrzeby, żadną podłością życia swego nie splamił i sam na tem najwięcej cierpiał, że nie zawsze był w stanie szlachetnemu sercu swemu dogodzić. Oderwany od ojczyzny, chował zawsze do niej najtkliwsze przywiązanie.

Dla niej pracował, dla niej w pismach swoich chciał najlepszych usposobić obywatelów. Kochający familię i od niej kochany, z bratem ściślejszym jeszcze od krwi węzłem, przyjaźnią złączony, dla synów jego z ojcowskiem był przywiązaniem. Nic w nim tak miłego nie wzbudzało uczucia, jak gdy widział ich, z zapałem biegnących do usług ojczyzny, jak gdy słyszał piękne o nich wspomnienia. Wyniesiony na najwyższe stopnie, świetnymi ozdobiony tytuły, zaszczycony względami, a można powiedzieć, przyjaźnią i poufałością królów, daleki był od dumy, którą pospolicie w małych duszach pomyślność rodzi. Znał on się być wyższym nad to wszystko i dlatego dla najniższych był grzeczny i przystępny. Dom jego można było nazwać domem gościnności. Najmilsza jest rozkosz dla wyższego rzędu człowieka żyć z ludźmi i dla ludzi. Lubo w zdaniach politycznych miał odmienny sposób myślenia, interesowali go ci wszyscy, którzy, wypłacając się z długu obywatelstwa, zostali nieszczęśliwymi. Krasicki przez dawną swoję wziętość wstawiał się za nimi, przykładał się do osłodzenia ich losu. Mnie samemu (wszak godzi się tam wspomnieć o sobie, gdzie wdzięczność wyrywa się z ust gwałtem), ułatwił powrót, ofiarował swój dom za przytułek i los życia obmyślić przyrzekał. Smierć jego szlachetne chęci i moje nadzieje zniszczyła.

Mógłbym tu wiele mówić o cnotach jego stanu i jego stopnia; o religii, połączonej z filozofią, o pobożności czystej, dalekiej od najmniejszego cienia obłudy, o czułej staranności w szukaniu i pozyskaniu ulgi dla niższego duchowieństwa: lecz tę materyą, tak poważną, tak obfitą w pochwały, właściwem sobie prawem zajęły ambony.

Do cnót wysokich łączył Krasicki najmilsze przymioty obcowania. Trudno być zabawniejszym od niego w towarzystwach; wesołość malowała się na jego twarzy, a uśmiech w jego w ustach osiadał. Pełen anegdotów, obfity w dowcipne wyrazy, był rozkoszą wszystkich, którzy mieli szczęście z nim obcować. Mimo częstych słabości, którym w podeszłym wieku podlegał, wesołość humoru zachował do śmierci.

Takiemu mężowi, członkowi swemu, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, w obecności kochających nauki współziomków, winny hołd uwielbienia oddaje. Ale nie na tym jedynie ob-

rządku chce ograniczyć swoje ku niemu czucia ani swoję dla narodu przysługę. Dzieła Krasickiego, jedne wydrukowane, ale już bardzo rzadkie, inne grubemi w druku pomyłkami skażone, inne nakoniec w rękopismach jeszcze zostające, godne są poprawnej, dokładnej i pięknej edycyi. Tej żądał autor, znając, że w samych płodach dowcipu zostawi trwałą imienia swego pamiątkę; tej oczekuje naród, jako najdroższego zabytku; tę przyśpieszyć Towarzystwo Przyjaciół Nauk za pierwszy cel starań swoich wzięło. Ja sądzę się za najszczęśliwszego, iż, mając sobie ten poruczony obowiązek, zadosyćczynię zaufaniu autora, rozkazom kolegów i głosowi publiczności.

Szanowny cieniu! przyjmij ten słaby głos, jako wyraz winnego uszanowania dla ciebie i powszechnej wdzięczności; lecz daruj, jeżeli w obliczu oświeconych i kochających twoje dzieła spółziomków, okazując ich zalety, śmiałem oraz zastanowić się nad tem, co w zdaniu mojem względem nich powiedzieć można. Nie ustępuję nikomu w podziwieniu dla twego dowcipu, w szacunku dla pism twoich, w przywiązaniu do twojej pamięci; ale chciałem, aby głos mój przy jej uczczeniu był godny ciebie, będąc głosem prawdy. Miernych ludzi pochwały wyciągają tej ostrożności, aby, mówiąc o ich zaletach, zamilczeć o wadach; bo wspomnienie tych możeby nadwerężyło lub zepsuło całe wrażenie, któreby na ich stronę uczynić chciano. Prawdziwy geniusz nie lęka się, aby wytknięcie plam lekkich blask jego przyćmiło. Tego prawdziwie ugruntowana chwała, ten pewny jest nieśmiertelności, który, mimo wszystkiego, co szczerość o nim powiedzieć może, jeszcze jest wielkim.

Opracował H. GALLE.

XIX.

PRZYBYLSKI JACEK.

(1756—1819).

Urodzony dn. 1 września 1756 r., otrzymał na chrzcie imiona: Jacek, Idzi, Joachim. Przyszedł na świat w Krakowie, jako syn Bartłomieja, krawca tamtejszego, i Jadwigi z Mańków. Pomimo niezamożności rodziców, otrzymał staranne wykształcenie, głównie dzięki wujowi, Pawłowi Mańce, profesorowi szkoły nowodworskiej w Krakowie, który wziął go pod swoją opiekę. Uczęszczał też Przybylski do tej szkoły aż do dyalektyki i w dniu 27 kwietnia 1771 r. zyskał w niej tytuł bakałarza filozofii, a w dwa lata później (1773) — licencyata filozofii i jednocześnie otrzymał stanowisko nauczyciela szkoły akademickiej w Tarnowie. Uzyskawszy 14 października 1775 r. tytuł doktora sztuk wyzwolonych i filozofii, w 19 roku życia przyjął święcenia kapłańskie i został wysłany do Chełmna w Prusach królewskich, gdzie w kolegium akamickiem wykładał s y n t a x i m i poetykę. Jednocześnie sam się uczył, posiadł, prócz łaciny i greckiego, niemiecki, francuski, włoski i angielski. W 1778 r. powrócił do Krakowa, a przedstawiony wizytatorowi Kołłątajowi, otrzymał z rąk jego profesurę w szkołach wojewódzkich krakowskich, potem lubelskich. W 1781 r. wykłada w Warszawie historyę i prawo, a w r. 1784 Komisya Edukacyjna powołuje go na stanowisko prefekta biblioteki akademickiej w Krakowie i wysyła swoim kosztem na studya zagranicę. Był w Wiedniu, Szwajcaryi, Francyi, Włoszech, a po powrocie zabrał się do gorliwej pracy literackiej, zwłaszcza nad przekładami wielkich poematów i epopei literatury europejskiej: pracuje nad «Iliadą», wydaje «Batrachomyomachię», tłómaczy Hezyoda, Miltona «Raj utracony» i «Raj odzyskany», «Treny Jeremiasza», «Luzyady» Kamoensa, bierze się do «Georgik» i «Eneidy» Wirgiliusza, które wydaje jednak pod koniec życia. Nie ustaje też

[illegible] nauczycielskiej: w r. 1788 obejmuje bezpłatny nadzór nad [illegible] do stanu nauczycielskiego i obowiązki ich korregenta, [illegible] zostaje profesorem greckiego i starożytności w szkole [illegible] krakowskiej. W uznaniu zasług Warszawskie Towarzystwo [illegible] Nauk w r. 1801 powołuje go na swego członka. Niebawem [illegible] obowiązki prefekta biblioteki i profesora z powodu [illegible] zdrowia, ale już w r. 1809 wezwano go znowu do [illegible] go o objęcie katedry literatury greckiej na dwa [illegible] roku, przełomowym dla Galicyi zachodniej, zostaje [illegible] rady edukacyi przy administracyi powiatowej, w następ[illegible] dziekanem wydziału filozoficznego; w 1811 zdał bi[illegible] Jerzemu Samuelowi Bandtkiemu i usunął się od pracy spo[illegible] zająwszy się przygotowaniem do druku przekładu Homera [illegible] Rodyjskiego, który wraz z «Kluczem staroświatniczym» [illegible] się w ciągu lat 1814—1816, w 7 tomach. Wydanie 500 [illegible] kosztowało autora 1000 dukatów, i cały ten nakład [illegible] prawie nietknięty, a po śmierci Przybylskiego jego spadko[illegible] kupiec krakowski, Rudolf Koch, spychał antykwarzom - Żydom [illegible] złotówce egzemplarz. Wypadki polityczne jeszcze raz, ostatni, po[illegible] go do pracy społecznej. Kiedy w r. 1818 zbierał się sejm nadzwyczajny w młodej Rzeczypospolitej krakowskiej, senat rządzący mianował Przybylskiego marszałkiem sejmiku gminy I, która wybrała go swoim reprezentantem na sejm, gdzie zaznaczyła się pożyteczna jego działalność około przekładu konstytucyi Rzeczypospolitej z francuskiego na polski i łacinę. W styczniu 1819 r. zachorował, zmarł tegoż roku dn. 11 września. Senat krakowski dozwolił pogrzebać bezpłatnie zwłoki jego w kościele archiprezbiteryalnym Panny Maryi, gdzie wmurowano na jego pamiątkę tablicę z odpowiednim napisem.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

A) Zbiorowego wydania dzieł Przybylskiego nie posiadamy. Czajkowski Paweł w końcu swej «Pochwały», zamieszczonej w t. IX «Rocznika Tow. Nauk. z Uniw. krakowskim połączonego» (Kraków 1824) daje spis 85 prac naszego autora, nadmieniając, że spis ten nie jest pełny, gdyż pozostało wiele rzeczy w rękopisie, wiele też drobnych prac nie zostało tu zamieszczonych. Ze spisu tego podajemy tu ważniejsze pozycye: «Trzy Mowy o Odmianach w Naturze z francuskiego» (Kraków 1779), «Mądry Memnon powieść z franc.» (Lublin 1781), «Dobry Bramin» powieść z francuskiego» (t. t. r.), «Mowa na setny Obchód Zwycięstwa Jana III nad Turkami pod Wiedniem» (Warszawa 1783), «Listy Peruwianki z franc. Szambelanowy Grafigni» (Warszawa 1784), «Henryka Sandra Historya Naturalna Ekonomiczna» t. I (Kraków 1786), «Dyssertacya o Kunszcie pisania u Starożytnych (tamże 1788), «Batrachomyomachia czyli Bitwa Żab z Myszami... Homera» (tamże

1789), «Heautomastix czyli Bicz na siebie samego» (t. t. r.), «Wieki uczone Starożytnych Greków i Rzymian w zabytkach ich pism uważane» (t. t. r.), «Hezyoda... Roboty i Dnie» (Kraków 1790), «Aleksandra Pope rzecz o Krytyce wiersz ojczysty obok z Angielskim» (t. t. r.,), «Kamoensa Luzyada» (t. t. r.), «Hezyoda... dzieła pozostałe» (t. t. r.), «Miltona Raj Utracony» (t. 1791), «Ortografia języka greckiego» (t. t. r.), «Miltona Raj Odzyskany (t. 1792), «Początki języka greckiego do użytku Polaków» (t. t. r.), «Treny Jeremiasza» (t. 1794), «Siedm Psalmów Pokutnych według tekstu 70 Tłomaczów» (t. t. r.), «Śmierć Abla» (1797), «List do Pizonów o Kunszcie Poetycznym» (Kraków 1802), «Przekładanie Eneidy Wirgilego» (Kraków 1811), «Georgiki Wirgilowskie» (Kraków 1813), «Iliada i Odyssea z dopełnieniami Kwinta Kalabra» (7 tomów, 1814—6).

B) W rękopisach, podług relacyi Czernickiego («Tyg. Ill.», 1865, t. XII, str. 186), pozostały przekłady: poematu Klonowicza «Victoria Deorum» (rękopis był własnością Ambr. Grabowskiego), oraz: «Henryady» Woltera, prawie całej «Messyady» Klopstocka i «Ód» Horacego, które miały być przekazane Bibliotece Jagiellońskiej. W katalogu Wisłockiego niema ich wszakże, znajdujemy tam natomiast «Dziennik» z r. 1787, «Wspominki krakowskie z r. 1787» oraz «Aula Persego Satyr sześć».

C) O Przybylskim pisano niewiele. Prócz dość ogólnikowej «Pochwały» Czajkowskiego Pawła (w «Roczniku Towarz. Naukowego, z Uniwersytetem Krakowskim połączonego», t. IX, Kraków 1824) oraz sumiennej, na notatkach Ambr. Grabowskiego opartej, ale zwięzłej biografii Czernickiego Gustawa («Tygodnik Illustrowany» t. XII, str. 318—319), mamy tylko krótkie wzmianki: w «Dzienniku Wileńskim» (1820), «Rozmaitościach» (Lwów 1820), «Przyjacielu Ludu» (Leszno 1842, t. IX).

O języku polskim (1816).

W części II «Klucza staroświatniczego do wszystkich śpiewów Homera i Kwinta», stanowiącego tom VII i ostatni «Pamiątki dziejów bochatyrskich *[tak]* z wieku grajskotroskiego» na stronie 8 do 222 czytamy umieszczoną w szyku alfabetycznym pod literą: *j* rozprawę: «Język polski». Po ogólnym wstępie autor, podzieliwszy gramatykę, czyli językoślednię na: pismownię, wywodnię, szykownię i wyśpiewnię, w takim też porządku części te wykłada. Pismowni poświęca najwięcej miejsca: rozpatruje samogłoski czyste, potem pochylone, które stanowczo odrzuca, dwugłosice, czyli dwojorki (diftongi); dalej spółgłoski, które dzieli się na: wargobitne, garłobitne, językobitne i zębobitne, rozwodzi się długo nad jednako brzmiącemi w pewnych razach spółgłoskami (n. p. *z* i *s*), zmyślając przytem dziwny sen ortogra-

ficzny, zwalcza *h*, pozwalając je utrzymać tylko w imionach własnych; dzieli spółgłoski na: obobrzmienne, czyli całkiem miękczebne (po których może stać *y* lub *i*), grubobrzmienne, czyli całkiem twarde (d, r, t), różnobrzmienne (k i g), cienkobrzmienna, czyli topna (l), chuchowa (h) i jęcząca, czyli najmiększa (j). Dalej mówi o dwojorkach (cz, dz, dż, dź i t. d.), o samogłoskach bąkliwych, (ą, ę) o łoskocącej spółgłosce *ł*, o pieszczonych (ć, ś, ń, ź), o dwojorce chuchającej *ch*, rzewniącej *rz*, szumiącej *ss*, szczękającej czworbukwie *(sscz)*, o bukwach wielkawych, o rozczertni (interpunkcya). Obok wielu dziwactw i niekonsekwencyi nie brak tu uwag trafnych i głębokich. W wywodni podaje swoje nazwy części mowy: 1) rodzajak (articulus), 2) imię, 3) zaimię, 4) głagoł (verbum), 5) uczęstniak (participium), 6) okoliczniak (adverbium), 7) przedzak (praepositio), 8) spajak (conjunctio), 9) natrącak (interjectio). Dzieli wyrazy na pierwaki i pochodzaki, rozwodzi się nad wielością i różnorodnością tych ostatnich w języku polskim, ściga obce wyrazy (makaruny), podaje szereg przykładów. Co do szykowni i wyśpiewni (prozodya), zadawala się ogólnemi uwagami. Na końcu przytacza własny przekład listu Horacego do Pizonów. Przytaczamy poniżej urywek o wyższości języka polskiego nad innymi, zostawiając nietkniętą wysoce oryginalną pisownię autora.

145) *Str. 108—110.* Przy żcizłem śledzeniu pierwakow w pochodzakach i odwrotnem prowadzeniu pochodzakow od pierwakow zdumie się każdy ciekawy a rozumujący Polak, jak daleko jego Ojczysty Język jest młotabnym (malléable), gdy się przekona, że czasem z jednego jednozłogowego pierwaczka, prowadząc jego rodzinę przez wszystkie pomyślebne zakończki, zkrucania i zkładunki, tysiące słow wywodzić można.

Zapuściwszy się w takowy rodzay śledztwa, na jakież natrafimy bogactwa? W drobnieniu i w grubieniu tak Istotnikow, jak Przymiotnikow, jesteśmy nieprzewyższonemi. Jeźli się Włoch chlubi, iż sam z Europeycow wyrazy swego Języka nayszczęśliwi drobni i grubi, mogąc np. mały Rzeczownik: kapelusz, sześć razy co raz inaczyy oddadź: *il capello, il capellino, il capelletto, il capellazzo, il capellaccio, il capelluzzo,* to my Włochowi nie ustąpimy, mając tyleż, lub tyle drugie zakończek, rozmaicących tę samę mianowkę, Włoską, od nas urodaczoną: kapelusz, kapeluszek, kapeluszeczek, kapelusik, kapelusiczek, kapeluch, kapelusisko, kapelusiszcze, kapeluszosko, kapelusina, kapelusinka, kapelusiątko. Nemec ma trzy zakończki na

drobnienie Istotnikow: *el, lein* i *chen;* a brach mu ich na grubienie, my zaś na owe okoliczności mamy ich mnostwo, i na rozmaicenie jednego Osobnika Dziewica może każdy, naszych Narodowych rozgoworek wiadomy, wyliczyć około 20 wyrazow. Samo rozmaicenie Imion, Chłopcom i Dziewczętom Polskim na Chrzcie danych, czy my je pieszczocimy, czy je grubasimy, może przekonać o naszey slowistości na ucho każdego Wybadcę, np. między pieskliwemi: Kazio (Kazimierz), Rycio (Maurycy), Właś (Władysław), Leosia (Eleonora) i t. d. lub wieśniaczemi u pospolstwa: Bartek (Bartłomiey), Banach (Benedykt), Wach (Wawrzyniec), Nastka (Anastazyja), Połonka (Apollonia) i t. d., które według rożnych Głagolin na wiele innych zakończek drobniących lub grubaszących prowadzone bydź mogą. Francuz wszystkie przedmioty drobnione lub grubione wyraża tylko raz przez przymiotnik *petit* lub *grand,* np. *petite bague* (mały pierścień) i *grande bague* (wielki pierścień). Polak zaś bez pomocy przymiotnikow: wielki i mały, choć ich rownie dobrze używa, dozkonale zdrobni to samo przez pierścionek i pierścioneczek, dozkonale zgrubi przez pierścienisko lub pierścieniszcze. W drobnieniu zdrobniebnych Przymiotnikow Włosi nas tylko ledwie do połowy ścigają; my zaś nasze aż do 8 razy drobić umiemy, jak wykazał Grzegorz Knapski na przymiotniku mały, który u Włochow wychodzi na cztery: *piccolo, picciolo, piccolino, picciollino,* a powiększać powiększebne potrafimy rozmaicie, tak, jak obcym Narodom trudno, np. wielki, wielkośny, wielkawy, zawielki, długi, długośny, długawy, obdłużny, podługowaty, przydługi, zadługi, przedługi i t. d. i nadto w tey samyy kolei snadno nam z przymiotnikow tworzyć na oba tony Istotniki, np. Długosz, Mędroch, Myśliwiec, Staruch, Młodzik, Nabożnik i t. p. i z Głagołow, np. Biegun, Bywalec, Działosz, Gaduła, Leniuch, Pieszczoch i t. d., snadno z Uczęstniakow, np. Uczeń, Narzezeniec, Rąbaniec, Zwolennik i t. d., snadno rozmaicić same Osobowniki od wad i rożnych znamion, np. Białas, Garbus, Gębala, Głowacz, Łys, Oczal, Szafraniec, Zeź i t. d., nie rachując tu jeszcze wielu przezwisk, jakie sztywni Łacinnicy na Łacińskie lub Greckie zakończki

potworzyli i jakie w baraszkowym stylu uchodzą, np. Derus, Odartus, Wiarus, Fugas, Niegodzijasz i t. d., a nie tracąc uwagi, że na zaszczyt naszey Mowy, choć mamy dostatkiem uszczypliwych przezwisk, nayobelżywsze mianowki nie są u nas Słowiańskie, lecz po większyy części z obcych Językow przybierane.

My z każdego rzemiesiwa czy osobowego, czy rzeczowego, mocni jesteśmy prowadzić przymiotniki, czego Francuzi i Włosi nie dokażą, chyba je już posiadają z Łaciny, ktora jest matką ich Językow. Cóż mi do tego, że Francuz nie może tylko raz powiedzieć: *la table de marbre, le plat d'argent, les Oeuvres d'Homère, le Palais de Radzivil* i t. d.? ja, Polak, rownie się dobrze wyrażę, gdy także powiem: stoł z marmuru, połmisek ze srebra, Dzieła Homera, Pałac Radziwiłła, ale jeszcze piękniy z mojemi Przodkami: stoł marmurowy, połmisek srebrny, Dzieła Homerowskie, Pałac Radziwiłłowski. Nawiasem tylko postręczę Etymologowi rozmyślanie nad przyczyną, dla ktorey Staropolscy Pisarze rożnili przymiotniki, od teyże Osoby lub rzeczy, lub mieysca ciągnione, i czemu mowili: Homerowa Matka, Achilowa Kochanka; a Homerowskie wiersze i Achilowska pycha? czemu Ameryckie płody; a Amerykańskie Kunszta i t. d.? Ani ja wytłomaczę Francuzkiey społki rzeczownika z przymiotniem: *les fers d'or* przez żelaza ze złota, lecz, unikając nierzeczy, oddam przez podkowy złote, bo u nas ani żelazo nie może bydź złotem, chyba w Alchimii, ani złoto żelazem, chyba w tyy samyy Sztuce kończącyy się na stracie kosztow i na nędzy, a przytem bardzo rożnimy rzecz złocistą, złotawą i pozłacaną od złotey i złotą od szczerozłotey i złotolitej.

Opracował H. GALLE.

XX.

OSIŃSKI LUDWIK

(1775—1838).

Urodził się dn. 24 sierpnia 1775 roku w Kocku na Podlasiu, z ojca Jana i matki Barbary z Markowskich. Nauki szkolne ukończył w Łomży u ks. pijarów, którzy go namówili do wstąpienia do ich zakonu; przyjąwszy suknię duchowną, był jakiś czas nauczycielem, a w 1794 widzimy go w oddziale Karwowskiego. Po upadku powstania tułał się po kraju, trudniąc się nauczycielstwem. Nie czując powołania do stanu zakonnego, starał się o zwolnienie ze ślubów i uzyskał je mocą wyroku dwu instancyi sądu duchownego. W r. 1799 wydał u wdowy Zawadzkiej w Warszawie pierwszą swą pracę: «Zabawki wierszem i prozą», w dwu częściach (I — utwory liryczne, satyryczne, II — sielanki); dziełko to stanowi teraz wielką rzadkość bibliograficzną, gdyż autor, w dojrzalszym wieku, uznając je za niegodne siebie pierwociny pióra, wykupywał egzemplarze i niszczył. Od r. 1801 do 1807 utrzymywał w Warszawie wraz z Konstantym Wolskim wyższą pensyę męską i wykładał tam język polski i literaturę; jednocześnie pisywał do «Gazety Warszawskiej» recenzye teatralne, do «Nowego Pamiętnika» Dmochowskiego też sprawozdania z teatru (także «O dobroczynności», «O sztuce aktorskiej»). W roku 1802 został członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a w dwa lata później sekretarzem tegoż Towarzystwa; wówczas to odczytał na jednem z posiedzeń wyjątek z «Przemian» Owidyusza we własnym przekładzie (Mowa Ajaksa i Ulissesa o zbroje Achillesa). W r. 1805, jako nauczyciel i przewodnik Romana Sołtyka, wyjechał na kilka miesięcy do Francyi. Dnia 14 stycznia 1807 w obecności Napoleona odegrano w Warszawie jego «drama liryczne» w I akcie wierszem: «Andromedę» (z muzyka J. Elsnera). Z utworzeniem Księstwa Warszawskiego powołano Osińskiego do pracy społecznej: został w r. 1807 sekretarzem Dyrekcyi Sprawiedliwości, potem sekretarzem generalnym, wre-

szcie pisarzem Sądu Kasacyjnego. Miał też sobie poruczone zwiedzanie sądów nowo zorganizowanych, ogólną redakcyę urządzeń form i wzorów do akt stanu cywilnego oraz należał do rewizyi przekładu Kodeksu Napoleona. Mimo tych prac urzędowych nie zaniedbywał pióra: pisywał ody i wiersze okolicznościowe («Do kapitana Morawskiego», «Pieśń odjazdu dla wychodzącej z Warszawy gwardyi cesarskiej polskiej 1808», «Wiersz na powrót zwycięskiego wojska do stolicy» — dwa ostatnie drukowane w «Gazecie Warszawskiej» 1808 i 1810 r., «Wiersz na powrót» czytany na jednem z posiedzeń Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wreszcie znana powszechnie «Oda do Kopernika» 1808, też w «Gazecie Warszawskiej»); wówczas też bierze się na dobre do przekładów arcydzieł dramaturgii francuskiej: zaczął, jeszcze za czasów pruskich, od «Horacyuszów» i «Cynny» Kornela, «Cynna», wystawiony w 1809 r., budził wielki entuzyazm, poczem poszły inne: «Cyd» Kornela, «Alzyra» Woltera, »Fenelon» Cheniera, «Gabryella de Vergy» Du Belloy. W latach 1809 i 1810 wydawał «Pamiętnik Warszawski», który miał być kontynuacyą wygasłego w r. 1805 «Pamiętnika» Dmochowskiego; wypełniał tu systematycznie prowadzoną rubrykę: «Teatr narodowy». Po dwu latach musiał zaniechać wydawnictwa, nie popieranego przez ogół (miał tylko 200 przedpłacicieli). W r. 1810 wygłosił słynną mowę sądową w obronie pułkownika Siemianowskiego, jeden z lepszych utworów z tego działu w naszej prozie. W r. 1808 poślubił Rozalię Bogusławską, córkę Wojciecha, a w r. 1814 (od 10 lipca) objął po teściu kierownictwo Teatru Narodowego, prowadząc go w duchu przeważnie pseudoklasycznym przy zespole takich aktorów, jak Żółkowski, Kudlicz, Dmuszewski, Zdanowicz, Ledóchowska i inni: dawał wprawdzie Szekspira «Hamleta», «Makbeta», «Leara», «Otella», ale w przeróbkach Francuza Ducisa we własnym przekładzie, dawał też Schillera «Fieska», «Intrygę i miłość», oraz «Dziewicę Orleańską» (w przekładzie Andrzeja Brodzińskiego), ale w znacznej części posiłkował się tragedyą francuską; z oryginalnych wystawił «Barbarę» Felińskiego, tragedye Wężyka, «Zbigniewa» i inne Niemcewicza, komedye Fredry i t. d. Przyczynił się też do podniesienia opery (Elsner i Kurpiński) oraz baletu. Na «obiadach czwartkowych» u jenerała Krasińskiego celował złośliwością, szydząc z młodocianych płodów romantyzmu; jemu to przypisują trawestacyę refrenu z II części «Dziadów» («Co to było! nic nie będzie, Głupio było, głupio będzie»). Był też Osiński duszą stowarzyszenia krytyków teatralnych, zwanego Towarzystwem Iksów, a ogniskującego się w okresie 1814 do 1819 roku w domu Mostowskich, chociaż, jako dyrektor teatru, w pracach ich nie brał bezpośredniego udziału. Od r. 1814 do 1824 wykładał język polski i literaturę w szkole dramatycznej przy teatrze, a od 21 kwietnia 1818 r. objął katedrę literatury porównawczej w uniwersytecie warszawskim i zajmował to stanowisko do końca r. 1830, a 12 marca tegoż roku został dziekanem wydziału nauk i sztuk pięknych, wreszcie referendarzem Rady Stanu i przeznaczonym do Wy-

działu wyznań i oświecenia publicznego. Tymczasem stosunki teatralne ułożyły się w następujący sposób: udzielane teatrowi przez rząd subsydyum (zrazu 36.000 złp., potem 72.000) nie pokrywało niedoboru; tak więc w dn. 12 czerwca 1827 r. rząd wziął na siebie administracyę, zakupiwszy od Osińskiego dekoracye, rekwizyty i garderobę i zostawiwszy go na stanowisku pierwszego dyrektora (do 16 grudnia r. 1833). Zmarł Osiński 27 listopada 1838 r., pochowany na Powązkach.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

a) Wydanie zbiorowe pism Osińskiego wyszło w Warszawie 1861—2 r. p. t. «Dzieła» w 4 tomach: tom I — przekłady Cyda, Horacyuszów, Cynny Kornela, Alzyry Woltera, Fenelona Cheniera, Gabryelli de Vergy Du Belloy, dalej: poezye oryginalne i tłómaczone i Wiersze ulotne; tom II, III i część IV: kurs literatury porównawczej; dopełniają IV tomu Mowy pochwalne i obrony sądowe, Krytyki i Sprawozdania Literackie (m. inn. o «Glińskim» Wężyka) oraz rozprawa o pisowni. Poza tem wyszły osobno nie zamieszczone w wydaniu 4 tomowem: «Zabawki wierszem» w 2 częściach (Warsz. 1799), «Andromeda, drama liryczne, w 1 akcie wierszem» (Warsz. 1808), «O pierwiastkowej dramatyce w Polsce» («Sybilla nadwiślańska» 1821), «Cierpienia i śmierć Czackiego» («Pam. warsz.» Bentkowskiego, 1816). O wierszach mówiliśmy powyżej.

b) W rękopismach w posiadaniu rodziny pozostały libretta do oper: »Szewc czyli żony przemienione», «Turek we Włoszech» (z muzyką Rossiniego), «Sroka złodziej» (z muzyką tegoż), «Dziadek», «Bulliego «Intryga w oknach», «Wieśniaczka dowcipna», «Janek i Stefanek»; tragedye Szekspira w przekładzie Ducisa «Król Lear», «Otello»; komedye: «Pan Wilhelm» oraz Pignault Lebrun: «Rywale samych siebie». W bibliotece teatrów warszawskich, zaniedbanej i chaotycznej, nie udało nam się nic z tych utworów odszukać.

c) O Osińskim pisali: Grabowski Tadeusz: «Ludwik Osiński i ówczesna krytyka literacka» (Kraków 1901), Wójcicki K. Wł.: «Ostatni klasyk» («Bibl. Warsz.» 1872, tom I i II i w osobnej odbitce); tenże: «Teatr warszawski za dyrekcyi Ludwika Osińskiego 1814—1820 («Bibl. Warsz.», 1885 II); Dmochowski Fr. Sal.: «Życie, dzieła i epoka L. Os.» (przedmowa do «Dzieł» Osińskiego, Warsz. 1861); Wójcicki K. Wł.: «Życiorysy znakomitych ludzi» (Warsz. 1851, t. II); Koźmian A. E.: życiorys w «Przeglądzie Poznańskim», XXIV i osobno (Poznań 1858); Plenkiewicz R.: «L. Osiński» (w «Albumie znakomitych Polaków i Polek w. XIX»), Chmielowski P.: «Dzieje krytyki literackiej w Polsce» (Warsz. 1902), wreszcie życiorysy w «Przyjacielu Ludu» (1838, V), w «Czasie» (1853 Nr. 68), w «Świecie liter. hist. etc.» (Warsz. 1861).

A) Oda na cześć Kopernika (1808).

(Dzieła, tom I, str. 403—407).

I.

146) Najwyższy zakres śmiertelnika chwały,
Wydarte niebu tajniki stworzenia;
Olimpu godne przedsiębiorę pienia:
Ty, Uranijo, wspieraj lot zbyt śmiały,
Niestała ludzi znana mi potęga,
Ani się nad jej wielkością zdumiewam,
Wyższych myśl moja obrazów dosięga:
Świat mym zawodem, — Kopernika śpiewam.

II.

Po jego śladach, wolen ziemskiej trwogi,
Odwiedzam ciał niebieskich nieomylne drogi,
Mierzę wielkość natury; w przestrzeni wiszące,
Ręką Stwórcy rzucone, śledzę brył tysiące,
Jak się unoszą, toczą, przyciągają, krążą
I do jednego celu zgodnym biegiem dążą.
Tam wreszcie dojdę, gdzie potężne Bóstwo,
Wszystko na swojej utrzymując straży,
Niezliczone światów mnóstwo
Na łonie wszechmocności piastuje i waży.

III.

Zuchwałe ludzi i znikome plemię,
Proch, dumą wzniesion, chciał władać na niebie;
Za cel natury poczytał swą ziemię
I resztę światów przeznaczył dla siebie.
O, jakże mylne śmiertelników sądy!
Dzikie marzenia wiek do wieków składał;
Człowiek tam niknął i mędrzec upadał,
Kędy się Boskie zaczynają rządy.
«Próżnoż się mamy na ten zamiar silić?
Wszakże, o Boże! Twa wielkość prawdziwa
W ogromie niebios przebywa.
Pozwól tę świętą zasłonę uchylić!
Godniśmy cudów twoich: ta istota drobna,
Kiedy w niej duch twój działa, tobie jest podobna!...»
Tak mówił człowiek, nie mając nadziei
Poznać, co przed nim noc zazdrosna kryła,
Aż w długiej czasów kolei
Powstał Kopernik... ciemność ustąpiła.

IV.

Jak słowo Wszechmocnego, życia, śmierci źródło,
Dzieląc zmięszane żywiołów zarody,
Z łona zamętu cały świat wywiodło,
Wielkie dzieło porządku, jedności i zgody:
Tak, stuwiekowej nocy rozpędzając cienie,
Kopernik iskrę niebieską rozniecił;
Odróżnił Boską prawdę i złudzenie,
Zwyciężył przepaść i ziemię oświecił.

V.

Noc była; księżyc toczył swój wóz złoty;
Człowiek w śnie lubym z troski się wyzuwał;
Spoczynkiem tchnęły ziemiańskie istoty:
Bliższy niebianów sam Kopernik czuwał.
Uciszone Baltyku przyjęły go brzegi;
Tam zważał układ świata, mierzył planet biegi;
Nigdy go tak nie zajął ten widok wspaniały,
Zdało się, że ogląda miejsca swojej chwały.
Jaka myśl, jakie czucie w Kopernika duszy!
Jeden przelot rozumu błędy wieków kruszy.
O, nagła zmiano! czy moc przyrodzenia
Cuda mu swoje objawia?...
Czy się porządek niebios na nowo odmienia?
Czy to człowiek zgaduje, czy sam Bóg przemawia?
Światłem jaśnieje szyk wiecznej budowy,
Czego nikt nie mógł dociec, staje się widomem;
Już to świat jego, świat nowy,
Dziwniejszy swą prostotą, niżeli ogromem.
Z nieskończoności, w jednem oka mgnieniu,
Powstaje jasna przyrodzenia postać;
Ach! powiedz, czcigodny cieniu,
Jak wielka chwała drugim twórcą zostać!
Zdumiony Bóstwa obrazem,
Kiedy twój umysł stworzenia docieka,
Objaw to czucie, kiedyś ujrzał razem,
Tryumf natury, prawdy i człowieka!

VI.

Na cóż się ludzki dowcip nie ośmieli?
Nad przyrodzenie wyższa sztuki władza,
Skraca rozległość, która światy dzieli;
Tu słońca żary do oka sprowadza,
Tu pył olbrzymią obdarza postawą,
Słabe doskonaląc zmysły.

Zda się, że jakąś czarodziejską sprawą
Postaci rzeczy już od nas zawisły.
Nie miał Kopernik tych ziemskich pomocy:
Geniusz cudzych sił nie potrzebuje,
Sam przez siebie rozjaśnia cienie czarnej nocy,
Opuszcza ziemię, w niebo ulatuje
I, wychodząc nad zmysłów ścieśnione granice,
Tam zdobywa nieznane świata tajemnice.

VII.

Jakbyś miał wyższość nad śmiertelnych rodem,
Tyś zaczął, tyś dokończył to dzieło ogromne.
Co kiedyś wieki wynajdą potomne,
To tylko myśli twojej stanie się dowodem.
Ciesz się, narodzie, ciesz, Polsko szczęśliwa!
Chwała wielkiego męża na Ojczyznę spływa.
Gdzie znajdziesz większe do chluby powody?
O twoją własność spór wiodły narody.

VIII.

Jako w zuchwałych Tatrach wicher nieużyty,
Silniejszy nad ich granity,
Codzień swą wściekłość wywiera
I gwałtownem natarciem zapory otwiera;
Każda chwila zniszczenia zostawuje znamię;
Rozdęta burza górne szczyty łamie,
Prze, walczy, roztrąca, ciska,
Z ciągłym łoskotem lecą skał urwiska:
Bystrzejszym pędem wiek za wiekiem płynie,
Rodzą się, chwilę żyją, nikną pokolenia;
Ziemia swą postać odmienia:
Ileż dzieł wielkich w pamięci ginie!
Lecz, Koperniku! twoja, nasza chwała
Czasy zwycięży, równie jak świat, trwała...
Dwieście wieków ubiegnie i tysiączne lata
Wyjdą po nich z wieczności niezgłębnego łona,
Nim leniwy biegun świata
Od ciebie wskazanego obrotu dokona;
Żyć będziesz, chwałą napełnisz ten przedział!
Oby w tym czasów szeregu,
Po tak cudownym twej rachuby biegu,
Polak jeszcze to sprawdzał, coś ty zapowiedział!

IX.

Wielkość zamiaru siły me obarcza;
Już wreszcie płochej odwagi nie starcza:

Ty, co w niezmiernym przestworze,
Przed nieskończonym niebios Majestatem,
Bezpieczny zwiedzasz te *[tak]* bezdenne morze,
Gdzie każda gwiazda punktem, a każdy punkt światem,
Dokończ, Śniadecki! gdzie twój duch przenika,
Czytaj tam imie twego poprzednika;
Wszakże ty byłeś zdolny nam wystawić,
Co mógł Bóg stworzyć, Kopernik objawić.

B) Wykład literatury porównawczej (1818 i nast.)

Kurs ten, wygłoszony w uniwersytecie warszawskim, składa się z następujących działów: epopeja (rozbiór «Iliady», «Odyssei», «Eneidy» ,«Farsalii» Lukana, «Luzyady» Kamoensa, «Jerozolimy Wyzwolonej» Tassa, «Raju Utraconego» Miltona, «Henryady» Woltera i «Wojny Chocimskiej» Krasickiego), poezya heroi-komiczna («Myszeida» i «Monachomachia» Krasickiego), poezya dramatyczna (dramat u Greków, Kornel, Lopez de Vega, Cervantes, Kalderon, Szekspir, Rassyn, Szyller, Alfieri, komedya u Greków: Arystofanes, Plaut i Terencyusz, Molier, komedya u Włochów i w Polsce do końca w. XVIII), poezya liryczna (ody i pieśni, poezya biblijna, Jan Kochanowski), poezya dydaktyczna («Ziemiaństwo» Wirgiliusza, «Przemiany» Owidyusza, «Ziemiaństwo» Delila), poezya pasterska, satyra, listy, bajki. Na powtórny kurs składa się wykład o stylu i jego przymiotach, o wymowie i jej rodzajach (naradna, sądowa, pochwalna), o wymowie kaznodziejskiej, o deklamacyi, o tłómaczeniach z obcych języków i inne. Korzystając przeważnie z «Liceum» La Harpe'a, poczęści z Sismondiego, Hugona Blaira i krytyków włoskich, Osiński nie wygłaszał tu skrajnie klasycznych przekonań, chociaż czcił entuzyastycznie literaturę antyczną i klasyczną francuską. Podany poniżej ułamek charakterystyki Szekspira przekonywa o tem wymownie.

Teatr angielski. Szekspir.

147) *Tom II, str. 336—372.* Jeżeli na spółczesną epokę teatru angielskiego zwrócimy uwagę, zastanowi nas na wstępie człowiek, obdarzony szczególnym geniuszem, który, mimo niedostatek wzorów, wśród otaczającej go dzikości, własną siłą zajaśniał i po dziś dzień od dwu przeszło wieków jest podziwieniem Anglii.

Sława hiszpańskiej sceny, z której Francya przed Kornelem niemało odnosiła korzyści, dzieli się dotąd, jakeśmy widzieli, między trzech celniejszych pisarzów, tak blizko nastę-

pujących po sobie, że ich za spółczesnych uważać należy. Nic do nich nie przydała praca późniejszych. Jedni bowiem, biorąc dobrą wiarą błędy za prawdę, stawali się coraz niedołężniejszymi pierwszych naśladowcami; drudzy znowu, bez daru tworzenia, bez talentu i geniuszu, w płonnem zachowaniu form i prawideł całej zalety szukali. Piękna literatura nie czyniła tam równego z czasem postępu, i chwały kastyllańskiej w jej starożytności szukać potrzeba. Lecz Anglia inną postać wystawia. Ma ona dziś w każdym rodzaju literatury tak znakomite płody, że je słusznie między wzorowymi liczyć przystoi. Cokolwiek starożytność przekazała nam doskonałego, czem się sprawiedliwie szczycić mogą obce narody, wszystko to już angielscy pisarze na własną ziemię przenieśli. Dobry smak i najzdrowsza krytyka przemawia zwycięskim głosem w pismach rymotwórcy Popa, który nie tylko powtarza dawne Horacego prawa, ale je własnymi przykładami utwierdza. Sztuki nadobne nie ustępują tam wygórowaniu nauk dokładnych. Czemuż przecie teatr angielski nie poszedł za tem ogólnem światła i smaku dążeniem? czemu, zawsze sobie podobny, nie różni się od swoich początków? czemu nareszcie po dwuch wiekach doświadczenia, przy znianie życia i obyczajów, przy takim wzroście oświaty, Szekspir dotąd na scenie swego narodu panuje? Właśnie dla powyższych względów pytanie to nie jest trudnem do rozwiązania. Autor angielski musi mieć wielkie i niezaprzeczone przymioty, bez których niepodobna byłoby tak trwale pierwszeństwa zatrzymać.

«W ocenieniu zasług wielkich ludzi w dziejach nauk i smaku, z wielką bacznością, mówi Fontenelle, odróżniać należy wartość dzieł od wartości pisarzów. Mierny talent może niekiedy kształtne dzieło, wolne od zarzutu, utworzyć i nawzajem, w płodach nie dość foremnych, nie dość poprawnych, gdzie krytyka wiele do spostrzeżenia znajduje, mogą być wyryte ślady wyższego umysłu, twórczej władzy, która nie przestanie nigdy trwałego wzbudzać uszanowania. Każdy wiek ma właściwy sobie kres oświecenia, do któregośmy winni sądy nasze o dziełach ludzkich odnosić. Mierne talenta pozostają niżej tego stopnia, dobre dosięgają go, wyborne przewyższają. Człowiek z prawdziwym talentem wznosi się do stopnia oświecenia swo-

jego wieku, wychowanie i nauka nie dozwala mu być niższym od wzorów, jakie zastaje. Jest to powinność, nie jest jeszcze zasługa. Ale człowiek z geniuszem idzie dalej, nie zatrzymuje się u kresu wiadomości społecznych, przechodzi za obręb pomocy, z których korzystał, wydziera się nad sferę powszechną i wtenczas staje się wynalazcą, twórcą, zaszczytem wieku, nauczycielem potomnych. Ta chluba własnością jest małej liczby głów uprzywilejowanych i nie utraca się wtenczas nawet, kiedy od następców przewyższoną będzie».

Cokolwiek nam historya o Szekspirze podaje, dowodzi zgodnie, że, nie oswojony z poezyą Greków i Rzymian, nie znający obcej literatury (bo ta w zawodzie jego mało mu pomocną być mogła), tem mniej publicznym swego narodu kierowany smakiem (bo Anglia przed Szekspirem nie miała widowisk, któreby na to imie zasługiwały), od drzwi teatru, od posługi widzów przeniósł się na scenę i, nie jak mierny aktor, ale jak wielki pisarz, stał się nie tylko ludu, ale dworu i najpierwszych w kraju społeczeństw podziwem i chlubą. Wiadomo słuchaczom moim, do jakiego stopnia wzrosło uwielbienie i chwała Szekspira. Sławiony za życia, nie doznał zawiści współpiszących; po zgonie policzonym był do narodowych zaszczytów. Od niego się poczyna teatr angielski, żaden z późniejszych dramatycznych pisarzów nic sławie jego nie ujął; a co dziwniejsza, w najświetniejszym wzroście literatury, kiedy się nawet poprawniejsze wzory zjawiły, żaden z poetów, żaden z krytyków nie zdołał w Anglii sądu o Szekspirze, nawet o samej sztuce odmienić.

Nie mógł sobie tej chwały przywłaszczyć spółczesny jego Ben Jonsohn, autor Katyliny i Sejana, chociaż znał Greków i nad układem dzieł swoich długie lata pracował. Poprawność, kiedy się łączy z słabością, często usypia; przeciwnie, dzielne, lecz uderzające piękności natury silnie zajmują umysły i serca nasze. Dla tej pewnie przyczyny Anglicy mogą czytać Jonsohna, lecz na scenie swojej chcą widzieć Szekspira. Musiały im później ustąpić miejsca celniejsze dzieła Otwaja, który chciał wprawdzie zachować podobną Szekspirowi nierówność, lecz wysokości jego dosięgnąć nie umiał. Sam na ostatek Adisson, którego tragedya Katon tak blizko przystępuje

do utworów ateńskiej i francuskiej sceny, daremnie w sądzie spółrodaków swoich usiłował mierzyć się z autorem Hamleta. Niepoprawne bowiem wzory dzieła, w których krytyka wiele błędów odkrywa, długo trwać mogą, jeżeli je zdobi wielka liczba nadzwyczajnych zalet. Od tego czucia jeden tylko krok niebaczny uczynić potrzeba, aby w zapale podziwienia dzikość nawet za geniusz poczytać i uznać wszystko doskonałem tam, gdzie jest wiele doskonałości.

Geniusz, zdobiący ojczyznę, godzien jest zawsze miłości ziomków; wolno go obronić przeciw pociskom zawiści, wolno do imienia jego przywiązywać uczczenie; przesadzony nawet zapał w tej mierze łatwo z tak szlachetnej pobudki usprawiedliwić się daje. Lecz dla jawnego wygórowania w częściach wszystko bez różnicy uwielbiać lub dla wielu błędów wszystko potępiać zda mi się równą z obojej strony niesłusznością. Byłoby to wyrzec się lekkomyślnie wszelkiej korzyści, jaką smak, uwaga, rozsądek z dzieł geniuszu może odnosić, albo też smak, uwagę i rozsądek od uczestnictwa sztuk pięknych niebacznie wyłączać.

Nie tak zapewne sądzą słuchacze moi, ani ja pójdę za przykładem sędziów, co, kłócąc się o formy, zapominają o rzeczy i wadze dowodów. Szekspir, w zdaniu waszem, należeć będzie do rzędu tych ludzi, których geniusz nie daje się zaćmić ani zasługami wychowania, ani dzikością wieku swojego. Głęboki przyrodzenia badacz, jeżeli nie zgaduje odrazu wszystkich tajemnic sztuki, przynajmniej w dziełach swoich ten ślad pozostawia, że, gdyby był znał sztukę, doskonałość byłaby niewątpliwym jego udziałem. Zachwyca w nim twórczy pomysł, mocne czucie, śmiały wyraz i ten trafny sąd, który go zwykle i jakby pomimowolnie wiedzie na drogę talentu.

Niema w dziełach jego tragedyi, w którejby najlżejsza uwaga nie znalazła dziwactw i niewłaściwości; lecz nawzajem w każdej jego sztuce łatwo w oczy wpadają takie zalety, które najsurowszy sędzia smaku przyznałby chętnie za ozdoby najpiękniejszych płodów. Jeżeli z tego wzoru, mylnie rozważanego, wypłynęła niezmiernie liczba niekształtnych płodów dramatycznych w Niemczech, nim Szyller i bieglejsi pisarze wątpliwemu smakowi pewniejszy dali kierunek, widzimy wszelako,

że za naszych już czasów najtrudniejsza w wyborze, powiem nawet, najwymyślniejsza w warunkach scena francuska przyprzyswoiła sobie Hamleta, Julią i Romeo, Otella, Leara, Machbeta. Śpieszą na te widowiska mieszkańcy Aten dzisiejszych; Szekspir podziela chwałę z Kornelem, Rassynem i Wolterem. Lud, któremu światła i smaku zaprzeczać nie można, bez wstrętu poznaje nową drogę, nowe obrazy, nowe pomysły. Talent wreszcie najdoskonalszego z aktorów scenicznych niemniejszy w tych dziełach znalazł żywioł dla swoich nieporównanych zdolności. Co wszystko dowodzi, że sztuka Szekspira nie zawsze być może, jak niektórzy mniemają, szkołą potworów i dziwactw, bylebyśmy umieli prawdę od fałszu, pozór od istoty różróżnić.

Poeta, o którym mówię, uważany w tym sposobie, będzie zawsze wielkim pisarzem. Bo któż lepiej od niego znał serce człowieka? Kto się dalej w skrytości jego zagłębił? Kto z większą prawdą przyrodzenie naśladował? Tyle różnych charakterów, tyle postaci, tyle odmiennych cieniów jednejże namiętności, bądź z dziejów i natury, bądź z zamożnej wyobraźni powziętych, nie przestaną świadczyć, ile Szekspir znajdował w duszy i pojęciu swojem rzeczywistych bogactw. Nic on nie winien narodowi, bo w nim żadnych wzorów nie zastał; naród jemu wiele. Wspomnieć tu także potrzeba, że, oprócz trzech osnów, powziętych z historyi rzymskiej: Koryolana, Juliusza Cezara, Antoniusza i Kleopatry; oprócz kilku dramatów, obce zdarzenia za treść mających, pisarz angielski największą część życia poświęcił dziejom swojej ojczyzny. Od Ryszarda II do Henryka VIII w nieprzerwanym prawie związku wywiódł na scenę różne losów narodowych przemiany, zbrodnie i cnoty, zalety i błędy, w których Anglia bądź chlubę swoją poznawać, bądź użyteczną czerpać mogła naukę. Jak na Elizejskich polach Wirgilego, tak w teatrze Szekspira potomkowie znakomitego rodu widzieli przodków swoich obrazy. Nie dziw przeto, raz jeszcze powiem, że do poety-dziejopisa tak mocno się przywiązała miłość rodaków.

O żadnym rymotwórcy tyle nie pisano, jak o Szekspirze. Spory niezgodnych sędziów w różnych narodach i epokach przechodziły niekiedy za miarę słuszności.

Płody jego dramatyczne dzielić można na trzy rzędy główniejsze: na komedye, które ściśle nie różnią się od jego tragedyi, ilekroć tego nie wymagają osoby, często z historyi królów i książąt przenoszone na scenę. Szekspir nie zawsze oddziela dwa główne rodzaje widowisk, jak to później obaczymy w przykładach.

Do drugiego rzędu należą narodowe jego tragedye. Są to dzieje królów, w ciągłej kolei następujące po sobie. Na czem się pierwsze dzieło skończyło, od tego drugie osnowę swoją poczyna. Kilkogodzinne widowisko wyobraża często całe panowanie. Więcej tu rymotwórca polega na prawdzie podań, niż się oddaje własnemu wynalezieniu. Wielkie i prawdziwe obrazy, niekiedy z wyższym talentem oddane, muszą się podobać narodowi, który nie już czyta, ale widzi wystawioną na scenie tę epopeję, sto lat blizko trwającą, a w dziesięciu osobnych dramatach zawartą.

Trzeci rodzaj składają właściwsze płody angielskiego pisarza: Koryolan, Juliusz Cezar, Antoniusz i Kleopatra z dziejów rzymskich; Otello i Julia z nowoczesnych powieści, Lear, Hamlet i Machbet, na historyi wprawdzie oparte, lecz razem z własnego pomysłu rymotwórcy czerpane.

Gdybym chciał przytaczać celniejsze z dzieł Szekspira wyjątki, w których mocne czucie, świetna wymowa i trafne obrazy jaśnieją; gdybym naprzykład powtarzał kłótnię Brutusa i Kassyusza z czwartego aktu Cezara lub tak słusznie uwielbiany monolog Hamleta albo przerażające sceny Otella, Leara: nie trudnoby mi było utrzymać słuchaczów w ciągłem dla tego pisarza podziwieniu. I przeciwnie, obfitej tenże sam rymotwórca dostarczyłby osnowy do wskazania, jak często prawdziwy geniusz błądzi i upada, kiedy go nie strzeże przewodnia smaku i krytyki. Z obojej strony obszernie o Szekspirze mówiono, a kiedy jedni wszystko w nim dobre upatrywali, drudzy, samą nadzwyczajnością zrażeni, łatwo mogli i pięknościom nawet ubliżać. Tak Wolter we Francyi, czyli Juliusza Cezara wykładał, czyli styl i wyrazy Otella na język francuski przenosił, skłonny do złośliwości, wyśmiewał angielskiego poetę, nie pomnąc, że pisarz, tyle w narodzie swoim ceniony, nie mógł tej sławy bez wielkich zasług dostąpić. Cząstkowe przytoczenia

nie są dostatecznym obrazem wartości autora. W Szekspirze dziwić się trzeba wielkim pomysłom, które bez pomocy sztuki tak są wydatne, że ich ani postęp sztuki, ani siła talentu przewyższyć i zatrzeć nie zdoła. Chwały pisarza szukać należy w najlepszych jego utworach: do rzędu takich Bler policza dwa jego dzieła dramatyczne: Otella i Machbeta, chętnie temu ostatniemu dając pierwszeństwo z przyczyny nie tylko samego przedmiotu, ile z układu i wykonania.

Opracował H. GALLE.

XXI.

KOŹMIAN KAJETAN

(1771—1856).

Ojcem Kajetana był Andrzej Alojzy Koźmian, herbu Nałęcz wychowaniec szkół pijarskich, konfederat barski, obrońca prawny, znany i szanowany powszechnie w województwie lubelskiem, gdzie było gniazdo jego rodzinne, miecznik lubelski; matką — Anna z Kiełczewskich, córka chorążego Jerzego Kiełczewskiego, właściciela Kiełczewic dolnych nad Bystrzycą. W roku 1784 szlachta lubelska obrała Andrzeja Koźmiana deputatem do trybunału, rozpędziwszy zbrojną ręką przeciwną partyę Kazimierza Nestora Sapiehy, który, choć przedtem sam proponował Koźmianowi tę godność, w inną stronę potem zwrócił swe fawory, a król, rad z wyboru i upokorzenia Sapiehowego, mianował go deputackim podsędkiem, później sędzią ziemskim lubelskim. W roku 1790 Andrzej został obrany jednogłośnie prezesem sądu. Jedno z pięciorga rodzeństwa, Kajetan przyszedł na świat w Piotrowicach w Lubelskiem, wsi, nabytej przez jego ojca od krewnych żony, 31 grudnia 1771 roku. Wychowanie domowe nie było dość staranne, ale za to niezwykle bogobojne: ulubioną zabawą «Kajtusia» i jego braci było przebieranie się w szaty duchowne, odprawianie nabożeństwa, i t. p. W piątym roku życia zaczęła się nauka systematyczna w domu, pod kierunkiem przyjętych dyrektorów: Jakowieckiego i Jurkowskiego, a w roku 1780 Kajetan wraz z dwoma braćmi, Wincentym i Józefem, został oddany do szkół lubelskich, skąd niebawem, już po roku ojciec przeniósł ich do Zamościa, obawiając się nie dość religijnego wychowania pod kierunkiem nauczycieli świeckich w Lublinie. W trzy lata później znowu chłopcy dostali się do Lublina, kiedy rząd austryacki wprowadził język niemiecki do szkół zamojskich; tu Kajetan ukończył wykształcenie średnie pod kierunkiem takich profesorów, jak Jacek Przybylski, matematyk Józef Czech, profesor poezyi i wymowy, Józef Girtler, który zwrócił uwagę na zdolności Kajetana. Po ukoń-

czeniu szkół mieli dwaj starsi synowie być posłani do akademii krakowskiej, ale zaniechano tego zamiaru znowu w obawie «ducha irreligii». Musiał więc Kajetan, wbrew upodobaniom, poświęcić się palestrze i pracować w charakterze dependenta u mecenasa Józefa Podhorodeńskiego. Nudy narzuconego zawodu osładzały stosunki z Ludwikiem Osińskim i Alojzym Felińskim. Tak przeszło 4 lata. Kiedy zaś w roku 1792 w Lublinie ukazały się wojska rosyjskie, Andrzej Koźmian wraz z synami przeniósł się z Lublina do Bychawy, do domu swego przyjaciela, nad samą granicą. W czasie powstania Kościuszkowskiego Kajetan pragnął wstąpić do szeregu walczących, lecz wezwano go właśnie na sekretarza zawiązanej wówczas komisyi porządkowej, co odciągnęło go od pola walki. W czasie trzeciego rozbioru Polski ojciec wypuścił Kajetanowi w dzierżawę dwie wsi, a niebawem zmarł nagle, dnia 6 sierpnia 1795 r., tknięty atakiem apoplektycznym. Przy podziale majątku otrzymał Bystrzycę i Piotrowice, w których zamieszkał, bawiąc się myśliwstwem i pisaniem wierszy, najwcześniejszych w swym zawodzie literackim. Do lepszych należy: «Modlitwa o pokój» z r. 1800, przekłady z Horacyusza i Tybulla, z *L' homme des champs* Delilla, wreszcie pierwsza oda napoleońska: «Oda na wojnę w roku 1800, ukończoną batalią pod Marengo». Po ożenieniu się z Anną Mossakowską (w roku 1802), spokojny i szczęśliwy, tworzył pierwsze zarysy «Ziemiaństwa». W roku 1806 zmarła mu ukochana małżonka, osieracając dwoje dzieci: Anielę i Andrzeja; w dwa lata poszła za matką i córeczka, pogrążając nieszczęśliwego wdowca w większej jeszcze boleści. Małym Andrzejem zaopiekowała się serdecznie siostra nieboszczki, Maryanna Mossakowska, zastępując sierocie matkę. Obudziło to tak żywą wdzięczność w Kajetanie, że poprosił ją o jej rękę. Dla uzyskania dyspensy na to małżeństwo z rozsądku, Kajetan powrócił z Wołynia, gdzie bawił w domu u teściów, w Lubelskie, gdy Galicya przeżywała chwilę przełomową, na wiosnę roku 1809. Wtedy właśnie, w lipcu, powstała jedna z najświetniejszych z cyklu jego ód napoleońskich: «Na zawieszenie orłów francuskich w Lublinie», która szeroko rozniosła imię autora. Ody te idą nieprzerwanym szeregiem aż do roku 1812, a dzięki nim Koźmian staje się znanym i popularnym pisarzem; jednocześnie pracuje i w urzędzie, zrazu jako wiceprezes komisyi departamentowej lubelskiej, później na szerszej widowni, w Warszawie, jako referendarz w Radzie stanu Księstwa Warszawskiego, której prezesem był Stanisław Potocki. Tutaj wszedł w ścisłe stosunki przyjacielskie z Marcinem Badenim, Woroniczem i Staszicem, chociaż nie podzielał wszystkich poglądów autora «Rodu ludzkiego»; bywał też u wojewody Zamoyskiego, gdzie spotykał się ze znakomitymi poetami ówczesnymi, jak Niemcewicz, Wężyk, Osiński. Dnia 6 stycznia 1811 r. został zaproszony na członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Prócz ód napoleońskich w owym czasie powstał wiersz satyryczno-dydaktyczny na ówczesne obyczaje polskie p. t. «Mowa Katona cenzora, miana w senacie o obyczajach

rzymskich» (1811), oraz kilka artykułów prozą. Kiedy w roku 1812 zawiązano konfederacyę generalną pod laską księcia Adama Czartoryskiego, Koźmiana powołano na jej sekretarza; jest więc autorem szeregu uniwersałów i odezw do narodu, w imieniu konfederacyi pisanych; wówczas też powstała oda «Na pożar Moskwy», najpłomieniejsza z liryk Koźmiana. Kiedy nadeszła wieść o rozproszeniu Wielkiej armii, rada konfederacyi rozpierzchła się: Koźmian ze Staszicem wyjechali do Bejsc, posiadłości Marcina Badeniego, stamtąd zaś, na wezwanie St. Zamoyskiego, pośpieszyli do Krakowa, gdzie między innemi powstał znakomity wiersz: «Do tańcującego Krakowa». Po rozwiązaniu Rady Koźmian mieszkał czas jakiś w Dzikowie u Feliksa hr. Tarnowskiego, później zaś powrócił do Piotrowic, zajął się gospodarstwem, a «Odą na upadek dumnego» zakończył około roku 1814 cykl liryk napoleońskich; dla Tow. Przyj. Nauk napisał w tym czasie «Raport o śpiewach historycznych Niemcewicza». Wówczas też nastąpił przełom w poglądach i sympatyach politycznych Koźmiana: wczorajszy entuzyastyczny chwalca Napoleona, stał się wiernym wielbicielem Aleksandra I, którego widział w czasie bytności jego w Puławach we wrześniu 1814 r. Wejście Koźmiana na nową drogę karyery urzędniczej było już tylko kwestyą czasu: odrzucił wprawdzie w marcu 1815 roku proponowaną mu przez ks. Czartoryskiego godność rektora akademii krakowskiej, nie czując się zdolnym do tak wysokiego powołania, ale już w czerwcu przyjął miejsce referendarza w wydziale oświecenia, znowu pod przewodnictwem Stanisława Potockiego; wybrał z Wirgiliusza i Horacego napisy na bramę tryumfalną, wystawioną na przybycie cesarza do Warszawy, za co też prawdopodobnie otrzymał order św. Stanisława II klasy. Odtąd idzie już równą drogą zaszczytów i godności: chociaż bowiem w 1817 podaje się do dymisyi w skutek nieporozumień z Zajączkiem, ale już w styczniu 1818 roku zostaje powołany na stanowisko nadzwyczajnego Radcy Stanu z prawem głosowania na posiedzeniach Rady; w roku 1821 zostaje zwyczajnym Radcą Stanu i dyrektorem jeneralnym w komisyi spraw wewnętrznych i policyi, oraz we wrześniu tegoż roku — członkiem komisyi emerytalnej. Od 5 października 1826 do maja 1827 zastępuje ministra spraw wewnętrznych Mostowskiego, a 24 maja 1829 roku z rąk Mikołaja I otrzymuje nominacyę na senatora kasztelana Królestwa Polskiego. Ale w ślad za temi odznaczeniami nie idzie wzrost popularności: przeciwnie, już od r. 1821 zaczyna rosnąć niechęć ku Koźmianowi, zwłaszcza wśród młodych, z pośród których niebawem mieli wyjść belwederczycy: Koźmian, konserwatysta z przekonań i upodobań, widzący jedyny rozum stanu w zachowaniu istniejącego porządku rzeczy, za warcholstwo poczytujący każde poczynanie wywrotowe, powoli zaczął tworzyć dokoła siebie pustkę, dzieląc zaledwie z kilku przyjaciółmi czas wolny od urzędowania i pióra. Niechęć młodych wzmogła się jeszcze wobec stanowiska, jakie zajął Koźmian w słynnym sporze klasyków z romantykami. Uczeń Horacego i Boileau, był on najzawziętszym,

najnamiętniejszym wrogiem nowego kierunku, twierdząc, iż «rozwolnienie przepisów, a tem bardziej odstąpienie od nich tem jest szkodliwsze i niebezpieczniejsze, iż obłąkuje młode umysły; poparcie i skłonność do naśladowania znajduje w niedołężności teraźniejszych pisarzów i wstręcie do trudnej pracy». Sądy Koźmiana, znane nam tylko z prywatnej korespondencyi i drukiem nie ujawnione, rażą krańcowością i brakiem umiarkowania; wszystkie utwory Mickiewicza, od ballad do «Konrada Wallenroda», miały w nim nie już surowego sędziego, ale niemiłosiernego szydercę. Czytając te zjadliwe listy, otrzymujemy wrażenie, że tu kryje się na dnie coś więcej ponad różnice poglądów literackich, czuje się zawiść człowieka, który przewiduje, że ktoś inny, młody, odmienny zgoła, przyjdzie wydrzeć mu palmę pierwszeństwa w literaturze, czuje się, że tu walczy nie tylko klasycyzm z romantyzmem, ale też i konserwatyzm polityczny z rewolucyonizmem, ideały «Ody na upadek dumnego» z hasłami «Ody do młodości». Namiętność zaślepiała Koźmiana: nie umiał czy nie chciał uznać literackich nawet zalet romantyzmu, jak to uczynili Niemcewicz, Morawski, Wężyk, i nie mógł darować swym przyjaciołom i towarzyszom «Czwartkowych obiadów» u generała Wincentego Krasińskiego najoględniejszego nawet słówka obrony «szalonej gawiedzi». Tymczasem nadeszła rewolucya 1830 r., którą uważa za «szalone» przedsięwzięcie; przepaść pomiędzy senatorem-poetą a społeczeństwem pogłębia się bardziej jeszcze. Jeden fakt wymowny świadczy o tem: kiedy na posiedzeniu sejmowem odczytywano imiona poszczególnych senatorów, przy nazwisku Koźmiana kilka głosów zawołało: «On tu być nie powinien». Głęboko dotknięty, podpisawszy jednak wraz z innymi akt detronizacyi, poeta wziął urlop w lutym 1831 r. i wyjechał do Kalisza dla uporządkowania spraw majątkowych po zmarłym bracie, biskupie Józefie Koźmianie; do Warszawy przyjechał na kilka dni zaledwie dla pogodzenia Krukowieckiego ze Skrzyneckim, poczem znów udał się do Kalisza. Kiedy po raz wtóry zawitał do stolicy, było to już po bitwie pod Ostrołęką. Doczekał się rzezi 15 sierpnia, szturmu i wejścia wojsk nieprzyjacielskich do Warszawy, przyczem, uzyskawszy paszport, wyjechał do Piotrowic, kończąc na zawsze swój zawód publiczny. Plon literacki z tego okresu (1815—1830) jest bardzo szczupły: prócz kilku wierszy lirycznych i historycznych (m. inn. słynny «List do Fr. Morawskiego... o klasykach i romantykach»), pochodzą z tego okresu jedynie mowy pogrzebowe nad trumnami: gen. Mokronowskiego, Marcina Badeniego, żywoty i «pochwały» St. Staszica, Kościuszki, Dąbrowskiego nie wolne od pewnego panegiryzmu. W tym też czasie zajął się wykończeniem rozpoczętego jeszcze w r. 1805 poematu opisowo-dydaktycznego, «Ziemiaństwo polskie», którym chciał zaćmić «Sonety krymskie» Mickiewicza na polu poezyi opisowej. Praca szła wolno, chociaż przyjaciele, którym autor odczytywał oddzielne ustępy, naglili go do pośpiechu, ufni, że, ledwie «Ziemiaństwo» ukaże się w druku, zblednie odrazu gwiazda autora «Grażyny». Poemat, ukoń-

czony podobno na wiosnę 1830 r., wyszedł dopiero w r. 1839 i zawiódł najzupełniej oczekiwania autora i jego współwyznawców: szala w wiekopomnym sporze klasyków i romantyków już była wtedy oddawna przechylona. Mimo to nie można poematowi Koźmiana, zrodzonemu pod auspicyami Horacego i Delila, odmówić wielu zalet literackich, zwłaszcza czystości i poprawności formy, której «gładzeniu» oddawał się poeta z drobiazgową sumiennością prawdziwego klasyka w dodatniem znaczeniu tego wyrazu. Po powrocie do Piotrowic oddał się pióru niepodzielnie i prócz drobniejszych utworów lirycznych («List do Fr. Morawskiego 1832», dwa listy poetyckie «Do Jędrzeja syna», «Do fałszywych Jeremiaszów» i t. d.), prócz pamiętników, pisał wielki poemat historyczny, «Stefan Czarnecki». Jak «Ziemiaństwo» miało być odpowiedzią na «Sonety Krymskie», tak «Czarnecki» jest antytezą «Wallenroda»: zbawia kraj nie zdradą, jak tamten, ale męstwem, patryotyzmem i poświęceniem. Sympatycznym epizodem w genezie «Czarnieckiego» jest serdeczna korespondencya osiwiałego poety z synem jego przyjaciela, Zygmuntem Krasińskim, który poddał starcowi myśl nadania bohaterowi cechy jasnowidzenia; z drugiej strony uczynienie Czarnieckiego w «Przedświcie» wyobrazicielem rycersko-chrześcijańskiej przeszłości zawdzięcza Krasiński Koźmianowi. Majątek oddał synowi, za granicę swej wioski nie wychylał się prawie zupełnie, z chłopami zachował stosunek patryarchalno-ojcowski, coraz smętniej patrzał na wyrastające dokoła niego mogiły krewnych, przyjaciół, kolegów. Wreszcie, w głębokiej starości, przeżywszy lat 75, umarł w Piotrowicach dnia 14 lutego 1856 roku.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

a) **Zbiorowego wydania** pism Kajetana Koźmiana nie posiadamy. Osobno za życia autora ukazały się prócz niektórych ód i mów (Mowa na pogrzebie Marcina Badeniego 1824, Stanisława Mokronowskiego 1821, o życiu i pismach J. Nagurczewskiego 1811), «Ziemiaństwo polskie» (Puławy 1830 tylko I i II pieśni; całość tegoż roku we Wrocławiu), a także «Rys życia Jana Feliksa hr. Tarnowskiego» (Lwów 1842); po śmierci autora ukazały się: «Stefan Czarniecki» (Poznań 1858), «Pamiętniki» w trzech oddziałach (Poznań 1859—1865), Żywot ks. Józefa Szczepana z Rzeczycy Koźmiana» (Poznań 1865), wreszcie dwa wydania zbiorowe: «Różne pisma prozą» (Kraków 1878 i 1885: życiorysy, pisma polityczne, literackie i t. d.), «Wiersze różne» (Kraków 1881).

b) **O Koźmianie** pisali: Wojciechowski K.: «Życie i dzieła Kajetana Koźmiana» (Kraków 1897); Siemieński Lucyan: «Obóz klasyków» («Pisma», t. V.); tenże: «Kajetan Koźmian» («Pisma», t. III); Krasiński Zygmunt: «Listy o poemacie Koźmiana Stefan Czarniecki» («Przegląd Poznański», 1859); Morawski Franciszek: «Żywot Kajetana Koźmiana» («Pisma», t. I); Chrzanowski

Ignacy: «Kajetan Koźmian» (w «Albumie znakomitych Polaków i Polek XIX w.» Tom I);» Tarnowski Stanisław: przedmowa do «Wierszy różnych»; Skrochowski J. «Korespondencya K. K. z Fr. Wężykiem («Przegląd Polski», 1875, II), «Rzut oka na poemat K. K. Stefan Czarnecki» («Przegląd Lwowski», 1875, t. X).

A) Oda na zawieszenie orłów francuskich w Lublinie. (1809).

Z wydania «Różne wiersze» (Kraków, 1881), str. 40 — 43.

148) Drżyjcie, ludy wiarołomne,
Drżyj, rodzie Ulissa nowy!
Gdzież są zastępy ogromne,
Co światu niosły okowy?
Zaledwie nikczemne zgraje
Nachodzą sąsiedzkie kraje,
Zabrzmiały ich krwawym zgonem
Brzegi Dunaju i Wisły:
Co za szalone zamysły
Chcieć walczyć z Napoleonem!

Zbyt trwożni działać otwarcie,
Jędze wam podały radę,
Na berła świata wydarcie
Przywołać nikczemną zdradę;
Na wasze chytre namowy
Kantabry podnoszą głowy,
Fanatyzm ich wiedzie krwawy,
Lecą z piekła wszystkie zbrodnie,
Miecze, sztylety, pochodnie
I hasło waszej wyprawy.

Ale, o próżne nadzieje!
Zaledwie krok stawia zdrada,
Już się płaszczą Pireneje,
Z błyskiem wasz pogromca spada,
Jak ów Jowisz, co na niebie
Nie zna władcy, tylko siebie;
Kiedy się gniewem zapali,
Za zwrotem jego źrenice
Huczą burze, nawałnice,
Ziemia jęczy, świat się wali.

Stoją rozwarte otchłanie,
Chylą się zawady tronu,

Krótkie dumy panowanie,
Pięć dni od groźby — do zgonu.
Podległość ludów zachwiana,
Dumny Wiedeń gnie kolana;
Otoczon jękiem i płaczem,
Patrząc na swych państw ostatek
Z gronem niedorosłych dziatek,
Mocarz Germanów — tułaczem.

Już tylko jedna zapora
Zwycięskie trzyma szeregi,
Bronić waszego Hektora
Nowy Ksanth porzuca brzegi,
Ale próżno boje wszczyna,
Szumi, wre, pieni się, wspina;
Ta sama moc niepojęta,
Przed którą świat drży w pokorze,
Dumną rzekę wpycha w łoże
I już cicho nosi pęta.

Rozpierzchłe z trwogi obozy
Cóż od zagłady ustrzeże?
Czeka was los Saragozy,
Okopy, warownie, wieże;
Patrzcie, lecą hufce chyże,
Błyszczą miecze, ryczą spiże,
Wszystko się w gruzy zamienia!
Chwała Ci, Największy z ludzi!
Jak Cię szczęście świata trudzi,
Już zbrodnia nie ma schronienia!

Lecz wy! których kraj naddziadów
Ledwie przemocy wydarty,
Już celem krwawych napadów,
Mężne dzieci nowej Sparty!
I wy! których rodu znamię
Żadna przemoc nie przełamie,
Chociaż granica przedziela,
Patrząc na łupieżców zgony,
Ciesz się, ludu uciśniony,
Już masz krzywd swoich mściciela.

Com rzekł! jak Bóstwo natchnieniem
Nieme ożywia żywioły,
Wsparci twem dzielnem ramieniem,
Świeże ucznie twojej szkoły,
Ledwie się ich ziemi tyka

Harda noga najezdnika,
Gromią pułki Laudona,
I zdziwionym nad tym czynem
Pokazali nad Raszynem,
Że nic mężnych nie pokona.

Oto są cuda zapału,
Którym dusza wodza płonie,
Wzięte szańce bez wystrzału
I braciom podane dłonie.
Zamość, do obrony śmiały,
Najeża działami wały;
Miota z paszczów grom po gromie,
Lecz wrą bębny, — tej godziny
Miecze, topory, drabiny,
I rodacy na wyłomie.

Patrzyłeś z grona niebianów
Na mścicieli twoich zwłoków,
Największy z polskich hetmanów!
Pogromco dumnych widoków!
Wkrótce ujrzą Jagiellony
Potomków i tron zemszczony,
Ludy zniszczoną niewolę;
A jeźli doświadczyć broni
Duma nieprzyjaciół skłoni,
Świat ujrzy nowe Psie Pole.

Wodzu! godny wiecznej sławy,
Postępuj za świetnym celem
I na równinach Morawy
Złącz się z naszym Zbawicielem.
A gdy wpośród mężnych szyków
Ujrzy naszych ochotników,
Okaż mu ich chlubne blizny;
Niech za krew, która się leje,
Uiści nasze nadzieje
Powrotem lubej Ojczyzny!

B) Do tańcującego Krakowa (1813).

(Tamże, str. 76).

149) Kiedy los, sprzysiężony na kraju ruinę,
Smutną przeznaczeń Polski dobija godzinę,
Gdy z ostatniego szczątka ojczystej uchrony
Wyparty mężny rodak w obce zmierza strony,

Gdy niemasz, ktoby nas mógł, ktoby chciał zasłonić,
Było komu kraj niszczyć, niema komu bronić.
Co za szczęśliwy powód do uczt i do tańców!
Skaczą żony i córki niebacznych mieszkańców,
Skaczą rycerze, skaczą pierwsi urzędnicy,
Skaczą w domach i ledwie już nie na ulicy.
Dają nam brawo obcy i każą grać dalej,
Zawsze tak Polak skakał, jak mu oni grali.
Od walca i kadryla zaczął się bal w kraju,
A kończy się kozakiem, jak było w zwyczaju,
I choć może niedługo potrwa skok ostatni,
Są tancerze do pierwszych, są do drugich zdatni.
Sama zalotna Egle, by kto był ochoczy,
Przecudnie po kadrylu kozaka wyskoczy.
O, dzięki ci, wyborne Polek wychowanie!
Polska ginie... Tańcujmy, póki czasu stanie,
Tańcujmy i nie myślmy, co nastąpi potem,
I skończmy godnie scenę płochych głów zawrotem.
Niemasz, płci piękna, żadnych do smutku powodów,
Taniec ma swoją wziętość u wszystkich narodów
I, czy Moskal, czy Niemiec tę ziemię posiędzie,
Zniszczy język i prawa, lecz walcować będzie;
Ja nie mogę nie westchnąć, że wśród Polek grona
Widzę dzieci skaczące, kiedy matka kona.

C) Oda na upadek dumnego w roku 1815.

(Tamże, str. 91—93).

150) Pierwsi w śmiertelników rzędzie,
Których pycha niebios sięga!
Czem jest — postrzeżcie się w błędzie, —
Wasza wielkość i potęga?
Jeźli zdany waszej pieczy,
Naród ludzki jej złorzeczy,
Słaba jej podpora w broni,
Bo jest, jest wyższy nad wami,
Co się nędznych wzrusza łzami
I pioruny trzyma w dłoni.

Trzyma gromy, a przed niemi
Drżą narodów burzyciele,
Pomsty Jego na tej ziemi
Dziś narzędzia, jutro cele.
Póki z nimi Jego ręka,

Świat im służy, gmin przyklęka,
Niech się cofnie, a w tej chwili
Czem są te ziemskie pół-bogi?
Padają, jak proch, pod nogi
Tym, co im wprzód czołem bili.

Widziałem, jak groźny światu,
W postrachu ludów i zgrozie,
W całej pysze majestatu
Na zwycięskim jechał wozie.
Słyszałem krzyk zbrojnych szyków,
Brzęk kajdan, jęk niewolników.
Padło na twarz ludzkie plemię,
Króle w pętach, ludy w trwodze
Wołali przed nim po drodze:
Bóg to, Bóg zstąpił na ziemię.

Bóg to, Bóg, głos mój powtarzał,
Bóg z wieczną władzą i chwałą.
Ach! kto mi ojczyznę stwarzał,
Jakież mu imię przystało!
Chociaż godne przebaczenia,
O! bluźniercze uniesienia,
Zagińcie z bezbożnym wiekiem!
Mógłżem tak Stwórcę poniżyć,
Chcąc ku niemu tego zbliżyć,
Co się nie znał być człowiekiem?

Nędzny proch, rodu niepomny,
W zapędzie dumy piekielnym,
Widząc u nóg świat ogromny,
Uwierzył się nieśmiertelnym.
Już mu się wszechwładztwo marzy,
Pragnie świątyń i ołtarzy,
Co chce, za niemylne trzyma.
Zaledwie go ten szał chwyta,
Już się świat zdumiony pyta,
Gdzież jest? Był i już go niema!

Runął, jak ów cedr wysoki,
Co wzrósł razem z przyrodzeniem,
Wierzchołkiem dzielił obłoki,
Piekieł dosięgał korzeniem.
Już się grzmot upadku szerzy,
A świat jeszcze w to nie wierzy.
Wstrząsły się lochy Erebu,
Więźnie Plutona struchlali,

Myśląc, czy się świat nie wali,
Z ciemnic wyjrzeli ku niebu.

Ten, który palca skinieniem
Lądy, morza, nieba stworzył,
Jednego żywiołu tchnieniem
Dumę świata upokorzył.
Dopiero jak ciemne chmury,
Wrzące na zgubę natury,
Snuły się hufce zastępów,
Już ci bez ruchu, bez rady
Padają, jak mdłe owady,
Na pastwę kruków i sępów.

Księgo, wiekami nie starta,
Jak srogie niesiesz wyroki!
Jedna twoja krwawa karta
Zalega, jak świat szeroki.
Niech słabość pociechę czyta,
Niech duma w wściekłości zgrzyta,
Brzmi przestrogą okrąg ziemny:
Bóg sam potężny, Bóg wieczny,
Los zdradliwy, niestateczny,
Człowiek poziomy, nikczemny.

D) List
Odpowiedź Franciszkowi Morawskiemu na jego list o klassykach i romantykach (1825).

(Tamże, str. 94—96).

151) Gdy równie słynny rymem, jak Marsowym szykiem,
Morawski mi powiada: nie chcę być klassykiem,
I woła na nieśmiałe Feba towarzysze:
Nie ucz się, lecz pisz, jak chcesz, a sam tak nie pisze;
Przypomnieć wiersz klassyka nadaje mi prawo:
«Nie rwijcie, chłopcy, kwiatków, bo wąż jest pod trawą».
Rady sprzeczne z wzorami wprowadzą was w sidła,
Lecz komu uciążliwe rozsądku prawidła,
Temu powiem: nie stłumiaj, coś otrzymał w darze,
Nie potrzebując wzorów, spal dawne pisarze,
Powierzaj się gorączce, nie radź przeszłych wieków,
Nie śmiej się z Rzymianami, nie płacz łzami Greków.
I ruszaj, Faetonie, albo nowy Febie,
Niechaj westchną nad tobą lub się śmieją z ciebie,

Kiedy żadnych u ciebie zalet nie stanowi
Znana myśl Horacemu albo Maronowi.
Głos godniejszy pochwały pochlebi twej dumie:
To to pisarz, co pisze, chociaż nic nie umie;
By nie kradł, nawet imion nie słyszał pisarzy,
Pisze, jak myśli — myśli, jak mu się zamarzy.
Mówisz: przed żadną z powag nie będę się korzył,
Bóg mnie wieszczem mych czasów, a nie małpą stworzył;
Pyszna sojko, własnemi pióry leć ku sławie,
Ja ci jednak niejedno wyrwę piórko pawie.
Masz przyczynę złorzeczyć niebacznym klassykom,
Że śpiewali pochwały Augustom, Ludwikom,
Z ich tworów wiele na świat spłynęło sromoty;
Łaskawszy rząd dla ludów, dla nauk wiek złoty.
Wielkiej zbrodni są winni, że, nie burząc tronów,
Chcieli kształcić Tytusów, gdy brakło Katonów;
Lecz wyznaj, czyś ich poznał, a przynajmniej czytał?
I co na to odpowiesz, gdybym się zapytał,
Czy podłego pochlebstwa wzory wydał z siebie
Wieszcz, co zrobił Katona prawodawcą w niebie,
Co tego, co Rzym sprzedał i pana mu nadał,
Pchnął w piekła wobec pana, co już Rzymem władał;
Czyż i temu podłości zarzucisz znamiona,
Co rzekł: wszystko podbite, prócz duszy Katona?
Spal więc dzieła, podobnej uległe przyganie;
Co Polsce po Horacym, gdy Szyller zostanie,
I naprzekór pierwszemu stargajmy przepisy,
Łączmy węże z ptakami, z jagnięty tygrysy;
Do końskiej szyi ludzką przypinajmy głowę,
Rybę z piękną kobietą spójmy na połowę,
A nad tymi cudami napełnioną kartą
Niechaj się gmin zadziwia z gębą wpółrozwartą.
U gminu są godniejsze dla wieszczów pamiątki,
Usiądźmy z lutnią w ręku między wiejskie prządki
I, własnym ich językiem nowe tworząc wzory,
Śpiewajmy: Wiedźmy, Strachy, Strzygi i Upiory;
Wszak już uczeń Krzemieńca w ukraińskim smaku
Nuci dyndającego wisielca na haku.
Wszak drugi, jego śladem budząc podziw w gminie,
Już nam w szczytnej balladzie śpiewa o pierzynie.
Z tak szczęśliwych początków wróżyć nie jest trudno,
Że zanucą o Kaśce, a choć Kaśka brudną,
Przedmiot gminny dostarczy rymów do osnowy.
Cóż stąd, że nieco trąci — ale narodowy...
Sam przeto przedmiot gminny godzien wieszczów śpiewu.
Niech więc nasze pasterki paszą trzodę z chlewu

Niech im pijany Maciek przygrywa na dudzie,
Po co smakiem salonów psuć prosty smak w ludzie?
Brodziński zgrzeszył, gwałcąc nowych wieszczów prawa,
Że krakowskiego Maćka przekształcił w Wiesława.
W naturze wszystko piękne, godne oka, ucha,
Równie piękny koń dzielny, jak błotna ropucha.
Niżej, niżej natura skryte wdzięki ściele,
Choć za jeden fijołek pokrzyw nazbyt wiele.
Młodzi, nie naśladujcie spleśniałych pisarzy,
Oni brali, co pachnie, wy bierzcie, co parzy.
Precz więc, Grecy z Parnasu, precz Rzymian prawidła,
Gdzie Helikon za piecem, a Muzy u bydła,
Każdy żebrak Homerem, a pastuch Hezyodem.
Witaj, wieku szczęśliwy do pychy powodem,
Ty nam obraz natury zdołasz wydać szczery,
Idź do jaskini łotrów, tam twe bohatery.
Śpiesz wystawiać na scenie rosnące nadzieje,
Wspaniałe rozbójniki, szlachetne złodzieje,
A gdy owoc twych darów rozmnoży się wszędzie,
Powtarzaj z mistrzem: co to będzie, co to będzie!
Przed takimi cudami któżby się nie korzył?
Lecz nie Bóg, ale dyabeł takich wieszczów stworzył!...

E) Ziemiaństwo polskie poema w czterech pieśniach (1839).

(Z pierwszego wydania).

Pieśń I.

«Poema» opisowe, przez kilkanaście lat troskliwie cyzelowane przez poetę, poczęte w duchu Horacego «Georgik« i «Ogrodów» Delille'a, miało być przeciwstawieniem «Sonetom» Mickiewicza i budziło wielkie nadzieje wśród klasyków, którym częściowo było odczytywane. Nadzieje te zawiodły: «Ziemiaństwo» ukazało się późno, bo dopiero w r. 1839 (wyszło we Wrocławiu) i nie sprawiło wcale wrażenia. Jest to obraz prac rolnika, z całym szeregiem rad i wskazówek agronomiczno-ogrodniczych. Poeta zaczyna od obrazu wieku złotego, kiedy nie było panów i niewolników, i od wezwania do ludzkości, by go natchnęła, oraz do Staszica, zacnego opiekuna ludu.

152) Nie powstał nigdy we mnie zamiar tak zuchwały,
Bym chciał sięgać po wieniec Wirgilego chwały:
Żaden mu z śmiertelników nie wyrównał w rymie,
I dla świata on śpiewał, kiedy śpiewał w Rzymie.
Szczęśliwy! rzewnej lutni tonami tkliwemi,

Od tryumfów na zagon wiódł zwycięzców ziemi
I, wskazując, co oręż spustoszył zbrodniczy,
Do niezroszonych łzami zachęcał zdobyczy,
Słuchał Rzym — bo, gdy berło wzniósł August łaskawy,
Serca cnót zapragnęły, a rola uprawy.
Wyjrzała z nizkiej chaty ogorzała praca,
I świat chętnie uwierzył, że złoty wiek wraca.

Były i na tej ziemi Saturnowe wieki!
Szumiały kłosem pola, złoto niosły rzeki,
Lipy miodem potniały, sad zdobił się kwiatem,
Płoniły się tyryjskim jabłonie szkarłatem.
Błądzące po dąbrowach, przy ciekącym zdroju,
Trzody na głos znajomy biegły do wydoju,
Igrały po pagórkach przypłodki dorodne.
Były i serca prawe, i wioski swobodne.
Pod skromną strzechą szczęsnej miernością prostoty,
Swoboda pracę, praca rozkrzewiała cnoty.
Ród kmiecia dawał króle, w nich wzór rządów błogich,
Bez napastnych celników, bez pobórców mnogich
Pług był dawcą dostatków, pług kraju puklerzem;
Rycerz oraczem, oracz stawał się rycerzem.
Wawrzynami okryte wracały do chaty
Pruć własną dłonią zagon mężne Cyncynaty;
Przy ucztach Kuryjuszów, w ubogiej lepiance,
Niosły hołd pokonanych narodów posłańce.
Wtedy wdzięczne Tyburu znaliśmy ustronie,
Gdzie pierwszy bluszcz zakwitnął na poety skronie.
Mieszkały Muzy w gajach, a wiejskimi tony
Flet pasterski po gajach głosił Polliony;
Lecz ukazał się zbytek, a z nim nieszczęść brzemię!
Skromnych ojców skażone wyparło się piemię;
Weszła chciwość i wieki żelazne przywiodła,
Oręż wziął znamię władzy, — pług niewoli godła.
Załamał ręce rolnik i, złorzecząc obu,
Próżno cienie Kaźmirza wywoływał z grobu;
Nikły skargi w powietrzu, a gwałt bez przeszkody
Żywiciela narodu wtrącił między trzody.
Jęknęła sprawiedliwość na tyle zakały,
Łzy litości na martwem licu skamieniały;
A odtąd, choć się lemiesz powierzchni dotyka,
Brzydzi się grunt zaklęty znojem niewolnika.
Hojne dłonie siewacza bujna rola zdradza,
Bo ziarno, łzą skropione, w oset się wyradza.

Ach! czas już, czas przejednać tak srogą niedolę,
Czas przebłagać zelżone zagrody i role,

Śnieżne cielce zaprzęgać do krzywych rydwanów,
Ścinać z łąk wonne kwiaty, złote kłosy z łanów,
Wieńczyć nimi rolnika uznojone skronie,
Oręż wrócić zbrojowni, pług stawić przy tronie,
Głosić skrzywdzonej pracy zwycięstwa i sławę.
Ludzkości! ty mię natchnij, twoję śpiewam sprawę;
A ty do powziętego przewodzisz zawodu,
Mędrcze! i rolniczego dobroczyńco rodu!
Pójdźmy do Hrubieszowa kwitnącej ustroni,
Ty z ustawą swobody, a ja z fletem w dłoni;
Obraz uszczęśliwionych pienia moje wzbudzi.
Kupiłeś niewolników, zostawiłeś ludzi.
Któryż z nich na twój widok czułą łzę utrzyma?
Nie miało dzieło wzoru, i słów wdzięczność nie ma.
Tobie matki z pogodną zajdą drogę twarzą
I sprawcę szczęścia drobnym niemowlętom wskażą
Nie zrażaj się, jeżeli padną na kolana,
Nie wstydzi ten hołd ojca, który wstydził pana;
Przyjmij go, a zwiedzając zagrody wieśniacze,
Spraw, aby moich pieśni słuchali oracze.

Przystępując do właściwej treści, zaczyna od opisu wiosny i robót w tej porze roku: więc orka i bronowanie, więc oczyszczanie roli z chwastów, sadzenie kartofli, użyźnianie roli — przyczem daje się wskazówki co do zaprowadzenia płodozmianu — więc siew, koszenie siana, tępienie szkodnego ptactwa i ochranianie pożytecznego, wreszcie żniwa i okrężne.

153) *Str. 40—43.* Ale już lato, upał wzmagając skwarliwy,
Ognistem złoci tchnieniem popłowiałe niwy;
Szepcą w krzakach koniki, przepiórka chrapliwa
Pod ważącym się kłosem daje hasło żniwa.
Dopiastowała ziemia czekanej nagrody;
Pośpieszaj za nią w pola, korzystaj z pogody,
Zbieraj hoże dziewice i krzepkich młodzieńców,
Gromadź orszak ochoczy z ranną zorzą żeńców!
Niechaj się miesza z gwarem licznej rzeszy głosów
Chrzęst krzywych sierpów, szelest spadających kłosów.
Ty sam zaprzęgaj woły, póki pora sprzyja;
Niechaj się wóz za wozem szybkim pędem mija;
Szparkim rzutem napełniaj snopami zapole;
To twoje, coś uchronił przed słotą w stodole.
A gdy radośne pieśni pod niebo się wzbiją,
I dłonie pracowite wieniec ci uwiją,
Gotuj ucztę! — Już śpiewa u wrót orszak cały
Przygany dla sąsiada, dla ciebie — pochwały.
Wyjdź przeciw, wezwij w progi, przyjm wieniec na czoło,

I z tą, która go niosła, zrób ochocze koło!
Ta lipa lub ten jesion, co przecina chmury,
Co pod nimi spoczywał może z Piastów który,
Staną im za przysionek z ozdobnymi stropy;
Miękkie trawniki nagiej nie obrażą stopy;
Za ognie, w alabastrach albo szkłach iskrzące,
Zabłysną na lazurach jasnych gwiazd tysiące;
A jakibądź niegodne wydadzą dźwięk strony,
Skoro na nich ojczyste odezwą sie tony,
Zadrgnie w żyłach krew młodzi, każdy poda dłonie
Towarzyszce, przy której żynał na zagonie.
Zaczną się szybkie skoki, zaczną koła zwrotne,
Przeplatane przez pieśni i rymy zalotne,
Jakimi się spierali pasterze Marona
Lub śpiewał w Czarnymlesie wieszcz śród kmieci grona.

Tak gdy ochota orszak unosi wesoły,
Zajmą ojce i matki rozstawione stoły;
Rozprawiać o przygodach będą dawnych czasów,
O wojnach pod Sobieskim, swobodzie za Sasów,
O nieplenności roku, wróżbach urodzaju,
Lub z westchnieniem wyliczać będą klęski kraju;
Bo tu do ust przechodzi, co się w sercu mieści,
Zmieszają się z smutnemi i miłe powieści
O dzieciach, rodzicielskim posłusznych naukom,
I uśmiechną się lica niewyrodnym wnukom.
Szczera życzliwość wejdzie w tajemną rozmowę,
Rając poczciwych zięciów, nadobne synowe.
Tworzą się lube związki, miłość do nich wzywa.
Prawa córo natury, prostoto szczęśliwa!
Ty z dziedzictwem twej matki powaby jej dzielisz,
Jej wdziękiem się zalecasz, uśmiechem weselisz
I niestarte ojczystych zwyczajów obrazy
Przekazujesz następcom bez odmian i skazy;
Nie zazdrość możnym gmachów ani miastom wrzawy:
Jakże drogo zmuszone kupują zabawy!
Chociaż przemyślna zbytku i przepychu sztuka
Dla przesyconych zmysłów nowych ponęt szuka,
Chociaż na ucztach szumią z gron kampańskich soki,
Żeglarz przesyła muszle z Adryjskiej zatoki:
Talija, dla ich uciech, zwabionego widza
Uczy serce niewinne wad, które wyszydza,
A pod pajęczą wdzięków uroczych zasłoną,
Drażni uśpione żądze Terpsychory grono;
Udane szczęście tęsknot z duszy nie wywoła,
Usta zwodzą uśmiechem, lecz nie kłamią czoła.

Nieprzekupna wesołość porzuca wezgłowie,
I tam rada przebywa, gdzie praca i zdrowie.

Jak pierwsza pieśń roli, tak druga poświęcona jest domowej zagrodzie. Ż początku więc mówi się o tym okresie pradziejów, kiedy nie było jeszcze zwierząt swojskich, potem o ich oswojeniu, dalej o bydle rogatem i jego odmianach i zaletach, owcach, psach owczarskich, o uprawie roślin pastewnych, stawianiu obór, kozach, wreszcie długi ustęp o koniu, jego hodowli i ujeżdżaniu, jego przymiotach i znaczeniu w historyi i kulturze, wreszcie podaje się myt grecki o stworzeniu konia przez Posejdona uderzeniem trójzębu o ziemię.

154) *Str. 71—74.* Ale czas już opuścić ród zwierząt spokojny,
Czas o tobie, rumaku, zrodzony do wojny,
Co się sam chętnie mieszasz w rycerskie zaciągi,
I dzielisz bohaterów sławę i posągi.
Czy skalistego Dniestru sine pijesz wody
I w dzikich stepach wiatry wyzywasz w zawody,
Czyli Natolskie źrebce na przeciwnym brzegu,
Do Stambulskich haremów chcesz prześcigać w biegu,
Bijesz nurty kopytem i w żądzy zapale
Przecinasz silną piersią odmęty i fale,
Albo za głosem surmy z Daków stanowiska,
Drży w tobie każda żyła, nozdrze ogniem pryska,
Pragniesz jeźdźca, by w pędzie pod kopyta twoje
Zmiatał mieczem buńczuki, tarcze i zawoje, —
Staw się przed mojem okiem w tej świetnej urodzie,
Niecierpliwy wędzidła i wspaniały w chodzie;
Staw się z karkiem łabędzim i grzywą rozwianą,
Żujący czyste złoto z bielszą nad śnieg pianą,
Jakim cię w bojach znali Polski najezdnicy,
Gdyś się rzucił z Czarneckim w szumny wir Pilicy,
Lub gdyś, porząc kopytem Cymmeryjskie tonie,
Pławił miecze sojuszne ku Danów obronie;
Lub na jakim Sobieski, z odsiecznemi roty,
Wpadł z błyskiem na hardego Wezyra namioty,
Potopił dumne dzicze, — aż wyparty z łoża
Ister nowe koryto pruć musiał do morza;
A gdy lud wybawiony w hołdach się wyścigał,
On pysznił się zwycięzcą i czuł, kogo dźwigał.
Takim był rumak polski w kraju i za krajem;
Tak wsławiał jeźdźca Polski, on go wsławiał wzajem,
Gdy niegdyś po Tauryckich stepach płosząc dzicze,
Krymskim hordom odbijał jeńców i zdobycze,
Lub na rozkaz Cezara, pośród mordów zgrozy,
Jednym skokiem przesadził Kantabrów wąwozy.

Bo, chociaż go pod temi ujrzały znamiony
Krzyżowce u Grunwaldu, u Elby Teutony,
Nie jemu, ni rycerzom poczytam za chwałę,
Roztrącać spasłych Fryzów szyki ociężałe,
Krew szlachetną z plemieniem mieszać niewolniczem,
Co powolne ciężarom, wiek trawi pod biczem,
Rozmnaża ród, na sławy potęgę nieczuły,
Zdolny zastąpić cielce i leniwe muły.
Tu, chociaż ostrą broną z bryl zamiata pola,
Nie tyle go spodliła praca i niewola,
By nie tęsknił do wrzawy w bitwach i obozach,
Lub nie pragnął zaprzęgu w tryumfalnych wozach. —
Badacze przyrodzenia, których myśl poznała
Wpływy ciał nieśmiertelnych na śmiertelne ciała,
Powiedzcie! jakiej gwiazdy władza niepojęta
Jednym tu krzepi ogniem ludzi i źwierzęta?
Skąd dzielność, męstwo, żądza do chwały jednaka
Ożywia tu rolnika i jego rumaka?
Patrzcie: ledwie uchyli z twardych zgrzebi szyję,
Już się otrząsa z pyłu, grunt kopytem ryje;
Niechże mu niedorostek, do gonitw ochoczy,
Bez kiełzna i strzemienia na gładki grzbiet wskoczy,
Już z nim hasa na polach, już przesadza płoty.
Zważajcie: kiedy słońce ściąga promień złoty,
Szklniąca rosa na trawie po łąkach i smugach
Przymila paszę bydłu strudzonemu w pługach,
Już hoża młódź wyjeżdża rozciągłym szeregiem,
Tętni ziemia pod kopyt wiatrolotnym biegiem,
Już koczuje w pomroku pośród pól i błoni;
Odzywają się hasła i parskanie koni,
Stoją naokół czaty, płomień w cieniu błyska,
Tak tu pasterz rycerzem, obozem — pastwiska.
Te to szlachetne zbiegi od pługa i brony,
Świętemi bratnich szyków wezwane znamiony,
Przekuwszy na broń lemiesz, biegły pędem wiatrów
Nad kwiecistą Sekwanę od stóp śnieżnych Tatrów,
Zdawało się, iż spiekły słonecznymi żary
Śpieszy hufiec Numidów pod Rzymian sztandary,
I, nagiemi kolany ścisnąwszy rumaki,
Pędzi sajdaczne Party i brodate Traki.

W III pieśni mówi się o drzewach: przedewszystkiem leśnych, potem owocowych, ich szczepieniu, pielęgnowaniu, ochranianiu od rabusiów i szkodników, tępieniu robactwa, kretów, szkodnych ptaków, mrówek; dalej mówi się o pszczołach, chwali się ich rządność, karność i pracowitość, pozwalające stawiać te owady za przykład ludziom. Potem przechodzi się

do drzew leśnych, borów i lasów, daje się piękny ich obraz, stworzony pod wyraźnym już, zapewne mimowiednym wpływem «Pana Tadeusza».

155) *Str. 120—123.* Ziemio, mlekiem i miodem płynąca przed laty!
Gdzie twoje gaje, w wonne uwieńczone kwiaty?
Gdzie twój rozkoszny Hymet? gdzie Hybla przyjemna?
Zaszczyt wschodniego Dniestru, północnego Niemna,
Których darami stoły zdobili mocarze,
A ogniem watykańskie gorzały ołtarze:
Niestety! dłoń łakoma i niebaczna razem
Zgwałciła te przybytki żagwią i żelazem;
A skrzydlate wygnańce, uchodząc od ciosów,
W borach brunatne soki ssą z bezwonnych wrzosów.
Już z nich prasy cypryjskich nektarów nie sycą.
Bo płyn gościnna sosna zaprawia żywicą. —
W tych tułaczów tajniki zapuśćmy krok śmiały,
Gdzie niegdyś łowcze trąby króla kmieci brzmiały,
Gdzie Witold, pierś hartując na waleczne czyny,
O twarde żubrów czoła kruszył rohatyny —
Pójdźmy w te głuche puszcze, pójdźmy w bory czarne,
Pójdźmy wstrzymać napaści i gwałty bezkarne!
Czas nauczyć rolnika, jak, roztropny w pracy,
Ma dać wymiar siekierze, ma dać zakres gracy.

Lubię poważnych lasów uroczystą ciszę,
Lubię szum, gdy wierzchami wicher zakołysze. —
Czy mię chęci tam wiodą w południa upały,
Czy wśród milczącej nocy, gdy księżyc wspaniały,
Zwiedzając te odwieczne pomroku siedliska,
Przez czarne jodły srebrne promienie przeciska,
A między ciemnych świerków ukryty konary,
Puhacz huka i ze snu zda się budzić mary.
Mierzę wzrokiem te buki, władnące dokoła,
Jak stopą gniotą ziemię, w niebo wznoszą czoła;
Badam dęby odwieczne o ich młode lata
I, przenosząc się myślą do kołyski świata,
Zwiedzam ich ramionami sklepione jaskinie,
Pierwsze dachy śmiertelnych, pierwsze bóstw świątynie,
Groźnych niegdyś wyroczni nieprzebyte progi,
Których strzegł postrach blady i zabobon srogi,
Zabobon, co, na ołtarz wyniósłszy bałwany,
Katów z nożem za pierwsze wybrał im kapłany. —
Ach! gdy wspomnę, że może pod tych drzew konary
Pierwsze nędznej ludzkości padały ofiary,
Myśl moja tak posępna, jak pomrok tych cieni,
Smutkiem obciąża piersi, niezdolne do pieni. —
Chętnie dążyłem w lasy, prędszym wracam krokiem,

Utęsknionym pól, błoni, zagród szukam wzrokiem,
A gdy ujrzę nad szczytem wiosek dym białawy,
Złote kłosy na niwach, kwiaty wśród murawy,
Gdy słyszę ryki trzody, skaczącej po smugach,
Pieśń wesołych oraczy, idących przy pługach;
Czuję do innych natchnień mą duszę sposobną
I nie dziką naturę śpiewam, lecz nadobną. —
Radbym przedrzeć tę szatę, pod której zasłoną,
Ziemia przed wzrokiem słońca żyzne kryje łono,
Widzieć orzący lemiesz, gdzie dziś stoją bory,
I na te głuche puszcze wzywam o topory. —
O! gdyby dawną władzę miały wieszcza pienie,
Drzewa z miejsca poruszać, ożywiać kamienie,
Padłyby za mym głosem te lasów pustynie,
Co swój zmierzch rozciągnęły przy Słuczy i Pinie —
Cień posępny nad źródłem Narwiby zaginął,
Prypeć wyjrzałby z borów i po błoniach płynął.
Nie żali się mieszkaniec Renu i Dunaju,
Że mu hercyńska puszcza już nie mroczy kraju,
Skoro tam, gdzie rozścielał zwierz drapieżny leże,
Złotem błyszczące obłok przecinają wieże,
Dzwon, się na nich kołysząc, niebu dźwiękiem głosi
Każdy ruch, którym ziemia toczy się na osi.
A gdzie pasterz nie zaszedł, pług nie tknął zagona,
Dziś dowarza na tykach słodkie promień grona. —

Piękny jest również opis płonącego lasu.

156) *Str. 125—127.* Kto te czarne oglądał lasów zgorzeliska,
Wyschłe chrósty bez liści, ziemię bez pastwiska,
Przestwory, pochłonięte przez płomień pożerczy,
Na których okopciały łom przy łomie sterczy,
Gdzie się już ptak nie gnieździ, zwierz żeru nie szuka,
I tylko po spróchniałych dzięcioł korach stuka —
Czyliż pośród ciężkiego nie wyrzekł westchnienia:
«Niema tu rąk do pracy, lecz są do niszczenia»?
Jakiż to wróg te klęski roznosi zawzięty?
Zaledwie wiosna sieje wdzięki i ponęty,
Tu się już dymią lasy — i, jak sięga oko,
Młodą zieloność mroczą błękitną powłoką;
Bo ten wietrzyk, co w chwili natury odżycia,
Kołysząc, młode pączki uwalniał z powicia,
Tu płochemi igraszki z zdradliwym żywiołem,
Gdy obudzi tlejącą iskrę pod popiołem,
Już ta iskra, rozdęta lekkimi podmuchy,
Chwyta drobne gałązki, chwyta listek suchy;
Żarzy się i, błysnąwszy, jak zbrojne szeregi,

Lub szklniące nurty rzeki, wyparte nad brzegi,
Pędzi ogniste strugi i szerzy się z trzaskiem;
Zrywa się zwierz, zbudzony łoskotem i blaskiem,
Osaczony wokoło — śmierci nie ominie,
Błąka się, wpada w płomień i w płomieniach ginie. —
Lecz gdy niesyty żywioł poziomymi łupy,
Pnąc się, zamieni drzewa w pałające słupy,
Napowietrznych mieszkańców płoną wzniosłe domy,
Porzuca gniazdo orzeł, nietrwożny na gromy,
Ufny skrzydłom, pod nieba niesie krzyk i trwogę,
Wiatr za nim iskry miota — dym przecina drogę,
I aż pod gwiaździstymi doścignion lazury,
Martwy z ogorzałemi spada na dół pióry. —
Cóż, gdy na buchającej ogniami przestrzeni,
W jeden się płomień złączą tysiące płomieni;
Gore ognista góra, a wierzch jej wysoki
Wązkim językiem sięga i parzy obłoki,
Po rzekach, po jeziorach blask jutrzenki nieci,
Już nie słońce dla ziemi — ziemia niebu świeci. —
Odległych stron mieszkaniec truchleje śród cieni,
Na tę łunę, co miedzą błękity rumieni,
Mniema, że, twarde pieczar przedarłszy sklepienie,
Piekło z czarnych otchłani wyrzuca płomienie;
Że część ziemi w popiele, że już świat przy zgonie,
Jak go chłonęły morza, tak go ogień chłonie.
Taką trwogę rozniosły te straszne pożary,
Co zaledwie zagasły w nurtach Nijagary. —
Ale tam na te borów odwieczne podpały
Skryte w nędznościach ziemi zarzewia zatlały;
A tu cóż sprawia postrach i klęski podobne? —
Drobna iskra! — przez ręce porzucona drobne. —

Ostatnia, IV pieśń odmienna jest od poprzednich: autor wprowadza tu pierwiastek liryczny, mówi o swojem życiu wśród gwaru miejskiego, które nie dało mu zadowolenia, zniechęcony powraca do swej rodzinnej zagrody, witając z rozrzewnieniem swych przyjaciół-rolników. Przychodzą odwiedzić go sąsiedzi, których przyjmuje z radością, rad spędzić w ich gronie chwile spoczynku od pracy. Ale nie wpuści do swego domu skąpca-pieniacza, ni chciwca, bogacącego się nędzą wieśniaków. Wychwala życie wiejskie, ciche, spokojne i pracowite, wynosi pod niebiosa Puławy, jako wzór ustroni wiejskiej. Dalej opisuje swe wiejskie zajęcia i przyjemności: połów ryb, polowanie, zimowe wieczory przy kominku i dobrych książkach, kończy wreszcie wezwaniem do różnych stanów, nawołując je do «wzajemnej pomocy, szacunku i zgody,» przytacza serdeczną rozmowę rycerza z rolnikiem, kończy zaś następującą apostrofą.

157) *Str. 185—186.* Szczęśliwy, kto, wracając pod rodzinną strzechę,
Z przeszłości dla przyszłości uzbierał pociechę
I z długiego pobytu na przestrzeni świata
Młodych chwil przypomnieniem stare rzeźwi lata,
W liczbie dawnych przyjaciół na potomków zlewa
I ludzi, i zwierzęta, i pola, i drzewa,
A smutnej nie zostawia synom swym puścizny,
Zaprzeć się ojca, by się nie zaprzeć ojczyzny.
Niech więc inni ponętą znaczenia i zbioru
Dni i nocy na łaski oczekują dworu;
Niechaj, w szkole obłudy przymiliwszy twarze,
Ciche cudzym zasługom gotują potwarze;
Niechaj z próżności czyli z chciwości zapędów
Wszyscy się cisną hurmem do miast i urzędów,
A pamiętni o sobie w krajowej posłudze,
Niż pracować w swych wioskach, wolą wglądać w cudze:
Wy zawsze z sobą zgodni, zawsze w chęciach skromni,
Sprawcie, by, o was mówiąc, wyrzekli potomni:
«Komu miła ojczyzna, cnoty, obyczaje,
«Niechaj broni tej ziemi lub ją w skiby kraje». —

F) Stefan Czarniecki, poemat w 12 pieśniach (1858).

Zaczyna się, według modły klasycznej, od wyłuszczenia treści, którą ma być ocalenie Polski przez bogobojnego i mężnego rycerza, i od wezwania do Bóstwa chrześcijańskiego.

Pieśń I.

158) *Str. 3—5.* Męża śpiewam, wybawcę nadwiślańskich ludów,
Co go Bóg na spełnienie swoich wybrał cudów,
Co ramie jego w groźny oręż sam uzbroił,
Aby rozdartą Polskę w jedno ciało spoił;
Sam mu palcem pokazał do zwycięstwa drogi,
Nauczył karcić obce i domowe wrogi:
Swawolę, samolubstwo, niezgody i zdradę,
I tę zazdrość — polskiego rodu wieczną wadę,
Ileż on przez nią cierpiał, gdy się bojem wsławiał,
Nie od tych, których gromił, — od tych, których zbawiał!
Ileż krwią hojną skropił placów swego męstwa!
Z iluż się klęsk nie dźwignął, nim dopiął zwycięstwa
Nim przytarł karki zdrajców, zbłąkanych nawrócił
I dumnego Karola za morza przerzucił;
Nim srogiego Bogdana skarcił bunt zbrodniczy,
Wyrwał skrwawione łupy Tamerlana dziczy,

Nim rozgromił zastępy potężnej północy,
Hunnów przegnał za Tatry, których wiódł Rakocy;
I, wszędzie niosąc dzielny odpór i obronę,
Wrócił ziomkom ojczyznę, królowi koronę.
Tak, choć się świat na Polski zagładę sprzymierzył,
Sam zbawił, bo sam tylko w jej zbawienie wierzył.

Ty, któryś wybranego pomiędzy proroki
Elijasza w ognistym wozie wzniósł w obłoki,
Panie wieczny! spuść na mnie promień światła z nieba!
By głosić Twoje cuda, nowych cudów trzeba.
Niech mnie Twa ręka wesprze i pieśni ośmieli,
Zawre ogniem pierś wieszcza, choć skronie szron bieli.
I Ty, trzecia osobo Trójczej tajemnicy,
Co się na skrzydłach śnieżnej wznosisz gołębicy,
Duchu Najświętszy! spuść się z niebieskich obłoków,
Otwórz przede mną księgę odwiecznych wyroków,
Wiem, z dziejów świata jakie padły na nas ciosy,
Gdy gnębionej ludzkości głos przebił niebiosy
I na zagładę naszą już szalę przemagał;
Wiem, kto Bóstwo obraził, wyjaw, kto przebłagał.
O Ty! której przy Ojca Przedwiecznego tronie,
Księżyc u stóp przyświeca, gwiazdy wieńczą skronie,
Królowo niebios, ziemi najczystsza dziewico,
Co Cię Bóg Syn zna Matką, Duch — oblubienicą!
Ach! Twoja to wszechwładna zjednała przyczyna,
Bo czegóż prośby matki nie sprawią u syna:
Niech więc najprzód Twa chwała zabrzmi w moim rymie,
Niech ołtarze, świątynie sławią Twoje imie
Aż po ten dzień ostatni, gdy trąba anioła
Przed sąd straszny ciemięzców ludzkości powoła.

Bóg, zagniewany na Polskę za jej grzechy, sprowadza na nią pięć groźnych narodów, a króla Jana Kazimierza, który zgrzeszył występnem uczuciem dla żony Radziejowskiego, skazuje na wygnanie. Żądny zemsty Radziejowski wiedzie na zgubę ojczyzny Karola Gustawa, a głusząc w sobie wyrzuty sumienia, wzywa «władcę piekieł» do pomocy. Szatan nasyła na Polskę jędze pod przewodem jędzy niezgody, która powoduje haniebne przejście na stronę wroga pod Ujściem. Lud modli się po świątyniach, wołając do Boga o litość. Bóg upatruje sprawiedliwego, dla którego wartoby naród oszczędzić, w osobie Stefana, który już na ostatnim sejmie dał się poznać, jako dzielny wojownik, mający na celu obronę wiary i ojczyzny. Spiesząc do obozu, król wstępuje do klasztoru na Bielanach, gdzie jeden z zakonników przepowiedział mu, że Bóg wybrał zbawcę dla ocalenia Polski. Król uchodzi do Krakowa; Karol oblega stolicę, ale Czarniecki broni jej dzielnie. Lecz w mieście niedostatek; kiedy więc Czarniecki przy świe-

tle księżyca robi wycieczkę na Szwedów, król uchodzi pod osłoną nocy. Wstępuje do Częstochowy, zrazu niepoznany, potem witany z radością. Gdy w nocy spowiada się przed jednym z zakonników, ten odkrywa mu się, jako Hołownia, który w bitwie pod Guzowem omal że nie zabił ojca jego Zygmunta, i prosi króla o przebaczenie. Jan Kazimierz chroni się do Opawy na Śląsku, a tymczasem Czarniecki na rozkaz króla i św. Stanisława, który ukazał mu się we śnie, poddaje wygłodzoną stolicę i wychodzi pod bronią, z rozwiniętymi sztandarami. Gdy Stefan odpoczywa w Czarńcy na łonie poczciwych wieśniaków, tymczasem Częstochowa bohatersko odpiera szturmy Müllera. Karol Gustaw, uniesiony pychą, mniema się za króla Polaków, choć stropiły go wieszcze słowa Starowolskiego.

159) *Str. 285—288.* Król spuszcza się z kapłanem do ciemnego lochu,
Z władzy, potęgi, chwały widzi szczyptę prochu,
Widzi zakrzepłe twarze, widzi martwe zwłoki,
Tak zimne, jak te czarne sklepienia z opoki;
A umysł ślepy dumną pamięć z myśli strada,
Że te prochy władały, tak jak on dziś włada,
I, jakby nieśmiertelność wziął z bóstwem pospołu,
Przy urnach z popiołami dmie się, garść popiołu.
Owszem, wychodząc, większą pychą się nadyma,
Że po tak wielkich królach berło w ręku trzyma.
Staje między wzniosłymi górnych sklepień łuki,
Widzi z marmuru pomnik Praksytela sztuki,
Do łoża śmierci postać królewską przykutą,
Powagę rysów twarzy zachowało dłóto;
Ale go krata z kruszcu dokoła otacza.
«Co znaczy ta zapora», pyta się tłómacza.
«To jest Kaźmierz», rzekł kapłan, «ostatni z krwi Piasta,
«Pod nim wzrosły te grody, te twierdze, te miasta,
«Miejsca pustyń osady i zamki zaległy,
«Objął Polskę drewnianą, a zostawił z cegły;
«Księgą prawd gwałt ukrócił, który lud uciskał;
«Rdzewiał pod nim miecz Chrobrych, a lemiesz połyskał,
«Zwano go królem chłopów, gdy zawarł powieki,
«Imie wielkiego wdzięczne przyznały mu wieki.
«Lud pomnik trwalszym nad śpiż wyrazem ozdobił,
«Żal swój usty wytłoczył i łzami wyżłobił.
«Lecz, gdy ucisk powrócił między wiejskie chaty,
«Lud od natłoku ledwie wstrzymały te kraty,
«Cień jego wywołując przy żałosnych skargach,
«Łzą marmur, w pył zmiękczony, unosił na wargach.
«To jest król, najsławniejszy walecznymi czyny,
«Batory, przeszedł na brzeg Połoty i Dźwiny,
«I potężnem ramieniem przy dzielnych hetmanach
«Zmusił Moskwę pokoju błagać na kolanach.

«Niestety! gdy zamierzał dokonywać dzieła,
«Dni drogie dla narodu śmierć w Grodnie przecięła!»
Gdy się ku drugiej stronie świątyni przybliża,
Czyta napis u stopni wzniesionego krzyża:
Przy tym krzyżu Jadwiga łzy sączyła hojne,
Ilekroć król i naród biegł odpierać wojnę,
Zdobiła tron cnotami, zgasła w wieku wiośnie.
Gdy kapłan opowiada jej życie żałośnie,
Jakie dla obu ludów, dla Boga, dla wiary
Z miłującego serca zrobiła ofiary,
Rzekł Karol: «Tę cześć dla niej bez zdziwienia widzę
«Cnoty jej w drugiej dla was odżyją Jadwidze«,
Gdy się dalej posuwa na przeciwnej stronie
Widzi posąg leżący z berłem i w koronie.
Na drobnym wzroście dziwi go ogrom pancerza:
«To jest», rzekł kapłan, «ojciec wielkiego Kaźmierza,
«Łokietek, wielki męstwem, chociaż drobny ciałem,
«Złączył Polskę, rozdartą naddziadów podziałem,
«Przemógł współzawodników, a w polach Połowców,
«Przytarł dumną potęgę grabieżnych Krzyżowców;
«Trzykroć tułacz, po trzykroć powracał do tronu,
«I na ostrzu oręża trzymał go do zgonu».
Na to się obrażona pycha w królu cuci,
Rzekł: «Łokietek wasz wrócił, lecz Kaźmierz nie wróci».
Odpowiada pokornym głosem stróż świątyni:
«Królu, fortuna zmienna, a Bóg cuda czyni»
Jak piorunem, rażony kapłańskiemi słowy,
Zaniemiał i już wątek przerywa rozmowy.
Pierwszy raz czuje w piersiach zachwianego ducha,
Już nie widzi pomników, nie szuka, nie słucha
I, gdy się krokiem zbliża do przysionków końca,
Spotyka przez Müllera wysłanego gońca.
Częstochowa się broni, goniec nie ukrywa
Klęsk zadanych, o działa i o pułki wzywa.
«Waleczność nasza, królu», mówi, «jest daremna,
«Ten mały klasztor wspiera potęga tajemna».
Krzyknął na to w zapale rozjuszonej pychy:
«Mnież to opór stawiają zabobonne mnichy!?
«Weź działa, do Müllera śpiesz z moim rozkazem,
«Niech tu stawi przeora wraz z czci ich obrazem,
«Lub niech zuchwały opór w proch orężem zetrze,
«Twierdzę, klasztor, ołtarze wyrzuci w powietrze,
«Niech widzi Polska, w cudach wybawienia pewna:
«Mój oręż cuda czyni, a nie deska z drewna».

Gdy zniechęceni Szwedzi w dzień Bożego Narodzenia odstępują od Częstochowy, daje to hasło do powstania w całym kraju; pierwsze rzuca jarzmo najeźdźców ziemia lubelska, gniazdo rodzinne poety, co daje mu powód do jej wychwalenia.

160) *Str. 310—311.* Gniazdo moje! o ziemio! słusznie uwielbiona,
Czemuż ukryły dzieje te skromne imiona
Ziemian, rycerzy, którzy pierwszy srom uczuli
I pognębiony lemiesz na oręż przekuli?
Możebym na ich grobach i cichych mogiłach
Szczypt prochu ze krwi znalazł, co stygnie w mych żyłach!
Zebrałbym go na piersi, szukał w nim żywiołu,
A wieszczy żar zostałby z walecznych popiołu;
Cześć ci, pomniku ducha prawego, Lublinie!
Dwojaką sławą Polski stary gród twój słynie!
W twych murach Jagiellonów potomek ostatni
Między dwoma narody spoił węzeł bratni;
Z twych murów, za twych dzieci i wzorem i duchem,
Złączył się naród wspólnym ratunku łańcuchem.
Niepróżno wziął twój jeleń na swój kark koronę,
Gdy lud twój pędem jego biegł na jej obronę.
Nie żaden gród wspaniały, nie żadna stolica
Wybawczym związkiem dzieje krajowe zaszczyca,
Tyszowce, gród nieznany ni z murów, ni z gmachów
W nizkich swoich gospodach z pod słomianych dachów,
Brzękiem skruszonych kajdan znak do walki daje,
Wśród stolic kraju ducha stolicą się staje,
Jakby Bóg, co już winy z karty pomsty zmazał,
Znowu żłób na kołyskę wybawienia wskazał,
Aby uznała Polska dumnych żądz igrzysko:
Zguba mieszka wysoko, a zbawienie nizko.
Jak pszczoły, rozpierzchnione u kwiecistych zdrojów,
Gdy od ula usłyszą brzęk skrzydlatych rojów,
Już po szlakach powietrznych szybkim lotem śpieszą
Spoić w słup nieprzejrzany żądła bratnią rzeszą:
Tak tu z grodów, z miast, gmachów, dworców, ziem, powiatów,
Obok stojących Szwedów, wobec czujnych czatów,
Poważne senatory, ziemiany orężne,
I łanowi rycerze, i pułki zaciężne,
Dążą, — wchodzą z obozem obadwa hetmany,
I Sobieski, ów sprawca ducha ich przemiany,
Skoro Czarńcą odetchnął, już ten obóz cały
Pała żądzą zmazania korczyńskiej zakały.

Zawiązuje się związek w Tyszowcach pod hasłem: «przy wierze, ojczyźnie, swobodach i królu». Jan Kazimierz po dłuższem wahaniu, zachęcony szczęśliwą wróżbą astrologa Żurawskiego, wraca do kraju na Często-

chowę. Podczas uroczystego nabożeństwa na Jasnej Górze spadł oręż Czarnieckiego, zawieszony nad ołtarzem, a na nim zabłysnął napis: p o d t y m z n a k i e m z w y c i ę ż y s z — i tu wszyscy poznali w Stefanie przyszłego zbawcę.

161) *Str. 328—331.* W płaszczu z jasnej purpury i w złotej koronie
Idzie król do świątyni, gdzie już dymią wonie,
Gdzie już Leszczyński czeka w Piotrowej tyjarze.
A skoro przed Maryi zbliżył się ołtarze,
Kordecki pierwszy klęka, podnosi prawice.
Zabłysło z pod zasłony Przenajświętszej lice,
Zabrzmiały hymny, modły i pobożne pienia,
Od huku trąb i kotłów zadrżały sklepienia.
Król krzyżem pada, ciśnie usty zimne głazy
I, wstawszy, tymi błaga Maryją wyrazy:
«O, najświętsza Dziewico! o, niebios ozdobo!
«Król-tułacz, lud i wojsko korzy się przed Tobą.
«Litość dla nas w śmiertelnych zaparła się łonie;
«Przy Twoim ją w ucisku znaleźliśmy tronie.
«Już odtąd nie powiedzą wrogi naszej ziemi:
«Gdzie jest ich Bóg, co w walkach miał stanąć za niemi?

«Jeżelim Cię obraził, że dla tego tronu
«Stargałem święte śluby Jezusa zakonu,
«Ach! żądzą panowania nigdym się nie zmazał,
«Naród wezwał i ojciec chrześcijaństwa kazał,
«Wskazując w synu twoim wzór, jaki zostawił,
«Zstąpił z nieba, krzyż dźwignął, aby krwią świat zbawił.
«Te mnie do tej korony nakłoniły cele,
«Co ma tak mało władzy, a kolców tak wiele:
«Ale ona zakwitnie, ciernie z niej opadną,
«Jeśli ją pod opiekę przyjmiesz wielowładną.
«Dokończ, dokończ naszego wybawienia dzieła!
«Jużeś go twych obroną świątyń rozpoczęła,
«Niech nasze modły dojdą Twego majestatu!
«Dozwól polską Królową ogłosić Cię światu!
«Ciążą nam jeszcze rany, wyznajemy sami,
»Ucisk wiejskiego ludu ściągnął pomstę łzami.
«Ach! skoro tylko naród mój wyrwiesz od zguby,
«Z całym senatem czynię uroczyste śluby,
«Uchylę z nędznych barków gniotące ich brzemię,
«Które gniewem oburza i niebo, i ziemię,
«Aby ten dzień pamiętny darem Twej opieki,
«Dopóki Polski stanie, lud sławił na wieki».
I zdjął koronę z głowy, na ołtarz ją składa,
Kapłan ją bierze, kornem okiem obraz bada,
Lud milczy — i nastaje uroczysta chwila,

Każdy oko natęża, każdy słuch wysila.
W tem, o zjawienie niebios! cudzie niepojęty!
Rozjaśnia się urokiem pociech obraz święty,
Korona się podnosi od kapłana dłoni
I sama do najświętszej przytula się skroni.
«Cud! cud!» kapłan struchlały w zachwyceniu woła:
«Ludu, zginaj kolana, w prochu nurzaj czoła!
«Maryja twą koronę sama na skroń bierze,
«Ona Polski Królową, a wy — jej rycerze!»
I już skrucha, wesele tłumny gmin zachwyca,
Zabrzmiała w kornych ustach pieśń Bogarodzica:
Same miechy tchną w organ huczno-brzmiące tony,
Same po wieżach świątyń kołyszą się dzwony.
Na wałach, na warowniach same biją działa,
Słońce jaśniejszym ogniem na okręgu pała,
Grzmot bezgromny w błękicie czystym się przelewa,
Niebo, ziemia Królowej polskiej hymny śpiewa.
Wylegają na drogi miasta i zagrody,
Pasterze biją czołem, przyklękają trzody,
Od ziemi w niebo czoła podnoszą dwurożne,
Szwedy tylko truchleją krwawe i bezbożne.
Wpośród tych za świątynią pieśni i okrzyków
W świątyni kapłan wzywa kornych wojowników,
Bierze na złotej ryte wizerunki blasze,
Zdobiąc ich piersi nimi, rzekł: «To tarcze wasze!
«Dajcie miecze, niech hartu nabiorą do boju.
«Gdy na nie rosa padnie ze zbawienia zdroju».
Król szablę złożył, swoją gdy Czarniecki składa,
Ów oręż watykański z brzękiem na stół pada,
Na dwie części ozdobne pochwy się rozprysły,
Ryte w złocie Maryi godła na nim błysły,
Ognisty napis przy nich objawiał się oku,
Jaki ujrzał Konstantyn wraz z krzyżem w obłoku;
Kapłan zawołał: «Otóż zbawiciela znamie!
«Bóg wskazał cię, Stefanie, uzbrój niem twe ramie!»
A cały lud w Czarnieckim utapia wejrzenia,
A jemu światło słońca czoło rozpromienia,
Ogień żarzy się w licach, ogień pierś rozpiera,
W postaci nadziemskiego stoi bohatera;
Król, lud woła: «Witaj, nasz wybawco, Stefanie!»
On na to: «Niech się wola Boga mego stanie!
«Królu, śpieszmy wziąść *[tak]* udział, przeznaczony w niebie,
«Bóg mnie wybrał narzędziem łask Swych, celem — ciebie».

Ziemia usuwa się z pod nóg Karola; Szwedzi, zapędzeni w widły rzeczne, między San a Wisłę, wymknęli się z pułapki, kiedy przyszły im

z pomocą władze piekielne: zazdrość i niezgoda i poróżniły wodzów polskich. I drugi raz Polacy wypuścili z rąk pewne zwycięstwo, kiedy król, połączywszy się z Radziejowską, oddał się zabawom i gnuśnym rozkoszom, aż Kordecki musiał zwrócić go na prawą drogę. Tymczasem Czarniecki odparł dzielnie Rakoczego i omal że nie zniósł go zupełnie, a potem na rozkaz króla udał się na wyprawę duńską. Mimo te czyny bohaterskie, ominęła go buława, którą gwałtem prawie wziął dumny Lubomirski. Czarniecki jeszcze raz udaje się na Litwę, by skutecznie odeprzeć Chowańskiego, i powraca w tryumfie. Tymczasem król szwedzki umiera.

162) *Str. 527—529.* Zaledwie ranna zorza na niebie zabłyśnie,
Na dziedzińce zamkowe lud się tłumnie ciśnie,
Woła o swego króla; on z okien podwoi
Z wybladłem licem temi słowy troski koi:
«Przegrana bitwa, ale została odwaga,
«Nie utracona Polska ani Kopenhaga».
I senatory państwa przyzywa do siebie,
Naradza się o nowych zaciągów potrzebie.
Każdego dnia, rycerstwa otoczony kołem,
Pod pogodnem trawiący smutek kryje czołem,
Wkrótce sobie na czele wojska stanąć tuszy.
Goi się rana ciała, jątrzy rana duszy.
I, zaledwie noc ciemna świat zmrokiem osłania
Słyszano po podwojach jęki, wyrzekania,
Słyszano, jak głuchego gmachu każda ściana
Odbijała przekleństwa i imie Stefana,
Niemi to rozpacz piersi Karola zatruła,
On się to w ciemnej nocy po podwojach tuła,
Szuka snu, snu do powiek ubłagać nie może,
Zrywa się z łoża, znowu rzuca się na łoże,
Wpada w niemoc, z niemocy już się nie podźwiga,
Próżno radzą lekarze, pociesza Jadwiga,
Ranionej duszy ciosów ciało nie wytrzyma,
Na zawiedzioną dumę ziemia lekarstw nie ma,
Śmierć jej ucieczką, śmierci lodowate ramie
Już na wybladłej twarzy ryje grobu znamie.
Już obłąkane zmysły schorzałej ofiary,
Nie widzą, jak straszydła, widma i poczwary,
Zrywa się, chce uciekać i krzyczy struchlały:
«Oto on! watykański miecz jego! koń biały!
«Tratuje mnie!... ratujcie! sztych wciska do łona!»
I znowu z sił opada, głos mu w ustach kona.
Znów się zrywa i znowu: «Patrzcie! patrzcie», woła,
«Skąd idzie ta niewiasta wybladłego czoła?...
«Oto jej łono białe krew strumieniem broczy,
«Oto jej dłoń krew czerpie i bluzga mi w oczy...

«Ach, to Polska!... to ona... śpieszcie na obronę...
«Krew jej me łoże topi... tonę we krwi — tonę...
«Tonę i do piekielnej zapadam otchłani...
«Oto ogień przede mną, jędze i szatani...»
I pot zimny na czoło wystąpił strumieniem,
Oczy słupieją, piersi mocują się z tchnieniem,
Duch się z ciała wydziera w mąk wiecznych przestrachu,
A usta, ziębnąc, szemrzą: «Zwyciężyłeś, Lachu!»

Wreszcie Szwecya zawiera traktat oliwski, ów wieniec oliwny, przepowiedziany przez zakonnika bielańskiego, a król z królową i cała Warszawa wita z uniesieniem Czarnieckiego. «Tak się spełniła wróżba oztatnia kapłana», temi słowy kończy się poemat.

G) Pamiętniki (1858—1865).

«Pamiętniki» ukazały się w trzech tomach w Poznaniu i są nader ciekawe dla poznania obyczajowości schyłku XVIII i początków XIX wieku. W I «oddziale» autor opowiada o czasach swego dzieciństwa, kreśli wspomnienia szkolne z Lublina i Zamościa, wspomnienia trybunalskie z czasów Stanisława Augusta; o epoce Sejmu Wielkiego, o konfederacyi Targowickiej i powstaniu Kościuszki mówi krótko, więcej natomiast poświęcając miejsca stanowi politycznemu i umysłowemu Galicyi pod panowaniem Austryaków. Kończy ten «oddział» obraz Wołynia z r. 1808—1809. W drugim oddziale Koźmian opowiedział o założeniu Księstwa Warszawskiego, o przyłączeniu doń Galicyi zachodniej, znaczną zaś jego część poświęcił obszernym, żywym charakterystykom ówczesnych mężów stanu, najwięcej udzielając miejsca: księciu Józefowi Poniatowskiemu, Woroniczowi, Staszicowi, Marcinowi Badeniemu, Aleksandrowi Linowskiemu i innym; resztę tomu wypełnia obraz przeobrażeń politycznych kraju aż do roku 1815. Trzecia część «Pamiętników» obejmuje przedewszystkiem czasy Królestwa Kongresowego (1815—1830), a także ostatnie lata życia autora. Na treść tomu tego składają się: obraz początków Królestwa, pochlebna charakterystyka Aleksandra I, ostrożna sylwetka Nowosilcowa, dalej portrety owoczesnych mężów stanu, jak: namiestnik Zajączek, Jerzy Okołów, Stanisław Zamoyski, Tadeusz Mostowski, Ksawery Drucki-Lubecki, jenerał Wincenty Krasiński i inni, i literatów: Ludwik Osiński, Franciszek Morawski, wierszokleta Kajetan Jaksa Marcinkowski i t. d. Osobny rozdział poświęca ruchowi rewolucyjnemu z r. 1830—1831, który, jako przekonany konserwatysta, potępia. Kończy ogólnemi uwagami o późniejszych czasach aż do r. 1853.

a) Junacy starej daty.

163) *Tom I, str. 10—14.* W województwie Lubelskiem były niektóre familie, co tę bezecną wadę junakieryi, jako szczególną cechę, równo z herbem szlachectwa zachowywały

i, jak zaszczyt jaki, pielęgnowały. Rodzina Trzcińskich szczególniej się nią odróżniała. Znałem trzech braci rodzonych z tego rodu, synów urzędnika wojewódzkiego, dobrze osiadłego, wszyscy trzej mieli Herkulesa wzrost i postacie, nosili przy boku pałasze tak szerokie, jak katowskie miecze, przybrali do siebie dwuch podobnych atletów: Zaniewskiego i Dębowskiego, a gdzie się pokazali, już się tam bez burdy i rąbaniny nie obeszło; a że podówczas kto przewodził na sejmikach, ten najwięcej znaczył, i również panowie możni, jak dwór, takich poszukiwali, szablą więc i kielichem zjednali sobie protekcyę u Michała Granowskiego, sekretarza wielkiego koronnego, krewnego i faworyta króla, który burmistrzował w Lubelskiem, a za jego wstawieniem się jeden został podstarostą lubelskim, mianowanym przez Mniszcha, marszałka wielkiego koronnego, a drugi podsędkiem. *O praeclarum custodem ovium!* Byłem prawie naocznym świadkiem, jak pierwszy, niemiłosiernie obdzierając Żydów, a ujęty podarunkiem Izraelity, kolegę swego, pisarza grodzkiego Skarszewskiego, czyniącego mu uwagi nad krzywem jego zdaniem, porwał na ustępie w swoje niedźwiedzie łapy i ledwie nie udusił, tak że na krzyk jego publiczność wpadła z ustępowej izby do audyencyonalnej. Drugi podobnie w moich oczach na obiedzie publicznym, z przyczyny uroczystości imienin królewskich danym, obywatela, Józefa Pulikowskiego, do którego miał urazę, porwawszy się od stołu, w twarz uderzył, skrwawił i nogami skopał, że ten ledwie przez kolegów swoich wydarty mu został. Widziałem, gdy oficera polskiego, niejakiego Ostrowickiego, że mu się jego rozmowy nieco mniej religijne nie podobały, w twarz publicznie uderzył, a ten go na pistolety wyzwał. Pan podsędek strzelać się nie chciał, z natrząsaniem się odpowiedział: «Ja bluźniercy Najświętszej Panny w łeb strzelę z okna, jak chrześcijanin, a nie splamię się wyjściem na pojedynek». Oto są wyobrażenia o honorze, o bezpieczeństwie publicznem stróżów praw, wyobrażenia o chrystyanizmie uczniów szkół jezuickich. Znałem wielu jeszcze podobnych, a szczególniej niejakiego Konstantego Janikowskiego, sławnego rębacza i burdę, już nie jednego województwa, lecz całego kraju. Był to jurgieltowany Achates hetmana wielk. koron., Branickiego; był on wzrostu małego, lecz niezmiernie

barczysty, szeroki, karku niesłychanie grubego, twarzy obszernej, zgoła lwiej postaci i siły. Gracz. rębacz, strzelał z pistoletów, jak nikt, i kielichom dobrze podołał; ten mniej był napastliwym, lecz wezwania żadnego nie odmówił, pod tym względem był w całej Polszcze sławny. Bez jego sekundy żaden prawie w kraju nie odbył się pojedynek; w wydarzonym takim wypadku zaraz rozbiegały się sztafety szukać Janikowskiego, a gdzie on się ukazał, strach ogarniał przeciwną stronę, bo już poprzedzała go sława niejednego antagonisty, sprzątnionego ze świata na odbytym pod jego kierunkiem pojedynku. Przecież, gdy tę burdacką broń potrzeba było podnieść w r. 1792 na obronę ojczyzny, mało gdzie napełniły się pułki tymi rycerzami, wychowanymi w szkołach jezuickich, a wielu, którzy wstąpili do szeregów, męstwo odbiegło. Wychowańce szkół, zaprowadzonych przez komisyą edukacyjną, uczniowie szkół pijarskich, szkoły rycerskiej, konwiktów Teatyńskich, Kościuszkowie, Poniatowscy, Mokronowscy, Potoccy, Wielohorscy, Łaźnińscy, Lipowscy, Jerlice i wielu innych łamali zastępy nieprzyjacielskie i krwią swoją hojnie szafowali, a brygada Biernackiego, po większej części złożona z wąsatych burdów, a od białych kapot kapotową nazwana, pierzchnęła pod Dubienką i popłoch rozniosła. Podczas powstania Kościuszki owi rębacze, owe zuchy lubelskie, o których wyżej wspomniałem, cóż zrobili? Jeden, przybrawszy na siebie kaftan z czarnej juchtowej skóry, jak ową zbroję Achillesa, przez całe powstanie przejeżdżał się po ulicach Lublina, werbował podobnych junaków, zbierał legią z trupiemi głowami i z godłem Śmierć lub Zwycięstwo i ani sam na bój wyjechał, ani swej legii nie wyprowadził w pole. Drugi położył się w łóżko i udawał chorego na pedogrę, chociaż na świeżo odbytym sejmiku rąbał się z szlachtą na ulicach. Nie kazał sobie krwi puścić, jak Mokronowski, chociaż o tem słyszał.

Trudno tego bezstronnie nie przyznać, że, jak owa generacya, za dwuch Augustów wychowana, tonąca, że tak powiem, we wszystkich politycznych wadach zeszłych wieków, wyzuta z wszystkich zalet oświecenia, męstwa, wyobrażeń o cnocie i honorze, skażona i spodlona pijaństwem, pieniactwem, rozpustą, fanatyzmem, chciwością, przybliżyła przygotowaną od-

dawna Polszcze przez jej instytucye zgubę i do tego stopnia ohydziła nas w Europie, że nie tylko szacunek, lecz politowanie świata nam odjęła: tak przeciwnie, młode pokolenie, pod Stanisławem Augustem zrodzone i przez komisyą edukacyjną wychowane, przez usiłowania swoje poprawienia wad ojców, przez szlachetne poświęcenie się i wytrwałe zapasy z przygotowanym nam losem, lubo od wielkich błędów politycznych nie wolne, przynajmniej krzywdzącą opinią o charakterze polskim przejednało, szacunek Europy pozyskało i niejedną chwałą naród zaszczyciło. Kto się chce przekonać, czem była szlachta polska za czasów dwuch Augustów, niech czyta Otwinowskiego, kto chce wiedzieć, czem był szlachcic polski, ma jego żywy obraz w pamiętnikach Paska i w jego samego osobie, mniej zaletą męstwa, które były cechą wieku Jana Kazimirza *[tak]* i Sobieskiego, w którym on żył.

b) Kuliki starościny Stanisławowej Kossowskiej.

164) *Tom I, str. 125—128.* Starościna, gotując raz suty kulik do Godowa, mieszkania Łąckiej, kasztelanowej sandomirskiej, uprzedziła ją, że ją z licznem weselem wiejskiem napadnie. Zbierała więc jak najwięcej par, bo sobie zamierzyła najmniej w sto osób tę zabawę wyprawić. Spotkawszy się więc z ojcem moim, tak go prosiła, tak go molestowała, że on, acz poważny i w swoich zasadach obyczajowych do tego stopnia surowy, że nam na żadnych zabawach publicznych, na redutach i jarmarkach znajdować się nie dozwalał, nie oparł się naleganiom naprzykrzonej starościny, nie wzbronił nam należeć do tego kuliku i na stroje wiejskie dał nam pieniędzy. Przysposobiliśmy więc sobie żupany granatowe z karmazynowymi kołnierzami, lamowane śrebrnymi szychowymi galonami, czapki karmazynowe krakowskie, białe ręczniki przez ramiona i w tym ubiorze czekaliśmy na to wesele we Wronowie u Goltza, szambelana niegdyś Augusta III, starca siedmdziesięcioletniego, oświeconego i poważnego, który miał dwie córki niezamężne, już przez starościnę do kuliku zamówione. W tem miejscu, na trakcie między Bełżycami a Godowem położonem, na hasło, przez starościnę wydane, mieli się zjechać ci wszyscy, którzy za Bełżycami mieszkali. Czekaliśmy więc aż do wieczora, już

w kilkanaście sani zebrani, gdy dopiero zmierzchem wszczął się od austeryi wronowskiej krzyk, wrzawa, śpiewy i odgłosy muzyki na dętych instrumentach, trzask biczów i, jak jaki uragan, ta burza, z trzydziestu sani złożona, opadła przed gankiem. Dom ledwie mógł pomieścić ten tłum, udający pijanych chłopów, skaczący lub taczający się po pokojach. Starościna zaraz na wstępie oświadczyła, że ją dwuch członków z kuliku zawiodło i czekać tu na nich musi. Tymi członkami byli dwaj eleganci lubelscy: Trzciński ze Strzyżowic i Grajewski z Jabłonny, pierwszy wysoki, otyły, po francusku bez umiejętności francuskiego języka noszący się, w grzecznościach wyszukany, w chodzie teatralny, w rozmowie wysadny; drugi — konwiktor warszawski, bardzo przystojny, delikatny i przyzwoity. Starościna oczekiwania tego użyła na namowę starca, zacnego i trzęsącego się od starości Goltza, aby się w kulik ten wmięszał *[tak]*. Ani wiek tego starca, ani położenia córek, ani gniewy, łajania i uwagi nic nie pomogły. Musiał sędziwy Goltz dla dogodzenia kaprysom pani na frak włożyć sukmanę i w tym stroju, w peruce niemieckiej na głowie powiększyć kulikowe grono; dozwolonem mu tylko zostało jechać osobno w karecie na saniach z obiema córkami. Gdy już się ściemniało, a starościna nie mogła doczekać się przybycia elegantów, już w pomroku ruszył cały orszak z kapelą na czele i z marszałkiem, wywijającym rózgą, na przodzie. Burza się zerwała, wicher, śnieg, ciemność, jedne sanie mijają drugie, inne najeżdżają i trącają dyszlem, inne się wywracają; weselnicy babrzą się w śniegu, krzyk, wrzask, śmiechy, nie dla jednego bolesny przypadek, dla pani uciecha i radość. Trzeba było las przebywać, musiano pochodnie zapalić. Wtem odezwała się trąbka pocztowa, od ostatnich sanek aż do poszóstnych pani starościny dochodzi głos: «Trzciński, Trzciński, Grajewski»; już starościna woła: «Stój!», zastanawia się cały orszak nie bez przypadków potrącenia dyszlami. Pocztowe sanki przesuwają się i stają obok sanek starościny. Eleganci w trzewikach, pończochach, we frakach, z ufryzowanymi i upudrowanymi tupetami chcą panią witać z sanek. Starościna woła: «Wysiądźcie». Każą sobie podesłać skórę niedźwiedzią i zbliżają się, chcąc pocałować rękę pani, rączka ta, wśród wyrzutów, chwyta za

tupety, gniecie i czuchra. A gdy się wyjawiły trzewiki, pani woła na kapelę, każe grać kozaka i przymusza elegantów tańczyć po śniegu. Nic nie pomogły gniewy, prośby; zaraz hajducy byli na podręczu, musieli się eleganci babrać, zamoczyć i tak śpieszyć do Chodla, miasteczka po drodze, gdzie dla przebłagania pani przebrali się w sukmanki. Napada więc ten orszak z hałasem dom spodziewającej się kasztelanowej sandomirskiej: tańcuje, hula, je, pije przez parę dni, przewraca do góry nogami dom, bo niejedno lustro strącone rózgą marszałkowską, niejeden sprzęt złamany przez rubasznych drużbów. Po odjeździe tego napadu wystawiał dwór obraz nieładu, jakby po rabunku.

Drugi podobny temu kulik wyprawiła starościna o trzy mile do Markuszowa, do wojewody lubelskiego, Hryniewieckiego, wdowca, starca siedmdziesięcioletniego, rządnego gospodarza, żyjącego z przystojną oszczędnością, a że słabowity i spokojny wojewoda na sam odgłos tej burzy, przebiegającej okolice, przelękł się, i to do pani starościny doszło, więc umyśliła mu sprawić niespodziankę, ledwie ją skłoniono, że przez uszanowanie i wieku, i zdrowia, i urzędu wojewody doniosła mu listem o swojej chęci. Przeraził się starzec i o siebie, i o swój pałac, który został świeżo wyreperowany i odświeżony na przejazd Stanisława Augusta. Rządny w domu i zamożny, nie dbał o wydatek, lecz o hałas i nieporządek, których był nieprzyjacielem, chodziło mu. Z początku myślał wyprosić się i ujechać, ale w zimie zawsze zamknięty w ciepłym pokoju i dla obawy paraliżu nie wychylający głowy za próg jego, ujrzał, iż jest koniecznością nieuniknioną przyjąć, i wolał się przygotować, jak *[tak]* być znienacka napadniętym lub obrazić panią; wymówił tylko sobie, aby kulik był bez podkówek od butów. Wpadł więc do niego ten kulik w dzień umówiony, lecz przy drzwiach do wielkiej sali stanęło dwuch hajduków z młotkiem i obcęgami i rozkowywało gości, odrywając drużbom podkówki u obcasów, aby niemi woskowanych posadzek nie porysowali. Wojewoda, chociaż sędziwy, lubił młode i piękne twarze, a było ich dosyć. Gościnność i ciekawość przemogły w nim bojaźń o zdrowie. Drzwi od swego pokoju kazał narozcież otworzyć, aby się mógł temu udanemu weselu przypatrzyć. Ubrany

w żółte buty, żupan biały dymowy, kacawejkę takąż żółtego koloru z niebieskimi atłasowymi wyłogami, z twarzą podwiązaną białą chustką pod brodę, z głową łysą, okrytą czarną atłasową czapeczką, jakby księżą, papalinką zwaną, uważał przesuwające się pary, a gdy spostrzegł jaką twarz ładną, wypadał do sali, jak pająk z pajęczyny, czyhający na muchę, łapał, całował i ściskał; jakoż tak się rozochocił, że przez dwa dni kulik w swym domu zatrzymał.

c) Galicya pod panowaniem austryackiem.

165) *T. I, str. 248—252.* Kiedy tak dwie części Polski, Galicyą przecięte, współubiegały się z sobą w okazywaniu, gdzie lepiej, Galicya, jakby śmiercią ozioniona, wystawiała obraz trupa skościałego, martwego, którego obsiadło drobne a dokuczliwe robactwo, które dręczyło świerzbieniem nieznośniejszem od samego bólu. Chociaż pod zwierzchnikami słusznymi, oświeconymi i łagodnymi (bo oddajmy sprawiedliwość tam, gdzie się należy), niższa biurokracya rozpostarła się po składach, sądach i cyrkułach i rządzić zaczęła w sposób najdokuczliwszy; składała się ona bowiem z samych ubogich, zgłodniałych, chciwych, przekupnych cudzoziemców i, wyznajmy na nasz wstyd, i ze zniemczonych Polaków; bo się do niej w pierwotnych wyborach podłością, intrygami powciskało wielu Targowiczanów, nawet w grono sędziów i komisarzów cyrkularnych, lub też anty-Polaków w Galicyi wschodniej, znanych rodakom z mniej chlubnego postępowania. Ta biurokracya, panująca zawikłanemi formami systematu rządowego, wówczas przyjętego, w te formy samych zwierzchników wikłała i trętwiła ich dobre chęci, była zaś czasem szczęściem, czasem nieszczęściem tak przekupną i łakomą, że samych zwierzchników sprzedawała i że, czego doprosić się trudno było, nietrudno było kupić. Używali tych środków źli na ucisk dobrych, dobrzy ze wstrętem na swoją obronę lub ocalenie. Wylęgła się też nowa, temu krajowi nieznana, a z Galicyi wschodniej przeniesiona arystokratyczna potęga adwokatów, która za wzorem Józefa Dzierzkowskiego i Węgleńskiego we Lwowie uorganizowała między sobą dyktatoryalne biura pieniactwa i przekupstwa sądów, z czego w dostatki, przewagę i znaczenie rość

zaczęła. Zachwiały się fortuny prywatne, otworzyły się targi na nie w biurach pysznych adwokatów, kto więcej ofiarował adwokatowi nagrody i przez niego jurgieltowanym sędziom. Zaczęły się więc gorszące sprawy dzieci przeciw rodzicom, dochodzenia synostwa u matek, wpieranie się w synostwa u bogatych ojców. Tak pieniactwo polskie dawne zostało karłem przy ówczesnym olbrzymie austryackim. W Polsce jawność obron w sądownictwie hamowała bezwstyd i bezczelność i pieniaczów i ich obrońców; tu skrytość i sekret referatów skutecznie usługiwały wszystkim najwystępniejszym nadużyciom. Czem był Węgleński we Lwowie, tem był w Krakowie Osławski, a w Lublinie niejeden mu podobny. Byli wprawdzie na czele *forum nobilium*, od samego początku do końca tego rządu, słuszni ludzie i dobrzy Polacy, którzy się ani rodu swojego, ani pochodzenia, ani sposobu szlachetnego myślenia nie wyrzekli, jak najpierwszy Pietruski zacny, jeszcze z prawdziwej Polski obywatel, jak Gołaszewski, brat czyli imiennik biskupa przemyskiego. Oba oni, jak się nie wyzuli z uczuć polskich, tak nawet sukni narodowej nie zmienili. Przeciął ich urzędowanie Wittford, Niemiec rodem, mniej przyjazny Polakom, lecz sprawiedliwy; nastąpił po nim Michałowski, człowiek dobrze wychowany, który w obywatelstwie powszechną wziętość pozyskał i z honorem urzędowanie przy rozwiązaniu rządu zakończył; czuli ci zwierzchni urzędnicy złe, lecz go odmienić nie mogli. I administracya cyrkułów od początku swojego zaprowadzenia nie była bez słusznych ludzi na czele. Wyjąwszy pierwszego kreiskapitana Sierakowskiego, zniemczonego Polaka, i do tego stopnia napojonego przesądami i uprzedzeniami przeciw własnemu rodowi, iż mawiał: «Gdybym wiedział, że mam w sobie jedną żyłę polską, tobym ją sobie wypruć kazał», — taka nienawiść rodowa obudzała pogardę ziomków, nie jednała szacunku obcych. Po nim nastąpił Smeltz, osiwiały starzec, i baron Mandorff, z Zamościa do Lublina przeniesiony. Oba postępowaniem swojem nie tylko nie zasłużyli na złe wspomnienie, lecz zjednali sobie poważanie powszechne. Ostatni doświadczył w trudnych i niebezpiecznych dla rządu austryackiego chwilach, że Polacy mają serca wdzięczne. Atoli to umiarkowanie w postępowaniu było jedynie zasługą osób, a nie

systematu biurokracyi demokratycznej, która w trzech pierwszych latach swego panowania szczególniej uciążliwą się okazała, dopóki się nie wypasła i w swej zawziętości do szlachty polskiej nie spostrzegła, nie zmordowała i dopóki się z nią nie pojednała. Właściciele też majątków zrozumieli dopiero wtenczas, czem ją ująć mogli i pogodzić z sobą, wtenczas wytłómaczyli sobie jej dawniejszą skwapliwość do mnożenia projektów, wyjednywania patentów, które niedołężnie wykonywano. Z początku, jak grad, leciały z biur urządzenia, przepisy, zjeżdżały ledwie nie codzień komissye dla wybadywania włościan, a często dla burzenia ich przeciw panom. Co rok następowały konskrypcye wojskowe, co rok zmiana w podatkach, od których usuwania się sami oficyaliści, mający je wybierać, uczyli kontrybuentów i skuteczne przedstawiali środki. Na przełożenie biskupa krakowskiego, Gawrońskiego, wydano patent, wracający dziesięciny wytyczne, mimo praw polskich i nastąpionych układów; sami się utworzyciele tego patentu przelękli zapaloną wojną i nienawiścią, nie tylko między szlachtą, lecz całą ludnością wiejską a jej duchownymi pasterzami, i wkrótce odwołać go musiano; to samo działo się z wielu innemi tego rodzaju rozporządzeniami, które, acz po polsku tłómaczone, były równie w tłómaczeniu, jak w oryginale, tak ciemne, tak zawikłanie pisane, że ich nie tylko Polacy, lecz sami wykonawcy Niemcy zrozumieć nie mogli. Szły więc koleją objaśnienia, ciemniejsze od samych urządzeń. Dodajmy do tego, iż żadnej gazety w kraju nie było prócz niemieckich, żadnych wiadomości prócz podpadających pod oko, jako to aresztowanie Ignacego Potockiego, marszałka Małachowskiego, Piramowicza i Zakrzewskiego, o czem dopiero wieść gruchnęła, gdy ich pod strażą prowadzono do Krakowa.

Tak w tych początkowych trzech latach, w których w sąsiednich państwach współubiegano się, jakby zatrzeć pamięć surowości i prześladowania i jakby ująć sobie i przejednać serca Polaków, tu przesadzone dokuczania winą niższych urzędników aż do śmieszności wzrastały. Nie tylko z akt, z pism, z kalendarzów, z gazet wymazywano imię Polski i wszelkie o niej wspomnienia, ale wydano urządzenia, zakazujące Najświętszą Pannę mianować królową polską i grożące karą tym,

którzyby się do niej pod tem godłem modlili. Takie postępowanie jątrzyło rany mieszkańców, a cieszyło sąsiadów. Kiedy też wojska rossyjskie trzy razy przechodziły przez Galicyą, niosąc pomoc cesarzowi Franciszkowi przeciw Francyi, raz za cesarza Pawła I, pod Suwarowem dążąc do Włoch, dwa razy pod cesarzem Aleksandrem w drugim pochodzie na tę wojnę, którą bitwa austerlicka na czas zawiesiła, wojskowi rossyjscy mieszkańcom polskim i urzędnikom-Polakom okazywali względy przychylności i z największą z nimi zachowywali się przyzwoitością, jakgdyby chcieli ich ująć i okazać im różnicę usposobienia, jakiem przyjęci byli, od tego, które im rządzący nimi objawiali.

d) Wojska polskie w Lublinie.

166) *Tom II, str. 16—19.* Po upływie dni kilku napełniły Lublin radością wiadomości od wojska i z Warszawy. Arcyksiąże Ferdynand opuścił stolicę Księstwa, a rząd polski z Torunia wrócił do niej. Zamość szturmem wzięty. Ułatwił jego wzięcie Domański, rządca ordynacyi, przystawieniem drabin. Pułkownik Pulsky bronił się walecznie, lecz garnizon, złożony z samych prawie rekrutów galicyjskich, do 3000 wynoszący, rozstawiony na wałach, gdy ujrzał Polaków, wdzierających się na mury, podawał im bagnety i wciągnął do fortecy. Pulsky, raniony, poddać się musiał. Sandomierz zdobyty został przez jenerała Sokolnickiego, nie bez straty, bo legł książe Marcelli Lubomirski, waleczny młodzieniec. Pułkownik Strzyżewski zapędził się pod Jarosław, zdobył niezmierne zapasy ubrań wojskowych, miedzi i żelaza. Jenerał Rożniecki wszedł do Lwowa i rząd polski zaprowadził. Wśród tych pomyślności zbiegli się do Lwowa wszyscy znakomitsi obywatele wschodniej Galicyi: Stanisław ordynat Zamojski, Henryk Lubomirski, Tarnowski, Lewicki i innych wielu. Książe Józef, widząc się panem Galicyi, objął ją w imieniu Napoleona i rząd dla niej centralny ustanowił z Stanisława Zamojskiego, jako prezesa, Lewickiego, Dzierżkowskiego, Józefa Wielhorskiego, Miączyńskiego, Matusewicza *[tak]*, Franciszka Grabowskiego, Jana Tarnowskiego i do spraw duchownych księdza Józefa Koźmiana, podówczas scholastyka lubelskiego, przeznaczył; do pomocy dodano im Dąbskiego, Orzechowskiego, Fredrę i innych,

a na sekretarzy Maksymiliana Lewickiego i Izydora Piotruskiego, młodzieńca znakomitych talentów i zdolności. Przyznać potrzeba, że ten wybór był jeden z najlepszych, bo powołał do władzy mężów, najznakomitszych patryotyzmem, cnotą, światłem i powszechną u ziomków wziętością. Rząd ten natychmiast przystąpił do obsadzenia cyrkułów prawymi i zdolnymi obywatelami, i ich wybór zupełnie odpowiedział dobru rzeczy publicznej. Na wstępie rozkazano wszędzie zbijać lub zdejmować orły austryackie, a na znak, że ten kraj podchodzi pod władzę Napoleona, polecono zawieszać orły francuskie. Wszędzie odbywały się nabożeństwa i uroczystości. W Lublinie prawie niepodobieństwem było zbić tak prędko orła z gipsu, wyrobionego na facyacie ratusza w rynku, zbyt wysoko umieszczonego. Zbyt trudno i zbyt kosztownie było budować rusztowanie. Znalazł się ochotnik z czeladzi rzemieślniczej, chłopiec czternastoletni, który z młotkiem i oskardą w ręku dał się uwiązać pod pachy i, wpół na postronku trzymany przez kilkunastu ludzi, unosił się w powietrzu z niebezpieczeństwem życia. Przez dwie godziny póty kował austryackie znamie, póki go zupełnie nie zagładził i na jego miejsce orła francuskiego z poklaskiem przypatrującego się ludu nie zawiesił. Dnia tego był wielki obiad u jenerała Hebdowskiego, na którym czytałem odę moją, prawie w kilka godzin napisaną. Są w niej błędy pośpiechu, lecz czytanie to zrobiło niejakie wrażenie. Jenerał Hebdowski był znawcą i miłośnikiem literatury. Posłano tę odę rządowi centralnemu do Lwowa. Wtedy przytomny Stanisław Małachowski, potem jenerał i kasztelan, szukał ze mną znajomości, sam z kilku uprzejmemi słowami przystąpił do mnie, i odtąd zawiązała się między nami 40-letnia niezachwiana przyjaźń. Odebrał moją odę rząd centralny we Lwowie, lecz *inter arma silent musae*. Byłaby może dotąd nie widziała światła, i możebym następnych po niej nie pisał, gdyby szczęśliwem wydarzeniem nie była wpadła w ręce Józefowi Dzierżkowskiemu, znakomitemu literatowi, znawcy i miłośnikowi poezyi. On przerzucając korrespondencye rządowe, znalazł ją, a przeczytawszy, wniósł na posiedzenie rządu i przedeklamował. Usta więc jego rozsławiły ją. Posłano ją do głównej kwatery księcia, Józefa. Tam przyjętą była dobrze, czytaną i powtarzaną w stro-

fach przez młodych oficerów, nareszcie prezes rządu centralnego drukiem ją ogłosić kazał.

Po mnie napisał na tę samą uroczystość, jak ja, Lublinianin, Antoni Wybranowski, wiersze, które miały w sobie ten koncept, iż «to nie jest orzeł francuski, lecz polski, pióra tylko białe na złote odmienił». Doświadczyłem więc tego upokorzenia w Lublinie, że unoszono się nad tymi wierszami, jako celującymi dowcipem.

e) Stanisław Potocki.

167) *Tom II, str. 72—74.* Prezesem Rady Stanu Księstwa Warszawskiego był Stanisław Potocki, mąż uczony, wielki miłośnik nauk i najcelniejszego wykształcenia; przez wielkie i długie doświadczenie, przez piastowanie pierwszych w kraju za Rzeczypospolitej polskiej dostojności znający i umiejący prowadzić liczne i drażliwe zgromadzenia. Nikt nad niego zdolniejszym na prezesa nie był, nikt go w tem miejscu zastąpićby nie potrafił. Przytomny, baczny, wymowny, bystro pojmujący toczące się sprawy, cierpliwy, a zawsze grzeczny, umiał piastować godność tej najważniejszej instytucyi. Nie wiem prawdziwie, czy łatwiej jest kierować głupimi, czy mądrymi ludźmi. Czytam w Wirgiliuszu:

Fremit ignobile vulgus, iam sacra volant.
Lecz gdy się ukaże mąż *insignis pietate,*
Ille regit dictis animos et pectora mulcet.

Z mądrymi podobno trudniejsza jest sprawa; ileż pretensyi, ile próżności, jaka drażliwa miłość własna, jak niełatwy przystęp do nich najjaśniejszej prawdzie i najsłuszniejszemu przekonaniu! Przecież Potocki te wszystkie sprzeczne żywioły unosić, łagodzić, skłaniać, zniewalać porywającą wymową i trafnością umiał. Posiadał on rzadki dar godzenia zdań, i to do tego stopnia, że, gdy po skończonych sporach wszystkie przeciwne zdania w jednym obrazie wystawiał i z nich większości sąd wyprowadzał, ci, za których przekonaniem skłonił się, silną w mowie jego wynajdowali podporę, a tych, których opinii nie potwierdzał, tak usprawiedliwiał powody, tyle ich sam wynajdował, że obie strony zadowolone chętnie do zgody przychodziły. Nigdy nie używał powagi, zawsze perswazyi uprzejmej i do przekonania trafiającej. W licznem gronie niepodobna było wymagać rów-

nych zdolności: większa część członków była takich, których miło było słuchać i uczyć się od nich; ci bez koniecznej potrzeby nie mówili, ale najczęściej ci głos zabierali, którzy milczeć byli powinni. Niejeden miał oświecony umysł, serce prawe, pojęcie łatwe, ale mu natura łatwego się wysłowienia odmówiła, przecież nieraz miłość własna wyprowadziła go na plac nierównej walki z ludźmi utalentowanymi i wymownymi. Przy każdej rozprawie najwięcej mówił Staszic, najczęściej i prawie zawsze Kochanowski. Obydwom nie dostawało daru wysłowienia, lecz Staszic, choć z trudnością się tłómaczył, wiedział zawsze, czego chciał, i stawał się zrozumiałym. Kochanowski, spór wiodąc, wikłał się i częstokroć, zabrawszy większą połowę czasu, tak się sam mnóstwem nie wyjaśnionych myśli zabałamucił, iż nie spostrzegł, że, przeciw czemu spierał się, tego właśnie wbrew samemu sobie dowodził. Ja sam w początkach sprawozdania mego urzędu, szanując w nim wiek i doświadczenie, a nie znając namiętnej słabości gadulstwa i sprzeczania się, nieraz podług jego opinii poprawiając redakcyę referatu lub projektu, musiałem prawie cały mazać, a przy końcu powrócić do zmazanych artykułów, pod jego dyktowaniem słowo w słowo je umieszczając, dopiero ostrzeżony przez moich kolegów, a zwłaszcza przez Matusewicza *[tak]*, skwapliwie moją cierpliwość zmieniłem i uniknąłem podwójnej pracy.

f) Nadzieje Staszica.

168) *Tom II, str. 235—237.* Staszic więc, mianowany przez cesarza radcą stanu, dyrektorem jeneralnym przemysłu i kunsztów w komissyi spraw wewnętrznych, a w komissyi oświecenia członkiem, z zwykłą sobie pracowitością zajął się oświeceniem, naukami, kopalniami żelaza, cynku, soli, fabrykami, drogami. Minister spraw wewnętrznych, Mostowski, minister oświecenia, Potocki, tym samym przejęci duchem wydobycia kraju z ubóstwa i stworzenia jego zamożności, namiestnik, pragnący wsławić rządy swoje pomyślnością mieszkańców i ozdobieniem ojczystej ziemi, znaleźli w nim gorliwego, czynnego i oświeconego pomocnika, doradcę i wyręczyciela. Wszyscy trzej mu ufali, podziwiali pracę, szacowali i poważali osobę; jakoż pod jego kierunkiem, nieugiętą i niezmordowaną gorliwo-

ścią zaczął kraj kwitnąć i wzmagać się widocznie. Namiestnik tem szczerzej, tem stalej przywiązywał się do niego, że w jego pismach objawiony systemat połączenia Polaków z Rossyanami, jako jedyny środek zbawienia i zachowania tego, co nadspodziewanie przez wspaniałomyślnego monarchę narodowi udzielonem zostało, spotykał się i zgadzał z namiestnika mocnem przekonaniem. Razu jednego, jadąc wraz z Staszicem w jednym pojeździe do Targomina na obiad do ministra Mostowskiego, dokądeśmy się co niedziela udawali, zapytałem go, dlaczego rząd takie miliony trwoni na ozdobienie Warszawy, która w ubogim i małym kraju tak wyglądać będzie, jak głowa ufryzowana na łachmanami okrytem ciele. Odpowiedział mi: «Nie zaniedbujemy i kraju, lecz cóż to, nie zgadujesz jeszcze przeznaczenia Warszawy pod berłem rossyjskiem? To miasto przez swoje jeograficzne i polityczne położenie jest przeznaczone być trzecią, a może główną stolicą wielkiego, w jedno ciało zrzeszonego, pod jednem potężnem berłem słowiańskiego rodu. Tu się rozstrzygną losy Europy zachodniej. Pozwoliła na rozbiór Polski, musi służyć mocniejszemu, zaniedbała mieć z Polaków sprzymierzeńców, będzie miała ze wcielonych w Słowiańszczyznę panów. Kostka jest już rzucona. Spajajmy się z Rossyą i oświecajmy, bierzmy od niej potęgę, ona niech bierze od nas oświecenie».

Staszic wpływu swego użył nie tylko na dobro kraju, ale i swojej hrubieszowskiej osady. Zamyślając bowiem ludność jej uposażyć dziedzictwem gruntów, oswobodzić ją i w niej podać wzór, jakby życzył mieć cały kraj urządzony, wypracował ustawę dla tego towarzystwa liberalną, ludzką, wspaniałą, w niej przezornym umysłem nakreślił urządzenia, zabezpieczające jej zakwitnienie. Wyzuł się z całego swego bogatego majątku, a ludzkość zrobił jego dziedziczką i przez przychylnego sobie namiestnika, równie jak przez Sobolewskiego, ministra sekretarza stanu, wyjednał potwierdzenie jej przez cesarza. Niestety! o ile ta ustawa i ten czyn wspaniały dobroczyńcy znalazł uwielbienia u cnotliwych, oświeconych i ludzkich właścicieli po kraju, o tyle w okolicy Hrubieszowa w niektórych ciemnych i zatwardziałych samolubcach spotykał uwłóczycieli, przeciwników i takich, co obmową i czynami za zawodne w swoich spodziewa-

nych skutkach, święte i jedyne dzieło udawać, rozgłaszać i poniżać w opinii ziomków przedsięwzięli *[tak]*. Staszic gorszył się z tych niecnych zamachów. Lecz, poddawszy swoją rzeczpospolitą pod opiekę rządu, a szczególniej komisyi spraw wewnętrznych, w której zasiadał i w której był pewnym jednego z sobą zdania dyrektora administracyi, do którego wydziału szczególniej ta opieka należała, wspólnie z nim czynnie i gorliwie czuwał, aby bądź z strony sąsiadów towarzystwa hrubieszowskiego, bądź ze strony urzędników ustawa jego najmniejszego nie poniosła uszczerbku, owszem, za życia jego i pod jego okiem coraz pomyślniej się rozwijała w skutkach swoich i w celach prawodawcy.

g) Król saski.

169) *Tom II, str. 336—342.* Podczas urzędowania mego dwa czyli trzy razy król saski zwiedził Warszawę, przyjazd jego nie był żadnem utrudzeniem kraju, jechał pocztą z nielicznym orszakiem, poprzedzony na dni kilka dworem dla ulżenia poczcie. Jechał, jak widziałem, w lecie w otwartym pojeździe, w płaszczyku płóciennym na mundurze kadeckim, w kapeluszu, którym z uśmiechem kłaniał się biegnącemu i wołającemu *vivat!* pospólstwu. Byli tacy, co taki wjazd króla znajdowali zbyt skromnym i przypisywali go wygórowanej oszczędności. Wystawa Polakom zawsze się podoba i ujmuje. Odpowiadali im rozsądniejsi: «Dziękujcie Bogu, że macie takiego króla, który dla siebie żałuje wydatków, a dlatego siedm milionów należącej mu ze skarbu pensyi nie tyka się i zostawia ją na potrzeby kraju; nie otacza go służba ugalonowana i bogata, lokaje jego przyzwoicie okryci, wygodnie umieszczeni, opaśli i zestarzali w służbie, są świetniejszym orszakiem tego dworu, bo reprezentują majestat władzy, rozlewającej szczęście około siebie».

Podczas bytności króla bywały zebrania u dworu, o których marszałek dworu publiczność uprzedzał; powszechnie bywały wieczorem. Wolny był wszystkim w mundurach przystęp. Damy znakomite, już znajome królowi lub pragnące się przedstawić, stawały w półkole po jednej stronie, mężczyźni po drugiej, marszałek dworu ustawiał, zapytywał o imiona i ułożoną koleją szykował. Przed audyencyą przechadzano się, śmiano i gło-

śno rozmawiano z pewnym rodzajem swobody i ufności; gdy godzina nadeszła, drzwi rozwarły się od gabinetu króla, marszałek nadworny, Jan Małachowski, z laską w ręku ukazał się pierwszy, powtarzając głośno: «Mości panowie, król Jego Mość idzie». Wszedł za nim król, królowa, księżniczka Amelia, otoczeni szambelanami, ministrami saskimi i polskimi, i obchodzili najprzód półkole żeńskie, potem męskie; równie król, jak królowa, przedstawionym czynili zapytania; z uprzejmością rozmawiali, nikt nie odszedł bez usłyszenia z ust ich kilku słów uprzejmych. Następnie król siadał przy stoliku do gry w wista, szambelanowie obnosili wezwania osobom, przeznaczonym do partyi z królem i królową; skoro się ułożyła partya, publiczność przytomna zaczęła chodzić, rozmawiać, gwarzyć, czasem zbyt głośno śmiać się, co sprawiało taki hałas, iż Małachowski, marszałek, stojący przy stoliku króla, musiał kilkakrotnie stuknięciem laski przypominać głośno gwarzącym obecność króla. Król z uśmiechem rzekł nieraz do niego: «Daj Wpan pokój, niech się bawią», i zdawał się czuć i okazywał na twarzy wewnętrzną pociechę, że się jego władzy nie boją, lecz ją otaczają ufną swobodą. Zwykle przed północą kończyła się partya, i królestwo odchodzili. W czasie takiego wieczora roznoszono wyborną orszadę i limonadę, która zyskała nazwisko poczciwej limonady saskiej.

Podczas bytności króla, czyli przy sejmie, lub też przy innej okoliczności, trzy razy na tydzień w zamku odbywały się sessye Rady stanu, na których rozmaite rozbierano projekta i urządzenia; król zwykle na nich osobiście prezydował. Zbierano się powszechnie po lewej stronie sali wielkiej, w pokoju obszernym postawiony był długi stół, zielonem, cienkiem suknem okryty i krzesłami nakoło otoczony; dla króla na początku stołu umieszczone było na stopniu krzesło wielkie, aksamitem karmazynowym obite. Stolik, równie zielonem suknem okryty, odsunięty na kilka kroków ku drzwiom od stołu Rady stanu, był przeznaczonym dla refferendarzy i sekretarza. W początku Księstwa Warszawskiego refferendarze zasiadali na końcu Rady stanu, lecz król, dowiedziawszy się, że za dawnej Polski refferendarze kor. w Radzie nieustającej mieli osobne umieszczenie i stolik, polecił i w Księstwie Warszawskiem wyznaczyć osobne i oddzielne miejsce tym urzędnikom, co się niezmiernie nie po-

dobało Linowskiemu i Staszicowi. Król zły humor tych panów leczył wyniesieniem ich na radców stanu. Gdy ostrzeżono, że król ruszył się z swego gabinetu, zwykle przed godziną drugą, cała Rada stanu *in corpore* wychodziła do wielkiej sali naprzeciw niego i wprowadzała go. Zwykle był ubrany w mundur kadecki z gwiazdami, wstęga niebieska pod frakiem, w trzewikach, pończochach, kapelusz stósowany, białemi strusiemi piórami obłożony, trzymał pod pachą; gdy zasiadł na krześle, minister sekretarz stanu Breza z teką i papierami usiadł naprzeciw króla na końcu stołu, ministrowie koleją wydziałów, a radcy stanu koleją nominacyi obsiedli stół. Pan Stanisław Potocki zaczynał szereg zasiadających po prawej stronie, minister Łubieński po lewej, refferendarze podobnie swój oddalony stolik obsiedli. Przeczytawszy minister sekretarz stanu protokół ostatniego posiedzenia, odczytał następnie kolej przychodzących pod rozbiór projektów, król po zapytaniu ministrów oznaczył, jaki projekt ma być wniesiony, wezwany więc przez ministra sekretarza refferendarz stawał przed królem i stojący czytał referat. Członkowie Rady, przymawiać się pragnący, prosili króla o pozwolenie i porządkiem zaczynała się dyskussya, król cierpliwie słuchał, przymawiał się, uwagi czynił po polsku, mówił bowiem naszym narodowym językiem nieco trudno i powolnie, ale razem starannie, gramatykalnie i jasno. Gdy który z radców Rady stanu, chcąc być lepiej zrozumianym przez króla, wpadł w rozprawę językiem francuskim, co się najczęściej Kochanowskiemu trafiało, król przerywał, mówiąc: «Proszę po polsku, bo pan Rządkowski nie rozumie». Zdarzało się, iż, gdy dyskussya długo trwała, ten pan, umordowany, czasem zadrzymał; o godzinie czwartej, zajrzawszy na zegarek, zamykał sessyą i wychodził tym trybem, jak przyszedł. Po odejściu króla dwuch kamerdynerów wnosiło stoliki i na dwuch wielkich tacach obfite śniadanie z suchych konfitur, szynek, likworów i w czterech małych buteleczkach spleśniałych stare wino, jeszcze od Augusta II zachowywane, wszystko z apetytem zmiecione bywało, a szczególniej stare wino, jako nader rzadkie. Na jednem z takowych posiedzeń doświadczyłem tego świątobliwego i dobrego monarchy rzadkiej względem siebie delikatności. Byłem referentem projektu o egzekucyi podatków, który był wniósł do Rady stanu

minister skarbu Węgleński; w przekonaniu mojem uznałem go do zamierzonego celu nieskutecznym, a zatem niepożytecznym i niepotrzebnym. Za tą opinią moją poszła cała Rada jednogłośnie; gdy do króla przesłany został, minister, poparłszy w nowem przełożeniu swoje powody, upraszał króla, mimo opinii Rady stanu, aby projekt jego zamienił w dekret. Król całą ekspedycyą wrócił do Rady stanu, zastrzegając, aby całą rzecz zatrzymała do przybycia króla do Warszawy, gdyż tę materyą chce mieć rozbieraną w obecności swojej. W przytomności króla wezwany zostałem do przygotowania i wniesienia na Radę stanu projektu i przedstawień ministra. Gdy przeczytałem referat przed królem i Radą, król, uczyniwszy kilka uwag *pro* i *contra*, zapytał się Rady stanu o zdanie. Po skończonej dyskussyi, gdy król spostrzegł niezmienną opinię członków przeciw projektowi ministra, zapytał mnie: «Jakież Wpana jest zdanie?». — «Ja, Najjaśniejszy Panie, nie mogę mieć tu zdania, a opinią moją wyraziłem w moim referacie». — «A więc się Wpan upierasz przy swojej opinii?» Na to ja zamilkłem, lecz, pokłoniwszy się z uszanowaniem, odszedłem na swoje miejsce. Uważałem, że król potem kilka minut rozmawiał z panem Stanisławem Potockim, a następnie, oświadczywszy, że potwierdza opinią Rady stanu, zamknął posiedzenie. Przechodząc około stolika refferendarskiego, z uprzejmą łagodnością spojrzał na mnie i skłonił się; gdy, odprowadziwszy monarchę do jego gabinetu, wróciliśmy na posiedzenie, pan Stanisław Potocki, wziąwszy mnie pod rękę, rzekł: «Wiesz, że król myślał, iż cię uraził, i pytał mi się, czy się dobrze wyraził, chcąc wiedzieć, czy i ty tego samego jesteś zdania. Wytłómaczyłem mu, że słowa: u p i e r a s z s i ę używa się na naganę. Odpowiedział mi: «Więc się źle wyraziłem». Tego samego dnia wieczór odebrałem od ministra sekretarza stanu, Brezy, bilet następującej treści: «Król Jego Mość, wysyłając mnie w podróż, rozkazał mi wezwać refferendarza stanu K., aby mnie zastępował w trzymaniu protokółu na Radzie stanu, a to w dowód swego ukontentowania z jego prac publicznych». Zastępowałem więc przez parę dni ministra sekretarza stanu, chociaż młodszym byłem od innych, a ta łaska królewska stała się dla mnie tak chlubną, tak drogą, iż żaden zaszczyt, order lub tytuł przewyższyć jej w pamięci mojej i uczuciu wdzięczności

nie mógł. Co za delikatność, jaka znajomość ujmowania sobie serc! W kilka dni hrabia Senft Pilsach, minister interesów zagranicznych, wezwał mnie do siebie i oświadczył mi życzenie króla, abym wszedł do deputacyi, w celu regulowania summ Bajońskich wyznaczonej, a której członkowie na system zgodzić się nie mogli i ciągle o ten system spory między dwoma Wyczechowskimi i prawnikami pruskimi a Kochanowskim, radcą stanu, spóźniały skutek. Króla ktoś uprzedził, iż ja mam ścisłą przyjaźń z Kochanowskim i mogę wpływem swoim przyłożyć się do zgodnego uregulowania przedmiotu; przyjąłem z uszanowaniem i z chęcią królewski rozkaz, nie ręcząc za skutek. Król, ujrzawszy mnie na publicznej audyencyi, przystąpiwszy do mnie, z uśmiechem łaskawości rzekł do mnie: «A ja Wpanu znowu nową pracę dałem». — «Obym tylko, Najjaśniejszy Panie, znalazł w sobie tyle zdolności do spełnienia woli W. K. Mości, ile mam chęci». — «Wpan to dobrze zrobisz». Powiodło mi się, deputacya trafiła nakoniec na środek, godzący rozróżnione opinie, i projekt królowi przedstawiony został. Odtąd przy każdej audyencyi król z łaskawem czołem przystępował do mnie, a Senft Pilsach oświadczył mi, że król czeka tylko najpierwszej sposobności okazania mi dowodu swego ukontentowania. Nie taję, że do tej opinii o mnie wiele się przyłożyła opinia i względy dla mnie ministra francuskiego, Serry, a szczególniej Stanisława Zamojskiego, wojewody, Tadeusza Matusewicza *[tak]*, mego przewodnika i przyjaciela, Małachowskiego marszałka, Wielhorskiego, lecz, lubo czystą moją chęcią służyłem krajowi, nie dla wyniesienia, nie dla nagród, te pochlebne dla mnie nadzieje przerwały się wraz z nową dolą Księstwa Warszawskiego, które do innej sfery przeznaczeń powołanem było, i już przygotowania do przyszłych swoich losów i w umysłach, i na ziemi Księstwa czuć się dały.

h) Dzień 29 listopada 1830 r.

170) *Tom III, str. 469—474.* Zmierzchać się zaczęło; wyszedłem od Radoszewskiego, zostawiwszy przy nim jenerała Kosseckiego i Łubińskiego, szwagra jego; wieczór był posępny i wietrzny; idąc ulicą pod domami lewej strony, spostrzegłem środkiem ulicy żołnierza pieszo, biegnącego w ubraniu, jak

na paradę, z bronią i tornistrem, i pytającego: «Gdzie batalion?» w kierunku ku arsenałowi. Usłyszałem krzyk po sieniach: «Zamykajcie domy!»; z jednej sieni wypadła na ulicę kobieta, łamiąc ręce z krzykiem: «A moje dzieci! a moje dzieci!» Przechodząc koło niej, zastanowiłem się i zapytałem: «Co to jest?». Oburknęła się na mnie i drzwi zatrzasła. Przyśpieszonym krokiem mijając ulicę Rymarską, spostrzegłem już stojący batalion przy domu bankowym, a wchodząc na Tłómackie, spotkałem kilka grup ludzi, idących i głośno rozmawiających: «Rewolucya w mieście!» Wchodząc na ulicę Bielańską, spotkałem dążący do pałacu Kossowskich, kwatery jenerała Lewickiego, pojazd próżny, na którym płaszcz jego leżał, za pojazdem jechał Kozak; ledwie mnie minęli, w kilka minut usłyszałem strzał, powiedziano mi później, iż spadł od niego Kozak z konia. Żywiej więc śpieszyłem do Frenkla domu, gdzie mieszkałem; gdy zadzwoniłem do bramy, odźwierny otworzył i przestraszony odezwał się: «Niech pan prędzej śpieszy, bo rewolucya na mieście». Na dziedzińcu domu zastałem pojazd pani Józefowej Krasińskiej i dorożkę Sierakowskiego, radcy stanu. Wszedłszy do salonu pomieszany, zastałem rozmawiających najspokojniej wszystkich i czynione przygotowania do herbaty, gdy się odezwałem, że rewolucya w mieście, kobiety, myśląc, że je chcę straszyć, śmiać się zaczęły, a gdy z miną seryo powtórzyłem, Sierakowski najspokojniej odezwał się: «Gdy wyjeżdżałem z pałacu pani Stanisławowej Potockiej, słyszałem jakiś szum i hałas na Krakowskiem Przedmieściu, ludzie biegli ku Belwederowi, zapewnie tam jakaś awantura wynikła». W tym momencie wpada lokaj p. Józefa Krasińskiego z biletem do żony: «Natychmiast przyjeżdżaj do domu, lecz nie jedź Krakowskiem Przedmieściem, ale boczną ulicą». Przelękniona pani Krasińska wsiadła natychmiast do pojazdu i pośpieszyła. Sierakowski chciał wyjeżdżać, zatrzymałem go. W kilka minut wpada mój synowiec Stanisław, uczeń uniwersytetu, i prędko w kilku słowach przestrzegł nas, że rewolucya wybuchła; chciałem go wybadać, lecz on śpieszył się i zniknął nam z oczu. Jego opowiadanie przeraziło kobiety, uspokoiłem je, a sam, zatrzymawszy Sierakowskiego, gdy się kobiety spać pokładły, siadłem w moim pokoju w krześle, zapaliłem lulkę i tak przesiedziałem do białego dnia, patrząc na łunę z palących się

koszar za domem Komisyi spraw wewnętrznych. Sierakowski zaś najspokojniejszym snem chrapał, a rano, przebudziwszy się, rzekł do mnie: «To jakieś głupstwo, które się kozą zakończy».

Tymczasem zaczęli się do mnie schodzić, to z biura mego sekretarze, to przyjaciele, a każdy inną i często sprzeczną donosił wiadomość; lecz śmierć tylu jenerałów i krwawa scena w Belwederze już nam wątpić nie dozwalały o ważności zaburzenia.

Wtem wszedł do mnie stary jenerał niegdyś legionów polskich, mój powinowaty, Andrzej Karwowski, od lat dwudziestu znany brukowiec Warszawy i między brukowymi próżniakami wieńczony laurem patryotyzmu, mający związki z tajemnemi zmowami, pragnący żarliwie każdego wzburzenia, jako zbawienia dla swoich interesów, które marnotrawstwem zrujnował, zawsze malkontent i zawsze prawiący o zaburzeniach, za co nieraz i ode mnie, i od brata mego, biskupa, polajany lub wyszydzony został. Ten rzekł z tryumfującą i ukontentowaną miną: «A cóż, panowie, nie wierzyliście w rewolucyę, otóż ją, chwała Bogu, macie!» i zaczął się popisywać ze swojem znaczeniem u rewolucyonistów. Chcąc się więcej szczegółów dowiedzieć, zatrzymałem go na obiad, przenocował nawet w moim domu i rano wyszedł; za parę godzin wrócił zachmurzony i rzekł do mnie: «Kasztelan powinienby mi wynagrodzić szkodę, którą poniosłem wczoraj przez nocleg w domu Kasztelana». Myślałem, że mu mieszkanie jego zrabowano lub okradzono. «Nie, odpowiedział, ale właśnie, gdy tu bawiłem, w nadziei, że Frenkla będą rabować, nasze poczciwe pospólstwo dobyło domu kasyera wojsk rosyjskich, Skrybickiego, i rozbiło kasę z kilkakrocsto tysięcy rubli, i podzieliło między siebie. Gdybym tam był, niemałą dostałbym sumę; Skrybickiemu nic się nie stało, bo to mój przyjaciel». Umieszczam wzmiankę o tym człowieku dla okazania, jakie to namiętności pobudzają wszelkie zaburzenia, każda niemal rewolucya.

Zacząłem rozbierać z sobą widoczne, a przez wielu z nas nie spostrzegane, przepowiednie rewolucyi. Dopiero przypomniałem sobie, dlaczego u mnie często bywał, podsłuchiwał, wyciągał na słowa Franciszek Grzymała, i doszedłem z jego własnego wyznania, że był delegowanym od zmawiających się

dla szpiegowania mego sposobu myślenia; dlaczego mój przyjaciel i najznakomitszych zdolności oficer artyleryi, Stanisław Rzewuski, raz przyszedłszy do mnie, wypytywał mnie, czy rząd nie niepokoi się obecną fermentacyą umysłów, i widać było po nim, że chciałby był coś mi powierzyć, lecz go mojemi odpowiedziami stropiłem; i ten mi potem wyznał, iż chciał mnie ostrzedz i wyjawić mi, że się gotuje rewolucya, a spostrzegł zaraz po mnie, iż jej nie pochwalam. Nakoniec, po wyjawieniu skutku, wytłómaczyłem sobie moje częste z najznakomitszą młodzieżą dysputy niby o romantyzm, pod którym kryły się w jej sercu polityczne zamiary, acz może nie przewidywała ona wtedy, że katastrofa tak blizka.

Wspomniałem pod ministrem Mostowskim, wspomniałem w żywocie mego brata przepędzone przeze mnie pierwsze dni rewolucyi.

Oczekiwałem przybycia syna mego ze wsi i brata mego, biskupa z Kalisza, gdy Julian Niemcewicz przyszedł do mnie z wyrzutami, dlaczego nie wychodzę i nie pokazuję się; odpowiedziałem mu: «Wiesz, jak byłem przeciwny temu, co się stało, nic z tego dobrego nie wróżę; mając takie przekonanie, nie mogę być użytecznym, raczej szkodziłbym, gdybym się chciał w to mieszać, a zresztą nie jestem *in odore* rewolucyonistów». Na to rzekł do mnie Niemcewicz: «Albo rozumiesz, że ja jestem u nich *in odore?* powiedziałem prawdę szaleńcom, wciąż oblegają moje mieszkanie w dzień i w nocy; niby to się radzą, a słuchać nie chcą. Mówiłem im, aby rozpędzili i zamknęli kluby, a gdy się sprzeczać zaczęli, z gniewem się oburzyłem — nie radziliście się mnie, nim zaczęliście szaloną rewolucyę, dajcie mi teraz pokój i lećcie w przepaść, kiedy słuchać nie chcecie». — Od niego się dowiedziałem, że jenerał Pac przyjął dowództwo gwardyi narodowej i że jenerał Chłopicki na modły jego, gdyż mu Niemcewicz aż do nóg padał, wziął dyktaturę. Ta ostatnia wiadomość mnie ucieszyła, i odetchnąłem. Widziałem w dyktaturze przynajmniej zabezpieczenie przeciw anarchii.

Wyszedłem wkrótce na miasto; postać jego była smutna, sklepy pozamykane, w innych miejscach zbiegowiska. Na ulicach pełno postaci brodatych i wąsatych, pełno ludzi częściej

w łachmanach, niż w ubiorach, zawsze uzbrojonych i groźnych. Ileż spotykało się nowych i nieznanych figur wojskowych, a między niemi dzieci. Studenci, rzemieślnicy snuli się po ulicach, wołając: «Wolność! Wolność!»

Przechodząc, wstąpiłem do pałacu Tarnowskich, do p. Tomasza Grabowskiego, gdzie zastałem zasmucony dom i pełno biurowej młodzieży z Komisyi oświecenia i innych biur. Od Grabowskiego dowiedziałem się, że studenci zabrali u jenerała Kosseckiego tylko broń, bardzo piękną, którą składał w swoim małym arsenale. Grabowski, widząc, iż studenci najwięcej się odgrażali przeciw członkom Komisyi oświecenia, której przewodniczył Stanisław Grabowski, znienawidzony od młodzieży wraz ze wszystkimi członkami Komisyi, którym obskurantyzm zarzucano, zamyślał jak najprędzej uchylić się do Wiednia. Pamiętam, jak sama pani Grabowska, Tarnowska z domu, w rozdrażnieniu przeciw rewolucyi rzekła do mnie: «Znalazłam w biblii to wyrażenie; kiedy zechcę karać narody i skażę je na zagładę, w ręce młodzieniaszków oddam władzę. — Oto, dodała, jest wyrok na tę rewolucyę».

Niespokojny, doczekałem się nakoniec syna, który był na wsi. Ujrzałem go już z kokardą narodową, witającego nas. Na drodze do Warszawy dowiedział się on o rewolucyi i w mieście przypiął kokardę. Wpadł zaraz w grono młodzieży, z którą żył, i natychmiast połączył się z nią. Chłopicki, ujrzawszy go, powiedział mu, iż ma mu dać ważne zlecenie. Wziąłem go więc sam i zaprowadziłem do dyktatora Chłopickiego; oddałem go w jego ręce. Jakoż zaraz wysłany został z rozkazami dyktatora do wszystkich jenerałów i dowódców, stojących od Lublina do Zamościa, z poleceniem, aby ich nakłonić do łączenia się z sprawą narodową. Misyę tę mógł życiem przypłacić, gdyż między tymi jenerałami było kilku, a mianowicie ks. Wirtembergski, którzy nie byli skłonni słuchać tych rozkazów.

H) Z listu do Franciszka Morawskiego z marca 1827 r.

(Lucyan Siemieński: «Obóz klasyków» w «Dziełach», t. V, str. 67—68, Warszawa 1881).

171) ...Czego też już nie dokazują romantycy! czego nie piszą! Utworzyli sobie teraz jakiś młyn wietrzny i, jak Don-Quixoty, wszędzie ogłaszają, że ich zazdrość napastuje. Godziłoby się wydrukować im i przypomnieć bajkę Niemcewicza: «Niedźwiedź, Małpa i Świnia». Dmochowski zrobił na nich bajkę pod tytułem: «Stary i Młody», wystawiając, że, mimo przestróg starego, młody, widząc, jak osieł, pędzony przez muchy, przesadzał rowy, rozumiał, że to arabski rumak i t. d. Sonety Mickiewicza najlepiej oznaczył Mostowski jednem słowem: «P a s k u d z t w o». Nie wiem, co w nich można znaleźć dobrego? wszystko bezecne, podłe, brudne, ciemne; wszystko może krymskie, tureckie, tatarskie, ale nie polskie. To jest sto razy gorsze, niż wszystkie Marcinkowskiego płody. Marcinkowski jest płaski i wierszokleta prawdziwy; Mickiewicz jest półgłówek, wypuszczony ze szpitala szalonych, który, naprzekór dobremu smakowi i rozsądkowi, gmatwaniną słów niepojętego języka niepojęte i dzikie pomysły baje; Marcinkowski jest tylko głupi, Mickiewicz szalony; Marcinkowski pisać nie powinien; Mickiewicz myśleć nie umie; Marcinkowski w miłostkach jest płaski i ckliwy prostak; Mickiewicz brudny, karczemny; Marcinkowskiego imaginacyę ciężką i tępą rozkołysały w niesforność Dziedzille lubelskie; Mickiewicza niesforny zapał rozdmuchały brudne litewskie pomywaczki; Marcinkowski nie wie, że jest prostakiem i nieukiem; Mickiewicz z pychą i dumą przekonany, że szaleństwo jest poezyą, brudy farbami, ciemność światłem, niezrozumiałość doskonałością. Czekam cię, abyś mi chociaż jeden jego pomysł, jeden obraz usprawiedliwił. *Eris mihi magnus Apollo*... Wyłączam z tego wiersz pod tytułem: «Wieczór», w którym może się rozum czegoś domacać. Litwini tak są przejęci sławą swego smorgońskiego poety, że zarzucili wszystkie domy tymi «Sonetami». Waleryan Krasiński pędem roznosi je wszędzie...

l) Z listu do Franciszka Morawskiego z dnia 22 grudnia 1827 roku.

(Tamże, str. 74—76).

172) ...Wczoraj zapowiedział nam na obiedzie u Krasińskiego Odyniec, że chwała Mickiewicza od morza Atlantyckiego aż do Araksu się rozchodzi, albowiem tłómaczą jego sonety: Wiazemski w Moskwie, w Petersburgu jakiś znakomity literat i senator, w Londynie dwuch żurnalistów nauczyło się po polsku, żeby mogli ziomkom swoim udzielić płodów tego wielkiego poety, którego już pisma angielskie pierwszym geniuszem i literatem polskim mianują. Cóż można było odpowiedzieć na to? tylko, ruszywszy ramionami, oświadczyć, że i my pójdziemy do Stambułu dla nauczenia się języka Mickiewicza, a nauczywszy się, może będziemy wielbili; teraz trudno chwalić, czego się nie rozumie. Śpiewał nam potem Odyńczyk litewskim tonem dwie nowe ballady Mickiewicza, obiedwie o Turkach: jedną o prawowiernym, drugą o renegacie, które, nawet mimo chęci drażnienia się ze mną, znalazł Krasiński niedorzecznemi. Brodziński ganił, lecz nie bez zgorszenia i indygnacyi Lelewela. Dotąd na zarzuty, czynione bredniom naszych młodych wierszokletów, zawsze mówiłeś: «Pozwólcie krajowi mieć swoją narodową poezyę». Chciej mi teraz odpowiedzieć, co mają wspólnego z narodową poezyą Czatyrdahy i renegaty tureckie. Niemcy w swoich balladach przynajmniej swoich baronów śpiewają, a my — Turków, Tatarów, Kozaków, i to jeszcze ich nawet własnym językiem. Sto razy ci to powiadałem, że nie mogę zrozumieć tej jednej w tobie sprzeczności, że inaczej piszesz, a czego innego bronisz; czego sobie nie dozwalasz, to w drugich pobłażasz. Niech ciebie tylko naśladują, niech przez połowę tak dobrze piszą, a troskliwość nasza o literaturę pocieszy się i uspokoi... Nie słyszałem, żeby Osiński bądź w żartach przy stole, bądź na katedrze przy lekcyi w innym duchu mówił. Dlaczegoż nie słyszałem go ganiącego twoich pism? Owszem, oddaje im sprawiedliwość, a wierzaj mi, mimo skłonności do żartów i satyry, mimo wszystkich drwinek, których sobie dozwala, Osiński w naszym kraju jest najlepszym krytykiem, najwięcej ma pewnego smaku i sądu,

i, co do mnie, wolę jego satyryczne przycinki, niż wielu pochwały, bo myślę sobie, iż krytyka sprawiedliwa każdemu dziełu pomaga, niesprawiedliwa nic mu nie uwłacza. Brodzińskiego talent nie jest pospolity; praca może go zrobić pożyteczniejszym krajowi, niż jest Osiński, lecz nigdy go z nim nie zrówna w geniuszu, poprawności stylu, pomysłach czystych i wyobraźni prawdziwie męskiej. Nie miej mię za uprzedzonego przeciw komubądź lub za kimbądź; to jest moje przekonanie. Po dawniejszych pisarzach Osińskiego tylko i ciebie, a po was Brodzińskiego uznaję za dobrych pisarzów, boście się nigdy bredniami nie zdradzili; tyś więcej robił, Osiński mniej, ale równie dobrze, a ty sam nawet nie nadałbyś był tyle piękności i poprawności twojej «Andromasze», gdyby był Osiński tłómaczeniami swemi nie pokazał wzoru. Pogódź się więc z Osińskim, przywieź swoją «Andromakę» i pozwól ją grać przez miłość sławy narodowej. Jeżeli to uczynisz, przyrzekam ci, że ani ja, ani Osiński słowa nie powiemy przeciw romantykom, prócz tej rady: «Piszcie, jak Morawski!»...

Opracował H. GALLE.

XXII.

FELIŃSKI ALOJZY

(1771—1820).

Syn ziemianina wołyńskiego, właściciela Wojutyna i Osowy, urodził się r. 1771 w Łucku, gdzie jego ojciec, jako sędzia ziemski, przebywał przez większą część roku. W okolicy zamieszkiwali: Czaccy, Olizarowie, Platerowie. Młody Alojzy w dzieciństwie już zapoznał się ze starszym o lat 6 Tadeuszem Czackim. Nauki pobierał w Dąbrowicy (własność Platerów) u Pijarów. W szkołach już poznał, obok łaciny, świeżo wprowadzony do programu nauk język francuski. Później nieco przyswoi sobie jeszcze języki: niemiecki i angielski. Utraciwszy ojca, udaje się przed r. 1788 na praktykę do palestry lubelskiej, gdzie koleguje z Kajetanem Koźmianem. Wraz z Czackim przybywa do Warszawy r. 1789 i tu, w domu Stanisława Małachowskiego, podczas obrad wielkiego sejmu, spotyka wszystkie wybitniejsze postacie świata politycznego i literackiego. Poznaje Naruszewicza, Trembeckiego, Dmochowskiego, Kopczyńskiego. Nawiązuje bliższe stosunki z Wyszkowskim, Tymienieckiem i Rudzkim. Młodzieńcy ci, podobnie jak Koźmian, wykształceni na literaturze francuskiej, dostrzegają wady poezyi ojczystej, zwłaszcza pod względem formy i pragną ją pod tym względem udoskonalić. Stąd uwielbienie dla Trembeckiego, któremu Feliński poświęca wiersz pochwalny. Za pośrednictwem Czackiego otrzymuje r. 1791 młody poeta miejsce nauczyciela przy Janie Tarnowskim w Dzikowie. W r. 1794 pełni przy Kościuszce obowiązki sekretarza do korespondencyi francuskiej. Po upadku powstania chroni się do Dzikowa, gdzie bawią także Wyszkowski i Tymieniecki. W r. 1795 wraca na Wołyń i tam, gospodarując na wziętych w dzierżawę trzech wioskach: Wojutynie, Klepaczach i Osowie, rozczytuje się w pisarzach francuskich i łacińskich a głównie w utworach Rousseau'a. W liście wierszowanym do Wisniowskiego wspomniawszy dość chłodno i pobieżnie niedawne wypadki polityczne, wynurza swe za-

chwyty nad Wolterem, w którym widzi «wieczny wzór gustu, dowcipu i pisania» i nad Rousseau'em, który łączy «wymowę Peryklesa» z «cnotą Platona», a Nową Heloizą tak ujął za serce poetę polskiego, iż «czci go, jak bóstwo».

Poślubiwszy r. 1800 Józefę Omiecińską, osiada w wygodnie urządzonej Osowie, mając za sąsiada w Horochowie swego ucznia Jana Tarnowskiego. Sława, jaką pozyskał za wpływem dworu puławskiego modny w salonach Europy zachodniej Delille, pobudziła Karpińskiego do przekładu jego «Ogrodów», a Felińskiego do spolszczenia świeżo, bo w r. 1800, ogłoszonego poematu «L'homme des champs». Wyjątki z tego przekładu były pomieszczone r. 1802 w «Nowym Pamiętniku warszawskim» Dmochowskiego, całość zaś p. t. «Ziemianin» ukazała się dopiero w zbiorze prac Felińskiego, ogłoszonym r. 1816 w Warszawie.

Przekład ten, dokonany z niezmierną dbałością o piękność i poprawność wysłowienia, przez poetę-ziemianina, blizkiego Delille'owi pojęciami i nastrojem uczuciowym, przedstawia w rozwoju naszej poezyi, języka i stylu zwłaszcza ważne zjawisko nieocenione dotąd należycie. Piękny 13 zgłoskowy wiersz płynie tu ze swobodą, wykwintną naturalnością, wdziękiem i szczerością uczucia. Nikt przed Felińskim, a po nim Mickiewicz dopiero, nie umiał odtwarzać takim językiem obrazów przyrody i życia wiejskiego. To też u Mickiewicza, w «Panu Tadeuszu» zwłaszcza, odbija się w wielu miejscach wspomnienie lektury tego świetnego przekładu. «Dumania w Ursynowie» Niemcewicza są prawie że kopią «Ziemianina».

Rozbudzenie się życia narodowego po wypadkach r. 1807 zachęciło Felińskiego do podjęcia pracy nad utworem oryginalnym, pozwalającym mu wypowiedzieć uczucia, mogące znaleźć echo w sercach współczesnych. Za przykładem Kropińskiego, którego Ludgardę odczytywał w rękopisie r. 1809, bierze za bohaterkę tragedyi bliższą sercom postać i w ciągu lat dwu, ze zwykłą całemu kołu klasyków starannością i powolnością, tworzy swe arcydzieło, «Barbarę», ukończoną latem r. 1811. Poddawszy nowy utwór ocenie całego koła przyjaciół-poetów, przybywa r. 1815 do Warszawy, by w stolicy nowego królestwa ukazać światu swe nowe dzieło wraz ze zbiorem poprzednich prac. Przygotowując do druku swe rękopisy, natknął na różne trudności i wątpliwości, jakie nasuwała nieustalona pisownia. Ze zwykłą sobie sumiennością zabrał się więc do zbadania kwestyi, sięgając do rozpraw z wieku 16, starych rękopisów i prac współczesnych gramatyków i lingwistów. Owocem tych poszukiwań była rozprawa, 200 stron obejmująca, «Przyczyny używanej przeze mnie pisowni». Odbiły się tu zalety charakteru i umysłu autora. Gorliwość o postęp języka, sumienność w pracy, rozsądek i umiarkowanie w proponowanych przepisach.

Warszawa zgotowała poecie gorące przyjęcie. Nawiedzał ją już w r. 1809 i wtedy, zaproszony na członka Tow. Przyj. Nauk, odczytywał na posiedzeniu 29 lipca ustępy z «Ziemianina». Obecnie prze-

mówił o wiele silniej do serc polskich «Barbarą» — tragedyą patryotyczną przedewszystkiem. Uczucia społeczeństwa polskiego, oczekującego niedawno od Napoleona, a obecnie od cesarza Aleksandra I ziszczenia najgorętszych pragnień i zjednoczenia Polski z Litwą, znalazły tu swe wymowne odbicie. Stąd niesłychane powodzenie utworu zarówno w salonach Warszawy, przy odczytywaniu ustępów z rękopisu, jak i na scenie teatru narodowego, który wystawił «Barbarę» w dniu 23 lutego r. 1817. Podobnym warunkom i czynnikom zawdzięczały swą popularność wydane współcześnie «Śpiewy historyczne» Niemcewicza. Jako tłómacz uczuć ogółu, tworzy wtedy Feliński i ogłasza w «Pamiętniku warszawskim» r. 1816 «Hymn na rocznicę ogłoszenia Królestwa polskiego», przekształcony później i rozszerzony na znany hymn narodowy: «Boże coś Polskę». Wyrazem uznania najwyższych kół ówczesnej inteligencyi było ofiarowanie Felińskiemu katedry literatury polskiej przy świeżo zakładanym uniwersytecie warszawskim. Nie czując się przygotowanym należycie do takiego stanowiska, poeta odmówił przyjęcia. Zaledwie powrócił do siebie, otrzymał od ks. Adama Czartoryskiego, jako kuratora szkół, propozycyę objęcia obowiązków dyrektora i profesora literatury polskiej w liceum krzemienieckiem. By zapobiedz wahaniom wątpiącego o swych siłach poety, przesłał mu książę kurator zarazem dyplom na członka honorowego uniwersytetu wileńskiego. We wrześniu r. 1818 zgodził się Feliński na podjęcie tych trudnych obowiązków, lecz dopiero 1 września r. 1819 nastąpiła urzędowa instalacya.

Zaledwie rozpoczął pełnić swe czynności, z zamiarem zaprowadzenia ładu w administracyi, ducha karności i pracy śród uczącej się młodzieży, nagła śmierć w dniu 23 lutego 1820 r. położyła kres tym zacnym zabiegom. Wyrazem żalu powszechnego było, prócz wspaniałego pogrzebu, złożenie znacznego funduszu z ofiar, na stypendya szkolne.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

I. Pisma Felińskiego. Za życia autora ukazały się w roku 1816 «Pisma własne i przekładania wierszem Alojzego Felińskiego. Tom I. Warszawa, w drukarni rządowej»: na odwrotnej stronie karty tytułowej: «Wolno drukować. Julian Ursyn Niemcewicz». Mieści się tu rozprawa «Przyczyny używanej przeze mnie pisowni» i przekład »Ziemianina» Delille'a; w przypisach na str. 369 podano naśladowanie wiersza Tompsona «Szczęśliwe małżeństwo». Po śmierci poety pozostała wdowa wydała tom drugi (Warszawa 1821). Zawierają się tu: Barbara, tragedya; Radomist i Zenobia, tragedya naśladowana z Krebillona z odmianami miejsc niektórych, stosownie do uwag Woltera, Laharpa i innych znawców; O Alfierym, o jego tragedyi Wirginia i o jej naśladowaniu polskiem; Wirginia, tragedya, naśladowana z Alfierego. (Toż, Wilno 1821). — Dzieła Alojzego Felińskiego, wydanie nowe 2 tomy, Wrocław 1840; mieszczą się tu, prócz utworów, za-

wartych w pierwszem zbiorowem wydaniu: Pienia przy mszy św,; Do St. Trembeckiego; do Tad. Czackiego; Przemowa Kornelii do Rzymian; Wycinek z tragedyi Woltera Tryumwirat; O wierszowaniu; Wykład sposobu, jakim dawane być mają lekcye literatury polskiej w Krzemieńcu; Dyalog czyli rodzaj rozmów; O listach.

Pierwsze wyd. «Barbary»: B. R. tragedya w pięciu aktach przez Al. Felińskiego oryginalnie napisana. Roku 1820 (Kraków). Z wydań późniejszych zasługują na uwagę: 1) B. R., wyd. nowe przejrzane i uzupełnione, Lwów 1892 (wydanie przejrzał, poprawił i według pierwszych edycyi z lat 1820 i 1828 uzupełnił Bron. Gubrynowicz); 2) B. R., tragedya w 5 aktach, opracował dla użytku szkolnego Władysław Dropiowski, Brody 1902 (Arcydzieła polskich i obcych pisarzy, tom 4).

II. Pisma o Felińskim. 1) S. Tomkowicz. Barbara Radziwiłłówna w historyi, rzeczywistości i poezyi. Przegląd polski, 1875. 2) K. Kantecki. Dwaj Krzemieńczanie, Lwów 1879. 3) P. Chmielowski. A. F. (Encyklopedya wychowawcza, tom IV, 1889). 3) P. Chmielowski. Nasza literatura dramatyczna, Petersburg 1898, tom I. 4) W. Hahn, A. Felińskiego «Kora i Alonzo» i «Kodrus» (Pamiętnik literacki, III, 1904).

A) Hymn na rocznicę ogłoszenia Królestwa Polskiego, z woli Naczelnego Wodza Wojsku Polskiemu podany. Wiersz Alojzego Felińskiego. Muzyka Jana Kaszewskiego (1816).

(Pamiętnik Warszawski, tom V, 1816, str. 455—456).

173) Boże! coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały
I tarczą swojej zasłaniał opieki
Od nieszczęść, które przywalić ją miały,
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Naszego króla zachowaj nam, Panie!

Ty, coś ją potem, tknięty jej upadkiem,
Wspierał walczącą za najświętszą sprawę
I, chcąc świat cały mieć jej męstwa świadkiem,
Wśród samych nieszczęść pomnożył jej sławę,
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Naszego króla zachowaj nam, Panie!

Ty, coś nakoniec nowymi ją cudy
Wskrzesił i sławne z klęsk wzajemnych w boju
Połączył z sobą dwa braterskie ludy
Pod jedno berło Anioła pokoju,
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Naszego króla zachowaj nam, Panie!

Wróć nowej Polsce świetność starożytną
I spraw, niech pod Nim szczęśliwą zostanie,
Niech sprzyjaźnione dwa narody kwitną
I błogosławią jego panowanie.
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Naszego króla zachowaj nam, Panie!

B) Ziemianin czyli ziemiaństwo francuskie Jakóba Delila przełożone wierszem polskim 1816 (L'Homme des champs ou les Georgiques françaises).

(Pisma, tom I, Warszawa, 1816).

Zdaniem ówczesnego krytyka (des Fontanes) Delille w tych słowach mógłby streścić swój piękny i głośny w całej Europie utwór: «Śpiewam dom wiejski i szczęście mieszkającego w nim mędrca; wystawię go, jak rozsypuje wokoło siebie dobrodziejstwa udoskonalonego rolnictwa i cuda, przemysłu; jak uczy się dla uprzyjemnienia swej samotności wszystkiego, co w dziejach natury jest najciekawsze, najmilsze i najwyniośleisze i jak czasem bierze w rękę lutnię, by sławił wdzięczne i wielkie widoki, którymi jest otoczony».

a) Z pieśni I.

174) *Str. 238—239.*

Kto szczęście znaleźć pragnie wśród ojców zagrody,
Niech czysty hołd wsi bóstwom czystem sercem składa.
Prostotą szanownego wnuk zepsuty dziada,
Bogacz, co, wcześnie wszystkie nasyciwszy żądze,
Próżno, chcąc je ocucić, rozrzuca pieniądze,
Woła biedny, ziewając, skoro się przebudzi:
«Jak tu żyć można? Jakże stolica mię nudzi!
«Na wsi to, na wsi tylko jest rozkosz prawdziwa;
«Jedźmy więc na wieś!» Wsiada, leci i przybywa:
Tęskność wita go w bramie i za każdym krokiem
Wlecze się. Obojętnem ledwo rzucił okiem
Na kwiaty, nowy kijosk i pieszczone drzewa;
Powraca — i na nowej sztuce w mieście ziewa.
Tak odmieniając nudy z odmianą mieszkania,
I na wioskę narzeka i miastu przygania.
Nieszczęśliwy! niech raczej wini serce swoje:
Czara nieczysta kwasi najsłodsze napoje.
Szczęście chroni się blasku w pól ustroniu cichem:
Za dumą idzie przepych, przymus za przepychem.
Takim jest człowiek; wszystko psuje, przeistacza.
Niech wreszcie znudzonego wymysły bogacza,

Zieloność, kwiaty, gaje do miasta przenoszą;
Jeszcze mu to przebaczam: gdyż patrzę z rozkoszą,
Jak natura, wygnana z pysznych stolic łona,
Odzyskuje swe prawa i wraca zemszczona.
Lecz z gniewem o Krezusie bezrozsądnym słyszę,
Który przenosi miasto w skromne pól zacisze;
Ubiera go, służy mu dworaków gromada,
I do wiejskiego stołu pan, jak król, zasiada;
. . . . . .

b).

175) *Str. 248—249.*
Pod gęstą wierzbą, która, świeżość swego cienia
Łącząc z świeżością wody, chłód przyjemny daje,
Obiera miejsce rybak i po cichu staje,
Nachylony, cierpliwie drżącą wędkę trzyma
I śledzi ją po wodzie chciwemi oczyma.
Co za radość! już trzcina drga, już piórka toną.
Jakąż niebaczną rybę, chytrze uwiedzioną,
Nić okrutna na haczku śmiertelnym wyciąga?
Złotołuskiego karpia, czy zwinnego pstrąga,
Czy węgorza, co, szatą błyskając srebrzystą,
Pasmem długich pierścieni wodę porze czystą,
Okonia, co swój ogon rozpościera krwawy,
Czy szczupaka łakomcę, co wyplenia stawy?

c).

176) *Str. 259—260.*
Ale czy miasta będziem, czy wsi mieszkańcami,
Pojmijmy, że szczęśliwi nie możem być sami:
Szczęście najmilsze, które dzielą z nami drudzy.
Bogacze i nędzarze, panowie i słudzy,
Wymagają wzajemnej pomocy w potrzebie;
Przez pół żyje, kto tylko żyje sam dla siebie.
O! wy, którym się przykrzy ciche na wsi życie,
Bądźcie w niej dobroczynni, a wieś polubicie.
Szczęście tu jest udziałem ludzi miłośnika;
Wśród zgiełku rozległego miasta wszystko znika;
Lecz na wsi pyszny zamek, chatka, słomą kryta.
Bogactwo próżnujące, nędza pracowita,
Rażąc bliżej widokiem sprzeczności dotkliwym,
Oburzają cierpiących naprzeciw szczęśliwym.
Wówczas przychodzi Dobroć: twarz jej czarująca
Goi rany i oręż zawiści wytrąca,
Równowagę niejaką w życiu ustanawia,
Wraca prawa nieszczęściu, złe lata poprawia,

Porzuca biednym kilka kłosów na zagonie,
Który ich pracowite uprawiały dłonie,
I zapełnia ten przedział swoimi darami,
Jaki różność majątków czyni między nami.

d).

177) *Str. 274.*
Lecz tam-to, gdzie wiąz stary rzuca cień wokoło,
Zbiega się wsi kochanie i młodzieży czoło.
Tam-to wesołych tańców pole się otwiera!
Brzmią wiejskie skrzypce, każdy swą piękność wybiera,
Z nią się wywija, wznosi, spuszcza lekkim skokiem,
Nieraz się tu myśl z myślą, oko zbiega z okiem,
Nie jedna podwojone czuje serca bicie,
Kiedy je ukochana dłoń przyciśnie skrycie;
A młode serca czuciem napełniając lubem,
Swawolna miłość igra przed poważnym ślubem.
Wszędzie radość i szczęście dają widok miły:
Utrzymuje się zręczność, pomnażają siły;
Za niewinną zabawą każdy się ugania
I w odpoczynku nawet nie zna próżnowania.
Tak obfitość i radość rozlewając wszędzie,
Szczęście twojego ludu szczęściem twojem będzie.
W tej wiosce, co się stanie wszystkich wiosek wzorem,
Złączysz nędznego z możnym i lepiankę z dworem,
Stworzysz nowe rozkosze, cierpienia ukoisz,
Związku towarzyskiego łańcuch silniej spoisz:
A gdyś wieś uszczęśliwił, użyźnił, ozdobił,
Tak jak Bóg powiesz: wszystko dobrze jest, com zrobił!

C) Barbara, tragedya w 5 aktach (1817).

(Pisma, Warszawa, 1821).

Miejscem akcyi jest komnata zamku krakowskiego, w którym jednocześnie odbywają się obrady sejmowe. Utwór rozpoczyna rozmowa Izabelli, siostry Zygmunta Augusta, z Boratyńskim, marszałkiem izby poselskiej. Oznajmia on Izabelli, iż posłowie, niezadowoleni z małżeństwa króla, nie chcą uznać za królowę Barbary, przybywającej wtedy właśnie do Krakowa. O ile, jako żołnierz, gorliwie i z powodzeniem spełniał swe obowiązki, o tyle nie czuje się teraz Boratyński, jako marszałek, zdolnym do utrzymania w karbach rozbujałych namiętności i sprzecznych dążeń fakcyi sejmowych. Izabella przypomina mu zasługi wojenne ojca Barbary i jego zgon w obronie ojczyzny. Czyż wychowana w takich uczuciach i zasadach córka nie jest odpowiedniejszą na królowę od księżniczek cudzoziemskich, wyrosłych w tradycyach samowładczych, nasiąkniętych pogardą

dla swobód polskich? Po wyjściu Boratyńskiego pojawia się Barbara, wita z radością życzliwą jej Izabellę i opowiada dzieje swego poznania się z Zygmuntem. Szczęśliwe chwile pożycia przerwała młodej parze śmierć króla, powołująca syna do stolicy; na wezwanie małżonka, śpieszy za nim do Krakowa Barbara i na wstępie zaraz dostrzega niechęć lub obojętność w ciekawie oglądających ją dworakach i tłumach. Bona przy pierwszym spotkaniu osypuje Barbarę obelgami i wyrzutami, przypisując jej intrygom małżeństwo syna i śmierć męża. Pozostawszy samą, wynurza Bona, w gwałtownym monologu całą nienawiść ku synowej. Jeżeli inne środki zawiodą, ucieknie się do skrytobójstwa, byle cel swój osiągnąć i małżeństwo syna rozerwać. Znając burzliwą duszę gwałtownego i dumnego Kmity, marszałka koronnego, pragnie użyć go za narzędzie do wytworzenia w senacie stronnictwa, któreby gotowe było orężem poprzeć sprawę unieważnienia małżeństwa.

Na początku aktu drugiego, gdy król otaczającym go ministrom wydaje rozporządzenia i odpowiedzi w różnych sprawach, przybywa do niego najpoważniejszy z senatorów, Tarnowski, i w poufnej rozwowie stara się przekonać Augusta o potrzebie ustąpienia życzeniom przedstawicieli narodu. Argumenty Tarnowskiego pobudzają króla do energicznego protestu: «Wolę paść z ręki zdrajców, niż sam zdradzać żonę». W postanowieniu tem umacnia go jeszcze skarga Barbary, użalającej się na swe osamotnienie i nieprzyjazny nastrój otoczenia, w jakiem się znalazła w Krakowie. Napróżno też Bona w szerokim wywodzie stara się przekonać syna o politycznej konieczności zerwania tego małżeństwa, pobudzić do ofiary uczuć własnych dla szczęścia państwa; niezłomny w swem postanowieniu król udaje się do sali sejmowej, a przebiegła i zawzięta Włoszka zamyśla powierzyć poparcie swych zamiarów zaufanemu lekarzowi przybocznemu, Monti'emu, który «pewniejsze środki przygotuje skrycie». Nim ucieknie się do ostatecznych sposobów, próbuje ona podstępem i kłamstwem oplątać i zgubić Barbarę. Izabella udaremnia zamiar matki, polegający na wyprawieniu bezwłocznem do Włoch Barbary, wprowadzonej w błąd co do stałości uczuć Augusta. Król śpieszy z izby sejmowej, by uspokoić zrozpaczoną małżonkę i przybyłej deputacyi sejmowej, z Boratyńskim na czele, daje stanowczą odmowę w sprawie zerwania małżeństwa. Przemowa Boratyńskiego, w której poeta zespolił patryotyzm z republikanizmem, nie tyle szlacheckim z wieku XVI, ile francuskim z pierwszych chwil wielkiej rewolucyi, stanowi najwybitniejszy moment, zamykający akt trzeci. Opór króla pobudza gwałtownego Kmitę do zbrojnego wystąpienia dla poparcia praw narodu. Tarnowski jednak, którego Kmita usiłuje pociągnąć za sobą, potępia jego zamiar i stanowczo występuje w obronie króla i zagrożonej wojną domową ojczyzny. Stara się on zarówno hamować rokoszowe zapędy Kmity, jak i porywczość króla, pragnącego siłą oręża stłumić ruch buntowniczy. Barbara, zrozpaczona, zaklina małżonka, by wstrzymał swe zamiary i z «ojca ludu» nie stał się jego «tyranem». Zniewolony zaklęciami Barbary, radami Tarnowskiego, zaproszeniem posłów, król sprawę swego małżeństwa z Barbarą dobrowolnie oddaje pod

decyzyę sejmu. Krok ten skłania rokoszan do złożenia broni i wzięcia udziału w obradach. Senat nie chce uznać małżeństwa królewskiego. Zrozpaczonego Augusta pociesza Barbara, zachęcając do ofiary dla dobra ogółu: «Cierpmy, gińmy i, ginąc z wyroku rodaków, nieśmy do grobu miłość Polski i Polaków» W tejże chwili jednak z ust uszczęśliwionej Izabelli i z opowieści posła sejmowego dowiadują się, iż izba poselska, za pobudką Boratyńskiego, dla zapobieżenia wojnie domowej i z obawy przewagi wpływów rakuskich, zgadza się na koronacyę Barbary, pociągając i senat do jednomyślnej uchwały. Tarnowski, Boratyński, a nakoniec i Kmita, przybywają złożyć hołd królowi i stwierdzić swą wierność. Nagły odjazd Bony otworzył oczy wierzącemu w czystość jej zamiarów Kmicie. Wybuchy ogólnej radości paraliżuje wiadomość o ciężkiej chorobie Barbary, wywołanej trucizną, zadaną jej przez Monti'ego, który. schwytany w ucieczce, odebrał sobie życie, lecz w ostatniej chwili wyznał, iż do zbrodni popchnęła go namowa i zapłata Bony. Wniesiona do komnaty konająca Barbara w ostatnich swych życzeniach troszczy się o dobro ojczyzny jedynie: «Ty żyj... ocal gasnące... ojców Polski plemię: od nieszczęść... od upadku... zachowaj tę ziemię», zaleca w przedzgonnem pożegnaniu rozpaczającemu Augustowi.

a) AKT I. SCENA II.

178) *Str. 14—18.* **Izabella, Barbara.**

Barbara. Ach! po wieluż to latach i w jakiejże chwili
Zjawiasz się utęsknionej, Izabello droga!
Kiedy mię niespokojność otacza i trwoga,
Kiedy się przeznaczenia mego szala waży,
Niebo mię wraca twojej opiekuńczej straży.
Ach! ileż mię twój odjazd nabawił boleści!
Ileż później o tobie rozsiewane wieści
Powiększały drżącego serca niepokoje!
Ileż mi wycisnęły łez nieszczęścia twoje!

Izabella.
Wierzaj mi, w losu mego przemianach ustawnych:
W gmachach królów, w pustyniach, mem tułactwem sławnych,
W pomyślności, w niedoli, w blasku i żałobie,
Wszystkie się myśli moje zwracały ku tobie.
Dziś odzyskuję, z wami nakoniec złączona,
Szczęście, które mi była wydarła korona.
Nic mię już nie rozdzieli z tobą, z synem, z bratem:
Miejsce, gdzie wy jesteście, będzie dla mnie światem.
Lat kilka, którem w obcej krainie przeżyła,
Dały mi żywiej uczuć, jak Ojczyzna miła.
Dziś jej szczęście i moje będzie dopełnione,
Gdy na twych skroniach polską ujrzymy koronę.
. . . . . .

Barbara. Z nieszczęśliwą skłonnością walczyłam usilnie;
Lecz zostałam samotna i zostałam w Wilnie:
Miejsce, gdzie pierwszy pocisk utkwił w serce drżące,
Przeciw mnie uzbrajało przypomnień tysiące.
. . . . . .
Tych śmiertelnych udręczeń spełniłam dwa lata,
Gdym przed zamkiem ujrzała nagle twego brata.
Na czele twego pułku, świetną stalą zbrojny,
Z moim stryjem z północnej wracał wówczas wojny,
Jakież uczułam w sobie na ten widok drżenie!...
Zapłoniłam się, zbladłam... utraciłam tchnienie
I zaledwo nieśmiałe mogłam podnieść oko
Na tę twarz, w mojem sercu wyrytą głęboko.
Na jego czole, dumnem z pierwszego zwycięstwa,
Widziałam świtający dla Polski wiek męstwa,
A w uśmiechu łagodnym, co serce porywa,
Szczęście przyszłe rodaków czytałam szczęśliwa.
Ach! jakże trudną wówczas było dla mnie chwałą
Odrzucić jego miłość tak czystą i stałą...
Bałam się i pragnęłam usłyszeć wyznanie...
Usłyszałam... Powinność przemogła kochanie:
Kilku słowy zniszczyłam nadzieje Augusta;
Lecz mój wzrok, mój głos drżący, zdradził moje usta.
Odtąd w rosnącej coraz miłości zapędzie,
Śledził mnie, szukał, ścigał i... znajdował wszędzie.
Same trudności zapęd jego natężały;
Wkrótce na swoję stronę skłonił ród mój cały...

b) AKT II. SCENA III.

179) *Str. 34—35.* August. Barbara.

Barbara. . . . . .
Nie odstępuj Barbary, ośmiel duszę moję:
Ja nie życia, lecz ciebie utracić się boję,
Jeżeli trzeba umrzeć, umrę niezachwiała,
Lecz pozwól, bym na twoich rękach umierała.

August.
Co mówisz? żyjmy raczej i żyjmy dla siebie.
Jażbym cię nie obronił? jażbym przeżył ciebie?...
Lecz po cóż niepewności mękę jeszcze wznawiasz?
Kocham cię i panuję — a ty się obawiasz?
Niech się przeciw nam ziemia i piekło sprzysięga,
Żadna nas już rozłączyć nie zdoła potęga,
Dzień ten niebezpieczeństwa będzie dniem radości,
Tryumfem twojej cnoty, tryumfem miłości!

Dziś twoje piękne czoło koroną ozdobię
Lub dam za ciebie życie, którem winien tobie.
Dziś dwa narody będą świadkami twej chwały,
Dziś o szczęściu Augusta świat się dowie cały;
A jeśli dotąd Bona śmie grozić Barbarze,
Jeśli cię nie chcą obcy uznawać mocarze,
Jeśli cię sejm przeraża powagą surową: —
Jutro uklękną wszyscy przed polską królową.

Barbara.

Toż myślisz, że mnie może być miłą ta chwała,
Którejbym z narażeniem dni twych nabywała?
Gdy niebo mi pozwala twe serce posiadać,
Nic już nie mogę zyskać, a wszystko postradać.
Zdołaż który z śmiertelnych, zdołająż niebianie,
Pomnożyć moje szczęście i moje kochanie?
O mężu! jeśli moje łzy cię zmiękczyć mogą,
Opuść ten zamysł, odwróć tę nawałność srogą,
I pozwól, niechaj w mojem szczęśliwa ukryciu,
Nie drżę o wszystko, co mam najdroższego w życiu.

. . . . . .

c) AKT III. SCENA VII.

180) *Str. 54—55.* **Barbara, Izabella, August**

August. . . . . .

Jeśli dziś tron dla ciebie nie będzie wzniesiony,
Zrzekam się niespokojnej Polaków korony!
Niech, kto chce, rządzi szlachtą dumną i swawolną,
Chcącą królów i królom ulegać niezdolną;
Ja na dziedzictwie przodków moich poprzestanę.
Wrócę z tobą w siedliska Litwy ukochane
I poświęcę się szczęściu tych obywateli,
Którzy i nasze będą szanować umieli.

Barbara.

Czemże jest szczęście nasze obok szczęścia ludów?
Chceszże pozbawiać Polskę owocu twych trudów?
Chceszże rozdzielać wiecznie dwa potężne kraje,
Które złączył twój naddziad, łączą obyczaje,
Łączy rządu spólnictwo, dwuch wieków zażyłość,
Jedna krew, jeden język, jedna swobód miłość?
Któreś w obliczu niebios poprzysiągł i ziemi
Ściślej spoić i oba zrobić szczęśliwemi?
Chceszże, by te pogromcze orły i pogonie,
Które w ojczyzny spólnej, w praw spólnych obronie
Walczyły, zwyciężały, wsławiały się razem,
Bratobójczem się kiedyś krwawiły żelazem?

Lub żeby, sam ujarzmion od obcego państwa,
Ścigał bronią brat brata, nagląc do poddaństwa?
O, wy, tak lube sercu mojemu narody!
Siedliska naszych ojców męstwa i swobody,
Jeśli wam takie losy gotują niebianie,
Niech umrę, niech przynajmniej ja nie patrzę na nie!

August. . . . . .

Tak jest, obom narodom przyrzekłszy opiekę,
Dobrowolnie się tronu polskiego nie zrzekę;
Lecz tem bardziej przez dumę lub trwogę nikczemną
Nie zezwolę, by ciebie rozdzielono ze mną.
Kiedy mi los dwuch ludów poruczyły nieba,
Dla ich uszczęśliwienia ciebie mi potrzeba.
Ni groźby sejmujących, ni błysk ich pałaszy,
Ni wydarcie korony, nic mię nie zastraszy!
Ach! w porównaniu straty, której ja się boję,
Czemże jest tron, świat, życie... nawet życie twoje?

. . . . . .

181) *Str. 56—59.* d) SCENA VIII.

Boratyński. **August, Boratyński, Posłowie.**

Królu! w nas dzisiaj widzisz dwa ludy potężne,
Które, długo rządzone przez twe przodki mężne,
Pod nimi się złączyły, wsławiły i wzrosły.
Ojca i dziadów cnoty na tron cię wyniosły:
Im ojczyzna, ojczyźnie ty winieneś wdzięczność,
Odpłacić się jej teraz masz, Auguście, zręczność;
W jej imieniu od ciebie domagać się śmiemy
Ofiary, której wielkość sami czuć umiemy.
Lecz ofiara, potrzebna do szczęścia narodu,
Nigdy trudną nie była dla Jagiełłów rodu.
Pojąłeś królu, żonę, bez woli senatu
Ze szkodą państwa, z ujmą twego majestatu;
Ślub twój znieważa świętą ustaw naszych księgę;
Przysięga męża gwałci monarchy przysięgę;
Wykonałeś ją pierwej Polsce, niż Barbarze,
Tej dom twój, tamtej były świadkami ołtarze;
W obliczu świata wszyscy królowie są braćmi;
Związek z poddanką świetność tronu twego zaćmi.
Przodkowie twój ród wznieśli, tyż go masz poniżać?

. . . . . .

Sercu twojemu dosyć jednego powodu,
Że te związki miłymi nie są dla narodu.
Ów, co przewyższył cnotą bohatyrów gminnych,

Co jest wzorem dla ciebie, rozpaczą dla innych,
Tytus, czemuż od tronu, od siebie oddalił
Tę, przed którą zdumiony Wschód kadzidła palił?
. . . . . .
A tyż, wolnego ludu król wolnie obrany,
Mniej chcesz, mniej masz potrzeby być od nas kochany?
Czyż myślisz, niszcząc wolność, gardząc ustawami,
Podbić kraj i żelazne berło wznieść nad nami?
Bądź raczej, idąc torem przodków nieomylnym,
Naszą miłością wielkim, naszą mocą silnym,
I spraw, twą władzę ważąc na praw naszych szali,
Żebyśmy się nie ciebie, lecz o ciebie bali.
(klękając)
Nigdy przed obcą władzą, przed mieczem tyrana
Nie ugięły się wolnych Polaków kolana:
Dzisiaj błagamy ciebie, ojcze naszej ziemi,
Za tobą, za twym rodem, za dziećmi naszemi.
W imię twych dziadów, których pamięć tak nam droga,
W imię twojego ojca, w imię tego Boga,
Co z małych wzniósł początków Polskę tak wysoko,
I dotąd na nią zwraca opiekuńcze oko:
Zgaś miłość, być mogącą strasznych burz powodem,
Zerwij związki z kobietą, a wzmocnij z narodem!
Niech Polska, niech świat cały, niech potomność mówi:
«Tak miłymi poddani byli Augustowi,
«Że się dla nich nie wahał uczynić ofiary
«Z najdroższych uczuć serca, nawet z łez Barbary!»

e) AKT IV. SCENA I.

182) *Str. 65—67.* **Tarnowski, Kmita.**

Tarnowski. . . . . .
W krajach innych pochlebstwo, a w naszym zuchwałość.
Przez nią w Polsce od wnuków rozrodzonych Piasta
Na gruzach władzy rządu — władza możnych wzrasta.
Ich przewrotność koleją to straszy, to mami
Tron — podburzaniem gminu, gmin — tronu łaskami.
Po każdej nawałności, co berłem zachwieje,
Szczególnych siła rośnie, powszechna słabieje,
Te zepsutych naddziadów nieszczęsne nauki
Na wyścigi przejmują gorsze od nich wnuki.
. . . . . .
Tak więc Polskę wystawiasz na najsroższe ciosy,
Całość i samowładztwo jej spuszczasz na losy,
A sam obracasz tylko wzrok nienasycony
Na zlane krwią i łzami bezkrólewia plony,

Lecz się nie ciesz: nad Polską czuwa Bóg potężny,
Ocali On ten naród szlachetny i mężny.
Pokąd miłej Polakom krwi potomek żyje,
Pokąd jeszcze to serce dla ojczyzny bije,
Pokąd zdolną jest władać żelazem ta ręka,
Niechaj o swoje losy Polska się nie lęka.
Niech ufają cnotliwi, niechaj drżą zbrodniarze!
. . . . . .

183) *Str. 84—85.* **f) AKT V. SCENA III.**

August, Barbara, Izabella, Poseł sejmowy.

Poseł. . . . . .
. . . . . Skoro wyrok nastąpił w senacie,
A głosować mających posłów izba cała
W twarz swego naczelnika oczy wryte miała,
«Bracia! — rzekł — kiedym z woli waszej i senatu
Wznosił imieniem Polski głos do majestatu,
I sam, oddając winny hołd cnotom Barbary
Najcięższej od Augusta wymagał ofiary,
Czyniłem to, bom wierzył, że większości wola
Tego poświęcenia się żądała od króla;
Bom wiedział, że ten środek zniszczyłby zarody
Niebezpiecznej poddanych z monarchą niezgody,
Lecz, gdym dostrzegł, że ustaw mniemani czciciele
Kryją cnoty pozorem własnej dumy cele:
. . . . . .
Tę ważną sprawę, bracia, innem okiem widzę;
Jeślim wprzód błądził, błędu wyznać się nie wstydzę:
Na posługach ojczyzny żołnierz osiwiały,
Dobra jej szukam tylko, a nie próżnej chwały.
Nie wątpię, że ci naszej ufności niegodni,
Którzy chcą w prawodawcach mieć spólników zbrodni,
I mniemam, że te związki królowi przystoją,
Których niechętni Polsce najwięcej się boją.
Za ich więc potwierdzeniem jawnie głos mój daję».
Skończył. Wtem okrzyk zgody ze wszech stron powstaje,
Senat cofa swój wyrok, i stany złączone,
U nóg żony Augusta składają koronę.

Opracował BR. CHLEBOWSKI.

XXIII.

KROPIŃSKI LUDWIK

(1767—1844).

Przyszedł na świat w 1767 roku w dziedzicznej wsi Poszukach, w województwie brzesko-litewskiem. Wychowaniem jego po śmierci rodziców zajęła się troskliwie hetmanowa Ogińska, ciotka Stanisława Augusta, trzymając go przy sobie już to w Siedlcach, już to w Warszawie. Po ukończeniu szkół Kropiński wszedł w bliższe i zażyłe stosunki z rodziną Czartoryskich, którzy darzyli go serdeczną przyjaźnią; u ich boku, w Puławach, przeżył też kilka najpiękniejszych lat swego życia, w ciągu których rozwinął się jego talent poetycki. W r. 1794, jako podpułkownik artyleryi, broniąc okopów Pragi, otrzymał 13 ran, z których wyleczył się tylko dzięki troskliwej opiece przyjaciół, poczem uszedł zagranicę, skąd pisywał piękne i podniosłe listy do Matuszewica. Podróżował po Włoszech, skąd wywiózł piękną kolekcyę dzieł sztuki, i po Niemczech, pisał tragedyę 5-aktową wierszem p. t.: «Gustaw Waza» (1797), która pozostała w rękopisie, układał pamiętnik z podróży (Niemcy i Wenecya), poczem powrócił do kraju i wstąpił do wojska. W 1812 r. został generałem brygady, dowodził dywizyą, jakiś czas nawet, z powołania Rady Stanu, zastępował ministra wojny, Wielhorskiego. Syt sławy i trudów wojennych, usunął się wreszcie w wiejskie zacisze: zaślubił, w późnym już dość wieku, Anielę Błędowską, osiadł we wsi, otrzymanej w spadku, Woronczynie, na Wołyniu, w sąsiedztwie Tadeusza Czackiego, z którym utrzymywał serdeczne stosunki; czas dzielił między pióro a ogród, któremu oddawał się z zamiłowaniem. Pożycie rodzinne Kropińskiego nie było szczęśliwe: stracił kolejno wszystkie dzieci (ostatnia umarła ukochana córka, 20-letnia Zofia, poślubiona ks. Kalikstowi Czetwertyńskiemu), na starość oślepł, a ostatnie 10 lat przeżył w zupełnem osamotnieniu. Zmarł w Woronczynie 4 sierpnia r. 1844, przeżywszy lat 77. Kropiński był członkiem Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

a) Wydanie zbiorowe pism Kropińskiego ukazało się w r. 1844 p. t.: «Rozmaite pisma» (Lwów, Stanisławów i Tarnów). Zawiera ono następujące utwory: Dzieła miłości czyli muz i pęzla żarty, Rozmaite wiersze (bajki, pieśnie, powieści), Sztuka rymotwórcza, Modlitwy, Moje uczucia, rady, uwagi i przestrogi jedynie dla moich córek, Ludgarda, tragedya oryginalna w 5 aktach. Osobno wyszło: Julia i Adolf czyli nadzwyczajna miłość dwojga kochanków nad brzegami Dniestru (Warsz. 1824); przekł. rosyjski A. Połowcewa (Pet. 1831); przekł. francuski Maury (Paryż 1824, 1828, 1833).

b) O Kropińskim pisali: Wójcicki K. Wł.: «Życiorysy znakomitych ludzi» (Warszawa 1851, t. II), Tarnowski St.: «Romans polski w początkach XIX w. (»Przegląd Polski», 1874), Wojciechowski K. «Werter w Polsce» (Lwów 1904); Galle Henryk: «L. Kropiński» («Wędrowiec», 1902, str. 426); prócz tego p. «Biblioteka warszawska», 1875. III; Sokolnicki generał: «Uwagi nad zdaniami o tragedyi Ludgardzie» («Pam. warsz.» Bentkowskiego, 1816).

A) Ludgarda, tragedya w pięciu aktach (1816).

(Pisma rozmaite, str. 243—316).

Tragedya nie odstępuje od szablonu pseudoklasycznego. Bohaterką jest Ludgarda, żona króla Przemysława, zapomniana przez niego dla pięknej Ryksy, królewny szwedzkiej, narzeczonej Wacława, króla czeskiego. Przemysław postanawia pozbyć się niemiłej żony: uzyskuje rozwód z Rzymu, a wreszcie, pod pozorem uknutego jakoby przez nią spisku, wtrąca ją do więzienia i nasyła na nią mordercę Sambora, swego powiernika. Spełniona zbrodnia wzburzyła przeciw królowi lud i senat; Przemysław, widząc się przez wszystkich opuszczonym, sam przebija się mieczem. Kolorytu dziejowego ani ścisłości historycznej niema tu wcale.

Akt II, scena V.

AKT II. SCENA V.

184) *Str. 274—278.* Ryksa, Ludgarda.

Ludgarda. Rykso! na twoje łono rzucam się, szczęśliwa!
Mój Przemysław mnie kocha, twój Wacław przybywa.
Ryksa. Przemysław ciebie...
Ludgarda. Winnam zwrot jego miłości
Łzom moim i odkryciu mojej niewinności.
Gdy mnie kochał i kiedym go wzajem kochała,
Zawiść nieszczęsna jad swój w jego serca wlała.
Mniemał on, że, Wacława pragnąc wydrzeć tobie,
Tę miłość cnotą tylko zwyciężałam w sobie.

Ach! gdybyś go widziała, jak tkliwie przede mną
U nóg moich błąd wyznał i miłość wzajemną
I jak, miłemi łzami zlewając me dłonie,
Wracał serce kochanka kochance i żonie, —
Dzieliłaby to szczęście twoja dusza tkliwa.
Obyś, Rykso, z Wacławem była tak szczęśliwa!
Lecz i on...

Ryksa. Stój, okrutna!

Ludgarda. Coś rzekła w zapędzie?

Ryksa *(ukrywając swe poruszenie).*
Zmiana stanu płci naszej zawsze straszną będzie,
Gdy, ulegając sercu... albo też potrzebie,
Na zawsze, że tak powiem, zrzec się mamy siebie...
Gdy tracę nieszczęśliwa tyle pociech razem...
Przebacz łzom, wyciśnionym przeszłości obrazem.

Ludgarda. Rykso! Wacław cię kocha, i dziś jeszcze może
Przyjazną ręką zwity na cię wieniec włożę.
Nie trwoż mnie; odetchnienia raczej potrzebuję,
Ja, która wszystko z tobą podzielam i czuję.

Ryksa. Wszystko ze mną podzielasz...

Ludgarda. Rykso! mów, coż znaczy
Ta niespokojność?...

Ryksa. Mojej lękaj się rozpaczy.

Ludgarda. Kiedyż dla mego serca w twojem była skrytość?
Wyznaj, nie truj mi szczęścia, miej nade mną litość.

Ryksa. W milczeniu masz ją mojem, pierwsze z mych ust słowo.
Przerazi cię: co czynię? zostaw mnie, królowo *(na boku).*

Ludgarda. Czyż ta, która mi męża wydrzeć chciała, zawiść.
I twoją dla mnie przyjaźń zmieniła w nienawiść?

Ryksa. Zgadłaś!

Ludgarda. Mylisz się; próżna jest twoja obawa,
Ja kocham Przemysława...

Ryksa. I ja Przemysława.

Ludgarda. Przemysława? o nieba! o srogości losu!
Nieszczęśliwa! przyjaźni chciej wysłuchać głosu.
Tworzącej się miłości zniszcz pierwsze wzruszenie,
Przygaś ogień, nim jeszcze zajmie się w płomienie.
Królewno! twoja rana już moją jest raną;
Doznałam, co to kochać, a nie być kochaną.

Ryksa. Precz ode mnie, rywalko, twoją moja rana?
Latwe są tobie cnoty, gdyś wzajem kochana.
(z przekąsem)
Zrób mnie szczęśliwą, Ryksa pójdzie w twoje ślady,
Odda litość za litość i rady za rady.

Ludgarda *(odchodząc).* Niewdzięczna!

Ryksa. Zemsto! zemsto! to serce cię wzywa;
W tobie ja tylko ulgę znajdę, nieszczęśliwa.
Tobie wszystko poświęcę, tak, wszystko poświęcę.
Ty dasz sercu odwagę, podając miecz ręce.
Gdyby, samą litością tylko uniesiony,
Walcząc z miłością, dla mnie powracał do żony;
Gdyby, kiedy niewdzięczny tak łatwo się zmienia,
Z uczuciem u nóg moich błagał przebaczenia;
Gdyby się był mnie zwierzył, wyznał swoją winę
Lub przynajmniej dał jaką swej zbrodni przyczynę:
Widząc w jego zgryzocie razem żal i karę,
Możebym z mego szczęścia zrobiła ofiarę.
Ale nie, precz ode mnie, niegodna litości,
Gniew, zemsta i nienawiść zrównają miłości.
On, co się z mej słabości, z mych przysiąg najgrawa,
U którego jest niczem moja nawet sława,
Który może w tej chwili wraz z swoją Ludgardą
Znieważa mnie litością lub okrywa wzgardą.

B) Pieśnie.

III.

(Pisma rozmaite, str. 59).

185) Te brzóz kilka, bieg tej wody
Tak mi wiele przypomina!
Tu przeskakałem wiek młody,
Tu niegdyś była Emina.

Ona tak miło i snadnie
Przez oczy weszła do duszy,
Jak wietrzyk, gdy w listki wpadnie.
I spokojność drzewa wzruszy.

Czemuż z miłych rzeczy zgubą,
Pamięci człowiek nie traci?
Nie wzdychałbym za mą lubą
Ni płakał poległych braci.

Gaje, pagórki, doliny,
Przeszłości obrazie miły!
Bez ojczyzny i Eminy
Jakżeście wiele straciły!

C) Julia i Adolf, czyli nadzwyczajna miłość dwojga kochanków nad brzegami Dniestru (1824).

(Z wydania pierwszego).

Romans ten poprzedza przedmowa, w której autor wyłuszcza cel swego wystąpienia, powiadając, że chodziło mu o wykazanie fałszywości panującego wówczas uprzedzenia, «iż nasz język nie jest zdolnym wydać tkliwość uczuć delikatnej miłości, dla których język francuski, zwłaszcza w «Nowej Heloizie», zdaje się być stworzonym». Akcyę tego obrazu «delikatnej miłości», nie bacząc na fatalny anachronizm, przenosi do Polski w. XVI. Bohaterowie noszą romansowe imiona Julii i Adolfa, obce ówczesnym obyczajom polskim. Ona jest córką magnata, Jana Tenczyńskiego, wojewody sandomierskiego, on — ubogim szlachcicem. Rzecz dzieje się nad brzegami Dniestru, gdzie Tenczyńscy mają pańską rezydencyę Krasnogród, Adolf zaś zamieszkuje o milę odległy skromny Skalin. Forma romansu — listy obojga bohaterów do powierników, a potem do siebie nawzajem, treść — coraz wzmagająca się miłość wzajemna, której staje wpoprzek żelazna wola ojca, zmuszająca Julię do przyrzeczenia ręki dawniej już wybranemu przez rodzinę Zdzisławowi, książęciu Siewierskiemu. Dowiedziawszy się o tem, po czułem pożegnaniu Adolf sam się pozbawia życia, a w kilka miesięcy pośpiesza za nim i Julia, którą żal i rozpacz po stracie kochanka unoszą w grób. Pochowano ich obok siebie, położywszy na grobach krótkie, lecz wymowne napisy: «Smutna ofiara czystej miłości Adolf tu leży» i «W ośm miesięcy i trzy dni Julia za nim poszła, ojciec ją przeżył». Romans należy do kategoryi sentymentalnych, modnych w owym czasie, obficie jest zroszony łez strumieniami, pełno w nim okrzyków, westchnień i jęków. Przytaczamy poniżej kilka ostatnich listów, przedstawiających rozstanie się kochanków i śmierć Adolfa.

Str. 94—104. **List LXVII. Adolfa do Julii**

zawarty w poprzedniczym.

186) Julio! Widzenie się nasze wczorajszej nocy, którego przez wzgląd na twój stan uniknąć chciałem, tak bolesne, tak przerażające, ostatnie, złączone jeszcze z tą myślą, oddawna dręczącą, żem już ciebie utracił, nie mogło innego na mnie sprawić skutku nad śmierć moją. Jeżeli dotąd przetrwałem okropności, jakie na mnie ściągnęły nieustanne pasowania się z sobą, pamiętny dzień naszej ostatniej przechadzki i nasze nagłe rozłączenie się, dzięki nadziei, która od czasu mego powrotu do zdrowia codzień więcej nas ożywiała.

Ujrzenie ciebie w czasie pożaru, chociaż wzruszyło nanowo gwałtowne we mnie uczucia i pomieszało odzyskaną niby

spokojność, byłem jednak szczęśliwy, bo byłem kochany, byłem szczęśliwy, boś ty jeszcze moją być mogła, byłem nawet najszczęśliwszy, boś ty miała przeczucia i nadzieje, że będziesz moją.

Niestety! jedna chwila wszystko i na zawsze zniszczyła. Odbieram list, list ręką Kamilli, zadrżałem, otwieram... Czytam. O słowa! «Adolfie, ulituj się nieszczęśliwej Julii! ciebie kocha. Zdzisław przybywający ma jej rękę otrzymać».

Kochanko moja! pocieszyłem wówczas ciebie, ale już niczem odtąd pocieszyć siebie nie mogłem. Z temi to słowami Kamilli śmierć we mnie wstąpiła. W ogołoconem sercu z wszelkiego ożywiającego je uczucia, wśrzód myśli, nieustannie wystawujących cię z innym, ustawał we mnie ogień życia. Wyrzekałem niebu, znienawidziłem ludzi, siebie i cnoty, których dopełniałem.

Wiedziałem o dniu połączenia się twego z Zdzisławem. Czułem, że go przeżyć nie mogłem, dotrwać jednak aż do owej chwili pragnąłem i o tę litość nad tobą błagałem Nieba.

W tym smutnym skamieniałości stanie mniemałem, że mnie już nic dotknąć, przerazić i ożywić nie zdoła. Alić wczoraj wśrzód nocy, zawołany listem Kamilli, zagrożony twojem niebezpieczeństwem, wezwany ku ulżeniu twoich boleści, natychmiast odzyskałem życie i siły i milową przestrzeń przeleciałem pędem, jakim tylko ku ratunkowi kochanki lecić *[tak]* można. Ty jedna tylko zdołasz uczuć, co się ze mną wówczas działo, gdy wzrok, poprzedzając najbystrzejszy bieg konia, zaczynał dostrzegać i rozpoznawać wśrzód ciemności miejsca, tak dobrze sercu memu znane, tak dawno ode mnie widziane, miejsca, wśrzód szczęścia opuszczone, całą przeszłość przede mną stawiące, a tak dziś rozpaczą twoją okropne. Potajemne ku nim zbliżanie się, z ostrożnością występnego do ogrodu wnijście, obłąkanie się moje, przyprowadzające mnie do zwalisk mojego niegdyś mieszkania, ujrzenie drzewa, pod którem cię w czasie pożaru widziałem, i tych brzóz, przy których mi swe włosy oddałaś, nakoniec wybicie na wieży zamkowej trzeciej godziny, przypominające mi, kiedyś, zalana łzami, po raz pierwszy do mnie pisała... Julio! jedno tylko niebezpieczeństwo życia twojego mogło mi dać moc przetrwania tylu okropności.

Przetrwałem wszystkie... wchodzę do twojego mieszkania... wszędy ciemność i milczenie... uchylam drzwi twego pokoju... O widoku!... zbladła, z zwieszoną na krześle głową... u nóg twoich Kamilla, zalana łzami... ukryte światło, nadające ci postać śmierci... ręką rozpaczy, niepomną na skromność, rozrzucone twoje szaty... Utraciłem przytomność... wleciałem... oblałem łzami nogi twoje i ręce, co mię podnieść chciały. Utraciłaś i ty przytomność. Złączyły się nasze usta, złączyły je miłość i rozpacz tak silnie, że wszystkie usiłowania Kamilli do oderwania nas od nas nadaremne były. Odstały one same po wyssaniu wzajemnem wszystkich sił naszych. Stało się, ostatnia rozkosz, ostatnie pożegnanie, ostatni dzień życia mojego. Tak jest, Julio! już niknie... ustaje... dogorywa już we mnie życie...

...Co do ciebie... tylekroć nieszczęśliwsza ode mnie kochanko moja! ty naznaczonego kresu dożyć musisz. Gdybyś innych nie miała powodów i względów, przywiązujących cię do tej ziemi, dosyć ci tego wspomnienia, że ojciec twój żyje. Ojciec twój żyje! szanuj więc do końca obowiązki córki, dla których tyleśmy już poświęcili. Nie otwieraj mu przedwcześnie grobu rozpaczą twoją. Pomnij, że przyśpieszenie śmierci temu, od którego wzięłaś życie, jest najstraszniejszą w oczach ludzi i Boga zbrodnią. Pomnij nakoniec, że lata, wieki są chwilą w porównaniu z wiecznością, w której się połączyć mamy. Ach! gdziekolwiekbądź, byleby się z tobą połączyć. Utraciłem cię na ziemi, idę cię odzyskać w nieskończoności, otaczającej Boga. Tam cię, kochanko moja, czekać będę, bo tam siedlisko nieszczęśliwych przez cnoty. Z jakąż niecierpliwością liczyć będę posuwania się czasu, przybliżające ciebie do mnie. Z jaką rozkoszą porwę ostatnie twoje tchnienie, z jakim tryumfem postawię cię nieskażoną przed Bóstwem, z którego czystych odetchnień utworzoną byłaś . . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . Może to pismo przyjazna ręka usunie na zawsze z przed oczu twoich, alboli też wówczas dopiero dozwoli na nie potoki łez wylać, gdy Adolf, przywalony ziemią, przeistaczającą go w siebie, ani jęków, ani miłości twojej czuć nie będzie... Wieczne

milczenie otoczy mogiłę moją, której może nigdy łza twoja nie skropi, noga nie dotknie.

Wszystko w opustoszałym zniknie Skalinie. To jedno tylko drzewo, imieniem twojem szczęśliwe, osłaniające grób twego kochanka, biorące pokarm niknieniem jego, zachowa pamięć miłości naszej. Śmiertelni! szanujcie je!... Biada temu, kto tę świętą pamiątkę zabójczem żelazem ośmieli się zniszczyć!... Cień go mój wszędy ścigać będzie i mścić się na wszystkich chwilach życia jego . . . . . .

. . . . Jeszcze raz wzrok słabnący zwracam w tę przestrzeń, którą tylekroć oczy nasze przebiegały, i na te wieże Krasnogrodu, oświecone w tej chwili światłem, którego więcej nie ujrzę. O moje drzewa, łąki i gaje! świadki niegdyś mojego szczęścia i rozpaczy, życia i śmierci! O nadzieje! miłości! lube omamienia! i wy, przyjaciele, żegnam was! A ty, kochanko moja! połowo duszy mojej! życie moje do ostatniej chwili życia mojego, użyczam cię tylko na czas tej ziemi dla jej ozdoby i szczęścia!. . . . . .

. . . . . .

. . . Włosy twoje są przy mnie... listy w rękach Kamilli... Skalin Mirosławowi... wiernego Luata zostawiam tobie... Julio... Julio...

List LXVIII. Tenczyńskiego do Adolfa.

Adolfie! nie zadawaj śmiertelnego razu naszym sercóm *[tak]*, umiejącym cenić twoje cnoty i nadzwyczajną miłość, dla której Zdzisław z swojego szczęścia ofiarę czyni. Upamiętaj się więc, powściągnij twój żal i przybywaj do twojej Julii.

List LXIX. Julii do Adolfa.

Jeżeli żyjesz, kochanku mój! Mężu mój! Jeżeli nie żyjesz, zabójco kochanki i żony!...

List LXX. Odpowiedź służącego.

Nie żyje . . . . . .

Opracował H. GALLE.

XXIV.

WEŻYK FRANCISZEK

(1785—1862).

Franciszek Wężyk przyszedł na świat we wsi Witulinie, w województwie podlaskiem, dnia 7 października 1785 roku, z ojca Kazimierza, późniejszego posła na sejm czteroletni z województwa sandomierskiego, i matki Maryi z Bogusławskich. Dzieciństwo jego upłynęło na łonie rodziny, zacnej i dobrze myślącej o dobru ogólnem; nieraz przysłuchiwał się Franciszek poważnym rozmowom, w domu rodziców toczonym z przybywającymi gośćmi, jak biskup łucki, Feliks Turski, Naruszewicz, Chreptowicz i inni. W roku 1792 oddano go do szkoły w Białej Radziwiłłowskiej; przez czas powstania trzymano go w domu, a przychodzące z teatru wielkich wypadków politycznych wieści głęboko wstrząsały duszą młodzieńczą. W roku 1795—6 uczył się w Łukowie, pod kierunkiem zacnego staruszka, ks. pijara Eismonta, potem znów w Białej, aż wreszcie w roku 1798 oddano go wraz z bratem Ignacym na pensyonat Karola Möllera w Warszawie; a kiedy w rok potem nauczyciel wyemigrował z kraju dla wstąpienia do legionów, Wężyk zmuszony był uczyć się prywatnie, by nakoniec w roku 1801 zdać na maturę w c. k. gimnazyum bialskiem, i to *cum nota eminentiae,* poczem zapisał się na wydział prawniczy uniwersytetu krakowskiego, chodząc jednocześnie na wykłady literatury greckiej, rzymskiej i polskiej, a także starożytności greckich. Nauki humanistyczne pociągały go bardziej od suchego i nieszczególnie wykładanego prawa; wymownym dowodem studyów nad humanistami (pod przewodnictwem Jacka Przybylskiego), jest przekład «Edypa» Sofoklesa z roku 1804. Z doby uniwersyteckiej pochodzi znajomość Wężyka z Czackim, Niemcewiczem, Ossolińskim, nie mówiąc o Janie Śniadeckim, który był wówczas dziekanem wydziału filozoficznego; wtedy też zaczął przekładać «Eneidę», a także, za przykładem Alfierego i Schillera, napisał

tragedyę p. t. «Don Carlos» (1805 r. — pozostaje w rękopisie). Gdy w r. 1806 umarła Franciszkowi matka, porzucił uniwersytet na wezwanie ojca, który chciał go mieć przy sobie dla pomocy w sprawach majątkowych. Rozgorzałe od r. 1806 na terenie dawnej Rzplitej wojny natchnęły go do szeregu ód i wierszy okolicznościowych, jak: «Oda do Polaków» (1806), «Wiersz do wojska polskiego» (t. r.), «Msza święta» (1808), które rozgłosiły jego imię. W r. 1807 przybył do Warszawy w chwili organizacyi nowego rządu i objął obowiązki asesora Sądu apelacyjnego departamentu warszawskiego. W roku 1809 daje się poznać szerokim kołom publiczności, jako autor okolicznościowej «sceny historycznej» w trzech aktach p. t. «Rzym Oswobodzony» (wydane w Warszawie 1811 r.), gdzie pod alegoryą najścia Gallów na Rzym przedstawił współczesne wypadki i nawet współczesnych działaczy politycznych (Kamillus — ks. Józef Poniatowski). Na czas kampanii r. 1809 przeniósł się do Krakowa, gdzie poznał Dąbrowskiego, z którym zwiedzał okolice Krakowa: Ojców, Pieskową Skałę, Krzeszowice, Tyniec, Łobzów i t. d.; do wycieczki tej przyłączyli się dwaj przyjaciele poety, Horodyski i Szaniawski. Wówczas to powstały pierwsze zarysy poematu «Okolice Krakowa», wykończonego w roku 1813, wydanego w 1820. W r. 1810, po przezwyciężeniu wielu trudności ze strony rządu Księstwa Warszawskiego, wystawił w Warszawie «Glińskiego», utwór, który zjednał sobie gorący poklask, a 25-cio letniemu autorowi swemu otworzył podwoje Towarzystwa Przyjaciół Nauk (6 stycznia 1811 r.). Za pierwszą poszły inne tragedye: «Barbara Radziwiłłówna» (1812), «Bolesław Śmiały» (pierwotny tytuł: «Bolesław Wtóry» — p. autograf Nro 985 Biblioteki ord. Zamoyskich, 1816; tamże — autograf «Glińskiego», Nro 988), «Wanda», w tym samym mniej więcej czasie napisana, komedye: «Nowiniarz» (około 1811—15 r., nie wydana), «Kabalista» (1813, nie wydana). W roku 1810 został obrany posłem z powiatu bialskiego na sejm warszawski; należał też w roku 1812 do czynniejszych członków konfederacyi generalnej. Uznając zalety literackie tragedyi Wężyka, Towarzystwo Przyjaciół Nauk poleciło mu napisanie rozprawy o poezyi dramatycznej; autor «Glińskiego» dokonał tego w roku 1811 i przedłożył swą pracę Towarzystwu, którą jednak wyznaczona deputacya odrzuciła, jako zbyt śmiało zrywającą z kanonami estetycznymi (1814 r.). Dotknęło to boleśnie Wężyka, który jeszcze w 32 lat pisał z żalem: «Poczytano mnie za barbarzyńca, i tylko uprzejmość kolegów oszczędziła mi tego imienia». Rozgoryczony, a przytem znękany pogromem Napoleona w 1812 roku, usunął się z Warszawy do Krakowa, a potem do Witulina i tam w roku 1816 wstąpił w związki małżeńskie z panną Felicyą Mieroszewską, córką Józefa i Konstancyi; w tym samym 1816 roku stracił 70-cioletniego ojca. Prócz dramatów pisał też w tym czasie i powieści: «Władysław Łokietek» (1828), «Zygmunt z Szamotuł» (1829) i «Daszko i Oksenia» (1831, nie drukowana), powieść poetycką: «Komat», już pod wpływem

«Grażyny» Mickiewicza skreśloną. Powstanie listopadowe wciągnęło ponownie Wężyka w wir wypadków politycznych: w maju wezwano go do zasiadania w senacie i mianowano kasztelanem; wieści te zastały go w Siedliskach w Krakowskiem, odziedziczonych po ciotce, gdzie osiądł w r. 1830. Przyjechał do Warszawy, brał żywy udział w dyskusyach parlamentarnych, stawiając np. na sesyi 12 sierpnia «oddzielne votum» przeciw zmianie wodza naczelnego, brał też udział w Radzie Konfederacyi Generalnej, a po upadku rewolucyi uszedł ponownie do Siedlisk, gdzie przebywał aż do roku 1838, wyjeżdżając tylko dla odpoczynku i kuracyi do wód zagranicznych (między innemi w latach 1834 i 1837 bawił zimą w Dreźnie, gdzie zapoznał się z Ludwikiem Tieckiem). W roku 1838 zamieszkał na czas dłuższy w Krakowie i został tu obywatelem rzeczypospolitej krakowskiej; tu przebył zawieruchę 1846 i 1848 r. Z tej epoki pochodzi sporo wierszy ulotnych i okolicznościowych (m. inn. wiersze do Deotymy, do Z. Krasińskiego), z dłuższych poemat p. t. «Piast» (1856). Ostatnie lata Wężyka nie były wolne od pracy społecznej, której zawsze gorąco się oddawał: w roku 1856 Towarzystwo Krakowskie Przyjaciół Nauk, którego od 29 lutego 1848 roku był członkiem, powołało go na zaszczytne stanowisko prezesa po Józefie Majerze (25 października); dnia 9 stycznia 1857 roku po raz pierwszy zagaił posiedzenie Towarzystwa. Sprawą, którą najgorliwiej zajął się w te lata schyłkowe swego życia, była budowa własnego domu dla Towarzystwa: został kwestarzem składek i pełnomocnikiem, nawoływał w gorących odezwach społeczeństwo do poparcia zacnej inicyatywy, dość jednak bezskutecznie — wobec obojętności i ospalstwa ogółu — tak iż w końcu widział się zmuszonym brakującą sumę 6.550 złr. 47 ct. z własnej kieszeni dołożyć. Przez trzy lata piastował godność prezesa, złożywszy ją wreszcie w r. 1859 w ręce swego poprzednika, Majera. Nie próżnowało też w tym ostatnim okresie i pióro Wężyka: oprócz wielu wierszy lirycznych pisał utwory dramatyczne, jak: «I ja też, czyli Rzeczpospolita Babińska» (1861), «Bezkrólewie I» (1858) i «Bezkrólewie II» (1853), komedya «Dzieci wieku» (1860), «Przedsiębiorca teatru, prolog» oraz wiele rozpraw treści filozoficznej i politycznej. Nie danem mu było jednak widzieć pierwszej sesyi Towarzystwa w gmachu, pod który w dniu 4 czerwca 1857 r. położył kamień węgielny; na kilka miesięcy przed śmiercią podpisał trzęsącą się ręką umowę z Towarzystwem, mocą której zobowiązał swoich spadkobierców do wykończenia budowy, nawet własnym kosztem, gdyby fundusz zebrany okazał się niedostatecznym. W dniu 2 maja 1862 r. zmarł, żałowany powszechnie przez wszystkich; umiłowana jednak myśl Wężyka, dom Towarzystwa Naukowego, i pomimo jego śmierci znalazła urzeczywistnienie.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA:

a) Za życia autora ukazały się w druku następujące prace: «Barbara Radziwiłłówna, tragedya» (Kraków 1822); «Bezkrólewie, dramat» (Kraków około 1858 r.) «Bolesław Śmiały, tragedya» (Kraków 1822), «Gliński, tragedya», (Kraków 1821, II wydanie 1831); «I ja też czyli Rzeczpospolita Babińska, komedya historyczna», (Warszawa 1861), «Mieszkaniec Krakowa do mieszkańca Warszawy» (Kraków 1829), «Okolice Krakowa» (Kraków 1820, 1823 i 1833), «Rysy z życia ś. p. ks. Karola Antoniewicza» (Poznań 1853), «Rzym oswobodzony, scena historyczna... wystawiona pierwszy raz na teatrze warszawskim 21 grudnia 1809 r. z okoliczności tryumfalnego powrotu wojska narodowego do stolicy», (Warszawa 1811), «Wanda, tragedya» (Kraków 1826), «Władysław Łokietek, czyli Polska w XIII wieku», (3 tomy, Warszawa 1828); «Zygmunt z Szamotuł, powieść z dziejów XIV w.» (Warszawa 1830), «O życiu i zgonie Tekli z Wodzickich Małachowskiej» (Kraków 1830). Po śmierci ukazało się wydanie zbiorowe p. t. «Pisma... poezye z pośmiertnych rękopisów», wydał Stan. Tomkowicz, Kraków, 1878; tom I: tłómaczenia klasyków, tom II: utwory dramatyczne z dodaniem urywkowych pamiętników autora, tom III: poezye liryczno-okolicznościowe i inne pomniejsze z dodaniem bibliografii. Pamiętniki Wężyka p. t. «Powstanie Królestwa Polskiego w roku 1830—1831» wyszły w Krakowie w roku 1895.

b) **W rękopisach** pozostały w posiadaniu rodziny następujące prace: 1) «Don Carlos, tragedya w 5 aktach wierszem 1805 r.»; 2) «Nowiniarz, komedya w 5 aktach wierszem» około 1811—15; 3) «Kabalista, opera komiczna w 2 aktach wierszem» 1813 roku: 4) «Daszko i Oksenia, powieść historyczna z dziejów XIV w.» około 1815 r.; 5) «Dzieje Polski dla dzieci», rozpoczęte w roku 1829, a ukończone około 1859 dla wnuków; 6) «Dzieci wieku, komedya w 3 aktach wierszem», 1860 roku.

c) **O Wężyku** pisali: Zathey H.: «Z papierów Fr. Wężyka» («Przegląd Polski», 1875), I); Korespondencya K. Koźmiana z F. Wężykiem» («Przegląd Polski», 1875); Tomkowicz S.: «Barbara Radziwiłłówna w poezyi» (tamże, 1875); Siemieński L.: «Fr. Wężyk» («Dzieła», t. IV); Wojciechowski K.: «Listy F. W.» («Przegląd Literacki», I, 1896); Tomkowicz St.: «Żywot Fr. Wężyka» (w wydaniu «Poezyi» Wężyka, Kraków 1878); Zapała Z.: «Franciszek Wężyk, monografia bibliograficzno-krytyczna» (Kraków 1898); Balicki A. E.: «Bolesław Śmiały i św. Stanisław Szczepanowski w poezyi polskiej» (Kraków 1905); Tarnowski Stan.: «O niewydanych poezyach» (Rozpr. Akad. Umiej. wydz. filol., t. III, Kraków 1875); Chmielowski P. «Dzieje krytyki literackiej w Polsce» (Warszawa 1902); Magiera M.: «Stosunek Zach. Wernera do literarury pol. z uwzględnieniem «Wandy» Wężyka» (Wadowice 1902).

A) Oda
na powrót wojska polskiego do stolicy 18 grudnia 1809 r.

(Poezye, t. III, str. 34 — 37).

187) Gotujmy laury i hymny weselne,
Wznośmy do niebios tryumfalne łuki!
Oto, spełniwszy dzieła nieśmiertelne,
Mężnych Lechitów powracają wnuki.
Bracia to nasi, nasza krew, zaszczyty,
Bytu nowego puklerz nieprzebity,
Przyszłej wielkości wróżby okazałe;
Oto bóg zwycięstw, co w zastępy blade
Rozsiewał z nimi popłoch i zagładę,
Do ich oręża swą przywiązał chwałę.

Cóż to za odgłos?... powietrze się wzrusza,
Zewsząd radośne unoszą się brzmienia
Cały lud jedna napełniła dusza,
Cały kraj w pole tryumfu się zmienia.
Powstają łuki, wznoszą się ołtarze,
Topią się oczy w bohaterów twarze,
Z serca płynące radość łzy wyciska.
Nadchodzą mężni, a stolica cała
Ku ich przyjęciu z murów się wylała;
Niebo zachwyca wielkość widowiska.

Tak Rzym, z swych zwycięstw i cnót znakomity,
Witał po wojnach niezwalczone szyki;
Brzmiały tryumfem Kapitolu szczyty,
Darły się w niebo radosne okrzyki.
Składano znaki, w bitwach uniesione,
Jęczały wozy, łupem obciążone,
Za dzielnym wodzem szedł orszak zwycięski,
Dalej okuci w niewolnicze pęta
Podbitych ludów króle i książęta;
Drżał świat, odległe przewidując klęski.

Lecz gdzież mnie, myśli, unosisz zuchwała?
Z tryumfem cnoty równam tryumf krwawy!...
Czyliż w te pułki tyle męstwa wlała
Żądza ohydna ludobójczej sławy?
Nie płaczą na was o wzięte swobody
Z drogich własności wyzute narody.
Nie brzęczą na nich pęta niewolnicze;
Bracia wyrwani z jarzma i sromoty,
Bitnych naddziadów odzyskane cnoty:
Oto wasz tryumf, oto są zdobycze.

Już ta, z rąk której w bogatym posagu
Niezwiędłe mężnych czekają wawrzyny,
Już rącza sława od Wisły do Tagu
Na podziw wiekom głosi wasze czyny.
Ledwie wskrzeszeni nadludzkimi dziwy,
Upadł przed wami Pomorzec pierzchliwy,
Drży Naddunajczyk, w krwawej starty walce:
Tak dzielny Alcyd, wielkich bogów plemię,
Co z hydnych potwór oswobodził ziemię,
Dusił w kolebce mordercze padalce.

Nie tu kres trudów. Równi mu w potędze,
Równych prac ogrom zniosą wasze głowy;
Jeszcze w odwiecznej przeznaczenia księdze
Los wasz krwawemi zapisano słowy...
Jednej z Alcydem uczestnicy doli,
Długo wam zawiść wytchnąć nie dozwoli,
Niosąc miecz z ogniem na wasze zagony;
A wściekła z męstwa w świętych praw obronie,
Z całego piekła w swej zemście wyzionie
Hydry stugłowe, Jędze i Gorgony.

Lecz wy, w niezłomne uzbrojeni siły,
Walk tych pogodną oczekujcie twarzą;
Jest bóg, co Polskę wydźwignął z mogiły,
Jeszcze się gromy w dłoni jego żarzą.
Tak owa wyspa, którą woda słona
Wydała na świat z rozdartego łona,
Gdy Neptun morze swym trójzębem wzruszył:
Próżno się miotał żywioł rozigrany;
Gasły pioruny, pękały bałwany,
Mściwe zapędy bóg potężny kruszył.

Jak piękne walki otwiera się pole!
Czuwa nad nami potężna opieka,
Naprzeciw mężów stawają niedole,
U kresu pracy nieśmiertelność czeka.
Tak, gdy krwią waszą odbite siedliska,
Gdy ziemia ojców dawny blask odzyska,
Wtenczas spocznijcie na zwycięstwa łonie;
A imion waszych uczyć niemowlęta
Wskaże powinność dla serc naszych święta
Zaraz po Bogu i Napoleonie.

B) Okolice Krakowa (1820).

(Z wydania pierwszego).

Jest to poemat opisowy, rozpoczęty w 1809 r. zaraz po zajęciu Galicyi Zachodniej przez wojsko polskie. Poeta zaczyna od wezwania do miłości ziemi rodzinnej.

188) *Str. 3—5.* Niech inny, pogardziwszy ojczystą dziedziną,
Śpiewa, jak Indów rzeki drogim kruszcem płyną:
Niech go zajmą Alp śnieżnych widoki olbrzymie,
Niech śladów dawnej chwały w nowym szuka Rzymie,
Niech na gruzach Palmiry nuci pieśń żałoby,
Niech głosi panów Nilu równe niebom groby:
Wyższy cel ducha mego obdarza natchnieniem —
Ojców ziemię ojczystem chcę uwiełbić pieniem.
Po cóż śladem ubitym ścigać rzeszę płochą?
Wszak i dla nas natura nie była macochą.
A jeźli w obcej ziemi piękna okolica
Czaruje wdziękiem oczy i umysł zachwyca;
Jeźli skał lodowatych nęci obraz dziki,
Jeźli bory posępne, wesołe gaiki,
Jeźli mają zaletę zdroje przezroczyste:
Dla mnie te najpiękniejsze, które są ojczyste.

O, nieprzebrane źródło najczystszej słodyczy!
O ty, ziemi naddziadów wdzięku czarowniczy!
Jak silnemi ogniwy twa święta potęga
Z ojczyzną ukochaną dusze nasze sprzęga!
Dla ciebie, gdy pieśń lubą usłyszy z daleka.
Szwajcar w góry niepłodne z pysznych miast ucieka;
Dla ciebie, wiecznej zimy twarde znosząc słoty,
W obcych krajach Lapończyk usycha z tęsknoty;
Dla ciebie, gdy duch niezgód, z przemocą związany,
Lud wolny na zelżywe potępił kajdany;
Pod obcem niebem mężni walczyć przedsięwzieli
By się z czasem na groźnych wykształcić mścicieli.
Ileż razy, w swej doli szukając pociechy,
Wzdychali z brzegów Tybru do ojczystej strzechy;
A nad kraj, ręką Twórcy hojnie obdarzony,
Przekładali ubogie naddziadów zagony.
O, miłości ojczyzny! twa przemożna władza
Do bohaterskich uczuć ludzi doprowadza.
Któż ci sił swych, kto życia nie odda z weselem?
Ty więc bądź pienia mego, ty czci mojej celem.
Tak, czyli śpiesząc w zawód, dotychczas nietknięty,
Drogiej przodków mych ziemi zakreślę ponęty;
Czy się z pochodnią Feba w jej łono zanurzę,

By wydrzeć tajne skarby zdumiałej naturze:
Ty mię wspieraj ramieniem potężnej opieki,
A późne głosu mego nie odrzucą wieki.

Śpiewać będę kraj błogi, którego wnętrzności
Pierwszych ojców ojczyzny przechowują kości.
Śpiewać chcę, jeźli rzeczy głos wydoła słaby,
Bogactwa i pamiątki, wdzięki i powaby
Ziemi, na której łono natura wspaniała
Hojną reką obfitość i skarby wylała.
Z niej, jak liczne od wieków stwierdzają dowody,
Drogiem zdrowiem płynące wytryskują wody.
W jej głębię zapuszczony człowiek, światła chciwy,
Karmi umysł ciekawy tysiącznymi dziwy;
A wdarłszy się w najskrytsze tajniki natury,
Dobywa sól pożywną, kruszce i marmury.
Cóż mam rzec o płodności, której dzielna władza
Ciężkie trudy rolnika hojnie wynagradza?
Dotknęż plonów, którymi obciążone łodzie
Wisła w rocznej daninie morskiej znosi wodzie?

Potem opisuje Kraków i jego okolice. Każda miejscowość, każda pamiątka budzi w nim wspomnienie dawnej świetnej przeszłości, i te dwa pierwiastki: opisowy i historyczny, łączą się i przeplatają, stanowiąc dość wątłą treść poematu. Skałka przywodzi mu na myśl zbrodnię Bolesława II, Bielany — chwilę założenia tam klasztoru Kamedułów w XVII w., Tyniec ze starożytnym zamkiem — dawnych jego panów, dzielnych Toporczyków, kopiec Kościuszki — czyny i śmierć tego męża, Łobzów — Kazimierza W. i Esterkę, Tęczyn — świetną przeszłość rodu Tęczyńskich, Ojców i jego jaskinie — króla-tułacza, Łokietka, Prądnik — biskupa Maciejowskiego i «Dworzanina» Górnickiego; po wszystkiem tem pozostały tylko ślady dawnego przepychu. Potem poeta ogląda mogiły Wandy i Krakusa, powtarza podanie o smoku wawelskim, zwiedza Wieliczkę, spuszcza się w podziemia, ogląda szyby i jeziora podziemne, słucha opowiadań starego górnika o strasznym pożarze w minach w trzecim roku panowania Zygmunta Starego. Kończy wezwaniem do przyszłych pokoleń, aby mu wybaczono, że «wielkie rysy dotknął nikłymi kolory». Podajemy poniżej jeden z napiękniejszych opisów, wylewu Wisły.

189) *Str. 48—50.* Gdy stąd oko rozmierzy przestwór niedaleki,
Mijając wdzięczne łąki i wzgórza pochyłe;
Widać na innym brzegu bliższej źródła rzeki
Podobną do tej mogiłę.
Pod nią znane z przemysłu spoczywa P o d g ó r z e;
Jej podstawę skaliste wspierają K r z e m i o n k i.
Nad czołem widać w Tatrach zawieszone burze
I gór, śniegiem okrytych, rozrzucone członki.

Kto kruchym łodziom Wisły zbytnio nie dowierza,
Niechaj, dążąc tam, wstąpi w mury Kazimierza:
Tam same ślady ludzkie do celu zawiodą.
Tam niegdyś stał most z drzewa nad szumiącą wodą,
Dowcipne dzieło kunsztu, co przez swe zabiegi
Dwa od wieków rozdarte złączył z sobą brzegi.
Dziesięć lat ponękana i dziwem przejęta
Dźwigała, milcząc, Wisła dolegliwe pęta;
Wreszcie do sił olbrzymich obcą siłą wzrosła,
Wzdęła się, uderzyła i most hardy zniosła.
Widziałem klęsk okropnych przepowiednie znaki.
Wrzeszczały ponad wodą krzywej wrożby ptaki,
Z ciemnych pieczar zawyły sprzeczne sobie wiatry,
I przyodziane śniegiem zbliżyły się Tatry.
Krótki czas ziścił wrożby i przestrogi wieszcze;
Szum wody i trzask gromów uderzył z daleka,
Pękły brudne obłoki i lunęły deszcze,
Nagle z brzegów swych bystra występuje rzeka;
Rozlewa się w doliny, wspina się na góry,
Rwie tamy, niszczy mosty i wywraca mury.
Już Wisła, straszliwymi zagmatwana łomy,
Niosła brogi i statki i drzewa i domy;
Już war, wszystko, co spotka, rozburzyć gotowy,
Hojne z ludzi i bydląt pochłonął stugłowy;
Jęk straszliwy powstaje nad smutnem przestworzem,
I cały kraj zalany jednem zdał się morzem.
Tu nędzni, w srogiej z śmiercią pasując się męce,
Z wód szumiących omdlałe wyciągają ręce;
Tam wolni od zatopu we łzach toną rzewnych,
Jęczą, wesprzeć nie mogąc swych przyjaciół, krewnych;
Tam, gdy powódź warowne przebyła zapory,
Całe wsie w niedostępne uciekają bory.
Ściga woda za nimi, spocząć nie dozwala
I stuletnie jawory wraz z ludźmi obala.
Rolnik, z chatki wygnany nagłością powodzi,
Szuka brogów, bydełka; szuka, nie znachodzi;
Stracił całą chudobę i łzy rzewne leje,
Widząc życia nędznego wydartą nadzieję,
Wtem otoczona wodą zachwiała się chatka.
W niej pracowita żona i zgrzybiała matka,
W niej się troje znajduje nieszczęśliwych dzieci.
Ci nędzni żebrzą wsparcia; słysząc głos ich, leci,
Leci... ale za późno. — Już wściekłe bałwany
Słabe kruchego domku rozburzyły ściany,
Zginęli wszyscy razem w okropnej głębinie.
On się rzuca w nurt bystry i wraz z nimi ginie.

Szczęsny! że go zgon jeden w jednej złączył chwili
Z tymi, którzy za życia szczęściem jego byli!

C) Gliński, trajedya w pięciu aktach wierszem (1821).

(Z wydania pierwszego).

Tragedya ta osnuta na dziejach słynnego zdrajcy, który, za zabójstwo skazany na wygnanie, udał się do Moskwy i walczył przeciw własnemu krajowi. Rzecz dzieje się na zamku smoleńskim, kiedyś zdobytym przez Glińskiego dla Moskwy, a teraz obleganym przez Polaków. Glińskiego dręczą wyrzuty sumienia, a w nocy widzi krwawe mary pobitych przezeń Zabrzezińskich, słyszy ich jęki. Daremnie uspokaja go córka, dobra i słodka Helena. Na zamek przedziera się chrobry rycerz polski, Trepka, niegdyś narzeczony Heleny, i błaga Glińskiego, by porzucił zbrodnicze zamiary i stanął po stronie rodaków. Gliński się waha, już odmawia, gdy Trepka obnaża miecz, gotów go zamordować, jeśli nie zdoła przekonać; Helena drżącemi rękami wstrzymuje cios śmiertelny, grożący ojcu. Wtedy Gliński, wzruszony tym dowodem cnoty i stałości, oświadcza, że gotów oddać się w ręce króla Zygmunta. Trepka i Helena tryumfują. Tymczasem jednak przybywa do twierdzy car Bazyli, a przekonawszy się, że w zamku był Polak Trepka i że Gliński gotów Moskwy odstąpić, poprzysięga im zemstę. I nie czeka długo na jej spełnienie, bo oto wdziera się sam Trepka na pokoje zamkowe z mieczem w dłoni, godząc na życie cara. Ubezwładniony, idzie na mękę, a okrutny car każe Glińskiemu czuwać nad wykonaniem kaźni. Ale w Glińskim obudziło się już sumienie: oznajmia carowi, że zna o wiele straszliwszego zdrajcę, a jest nim — on sam. To wyznanie przychodzi jednak za późno, gdyż wtem wystrzał działowy daje znać, że Trepka żyć przestał: Gliński nie chce go przeżyć i przebija się mieczem.

190) *Str. 23—30.* **AKT II. SCENA II.**

Gliński. Dzieci! *(do Trepki).* Wszak mi cię wolno zwać syna wyrazem?
Ileż ulgi doznaję, znajdując was razem!
Jak na widok was męstwo we mnie się odmładza!
Jak jest dzielna przyjaźni i natury władza!
Ach, chodźcie! niech was ojciec przyciśnie do łona.
Cóż to? ty się odwracasz, a tyś przerażona?
Trepko! za cóż w twem ręku żelazo zabójcze?

Trepka *(na stronie).* Cóż mu na to odpowiem?

Helena. O, nieszczęsny ojcze!
Drżyj, uciekaj!

Gliński. Co słyszę?... lub mię w błąd wprowadzasz,
Lub tyś nie jest mą córką, gdy mi drżeć doradzasz,
Ja mam drżeć?... chceszli znaków potęgi i siły?

Rzuć oko na sterczące dokoła mogiły.
Tu potężne zastępy legły z mojej ręki,
Tam piekła napełniły konających jęki,
Tu rzeki zarumienił miecz ten, krwi rozrzutny,
Owdzie w stepy bezludne...

Trepka. Wstrzymaj się, okrutny!
Jeźli z rąk twych krwi bratniej potoki się lały,
Po cóż stąd wobec ziomka dzikiej szukasz chwały?
Lecz i to ci pomijam. Znasz dobrze me cele.
Chceszli mieć hydne jarzmo lub wolność w podziele?
Wybrałżeś śmierć lub życie, sławę lub zhańbienie?
Mów! dobija godzina: zbrodnią jest milczenie.

Helena. O mój ojcze!

Trepka. Odpowiedz!

Gliński. Srodzy! czegoż chcecie?
Oto brzemię udręczeń siły moje gniecie,
Oto waham się cały na dwie sprzeczne strony,
Oto wreszcie przed wami stoję poniżony.
Tegoż po mnie chce losu wola niezbłagana,
Ażebym przed Zygmuntem uchylił kolana?
Czyliż króle początek z wyższych istot biorą,
Że ich łask żebrać każą hańbiącą pokorą?
Cóż w Zygmuncie jest więcej, we mnie mniej od człeka?
Wieszli, gdybym się ugiął, co mnie potem czeka?
Zdany na łup morderczy wstydu i sromoty,
Zbrodniarz bez wytrwałości, pokutnik bez cnoty,
Własnego upodlenia i kary narzędzie,
Któż się mojej słabości urągać nie będzie?
Któreż znajdę krainy, które światła strony,
Gdziebym, jak podły zmiennik, nie był wyszydzony?
Raz już w cnocie upadłem; żal winy nie zmienia;
Ochroń mi więc przynajmniej w zbrodni poniżenia.

Trepka. Więc ostatnia już dla mnie zniknęła otucha!
Nicże w tobie hardego nie powściągnie ducha?
Ani ciebie ojczyzna porusza cierpiąca,
Którą własne twe ramie do zguby potrąca?
Ani też z zawieszonej nad przepaścią drogi
Straszne samego nieba zwracają przestrogi?

Helena. O! jeśli twoja stałość dotąd niewzruszona,
Niech cię córki błaganie i rozpacz pokona:
Przez ciebie od lat wielu wśród obcych ciśnięta,
Znosiłam z cierpliwością dolegliwe pęta,
Tyś był zawdy mem wsparciem, a przy twoim boku
Urągałam się nieraz z srogiego wyroku.

Ileż srogich udręczeń i łez kosztowała
Pozyskana na ziomkach ojca mego chwała?
Ileż przeczuć okropnych twe budziły blaski?
Bo ślizkie są od obcych wyżebrane łaski!
Gdy więc świetność twa srogiej ustąpi rozpaczy,
Któż wtedy nad mym stanem zlitować się raczy?
Oto nędzna sierota, mało znana komu,
Stanę się celem wzgardy, ohydy i sromu.
Nieprzyjaciół twych liczną otoczona zgrają,
Ci, którym służył ojciec, córki nie poznają,
Ci, którym sprzyjać nie mógł, odepchną, wypłoszą:
Ach! na łonie ojczyzny i śmierć jest rozkoszą.

Trepka. Długoż jeszcze występne zachowasz milczenie?

Gliński. Złorzecz mi, win, nastawaj; ja się nie odmienię.

Helena. Ach ojcze! więcej dla mnie, niźli życie, drogi!
Oto łzami rzewnemi skrapiam twoje nogi:
Mamże wszystko wyjawić? może już, niestety!
Mordercze nad twą głową snują się sztylety!
Może cię tysiąc śmierci otacza dokoła.
Ach! któż ogrom trosk moich określić ci zdoła?

Trepka. Srogi! w jakąż cię przepaść twa zaciętość grzebie!
Chceszli więc, abym w zemście przeszedł nawet ciebie?
Jam dla dobra twojego dni poświęcił moje,
Dla ciebie aż do błagań zniżyć się nie boję;
A chociaż mi wraz z życiem wolna dusza wlana,
Pierwszy raz przed człowiekiem uginam kolana.

Gliński. Żądaj walk dla ojczyzny, pobiegnę z ochotą;
Lecz nie żądaj, bym dla niej okrył się sromotą.
W pierwszych śmiało uderzę na siły olbrzyma;
Przy drugiej ramie moje dziecku nie wytrzyma.

Trepka. Dość już czasu na próżnej upłynęło mowie;
Ostatni raz cię pytam.

Helena *(na stronie).* Nieba! cóż odpowie!

Trepka. Ostatni raz cię pytam, jakąś obrał drogę?

Helena. O mój ojcze!

Trepka. Mów! śpiesz się!

Gliński. Stało się! nie mogę.

Trepka. Nicże już cię nie zmieni?

Gliński. Tak jest.

Helena. O rozpaczy!

Trepka *(chcąc go przebić).*
Giń, zdrajco!

Helena. Stój, okrutny!

Trepka. Puszczaj!
Gliński. Cóż to znaczy?
Trepka. Widzisz w całym ogromie i wstyd mój, i winę.
Chybiłem; tryumfujesz, wywrzyj zemstę, zginę.
Nie chcesz... patrz więc, jak dłoń ta własną krew przeleje...
Gliński. Stój!... co czynisz... gdzież jestem... cóż się ze mną dzieje...
Patrzaj!... jakaś moc wyższa nagli mię, porywa...
O Trepko! zwyciężyłeś...
Helena. O chwilo szczęśliwa!
Trepka. Mogęż wierzyć?
Helena. Mój ojcze!
Gliński O dzieci kochane!
Trepka. Jakiż Bóg tak pomyślną zrządza w tobie zmianę?
Gliński. Zanurzony w przestępstwach, nie czułem dopóty,
Aby można z stałością tyle łączyć cnoty;
Moc twojego umysłu i niezgięta dusza
Zachwyca mię, wywyższa i do cnót przymusza.
Ty, co cię względne Niebo na mój los natchnęło,
Śpiesz, Trepko, do Zygmunta, opisz twoje dzieło;
Powiedz, że chętnie dumę dla cnoty poświęcę,
Że sam Gliński w królewskie chce się oddać ręce;
Że, mimo dawne zbrodnie, troski i siwiznę,
Jeszcze mężnie potrafi umrzeć za ojczyznę.
Trepka. O ty, trudów najcięższych osłodo jedyna,
Ojczyzno! straconego powracam ci syna.
Słuchajcie mię z uwagą. Tajnemi ścieżkami
Powracam do obozu; wy tymczasem sami
Miejcie się w gotowości; skoro noc nadbieży,
Zbliżę się ku wam z hufcem wybranej młodzieży.
Sam tu potem przybędę. Cóżkolwiek się stanie,
Natenczas bez odwłoki rzućcie to mieszkanie.
Od południa, gdzie najmniej zamek jest strzeżony,
Czekać was będzie mężny zastęp umówiony;
Tymczasem z całem wojskiem i wieśniactwa tłuszczą
Szturm nagły od północy Polacy przypuszczą.
Teraz śpieszę o wszystkiem donieść Zygmuntowi.
Niech was cnota utwierdza; czas iść, bądźcie zdrowi!
Gliński. Bądź zdrów!

D) Władysław Łokietek czyli Polska w XIII wieku (1828).

Powieść niniejsza ukazała się w Warszawie roku 1828 w 3 tomach, podpisana inicyałami F. W. Przedstawia ona nie dzieje królowania Łokiet-

kowego (1306—1333), lecz epokę wcześniejszą, wiek XIII, młodość Władysława, jako księcia brzesko-kujawskiego. Akcya powieści przypada na ostatnie lata senioratu Leszka Czarnego oraz na epokę zamieszek, która przypadła po jego śmierci, kiedy Kraków przechodził z rąk do rąk, od Łokietka do Henryka Poczciwego, Wacława czeskiego, króla Przemysława i znowu Wacława, wreszcie ukoronowanego uroczyście Łokietka; te ostatnie atoli wypadki opowiedziane są tylko w krótkości w epilogu, właściwa zaś powieść urywa się na śmierci Przemysława. Wypadków i postaci historycznych wielka tu mnogość: książęta, panowie, rycerze i mieszczanie, intrygi możnowładców, współzawodnictwo Piastów dzielnicowych, knowania Zakonu i Brandenburczyków, najście Tatarów, a wreszcie walki i walki bez końca: z Niemcami, Litwą, Tatarami, Czechami, nakoniec bratobójcze wojny o seniorat. Ale tła historycznego bardzo tu niewiele. Idąc śladami Walter-Scotta, jak wszyscy powieściopisarze nasi historyczni z pierwszej ćwierci XIX w. (Niemcewicz, Bernatowicz), stamtąd brał akcesorya średniowieczczyzny rycerskiej, nie troszcząc się o ścisłość dziejową, jak o tem przekona przytoczony poniżej urywek. W akcyę dziejową autor wplata dość zręcznie nić romansową: miłość Władysława do pięknej Jadwigi, pierworodnej córki Bolesława, księcia kaliskiego, i Jolanty, królewny węgierskiej, łącząc zakochanych w końcu powieści węzłem małżeńskim.

191) *Tom I, str. 61—77.* Mnóstwo rycerzy, których imiona woźni ogłaszali powszechności, wyjeżdżało koleją na szranki i przez dotknięcie drzewcem od kopii tarczy jednego z wyzywających powolywali ich do okazania swej zręczności lub siły. Wiele czynów rzadkiej odwagi i biegłości w sztuce rycerskiej odznaczały od innych huczne widzów oklaski, trąb i kotłów odgłosy. Lecz od godziny przeszło, jak się rozpoczęły turnieje, nikt nie był tak szczęśliwym lub zręcznym, aby którego z wyzywających rycerzy pokonał. Ziemomysł, książe kujawski, zaledwo dotknął tarczy Zaręby i na plac z nim wyjechał, w okamgnieniu zsadzony z konia, przyznał przeciwnikowi swojemu zwycięstwo. Nie większą miał trudność Konrad Mazowiecki w pokonaniu Henryka Tłustego, który koniecznie chciał w dniu tym wsławić się jakim rycerskim zaszczytem. Zajęty jeszcze myślami dostąpienia ręki pięknej Jadwigi, wszelkiego dołożył starania do wydania się zwinnym i wysmukłym, pomimo przyrodzoną otyłość, z którą się rzadko zręczność kojarzy. Gdy runął z wyniosłego rumaka, wszyscy przytomni, prócz ochmistrzyni księżniczek, u której był w widocznem i niepośledniem poważaniu, ledwie od śmiechu powściągnąć się zdołali. Najzaciętszą była walka Dytrycha de Oldemburg z Bolesławem, mazowieckim książęciem. Za pierw-

szem natarciem oba ujrzeli potrzaskane swe kopie na drobne kawałki. Cofnęli się zręcznie obadwa i chcieli się porwać do szabel. Lecz gdy ten rodzaj walki więcej przedstawiał niebezpieczeństwa i gdy Bolesław wyzwał jedynie Dytrycha do spotkania na lekko, dotykając się tarczy jego drzewcem, nie zaś żelezcem, rozbroili ich marszałkowie turniejów. Podano im nowe kopie. Ale zaledwie przypuścili do siebie w całym pędzie konie, pękły znowu obydwie, nie mogąc wytrzymać natarczywości ciosu i silnego zbroi odporu. Wszelako ta Dytrychowi nad Bolesławem została przewaga, że, gdy drugiego kopia skruszyła się we środku, pierwszego przy samem żelezcu ułamaną została. Upędzał się długo Dytrych za swym przeciwnikiem, broniącym się nadzwyczaj zręcznie resztą ułamanego drzewca, i, gdy już prawie o zupełnem zwycięstwie rozpaczał, tak silny cios wymierzył w lewy bok znużonego przeciwnika, że ten, ruszony z siedzenia, lubo się utrzymał na koniu, jednak do strzemion trafić nie zdołał.

— Dość na tem! — zawołali marszałkowie i Dytrychowi przysądzili zwycięstwo.

Po krótkim odpoczynku, przyznanym dla rycerzy i koni, stali wyzywający nieporuszenie przy swych namiotach, i woźni po dwakroć wzywali napróżno ochoczych do walki rycerzy. Już się szmer głuchy po wszystkich miejscach rozlegał; już się pytano nawzajem: nikt-że to z Polaków nie będzie dość śmiałym, aby się potkał z tym młodym Niemczykiem i wydarł mu zwycięstwa zaszczyty? gdy nieznajomy nasz rycerz, który dotąd spokojnie na wszystko spoglądał, dosiadłszy swego rumaka i porwawszy od giermka kopię i tarczę, zjawił się nagle przy wrotach, prowadzących do szranki.

— Kto jesteś i po co tu przybywasz? — zawołał jeden z woźnych.

— Polak jestem i rycerz — odpowiedział śmiałym głosem. — Przychodzę walczyć w zawartych szrankach na cześć pięknej Jadwigi.

— Imie twe, stan i urodzenie? — zapyta woźny.

— Jeźli wyjdę zwycięzcą — rzekł nieznajony — chętnie to wszystko odkryję, jeżeli ulegnę, na cóż wam ta wiadomość przydatną być może?

— Rycerzu lub ktokolwiek jesteś — odezwał się Konrad de Tierberg — wiedz o tem, że ci książęta i zacni młodzieńcy z równymi sobie walczyć mogą jedynie. Jeźli więc nie odkryjesz twego imienia i stanu, surowe prawa turniejów zniewolą nas do oddalenia cię od szranek.

— Jeżeli takie są prawa turniejów — odpowie na to — ja im się chętnie poddaję. Wszelako dodać tu muszę, że imie moje, stan i dostojeństwo samemu tylko Bolesławowi, książęciu na Kaliszu, odkryję.

— Niech i tak będzie — zawołał Bolesław.

— Oto są nasze dowody — rzekł nieznajomy, oddając jednemu z marszałków pisma, w trąbkę zwinięte. — Zanieście je panu waszemu, a ten osądzi, czy jesteśmy godni do wstąpienia w te szranki.

Z widoczną radością przeglądał Bolesław podane sobie pisma. Nareszcie rzekł głosem donośnym:

— Na słowo nasze książęce zaręczam wszystkich obecnych, iż rycerz ten, którego przed szrankami widzicie, godnym jest i wielce godnym do mierzenia się w zawartem polu z najpierwszymi książęty. Dozwalam mu przeto walczyć bez podniesienia przyłbicy przed walką.

Nie był do smaku ten wyrok komandorowi, a rycerz nasz, nie mając już żadnej przeszkody, poskoczył śmiało w otwarte szranki, oddawszy wprzód pokłon książęciu, obecnym niewiastom i całemu zebraniu. Wtedy dopiero ujrzano go dokładnie całego w połyskującej i świetnej zbroi. Złote ostrogi i bogata rękojeść oręża mniej uderzały, niż tarcza, cała z gładzonej i złotem nabijanej stali. Miała we środku orła białego w polu czerwonem, herb Piastów. Lecz taka jej była sztuczna robota, że orzeł ten patrzącym prosto naprzeciw całym się wydawał, z boków zaś okazywał się pokrajany na sztuki. Godło wokoło tarczy było następne: «Jeden lub żaden».

Gdy nieznajomy rycerz na środek zawartego pokoju pola wyjechał, wstrzymał cokolwiek rumaka, jakgdyby się chciał namyśleć zblizka, którego z wyzywających rycerzy najprzód do walki powoła. Lecz wkrótce, zniżywszy kopii przed Konradem, księciem mazowieckim, na znak uszanowania i uchyliwszy zlekka głowy przed Zarębą, jakgdyby przemawiał: znam was, ryce-

rzu, przystąpił do Dytrycha de Oldemburg i dotknął jego tarczy równie drzewcem, jak i żelezcem swej kopii, dając mu przez to do wyboru, walkę na lekko lub walkę śmiertelną. Dumny młodzieniec z odniesionych dotąd zaszczytów wyskoczył na środek pola z obróconą żelezcem ku nieznajomemu kopią, chcąc dać do zrozumienia, że walkę śmiertelną nad lekką przenosi.

Gdy oba przeciwnicy naprzeciw siebie stanęli, zadrżało całe zebranie, zważając nierówność sił i wzrostu walczących. Dytrych był w samym kwiecie wieku i wysmukłej kibici, a wyniosłość rumaka, z którego miał walczyć, nadawała mu postać młodego olbrzyma. Drobny wzrost nieznajomego rycerza bardziej jeszcze od sążnistej postaci pierwszego odbijał. Zręczność wszelako poruszeń i zwinność lekkiego polskiego konia łagodziła obawę przegranej. Wszystkich życzenia i serca do słabszej napozór przywiązały się strony. Już się oba bystrem zmierzyli spojrzeniem; już trzykroć w całym pędzie nacierając na siebie i trzykroć cofając w tył swe konie, przekonać zdołali widzów, jak równie zręcznymi obadwa byli jeźdźcami, gdy Dytrych de Oldemburg, poskoczywszy piorunem ku swemu przeciwnikowi, tak silny mu cios zadał w lewe ramie, że się zdawało, jakby drzewo jakie z pnia swego obalone runęło. Jakże się zdziwiono, ujrzawszy nieznajomego rycerza w tej chwili, gdy go pokonanym mniemano, tak silnym razem uderzającego w przyłbicę swojego przeciwnika, że się żelazo kopii jego skruszyło. Pewny niedawno zwycięstwa Dytrych, widząc, że nieznajomy rycerz w toż samo miejsce go ugodzić myślał, chcąc się niejako uchylić od grożącego mu ciosu, postradał równowagę i ledwie z konia nie zleciał. Uprzedził atoli swą hańbę, uskoczywszy na bok i stanąwszy w całości na placu. Odrzucił Dytrych resztę skruszonej swej kopii i dobył szabli bez zwłoki. Nieznajomy rycerz w tej samej chwili zeskoczył z konia z dobytym orężem. Rozpoczęła się walka piesza na szable, najzaciętsza, jaką dotąd może w zawartych szrankach widziano. Co tylko zręczność i siła wydołać mogła, wszystkiego obie strony użyły. Jęczały ich zbroje pod tęgością i liczbą ciosów, sypały się za każdym rzęsiste iskry z przyłbic i szabel. Już nawet z pod zbroi krew się widzieć dawała. Raz siła nad męstwem, drugi raz zręczność brała górę nad siłą. Ujrzano nakoniec, że Dytrych bądź z dłu-

giej walki, bądź też z osłabienia od wziętych razów widocznie chwiać się poczynał. Korzystał z tego przeciwnik, i kto wie, na czemby się walka skończyła, gdyby Bolesław kaliski nie rzucił swego buzdygana na środek placu zapasów, co było znakiem do zakończenia walki i rozbrojenia walczących. Skoczyli pomiędzy nich marszałkowie turniejów z białemi włóczniami w ręku, a Dytrych de Oldemburg, zachwiany z niedostatku sił i bólu, już, już upadał na piasek, gdy go zręcznie utkwiony w ziemię oręż, na którym się oparł, uwolnił od tej ostatniej hańby. Nie przeto jednak zwycięstwu swego przeciwnika zaprzeczył. Zagrzmiały natychmiast trąby i kotły, ogłaszając tryumf nieznajomego rycerza, co tak rozjątrzyło gniewliwy umysł Konrada de Tierberg, że, zerwawszy się z sędziowskiego miejsca i dobywszy oręża, zawołał:

— Pozwól nam miłościwy książe, abyśmy się za naszego giermka pomścili i nauczyli tego nieznajomego.

— Na inny czas — rzekł mu na to Bolesław — nie godzi się być razem i sędzią, i stroną.

— Zręczności i sile twego konia, nie ręki, winieneś zwycięstwo — odezwał się do nieznajomego Dytrych — radbym bardzo spotkać się z tobą na czele dobrze i po naszemu uzbrojonego hufca.

— Przyjmuję wyzwanie — odrzekł nieznajomy — i przewiduję, że nam nieraz tak z wami spotkać się wypadnie.

— Kto jesteś — zawołał Konrad de Tierberg — że się tak zuchwale do walk na czele hufców odwoływać zdajesz?

— Jestem Władysław — rzekł nieznajomy, uchylając zasłonę przyłbicy — książe na Brześciu Kujawskim, synowiec polskiego monarchy, a brat następcy tronu, wasz blizki sąsiad, a nie chciej, abym dodał: wróg.

W tej chwili wszystkie krużganki i miejsca głośnym okrzykiem zabrzmiały: «Niech żyje Władysław, książe kujawski i zwycięzca, niech żyje!»

Nawet Ziemiomysł, jakkolwiek był dotknięty do żywego przegraną swego przyjaciela, Dytrycha, nie mógł powściągnąć swej radości, widząc brata zwycięzcą.

— Sędziowie i rozjemcy dzisiejszego turnieju — zawołał

Bolesław — jesteścież równego ze mną zdania, że Władysław' książe na Brześciu Kujawskim, na pierwszą zasłużył nagrodę?

— Jesteśmy — odpowiedział sędziwy Przedpełko. Konrad de Tierberg milczeniem ten wyrok zatwierdzać się zdawał.

— Drugą nagrodę — rzecze znowu Bolesław — przysądzamy Mikołajowi Zarębie: walczył po trzykroć, i żaden przeciwnik nie zdołał ruszyć go ze strzemienia.

— Zgoda — rzekł znowu wojewoda poznański.

— Lubo trzeciej nagrody nie postanowiliśmy wcale — prowadził dalej książe kaliski — przecież dozwolicie mi, zacni rycerze i koledzy, abym nią ze szczególnych względów obdarzył jednego z tych, którzy byli mniej szczęśliwymi na dzisiejszym turnieju, a któremu słusznie należy się sława waleczności i męstwa. Córko nasza Jadwigo! stań pomiędzy nami i chciej skinień naszych dopełnić podług zwyczajów i prawa.

Zeszła Jadwiga, prowadzona przez dwuch marszałków, i stanęła blizko ojcowskiego siedzenia. Jej uroda i świetny ubiór, a nadewszystko jej skromność, połączona z wyrazem słodyczy i radości na twarzy, powszechne zbudziła oklaski. Rzuciwszy wzrok na rycerzy, którzy dzień ten uświetnili swymi czynami, spotkała oczy Władysława, i twarz jej okryła się żywszym nieco rumieńcem. Stanął jej w umyśle obraz tego rycerza, przez Sulisława skreślony. Cóżby rzekł, pomyślała w sobie, gdyby widział tę twarz ujmującą, te rysy ślachetne, które w sobie coś pociągającego zdają się zawierać?

— Przystąp, Władysławie, książe brzeski kujawski — zawołał głosem donośnym Bolesław — i przyjmij z rąk córki naszej Jadwigi ten oręż, który od Mieczysława Starego naszą zbrojownię zaszczycał.

Wtedy Jadwiga, przywiązawszy podaną szablę do szerokiej wstęgi błękitnej, włożyła ją na ramiona Władysława, który do tego obrzędu przykląkł na prawe kolano.

— Oręż ten — zawołał uniesiony młodzieniec — dotąd nie spocznie w pochwach, dopóki Bóg sprawiedliwy nie raczy przywrócić dawnej świetności ukochanej naszej ojczyźnie i póki rozerwane jej części w jedno potężne nie skleją się ciało. Kolor tej wstęgi będzie odtąd świętym dla nas kolorem, a jeźli Nieba wesprą czyste nasze zamiary, przysięgam ci, piękna Jadwigo, iż widok

podobnej wstęgi na ramieniu prawego Polaka obudzi ślachetną pychę w sercach tych, którzy nią ozdobić się zapragną, dla ozdobionych cześć i uszanowanie u świata.

Mikołaj Zaręba odebrał z rąk Jadwigi drugą nagrodę w pozłocistym i ozdobionym dawnymi medalami puharze. Nóż myśliwski z rękojeścią, drogimi wysadzaną kamieńmi, podała Jadwiga Dytrychowi de Oldemburg z natchnienia ojca, który tym darem chciał mu osłodzić boleść przegranej w chwili pewności zwycięstwa. Odgłos trąb i oklask powszechny zakończył turnieje, poczem wszyscy udali się na zamkowe pokoje.

E) Do A. M. po wydaniu „Wallenroda" w Petersburgu; w czasie pobytu jego we Włoszech (1831).

(Poezye, tom III, str. 243 245).

192) Gdy po skostniałych twardej ziemi zwłokach
Słońce na złotym wyjedzie rydwanie,
Buja skowronek w obłokach
I głosi światu wiosny zmartwychwstanie.
Prysły z rzek bystrych lodowe kajdany,
Wre pracą kmiotków niwa, dotąd głucha, —
Zabrzmiał słowik — ziemia słucha —
Umilkł gwar ptactwa na dźwięk niezrównany.

Jakiż dziw polskie i litewskie sioła
Ku brzegom Newy porywa!
Słuchajcie bacznie! odgłos ludów woła:
Władca ptaków, orzeł śpiewa!
Jakże górnymi poloty
Do samych niebios dąży drogą nową...
Kto nie zapłakał na los Wajdeloty,
Temu za życia nućmy pieśń grobową.
Wieszczów ojczystych chlubo i zaszczycie!
Czyś wskrzeszał z mogił zapomnienia Dziady,
Czyliś Grażynie nowe stwarzał życie,
Czyliś malował Świtezi zwierciadła,
Czy na gór krymskich okazałym szczycie
Ryłeś twych natchnień nieśmiertelne ślady,
Wnet ciebie dusza narodu odgadła.
Któż, po olbrzymim zarysie
Nawet powodząc oczyma tępemi,

Siły poświęceń nie poczuł w Farysie,
A w huraganie wroga naszej ziemi?

Jest bezherbowne serc powinowactwo,
Z podobnej na świat wyrzuconych procy,
Jest święte uczuć jednozgonnych bractwo
Wyższe od ludzkiej przemocy.

Ci, co chrzest jego wraz z życiem przyjęli,
Żyć będą wiecznie, w uczuciach złączeni.
Oni się znają, choć się nie widzieli,
I niema dla nich rozdzielczych przestrzeni.

Ciebie dziś więzi ojczyzna Wirgila;
Tu ci, co w tobie głos Boga poczuli,
Czekają tęskni. Kiedyż przyjdzie chwila,
Że cię dłoń bratnia do serca przytuli?

Jeszcze nam wszystkie nie spełzły pociechy,
Resztę ich chcemy od zgonu ochronić.
Wstąp pod sąsiednie dla Litwina strzechy:
«Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić».

F) Bezkrólewie II, dramat w pięciu aktach (1853).

(Poezye, tom II, str. 161—285).

Dwa dramaty Wężyka: «Bezkrólewie I» i «Bezkrólewie II» znacznie odbiegają od typu tragedyi pseudoklasycznych. Powstały one pod wpływem dramatów historycznych Szekspira i przedstawiają szereg luźnych scen, mających odtwarzać chwilę dziejową w jej różnorodnych przejawach. Niemasz tu jedności miejsca ni czasu, nawet — jedności akcyi. «Bezkrólewie I» zamyka się w szczuplejszem kole intryg dworskich i dyplomatycznych i jest obrazem chwili po śmierci Ludwika aż do zamążpójścia Jadwigi. »Bezkrólewie II» szersze zakreśla horyzonty. Jak tam po wygaśnięciu Piastów, tak tu po śmierci ostatniego z Jagiellonów nastąpił moment przełomowy wahania się i niepewności. Budowa tu jeszcze mniej spoista, niż w poprzednim dramacie. Mamy więc narady panów na zamku krakowskim, zaraz po otrzymaniu wieści o zgonie Zygmunta Augusta, więc rada braci-szlachty w dworku pod Krakowem, więc znów debaty senatorów na zamku biskupa krakowskiego w Prądniku, gdzie posłowie pretendentów wypowiadają się za swoimi mocodawcami; więc zgromadzenie szlachty z różnych ziem i województw pod wsią Kamionną w bliskości Warszawy za Pragą, zgromadzenie, mające na celu uchwalenie formy i sposobu elekcyi, przyczem utrzymuje się formuła Zamoyskiego: elekcya *viritim*, mimo protestu rozsądniejszych i bardziej przewidujących obywateli. Ostatnie sceny wprowadzają nas na pole elekcyjne: kończy się dramat je-

dnozgodnym okrzykiem szlachty i senatorów: «Henryk pierwszy, król polski, niech żyje!». W ten splot wypadków dziejowych wtrącony jest dość niezręcznie epizod miłosny: hetman Jazłowiecki, ambitny i dumny magnat, oświadcza się o rękę Anny Jagiellonki, by wraz z nią otrzymać i koronę; królowa, zdziwiona, przypomina mu, że ma lat 50, i daje czas do namysłu; ale w ostatniej chwili hetman cofa się, bez żadnej wyraźnej przyczyny, przerażony jakoby świętokradztwem, które miał popełnić. Żywioł charakterystyczno-komiczny tego dramatu, którego akcya co scena przenosi się z miejsca na miejsce, reprezentują szekspirowskie postacie dwuch rubasznych «świątników», czuwających przy zwłokach Zygmunta Augusta. Operowanie tłumami na scenie, wbrew teoryi estetycznej klasyków, również zawdzięcza Wężyk Szekspirowi.

AKT IV. SCENA IV (urywek).

193) *Str. 259—265.* Zamoyski. O bracia! przystąpmy do rzeczy. —
Wyzuci z władców przez wyroki nieba,
Mamy się zająć wybieraniem króla,
Ciśnie ku temu ojczyzny potrzeba,
I wszystko na nas na pośpiech nastawa.
Są szczere chęci, a w nich niebios wola —
Lecz jak wybierać, milczą o tem prawa!
Przewidujący taki cios przodkowie
Ledwie go w głównej dotknęli osnowie.
Boleść możebnej a ciężkiej kolei
Całego rodu Jagiełłów zagłady
Musiała zmieszać ich pierwotne rady,
By nie wydzierać ostatniej nadziei,
Na czas w tem zdając dalsze opatrzenia,
O czem nie mogli pomyśleć bez drżenia.
Czas ten tak twardy, niecofnionym krokiem
Nadszedł z okropną na przyszłość obawą.
Uchylmyż czoła przed boskim wyrokiem
I to nadstarczmy, o czem milczy prawo,
I tak cel jego spełnijmy wyniosły,
By nam swobody wyżej jeszcze wzrosły:
Bo gmach ich święty — nie ścieśniać lub walić,
Lecz go potrzeba wznosić, doskonalić.

Jeden ze szlachty. Słuchajcie, bracia! to mi łepak tęgi,
On tnie tak z głowy, jak nasz pleban z księgi.

Zamoyski. Są, co od Piastów wybór zwyczajowy
Chcą tak odnowić, jak było przed laty,
By pierwsze w kraju stanowiły głowy —
Lecz inak kwitły nasze antenaty,

Inne dziś szlachty prawa i znaczenie,
Odmienną postać ma Rzeczpospolita.

Jeden ze szlachty. To mi mędrkowie, proszę uniżenie —
A myż to po co, szlachta rodowita?

Zamoyski. Mądrzeście rzekli. Czas płynie potokiem,
I jedna drugiej nie równa godzina;
Co było dobrem przed wiekiem lub rokiem,
W tem się obecność odmian dopomina.
Wtedy był rozum i potęga cała
W kilku przedniejszych, jak nam świadczą dzieje;
Dziś ich moc dzielna na kraj się rozlała,
Dziś Polska nasza przez szlachtę jaśnieje.
Polska — jak słońce wśród niebios przestrzeni,
Szlachta — do złotych podobna promieni.
Czcimy biskupów...

Wszyscy. Zgoda na to, zgoda!

Zamoyski. I kasztelanów...

Wszyscy. I tu słuszność macie!

Zamoyski. Ma krok najpierwszy z prawa wojewoda,
Gdy nam przodkuje lub radzi w senacie;
Lecz na swobodnej trudem szlachty ziemi
W obiorze króla, tej praw naszych tarczy,
Za cóżby byli od innych lepszemi?
Czyż głos ich jeden za sto naszych starczy?
Po cóż czas trwonić długimi wywody?
To krzywe zdanie.

Wielu ze szlachty. Niema na nie zgody.

Zamoyski. Inni, sroższymi złudzeni błędami,
Wybierać króla chcą województwami,
Śród niepewności i grozy
Zataić rady i rad tych powody,
Pokrajać Polskę na różne obozy,
By jednomyślnej nie dopuścić zgody,
By brat nie wiedział to, co brat uchwali,
I by się z sobą znosić nie zdołali.
Jawność w obradach — jest słońcem na niebie;
Pocóż je grążyć w nieprzebitą ciemnię?
I słońce blednie, gdy je mgła opasa.
Więc ci doradcy w tak ważnej potrzebie
Chcą do województw wyprawić prymasa,
By wszystkie zdania policzył tajemnie;
A na kim spocznie oczywista wola,
Tego ma Polsce ogłosić za króla!
Czemże jest prymas przed ustaw oczyma?

Międzykról, kapłan najpierwszy i książe —
Lecz do dwuch głosów prawa nawet nie ma.
Jeźli więc władzę tajemną otrzyma
Liczenia głosów, on sam je rozwiąże
I da nam króla.

Wielu ze szlachty. Niema zgody, niema!

Zamoyski. Jawność w obradach, bracia i ziomkowie,
Jest czystą prawdą — w niej tkwi boża wola.

Jeden ze szlachty. My chcemy jawnie głosować na króla.
Kto nam w tajności za prawdę odpowie?

Zamoyski. Stójmyż na wieki przy tak świętem prawie,
Niech wola jego wszystkim będzie jawna.
Wiecie, czem była szlachta starodawna,
Czem jest dzisiejsza? — ja to wam objawię.
Jedni z nas słyną przez przodków zasługi,
Drudzy — przez własne przewagi i znoje,
Będęż wam liczył szereg braci długi,
Których wsławiły i rady i boje?
Od pięciu wieków krwią szlachty pojona,
Ziemia ta dla nich pała sercem matki.
Jedni z niej hojne pobrali imiona,
Ci zasłynęli przez cześć i dostatki.
Lecz są z swych zasług szanowni mężowie,
Co, w ciężkiej losów opacznych przygodzie
Stargawszy lata i mienie i zdrowie,
Nieraz do domu wracają o głodzie;
A zniósłszy ciosów, przeciwności mnóstwo,
Wleką do grobu szlachetne ubóstwo.
Tym w licznych dziatkach Bóg pobłogosławił;
A gdy zszedł ojciec na synów ramionach,
Ci, dzieląc w równie to, co im zostawił,
Siedzą na szczupłych naddziadów zagonach,
Lecz w każdej kraju doli i potrzebie
Niosą jej w hołdzie i byt swój, i siebie. —
Jednej to matki rodzone to dzieci,
Na jednej dni swe rozpoczęli ziemi,
Jedno im słońce, jak ich panom, świeci:
Że niefortunni, mają być gorszemi?
Równi jesteśmy przed Boga obliczem;
Gdy się z nas który z tym pożegna światem
I gdy przed boskim stanie majestatem,
Pan czy chudzina, zarówno jest niczem.
Tak z praw odwiecznych najświętszej warowni
I z władzy swobód, krwią przodków nabytej,
Jesteśmy, bracia, wszyscy sobie równi

Przed majestatem Rzeczypospolitej;
A gdy rzecz idzie o jej byt i losy,
Równe są wszystkich i zdania, i głosy.

Jeden ze szlachty. Dobrze mówi pan bełski, głos jego — głos z nieba.

Zamoyski. Stójmyż więc silnie przy prawie nabytem;
A gdy nadejdzie jutrzejsza potrzeba,
Na wybór króla głosujmy *viritim*,
To jest oddzielnie.

Wszyscy. *Viritim, viritim.*

Jordan. Ależ, starosto.

Zamoyski. Masz-li inne zdanie?

Jordan. Tak jest, bo wasze nieładem grożące.

Jeden ze szlachty. Nie przerywajcie rad naszych, Jordanie!

Zamoyski. Nie czyńcie tamy wolnemu głosowi!

Tenże ze szlachty. Niech się pan bełski wprzód z nami namówi,
A potem inni.

Jordan. Łatwiej w jedno zdanie
Sto głosów spoić, niżeli tysiące.

Zamoyski. Sto głosów niczem, gdy ich są tysiące.

Jordan. Któż w tyle głosów natchnie ducha zgody?

G) „Smutno mi, Panie" (1860).

(Poezye, tom III, str. 274—278).

I.

194) Smutno mi, Panie, na tej nędznej ziemi!
Odarty z siły, pociech i swobody,
Przebijam nieba oczyma łzawemi,
Czy tam weselszej nie znajdę gospody;
Bo tu, gdzie zwrócę oko me lub ucho,
Wszędy pustynię napotykam głuchą;
Bo przez ubiegłe od młodości lata
O klucz do szczęścia pytałem u świata,
Lecz świat na moje nie odrzekł pytanie. —
Aż, potargawszy w ciężkim trudzie siły,
Gdy drżącą stopą dotykam mogiły,
Smutno mi, smutno, o Panie!

II.

Minęła wiosna wśród rajskich uniesień,
Lato swym skwarem znękało pielgrzyma,

Przeszła bez żniwa życia mego jesień,
I dziś mordercza przyciska mię zima.
Czyż sny młodości i złote nadzieje,
Zanim z nich burza wonny kwiat obwieje,
Po długiem życiu, choćby raz przed zgonem,
I najskromniejszym nie pocieszą plonem?
Czy w Twojem słowie święte zaufanie,
Z którem wychodzim w drogę życia ślizką,
Wyjdzie wierzącym na urągowisko?
Smutno mi, smutno, o Panie!

III.

Dałeś mi serce i trochę zdolności;
Rychłom ku cnocie ramiona wytężył,
Zwiodłem walk mnóstwo z hydrą przeciwności,
Opierałem się — alem nie zwyciężył. —
Próżno, młodzieńczym uniesion zapałem,
Echa mym czuciom wśród ludzi szukałem;
Próżno przez życia wzburzone bałwany
Brnąłem sam jeden i niezrozumiany. —
Są, którym zdolność, przyjaźń lub kochanie
Snują nić złotą i w dojrzalszych latach...
Lecz po cóż marzyć o powiędłych kwiatach?
Smutno mi, smutno, o Panie!

IV.

Dar pieśni brzmiących jest potężnym darem:
To balsam z niebios na ludzkości rany;
Lecz ołowianym dar ten jest ciężarem,
Gdy śpiew o głuche rozbija się ściany,
Inny czas, innych śpiewaków powołał,
Ci, do serc których śpiew ten trafić zdołał,
Stargani w krwawych i płonnych wysiłach
Już od lat wielu drzemią po mogiłach.
Tak — z lutni, wziętej pod dni mych zaranie,
Z lutni, w bolesnych rozstrojonej jękach,
Co się dziś w moich potrzaskała rękach,
Zwracam ci drzazgi, o Panie!

V.

Czemu mię wyrok przykuł do tej ziemi?
Krew po niej wszystkie sposoczyła skiby,
Męże jej brzęczą łańcuchy ciężkimi,
Kradną z niej dzieci, okowane w dyby.

Eblis się po niej rozszalał od złości;
Lecz w niej naddziadów spoczywają kości —
Już tchem ostatnim ludzkość na niej kona,
Alem ja wyszedł z jej świętego łona.
Długoż trwać będzie piekieł panowanie?
Gdzież uciśnionych jest Bóg i obrońca?
Więc gdy tej nędzy nie oglądam końca,
Smutno mi, smutno, o Panie!

VI.

Tyle krwi naszej wylało się marnie,
Tyle się luda zmieniło w tułaczy,
Tyle wygniotły pęta i męczarnie;
Że nie zostanie nic — oprócz rozpaczy. —
«Rozpaczy?...» odrzekł głos z góry surowo,
«To jest bluźniercze w uściech męża słowo;
«Spójrz tam, gdzie mleczna wyiskrza się droga,
«Zajrz wewnątrz siebie i poszukaj Boga.
«Śmierć idzie z życia, z śmierci zmartwychwstanie;
«Każdy cud musi poprzedzić ofiara —
«Gdzież się podziała silna w ten cud wiara?
«Przebacz mu, przebacz, o Panie!

VII.

«Ty cierp i ufaj w niebieską przestrogę».
— Będę więc cierpiał — i zaufam śmiele;
Lecz któż mię zwraca na zmyłoną drogę?
Tyżeś to, z niebios zesłany aniele?
Jakżeś mógł trafić w to smutku zacisze?
Otuch nieznanych głos uroczy słyszę,
Widzę, przez ciemność, co tę ziemię mroczy,
Dwie gwiazd, jak z nieba w twoje wchodzą oczy;
Widzę i w duszę wraca zaufanie —
I wiara w przyszłość silniej we mnie tleje
I krzepszą w sercu poczuwam nadzieję:
Już mi mniej smutno, o Panie!

VIII.

Cóż to? cud stał się — rozprysłe kawały
Lutni moc jakaś w dziwne kształty klei.
Nieznane dźwięki z jej głębi zabrzmiały:
Słyszę hymn wiary, miłości, nadziei!
Jakaż potęga życiem ją natchnęła?
Dwięcz, lutni, wyższe opiewając dzieła,
I ogłoś światu boskie panowanie;

Pod wpływem blasku cudotwórczej tęczy
Niech głos twój gromi, pociesza lub jęczy.
A ty skończ pieśń tę, o Panie!

H) O poezyi dramatycznej (1811).

(Wydane w «Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce», Tom I, Kraków, 1878, str. 273—340).

Gdy Towarzystwo Przyjaciół Nauk powzięło zamiar opracowania całkowitego kursu literatury, dział dramatu powierzono naówczas Wężykowi. Owocem pracy jego jest studyum niniejsze, które nie doczekało się jednak zaszczytu znalezienia się na łamach «Roczników» i zostało wydrukowane dopiero w r. 1878 przez dra Stanisława Tomkowicza w «Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce», jako przyczynek do dziejów poglądów estetycznych w Polsce. Rozprawa dzieli się na dwie części. W pierwszej wykłada Wężyk, czem jest poezya dramatyczna, jej podział, początek, wylicza jej prawidła: cel, układ, charakterystykę osób, styl, wreszcie poddaje szczegółowemu i dość surowemu sądowi «Atalię» Rasyna w przekładzie Niemcewicza. W drugiej części mówi o tem, które są przedmioty najsposobniejsze do udziałania dobrego dramatu, jakie przyzwoitości w dziełach dramatycznych zachować należy, wreszcie charakteryzuje rozlicznych przedstawicieli poezyi dramatycznej, nie tylko klasycznej (starożytnej i francuskiej), ale i nowoczesnej: wynosi Szekspira, Goethego, Schillera, Hiszpanów (Lopez de Vega, Calderon), Włochów (Goldoni, Alfieri). Te ostatnie właśnie ustępy rozprawy, a także dość ostrożne zresztą wyłamywanie się z pod przewagi «przepisów» estetyki pseudoklasycznej w I części, stały się kamieniem obrazy. Wyznaczono deputacyę, złożoną z Osińskiego, Niemcewicza, Kożmiana Kajetana i Tarnowskiego Jana Amora, która w maju 1814 r. złożyła referat, orzekający, że praca Wężyka nie może być drukowana w «Rocznikach». Motywy, podane przez deputacyę, były następujące: 1) że autor nie oddzielił i nie rozgraniczył dostatecznie tragedyi i komedyi; 2) że pominął inne rodzaje «dramatyki», a mianowicie operę; 3) że wzorami jego byli przeważnie pisarze angielscy, a mianowicie Szekspir; 4) że autor «nadto dozwala sobie powstawać przeciw uznanym już powszechnie prawidłom, do czego z uszczerbkiem dobrego smaku pisarze niemieccy obszerne już i pochopne otworzyli pole», 5) że nie wspomina wreszcie o pisarzach ojczystych w tragedyi i komedyi. Podajemy poniżej jeden z najbardziej charakterystycznych urywków rozprawy Wężyka.

a) Rozdział VI. § 2. O czasie i miejscu, w którem się dzieła dramatyczne odbywać mają.

195) *Str. 284—286.* Blizkiem powinowactwem z jednością działania łączy się jedność czasu i miejsca. Krytycy francuscy, którzy tak mocno przy zachowaniu wszystkich

trzech jedności obstają, twierdzą, że je wraz z innymi przepisami sztuki wyczerpali od Greków. Podług nich pierwsza zawisła na tem, ażeby drama odbyło się w przeciągu dnia jednego, czyli 24 godzin, druga, aby od pierwszej sceny aktu pierwszego aż do ostatniego ostatniej rzecz cała na jednem i tem samem odbyła się miejscu. Nie będziemy się na tem rozwodzić, czyli, podług Schlegla, Arystoteles w swojej poetyce ciemno o jedności czasu, a nic o jedności miejsca nie pisał, czyli też, według pisarzy francuskich, ten mędrzec i krytyk podał pewne i niecofnione w tej mierze prawidła. Szukając źródła przepisów, które wyłożyć umyśliliśmy, w samem przyrodzeniu rzeczy, nim objawimy nasze mniemanie w tym względzie, przypuściwszy, że Grecy te lub tym podobne zachowywali prawidła, chcemy naprzód okazać, jaka jest różnica między dramatyką grecką a naszą. Tej zgłębienie potrafi nas doprowadzić do ustanowienia: czyli możemy lub powinniśmy iść niewolniczo w ślady dawnych pisarzy i ślepo stósować się do tego, czego krytycy francuscy żądają.

Nadmieniliśmy w trzecim rozdziale niniejszej rozprawy, że chóry dały początek tragedyi u Greków, a następnie najznakomitszą jej część składały. Wyobrażały one widzów, którzy przypatrywali się wszystkiemu; razem z głównemi osobami działali, razem z niemi cieszyli się albo cierpieli. Nadto chór takowy nigdy prawie nie schodził ze sceny; a kiedy bohaterowie sztuki przynagleni byli do opuszczenia teatru, chór zostawał i w pieniach swoich zastanawiał swą uwagę nad tem, co się już stało, gotował umysły do tego, co miało później nastąpić. Stąd pochodziło, że działanie w obliczu jednych i nie schodzących z miejsca swojego osób musiało być zawarte w szczupłych granicach czasu i odbyć się na jednem a temże samem miejscu. Wszakże nieustanna obecność chóru do tego stopnia związała z sobą akty, iż żadnej między nimi przerwy, żadnego odpoczynku nie było.

To, co się tu rzekło, wystarczy na uznanie wielkiej różnicy między naszym a greckim teatrem. Nie spadała tam zasłona po każdym akcie. Nie było tej przerwy, która jest u nas między jednym a drugim. Niemasz dziś chóru, niema konieczności wiązania się do szczupłych granic czasu i miej-

sca. Prócz tego, jedność miejsca u Greków pochodziła z samego sposobu ich życia. Nietajno każdemu, że starożytni wszelkie sprawy, tak publiczne, jak i prywatne, odbywali nie w domach własnych, lecz na miejscach wszystkim powszechnych. Stąd wypływało, że poeci, obierając jedno i toż samo miejsce do działania w swoich dramatach, nie obrażali przyzwoitości, owszem, stósowali się przez to do obyczajów swego narodu i wieku.

Jeżeli francuscy pisarze (pomimo twierdzeń, że się greckich prawideł trzymają) czas trwania dramatycznej sztuki, który nie przewyższał u Greków czasu jedynie do wystawienia koniecznego, do dnia jednego, czyli dwudziestu czterech godzin pomknęli, czemużby nie można tej wolności dalej rozciągnąć? Skład naszego teatru i zwyczaj łatwe ku temu podają sposoby. Po każdym akcie spada zasłona, kończy się część pierwsza wielkiego obrazu dramatycznego poematu. Jak długo ma trwać przerwa między jednym aktem a drugim, nie oznaczają prawidła. Lecz jeźli ta przerwa, która rzeczywiście nie przenosi ćwierci godziny, ku dopełnieniu czasu 24 godzin, dla sztuki zamierzonego, wyobrażać ma 3 lub 4 godziny; czemużby nie można tego omamienia dalej posunąć, wystawując, że między jednym aktem a drugim znaczna część dnia lub też dzień cały upłynął? Tym sposobem więcejby czasu zyskali dramatyczni pisarze, mniej kajdan, które dowcipy krępują. Wreszcie może to być prawidłem dla francuskiego teatru, lecz nie dla wszystkich. Chcąc udowodnić takowe mniemanie, dość będzie przytoczyć jednego z nader znakomitych krytyków francuskich. Bossu uważa [1]), że noc jest złą porą do tragedyi i że ta przez wszystkie godziny najdłuższego dnia w lecie trwać może. Tym sposobem dodaje uczony Home [2]), angielska tragedya dłużej, niźli francuska, a w Nowej Ziemli, gdzie całe lato jest dniem jednym, przez całe lato trwać może!

Kończąc tę obszerną rozprawę, powiemy, że to dzieło dramatyczne co do jedności czasu najlepszem jest, które nie trwa dłużej nad czas, do wystawienia potrzebny; to zaś

---

[1]) Bossu: *Traité sur le Poëme Epique.* L. III. Chap. 12. *(Przyp. Aut.).*

[2]) Home w dziele pod tytułem: «O zasadach krytyki», w Rozdz. 23. *(Przyp. Aut.).*

nie uchybia przeciw naturze rzeczy i dzisiejszego teatru, które się przez tyle dni ciągnie, ile ma aktów.

Co do jedności miejsca. Z okazanej różnicy między naszym a greckim teatrem wypływa, że i w tem przepisy francuskich pisarzy za nadto niewolniczymi się zdają. Nie jestem ja za tem, ażeby, obrazem niektórych dzisiejszego wieku pisarzy, scenę w jednym akcie lub sztuce z Londynu do Rzymu, z Rzymu do Paryża przenosić. Lecz sądzę, że, nie odmieniając bynajmniej miejsca w aktach samych, jeden z nich może się odbyć w pałacu, inny w ogrodzie, inny w więzieniu, w kościele. I na tem jedność miejsca według natury dzisiejszego teatru zależy. Zasadą tych odmian w aktach będą podobnież zachodzące przerwy pomiędzy nimi. Wreszcie nie wszystkie osoby koniecznie, do dramatycznego działania użyte, mogą lub muszą na jedno schodzić się miejsce. Urząd ich, stan, wiek, przyzwoitość nie dozwala najczęściej wybrać takiego, gdzieby wszyscy mogli nieprzymuszenie działać, mówić lub odkrywać swe jawne lub skryte uczucia. Przykłady lepiej objaśnią to zdanie. Ani godzi się uciekać do tych niedokonanych sposobów, przez które pisarze francuscy, chcąc ustalić powagę urojonego prawidła, wybierają częstokroć na miejsce działania jaki przedpokój, wspólny kilku pomieszkaniom, zajętym przez główne osoby, w którym schodzą się bez przyczyny, odkrywają swe uczucia bez trwogi, chociaż ich nieprzyjaciele o ścianę się tylko znajdują; nie widzą się z sobą, chociaż o kilka kroków mieszkają, ażeby ściągnąć nakoniec poznania się nagłe, nadspodziewane zdarzenia. Takowe środki ujdą jeszcze w komedyi. Kilku przejeżdżających stawa w jednym domu gościnnym. Przedpokój jest wspólny dla wszystkich. Rzecz się poczyna od służących, którzy tam mają swoje mieszkanie. Nadchodzą panowie, mówią, działają; lecz aby w tragedyi, jak naprzykład w «Berenice» Rasyna, do gabinetu wspólnego pomieszkania tej palestyńskiej królowej i Tytusa cesarza schodzić się mogli wszyscy na opowiadanie tylu pięknych rzeczy, trudno jest z przyzwoitością pogodzić.

I) Powstanie Królestwa Polskiego.

(pisane w r. 1836, wydane 1895 r.).

Bezpretensyonalny pamiętnik o wypadkach wielkiego roku dużą ma cenę dla historyka, pomimo iż Wężyk nie umie utrzymać się w karbach ścisłej przedmiotowości. Konserwatysta z zasady i temperamentu, darować nie może «demagogom» i «klubistom»: Lelewelowi, Mochnackiemu, Niemojowskim, niechętnie wyraża się o Chłopickim, Prądzyńskim, natomiast wygłasza gorącą apologię Skrzyneckiego, chociaż całej winy zdjąć z niego nie potrafi. Przegraną 1831 r., według niego, przypisać należy: 1) niezdolności Chłopickiego, 2) błędom Skrzyneckiego, 3) «panowaniu klubów, a stąd zrodzonej anarchii», 4) nieposłuszeństwu generała Ramorina. Całe przedsięwzięcie rewolucyjne, ku temu zdaje się skłaniać autor, było dziełem lekkomyślności i rozpaczy, nie mającem widoków powodzenia, z góry skazanem na zagładę. Wężyk opowiada żywo, z zacięciem, często przeplatając opowiadanie uwagami, refleksyami, nieraz dość płytkiemi i jałowemi; czasem też wyrywa mu się silniejszy wyraz uczucia. Wogóle, pamiętnik nosi na sobie cechę bezpośredniości i dzięki temu właśnie ma poważne znaczenie dla historyka, który potrafi odróżnić prawdę od uprzedzenia osobistego lub stronniczego.

a) Rzezie 15 sierpnia.

196) *Str. 169—174.* Przystępujemy do skreślenia obrazu nocy 15 sierpnia, która zbezcześciła krwią i mordami stolicę, od której odwrócą oczy i serce prawi Polacy, a zadrżą ze zgrozy na jej wzmiankę potomni. Powstanie Polski, tak dotąd czyste w obliczu świata i tak dla narodu chwalebne, skazi nakoniec okropne bezprawie. Napróżno niecni zbrodniarze czekają, by cienie nocy ich sprośne dzieła pokryły. Dowie się o nich stolica, przeklinać będą potomni. Dzień cały zeszedł na ciekawem oczekiwaniu, komu rząd narodowy ster wojska poruczy. Nie ogłoszono ani jednego słowa w tej mierze. Głuche pogłoski biegały, że czynni członkowie klubu listy proskrypcyjne spisali i że ci nawet, którzy z rozsądkiem umiarkowanie łączyli, nie uszli ich podejrzliwej uwagi. Od trzech dni Lelewel o ruchu zbawiennym nadmieniał. Towarzystwo patryotyczne, liczniej, niż dotąd, zebrane, radziło jawnie o niebezpieczeństwie ojczyzny. Podano wniosek, by się domagać od rządu oddalenia od wojska jenerała Skrzyneckiego, i ten się wniosek utrzymał. Lecz gdy już radzić poczęto, jak go wykonać, czyli na piśmie, czyli też innym sposobem, wniesiono, by Towarzystwo w całem się gronie do rządu z swojem żądaniem udało. Na tem stanęła

narada. Ciągnie tłum różnorodnego składu, mając na czele ks. Puławskiego Kazimierza, Czyńskiego Jana i Boskiego Nikodema, przez Miodową ulice. Ciekawość zwiększa uzbrojoną tłuszczę co chwila. Już na Krakowskiem Przedmieściu do 3000 ludzi liczono. Cała ta rzesza napełnia dziedziniec namiestnika pałacu, a mówcy Towarzystwa przeciskają się do sali posiedzeń rządowych. Wychodzą członkowie pojedyńczy Narodowego rządu, słuchają mów, tchnących istnem zuchwalstwem, i przyrzekają nazajutrz na południe odpowiedź. Cała ta scena gorsząca trwa blizko godziny. Lecz gdy mniemano, że Towarzystwo zaspokoiło się odpowiedzią rządu i gdy to niejako utwierdziło oddalenie się tłumu od namiestnikowskiego pałacu, dzielą się tłumy na pomniejsze oddziały i, wzmocnione nowemi siły, schodzą się znowu pod Zamkiem, gdzie uwięzionych jenerałów w dniu 29 czerwca dotąd w areszcie trzymano. Był pomiędzy nimi szambelan rosyjski, Fenshave, człowiek niewinny i dobrych obyczajów, który, przyzwyczajony do życia w Warszawie, ani ją pragnął opuścić, ani na jedną chwilę nie przestał ufać szlachetności charakteru Polaków. Wplątany do śledztwa mniemanego spisku Hurtiga wraz z cukiernikiem Lesslem, został za niewinnego uznany. Trzymano go jedynie w Zamku dla zasłonienia przed wszelką obrazą, lecz miano wkrótce za przyzwoitym paszportem do przednich straży odesłać. Gnuśność rządu odwlekła tylko tę chwilę. Była kobieta rosyjska, nazwiskiem Bazanow, śmiała i intrygantka, lecz tę o zdradę kraju, jako cudzoziemkę, nie można było potępić. Był nakoniec oprócz świadomych z dawniejszych wzmianek kamerjunkier Bentkowski, który miał utrzymywać korespondencyę z nieprzyjacielem. Ci wszyscy już byli osądzeni przez sąd nadzwyczajny; lecz wyrok na nich, odesłany do głównej kwatery, dla zmian, zaszłych w naczelnem dowództwie, potwierdzonym i wykonanym nie został. Zbiera się tłum ludzi przed zamkiem, krzycząc: «Śmierć zdrajcom ojczyzny!» Warta gwardyi narodowej staje do broni. Uderzono na trwogę, lecz czyli z namysłu, czyli z niedbalstwa, jeden tylko bęben słyszeć się daje. I ten nakoniec zaniemiał, gdy doboszowi pałki odjęte zostały. Przybiega gubernator miasta, jenerał Węgierski, ten, który po scenie, przez Towarzystwo patryotyczne z powodu Krępowieckiego

zdziałanej, chełpił się w stolicy, iż z 200 ludźmi byłby ten rozruch uśmierzył, przekłada wzburzonym, że ci, których śmierci żądają, już osądzonymi zostali, że wyrok na nich jest w głównej kwaterze i w druku, że nazajutrz ogłoszony i wykonany zostanie, ale przekłada napróżno. Nadciągnął tymczasem batalion 18 pułku piechoty. Gdyby go był gubernator pod Zamkiem ustawił, mógłby zapewnie zapobiedz gwałtowi i mordom. Lecz on rozkazał bramy zamkowe otworzyć, których burzyciele przestąpić nie mogli, i wpuścić wojsko w dziedziniec. To dało powód, że się wraz z wojskiem towarzysze patryotyczni wcisnęli. Ale przychodzą rzeczy do tego stopnia, że Węgierski obowiązał się posłać natychmiast sztafetę do głównej kwatery po wyrok na więźniów zamkowych. By to wykonał, dodają mu 30 świadków, na czele których ksiądz Szyndlarski z gubernatorem do jego mieszkania odchodzi. Gdy burzyciele pozbyli się przytomności gubernatora, złączywszy się z oddziałami 18-go pułku, poszli natychmiast w Zamek do miejsc tych, gdzie nieszczęśliwi więźnie siedzieli, i poczęli ich koleją wywlekać. Zjawił się pomiędzy tłumem Antoni Ostrowski, dowódca gwardyi narodowej warszawskiej. Ten, zamiast okazania jakiej takiej chęci w utrzymaniu publicznego porządku, zalecał tylko swym podkomendnym, by nie strzelali do obywateli, a potem spokojnie głowy pomordowanych rachował. Są tacy, którzy twierdzą, że następujące słowa z ust jego słyszeli: «Panowie! możecie wieszać, ale porządnie». Był jeszcze w tłumie człowiek, niebezpieczniejszy od wielu, którego tajemnym podszeptom noc tę w znacznej części przypisać należy, który się do wszystkiego rad mieszał i od wszystkiego potem ręce umywał, a tym był Krukowiecki, dymisyonowany jenerał. On w zgiełku przybrał pewnej powagi i został powitany tytułem gubernatora. Czy nakazywał morderstwa, czyli też wprzódy do nich poduszczył, nie zostało wykryte. Wszakże miał kogoś z przyjaciół, co doniósł wkrótce rządowi, że lud wzburzony chce go mieć gubernatorem Warszawy, i rząd narodowy był tak dalece słabym, że temu snadno uwierzył i mianował go istotnie tej nocy gubernatorem Warszawy. Ale już krew się lała potokiem. Wpadnięto do mieszkania nieszczęśliwego Jankowskiego i znaleziono go pośród modlitwy. Ci, co go pierwsi lżyć i mordować zaczęli, byli sami

wojskowi albo klubiści, w mundury gwardyi narodowej przebrani. Nic nie pomogły prośby i przełożenia. Zelżony, zbity i skuty, już prawie nie żyw, został powieszony na latarni za nogę. Ten sam los spotkał jenerałów Hurtiga i Sałeckiego, pastwiono się nawet nad ich trupami. Bukowski wyskoczył z okna na taras i złamał nogę, ale się zdołał między krzewami utaić. Wszakże na krótko, bo, znaleziony przez swych oprawców, znalazł natychmiast śmierć srogą. Szambelan Fenhave schronił się za piec swego mieszkania, ale po stołku, blizko stojącym, docieczono, gdzie się znajdował. Niewinność jego, nawet uznana od sądu, nie zdołała uchronić od śmierci. Pani Bazanow zamordowaną została z wściekłością i okrucieństwem, sroższem nad wszystkie opisy. Młoda jej córka, która towarzyszyła matce w więzieniu, pchnięta bagnetem, zaledwie uszła zagłady, udana za służącą. Bentkowski pomnożył liczbę nieszczęsnych ofiar, pomordowanych wprzódy, nim powieszeni zostali. Ta rzeź okrutna w Zamku królewskim trwała przeszło godzinę. I to jest, co Lelewel nazywał ruchem zbawiennym. Gdy Krukowiecki zaczął przemawiać, jako dowódca miasta, dały się słyszeć głosy, żądające głowy najszlachetniejszego stronnika powstania, księcia Adama. Ostrzeżony zawczasu, gdy nie mógł przyjąć rady Lelewela, by stanąć na czele ruchu, musiał swe życie ratować ucieczką. Dosiadłszy konia w pałacu Zamojskich, udał się z masztalerzem samowtór ku obozowi przez wolskie rogatki; tam zatrzymany, znać przez stronników ruchu, rączości konia ocalenie swoje był winien, nie przeto jednak za nim strzelano. Ale masztalerz spadł z konia, który, wróciwszy do domu, dał powód do pogłoski, jakoby Czartoryski życie postradał, co pośród nocy z udanym żalem rozgłaszał Krukowiecki. Mówią, że od Zamku chcieli się rozejść burzyciele po różnych stronach miasta dla wywlekania ofiar swojej niechęci, do których liczby należał jenerał Dziekoński, dowódca warowni na Pradze. Ale przemogła chęć wymordowania szpiegów, nie osądzonych dotychczas dla braku prawa na zbrodnie szpiegostwa. Lecz gdy więzienie, w którem ci nędznicy siedzieli, było nader odległe od zamku, bo leżało aż za wolskiemi rogatkami, przejście ich do tego miejsca uwolniło miasto na parę godzin od zgiełku mordów i trwogi. Ciągnąc

po drodze, szukali Łubieńskiego Henryka, obwinionego o usunięcie z pod srogości prawa vice-prezydenta Lubowickiego, i mało brakło, że zamiast jego nie powiesili brata, Jana Łubieńskiego, który się dostał w ich ręce.

Gdy ruch się przeniósł za wolskie rogatki, do więzienia, będącego w domu zarobku, krew zatrzymanych tamże lała się bez oporu i najmniejszejszej przeszkody. Zginęli zamordowani szpiegowie dawnej władzy: Szlej, Szymanowski i wielu innych. Niezasłużona kara śmierci spotkała także i kilkunastu Żydów, uwięzionych za defraudacyjne przestępstwa. Zginęło tamże wogóle 35 osób, a krew ich została świadkiem w więzieniach wyuzdanej wściekłości. Już dzień zajmował miejsce nocy, gdy burzyciele przypomnieli sobie Hankiewicza, radcę stanu za dawnego rządu, osadzonego pod strażą w klasztorze dominikańskim na ulicy Freta. On stał się winnym prześladowania wielu rodaków i był zbyt czynnym we wszelkich czynnościach sądowych przeciw obwinionym od władzy. Nikt pewnie bronić nie zechce skażonego charakteru tego człowieka. Ale komitet śledczy nie znalazł go do tego stopnia winnym, by go pod sąd oddano. Wywleczony z swego przytrzymania, pokaleczony, jak inni, powieszonym został nareszcie. Tej egzekucyi był żywym świadkiem Lelewel, bo zaszła ona w blizkości jego mieszkania. Prochownia dostarczyła jeszcze trzech ludzi, na których się wściekłość sprawców tej nocy wywarła. Był między nimi Fridlender i Birnbaum, dwa ramiona dawnej policyi. Długo wisiały trupy pomordowanych przez ranek dnia 16, nim je przez kata ściągnięto i uwolniono miasto od zgrozy. Wśród nocy szukano cukiernika Lessla, którego miano w podejrzeniu, lecz ten się rychlej z swego mieszkania uchronił. Tu Krukowiecki pokazał pozorny przykład sprawiedliwości. Bo, gdy tłum ludzi różnego rodzaju, szukając Lessla, przetrząsał dom jego, jeden z saperów z płochości czyli łakomstwa pochwycił za sprzęt domowy i chciał go sobie przywłaszczyć, ale, ujęty, natychmiast został rozstrzelanym na rozkaz nowo mianowanego gubernatora.

b) Ogólne uwagi o powstaniu.

197) *Str. 232—238.* Padła ofiarą Polska przed laty nie własnych błędów i winy, bo z tych się mogła otrząsnąć,

ale chciwości i dumy sąsiadów. Jakież ma prawo ten, który siedzi przy mojej miedzy, by mnie przymuszał do ładu? Lecz nikt bezkarnie gwałcić nie może cudzej własności. Gdybym to zdziałał, jak człowiek, przyszedłby sędzia i grozą prawa wymierzył, co innemu wydarłem. Nie maszli sądu na królów, kiedy podobnie z ludami postępują? Gdy mnie trzech zbrojnych w lesie obłupi, to się rozbojem nazywa. Gdy trzy narody złączą swe siły na jeden i gdy rozszarpią jego odwieczną dziedzinę, gdzież jest ów wyraz, coby tę zbrodnię innem nazwiskiem okrasił? I któż nie wierzy, że jest trybunał, co sprawy królów i ludów przesądza? Tam sprawiedliwość stoi na straży wyroków, a uczą dzieje tysiącami przykładów, że cudza krzywda rychlej czy później bokiem wylezie. Łupił narody wielki zwycięzca, sądząc w swej pysze, że mu jest wszystko godziwe dla siły. I cóż się stało z całym ogromem potęgi? prysła nakoniec, jak szyba lodu, a on, że sam przez siebie ciemiężył, jeszcze za życia odniósł sromotną pokutę. Ale do spisku na Polskę wpływały ludy z królami, dlatego spaźnia się jeszcze chwila niesprawiedliwości niezbędnej. Aliż te pierwsze nie obaczą się, gdy same działać zdołają? inaczej jużby jej wyrok spełnić się musiał oddawna. Od pierwszej chwili rozbioru Polski ostrzega codzień Wszechmocność przez liczne klęski i boje, że dotąd miru nie będzie na świecie, póki porządek między ludami do dawnych karbów nie wróci. Od lat czterdziestu czują to władcy i rady, ale nie śmieją dla wstydu odpłacić winę rozboju. Wszyscy koleją poznali, jak jest ten owoc gorzki i niestrawionej twardości i jak są liche pożytki, na które liczyli płocho, kiedy cudzą własność szarpali. Wieleż milionów ludności padło od tego czasu w ofierze, jak wiele skarbów uronić odtąd musieli, na jakie klęski własne oddali narody, a ile razy byli już sami blizcy zagłady! Ale strumienie krwi ruskiej, co polska ziemia połknęła, czyliż ma za nic ów samodzierzca, gdy nie przestaje zalewać nimi polskie dziedziny, też same niwy, które oddawna za swoją zdobycz uznaje? Czyliż on nie zda rachuby nakoniec, że tak daremnie kwiat swego ludu zmarnował? Rychlej albowiem czy później musi przyjść chwila odwetu, i, skoro Polska, tak jak dotychmiast, nie zechce zostać pod obcem jarzmem, dźwigać go pewnie nie będzie, bo wola ludu

wolę jednego przemoże. Nic nie nadadzą te wymyślone męki i to przenoszenie ludności polskiej na obce stepy i jary. Tu plemie nawet przybyszów wyssie wraz z mlekiem miłość do ziemi, na której chlebie wyrośnie. Tam się zasieje ziarno swobody, gdzie upływu wieków potrzeba było, by ją poznano z nazwiska.

Lecz zwróćmy oczy ku dotykalnym skutkom polskiego powstania. Runął olbrzym zwycięstwa i siły, a berło władztwa nad światem przeszło na północ, jako zdobycz wygranej. Zdurzone ludy słowami chytrości, mniemały zrazu, że wyższość wymiarem sprawiedliwości w godne się ręce dostała. I Polak, zawsze mający cel jeden dla siebie, razem z innymi zdurzony, przylgnął do tego, co mu przyrzekał szczęście, swobodę. Lecz spadła maska obłudy, a został postrach potęgi, co się rozpostarł od oceanu, który południe oblewa, aż po ten kraniec, gdzie już się kończy panowanie płodności człowieka. Drżały narody, gdy barbarzyniec przemówił. Przez lat dziesiątek liczono pilnie europejskie potęgi, bez dojścia aż do tej liczby, coby zaręczyć mogła przewagę. Lecz zapomniano przyzwać do tych rachunków ducha, który liczbami kieruje, i w tej pomyłce pocieszano się chwilowym pokojem. Nikt nie dociekał, że, nim ten olbrzym ściągnie z daleka niesforne w ruchu ramiona, można mu zadać cios w serce i zabić. Lecz któryż naród weźmie na siebie to przedsięwzięcie zuchwałe? Gdy drżą z obawy i niepewności namysłów, Polska to działa, czego najpotężniejsi nie śmieli. Tak świetna rola musi być jej przeznaczeniem koniecznem. Ona najbliższa serca olbrzyma, ona najwięcej krzywdy od niego poniosła. Lecz podziwienie i postrach nie ustał jeszcze. Gdy się już wszczęły krwawe karła z olbrzymem zapasy, czegóż czekacie, narody, aż te odwieczne prawa, na których stoi świat cały, rozkażą uledz w nierównej walce karłowi? Czy nie widzicie, że za tą klęską inne i sroższe was samych czekają? Teraz wam działać, jeżeli chcecie krwi własnej oszczędzić; ale najbliższym krzywe sumienie przeszkadza. Chcieliby może dopomódz Polsce, dręczy ich przecie wspólnictwo zbrodni, którą na Polsce spełnili. Boją się oni o kawał ziemi niewłasnej i wstydowi niepozbędnego powrotu cudzego dobra poświęcają los przyszły ludów, nad którymi z lepszego prawa panują. Kiedy więc

nie chcą czyli nie mogą królowie sami wykonać sprawiedliwości nad Polską, przyjdzie ta kolej na ludy, i wtedy może spełni się naraz sprawiedliwość podwójna. Ależ ta chwila może dużo łez i krwi kosztować.

Walczy więc Polska z temi siłami, które są dotąd całej Europy straszydłem. Rozwija dzielność bez równego w dziejach przykładu, a porzucona od innych, jak ów zapaśnik pomiędzy lwami, długo zadziwia męstwem obrony i rezygnacyą i wytrwałością bez wzoru. I gdzież nie przeszła sława tej wojny, jakież ciosy dotkliwsze jęki wzbudziły w całej przestrzeni znanego świata, jak te, które dzielnych obrońców swobód ojczystych w morderczych bitwach spotkały? Same narzędzia despoty nie przelewają krwi polskiej bez wstrętu, bo wiedzą dobrze, że na tej wojnie nic zyskać, a wiele stracić może Rosya. Siedm miesięcy wlepione oczy narodów zwróciły baczne wejrzenia ku ziemi Piastów, która, niedawno wygluzowana z ziemskiej posady, zapomnianą została od świata. Nikt się nie spodział, by tyle siły istniało w zwłokach narodu, który dwa wieki upadał, choć nikt nie widział na własne oczy, by kiedy Polska skonała. Całun śmiertelny pokrył jej ciało, lecz drgały członki ciągłem usiłowaniem powrotu do życia. Potrzeba było sił wszystkich Rosyi: i tych, co świeżo z przedmieść Stambułu wróciły, i tych, co ujarzmiły Erywan, i tych, co strzegą bezpieczeństwa podejrzliwego samodzierzcy, i tych, co odpychały zarazę od krańców świata, i od gór żyznych, z których Rosya patrzy łakomo na kolebkę świata Azyi, i od mórz wszystkich, do których jej rzeki spływają, ciągnęły hufce orężne na pokonanie nieszczęśliwego narodu, który z ufnością w swej świętej sprawie walczył, jak jeden przeciwko dziesięciu. Niewiele brakło, by nawet wyszedł z tryumfem; przecież to zdziałał na korzyść całej ludzkości, że, obnażywszy olbrzyma, pokazał światu zupełną nicość jego mniemanej potęgi. Któż po tej wojnie zlęknie się szczerze rosyjskiego ogromu? Ten cios okropny, w serce Rosyi zadany, tkwić będzie w wiecznej pamięci narodów, i stąd pochodzi zemsta, z którą dziś samowładca nad Polską srożeje. Dlatego wywiódł odrazu wszystkie swe siły, by skończył wojnę jednym zamachem. A gdy się to nie powiodło na polach Grochowa, dlatego wywarł gniew ostry na swego wodza, że tym

lub owym środkiem nie skończył wojny, gdy miał do tego sposobność. Sam układ z Polską, w miesiącu marcu zawarty, jeszczeby zachował urok rosyjskiej potęgi od szwanku — późniejsze boje dopiero mgłę, wiszącą nad wzrokiem ludów, rozdarły. I to zgubiło Dybicza.

Lecz większe skutki nierównie dla samej Polski zrodzić ma z czasem świeżo skończone powstanie. Od ostatniego rozbioru Polski już po raz piąty dowodzi Polska, że każda chwila, nawet pozorna, nie przejdzie dla niej bez objawienia światu chęci niezłomnej ku odzyskaniu niepodległości, z której ją gwałtem odarto. Tak widzieliśmy w roku 1794 garstkę walecznych, co się do broni cisnęli, bez przezorności i bez nadziei zwycięstwa. Honor narodu wymagał tego, i naród uległ przemocy z honorem. Myśl Dąbrowskiego uratowała od zgnuśnienia tę dzielną młodzież, która poszła pod obce nieba walczyć i sposobić się do przyszłych usług ojczyźnie. Byt legionów powiązał dzieje Polski z tem pasmem wznowionych usiłowań, które objawił rok 1806 i 1807. Zaledwie błysnął promyk przelotnej nadziei, a wnet Polacy powstali. Był to ciąg dalszy szlachetnych usiłowań pod cnotliwym Kościuszką. Gdy Austrya w r. 1809 poczęła z Francyą zapasy, znowu część Polski wyśliznęła się z rąk drugiego rozbiorcy. Toż samo zaszło w roku 1812 przeciwko Rosyi. Dotąd każdy z trzech dworów doświadczył z blizka, ile go rozbiór Polski kosztuje. Lecz gdy runęła potęga, pod której cieniem złożyć chcieli lepiankę bytu swojego Polacy, dotknął ich narodowość cios sroższy nad inne, bo pozłocony urokiem łagodności, liberalności i pozornej dla płytkich oczu nadziei. O! gdyby tą drogą szedł Aleksander, którą iść począł w pierwszych leciech panowania swego nad Polską, pewnieby narodowość polska przygasła. Ale Opatrzność, czuwająca nad tą nieszczęśliwą krainą, zachowała ją od tak strasznego ciosu. Nadana konstytucya zdeptaną została nogami, barbarzyństwo cesarzewicza rozjątrzyło umysły. Demoralizacya, wprowadzona przez Rosyan pomiędzy Polaków, niegodnych tego imienia, a mająca przy tronie opiekę, aż nadto była zuchwałą i jawną, by prawych nie oburzała umysłów. Jeszcze lat dziesięć, a ta zaraza sroższeby skutki od cholery ściągnęła. Byli już tacy, i tych niemało, którzy nie wątpili, że pod jej wpływem duch narodowy dokonał. Nikt nie

śmiał ufać własnym swym siłom, nikt nie zawierzył w podobieństwo politycznego zmartwychwstania. Ci, którzy przewidywali blizką w Rosyi odmianę, czekać radzili aż do tej chwili, niepewni, czyli nadejdzie, albo lękliwi, by za ich życia nie przyszła. Grobowa cisza pokrywała bladym pozorem pomyślności krajowej gnuśność, nikczemność i niewolniczą obawę. Lecz nagle wybucha powstanie w nocy 29 listopada. Sprawcy onego sami nie wiedzą, co czynią. Bez planu i bez dowódcy biorą się do oręża, nie obliczywszy bynajmniej, jakie za sobą skutki tak śmiałe przedsięwzięcie pociągnie. Wsparci nad wszelki domysł przez bojaźliwość W. Księcia, idą do walki i postępują olbrzymimi krokami. Zdumiała stolica przyjmuje wkrótce na siebie śmiałego dzieła porękę. Wychodzą na jaw ci wszyscy, których podejrzliwość rządu zatrzymywała z daleka od władcy, a gdy sam W. Książę niczego więcej nie żąda, prócz bezpiecznego do Rosyi powrotu, i bojaźliwsi, i roztropniejsi od innych stawają przy wielkiej sprawie narodu. Wkrótce zapał staje się powszechnym, bo od początku poznano, że śmiały zamysł skończyć się musi na boju. Dlatego starzy i młodzi i ci, co zamieszkali tak zwane Królestwo, i ci Polacy, których przedzieliły od braci pruskie lub austryackie granice, kwapią się zebrać przy narodowym sztandarze. Próżno dyktator ten tak powszechny zapał przytłumia, bo nie ma żadnej wiary w dzielności narodu, bo układy z rozgniewanym monarchą zdają się jeszcze jedyną drogą zbawienia. Lepiej poznali dumę cesarza ci, którzy nie chcą żadnych przypuszczać układów. Te po zwycięstwach jedynie mogły być zawierane z korzyścią. Jasnowidzący bój tylko widzą przed sobą. O, gdyby to przekonanie tkwiło z początku w umysłach radców i tych, co władzę objęli, możebyśmy w innej z początku wojny wystąpili postaci! Lecz gdy już trąba wojny zabrzmiała, wtedy dopiero rozwinął się w całej swej mocy charakter narodu. Jak miło było na ten widok spoglądać! Dotąd wszystko, co tylko zdziałali Polacy ku podźwignieniu nieszczęsnej ojczyzny, było za obcych pomocą. Ich kierunkowi winniśmy byli często fałszywe środki i cele. Mało kto dzielił nasze uczucia, nikt się nie dziwił wysiłkom, bo, powiązani z tymi, którzy nienawiść ludów ściągnęli, musieliśmy ją w części podzielić. Dziś sama Polska własną swą siłą powstaje. Dziś wszyst-

kie ludy ziemskiej postaci błogosławią usiłowaniom jej dzieci, i, gdyby rządy popularnymi być chciały, mielibyśmy z nich pomoc powszechną. Jakież zdziwienie zjednało i bohaterskie powstanie i ta wspaniałość, z którą obchodzono się z jeńcami, i te uczucia wyższości, które natchnęły całą powszechność polską wzgardą materyalnych korzyści. Wszystkie dolegliwości narodu szczególniej od W. Księcia pochodzą; przecież Polacy, krzywd wycierpianych niepomni, z czcią i uprzedzeniem odprowadzają go do granic. I z pism, i z czynów nikt nie powątpił, że dawna nienawiść obu narodów w cywilizacyi skonała. Wszystkie odezwy Polaków do rosyjskiego narodu tchną czystą chęcią zrzucenia jarzma, które zarówno obu narodom dolega! Ale głos prawdy i czucia rozbił się o serca, jeszcze nie usposobione ku ich przyjęciu.

Opracował H. GALLE.

XXV.

GORCZYCZEWSKI JAN.

(ok. 1750—1823)

Wiadomości nasze o życiu Gorczyczewskiego są bardzo skąpe. Wiemy tylko tyle, że urodził się, żył i działał w Wielkopolsce; że był kanonikiem katedralnym poznańskim, opatem komendaryjnym Sulejowskim, profesorem i dyrektorem szkół poznańskich. Dnia 17 listopada 1805 Gorczyczewski został obrany na członka korespondenta Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie. Z pism jego wiemy, że był gorąco przywiązany do ziemi swojej rodzinnej. Był zapewne dobrym pedagogiem i gorliwie spełniał swoje obowiązki, — zrazu jako profesor, potem jako zwierzchnik szkół, — jak sam bowiem pisze pod koniec życia (w r. 1818): «przepędził lat ciągle czterdzieści na usłudze krajowej w zawodzie edukacyi publicznej» i «stargał nawet zdrowie» w tej pracy. Zmarł w r. 1823. Staszic złożył publicznie hołd jego pamięci i zasługom w «Zagajeniu posiedzenia publ. Towarzystwa Przyjaciół Nauk dnia 24 stycznia 1824 («Roczniki Tow. Przyj. Nauk» t. XVII, z r. 1824; por. Kraushar: «Tow. Przyj. Nauk», t. VI, 22).

Puścizna literacka po Gorczyczewskim nie jest zbyt obfita. Czy oprócz «Wiersza na powrót z funkcyi Marszałkowskiej Trybunału Kor. JW. JMP. Xawiera Nałęcz Kęszyckiego, kasztelana kaliskiego» (1781), drukował co w w. XVIII, nie wiemy. W latach 1801—1805 ogłaszał pojedyńcze utwory wierszem w «Nowym Pamiętniku Warszawskim» Dmochowskiego. Osobno wydał: «Satyry Boileau Despreaux wierszem polskim przełożone, z przystosowaniem do polskich rzeczy» (Warsz. 1805). Wkońcu zamieścił satyrę swą oryginalną p. t. «Gotowalnia sentymentalna», ogłoszoną przedtem w «N. Pam. Warsz.» t. XIV, 1804 (str. 241—248). W trzynaście lat potem Gorczyczewski ogłosił «Poezye przekładane i własne» (w dwu tomach. Warsz. 1818). Zawierają one, oprócz przeróbki Satyr Boala, «w powtórnem wydaniu poprawionych», — przekład 12-tu Listów tegoż Boala, je-

dnego listu Pope'a, dwu listów oraz dytyrambu Delille'a, oraz utwory «własne»: listy poetyckie i sat. «Gotowalnia sentymentalna», nieco przerobioną. Przed samą śmiercią satyryka wyszedł jeszcze jego przekład Bukolik autora Eneidy, p. t. «Skotopaski Publiusza Wirgiliusza Marona» (Wrocław 1822).

Zabierając się do przekładania satyr Boalowych, Gorczyczewski miał, jak sam wyznaje, dwojaki cel dydaktyczny przed sobą: poprawę złych obyczajów rodaków i zohydzenie «ladajakich prozaistów i wierszokletów». Aby zamiar swój osiągnąć, przebrał Boala «w strój polski», t. j. nie przełożył satyr jego dosłownie, lecz przerobił je w taki sposób, aby wywierały w Polsce ten sam wpływ zbawienny, jak w oryginale we Francyi. Zamiarowi temu, jak sam zapewnia, «pożądany skutek odpowiedział». Jako tłómacz, Gorczyczewski szedł więc w ślady Załuskiego, Naruszewicza, Krasickiego i Zabłockiego, pierwszych przerabiaczy Boala, ale on pierwszy spolszczył w całości dzieło pisarza, który tak doniosły wywarł wpływ na poezyę doby Stanisławowskiej. Jako stylista, wzorował się na Krasickim, którego był gorącym wielbicielem, ale język ma dosadniejszy; dość porównać jego przekład satyry VI («Niewygody w Warszawie») z przekładem tejże satyry Krasickiego, zamieszczonym w dziele «O rymotwórstwie i rymotwórcach». Tekst satyr prawodawcy poezyi francuskiej raz tłómaczy dosłownie, to znów parafrazuje go, rozszerza szeregiem wierszy, wstawiając nieraz całe ustępy, w duchu Boala, ale oryginalnie napisane. Przepyszny jest n. p. wizerunek skąpego obywatela wiejskiego i jego żony i obraz ich gospodarstwa (w sat. IX. Wyd. 1818, str. 93—98) lub opis dysputy chełpliwych nieuków pijanych o Sarmatach, Koperniku i Kadłubku w sat. III (str. 26—29), przypominający «Pijaństwo» Krasickiego. Tam, gdzie Boalo wyszydza niemiłosiernie pisarzy francuskich, Gorczyczewski szydzi zjadliwie z naszych pismaków i obskurantów XVIII w. Najdotkliwsze i najczęstsze cięgi dostają się trzem bazgraczom: «Autorowi «Pitona» («Python lipsko-warszawski dyabeł» 1792), tj. księdzu Karolowi Surowieckiemu, «Autorowi «Helikonków», (1789) (ks. Ksaweremu Zubowskiemu) i «Rafałowi» (Gurowskiemu) autorowi wierszowanych «Dziejów Pisma Świętego» (1782). Głównym jednak celem pośmiewiska Gorczyczewskiego jest autor «Pitona» — istne uosobienie obskurantyzmu. (Nie przeszkodziło to księdzu Surowieckiemu wydać ponownie swego «Pitona» w r. 1822, w którym w zaciekły i trywialny sposób napadł na Stanisława Potockiego za jego «Podróż do Ciemnogrodu»). Za temi ofiarami swemi, Gorczyczewski wyprowadza całą galeryę grafomanów ówczesnych; rzecz naturalna dostaje się i «Tłómaczowi Kamoensa», t. j. Jackowi Przybylskiemu, maniakowi na punkcie neologizmów (str. 150, sat. XI) i Załuskiemu, który «taką miał chorobę pisania wierszy, że nawet katalog wierszem ułożył»; nie oszczędza nawet Staszica, jako tłumacza «Numy Pompiliusza» i Euzebiusza Słowackiego, tłumacza «Henryady».

W przekładzie «Listów» Boala Gorczyczewski trzyma się ściślej tekstu oryginału; jeden tylko list (IX) przerobił według metody, stosowanej przy tłumaczeniu satyr. Jest ten list rodzajem «pochwały» Feliksa Łubieńskiego, ministra Sprawiedliwości za Księstwa Warszawskiego, i ma pozatem wartość przyczynku do jego życiorysu.

«Własne» poezye Gorczyczewskiego to kilka wybornych listów poetyckich, (jak n. p. «List odpowiedni Gorczyczewskiego na wiersz Chrzanowskiego», z pięknym opisem niektórych miejscowości wielkopolskich) — i znakomita satyra p. t. «Gotowalnia sentymentalna», ośmieszająca modną w końcu XVIII i początku XIX w. sentymentalność, przejawiającą się nawet w ubiorach, które miały wyrażać wewnętrzne uczucia!

W dobie panowania u nas klasycyzmu Gorczyczewskiego ceniono bardzo, jako wyśmienitego tłumacza Satyr Boala i zdolnego satyryka; zachwycał się jego pismami Kołłątaj, cenił go Staszic; wymieniano Gorczyczewskiego nawet, jako wzorowego autora, w podręcznikach (Królikowski w «Rysie poetyki». 1828, Korzeniowski w «Kursie poezyi». 1829). Jego «Satyry Boala» Dyrekcya edukacyi narodowej za Księstwa Warszawskiego zaleciła do bibliotek szkolnych.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA: Krótsze lub dłuższe oceny pism Gorczyczewskiego podali Bentkowski w «Historyi literatury», oraz Osiński (Dzieła t. III, str. 330 i 332) i Brodziński («Pisma rozmaite» 1830, str. 114) w rozprawach o satyrze. Po r. 1831 zwrócił na niego uwagę Tyszyński (w «Amerykance w Polsce» t. II, str. 202 i 203), a za nim Chmielowski (w «Poglądzie na poezyę pol. XIX stulecia»). Obszerniej pisali o Gorczyczewskim: Wójcicki w «Warszawa, jej życie umysłowe i ruch literacki» (Warsz. 1880, str. 167); Jarochowski w «Literatura poznańska w pierwszej połowie XIX st.». (Poznań, 1880, str. 25—28); Chmielowski w W. Encykl. powsz. t. XXV.

Gotowalnia sentymentalna (1804).

(«Poezye przekładane i własne». Warszawa 1818. Tom I, str. 190—206).

Do tej satyry Gorczyczewski dał następujące objaśnienie: «Wiersz ten przedstawia śmieszne, teraz modne uprzedzenia niektórych dam, jakoby w stroju można umieścić wszystkie sentymenta, czyli uczucia, które niby mają być tłómaczami serca i razem też same uczucia zdolne są przelewać w innych. Klorynda, jedna z tego gatunku dam, dowodzi w pierwszej części, że tylko artyści, użyci do ubierania, są zdatnymi do utwarzania podobnych sentymentów. Pismo Święte, Fizyka, Historya, zwyczaje i ubiory starożytne, miłość ojczyzny, wszystko to jest na placu, aby swoje zdanie

poparła. Użyty wybieg w odpowiedzi jej na różne naprzeciw zagadnienia; dowcip i obrót w pozornem uprzątaniu przeciwieństw, okazują w niej skłonność do utrzymania się przy swojem przywidzeniu, a powieść o Klarysie zwyczajną do obmowy wadę.

W drugiej części ubiera się i okazuje to dowodem, co chciała mieć za prawdę przyjętem w pierwszej. Cnotę, religię, moralność, melancholię, żal, płacz, smutek, politowanie, i wszystkie najtkliwsze uczucia, wszystko to artyści w jej stroju mieszczą. Wszystko to ona w nim widzi i spodziewa się wiele korzystać z wrażenia tychże uczuciów w osoby na nią patrzące. Ale przy najpierwszem doświadczeniu zawodzi się na swoich nadziejach, nie pokazując w sercu swojem takowych sentymentów, z jakimi się w stroju popisuje».

198) «Proszę siedzieć. Bytność tu jego pożądana,
Maż być tylko momentem grzeczności WaćPana?
Gdzież się spieszysz? czyś jeszcze sarny nie wyśledził? —,*)
Tak mówiła Klorynda, kiedym ją odwiedził,
I kiedy w chwilę słysząc ogłos z przedpokoju:
«Że czeka gotowalnia; że już czas do stroju;
«Że już przyszli artyści z kupcem świeżej mody,»
Chciałem odejść, by nie być przyczyną przeszkody.
«Proszę siedzieć. Mam, rzecze, w tem interes walny,
Byś mógł mój admirować strój sentymentalny» —.
— Sentymentalny! — Tak jest, każda część ubioru
Co do kształtu, upięcia, kroju i koloru,
Za prawidłem w najświeższej modzie dziś przyjętem,
Powinna tchnąć i razić pewnym sentymentem.
— Jakże się mieścić mogą uczucia w odzieży?
— Tych utwór, na biegłości artystów zależy.
— Czyż już garderobiana ubrać nie jest w stanie?
— A pfe! parafijanki i parafijanie
Tylko tak sądzić mogą. Bez nauk dziewczęta,
Sąż zdolne natchnąć w ubiór różne sentymenta?
Te zwłaszcza sentymenta, których dzielność cała,
Do pewnychby w płci obcej wzruszeń zmierzać miała?
Dar ten udziałem mężczyzn. Im nie tajno zgoła:
Co ich, kiedy i w jakim stopniu razić zdoła.
Prawda, że na to mruczą niektórzy mężowie;
Lecz nie trudno im gębę zatkać w jednem słowie,
I niezbitemi mruków przekonać dowody:
Że sam artysta zdolen ubrać podług mody.
Kto robi ubiór, miarę kto na niego bierze,
Nie lepiejże mnie, niźli Urszula, ubierze?

*) Komu nietajne jest przenośne znaczenie rogacza albo jelenia, ten się spotka z prawdziwem tu znaczeniem alegorycznego wyrazu sarny. *(Przyp. Aut.)*.

Ten, co utworzył gwiazdy, niebo w nie ustroił.
Zegarek idzie temu, co kółka w nim spoił.
Któż wie, czy w sobie była tak piękna Wenera,
Jak w dłucie Praksytela, lub w piórze Homera?
Strój nie jest fraszką dla dam w znaczenia humorze.

Chcę, naprzykład, dziś jaśnieć w Hetruskim ubiorze,*)
Poznał chęć moją fryzer; strój wspomina sobie,
I zaraz włos mój trefi w Hetruskim sposobie.
By w rzecz trafić nie trzebaż znać Hetruskich krajów?
Ich dziejów? Podług epok, ich mód? ich zwyczajów?
Nie trzebaż biblijotek przetrząść, aby wiedzieć,
Jak włos ułożyć, by sam mógł oku powiedzieć,
Ja w smutnej, ja w radosnej, ja w wabiącej minie.
Możnaż się tyle światła spodziewać w dziewczynie?
Ta gotowa w strój gocką wnieść Architekturę
I do sukni Hetruskiej Grecką dać fryzurę.

Com rzekła o fryzerze, o innych rzec muszę:
Szewc, krawiec, upinacze, antykwaryjusze,
Winni uczucia wydać w mierze, w kształcie, w kroju.
— Czyż i Antykwaryjusz potrzebny do stroju?
— Nie inaczej, bo w modach teraz zwyczaj taki:
Nosić strój Memfis, Troi, Rzymu lub Itaki.
Myśl moja jest, ubrać się na wzór Penelopy.
Antykwaryjusz tylko od głowy do stopy
Może jej strój opisać: Toż mówić o Frynie,
Tetydzie, Aspazyi, Helenie, Paulinie.
Lub piękności dobytej z otchłań Herkulanu,
Której odzież jest dla mnie do twarzy, do stanu.
On zaraz mym artystom wydaje rysunki,
Na różne, jakie chcę mieć, ubioru gatunki:
«Tu się zrobi tunika z najrzadszego linu,
«Tu z gazy krótka chlamis, tu welon z muślinu.
«Tu potrzeba preteksty; tu peplum; tu palli.
«Złotą przepaskę zapnie sfinks w klamrze ze stali;
«Ta stola z listwą złotą, ta roba z powłokiem;
«Ten tul przejrzysty, aby nic nie krył przed okiem.
«Ta spartanka, ku biodrom po bokach rozwarta,
«Tu pierś cała zakryta, tu na w pół otwarta.
«Tu trzewik, a tu łystcian uplecion w tasiemki;

---

*) Ubiór Hetruski wprowadzony w modę do Francyi z przyczyny wskrzeszonego przez Francuzów Królestwa Hetruryi. Damy francuskie, dla okazania swego przywiązania i szacunku dla nowego króla Hetruryi, w tym stroju się jemu i królowej prezentowały, gdy te osoby znajdowały się w Paryżu. *(Przyp. Aut.).*

«Tu w tym kształcie sandałki; tu takie ciżemki».
Zgoła, co, jak, gdzie, kiedy, w stroju ma się mieścić,
Antykwaryjusz winien artystom obwieścić.
– Lecz nacóż strój, co zdobił Greczynki, Rzymianki?
Naco gazą przedrzeźniać grube z wełny tkanki?
Cóżby znaczyły dawniej u skromnej mężatki,
Muśliny, krepy, rąbki, petynety, siatki?
Z których dzisiaj użycia, nie w porze, nie w dobie,
Nie jedna w rumatyzmie, nie jedna już w grobie.
— Człowiek, choć uprzedzony, rad nie rad, to przyzna,
Że na tem wiele sama skorzysta ojczyzna,
Jej los świetny, jej sława, mód naszych jest celem.
Skąpą naturę trzeba podchodzić fortelem.
Niejeden ją oszukał, i jeszcze oszuka.
Czego nie chce dać z łaski, to jej wydrze sztuka.
Któż, co Jakób przemysłem działał, nie pamięta:
Gdy mu się lęgły w trzodzie, jakie chciał jagnięta?
Nie wełna, lecz kształt sukni, kolor, postać żywa,
W utwór zdrowych, walecznych, mądrych ludzi wpływa.
Zdrowszaż wełna, czy jedwab? Huffeland tak mniema;
Że to nierozwiązane dotychczas problema.
Płeć zaś nasza dowody kładzie oczywiste:
Że w tych sukniach najzdrowiej, co są przezroczyste.
Przy wolnych przez strój matek powietrza przechodach,
Da się duszy i ciału dzielny hart w ich płodach.
Z żon w tym stroju zrodzą się odważne Achille,
Mądre Sokraty, bitne Hektory, Kamille.
A choć się też z nas która na on świat wyśliźnie,
Nie żal cierpieć i umrzeć w przysługach ojczyźnie.
Zwyczaj wszystko ułatwi: za rok, drugi, trzeci,
Zahartują swe zdrowie i matki i dzieci;
Nic ich sił nie pożyje. Wiatr, deszcz, mróz, upały,
Co się w tym stroju zrazu nieznośne zdawały,
Dla następnych pokoleń żywiołem się staną.
Gdy z nas wyssą odwagę niczem niezłamaną,
Wsławią się potomkowie nasi niedalecy
Więcej, niźli Rzymianie, Dardany i Grecy.
Lecz w tem sęk, na tem sztuka, by w jocie nie schybić.
Tum powinna być lekko, tu wydać swą kibić;
Tam trzeba iść przejrzysto; a mojej Urszuli
Możeby do łba przyszło, wysłać mnie w koszuli!

Apropos do koszuli. Przedwczora Klarysa
Chcąc ująć na swą wędę Tyrsa lub Filisa,
Sadzi ponętę w stroju: Przykładem Dydony,
Koloru cielistego wzięła pantalony;

Włos na urok trefiony; na nogach łystcianki;
Smelc na szyi z popiersiem śmielszego Bogdanki;
Pierś na powab wydana, suknia z biodr podpięta;
Było to arcydobrze. Ale cóż? przeklęta,
Garderobiana Marta wszystko popsowała;
Gdy, z respektem, koszuli zdjąć z niej zapomniała.
Staniczek jej wysmukły, nóżki jak toczone,
Zgarbaciały marszczkami *Chmisy* pokrzywione.
Zamiast więc nęcić chłopców, co się przy niej snuli,
Zrażała ich od siebie fałdami koszuli,
Takto jeden błąd w stroju, czego dałam probę,
Może z gruntu oszpecić i zmierzić osobę!
Z tych więc i innych przyczyn, wbrew mężów zawiści
Damy, sami powinni ubierać artyści.
Posiłkiem z różnych nauk wsparte ich talenta,
Potrafią złączyć w stroju gust i sentymenta.

Utwierdźmy to przykładem. Mospanie fryzerze,
Te włosy spuścić, a te na grzebień się zbierze,
Bo tak melancholiczniej. Tę część, niech wiatr wznosi;
Ta, niech ma taką postać, jak, że o co prosi.
Reszta, niech to da poznać, że przy gotowalni
Wcale nie miała miejsca; tak będzie moralniej.
— Czy mam wpiąć dyjamenty? — Oh! nie. Dyjamenty
Nie są zgodne z mojemi dzisiaj sentymenty.
Kilka różyczek z pereł przydać włosu temu.
Nie tak... Tak będzie bardziej po religijnemu.
— Ach! rozumiem. Pani chce przez negliż pozorny,
Ukryć sztukę fryzera i gust swój wyborny:
— Wieszczyś Waćpan. — Ta głowa, cudny robi skutek!
Sam tylko z niej wygląda żal, płacz, troska, smutek.
Przejrzała się Klorynda u swej gotowalnie:
To w tonie religii! rzekła, to moralnie!

Wtem do obuwia drugi przystąpił artysta:
Dał pończochy, w nich kolor szary, postać mglista,
A po bokach, na miejscu zwyczajnych kliników
Wznosi się od stóp para smutnych cyprysików.
W trzewikach kolor miedzi; na przyszwach owalki,
Z obrazem w Chińskim tuszu ofiary Westalki.
«Jakże, krzyknie Klorynda, obów ten jest tkliwy!
«Jak rzewliwe pończochy! trzewik jak cnotliwy!»

Dalej wziął ją w swe ręce kupiec świeżej mody.
Wdział na nią czarny gorset z tęgimi obwody;
Ta dźwignąwszy nim pulchny gors swój aż ku brodzie,
«Ten stan, rzekła, przystoi smutkowi i modzie.

A gdy tylko blondyna tchnącą pierś osłania,
Jej tchnienia będą znakiem żalu, jęków, łkania.
Prawd tych antykwaryjusz wziąwszy okiem probę,
Wrzasnął: *Meherclę!* z pani dziś istna Niobe!
Zdało się jej, gdy w zbiegłej piersi robi przedział,
Że zwierciadło poświadcza, co Mędrzec powiedział.
— Tak jest, rzecze, tym stanem i przy tej żałobie,
Jestem teraz prawdziwie podobna Niobie.

Krawiec oblókł ją w ciemną z atłasu spodnicę,
I w robę *à la Psyché* uszytą na nice*).
«Że roba jest na nice uszyta, to chwalę,
Rzecze Antykwaryjusz, w tem znak żalu. Ale
Przy robie, dla wygody, miały być kieszenie.
— Przepraszam, powie krawiec, bardzo uniżenie
Mości starożytniku; dziś moda nie taka;
A ja jej dla jednego psuć nie chcę dziwaka.
— Toż moda więcej, niż ja, u ciebie, ty błaźnie?
Mówiłem, i tak pisze Tucydyd wyraźnie:
Że w syrmach, *vulgo* robach, kieszenie bywały. —
Zmartwiła się Klorynda na ton tak zuchwały.
Lecz nie chcąc, przez interes, ganić wspólnej winy,
«Macie, rzecze, obadwa po sobie przyczyny.
Tucydyd na Waćpanów nie będzie się żalił,
Pisał on o kieszeniach, ale ich nie chwalił.
Trzeba z dawnych zwyczajów coś ustąpić modzie,
A moda ma przywilej gwałt czynić wygodzie.
Zguba chustek, wachlarzy, zegarków, pierścieni,
Znośniejsza jest, niż garby z odętych kieszeni.
Śmiał się Antykwaryjusz. A krawiec tymczasem
Skończył strój; odział panią krepą i atłasem.
Roba w różdżki cyprysu ugarnirowana,
Dała postać Kloryndzie, że cała stroskana.
Obejrzała się sama po tej i tej stronie;
Westchła! mówiąc: «Ta roba cała we łzach tonie!
«Jak żywe wszędzie uczuć najtkliwszych wyrazy!
«Ten ubiór zdolen zmiękczyć i najtwardsze głazy.
Wreszcie, zatknąwszy różę w gorset półowalny:
«Otóż to, rzecze, cały strój sentymentalny.

Będąc świadkiem ubioru, mogąc go tłómaczyć;
Wiedząc dobrze, co każda część jego ma znaczyć;
Chciałem poznać: w jakim to wszystko zaszło celu?

---

*) Teraz najświeższa moda w Paryżu nosić roby *à la Psyché*. *(Przyp. Aut.)*.

Odpowie mi Klorynda: «Luby przyjacielu!
Tyś widzę zawsze w żartach. Bo czyliż podobna,
Byś nie wiedział, co znaczy ta postać żałobna?
Ubiór cały, czyliż sam nie mówi przez siebie?
Jakie on wznieca czucia, i w jakiej potrzebie?
Krój, kształt, kolor, postawa, w sposób jak wygląda,
Nie przemawiaż do serca, czego po nim żąda?
Włos, obów, suknia, gorset, postaciami swemi
Żebrzą, widzisz, litości nad nieszczęśliwemi.
Wiara, cnota, moralność tu na wszystkich mruga:
By nie oschła bez nagród dla kobiet zasługa.
A zbiór uczuć i oku i sercu objawia,
Że kto skąpi kalece, nieba się pozbawia.
Łecz, czy ci żart czy upór, kryje me zamiary,
Odsłonię je, bom pewna twej hojnej ofiary.
Kwesta teraz jest w modzie, nie źle się nadawa,
Gdy mnichy damom swoje wyderkują prawa.
W tym stroju chcę kwestować. — Pewnie dla tej wdowy,
Co męża i kapitał straciwszy gotowy,
Na sześciorga swych dzieci żebrze wyżywienie?
Nędza jej warta czułych serc ofiary. — Nie, nie.
— Czy nie dla tych walecznych, co, broniąc ojczyzny,
Wrócili na jej łono z chwalebnemi blizny?
Syci chwały, lecz goli i biedni tu przyśli;
Los ich wart naszych względów. — O tych rząd pomyśli.
— To pewnie dla tych, w ogniu co ponieśli straty,
Co im zgorzały domy, narzędzia, warsztaty,
A teraz chodzą z torbą, i głód mrze z nich wielu?
Trzeba ich nędzę wesprzeć! — Nie, mój przyjacielu.

Przyznam się, chcę kwestować dla tego chłopczyny,
Co wszystkim stał się miłym, z trzpiotarstw, z żartów, z miny.
Jak on gra! jak szczebiocze! jak śpiewa! jak tańczy!
Wśród tej, co ślad nasz wietrzy, młodzieży szarańczy,
On nas najlepiej bawi; gdzie tylko są damy,
Tam on jest, tam na niego wszystkie poglądamy,
Rozkoszny ten Adonis, choć trochę zuchwalec,
Wczoraj dając fajerwerk, sparzył sobie palec,
A to jeszcze ten palec, co niż dostał kuku,
Stroił figle i śmieszył wszystkich do rozpuku.
Dla niego żebrzą damy w wdzięczności mu dłużne,
Ja od Waćpana zacznę. Proszę o jałmużnę. —

Nie mam więcej przy sobie, tylko trzy talary;
A te są dla zgorzelców cząstką mej ofiary.

— Oh! proszę nie żartować, dla takiej hołoty,
Co z biedą oswojona, dosyć będzie złoty;
Reszta zaś dla naszego musi pójść szczebiotka. —
Dla niego, powiem szczerze, nie dam i półzłotka. —
Ofuknie mię Klorynda: «Względów dam niewarty,
O sroższy nad tygrysy! dzikszy nad lamparty!
Precz mi z oczu! kiedy cię i ten strój nie wzrusza,
Serce twoje ze stali, a z krzemienia dusza».

Gdy to z groźbą i z mocnym wyrzekła zapałem,
Skłoniłem się Kloryndzie, ale nic nie dałem.
Pomyślałem więc sobie wychodząc z pokoi:
Tam czułość zgasła w sercu, gdzie się kto w nią stroi.

Opracował G. KORBUT.

XXVI.

TOWARZYSTWO IKSÓW

(1814—1819).

W r. 1814, t. j. w chwili objęcia dyrekcyi Teatru Narodowego przez Osińskiego, zawiązało się w domu Tadeusza Antoniego hr. Mostowskiego (1766†1842) towarzystwo «wieczorne» wykwintnych osób z inteligencyi i literatów, które przyjęło nazwę Towarzystwa Iksów. Prócz gospodarza i jego małżonki, z hr. Potockich I voto Michałowej Szymanowskiej, do grona tego należeli: Józef Ignacy Kossakowski (sekretarz Towarzystwa), Adam Jerzy Czartoryski, jego siostra Marya ks. Wirtemberska, Zofia ordynatowa Zamojska, żona Stanisława, J. U. Niemcewicz, Józef hr. Sierakowski (1765†1835), Maksymilian hr. Fredro, brat Aleksandra (†1845), Franciszek Morawski, Michał Wyszkowski (1770†1829), Kajetan Koźmian, Tadeusz Matuszewic (1765 †1819), Ludwik (1774†1846) i Stanisław Platerowie (1782†1851). W pewne dni tygodnia zbierano się u Mostowskich, odczytywano swoje utwory, omawiano je wspólnie. Za główny cel obrano sobie układanie sprawozdań teatralnych, które zamieszczano, po przedyskutowaniu i przyjęciu, w «Gazecie Warszawskiej» i w «Gazecie Korespondenta warszawskiego i zagranicznego». Pierwsze krytyki Iksów wydrukowano w «Gazecie Kor.» 25 października 1814 r. (z «Horacyuszów» Kornela) oraz 13 maja 1815 r. (z «Hamleta» Szekspira-Ducisa). Od tej chwili przez lat cztery Iksowie dzierżyli berło krytyki teatralnej, podpisując się X lub X. X. Członkowie Towarzystwa wypełniali swoje niełatwe, wobec konieczności zwalczania uprzedzeń i przesądów, obowiązki bardzo sumiennie, zyskując sobie rozgłos i uznanie, ale jednocześnie wywołując powódź protestów, polemik i t. p. Przytem dodać należy, że hasłem ich działalności była bezstronność, choćby niemiła dyrekcyi i aktorom, którzy nieraz z ich ręki przyjąć musieli gorzkie pigułki. Kierunek Iksów był pseudoklasyczny, ale nieobce im były poniekąd i nowe prądy literackie; do zalet ich należy zaliczyć usilne zwalcza-

nie melodramatów (np. Kotzebuego) i fars: różnych «Kasperków», «Kminków», «Pumperniklów», «Przypiekalewiczówien» i t. p., od których roiła się scena warszawska za dawnej dyrekcyi i w pierwszych latach za Osińskiego. O tych to czasach teatru warszawskiego mówi z goryczą Fredro w «Odludkach i poecie»:

A te biedne teatry, gdzie na jednej scenie
Dzisiaj klaszczą Barbarze, a jutro Syrenie,
I szczęście jeszcze, jeśli nie te same usta
Głoszą śpiew Terefercia i żale Augusta...

A o krytykach owoczesnych, zapewne o Iksach, dodaje:

...ci zaś, którym Geoffroy pozawracał głowy,
Którym gazety płacą im wyrok surowy,
Co uczą pisać drugich, nim nauczą siebie...

W samej rzeczy, mistrzem Iksów był J. L. Geoffroy (1743†1814), ale powołują się też na Schlegla, Sismondiego, Laharpa, Woltera. Stojąc na gruncie klasycznym, potępiali «Fiesca» Schillera, potępiali i cały kierunek romantyczny, chociaż później przechylili się do pewnego stopnia ku nowemu kierunkowi (p. krytyka «Hamleta» w «Gaz. Kor.» z dnia 6 sierpnia 1816 r., podpisana literą X, zapewne Morawskiego, wyprzedzająca o parę lat rozprawę Brodzińskiego o klasyczności i romantyczności). W walce klasyków z romantykami zaznaczyli się artykułem p. t. «Uwagi romantyka nad rozprawą Śniadeckiego» (w «Pam. warsz.» z sierpnia 1829 r.), biorąc w obronę Śniadeckiego. Przejściowe stanowisko Iksów wobec przełomu literackiego tłómaczy się tem, że w ich łonie dokonał się pewien rozłam na ludzi dawnych poglądów (Mostowski, Matuszewic, Koźmian K. i inni) i ludzi bardziej postępowych (Czartoryski, Niemcewicz, Fredro, Morawski). W roku 1819 Iksowie zamilkli: po wyjeździe i śmierci Matuszewica, po wyjeździe Morawskiego do Lublina przerzedziło się ich grono. Ostatnią ich krytykę zamieścił Dodatek do «Gaz. Warsz.» dnia 11 maja 1819 r. i Dodatek do «Gaz. Kor.» pod tą samą datą Nr 38 str. 719; była to krytyka «Cyda» Kornela. Jako piastun dobrego smaku i kultury literackiej, jako objaw przejściowy od klasycyzmu do romantyzmu, zajmują Iksowie chlubne stanowisko w dziejach naszej literatury krytycznej.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

O Iksach pisał: Biegeleisen H.: Towarzystwo Iksów, ustęp z dziejów krytyki w literaturze polskiej» («Bibl. Warsz., 1885, t. IV), p. pewne uwagi u Grabowskiego Tadeusza: L. Osiński i ówczesna krytyka literacka (Kraków 1901) oraz u Chmielowskiego P.: «Dzieje krytyki literackiej w Polsce» (Warsz. 1902).

A) „Ludgarda" tragedya.

(Dodatek trzeci do Nru 90 «Gazety Warszawskiej» z 9 listopada 1816 r. str. 2085).

199) Jest to cechą dzieł, istotną wartość mających, że czas im nie szkodzi, że owszem, gdy częściej pod sąd przychodzą, coraz godniejszemi pochwał być się wydają. Takim był los Ludgardy. Dyrektor i artyści narodowego teatru okazali, iż tę sztukę za celniejszą mają, kiedy wybraną przez nich została na wystąpienie naczelnej naszej tragicznej aktorki, która po długiej podróży wśród głośnych znaków ukontentowania całej publiczności okazała się na teatrze.

Przykładna uwaga i cichość parteru, liczne oklaski w ciągu sztuki dowiodły, że Warszawa umie wynajdywać i czuć prawdziwe piękności i że coraz więcej odkrywa ich w Ludgardzie. Ja także w równym znalazłem się przypadku. Bez porównania więcej przyjemności uczułem z ostatniego przedstawienia Ludgardy. Sceny i dyalog jaśniej, łatwiej i z nieprzerwanym interesem łączyć się zdawały... Piękności, nie postrzeżone w pierwszem wystawieniu, bardziej teraz mię uderzyły; wady niejakie, które wtedy raziły, zatarte, jakgdyby uszły prawie mej uwadze: słowem, i rzecz, i wystawienie sztuki o kilka stopni doskonalszemi się okazały.

Być może, iż, uderzony mnogością krytyk i niesłusznością wielu z nich, z umysłem, skłonniejszym do pochwał i do przyjęcia dobrych tylko wrażeń, na teatr przyszedłem. Nie poczuwam się jednak do żadnego pobłażania.

Jedna z dopiero wspomnionych krytyk wyrzuca autorowi Ludgardy, iż skład i treść jego tragedyi po większej części przeciwią się historyi. Lecz to uważać należy, że wypadki i osoby z historyi są wzięte i że autor przeciw niej w tem tylko przewinił, że je pod jeden widok i do jednej akcyi ściągnął. Zawsze wolno było poetom odstępować od nagich dziejów. Są epopeje, i wiele jest tragedyi, za wzorowe słusznie mianych, w których znajdują się takie wykroczenia. Lepiej zaiste, kiedy ich można uniknąć. Lecz z drugiej strony połączenie w dramacie Ludgardy z Ryksą nie jestże myślą szczęśliwą? nie dostarczyłaż ona autorowi tysiącznych piękności, dla których aż nadto można mu przebaczyć popełniony anachronizm? Gdy bez-

stronność mam za pierwszą zaletę prawego krytyka, chcąc dać tego przymiotu na sobie samym niewątpliwy dowód, wyznać muszę, iż, odczytując przeszłoroczny artykuł o Ludgardzie, znalazłem w nim zbytecznie siebie troskliwym o panieńską przystojność królewnej szwedzkiej; przekonałem się później, że obyczaje dawne, jakkolwiek czyste, wistocie wiele dozwalały wolności i że tę wolność przepisy sceniczne dalej jeszcze posuwają. Przypomniałem sobie, że niejedna tragiczna księżniczka błąka się sama po teatrze bez żadnej nagany i że królewna Sparty w Andromace jeszcze mniej dbałą jest na przystojności społeczne od Ryksy. Możemy więc darować jej nieuważne obłąkanie wśród tak okropnych wypadków i zamieszań. Co jednak w każdej reprezentacyi Ludgardy, równie jak i jej piękność, na jaw wychodzi, jest to nieodbita potrzeba poprawienia V-go aktu. Zatrzymanie się Przemysława na miejscu, kiedy jednem słowem, jednym krokiem ocalić życie Ludgardy może, i najnieprzyjemniej działa na widzów, i psuje całą illuzyę.

Nad prowadzeniem i intrygą sztuki publiczność aż nadto wiele zdań i rozbiorów czytała i w tej mierze opinię swoją już miała sposobność wyjaśnić; z innego więc względu uważać Ludgardę przedsięweźmiem i zastanowimy się nieco nad charakterami główniejszych w tragedyi osób. To posłuży nam i każdemu czytelnikowi do pewniejszego osądzenia, czyli autor należycie nadany przez siebie charakter rozwinął i czy aktor szczęśliwie go pojął i wydał?

W Przemysławie chciał poeta malować mocarza potężnego, z własnościami, wyrównywającemi najwyższemu przeznaczeniu, wielkiego męstwem, wolą i objęciem; lecz który, ani trudności, ani odmówienia, ani oparcia się nie spotkawszy, zaporów i granic dla swych namiętności nie uznaje, i do nich zasady najświętsze nagina. Autor chciał nam w ciągu sztuki wystawić ów krótki częstokroć przechód od gasnącego uszanowania dla cnoty do zbrodni najczarniejszych. Chciał nam wystawić niedołężność szlachetnych z przyrodzenia uczuć, które, lubo nie przestają mścić się za swe porzucenie, napróżno jednak odzywają się, kiedy otaczające okoliczności i własne pasye przytłumiły już w duszy głos słuszności i prawdy. P. Szymanowski z większym, jak zazwyczaj, ogniem wydał chwile tkliwości i roz-

paczy; w czem na niemałe zasługuje pochwały; lecz gdy miłość chwały po kochaniu zajmuje najbardziej umysł króla, o swoich czynach, o planach, o świetności kraju, z uniesieniem i większym zapałem mówić powinien.

W Ludgardzie poznajemy obraz bohaterstwa, którego w płci tylko pięknej mamy przykłady, łączącego anielską dobroć i słodycz z niezłomną stałością, rezygnacyą, i zapomnienie o sobie z najgłębszem własnych cierpień uczuciem, a z urokiem najwyższej miłości duszę gotową z niej ofiarę uczynić. W jej rywalce zajmuje nas niepohamowana namiętność,

Tota ruens Venus,

która prócz własnych płomieni, gdy jest rozogniona pychą wyniosłego umysłu i próżnością niewiasty, zapomina na wszelkie względy i na najdroższe związki. Charakter królewny szwedzkiej jest prawdziwie tragicznym. Zazdrość mściwa i litość szlachetna naprzemian nią miotają. Gardzi ona trudnościami, oburza się na opór, łamie wszystko na sam pozór szczęścia rywalki... Lecz przed jej nieszczęściem chwieje się, rozrzewnia i korzy... Pani Ledóchowska, przejęta duchem swej roli, umiała ją szczęśliwie wydać. Nie przestaniem jej prosić, aby głośniej i wyraźniej raczyła mówić. Wiersz tak znaczący: «Mając w Ryksie kochankę, mieć będę i żonę!...» znowu wcale nie był słyszanym, równie jak cała prawie scena V aktu, w której, bardziej będąc oddaloną od widzów, głośniej wymawiać powinna. Tęż samą prośbę obracamy do panny Pięknowskiej: tkliwie i szlachetnie rolę swą wydała, lecz nie dosyć dumnie i zapalczywo, coby ze słodyczą Ludgardy większą wystawiło sporność. W tej sztuce Ryksa jedna mniej dobrze grała, jak przeszłej zimy. Oprócz słów: «i ja Przemysława,» które szczęśliwie, z zatrzymaniem się, obłąkaniem doskonałem powiedziała, resztę roli śpiesznie i jakby dla odrecytowania kończyła. Czego mianowicie żałujemy w tem miejscu tak pięknem, gdzie Ryksa po raz pierwszy szczęśliwą i spokojniejszą się czuje, z powodu, iż sądzi być Ludgardę występną.

Pozostaje nam mówić o Nałęczu i Samborze. Chciał w nich poeta wystawić dwie sprzeczności, w pierwszej wzór prawego obywatela, co, nieugięty w obowiązku, wylany dla cnoty i prawdy, nie ma innego celu, innej chęci ani myśli, tylko szczęście

i sławę ojczyzny. Powaga, stałość, surowa sprawiedliwość, wyższość nad osobiste widoki są rysami charakteru Nałęcza, które pan Bogusławski zawsze stosownie, ale niekiedy słabo wydał. Przeciwnie, Sambor jest jeden z wyższych ludzi, u których talenta, jakożkolwiek znakomite, nie wystarczają dumie i ambicyi, co, siebie mając tylko na względzie, a cnotę i obowiązki za nic lub jedynie za maskę swych zamysłów, wszystkiego doświadczają, wszystko porzucają i w własnych się nakoniec żądzach i przewrotności wikłają. Niemasz dość szalonego zamiaru, któryby im przez myśl nie przeszedł, któryby ich duma odrzucić lub za niepodobny uznać chciała. Niemasz rozkoszy dosyć nietykalnej, do którejby chełpliwą żądzą nie pociągnęli, korony im się marzą, łakną każdego rodzaju szczęścia i powodzenia. Takim chciał autor wystawić Sambora, takim być musi dla doskonałości sztuki. Lecz zdaje się, że mu za mało dał znaczenia, że jego passyę wyżej należało rozigrać i więcej powodów zebrać, aby przynaglić go z większem podobieństwem do spełnienia szkaradnego i ohydnego występku.

Nie tylko w wystawieniu szczególnych ról, ale wogóle Ludgarda z większą dokładnością grana była tym razem. Wychodzenie aktorów na scenę w sam czas się działo; i niema gra nie była zapomnianą. Słowem, te ważne części wystawienia, które jego całość *(l'ensemble)* stanowią, szczęśliwiej, niż zazwyczaj bywa na naszym teatrze, teraz dopiętemi zostały. Między najlepiej grającymi p. Kudlicza policzyć wypada, którzy rzadkim wyrazem, mocą tonu, wymawiania i jestu ważność roli swej wysoko posunął. Aktorowie nasi widoczny postęp w grze tragicznej uczynili. Niech swe jesta coraz bardziej wyrabiać starają się. Niech się ich uczą, przeglądając pilnie rysunki starodawnych posągów i obrazy wielkich mistrzów. Tam znajdą nadobność i wdzięk postawy i trafiony wyraz prawdziwy każdej namiętności. Co się tyczy deklamacyi, oprócz cichego mówienia, już tyle razy wyrzucanego, nie dosyć aktorowie nasi na słowach zasadnych sensu zatrzymują się i ton podnoszą, aby tym sposobem wzbudzić uwagę widza i czucie jego poruszyć. Często zdają się utracać głos przy końcu wiersza, co ich piękność wniwecz obraca. Jest na naszym teatrze wada ogólna deklamacyi, której poprawa łatwą i ważną być

może. Aktorowie płci obojej mają powszechny zwyczaj zwalniać ton przy końcu okresu, kiedy, owszem, ostatnie jego słowa, ostatnie wiersze pełniejszym zawsze głosem, czulej i dobitniej powiedziane być muszą, aby nie zatracić, lecz dokonać skutku na słuchaczach.

Co do stylu i szczególnych wierszy żądaćby można, aby niektóre kadencye i obroty, zbyt często powtarzane, autor usunąć raczył. Lecz nic nam do żądania nie pozostaje co do toku wierszy, szlachetnych rozrzewnień, dobitności wyrazów i najdelikatniejszych odcieniów tkliwych namiętności.

Kończąc wreszcie, zataić nie mogę, iż, jeśli poprawę V-go aktu uważam za nieodbicie potrzebną, są inne jeszcze umiarkowania i odmiany, które śmiem uwadze autora polecić.

Do życzenia jest, kiedy królowa już zgadza się na rozwód i chce wrócić do ojca, aby Przemysław nowe i mocniejsze znalazł powody do nakazania jej śmierci, Sambor do popełnienia swej zbrodni, a Ludgarda do przedsięwzięcia potajemnej ucieczki. Królowa bowiem, mając po sobie ojca, senat, wojsko i cały naród, nie dosyć wznieca niespokojności w widzach, którzy już w 4-tym akcie Przemysława za zgubionego sądzą, kiedy od wszystkich, prócz od zdrajcy Sambora, jest opuszczony i sam jeden tylko o swojem nie wie niebezpieczeństwie.

Przez takowe poprawy i odmiany, które autorowi jego znakomity talent nastręczy, uczyniłby z swej sztuki jedną z najpiękniejszych. Pomnażając przyjemność publiczności, pomnożyłby winną jej wdzięczność. Im bardziej cenimy jego płody, tem mocniejsze zanosimy prośby, ażeby ostatnich dłóta nie odmówił uderzeń, które doskonałość dzieła dokończyć zdołają.

X.

B) „Barbara Radziwiłłówna“ tragedya.

(Dodatek do Nru 18 «Gazety Warszawskiej» z dnia 4 marca 1817 r.).

200) Zawsze wspomnienia Polaka mile zwracać się będą w owe Zygmuntowskie czasy, w których ojczyznę jego sława u obcych i lepsze od niej szczęście domowe uświetniały. Z tego więc powodu Feliński zręcznie wybrał i wystawił nam Barbarę Radziwiłłównę. Jednakże dzieje nasze między europej-

skiemi są najmniej tragiczne. Często zaburzone, lecz zawsze łagodne; niema w nich ani tych okropności w wojnach, ani osobistych napaści, ani krwawych odwetów, które gdzieindziej to rządzących, to rządzonych kaziły. Naród polski jest, że tak rzekę, szczególniej romansowym. Mało ważący losy obecne, choć były najprzeciwniejsze, odbiegał łatwo od nich i w utajoną przyszłość swe ułudzenia przenosił; w niej czerpał pociechę, otuchę, w niej żył istotnie. Przy takowej pośród pięknych urojeń istności, a poświęceniu rzeczywistych korzyści, nabył i zachował koniecznie pewną wspaniałość w żądzach i szlachetność w uczuciach, które mu nie pozwalały poniżać się do pospolitych lub głęboko wysnowanych zbrodni. Zdarzenia zatem z historyi naszej, przeniesione na scenę tragiczną, nie mogą wzniecać ani nagłego duszy wstrząśnienia, ani przerażać gwałtownie umysłu. Zająć je tylko zdołają boleśnie i czule: skutkiem ich nie okropność, ale litość i łzy będą. Takie też są cele autora Barbary: obaczmy, jak ich dopiął.

Zygmunt August, za życia ojca jeszcze tajemnie zaślubiony z Barbarą, panuje. Mimo jej woli, ściąga ją do Krakowa, gdzie sejm jest zgromadzony, na którym król chce małżeństwo swoje uznać i ogłosić. Większość obradujących i opinia narodowa, poduszczana od Bony, matki króla, przeciwni są tym związkom. W pierwszej zaraz scenie cnotliwy Boratyński, marszałek Izby Rycerskiej, przedkłada Izabelli, niegdyś królowej węgierskiej, siostrze Augusta, a przyjaciółce Barbary, jak dalece naród jest oburzony na myśl, aby mu poddanka królewska panowała, i jak konieczną jest potrzebą, ażeby król odstąpił od tych związków, któreby najsroższych rozterek stały się przyczyną. Wnet, to jest w drugiej scenie, Barbara przybywa i wynurza przed Izabellą najgorętszej miłości i najszlachetniejszego umysłu uczucia, a to tego rzadkiego rodzaju wierszami, które, pochodząc z serca, do niego prosto trafiają i wdziękiem niewymownym czarującej melodyi ciągle zachwycają słuchacza. Nadchodzi Bona: jej dumna zapalczywość grozi Barbarze, odrzuca prośbę Izabelli, podżega Kmitę, naczelnika przeciwnej królowi strony, aby Barbarę porwał i do cesarza niemieckiego uwiózł; lecz gdy Kmita, rozwijając niechęć i hardą wyniosłość swoję, oświadcza, że ani on, ani nikt z jego podwładnych podłym

uczynkiem się skalać nie zdoła, Bona prócz jego pomocy obiecuje sobie poruszyć innych sprężyn dla dopięcia swych zamiarów i nasycenia żądzy panowania.

W akcie 2-gim po odbytej wielkiej Radzie i po rozesłaniu stosownych rozkazów do książąt ościennych lub lenników państwa, król zostaje z hetmanem Tarnowskim, świeżo przybyłym, i wyraża mu, iż rządzić według rad jego Polską pragnie, lecz że wiary Barbarze dochowa. Ta w czułej scenie błaga męża, aby dla niej losów swoich i krajowych nie narażał. Przybywa Bona, odejść każe Barbarze i długo, lecz wymownie, choć bezskutecznie, usiłuje nakłonić syna do zerwania ślubów ukrytych, a przyjęcia ręki Austryaczki, inaczej zagraża mu wojną domową i ościenną, tudzież zgubą korony i narodu; a po odejściu nieugiętego króla mówi sama:

Nie ufam ni synowi, ni stanom, ni Kmicie,
Monty pewniejsze środki przygotuje skrycie.

Izabela otwiera akt 3-ci, donosząc Barbarze, że brat wśród zgromadzonych stanów słucha w milczeniu niechętnych głosy. Wnet Bona, przybierając postać łagodniejszą, potwierdza, iż król wystawiony jest na zuchwałe wyrzuty, otwarte groźby, blizkie pałaszów dobycie od wołających, aby zerwał niegodne związki z Barbarą; że opór jego zapowiadałby mu kres rządów lub życia; namawia zatem Barbarę, aby, uprzątając zawady i poświęcając się szlachetnie dla dobra powszechnego, sama natychmiast ujechała do Włoch, gdzie Bona jej księstwo ofiaruje. Wtem zręcznie naprowadzony poseł donosi, że król, łzami ludu zwyciężony, wyrzeka się nieprawej małżonki. Barbara, niespodzianem wiarołomstwem przejęta, rozpacza; już nie odjeżdżać, ale umierać pragnie. Izabella ją cieszy, idzie badać prawdy i wkrótce, gdy już Barbara sztylet na zabicie własne dobyła, powraca z Augustem, wołając: «Stój, siostro, mąż ci wierny; poseł w zmowie z Boną». Tuby cały piękny koniec 3-go aktu przepisać trzeba, aby dać czytelnikom wyobrażenie i położenia ogólnego, i uczuciów słuchacza; lecz gdy to niepodobna, suchą więc i martwą treść, ile można, skracamy.

Król po słodkich wymówkach żonie, iż go tak łatwo posądzić mogła, i po czułem od niej przeproszeniu, oświadcza przedsięwzięcie złożenia polskiej korony i cofnienia się do dzie-

dzicznej Litwy, jeżeli stany w zaciętości swej względem jego małżeństwa trwać będą; lecz zwrócony szlachetnemi podnietami i prośbą Barbary, obiecuje wytrwałość i przyjmuje delegacyę od Izby Poselskiej. Tu Boratyński długo, lecz tak wymownie, iż każdy jeszczeby dłużej chciał go słuchać, przekłada powody narodu dla żądania zniszczenia ślubów króla z Barbarą; podobno w języku naszym żadnej mowy wierszem, któraby się z tą porównać mogła, nie mamy. Król odpowiada krócej, zwięźlej, żywiej, tak, jak młodszemu i kochającemu przystoi.

Rozmowa Tarnowskiego z Kmitą roztwiera akt czwarty. Sędziwa i niezłomna cnota walczy z dumną i chciwą panowania, lecz szlachetną wyniosłością; a gdy Kmicie, mówiącemu: «Zawszem kraj dzielnie bronił i wiernie mu radził»; Tarnowski odpowiada: «I Gliński wprzód mu służył, niżeli go zdradził», cały teatr nie mógł się dłużej wstrzymać od przerwania sztuki przez jednogłośne oklaski, które wysoki i trafny talent autora wymusza. Król nadchodzi, oddaje Kmicie wyznanie, uczynione przez posła Strzembosza przed zgonem, iż Kmita gotuje zabójczy sztylet na Barbarę. Ten podłe posądzenie siebie ze wzgardą odbiera; lecz wyraźnie i trochę cierpko Augustowi zapowiada, że musi zrzec się Barbary albo korony, że, gdy o naród nie stoi, królem być przestał i że, jeśli w pierwszym zapędzie danej stanom odpowiedzi nie cofnie, Kmicie jest zdano bronić praw i wolności ojczyzny; to rzekłszy, odchodzi. Król rozgniewany każe go natychmiast wtrącić do więzienia, lecz wstrzymany uwagami Tarnowskiego, iż Polak, obywatel, senator, wódz, laurami okryty, trudnoby się mogł podłą zbrodnią splamić; iż oskarżenie zmarłego nie jest przekonywające, August cofa dane rozkazy i mówi:

«Dosyć. Szanuję prawo: niechaj będzie wolnym».

Dowódca straży donosi, iż sztandar rokoszanów podniesiony, że się ich hufce gromadzą, że Krzemionka, najeżona działami, miastu grozi, że Bona z dworem i skarbami do Włoch się wybiera. Król czyni rozporządzenia wojskowe, każe dowódcy litewskiemu wystrzałem z działa dać znak, aby się z wojskiem do miasta zbliżał, na którego czele za godzinę sam król stanie. Zdaje wykonanie tego Tarnowskiemu, tudzież mu śpieszyć się i powracać zaleca.

Tu scena między Boną, usiłującą jeszcze króla nakłonić, aby jej pośrednictwa do rokoszanów użył i powolność obiecał, z królem, trwałym w przedsięwzięciu, lecz wzywającym matki, aby odjazd swój wstrzymała; ta odchodzi, mówiąc, iż na poniżenie syna nie będzie patrzała. Tarnowski oznajmia, że wszystko do boju gotowe; lecz tkliwie i żywo wystawia królowi skutki wojny domowej i wzniesienia oręża między panującym a narodem. Przybywa mu na pomoc Barbara i błaga męża, aby według rady Tarnowskiego poruczył Stanom rozstrzygnienie większością głosów całego sporu i jej losu. Boratyński wchodzi i oświadcza, iż sejm, jak odważnie stawał przeciw królowi przy prawach ludu, tak, wierny wszelkim obowiązkom swoim, wzywa króla do steru i czeka rozkazów jego do boju przeciw wiarołomnym rokoszanom. Król, ujęty tym wierności dowodem, ogłasza, iż małżeństwo swoje pod sąd sejmu poddaje.

Barbara sama otwiera akt 5-ty, mówiąc:

Wraca nakoniec pokój; buntu naczelnicy
Składają miecz przed królem w obliczu stolicy,
Polsko! już więc nie będzie szarpać twego łona
Broń świętokradzka, z mojej przyczyny wzniesiona.

Mężu! już nie narazisz na oręż domowy
Twych ziomków, twego tronu i twej drogiej głowy.
O Auguście! Ojczyzno! o wy bóstwa moje!
Nic już wam nie zagraża... Czegóż się więc boję?
Drżę jednak, mimowolny smutek mię uciska,
Okropne przerażają duszę widowiska,
W ciemną przyszłości otchłań zapuszczam się z trwogą,
Serce nadziei, oczy snu przyjąć nie mogą;
Czuję niezbędnych tęsknot jad rozlany we mnie
I łez pocieszających wzywam nadaremnie!...

Dodaje, że sejm, tłumami ludu otoczony, trzyma jej losów szale, że wszyscy w milczeniu czekają wypaść mającego wyroku; że ten wkrótce, jak piorun, przerwie tę ciszę; wtem August wchodzi, wyrzeka na zdradę i niewierność ludzi, wymawia nawet Barbarze, że go skłoniła do poruczenia wspólnych losów sejmowi; że już senat większością zdań śmiał mu wydrzeć żonę i że niema się czego lepszego od Izby Poselskiej spodziewać; lecz Izabella przybiega z posłem sejmowym, donosząc, że zagrzana przez Boratyńskiego Izba Rycerska, uznała śluby

króla, że senat zatem swój wyrok cofnął, i że stany złączone żonie Augusta koronę ofiarują. Potwierdzają to Boratyński i Tarnowski, a ten dodaje, iż Kmita czeka na rozkazy króla, aby mu hołd swojej wierności mógł złożyć. August, pragnąc widzieć ten dzień dla wszystkich radosnym, pozwala, aby Kmita stanął. Barbara, nie chcąc przeszkadzać jego tłómaczeniom, a prócz tego czując w sobie jakieś wzmagające się bóle i palenie wnętrzności, odchodzi z Izabellą. Kmita się z godnością uniża, mówiąc, że, jeśli zbłądził, w tem jego była największa wina, iż wierzył, że matka zawsze szczerze pragnie szczęścia syna. Izabella wpada z oznajmieniem, że Barbara nieustannie mdleje, a z drugiej strony dowódca straży donosi, że lekarz Monty, schwytany, gdy nocą chciał ujeżdżać, wyznał, iż z rozkazu Bony dał truciznę Barbarze, i że, sam potem jad połknąwszy, skonał.

Przynoszą konającą Barbarę, której ostatnie słowa:

Umieram... Polski matką i Augusta żoną...
Śmiercią okrutną, prawda, lecz nie zasłużoną.
Ginę zbrodnią... lecz ginę nie z Polaka ręki...

i tak się tragedya kończy.

Gdybym nie był przyjacielem autora, zdanie sprawy o sztuce równie łatwo, jak mile, uskuteczniłoby mi przyszło. Pochwaliłbym najpiękniejsze wiersze, jakimi się dotąd scena polska ozdobiła, akcyę ciągle w swej prostocie zajmującą, która bez obcych i naciąganych ozdób, bez wyszukanych teatralnych omamień, sama przez się ku mecie swojej zręcznie i szczęśliwie snowana, greckie wzory poniekąd nam przypomina; dodałbym bez wahania się, że tej tragedyi narodowej podobno żadnej dotąd równej, a zapewne żadnej od niej lepszej nie mamy; co zdało się być potwierdzonem tak przez oklaski powszechne, jak parteru zgodnem, a dotychczas u nas rzadkiem żądaniem, aby drugie jej wystawienie natychmiast nastąpiło. Ale kiedy tak świetnie rozwinięty talent autora stawia go na wyższym rzędzie pisarzy, i odtąd nadzieje nasze na nim zwłaszcza polegać mają, winna jest przychylna krytyka wskazać wady i cienie, jakie muszą koniecznie towarzyszyć płodom niedoskonałego rodu naszego: a mianowicie, w chwili powodzenia i wiatrów pomyśl-

nych, naznaczyć opoki i rafowe ławy, któreby na przyszłość luby nam okręt ominąć mógł nieuszkodzony.

Skracać czyny historyczne jest wolno tragedyi; przeistaczać je bez ważnych powodów nie powinna. Nikt za złe nie poczyta autorowi, iż przeciąg czasu między jednym sejmem, który nie pozwalał na małżeństwo Zygmunta Augusta, a następującym, który Barbarę uznał królową, ścieśnił; i że te dwie sprzeczne stanów wole w tem samem obradowaniu umieścił. Lecz szukam i nie znajduję powodów, dla jakich Bonę wyprawia do Włoch przed śmiercią Barbary, kiedy ten wyjazd znacznie później w samej rzeczy nastąpił; i kiedy z toku tragedyi Bonie, nie spuszczającej się na stany ani na rokoszanów, a trucizną potajemnie sprzątającej nieprzyjaciółkę, właśnie wtenczas wypadało zostać, gdy, za osiągnieniem pożądanego zamiaru, mogła spodziewać się, iż powróci bez przeszkody do wpływania na rządy państwa i tym sposobem chuć panowania nasyci; nikt bowiem napróżno zbrodni się nie dopuszcza, a tu więc zarazem i cel uchybiony, i środki nawspak użyte zdają się.

Ale autor nie miał dosyć na wrażeniach czucia i litości, które walka między królem, obstającym przy wierze, żonie danej, a stanami, o złamanie tej wiary nalegającymi, w sercach naszych wzmagała; chciał znaleźć jeszcze posiłek w przerażeniu duszy: szukać więc musiał ku temu królowej Włoszki i Włocha za jej narzędzie, aby użyć środków obcych naszym obyczajom. Stąd wieść, wówczas bardzo wątpliwa o otruciu Barbary przez Bonę, zamienia się w tragedyi na pewność historyczną; stąd w sztuce podwójna i nieco zamitrężona intryga, bo akcya mogła się bezpiecznie kończyć na zgodzie sejmu i podległości rokoszanów; stąd niedogodność, iż Barbara, już otruta (lubo wistocie na raka umarła), scenę przez cały prawie akt 5-ty zajmuje, a król jej cierpień, coraz widoczniej na twarzy wyrytych, musi nie dostrzegać, co w przykrem nieco położeniu i grających, i widzów zachowuje. Zdaje się, iż można było albo zupełnie otrucie wypuścić i na tryumfie Barbary z królem zakończyć; albo, tę wystawując na scenie umierającą, Bonę w nadziejach tryumfu zatrzymać i tylko na nią o tę śmierć cień podejrzenia rzucić.

W 3-cim akcie uwijanie się Barbary na scenie ze sztyle-

tem (jeżeli go wówczas damy nosiły) trwa nadto długo; dość, żeby go dobyła przed samym powrotem Izabelli, a dwa wiersze z wezwaniem do żelaza należy przenieść na koniec tej sceny.

Wspomniałem, że Kmita za cierpko do króla mówi. W żadnym bowiem kraju człowiek bądź wódz, choćby najznakomitszy, ale podległy, bez popierającego swoich orszaku, nie przychodziłby sam jeden bezkarnie do mieszkania rządzącego oświadczać mu, iż przestał panować, i wyzywać go do boju. A gdy z natury rzeczy i ludzi król każe za to Kmitę uwięzić, Tarnowski słabo i mało zręcznie go tem broni, że Strzembosza zeznanie jest wątpliwe, bo tu już nie o to chodzi.

Te są ogólne po pierwszem wystawieniu sztuki dostrzeżenia, które pod światło autora poddaję. Nie ujmują one bynajmniej sprawiedliwym i wielkim tej pięknej tragedyi zaletom; dowodzą tylko, iżby jeszcze wydoskonaloną być mogła. Nieporównana jej poezya przeniosła tok i dźwięk Rasyna do polskiego języka, i wytknąć tu nie śmiem kilka skaz lekkich, które bardzo rzadko w małej liczbie wierszy postrzedz można, a które autor łatwo poprawi.

Sztuka, stroje i dekoracye do niej są wystawione przez dyrektora teatru z chwalebną starannością; widać, ile ten uznał jej wartość i wziął sobie za chlubę przyłożyć się do uwieńczenia rówiennika. Aktorowie w ogólności dobrze grali; chętne ich usiłowania były skuteczne, i umieli role swoje, choć na pierwszej P. P. Szymanowski (Król) i Wolski (Tarnowski) wymawiali głośno, zwolna i wyraźnie, trzy istotnie warunki, bez których żaden aktor ani aktorka dokładnie rzeczy swojej wydać nie może; nie zbywało im w potrzebie na zapale i szlachetności. Toż samo powiem o Panu Kudliczu (Boratyńskim), który mowę do króla imieniem sejmu trafnie i z czuciem (żądaćby jednak trzeba, nieco głośniej) wypowiedział. Pan Werowski (Kmita), gdyby niekiedy ton odmieniał, byłby doskonalszym. Poseł sejmowy sprawę o sessyi trochę powolej zdawać powinien. Nie można żądać ani dostojniejszej postawy, ani dokładniejszego swej roli pojęcia nad to, któreśmy w Pani Ledóchowskiej (Barbarze) uważali. Szkoda, że słabość piersi nie odpowiada jej usiłowaniom i że znacznej części tego, co mówi, dosłyszeć nader jest trudno. W tkliwych zwłaszcza chwilach ma niebezpiecznie

zwyczaj zniżać jeszcze tonu; a tym sposobem najpiękniejsze wiersze nikną dla słuchającego. Prosić ją trzeba, aby przynajmniej na scenie więcej ku orkiestrze zbliżać się chciała, przez co i ona, i słuchacze wzajemnie zyskają.

Panna Pięknowska korzysta widocznie z nauk znakomitego mistrza, a wyjąwszy pochlebną wadę młodości, duchowi swej roli jest wierna i Bonę dokładnie wystawia: strzedz się jednak powinna jednotonności; bo wymawianie wierszów, choćby najlepsze, sprzykrzy się, gdy zawsze jest toż samo. W scenie jej z aktu 4-go z synem uważałem niezręczny nałóg, który na teatrze naszym wkorzeniać się zdaje. Bona twarzą, spojrzeniem i mową, jest zupełnie i ciągle do syna obróconą; to się nie godzi i tak się na lepszych widowiskach europejskich nie dzieje. Zawsze aktor, mówiący do drugiego, nieco tylko ukośnie ku niemu nakłoniony być powinien i niekiedy rzutem oka przypomnieć, że ma rzecz do niego: usta zaś stale, a oczy najczęściej do parteru obracać należy; bo jest daleko istotniejszą potrzebą, aby widzowie wszystko, co aktor wyraża, doskonale zrozumieli, aniżeli żeby się przekonywali (o czem już wiedzą), z kim jest rozmowa. Dla tychże powodów i Boratyński, i Kmita, mówiąc do króla, nadto prostokątnie do niego stawają.

Izabella czyni, co może; w piątym jednak akcie, gdy donosi, iż sejm potwierdził małżeństwo króla, biedz z radością, a nie snuć się, także z Barbarą cierpiącą oddalić się przed wejściem Kmity, a nie po wejściu jego powinna. X.

C) Teatr Narodowy. Trzecie wystawienie tragedyi „Barbara".

(Dodatek do Nru-23 «Gazety Warszawskiej», z Warszawy dnia 22 marca 1817 roku w sobotę, str. 576).

201) Już publiczność wydała swój wyrok o Barbarze Felińskiego. Trzykrotne jej powtórzenie, zawsze na imienne i głośne żądanie, potwierdziło zdanie, jakieśmy o tej sztuce oświadczyli, i zapewnia jej miejsce zaszczytne między pierwszymi tego rodzaju na scenie naszej tworami. Usprawiedliwia ten wyrok dykcya ciągle piękna i harmoniczna, dyalog żywy,

wymowny, wydanie uczuć tkliwe i szlachetne, słowem, obraz osób i charakteru zawsze prawdziwy, zawsze zajmujący. Że jednak niemasz i nie będzie dzieła ludzkiego, wszystkie w sobie łączącego doskonałości, musi mieć i ma zapewne Barbara swoje błędy i niedostatki. Wady stylu tak są nieznaczne, iż przez najsurowszą chyba krytykę odsłonione być mogą. Co do intrygi, łatwiejsze jest spostrzeżenie omyłek. Zupełnie przedmiotu tego zgłębienie wtedy dopiero z potrzebną i godną dzieła ścisłością nastąpi, kiedy w rozmnożonych drukiem egzemplarzach swobodniejszemu tenże ulegnie rozbiorowi. Dziś to tylko powiemy, na co się wszyscy prawie zgadzają, że rozwiązanie sztuki jest słabe i nie tak ściśle, jakby należało, z całą osnową spojone; że królowa Bona nie dość silnie działa, nie dość jest sprężyną intrygi i niepotrzebnie znika ze sceny wtenczas, kiedyby jej przytomność, stawiąc ofiarę obok prześladowcy, największe na widzach sprawiła wrażenie; że list Strzembosza skutku żadnego nie sprawia i zda się być mniej potrzebnym; że scena puginału niezgodna jest z charakterem Barbary i zbyt długo przeciągniona; że nakoniec nienaturalnem jest, aby król, straszną o niebezpieczeństwie Barbary odbierając wiadomość, wprzód myślał o śledzeniu przestępstwa, nie o żałowaniu tak mu drogiej ulubionej osoby.

Co do wystawienia w ogólności, powtórzymy, co już nieznajomy autor artykułu w Nrze-19 «Korespondenta Warszawskiego» uważał: że miejsce sceny nie jest przez dekoracyę dobrze oznaczone, że dla dodania królowi powagi straż tem konieczniej jest potrzebną, że nawet Zygmunt o jej oddaleniu wyraźnie mówi: że te same osoby i w tych samych ubiorach raz wystawiają panów radnych, drugi raz posłów; że ten sam aktor i w tym samym stroju raz fałszywie z namowy Bony donosi, że król wyrzekł się żony, drugi raz przynosi wiadomość o wyroku sejmowym, potwierdzającym wybór Augusta; że, nakoniec, brak kobiet obok słabej i umierającej królowej jest niestosownością, której łatwo zapobiedz można było.

Usiłowania aktorek i aktorów były widoczne. Barbara grana była z tą szlachetnością i powagą i z tem tkliwem czułego serca uniesieniem, jakiego charakter osoby i piękne wiersze autora wymagały. Bona wydana była z wielkiem zbliżeniem do prawdy.

Dla dogodzenia jednak istotnej potrzebie powiedzieć winniśmy, że dwa ostatnie wiersze na końcu drugiego aktu wymówione być powinny wyraźnie i głośno, bo na nich osnowa intrygi polega, bo temu, co ich nie słyszy, dalszy ciąg sztuki niezrozumiałym być musi. August był Augustem. Talent aktora godny był charakteru tego króla. Wystawiający Boratyńskiego, Tarnowskiego i Kmitę, wszyscy trzej artyści, już w pierwszym rozbiorze wspomnieni, dzielnie grą swoją do zajęcia uwagi słuchaczów przyłożyli się. Słowem, dawno już w naszym teatrze tak pięknej, tak interesującej i tak dobrze granej tragedyi nie widzieliśmy.

X.

Opracował H. GALLE.

XXVII.

POTOCKI STANISŁAW KOSTKA.

(1757—1821)

Syn Eustachego Potockiego, gen. artyl. litewskiej, starosty tłumackiego i właściciela Podhajec, oraz Maryanny Kąckiej, ostatniej z rodu, wnuczki sławnego Marcina i podkanclerza litewskiego Szczuki, urodził się w Lublinie w r. 1757. Z dzieciństwa wyniósł wspomnienia zbytków i nadmiernej hojności ojca, który w Radzyniu prowadził dwór książęcy, a w Warszawie zakładał i urządzał całe jurydyki, jak Maryenstad, jak Potocczyzna (z Bielina, Grzybowa, Leszna i Wielopola) i erygował Potok pod Marymontem. Wielka fortuna szybko topniała: dzieci zaliczano już do rzędu «biedniejszych Potockich» — ale takich Rzeczpospolita nie miała wielu. Szczera życzliwość ojca dla Pijarów warszawskich opłaciła się dzieciom, przynajmniej dwóm z pięciu synów możnego pana; gdy w r. 1768 śmierć pasmo dni jego przecięła, po starszym, Ignacym, Stanisław, oddany do pijarskiego Collegium Nobilium, korzystał jeszcze z ostatnich promieni światła wielkiego reformatora zakonu. Zajmował się on osobiście wykształceniem obu braci i hodowlą moralną; pomiędzy Ignacym a Konarskim zawiązał się nawet stosunek ściślejszy, serdeczny. Ostatnia oda łacińska autora wiekopomnego dla Polaków dzieła «O skutecznym Rad sposobie», bolejąca nad nieszczęściami narodu, który, słuchając wrogich podszeptów z zewnątrz, sposobem, przez niego podawanym wzgardziła, — oda na zaślubiny z Lubomirską, — zwrócona była do Ignacego Potockiego (1771). Obaj młodzieńcy wiele mieli do zawdzięczenia wychowaniu pijarskiemu, wyjątkowo starannemu: zwłaszcza ziarna czystego obywatelstwa, którem przez życie całe jaśnieli, zasiało im w dusze szlachetne przewodnictwo Konarskiego. Już po jego śmierci i po pierwszym rozbiorze Stanisław w 18tym zaledwie roku, prosto z Collegium wyjechał w podróż zagranicę; zwiedził Niemcy, lodowce Szwajcaryi i Sabaudyę i, zatrzymawszy się dłużej we Włoszech, chciwie zbierał

ślady wielkiej kultury, która go doskonałością form, harmonią wyrazu czarowała; bawił w Rzymie współcześnie z Albertrandim i Piramowiczem, tam dopiero poznanym. Z nim zwiedził «piękniejszą Europy połowę», — «Tybru i Partenopy klassyczne brzegi i całą auzońską ukochaną krainę»; z nim też zawitał do Paryża. Podróż ta przez poznanie cywilizacyi o wiele wyższej nad tę, jaką mógł znaleźć w ojczyźnie, rozszerzyła widnokrąg jego umysłu, wdrożyła go w wolnomyślność, tak potrzebną ówczesnej Polsce, wraziła mu w duszę niezgładzone zamiłowanie wiedzy i pracy umysłowej, do czego przykład Piramowicza mógł go tylko zachęcać.

Po powrocie do kraju Potocki wkrótce się ożenił, i to z siostrą swej bratowej, Aleksandrą Lubomirską. Dla obu braci małżeństwo z bogatemi dziedziczkami było faktem, torującym zawód obywatelski. Rzeczpospolita miała konstytucyę demokratyczną, ale rząd możnowładczy: chcąc w niej coś znaczyć, potrzeba było mieć za sobą nie tylko antenatów — rzadko kiedy zastępowanych swobodną łaską królewską, — ale i majątek; tego już teraz obu przyszłym mężom narodowym nie brakło. Stanisław otrzymał rychło dygnitarstwo; w r. 1781 był już podstolim koronnym. W rok później województwo lubelskie wybrało go na posła. Odrazu wybił się na czoło. W gorszącej sprawie Kajetana Sołtyka wystąpił, jako jego obrońca; wzywając sprawiedliwości na krzywdę, wyrządzoną zasłużonemu patryocie, dnia 24 października 1782 r. wołał: — «Brońmy prawa przeciwko Radzie Nieustającej; brońmy ludzkości, prawa, wdzięczności i cnoty przeciwko kapitule, bo czy o znieważonego senatora, czy o biskupa uwięzionego, czy o dobroczynnego starca, czarno zdradzonego, czy o szlachcica uciśnionego równi równego krzywd upomnieć się zechcecie, zawsze miłej Bogu i ludziom dopełnicie roboty». Własną swoją robotę zamknął w czterech wnioskach, domagających się uchylenia tych rezolucyi Rady Nieustającej, które godziły w uwięzionego przez kapitułę krakowską biskupa. Roztrząsanie ich i głosowanie nad nimi zajęły cztery posiedzenia, w dniach 29, 31 październi 2 listopada; żaden się nie utrzymał ani w Izbie, ani w Senacie: zwyciężył król wraz z Radą. Z tego samego sejmu wszedł Potocki do Rady Nieustającej. W r. 1784 zrzekł się podstolstwa, a ponownie do Rady wybrany, zasiadał przez dwa lata w departamencie skarbowym. Piastując wciąż mandat z wojew. lubelskiego, z mocy wyboru sejmowego w r. 1786 dostał się do sądów zadwornych koronnych, już jako kawaler Orła Białego.

Przez Lubomirskich spowinowacony z Czartoryskimi, ex-podstoli zaplątał się w r. 1784 w sieć intryg Dugrumowej; wraz z bratem uwierzył w rzeczywistość sprzysiężenia się króla na życie Generała Ziem Podolskich i wraz z bratem też występował w sądzie marszałkowskim, jako świadek zeznań i wynurzeń awanturnicy, branych za dobrą monetę. Musiał szybko otrzeźwieć, cicho bowiem, bez żadnej już zgoła inicyatywy własnej, zachował się na sejmie r. 1786, który zacierał ślady łatwowierności całego domu Czartoryskich i nazwisko

ich z nazwiskami hetmana Branickiego i Tyzenhauza z oryginału wyroku z dnia 15 marca 1785 r. wydrapać nakazał.

Potocki był jednym z pierwszych i najgorliwszych wolnomularzy polskich; zdaje się, że już w r. 1780 należał do Wielkiego Wschodu warszawskiego. Najpierwsze jego wystąpienie krasomówcze poza-sejmowe spełniło się w loży masońskiej w końcu r. 1784. Dnia 26 grudnia t. r. wygłosił na posiedzeniu Braci pochwałę zmarłego Wielkiego Mistrza, Andrzeja Mokronoskiego, marszałka sejmu 1776 r. W trzydzieści lat później mowę tę sam nazwał «akademicką»; rzeczywiście była ona sztywną, ale stanowi pierwszy ujawniony płód literackiej już zdolności. Prób, przywiezionych z zagranicy: opisu podróży po Niemczech, Włoszech, jakoteż drogi na Mont Blanc i szczyty, otaczające Chamounix, a może i powstałych już wówczas wierszy, nie odważył się nigdy sam autor wyprowadzić z rękopisów w świat; ale w pracy literackiej, przygotowawczej, kształcącej nie ustawał. Właściwa wytwórczość przypada dopiero na wiek XIX. Mowy na posiedzeniach masońskich pozwalają uważać Potockiego za szczerego wyznawcę deizmu, wierzącego w dogmat braterstwa między ludźmi, a przytem za czciciela wiedzy. Gdy wielu czyniło z wolnomularstwa tylko sport, gdy król, wyręczający się zastępcami, w lożach znajdował jedynie rozrywkę, późniejszy, do samego zgonu Wielki Mistrz Wielkiego Wschodu Polskiego poważnie oddawał się kultowi bóstwa, w żadnem nie uwięzionego kościele. Dnia 15 października 1786 r. nakazywał braciom wobec zjadliwych oskarżeń niewzruszoną stałość i mądrą a spokojną o jutro wyrozumiałość: niechaj zazdrość wywiera swe jady; związek kwitnie i kwitnąć będzie pod opieką Wielkiego Budownika Świata. Wolnomularstwo «uczy pełnić cnotę, kochać wolność, żyć w równości, szacować i wielbić ojcowską rękę». W tej samej mowie nazwał Potocki filozofię «królewską sztuką» a o Arystotelesie powiedział: «Mąż ten panuje nad wiekami»; postęp światła w nowych wiekach po mroku średniowiecznym nasunął mu na usta niejedno gorętsze słowo. Tym przekonaniom i skłonnościom, temu sposobowi wyczuwania wiekuistości ze znikomości, jakie w Wolnomularstwie dawała myśl wolna, żadnymi pozytywnymi dogmatami nie krępowana, nie przeniewierzył się Potocki nigdy, aż do śmierci. Nie przeszkadzało mu to jednak na polu czynnej polityki liczyć się z koniecznością zewnętrzną, z naturą społeczną, wytworzoną przez wieki, jak i szanować zwyczajów, które stały się już narodowymi i przy wprowadzaniu reform, przy organizowaniu oświaty publicznej rządzić się roztropnem umiarkowaniem w stosunkach z duchowieństwem.

Odrodzenie się narodu i państwa na Sejmie Czteroletnim dało Potockiemu sposobność do zużytkowania i mądrości obywatelskiej, i tej miłości ojczyzny, która go odrazu wprowadziła do grona reformatorów, aby go wkrótce uczynić jednym z najwybitniejszych członków stronnictwa patryotycznego. Już dnia 16 października 1788 r., na piątem posiedzeniu Sejmu, zawołał: «Dźwigać się, póki czas»; siedmiomilio-

nowy naród może się zdobyć na 100.000 wojska; trzeba stosować podatki do wojska, a nie wojsko do podatków. «Ostatnie to jest Opatrzności wejrzenie — mówił — po którem albo szczęście i sława, albo wieczna czeka nas ohyda». W pięć dni później, a nazajutrz po jednomyślnem uchwaleniu wniosku Walewskiego, wniósł «przywrócenie Komisyi Wojskowej Obojga Narodów» z reformy Czartoryskich. Projekt swój jędrnem wsparł słowem: «Narody, jak ludzie, są tem, czem być chcą, czem się być czują; jedna losem ich rządzi umysłu wspaniałość i duszy hartowność. Poczuła się Polska i od tego momentu narodem być zaczęła». Dnia 1 grudnia złożył projekt etatu wojskowego. Dnia 8 stycznia 1789 roku dla przyśpieszenia skutku zażądał obłożenia szlachty podwójnem podymnem, wzbraniając wyraźnie zwalania opłaty na poddanych: ściągnąć ten podatek zaraz, bo na wiosnę musi być już wojsko. Znakomitą mowę powiedział 16 stycznia. Przypomniał grozę bezbronności, przypomniał Filipa i Grecyę, ukazał energię Fryderyka w pracy dla państwa. A Polska? «Kto chce wiedzieć, co się z Polską stanie, niech się nie pyta ani króla dobrego, ani w Polszcze, lecz w Petersburgu dowiedzieć się może». On pierwszy tego dnia wydał hasło: znieść Radę Nieustającą. W trzy dni później zbijał zarzuty obrońców jej przypomnieniem, że ani Prusy, ani Austrya w traktatach z r. 1775, uzupełniających rozbiorowe z r. 1773, nie gwarantowały instytucyi, która stała się już obmierzłą. Trwoga o ojczyznę wyrwała wtedy Potockiemu z serca słowa, najmocniejsze może, jakie sejm ten usłyszał: «Żyją jeszcze Polacy, którzy drogą krwią przodków swoich nabytej wolności bronić potrafią, i, jeżeli Rada Nieustająca piórem zmazaną nie będzie, tedy ją żelazem zgładzić przymuszeni będą». I Sejm zmazał Radę piórem: tego dnia runęła. Dnia 19 i 20 lutego rozsądnie przemawiał w sprawie buntów ukraińnych, zaprojektował odezwę do województw ruskich, a jego propozycyę Sejm przyjął. Gdy nie utrzymał się projekt, zdwajający podymne, Potocki w marcu 1789 roku poparł żarliwie wniosek o zaprowadzenie podatku dochodowego, t. zw. «Ofiary dziesiątego grosza». W listopadzie ganił ostro prace komisyi, która go nakładała; a dla zapobieżenia oszustwu w kwietniu 1790 roku żądał wymieniania prócz liczby dymów także i liczby dni pańszczyźnianych i wysokości pobieranych czynszów; sejm tę zbawienną poprawkę odrzucił. W sierpniu zażądał zniesienia hetmanów, skoro wymrą wówczas urzędujący. Dnia 20 września 1790 r. mocnem swem słowem dzielnie się przyczynił poseł lubelski do uchwały, odsyłającej sprawę elekcyi *vivente rege* przed naród. Mowa z tego dnia jest nie tylko gorącą, rozumną, ale i dyplomatycznie zręczną; nawet Kalinka nie waha się ją pochwalić. Natarł w niej Potocki na możnowładztwo, zawistne, nie pozwalające, aby naród o sobie radził, pięknie roztoczył pojęcia narodu i prawodawstwa i ujął się za uniwersałem, który opozycya pogrzebać chciała. Przy tajemnem układaniu i wprowadzaniu konstytucyi organicznej pod obrady czynnie dopomagał bratu. Wspomnieć też trzeba, że na wnio-

sek Potockiego Sejm uchwalił posąg Czarnieckiemu. Z działalnością w Sejmie ściśle wiąże się rozprawa o pożytkach z uchwalenia zasad do sprzedaży starostw (Warsz. 1792).

Wszystkie prawie mowy swoje na Wielkim Sejmie Potocki improwizował; przeważało w nich uczucie szczere, gorące, wzniosłe. Kilka z nich ogłosił, parę nawet w przekładzie francuskim, a w dwadzieścia kilka lat później zamyślał wszystkie zebrać i, jako tom III, do dwutomowego zbioru «Pochwał i mów» dołączyć, ale zamiaru nie spełnił. Od tonu całości odbiegają dwa wystąpienia: w obronie Szczęsnego Potockiego i przeciwko dopuszczeniu mieszczan do prawodawstwa. Jeżeli pierwsza, z marca 1789-go, dowodzi przewagi, choćby tylko chwilowej, egoizmu rodowego nad patryotyzmem, w drugiej, z grudnia 1790-go r., dostrzegamy jakby niedowład ducha postępu, ograniczenie umysłu przez pokutującą jeszcze w nim kastowość.

Podczas ustanawiania poselstw zagranicznych (9 grudnia 1788) król wybrał Potockiego na jednego z pięciu posłów, przeznaczając go do Wersalu. Sam wybrany nie miał wielkiej ochoty, a podobno i dwór francuski niechętnie nominacyę przyjął, żywiąc jakoby jeszcze urazę za ostre postąpienie Łubieńskiego z Paulmym w bezkrólewiu. Skończyło się na tem, że Potocki pozostał w Warszawie i w sejmie, a na jego miejsce po długiej zwłoce pojechał do Paryża Oraczewski. Wysłanie Jana Małachowskiego do Drezna w r. 1789 stało się na wniosek Potockiego.

Mówca sejmowy przedzierzgnął się nagle w generała. W roku 1791 widzimy go generałem-majorem, a na początku następnego, po usunięciu się Szczęsnego, już nawet generałem, dowodzącym artyleryą koronną. Człowiek bez specyalnego wykształcenia, zajmujący najwyższe stanowisko w broni specyalnej, stawał się żywem zaprzeczeniem tej zbrojności, o którą sam od początku sejmu tak gorąco zaklinał naród. Co go skłoniło do dyletantyzmu, w jakich warunkach dokonała się nominacya, tego dotychczas nie wyjaśniono. Złe wzrosło, gdy Potocki objął dowództwo brygady, posłanej przed wojną 1792 r. na Litwę. Dobre rady, które dał królowi, dnia 24 maja najwyższem dowództwem wojsk obdarzonemu: aby utworzyć radę wojenną i urządzić działolejnie w Kamieńcu i Krakowie, nie potrzebowały tytułów wojskowości, a druga z nich była już straszliwie spóźnioną. Król utworzył radę, powołał do niej Potockiego, ale Potocki już z powołania nie skorzystał: pojechał do swej brygady. W bitwie pod Mirem (dnia 10—11 czerwca) zarobił sobie na niesławę. Józef Sułkowski mówi o nim: «Chciał być geniuszem wszechstronnym i wdał się w wojskowość». Wyprosił sobie u Judyckiego (naczelnego wodza po zdrajcy Wirtemberczyku) 300 koni, batalion piechoty i 4 armaty, i z tą siłą dnia 11 czerwca, w drugim dniu walki, napadł na obóz rosyjski. Zaskoczenie zrządziło chwilowy popłoch, po którym nastąpiła trwożna rejterada, a gdy generał nieprzyjacielski (Melin), zająwszy silną pozycyę, przytrzymał na miejscu batalion, przysłany przez Judyckiego,

wszczęła się bitwa, zakończona dotkliwą klęską polską. Bronisław Zaleski nie zawahał się napisać, że Potocki «po pierwszym wystrzale armatnim tak się przeląkł, iż, zapomniawszy o komendzie, dosiadł konia i w ucieczce swojej aż o Grodno się oparł». Dnia 3 lipca wydawał już z Warszawy rozkazy służbowe, jako «gen. artyleryi Obojga Narodów, szef korpusu inżynierów i pontonierów, generalny komendant fortec i arsenałów Rzeczypospolitej» — tytuły czcze, jak czczą była i sama wojskowość Potockiego. Targowica, zmiatając wszystkich ze sceny, zmiotła i jego. Tułał się przez czas pewien po Krakowie i zagranicą. W pracach, uwieńczonych ruchem narodowym 1794, wcale nie uczestniczył; wszakże, w ostatniej chwili przez brata wtajemniczony, razem z nim i Kołłątajem przyjechał do Kościuszki w Krakowskie. Żadnego stanowiska nie zajął; wkrótce dla poratowania zdrowia wydalił się do Karlsbadu, gdzie go wraz z innymi (Piattoli, Jan Potocki, Michał Zabiełło) policya austryacka (3 lub 4 lipca) uwięziła i osadziła w Josephstadzie. Cios nie godził w żadnego z uwięzionych osobiście: to tylko, na żądanie cesarzowej Katarzyny, dwór austryacki, zjednany już dla trzeciego rozbioru, brał zadośćuczynienie za aresztowanie w Warszawie d'Ascha, wieloletniego radcy poselstwa rosyjskiego. Więźniowie byli jeno zakładnikami i rząd wiedeński polecił łagodnie się z nimi obchodzić. Już na początku r. 1795 pozwolono Potockiemu i Zabielle mieszkać w Pradze, a w lutym 1796 zupełnie ich uwolniono. Potocki pojechał do brata w zabór austryacki, a potem osiadł w Wilanowie pod berłem już pruskiem. Z tułactwa przywiózł przerobionego Winkelmana i liczne zasoby do prac literackich, którym teraz w zaciszu wilanowskiem wyłącznie się oddał.

Powstające w listopadzie 1800 r. Towarzystwo Przyjaciół Nauk znalazło w Potockim żarliwego współdziałacza. Po Staszicu nikt szczerzej o uprawę umiejętności i piśmiennictwa w Towarzystwie nie zabiegał, a nikt zgoła tak umyślnie dla niego po literacku nie pracował, jak Potocki. Wygłaszanie w stylu wieku pochwał po zmarłych jego głównie było zadaniem. Chronologicznie najpierwszą (1801) jest «Pochwała Józefa Szymanowskiego, pełna przesady i nieszczera, ale wiadomościami nie bez znaczenia o pisarzach Stanisławowskich wzbogacona; ostatnią (1820) — napisana dla Matuszewica, z którym wiązała go nie tylko wspólna praca publiczna, ale i zażyłość; największą i najznamienitszą ze wszystkich — wygłoszona w r. 1802 nad Piramowiczem, z danemi autobiograficznemi i ważnym szczegółem historycznym o dążeniu Augusta Czartoryskiego podczas Wojny Siedmioletniej do zaprowadzenia tronu dziedzicznego w Polsce. Nie pozbawioną wskazówek historycznych a szczerą w formie jest mowa w Wilanowie na pogrzebie brata, w r. 1810. Sięgnął wymowny pisarz i po Czackiego. Biblijny nastrój ma pochwała Józefa Poniatowskiego z r. 1816, miała też być wygłoszoną w katedrze na Wawelu; odczytał ją mówca w Tow. Przyj. N. «Pochwała walecznych Polaków» na tym samym obchodzie z dnia 22 grudnia 1809 r., który Staszic słowem swem upamiętnił,

stanowi zwięzłe a cenne dziś przypomnienie wypadków i ludzi w formie, do wzniosłości przedmiotu zastosowanej. Dla Towarzystwa, zachęcony przez nie, napisał Potocki główne swe dzieło, o wymowie i stylu; na jego posiedzeniach odczytywał rozprawy o języku polskim, krytyce, stylu, o sztuce starożytnej, o Księciu Machiawela. Wydział Nauk zostawał pod przewodnictwem Potockiego. Działalność w Towarzystwie spotęgowała jeszcze sławę, jaką pozyskał był w sejmie czteroletnim. Nie było w Warszawie nikogo, ktoby go imieniem w literaturze zaćmiewał. Stał się we wszystkich sprawach dobrego smaku powagą rozstrzygającą i w tej epoce, kiedy smak uchodził za najważniejszą zasadę krytyki, był dla świata literackiego jakby arbiter elegantiarum. Smakowi wprawdzie nie oddawał nieograniczonego berła, potoczystości krasomówczej nie pozwalał wypierać logiki i prawdy: owszem, nawet się za niemi ujmował, ale sam nie umiał znaleźć do niej tej drogi, którą my dziś dostrzegamy w rzetelnem poznaniu i rzetelnem też odczuciu przedmiotu. Ta prawda, że dzieło literackie jest tworem natury indywidualnej, wypadkową jej funkcyi, zjawiskiem jej sił — wyższą była nad Potockiego, wyższą nad jego wiek. Zawsze mimo zastrzeżeń i przestróg forma nie przestawała królować; dbałość też o formę była w Potockim panującą. Ale pod tym właśnie względem on sam niewolny był od grzechu: nawykły do francuszczyzny, niedość badawczy, dopuszczał się w wysłowieniu swojem zbyt częstych galicyzmów, składnię polską gwałcił, a pod koniec życia, gdy wszedł na drogę satyry, w języku, nad którym już płakał Brodziński, utrwalał jeszcze postaci wyrodne fleksyi męskich w rzeczownikach nijakich. «Podróż do Ciemnogrodu» roi się od form «zleceniowi», «nazwiskowi», «zdaniowi»; nie braknie nawet żeńskich «budowów». W «Świstku krytycznym» upierał się przy przeczeniu z biernikiem, zależnym od trybu bezokolicznego.

W zaciszu wilanowskiem jeszcze za rządów pruskich spadł na Potockiego obowiązek publiczny. Gubernator w Warszawie Keller powierzył mu dozór nad świeżo założonem liceum Lindego. Dnia 2 stycznia 1805 r. dozorca miał mowę inauguracyjną i odtąd stale już doglądał zakładu. Wkroczenie Napoleona otwarło przed człowiekiem, książce i pióru tylko oddanym, na nowo drogę zawodu politycznego: został członkiem ustanowionej d. 14 stycznia 1807 Komisyi Rządzącej, a po Traktacie Tylżyckim wszedł do Rady Stanu, funkcyonującej jako ministeryum, i w wytworzonej przez siebie Izbie Edukacyjnej rozpoczął wraz ze Staszicem, Lipińskim, Surowieckim działalność, którą najtrwalszy sam sobie wzniósł pomnik. Dzisiejsze już pokolenie mogło zapomnieć o literacie, o «książęciu mowców», jakim go powszechność polska (Bentkowski I, 662—3) mianowała; najpóźniejsze jeszcze pamiętać będzie o organizatorze szkół w Księstwie Warszawskiem. Jest to najświetniejszy, najrdzenniejszy, najobfitszy w owoce okres w życiu Potockiego. Dość tylko odczytać pochwałę Staszica, przejrzeć pilnie ustawy dla szkół, urządzenie hierarchii akademickiej; dość rozej-

rzeć się w mnóstwie wytworzonych instytucyi nauczających od nizin do szczytów, — aby dyrektora Izby, a potem prezesa Dyrekcyi Edukacyjnej, uznać za człowieka wielkiej zasługi. Nie było zakątka, do któregoby nie wniósł światła swej wiedzy i ognia swej woli; nie było wypadku, w którymby na zawołanie życia nie stanął z gotowością poważną do spełnienia jego nakazu. Surowy Staszic posuwa się do wyznania: «Krzywdziłbym go, gdybym użył sztuki, jakiej potrzebują pochwały pospolitych ludzi». I zaraz potem wylicza prace człowieka niepospolitego. Po Prusakach zostały, prócz szkółek elementarnych niemieckich, tylko dwa upadające gimnazya i liceum. Wszędzie rozwydrzała się niemczyzna. We wszystkich szkołach średnich ledwie 500 uczniów doliczyć się było można. Fundusze Kom. Eduk. poprzenoszone z dóbr ziemskich polskich na drewniane domy niemieckie, po miastach i miasteczkach; całe dobra poobdłużane i pozamieniane — przez szlachtę polską! — w ziemiańskie. Pijarzy blizcy byli ruiny; rozprzęgli się i zbiednieli. Konwikt Konarskiego rzeczywiście zniknął; pozostały tylko szkoły publiczne. Wszystko trzeba było budować na nowo. Potocki wskrzesił ustawy Kom. Eduk., lekko je ulepszywszy. Zaczął od szkół dla nauczycieli, w których zaprowadził metodę Pestalozziego i Lancastra. Nauczycieli, brał z Pijarów, Benedyktynów i Bazylianów; wogóle uruchomił księży, których mnóstwo było bez probostw, stojących mimo to pustkami, bez jakichkolwiek obowiązków zawodowych. Równolegle z seminaryami ustanowił Towarzystwo do ksiąg elementarnych. W powstających szkołach ludowych zaprowadzał naukę praktycznego ogrodnictwa i robót kobiecych. Po miastach otwierał szkoły podwydziałowe, obliczone na zaspokojenie potrzeb życia, na uzdolnienie do pracy zarobkowej, umiejętnej. Szkoły wydziałowe dawały już oświatę w stopniu wyższym, potrzebnym rolnictwu, kupiectwu i przemysłowi; przy nich istniały szkoły rolnicze. Licea departamentowe otwierały uniwersytet. Wyprowadzenie się Pijarów na Żolibórz pobudziło Potockiego do podniesienia konwiktu przez stałą zapomogę państwową. Zakon, powołany do nauczania, otrzymał pod ster swój kilka szkół wydziałowych, później nawet i wojewódzkie. Zaradzając straszliwemu brakowi ludzi, wysyłał Potocki młódź zagranicę; dla zyskania sił nauczycielskich, których społeczeństwo samo nie przysposabiało, pootwierał nowicyaty, zapewniwszy sobie obowiązkową pomoc zakonów w nauczaniu; nawet umyślne seminaryum nauczycielskie duchowne przy seminaryum misyonarskiem w Warszawie otworzył. Czując niebezpieczeństwo wpuszczenia księdza do szkoły, dla zażegnania go zaproponował radzie stanu połączenie władzy nad szkołami z dozorem nad duchowieństwem: nie zrozumiano go i propozycyę odrzucono. Każda szkoła otrzymywała dozór, do którego wpływali rodzice. Stan nauczycielski organizował się w sprawach powołania swego niezależnie od nacisku administracyi. Komisye egzaminacyjne kwalifikowały do służby społecznej lub państwowej. Gdy wojsko potrzebowało lekarzy, a państwo prawników, Potocki skłonił znamienitszych

synów Eskulapa w Warszawie do bezpłatnego nauczania w szkole lekarskiej, a wespół z Łubieńskim zaprowadził szkołę Prawa i Administracyi. W odzyskanym Krakowie, przy miejscowej pomocy Kołłątaja, dźwigał z upadku ponownego Akademię Jagiellońską. Pozostawione przez Prusaków dwa korpusy kadeckie poddał gruntownej reorganizacyi i unarodowił. Cały systemat szkół był już na początku 1812 r., kiedy Dyrekcya wstępowała na miejsce Izby, gotowy. Przejmował go duch narodowości i zarazem użyteczności w życiu. Wykrojone z Księstwa Królestwo otrzymało, jako owoc 9-cioletniej pracy: 1200 szkół elementarnych, 20 podwydziałowych, 18 wydziałowych, 12 liceów, konwikt na Żoliborzu, 1 korpus kadecki, 3 szkoły naucz. wiejskich, — prócz owych szkół wyższych. Po ustanowieniu Królestwa zamianowany ministrem wyznań religijnych i oświecenia publicznego Potocki prowadził dalej zaczęte za Księstwa roboty; ale teraz główne staranie zwrócił na uniwersytet, w jego też organizacyę, w samo napisanie ustawy, obejmującej i teologię, najwięcej myśli własnej włożył. Urządzeniem Rady wychowania publicznego uzupełnił sterownictwo nad oświatą ogólnie-krajową. Nie małą też zasługą jest, jeszcze za Księstwa, osłanianie i skuteczna obrona Funduszów Edukacyjnych od rozboju i łupiestwa. Widząc zły wpływ duchowieństwa zakonnego na umysłowość ludu, a potrzebując dochodów na urządzenie hierarchii kościelnej, wyjednał u stolicy apostolskiej, za zgodą arcybiskupa Malczewskiego, zniesienie wielu nieużytecznych dla oświaty, przeważnie próżniaczych klasztorów (1818). Ta suppressya ściągnęła na niego burzę, w kazaniach i lotnikach i na zebraniach towarzyskich. Broniąc się, napisał «Podróż do Ciemnogrodu». Biskupi dopatrzyli się w Państwie Ciemnogrodzkiem znieważenia Częstochowy. Skarga, podobno przez Woronicza do samego ces. Aleksandra podczas sejmu jesienią 1820 r. zaniesiona, otrzymała bezzwłoczny skutek w dymisyi. Został Potocki honorowym ministrem stanu, ale z rządu już ustąpił.

Przez cały czas pracy nad szkolnictwem — równolegle z nią ciągnęło się długie pasmo obowiązków ściśle już rządowych. Rada jego, długoletniem myśleniem i dostrzeganiem wsparta, w Komisyi Rządzącej okazała się nieraz skuteczną, jak przy projekcie monety papierowej lub moratoryum, które oba zwalczał. W lipcu 1807 roku wezwany do Napoleona wraz z kolegami, był w Dreźnie świadkiem podpisywania i nadania konstytucyi «Ludom Warszawy i Wielkopolski». Projektu, który sam z sobą przywiózł, mocarz nawet nie przeczytał. Jako radca stanu Księstwa, był obok Łubieńskiego, niezależnie od pracy nad oświatą, najczynniejszym. Ważniejsze projekty i odezwy rządowe przechodziły przez jego stylizacyę. On napisał odezwę, odpowiadającą na zuchwalstwo austryackie z Odrzywoła (16 kwietnia 1809). Wraz z całą komisyą podczas najazdu błąkał się po departamencie Płockim i Łomżyńskim; dopiero dnia 2 czerwca, nazajutrz po ustąpieniu Austryaków, wrócił do Warszawy. Po śmierci Gutakowskiego (1811) został prezesem Rady Stanu, nie przestając być dyrektorem

Izby Edukacyjnej. Podczas konfederacyi generalnej w roku 1812 nie odegrał wybitniejszej roli, a kiedy gromy wojenne huczały, spokojnie pracował nad szkolnictwem. Po wojnie i zajęciu Księstwa przez Rosyę wraz z całą Radą Stanu udał się najpierw do Krakowa, a potem w kierunku pochodu Poniatowskiego na zachód. Przebywając to w Karlsbadzie, to w Pradze, we wrześniu 1813 roku znalazł się w Lipsku i był w nim w dniach «walki ludów». W końcu powrócił do kraju, gdzie podczas nieobecności znajdował godnego zastępcę w Staszicu. Nie przerwała działalności obu mężów okupacya rosyjska: właśnie na rok 1814 przypada ustawa o hierarchii akademickiej, organizująca stan nauczycielski. Upadek Napoleona złamał Potockiego tak samo jak innych: gdy się mowy jego za Księstwa porówna z miewanemi na sejmach 1818 i 1820 r., niepodobna nie dostrzedz wielkiego łuku, jaki zatoczył zmęczony nadziejami, przerażony zawodami patryotyzm uczciwego Polaka. Królestwo przyniosło mu na samym wstępie senatorską godność wojewody, po śmierci Ostrowskiego dało mu prezesowstwo w senacie, a uszanowało jego stanowisko u najwyższego steru i w zasadniczej pracowni szkolnictwa publicznego: tem łatwiej mógł pogodzić się z losem. Wiek osłabiał energię, ale pomimo wieku, człowiek tej miary nie powinien był podpisem swym uświęcać zamachu na art. 16-sty Konstytucyi; nie powinno było nazwisko jego znaleźć się pod dekretem namiestniczym z dnia 19 maja 1819 roku, zaprowadzającym cenzurę na pisma peryodyczne. Błąd ten podzielił z nim Staszic, jak dzielił jego wolnomyślność, jego użyteczne, rozumne i uczciwe prace nad oświatą. Obaj schodzili ze świata złamani. Ale kto się ostał cało, kto się nie złamał wówczas w straszliwym wichrze losu? Ostatnie chwile życia już po wygnaniu z rządu zatruwać musiało nie tylko rozpamiętywanie klęski, poniesionej w walce z księżmi, ale i mocowanie się wolnomularza, w r. 1786 sławiącego niepodległość myśli, z ministrem, który się jej dla urzędowania wyparł.

Zmarł Potocki w Wilanowie dnia 14 września 1821 r. Pochowany w pieczarze miejscowego kościoła, ma narówni z bratem w kaplicy z prawej strony nagrobek pamiątkowy.

BIBLIOGRAFIA. I. Pisma Potockiego: Wydania zbiorowego, a przytem zupełnego, niema. Najwięcej rzeczy zebranych razem jest w zbiorze: *a*) «Pochwały, mowy i rozprawy... senatora wojew., ministra wyznań religii i oświecenia narodowego, komendanta jeneralnego kadetów, członka Tow. Przyj. Nauk i Akad. krakowskiej...» (Warsz. 1816, Zawadzki i Węcki; 2 cz.: I: X, 460; II: 8 nlb, 664 str.; 8°). Po tym zbiorze najobfitsze są: *b*) Roczniki Tow. Warsz. Przyj, Nauk»: mieszczą większą część pochwał i kilka rozpraw. *c*) «Pam. Warsz.» Bentk. wydrukował «Swistek krytyczny» (podznacz. literą «W») z dopełnieniami polemicznemi, mowę o Krasickim, i obszerną rzecz o Chinach i Chińczykach z dzieł obcych wziętą (T. I, II, V). *d*) Osobno wy-

chodziły, wszystkie w Warszawie, już od r. 1782, mowy polityczne, wolnomularskie, szkolne i miewane w T. Prz. N. jako «pochwały», jedna, wygłoszona w konwikcie pijarskim do Kopczyńskiego: «Mowa przy oddaniu medalu X. Onufremu Kopczyńskiemu w dzień urodzin 30 listopada 1816 r.» (Warsz. 1816, 8 nlb. str. 4-to) i jedna rzecz polemiczna «Lettre d'un polonais à l'abbé Ciampi, prof. à l'université de Varsovie, le 12 mars 1821» (Warsz. 1821; podpis «C. P.»; 4 str. 4-to). Prace większe osobno drukowane: 1) «O sztuce u dawnych czyli Winkelman polski» (Warsz. 1815, 3 cz.: I: 8, 440; II: 509; III: 419; dod. 135 str.; 4 volumina 12°, własne opracowanie Chaldei, Indyi, Chin, waz etruskich, malarstwa u staroż. wraz ze sztuką enkaustyczną. Pisane «w huku dział» i «w więzieniu» [przedm. do cz. I *a*]). 2) O wymowie i stylu» (Warsz. 1815 Zaw. i Węcki. druk. Rząd. cz. I: T. I: 30, III—XXVI, 385; T. II: 24, 510 str. Cz. II: T. III: 20, 522; T, IV: 16, 2 nlb., 571 str. 12°). 3) «Podróż do Ciemnogrodu przez autora Świstka Krytycznego» (Warsz. 1820, Glücksberg; 4 cz.: I: 1 knlb., XIII, 249, 2 knlb.; II: 225, 3 knlb.; III: 208, 2 knlb.; IV: 227 str. 2 klnb. 24°). — Wszystkie pisma układają się w następujące działy: A) Literacko-naukowe. Oprócz nru 1 i 2-go: dziewięć «Rozpraw o języku, wymowie i literaturze polskiej», przesłanych Lindemu; «O krytyce»; «O języku polskim»; «O sztuce pisania czyli o stylu» — wszystkie wygłoszone w Tow. Przyj. Nauk i zamieszczone w «Rocznikach». O tych wszystkich rozprawach, jako też o mowie w Liceum Lindego, włączonej w całość, ob. streszczenia pod wypisami B i C, oraz tutaj niżej C IV 3. Do działu tego należy jeszcze «O duchu pism Machiawela» (*b* XII 226). — B) O sztuce. Prócz «Winkelmana» rozprawa «O sztuce u dawnych» (z obroną i zaleceniem samej sztuki, krytyką Winkelmana w oryginale i poglądem na sztukę pierwotną, zwłaszcza chaldejską i medyjską)., w *b* II 339, oraz «O medalach, mianowicie narodowych, we względzie ich użyteczności i sztuki, (*a* II 199). — C) Z licznego bardzo działu Mów: I. polityczne trzy z sejmu 1782 r., przedruk. w *a* II 1—102, z objaśnieniem o sejmie zwanym biskupa Sołtyka»; tamże str. 103 «Mowa przy zdaniu sprawy z dwóchletnich czynności Rady Nieust.». O mowach z Wielkiego Sejmu ob. życiorys; niewiadomo nic o pozostawieniu zbioru ich w rękopisie; wiele wyszło współcześnie pojedyńczo. Mowy z XIX w. u Estreichera. II. pochwalne w Tow. Przyj. Nauk, wszystkie w «Rocznikach», z wyjątkiem jednej, o Krasickim, pomieszczonej w «Pamiętn. Warsz.» Bentk. IV (1816) 97—117, 129—47, przedruk. w *a* I 99—153. W «Rocznikach»: 1) Czacki XII 12; 2) Matuszewic XIV 98; 3) Piramowicz II 1, 4) Poniatowski XI 393; 5) Szymanowski I 42; 6) «Na obchód uroczystości ustalenia T. Prz. Nauk» VIII cz. I 10; 7) «Pochwała walecznych Polaków» VIII cz. II 19. W *a* I przedr. nr 3—7. Wychodziły osobno i w przekładach. III. Mowy za Księstwa poza Tow. Przyj. Nauk: «Przy złożeniu w grobie willanowskim przewiezionych z Wiednia zwłok Ign. Potockiego...» w roku 1810 (*a* I

341—78, przyp. 379—84); «Przy wyprowadzaniu ciała... Adama Potockiego, dow. II pułku ułanów na dniu 28 list. 1812 r. w Warsz.» (tamże str. 385). Obie mowy wyszły i osobno. IV. Mowy szkolne: 1) «Przy otwarciu Liceum warszawskiego, w dniu 2 stycznia 1805 r.»; 2) «Przy zakończeniu popisu uczniów w Liceum warszawskiem dnia 28 września 1808 r.»; 3) «Rozprawa o potrzebie ćwiczenia się w ojczystej mowie, służyć mająca za wstęp do pisma o polskim języku, miana przy ukończeniu egzaminu Liceum Warszawskiego dnia 2 września 1811 r.»; 4) «Przy zamknięciu egzaminu Liceum Warsz. r. 1815»; 5) «Mowa przy otwarciu uniwersytetu warszawskiego. Cztery pierwsze przedrukowane w *a* II 123, 139, 329, 159; piąta w programatach i w «Pam. Warsz.» Bentk. XI 268. V. Mowy wolnomularskie: 1) na cześć Mokronowskiego, r. 1784; 2) Rieule'a, 1786; 3) na zgromadzeniu d. 15 paźdz. 1786; 4) «Przy podaniu projektu poprawnej konstytucyi d. 9 kwietnia 1820 r.»; 5) «Przy wyborach najdoskonalszych trzech członków najwyższej kapituły, najdostojniejszych WW. dygnitarzy i WW. urzędników W. Wschodu w d. 21 miesiąca IV R. p. ś. 5820 czyli Ery zwyczajnej 21 czerwca r. 1820»; 6) «My Stan. k. Potocki, Wielki mistrz W. Wsch. Polskiego w Radzie naszej przesyłamy Wam Wsp.·. i Sz.·. Loże pozdrowienie miłość i jedność Braterską», 1820 r. Wszystkie tylko w drukach samoistnych.

Rękopisy Potockiego, niegdyś w Wilanowie pod Warszawą, po odziedziczeniu tej pamiątki przez hrab. Ksawerową Branicką wszystkie, wraz z całem prawie dawniejszem archiwum przewieziono do Krzeszowic i pod Barany. Ani jednego już dziś niema na miejscu, gdzie pozostało tylko trochę teologii średniowiecznej i innych pomniejszej wartości. Wypróżnienia archiwum wilanowskiego dokonano w dwu odstawach, już w XX w. O pierwszej nic nie wiadomo; o drugiej zebrano następujące wiadomości: Nr porządkowy 232 obejmuje «O wymowie i stylu», prawdopodobnie tekst tożsamy z 4-ro-tomowem dziełem; nr. 251 Rozmaite ulotne poezye, bez głównego napisu, 57 str.; nr. 254 «Itinéraire des Glaciers de Chamounix, écrit par... à 18 ans»; nr. 255 «O architekturze wiejskiej, projekt»; nr. 256 «Voyages en Italie et en Allemagne»; nr. 257 «O sztuce dzisiejszych», oraz biografie; nr. 258 «Wypisy do dzieła O sztuce u dawnych».

II. Pisma o Potockim. Potockim nie zajmowano się wcale, ani jako literatem, ani jako politykiem i statystą. Z Kalinki «Sejmu czteroletniego» niepodobna odtworzyć sobie choćby w najgrubszych zarysach obrazu obywatela, patryoty i człowieka w najwdzięczniejszym okresie życia, kiedy serce biło w pięknym zespole z umysłem. Najnowsza praca Rudnickiego «Kajetan Sołtyk» (Warsz. 1906) zajmuje się nim pilnie, mówiąc o sejmie 1782 r. Zresztą do dziś dnia najlepszą sumę czynów publicznych, zwłaszcza w dziedzinie oświaty, dał Staszic w Tow. Prz. Nauk, w krótkim przemówieniu pozgonnem d. 26 listop. 1821 r. («Roczn.» XV 128—9) i w «Pochwale» czyli «Żywocie uczonym» dnia

7 marca 1824 (tże XVIII 84—132). Cenne wiadomości o członku Komisyi Rządzącej podaje Konic H. «Kom. Rządząca» (Warsz. 1905; odb. z «W. Enc. Powsz. Illustr.»). «Pamiętniki współczesne, zwłaszcza Skarbka «Dzieje Księstwa» i «Królestwo do Rewolucyi Listopadowej» przynoszą liczne świadectwa i wskazówki; trzeba je wszakże przyjmować krytycznie. O wezwaniu do Napoleona i posłuchaniu w Hotelu Angielskim w Warszawie dnia 10 grudnia 1812 roku: «Praadt «Histoire d'une ambassade en Pologne». Tarnowski pisze o Potockim w «Hist. Lit. Polsk.» wyd. 1-sze T. IV 62—8. W swojej «Historyi» Chmielowski zbywa go przelotną wzmianką (T. III 37—8).

A) Pochwała Grzegorza Piramowicza (1802).

(«Roczn. Tow. Przyj. N.» T. II, str. 1—82; «Pochwały, mowy» cz. I, 155—264; tu z «Roczników»).

Wygłosił ją Potocki w Towarzystwie dnia 15 maja 1802 r., a w treści mówił tak: W ciągu jednego roku straciła Polska Szymanowskiego (którego on sam ponad wszelką miarę był pochwalił), Krasickiego i Piramowicza. Nie chce mówca zwiększać żalów; pragnie wykrzesać energię do wyrwania zabójczej ręce czasu tego, ku czemu zmierzają cele Towarzystwa: mowy ojczystej. «Uszlachetnić nieszczęście to więcej, niż być wielkim». P. jezuitą został z czystego powołania. Zyskał sobie odrazu życzliwość Wacława Rzewuskiego i J. Al. Jabłonowskiego. Jako ochmistrz trzech Potockich, kasztelaniców lwowskich, niewidzialnie prowadził swych uczniów; z nimi lat kilka bawił we Włoszech i Francyi. W Rzymie zwarł się na życie całe z Ign. Potockim; w Rzymie poznał go i sam mówca. Kiedy po ponownym wyjeździe wrócił P. na «ziemię rodowitą», już ona wtedy być nią przestaje. «Próżnie szuka Polski wśród Polski», a nie znajduje już i Tow. Jezusowego: boleść go wielka ogarnia (str. 22—5); zbolały otrzymuje od przyjaciela probostwo w Kurowie, zostaje sekretarzem Kom. Ed-Narod. (28—39); redaguje statut Komisyi i Tow. Elementarnego i co rok zdaje sprawę z ich działalności. Obraz dobrego plebana w Kurowie i w Międzyrzecu Czartoryskich; «opatrzność ludu». W obrządkach, «często przesądnych, nie widział P. jedynego sposobu przypodobania się bóstwu»; nieznużoną była jego ludzkość, jego miłosierdzie. Przypomnienie blizkich stosunków, które łączyły zgasłego męża z Aug. Czartoryskim (dopisek o dziedzicznym tronie dynastyi saskiej str. 67) i ze Stanisławem Lubomirskim, prowadzi mówcę dalej w prozopopei: wywołuje P-a przed siebie, mówi, jak w półtorarocznej podróży zwiedził z nim «piękniejszą Europy połowę, Tybru i Partenopy klasyczne brzegi i całą auzońską ukochaną krainę». Z nim też zawitał do Paryża. Czy we Francyi, czy na wolnej Helwetów ziemi, czy w «uczonych Germanów siedliskach» — wszędzie był P. «pracowitą pszczołą, ssącą miody dla ojczyzny». Z nim mówca sąsiadował w kraju; w jego domu wiele dni swobodnych przepędził, pamięta go w szkółce pa-

rafialnej, którą sam był założył, nieraz otoczonego dziatwą wiejską. Dopiero Sejm Wielki podniósł zasłużonego męża z przygnębienia. Ochoczo wziął się do pracy, gdy serce biło nadzieją. Łacińskie odezwy do Rzymu podczas sejmu w sprawach urzędowych P-a styl kreślił; on-to napisał patryotyczną odezwę do wojsk pod Gołębiem. Ułożywszy księgę pożyteczną dla ludu, po Targowicy jęknął: — «Gdzież jest ten lud? Te moje prace, jak wszystko inne, składam na grobie miłej ojczyzny» (76). «Kwiat ranny», córkę Ignacego Potockiego, i ją starzec utracić musiał: los wydarł mu wszystko, prócz słodyczy charakteru; z nią mąż cnotliwy umarł. Dziś stać Polskę tylko na dębowe wieńce, ale «zbliża się czas, w którym zakwitną nauki w słowiańskich krainach», i w tej nadziei mówca, zwrócony do trzech zmarłych pisarzów, władających «najwyborniejszym z języków rozgałęzionej Słowiaków *[tak]* mowy, żegna ich wróżbą: «Imiona wasze póty trwać będą, póki Wisła, Dniestr i Newa płynąć nie przestaną». Całość przejęta tęsknym, elegijnym patryotyzmem porozbiorowym.

202) *Str. 28—39* [Komisya Edukacyjna i Tow. do ksiąg Elementarnych]. Jaki widok uderza wchodzącego na świat Piramowicza i sprzecznem uczuciem pociąga ku niemu i od niego odpycha? Jaka w nim różność i czynów i ludzi? jaka rzeczy, zdań i pobudek odmienność? jak to, co od siebie morzami i wiekami odciętem się zdaje, w jednym łączy rysie, jak miesza podłość z wielkomyślnością, występek z cnotą! Widzi z jednej strony oddzielone grona ludzi prawych, smutną uderzonych niemocą, a wśród nich schronione cnotę, obywatelstwo, nauki; z drugiej — zgraje ludzi skażonych, chciwie pracujących około ruiny własnej ojczyzny. Tak wiek zeszły widział w obalonem mieście (Lisbona. *Przyp. Aut.*) przez trzęsienie ziemi złoczyńców, szukających złota wśród rozwalin i trupów, a błogosławiących niebu za ruinę własnej ojczyzny. Stały się pojezuickie dobra nowym pastwiskiem poczwary, co krew matki ssała. Złupiwszy ich majątek, zrzuciła z siebie niezyskowny ciężar wychowania publicznego i lepszym go, szczęściem, zostawiła w podziele. Dzięki cnym mężom, którzy stanęli na czele edukacyi narodowej, dała Polska w czasach klęski i ohydy wzór jedyny publicznego wychowania, ustanowionego na swych zasadach prawdziwych, i zatarła prawie ich hańbę pamiątką wyższą nad wszystko, a tem dziwniejszą w nieszczęściu, że dotąd w szczęściu nieznaną. Czyliż dalekie kraje i wieki, słysząc lub czytając, jaki był stan Polski w roku 1773, wahać się w niepewności nie będą, coby o tych czasach myśleć i sądzić

miały? Czyliż mierząc *[tak]* ich słabość i upodlenie z tak ślachetnem, z tak cudnem dziełem, zdawać im się nie będzie, że mdlejącemu pod tylą klęskami narodowi nie tylko dokonać, ale nawet powziąć tak wielkiej myśli wolnem nie było? Czyliż zadumieni nie powiedzą: «O narodzie! czemżebyś był w pomyślności, kiedyś się takim okazał w przygodzie?» Darmo, darmo szukam podobieństwa w dziejach ludzkich sprzeczności, którą te czasy wystawiały; ale mi go *[tak]* w wyższym rzeczy porządku gieniusz wskazuje. Bo czyliż nie tak połączył w sławnym obrazie śmiały twój pędzel, boski Buonaroty, i te piękne dusze, których niebo jest podziałem, i te duchy szpetnym skażone występkiem, które twórcza ręka w przedwieczne wtrąca otchłanie?*) Ty, co mniemasz módz połączyć w oczach współczesnych wygodę występku z zaszczytami cnoty, szalona nieprawości dumo! waż się przed równie bezwzględnym i ostatecznym potomności, jak Twórcy, sądem, i w tym jednym przykładzie czytaj twój *[tak]* wyrok ogólny.

Wezwany Piramowicz od mężów, którzy na czele edukacyi narodowej stanęli, na najczynniejszy jej urząd, bieży z pośpiechem na ten głos, który mu się głosem narodu być zdaje; a powtórnie się wychowaniu młodzieży poświęcając, to, co niegdyś przed ołtarzami Boga przyrzekł, rad przed ołtarzem ojczyzny zatwierdza i święte świętym śluby dodaje. Jest odtąd tak połączona pochwała jego z czynami Komisyi Edukacyi, że jej od nich odłączyć nie można.

Należał on do tej nieśmiertelnej pracy, od jej początku aż do jej końca, ale tak należał, że trudy jego część jej znaczną składają; że wszędy imie jego towarzyszy chwale i wdzięczności, które jej Polska winna. Rys mi więc choć lekki Komisyi Edukacyi i jej zamiarów wystawić przychodzi: kreśli go tem chętniej ręka moja, że na tak miłym widoku nie tylko wzrok nasz, ale i stęsknione potomności oko, czasów niewdzięcznych obrazem, z upodobaniem zawsze spoczywać będzie.

Rzekła ojczyzna, rzekł gieniusz do mężów przełożonych

*) Kiedyśmy wraz z Piramowiczem oglądali w Rzymie sławny obraz sądu ostatecznego przez Michel Angela Buonarotego w kaplicy Sykstyńskiej, wzruszony widokiem jego, i szukając jakiegoś do niego podobieństwa, przytoczył to, o którem tu wspominam *(Przyp. Aut.)*.

nad edukacyą narodową: «Nagrodźcie Polszcze dobrocią obywatelów umniejszoną ich liczbę. Ułóżcie i do wykonania przyprowadźcie sposób wychowania, któryby dobrych ludzi społeczności, dobrych synów wydał ojczyźnie, z czegoby i osobista każdego i powszechna wzrosła pomyślność. Postępujcie śmiało w tem przedsięwzięciu; niech was nie wstrzymują bojaźliwe względy, niech żadna nie zraża trudność: wszystko może, wszystko zwycięży stałość światłej prawości». Idąc za tym głosem, który był głosem ich przekonania i serca, nie zaniedbali oni niczego, co tylko do tego zamiaru doprowadzić mogło. Rozciągnęli baczność i starania swoje na to wszystko, co fizyczną i moralną, co rodzicielską, szkolną i światową edukacyą zawiera, w tem źródle czerpając wzór obywatelskiego wychowania, przystosowali go do rządu i gieniuszu narodu; a unikając równie ponęt nowości, jak jarzma zadawnionych przesądów, trzymali się średniej drogi umiarkowania i rozsądku. Tak wzrosło systema jedyne edukacyi narodowej, pod opieką rządu jednostajnie całemu krajowi nadane.

Ale czymże są i najlepsze zamiary, jeżeli w ich wykonaniu nie przewodniczy mądrość, co je natchnęła, z rozsądkiem, zręcznością i stałością złączona? Oto pięknym tylko, lecz nieużytecznym płodem rozumu ludzkiego, co wraz moc *[tak]* jego i słabość dowodzi. Umiała Komisya Edukacyi nie tylko zamysł wielki powziąć, ale go do skutku przyprowadzić i wykonaniem uwieńczyć. Nikną przed nią najcięższe zawady, i te, które przesąd, i te, które chciwość wznosi. Odpiera pierwsze łagodnem przekonaniem, oczywistym użytkiem, zgoła, tem rzadkiem umiarkowaniem, co bez widocznej potrzeby ani ulega, ani razi. Wydziera z rąk drugiej [t. j. chciwości] przeznaczony na wychowanie publiczne Jezuitów majątek. Długo się i bezskutecznie pasuje, oburza się nakoniec Polska na widok tej wstydliwej walki, i z jej prawie jednomyślnego zlecenia oddaje sejm następny pod opiekę komisyi odzyskanie i rząd rozproszonych edukacyi funduszów. Gromadzi ona starannie ich szczątki, a choć zawikłane, choć znacznie uszczerbione, ciągłą usilnością do takiego przyprowadza rządu, że potrzebom edukacyi narodowej obficie, a nawet okazale dostarcza.

Dźwiga natychmiast komisya podupadłe akademie Krakow-

ską i Wileńską i głównemi je szkołami Polski i Litwy stanowi. Chce je mieć jakby siedliskiem i źródłem narodowem nauk i umiejętności, z któregoby się jednostajnie na kraj cały rozpływały. Wprowadza w nie zmiany, czasem i doświadczeniem poświęcone, na które Polska jedna od wieku i więcej niebacznem okiem patrzała. Zachowuje dawne profesorów katedry, nowe stanowi, szuka i wybiera na nie, bądź w kraju, bądź zagranicą ludzi prawdziwie uczonych, niszczy nadużycia, zaciera przesądy, przyjazną naukom obyczajność wprowadza, a baczna na przyszłość, seminarya nauczycielów stanowi, którzyby, jej duchem napojeni, przelać go w następne pokolenia byli zdolnymi.

Zna [= *wie;* w. XVIII] komisya, jak wolność, wznosząca rozum i duszę człowieka, jest naukom przyjazna, jak je, przeciwnie, poniża, umysł i serce jego poniżająca, niewola. Świadczą to swobody, stanowi akademickiemu od niej nadane. Nie tylko im rząd domowy zgromadzeń, w których żyją, poleca, nie tylko rozpoznanie zdolności kandydatów i wybór na miejsca profesorskie oddaje; ale kary, nagrody i sąd członków społeczeństwa swego powierza, ale, ich rady zasięgając, jakby sejmy uczone zwołuje, w tem wszystkiem, co do ulepszenia nauk i potrzeb ich stanu ściąga się: zgoła, wolność oświeconą naukom za towarzyszkę nadaje.

Nie winuje komisya ludzi za panujące w ich czasach nauk przesądy, starości spoczynek z zaszczytem opatruje, młodości zachęcenie, każdej pracy nagrodę. Zmiana nawet nauczycielów nie nosi cechy ich wzgardy, lecz potrzeby odnowionych nauk, szacunku odbytej pracy. Bierze tok inny filozofia, kwitną matematyki, sztuka rozumowania braterskim z niemi łączy się węzłem. Napełnia komisya biblioteki, szczepi zielnicze ogrody, wznosi wyniosłe niebios straże (t. j. obserwatorya. *Prz. Aut.*) i w najkosztowniejsze je sztuki gwiazdomierczej opatruje sprzęty. Dzieli fizyka jej starania i nakłady, dzieli historya naturalna, dzieli sztuka lekarska we wszystkich swych gałęziach, a część jej najużyteczniejsza, za czasów naszych tak słusznie wsławiona, chirurgia, w Polsce doskonalić się zaczyna. Tak oświecona ku wszystkim umiejętnościom hojność jest obrazem rzetelnej wspaniałości wielkiego narodu, co w krótkim lat przeciągu umie sobie nagrodzić wieków zaniedbanie, co nagle z niego ocu-

cony ściga olbrzyma krokiem powoli ku doskonałości postępujące nauki.

Czegóż gieniusz, wsparty narodu zamożnością, w krótkim czasie dosięgnąć nie zdoła? Dlatego małe rzeczy często bywają ciężkiemi, że w nich zamknięci ludzie wznieść umysłu swojego i o wielkie kusić się nie śmieją. Śmie, co tylko jest dobrem, dokonywa, co tylko jest użytecznem, Komisya Edukacyi i wśród skażonych czasów pomyślnych szczepi nadzieje. Po wszystkich województwach, ziemiach i powiatach wznosi wydziałowe i podwydziałowe szkoły: w nie się mienią Jezuickie gmachy i im podobną biorą postać te, któremi ku wychowaniu młodzieży inne zarządzają zakony. Myśl wielka tem ogromnem ustanowieniem kieruje. Pamięta komisya, że nie tylko ludzi uczonych winna krajowi, lecz obywatelów ojczyźnie. Stają się w jej ręku szkoły narodowe równie obywatelstwa, jak nauk kolebką. To skuteczne lekarstwo bliznom ojczyzny, ten dziw nieznany wiekom teraźniejszym gotuje: pomyślności kraju, nie cudzemi klęskami, lecz własnem światłem nabytej. Łączy wychowanie obywatelskie z uczonem, fizyczne z moralnem, zgoła, czerstwość duszy z ciała czerstwością, a na nich zakładając szczęście człowieka i obywatela, szczęście ojczyzny i ludzi gruntuje. Ciekawy badacz, nie czczych dowcipu marzeń, lecz rzeczy ludziom wiecznie użytecznych, znajdzie w ustawach komisyi szczegóły obrazu, którego ja tu rys ogólny wystawiam, wstrzymany i granicami tej mowy i rzeczy ogromem. Tam pozna rozdział i rozsądne stopniowanie nauk, tam baczny ich dozór, tam wybór starowny nauczycielów, tam ich ku uczniom i uczniów ku nim wzajemne powinności, tam wieku wysłużonego nadgrody, tam zachęcanie młodości, tam dla niej bodźce honoru, nie podłe kary, tam w jej nawet zabawach zręczności, męstwa i hartowności szkołę, tam wszędy duch *[tak]* panujący cnoty i obywatelstwa, a nim otoczoną młodzież jakby powietrzem, którem oddycha i żyje.

Ktoż w ustawach Komisyi Edukacyi widzieć będzie bez tkliwego uczucia rozciągnioną jej opiekę do wszystkich mieszkańców tej ziemi? Nie wypuściła z niej ludu wiejskiego, tej najliczniejszej, a przecię zwykle zaniedbanej części narodu. Otwiera dla niego szkoły parafialne, szanownej je pieczy pasterzów miejscowych poleca, pociąga właścicielów do tego przedsięwzięcia,

przepisuje nauki, mistrzów obmyśla, zaprząta się dozorem. Celem jest szkół parafialnych oświecenie około religii, około powinności stanu swego, około robót i przemysłu jego. Nic tu pozorowi, wszystko pożytkowi oddanem. Nie boi się Komisya Edukacyi widzieć ludzi ludźmi, bo ciasność trwożliwych względów nie określa jej wielkich zamysłów, bo przewidywać zdaje się, że wnet wyda ojczyzna ten pamiętny wyrok, który każdemu, co stanie nogą na ziemi Polskiej, wolność zaręczywszy, lud rolniczy pod opiekę prawa i rządu krajowego przyjmuje (W ustawach Trzeciego Maja. *Przyp. Aut.).* Szuka [= *stara się*] widocznie Komisya Edukacyi do tego dobrodziejstwa godnych tworzyć i przygotować ludzi.

Taka jest treść pamiętnych jej ustaw. Zastanawia w nich ważność przedsięwzięcia, uderza łatwość i porządek w jego dokonaniu, zadziwia górująca prostota, pewne dzieł wielkich znamie. Natchnął je duch światłego obywatelstwa mężom, składającym tę jedyną w świecie magistraturę, dyktował gieniusz i doświadczenie, kreśliła ręka Piramowicza, a godne dłuższego bycia złożyła użyteczność w archiwach świata, jako prawo do szczęścia, przyszłym pokoleniom służyć mogące. Ale kiedyż przyjdzie czas, w którym ludzie, pracowicie zaprzątnieni poszukiwaniem tylu nieużytecznych sobie rzeczy, spostrzegłszy błędu swego, chwycą się tych, na których spoczywa ich pomyślność? Obiegli już, acz przestronną imaginacyi krainę, wyczerpali wszystkie prawie jej bogactwa: błądzą dziś, po bitych jej manowcach próżnie śledząc nowości, mniej zwiedzeni, jak sami się zwieść chcący. A kiedy zdaje się, że wszystko już w tym rodzaju objęły ich pisma niezliczone, żadne, — ach, żadne! — poznać gruntownie światu nie dało prac tak użytecznych dla ludzkości, jakiemi były Komisyi Edukacyi! Niknie w oczach wieku oświeconego jedna z najpiękniejszych ozdób jego, pełznieje jedno z dzieł najużyteczniejszych rozumu ludzkiego, to może, którym się dzisiejsze czasy najbardziej zbliżyły do dawnych. O wy! których ciekawość zdala na naszą przewodzi ziemię, łatwiej wam przebaczyć płochą waszą w sądzeniu porywczość o narodzie, zaledwie wam powierzchnie znanym, jakżeście w nim widzieć tego nie umieli, co uwagi waszej najgodniejszem było, tego, czegoście u siebie nie znali. Nie

tak Pitagoras, nie tak Bias, nie tak Platon, nie tak ów sławny Scyta Anacharsis po świecie wędrował*).

Gdzież mnie niewczesny uniósł zapęd i przerwał to, co mi jeszcze o Komisyi Edukacyi powiedzieć zostaje! Nie będę ja wtrzymywał uwagi waszej jej organizacyą; nie będę rozdzieleniem Polski na wydziały szkolne, poddane szczególnemu komisarzów dozorowi; nie będę szkół wizytą, nadgrodami nauk, zachęceniami zręczności; nie będę kosztowną zagranicę wyprawą ludzi, w różnych umiejętnościach doskonalić się mających, i nieuprzedzonym ich wyborem: bo te rzeczy, acz godne wspomnienia, nikną przy większych, jak przy ogromnych natury dziełach nikną drobniejsze jej, choć piękne, twory. Lecz przemilczeć nie mogę społeczeństwa Elementarnego, tej okazałej komisyi ozdoby.

Przybrała go *[tak]* sobie jakby za towarzysza wiernego uczonych prac swoich i powierzyła mu wykonanie dzieła, którego czyli nas nowość, czy ogrom, czy zastanowi użytek, zawsze go w tylu upłynionych wiekach jedynem w swym rodzaju widzieć będziemy. Dość dla dowiedzenia tej prawdy powiedzieć, jaki był zamiar jego. Oto spisanie w ojczystym języku książek elementarnych i klasycznych, do wszystkich nauk służyć mających. Nie ma, nie miał ich dotąd żaden naród, żaden nawet tego nie powziął zamysłu, kiedy on u nas w wykonaniu i w swej mocy kwitnął! Był rękojmią dokładności tej pracy wybór mężów z pomiędzy rodaków, do niego wezwanych, był i tych obcych pisarzów, których użyteczna mądrość stała się światłem wszystkich narodów. Były wydane dzieła przez członki społeczeństwa tego prawdziwie klasycznych warte nazwiska. Były, nakoniec, złączone starania męża, którego na czele jego komisya mieć chciała (Ignacego Potockiego. *Przyp. Aut.)* wraz z Piramowiczem, co w nim miejsce sekretarza zastępował, i ta w naukach, jak w życiu ich przyjaźń, która w tem wszystkiem, co dobrem, co

*) Pomijając wielu, wspomnę tu tylko Pana Koxa Angielczyka, którego podróże północne są w ręku wszystkich; pisze on dość obszernie o Polsce, a raczej o Warszawie; badanie jego, z dat własnych Journalu wyjęte, miesięcznem w całej Polsce nie było: nie dziw, że w tym przelocie komisyi edukacyi nie dostrzegł, tylą fraszkami w Warszawie zaprzątniony. *(Przyp. Autora).*

użytecznem, co ślachetnem było, jednym tchnęła duchem: tak, że Piramowicz, nie wyższości *[= wyższości, nie]* miejsca, lecz rady, ulegając, szedł zawsze, za swojem idąc, za przyjaciela zdaniem. Jednę dla ojczyzny duszę, jedno ku sobie serce mieli. Rozprzągnęłaś, o śmierci! tak rzadką przyjaźń okrutniejszym dla pozostałego, jak *[tak]* dla zeszłego ciosem!

B) Rozprawy o języku, wymowie i literaturze polskiej (1811—5).

(«Pochwały, mowy»... cz. II, str. 329—664).

Poprzedza je zaofiarowanie Lindemu (str. 327). Wszystkich jest dziewięć: I. O potrzebie ćwiczenia się w ojczystej mowie (329). II. O piękności języków w ogólności i o przymiotach języka polskiego w szczególności i jego stosunkach z łacińskim (348). III. O początkach narodu i języka polskiego, o jego dalszym postępie, o wpływie na nim mów obcych, o naczelnych pisarzach aż do Skargi i o przyczynach stanu, w którym nam zostawili nasz język (380). IV. Przyczyny upadku, wraz z naukami, języka polskiego; nowa epoka dźwigania się jego za czasów naszych; przeszkody ku zupełnemu udoskonaleniu i środki zaradzenia tymże (429). V. O środkach ku większemu udoskonaleniu mowy naszej (461). VI. Ciąg dalszy uwag, do uzupełnienia języka polskiego i wymowy polskiej służyć mogących (487). VII. O naukach i sztukach za czasów Zygmuntowych i o pisarzach polskich, mianowicie prozą, od początku XVI w. do czasów St. Augusta (505). VIII. Stan nauk styczny z panowaniem St. Augusta; znakomici poeci i pisarze dramatyczni od początku tegoż aż do chwili dzisiejszej (571). IX. Znakomici pisarze prozą od początku panowania St. Augusta aż do dzisiejszej chwili (605—64). Pierwsza z tych rozpraw jest mową z r. 1811 w Liceum Lindego (ob. Bibliografia C IV 3). Zasadnicze myśli, a nawet wykład w dosłownem brzmieniu w trzech następnych znajdują ją już w rozprawie o języku polskim, odczyt. w r. 1812 w T. Prz. N. («Roczniki» IX 296—376'; zwłaszcza rozprawa II jest prawie żywcem wyjęta z rocznikowej. W całkowitym roztoku pięciu rozpraw (II—VI) otrzymuje się następujące momenta myśli: Język nie tylko daje geniuszowi narodowemu jego wyraz, ale i pokazuje geniuszu miarę. Część swych przymiotów czerpie język z samej natury, część z pracy narodu nad jego udoskonaleniem; jest więc pracowitą zdobyczą geniuszu narodowego. Najgenialszym jest język grecki. Język włoski, zepsuty łaciński, już mowie Rzymian nie dorównywa; francuski ciężko i dłużej borykać się musiał. Nie darmo też Voltaire: «Grecy i Rzymianie budowali z marmuru; my z cegły stawiać musimy». Żaden język nowożytny nie ma takiej, jak starożytne, prozodyi i harmonii. Przymioty języka polskiego w porównaniu z łaciną (str. 358 nst.). W słowach złożonych niższymi jesteśmy od Rzymian, ale w wyrazy zwiększenia i zmniejszenia bogatszymi: ustępujemy

jednym tylko Włochom. Przyczyną niewyrobienia się naszego jest łacina. W XVI w. język polski zdumiewająco się rozwija, głównie za sprawą Reya; ale od Skargi, od Zygmunta III do St. Augusta «okropna pustynia». Z rozsądku Czartoryskich, z mecenasostwa króla, z teatru, z «Monitora» — poprawa. Pierwszym czyściejszym pisarzem Bohomolec. «Talentów mieliśmy za St. Augusta więcej, niż nam po nich zostało pamiątek». Z tem wszystkiem język polski dziś już ma prawo stać w pierwszym żyjących rzędzie: «tylko nam zbywa na wyrazach każdej rzeczy właściwych i na niemylnych w wysłowieniu wzorach». «Trzeba wielkich pisarzów! ten środek zamyka w sobie wszystkie inne»; ale potrzeba dobrego smaku, bo na smaku mowa polska więcej, jak żadna *[tak]* inna, polega». Niebezpieczeństwo przekładów szkolnych: przed łacińskimi dawać wzory polskie. Cudna jest moc i panowanie języka. Prawo do mowy ojczystej jest jednem z walnych praw narodu, a prace nad nią nie są uczoną zabawką, są godnym obywateli trudem: wszak po upadku ojczyzny język był naszym narodowym skarbem. Prace Kopczyńskiego i Lindego. — Rozprawy VII—IX dają przegląd historyczny, na piśmiennictwo narodowe. Pierwszy początek zrobił był autor jeszcze w przypiskach do «Pochwały Józefa Szymanowskiego» (1801).

203) *Cz. II, str. 358—65, z rozpr. II* [Język polski i Łacina]. Przystępując do języka Polskiego, zacząć mi należy od rozpoznania przymiotów i możności jego, do czego porównanie z Łaciną najlepszym staje się środkiem. Ten rzeczy porządek jest koniecznym, wprzód bowiem poznać należy własność i możność narzędzia, nim sądzić o użyciu i wydoskonaleniu jego. Szczęśliwe zdarzenie nadało mowie polskiej tęż samą, co i łacińskiej, składnię: jest to prawda gramatyczna do udowodnienia łatwa, lecz nieco długa i tęskna. Niezwyciężoną jest bowiem suchość gramatycznego rozbioru, której ja choć w części chcąc uniknąć, wytknę tu tylko zasadowe dwuch języków związki.

Wspólną jest nam z łaciną właściwość deklinacyi, czyli przypadkowania, wyraźnie oznaczona przez rozmaite zakończenia jednego słowa; ta różnica przez się nas ostrzega, w jakim słowo znajduje się stosunku z poprzedzającem lub następnem. Korzyść ta nie jest tak małą, jakbyśmy rozumieć mogli, bo, nadając językowi naszemu dar przypadkowania, nie przymusza go do zastępowania braku jego przedimkami, przykrym ciężarem, przywiązanym do niedostatku składni niejednego z dzisiejszych języków, co, właściwie mówiąc, ogołocone z przypadkowania, zastępują go *[tak]*, jak mogą. Ustawne powtarzanie przedimków mnoży czcze słowa i nie tylko obciąża, lecz krę-

puje niemi mowę, a odejmując jej wszelką prawie wolność słów przekładu *[= przekładni]*, odejmuje źródło licznych piękności dla niezbędnej potrzeby zastąpienia przedimkami rozmaitych jednego słowa ukończeń, rzeczywiście stanowiących przypadkowanie.

Chlubnej dla języka naszego nie mogę tu pominąć uwagi, t. j. niejakiej w przypadkowaniu nad łaciną wyższości. Zaszczyt takowy zbyt rzadko dzisiejsze języki posiadają, bym go w własnym przemilczał. Najprzód, w deklinacyach naszych przypadkiem jednym od łacinników bogatszymi jesteśmy: sześć oni, my ich siedm liczymy. Powtóre, gdy język nasz ma osobne formy do przypadkowania przymiotników, osobne do rzeczowników, wynika stąd mnoga rozmaitość dźwięków, nie dozwalająca jednostajności, w jaką wpaść może łacina, z powodu, że te same przypadkowania służą u niej przymiotnikom i rzeczownikom: np. *magna mensa*, dwa razy temsamem zakończeniem uderza jednostajnie ucho, którego *[= czego]* my unikamy, mówiąc *wchód wielki* i t. d. Tu niby jakieś prawo do harmonii nad łaciną zyskujemy, w której ona z tych innych miar jest od nas daleko wyższą. Cożkolwiekbądź, kiedy jednym z harmonicznych mowy środków jest rozmaitość ukończeń, różność dźwięków płodząca, zaprzeczyć nie można, że się wiele do niej przykłada przypadkowanie nasze, na niej zasadzone. Do tego wszystkie polskie przymiotniki trojakie mają zakończenia w stosunku do trojakiego rodzaju: męskiego, żeńskiego i nijakiego; gdy ich wiele w łacinie jedno tylko lub dwa posiada. I tak, słowo *felix*, niezmienne co do rodzaju w łacinie, ma ich trzy u nas: *szczęśliwy, szczęśliwa, szczęśliwe*. Również wyższy stopień, czyli porównywający, trzy u nas, dwa u łacinników liczy zakończenia: u nich *major*, *majus;* u nas *większy, większa, większe*. Są to rzetelne dla składu języka i dla harmonii łatwości; a zatem zaprzeczyć nie można, że przypadkowanie nasze równa się łacińskiemu, jeśli go nie przechodzi.

Jak deklinacya, tak i konjugacye, czyli czasowania polskie obchodzą się bez zaimków osobistych, bo rozmaite słów naszych ukończenia stosunki czasowania, jak przypadkowania oznaczają, kiedy się bez nich wszystkie prawie dzisiejsze języki, wyjąwszy słowiańskie, obejść nie mogą. Wprawdzie czasowania nasze

mają także z jednej strony nieco wyższości nad łacińskiemi, ale im nie wyrównywają z drugiej. Nie mają one różnicy rodzajów w czasie przeszłym, którą my posiadamy. Któż nie czuje, że *dormivit homo, dormivit mulier, dormivit animal*, trzy razy równe powtarzając *dormivit*, nie oznacza rodzaju i ubliża rozmaitości dźwięku, gdy my obom tym rzeczom dogadzamy, mówiąc: *spał człowiek, spała kobieta, spało zwierzę*. Z drugiej strony nie wyrównywują ze wszystkiem konjugacye nasze łacińskim, mianowicie w imiesłowach i w całem słowie biernem, które nawzajem nie dochodzą dokładności greckich; lecz mało co ubożsi w tym rodzaju od łacinników, nierównie od współczesnych bogatszymi jesteśmy. Nadewszystko w konjugacyach, jak w deklinacyach naszych cenić winniśmy, że za ich pomocą postępujemy w mowie naszej, wolni od potrzeby przywiązywania do wszystkich czasów słowa jednego, albo nawet dwuch, obciążonych zaimkiem, co, wprawując w jednogłośność, opieszałość i trudność składu, staje się jedną z przyczyn, dla których przekład słów jest albo nader ograniczonym, albo wcale niepodobnym tylu dzisiejszym językom.

Otoż wielka korzyść przypadkowania i czasowania naszego, z której dla nas wypływa przekładu słów łatwość nieograniczona. Może ważność deklinacyi i konjugacyi mniej dlatego nas uderza, że są *[one]* początkową dzieci nauką; lecz właśnie dlatego początkowa gramatyki nauka od nich się zaczyna, że one są węgielnymi kamieniami, na których się wznosi cała języków budowa. Ginie ta, drobna napozór, lecz ważna w rzeczy uwaga z przed oczu naszych. Tak, kiedy widzimy gmach wspaniały, nie myślimy o ukrytych w ziemi posadach (fundamentach. *Przyp. Aut.*), na których on stoi, a bez których staćby nie mógł.

Nie będę się tu rozszerzał nad niezmierną łatwością, mocą i ozdobą, jakie wolny słów przekład, mianowicie w poezyi w wymowie językom nadaje; bo ktoż tego nie czuje, że dać słowom szyk, jaki się podoba, zmieniać go i miarkować do woli, przecinać, zawieszać wysłowienie, zbliżać lub oddalać wyrazy, gromadzić je lub dzielić, nadawać im wzrost lub spadek dowolny, zaczynać lub kończyć do wyboru myśl temże słowem, umieszczać go *[tak]*, gdzie brzmienie wymaga, gdzie dobitność wyciąga,

gdzie się uchu podoba, gdzie *[się]* smakowi zdaje, gdzie skutek radzi: zgoła, rządzić dowolnie słowami, nie zaś być od nich rządzonym, jest najskuteczniejszym środkiem nadania mowie nie tylko płynności, mocy i harmonii, lecz koloru, ruchu, życia, zgoła, naśladowniczego rzeczy wyrazu, i otrzymania tych wielkich skutków, którymi przez sam słów układ grecka i rzymska wymowa tak potężnie uderza? Dozwala i nam uczestnictwa tych piękności nasz język, przez równą z dawnymi w przekładaniu słów wolność, którą winien jest mało co znaczącej na pierwszy rzut oka przypadkowania i czasowania swego z nimi stosowności.

C) O wymowie i stylu (1815).

Towarzystwo Prz. Nauk zleciło Potockiemu opracowanie retoryki: podjął się, ale, gdy mu kazało rozwinąć «całą naukę», to go «przestraszyło». Mimo przestrachu wszakże zasiadł do pracy i w parę lat «dla pożytku młodzi» ją wykończył. Pierwszym jej rzutem, zasadniczem ujęciem jest «Rozprawa o sztuce pisania czyli o stylu», odczytana w Tow. Przyj. Nauk dnia 7 stycznia 1813 r. («Roczn.» X. 28—58; «Pochwały, mowy...» cz. II. 277). Prawd jej nie zdobył autor własną walką myśli badawczej: bierze je z Cycerona, Longina, Kwintyliana, a przyznaje się, że głównie poszedł za Rollinem i Buffonem. Ostatniego z nich odrazu się wyczuwa ze zdań: styl sięga do serca, styl jest samym człowiekiem, a «ulanie jakby w jednę sztukę» — prawem; naśladowanie nigdy nic nie wytworzyło. Ale cały ten cudzy dorobek przetwarza Potocki w głębokie przekonanie własne. Trzy są style: prosty, środkowy (mierny) i najwyższy (szczytny). Ten trzeci «rządził nieraz Grecyą i światem». Wspólnym wszystkich celem przekonanie, podbicie umysłów. Prostota jest najtrudniejsza; przesada zabija; kwiecistość ośmiesza; szczytność wymaga wielkości przedmiotu. W każdej mowie ważniejszej znaleźć się muszą wszystkie trzy style; trudność w łączeniu i doborze. W każdym rodzaju obowiązuje całkowitość, niepodzielność, jak w naturze, która «zawsze daje całki». Wszelako «nie pisze dobrze, kto pisze tak, jak mówi, choćby mówił dobrze» (46). Styl wypływa z rozsądku, z duszy i ze smaku. Ton, czy regestr stylu zależy od zgodności wysłowienia z naturą przedmiotu. Wiedza, biegłość, wynalazczość są zewnątrz człowieka; styl jest samym człowiekiem. Styl i język, mianowicie polski. Giętkość tego języka wynagradza go za ubóstwo wyrazowe. Wszystko to w owej rozprawie zasadniczej. — Gdy Potocki miał pisać dzieło, do wskazanych wyżej przewodników przybyli mu z Grecyi Arystoteles, z Francyi Blaire i Thomas, wreszcie Szwajcar Laharpe, i dostarczyli nader obfitego zasobu historyczno-krytycznego. Dzięki tej zasobności mógł już na siatce pojęć powyższych roztoczyć rozległy obraz sztuki wymowy i sztuki

pisania w starożytności klasycznej, w pseudo-klasycyzmie i w dalszych do końca XVIII w. przejawach myśli francuskiej. O innych narodach, literaturach i mówcach cicho w dziele; jeżeli się co znajdzie, to tylko z łaski przewodników. Historya, operacya na źródłach przytłoczyła myśli i zasady. Powstała książka niezdarna i jednostronna, napisana bez należytej staranności o styl, ale mimo to wiele zdań, poglądów i zestawień rozumnych czytelnikowi dająca. Mamy w niej wymowę naradną (publiczną, sejmową), sądową, kazalną, pochwalną, akademiczną, filozoficzno-moralną i filozoficzno-praktyczną (T. I i II), a przytem wzory z drugiej i z trzeciej ręki. Wielkości francuskie XVII i początku XVIII wieku prawdziwie nas prześladują. Z przyjemnością za to i pożytkiem czyta się Demostenesa i Cycerona (I i III). Orzeźwia nas też całkowity przekład Rousseau'a improwizacyi o naukach i sztukach (II). W tomie IV występują style przedmiotowe, do każdego rodzaju pisania. Tu znowu królują Francuzi; w rozdziale wszakże 20-tym części II, o Historyi, już nie Francuzi myślą za autora, ale on sam korzysta ze szkoły getyńskiej, z «O Historyi» Lelewela (1814) i daje rzecz zajmującą i na dziś jeszcze prawdziwą. Kończy zasadami «dobrego smaku» i zasadami krytyki. Rozprawę o krytyce, odmienną od rozdziału 36-go części II (Tom IV), zakończającego całe dzieło, wygłosił był jeszcze dnia 21 stycznia 1811 r. w Tow. Przyj. Nauk («Roczniki» IX 101—19 i osobno), a odmienny tekst zamieścił w «Pochwałach...» część II, 250 (ob. Bibliografia). We wszystkich trzech opracowaniach tematu wraca do teoryi: duszą nazywa myśli, ciałem styl, smakiem dobór stylu do rzeczy. Ubolewa znowu nad ubóstwem języka polskiego w umiejętnościach, skarży się na ciągłą kuźnię wyrazów, ośmiesza ją później w «Świstku». W przedmowie do niniejszego dzieła przyrzekł był dać inne, umyślnie o stylu polskim, ale go nie dał.

204) *Tom I, str. 299—304. Z rozdz. 12-go części I, „O wymowie naradnej“* [Mowy improwizowane]. Niema wymowa nic trudniejszego, ale nic także, coby ją rzeczywiściej oznaczało, jak nieprzygotowane mówienie; dlatego też dar ten, posunięty do pewnego doskonałości stopnia, jest najrzadszym. Tym sposobem mówiącemu nie tylko rzecz dokładnie posiadać należy, ale tę w wystawieniu jej łatwość i prędkość, co wraz myśli i właściwe im wyrazy podaje. Piszący w zaciszy ma czas zakreślić rys ogólny mowy swojej, ma czas przystosować jej części, ma czas dobrać i uporządkować dowody, ma czas rzecz każdą na swojem miejscu położyć i właściwemi upiększyć ozdobami, bądź myśli, bądź stylu, ma czas wszystkiemu poprawę i jedność nadać. Lecz tutaj wraz składać i mówić przychodzi; niepoprawnym jest błąd popełniony, zmazać on *[tak]* się nie daje: więc koniecznie ustrzedz go się należy, a przynajmniej być

pewnym niepopełnienia takich, coby zbyt rażącymi były. Trzeba temu, co się mówić o jakiej rzeczy publicznie odważa, wszelkiego zasobu znajomości do niej stosownych, prócz tych ogólnych wszelkiego rodzaju wiadomości, bez których światły mówca obejść się nie może. Bo kiedy ten, co pisze swobodnie, ma czas i zręczność poszukiwania tego wszystkiego, co do mowy jego służyć może, czyniący z głowy mieć to przy sobie powinien i umieć natychmiast jak najjaśniej innym przedstawiać; trzeba mu tego smaku, tego czucia, tego dotknięcia, które uczy znienacka zmieniać ton stosownie do przedmiotu, do zdarzenia, do okoliczności: tu być prostym, tu być jędrnym, tu być czułym, a wszędy naturalnym i jasnym. Trudnem jest, zaiste, to wszystko, i dlatego nieprzygotowana wymowa najwyższym jest jej stopniem; lecz ma ona nawzajem ułatwiające pomoce i rzetelne nad przygotowaną korzyści.

Pierwszą jest wrażenie, które na słuchaczach sprawia; zimnem jest przy niem napisanej mowy czytanie, a gdyby się nawet kto jej nauczył na pamięć i jak najzręczniej ją wymówił, nigdy ona tego ognia, tej żywości mieć nie będzie, jakie daje momentalne natchnienie. Niepomału wznosi umysł mówcy widok często burzliwego zgromadzenia, co głosu jego w głębokiem słucha milczeniu. Rozszerza się, rozprzestrzenia myśl jego w miarę miejsca i liczby słuchaczów i kusi o przedmioty równie wielkie, jak ten, który widzi przed sobą; nim ośmielony, mówca śmie, co tylko może, a możności jego nie ścieśnia ani miejsce, ani słuchacze. Któżby się z ludzi wymownych odważył, roztrząsając przedmiot jaki z przyjaciołmi lub z uczniami, wznieść do tej wysokości myśli, wyrazów — zgoła, tonu — do jakiej go wznosi sama przytomność tysiącznych widzów, pilnie słuchających słów jego? z których każdy, że tak powiem, własny tłumi oddech i zawisł od ust jego. Ten tylko, co nie doznał korzyści takowych, może nie czuć, ile sprzyjają nieprzygotowanej wymowie, ile zachęcają i ile jej mocy, ognia i sprężystości dodają. Dlatego też płynniejszą, tkliwszą, zgoła, więcej zniewalającą, niżeli przygotowana, wydaje się ona słuchaczom. Ma jakiś ton natchnienia, co ich żywiej dotyka; zgoła, mówi ona do nich duchem wymowy, a przygotowana — jej tylko językiem. Porywczość jej zastanowić się nie dozwala nad lekkiemi stylu

skazami, których się w tym rodzaju ustrzedz niepodobna; i, zaiste, lepiej jest dopuszczać ich się niekiedy, jak *[tak]* przez zbytnią staranność w unikaniu zatrzymywać lub przerywać bieg mowy, jąkać się i wahać w wysłowieniu; bo wtedy słuchacz, dzielący wszelkie mówcy uczucia, z nim wpada w obawę, by ta niepewność nie uszkodziła osnowy rzeczy jego: zgoła, jest to uczucie równie nieprzyjemne dla mówiącego, jak dla słuchacza, którego, ile możności, ochraniać mu należy. Dlatego lepiej mniej dokładnie rzecz powiedzieć, jak, poszukując tej dokładności, wpadać w niepewność i obawę. — Otóż niektóre uwagi o nieprzygotowanem mówieniu, w doświadczeniu czerpane, a którymby łatwo więcej dodać, gdyby nie wstrzymywała ta uwaga, że ten talent jest raczej natury darem, jak skutkiem przepisów nauki; bo choć ona jest koniecznie do niego potrzebną w dzisiejszym społeczności stanie, nie ona go przecież nadaje, bo on się i w prostych, i w dzikich ludziach w stosownym do ich uczuć i potrzeb stopniu niekiedy znajduje.

205) *T. III. str. 283—9. Z rozdz. 11-go części II „O początkach i naturze figur“* [Postaci mowy]. Przystąpmy do roztrząsania początku i natury figur, mianowicie tych, które zawisły od wyrazów. W tej liczbie obejmę ten liczny ich udział, który Retorowie tropami nazwali. W czasie pierwiastkowego ukształcenia *[tak]* języków, ludzie zaczęli od nadania imion temu, co najczęściej uderzało ich oczy, albo o czem najczęściej myśleli, a to imiennictwo bez wątpienia długo nader ograniczonem było. Lecz w miarę pomnożenia *[tak]* się ich pomysłów i znajomości większej liczby przedmiotów, wzrosło tworzenie imion; ale było i może jest niepodobnem, żeby język dostarczał wyrazów różnych do wszystkich pomysłów i wszystkich przedmiotów. Starali się więc ludzie uniknąć pracy nieskończonego słów wynajdywania, a wraz, by ulżyć ciężaru pamięci, użyli słowa, już przysposobionego do jakiej myśli lub rzeczy, by niem inną wyrazić, co się mieć zdawała z pierwszą jaki związek. Tak przyimek *w* był początkowie wynalezionym do wyrażenia miejscowej okoliczności, naprzykład: «człowiek był zabitym *w* lesie», następnie zabrakło słów do wyrażenia stosunków ludzi z pewną posadą fortuny lub umysłu; a mniemając widzieć niejaką styczność między tym i ciał położeniem, użyli przyimku

[tak] w, by wyrazić pewne okoliczności: np. «jest w zdrowiu złem lub dobrem, w radości lub w smutku, w niepokoju lub w spokojności». Widzimy, że wtedy przyimek *w* sprawił skutek tropu, to jest, że go użyto w sensie różnym od jego pierwszego znaczenia, by wyobrazić nowy przedmiot, co się zdawał mieć niejakie podobieństwo z tym, który pierwiastkowo oznaczał.

Zwroty tego rodzaju są pospolitymi we wszystkich językach i widocznie wskazują brak osobnego wyrazu dla każdego przedmiotu. Słowa, początkowie wyobrażające rzeczy widoczne, były odtąd użytemi we wszystkich prawie mowach do wyrażenia czynności rozumu, mianowicie zaś jego skłonności. Przyczyna tego jest nader prostą: imiona rzeczy widzialnych pierwsze wynaleziono w wszystkich językach i następnie przystosowano do przedmiotów myśli, którym ciężej było znaleźć nazwiska dla nader niedokładnego ich pojęcia.

Pożyczono więc imie lepiej znanego pomysłu, co wystawiał wyobraźni niejaką stosowność; i tak mówimy: *«wrzask przeraźliwy, krew zimna, zakamieniałe serce, jasne rozumowanie, człowiek zapalony gniewem* lub *gorejący miłością, nadęty pychą* lub *zalany łzami* etc. i nie mamy innych wyrazów, coby mocniej malowały te pomysły.

Lecz, chociaż niepłodność języków albo brak słów rzeczywiście przyłożył się do wynalezienia zwrotów, ta okoliczność nie jest przecież ani jedynem, ani naczelnem źródłem tej postaci mowy. Wpływowi nad nią imaginacyi winniśmy przypisać początek zwrotów i ich bujne rozpłodzenie. Przedmiotom, sprawującym wrażenie na ludzkim rozumie, towarzyszą okoliczności i stosunki, które nas wraz uderzają. Nigdy ich nie dostrzegamy odrębnym sposobem, to jest odzielonych od wszelkiej innej rzeczy. Zdają się powiązane z jakim przedmiotem, co je poprzedza albo co idzie za niemi, to jest z skutkiem albo z przyczyną: tym sposobom każdy pomysł, lub każdy przedmiot wystawia zawsze inne pomysły, któreby można uważać, jako rzeczy dodatkowe, co niekiedy żywiej uderzają wyobraźnią, jak *[tak]* przedmiot naczelny. Stąd pomysły mogą być przyjemniejszymi lub łatwiejszymi do objęcia, albo przypominać pamięci naszej większą rozmaitość ujmujących okoliczności. Przyjemniej na nich

spoczywa myśl nasza: a zatem, zamiast użycia właściwego imienia naczelnego pomysłu, który chce wyobrazić, używa imienia pomysłu odpowiadającego lub dodatkowego, chociaż naczelny ma swoje imie właściwe i znane. Stąd wynikło, iż niezmierna rozmaitość tropów wcisnęła się w języki, mniej jeszcze przez potrzebę, niż przez wybór, a żywość ludzkich wyobraźni codzień je pomnaża.

Tak, kiedy chcemy wskazać epokę, w której człowiek jaki używał najwyższego stopnia chwały swojej, chociaż łatwo jest wyrazić myśl tę słownie, wiąże się ona w imaginacyi naszej z pomysłem o roślinie lub drzewie w największej ich mocy, i mówimy: «*kwitnął w tym wieku, kwitnął w Rzymie lub w Polszcze*» etc. Zamiast powiedzenia, że człowiek kieruje jakiem stronnictwem, mówimy: że «jest na czele jego». Głos początkowie wyobrażał dźwięk, który usta wydają; dziś mówimy: «*daję głos za tym, biorę głos przeciwko temu*»; co więcej używamy słowa tego, by oznaczyć wolę albo sąd, gdzie rzecz bynajmniej nie idzie ani o głos, ani o dźwięk żadnego rodzaju; a to kiedy mówimy: «*słuchać głosu*, lub *iść za głosem sumnienia, za głosem Boga, za głosem przyrodzenia, za głosem miłości ojczyzny*» etc. Ten obyczaj mniej jest skutkiem braku właściwych wyrazów, niż niejakiej przyjemności, którą znajdujemy w przybraniu pomysłu naszego okolicznością, której moc i żywość podobają się wyobraźni naszej.

Niniejsze uwagi o zwrotach i o sposobie, którym we wszystkie języki wprowadzonymi zostały, zgadzają się z tem, co Cyceron o nich powiedział w trzeciej księdze O mówcy: «Sposób przenoszenia słów jest nader obszernym; zrodziła go najprzód potrzeba, niedostatkiem i ubóstwem do tego znaglona; potem zaś wsławiło go upodobanie i przyjemność. Jako bowiem szaty, naprzód przeciw zimnu wynalezione, potem użyte zostały do ozdoby ciała i oznaki godności, tak słów przenoszenie, skutek niedostatku, wzrosło upodobaniem».

206) *T. IV. str. 80—91. Z rozdz. 20-go części II. „O historyi“* [Dziejopisarstwo]. Chcący dopełnić zamiaru historyi, pisarz przywięzywać *[tak]* się powinien do odkrycia tajnych sprężyn czynów i pierwszych przyczyn zdarzeń, które opowiada. Ku temu trzy rzeczy są mianowicie potrzebnemi: głęboka ludzi

znajomość, obszerne światło o polityce i naturze rządu, nakoniec biegła dyalektyka, czyli ten rodzaj krytycznego rozumowania, co umie rozwikłać rozmaite podania, rozróżniać język namiętności od szczerości, zgoła fałsz od prawdy, nie zawierzając innej powadze, jak zdrowego rozsądku i oczywistości. Pierwsza z tych rzeczy jest konieczną do wytłumaczenia postępków ludzi i odkrycia ich charakteru; druga, by zdać sprawę o rewolucyach i o wpływie przyczyn politycznych na publiczne sprawy; trzecia, by przekonać, że w tem wszystkiem twierdzenia piszącego są oparte, nie na łatwowierności, nie na ślepem zadufaniu, lecz na ścisłem przyrównywaniu rzeczy i ich podobieństwie do prawdy, jako też udowodnionej powadze pisarzów: zgoła, na światłem rozumowaniu, co rozwidnia rzeczy wątpliwe, a niewątpliwym najwyższy stopień oczywistości nadaje.

Co do dwuch ostatnich przedmiotów, to jest co do świateł politycznych i zdrowej krytyki, pisarze dzisiejsi nad dawnymi górują, bo posiadają korzyści, na których tamtym zbywało; dlatego mamy prawo wyciągać [= *wymagać*; wiek XVIII] po nich ściślejszej dokładności. Już to uważałem *[T. I, rozdz. 7-my części I]*, że świat był niegdyś mniej, jak *[tak]* dziś, przystępnym; krainy sąsiedzkie nie miały tylu związków i mniej obcowały z sobą. Nie wysyłano posłów, stale przemieszkujących, nie znano poczt, zbywało na drukach, a każdy naród mało co był świadomym tego, co się za jego granicami działo. Dawni więc Historycy nie mogli nabywać, jak tylko późnych wiadomości, i po wielkiej części niedokładnych. Trzeba także uważać, że pisali jedynie dla swoich współobywatelów, a nie dla cudzoziemców, którymi gardzili, a mniej jeszcze ku ogólnej nauce ludzi. Dla tej to przyczyny tak powierzchownie obejmowali szczegóły wewnętrznej polityki swojej; a chociaż w owych czasach miłość wolności mocno ożywiała ludzi, może dalekimi byli znania wpływu rządu i przyczyn politycznych tak dokładnie, jak dzisiejsi, których dłuższe doświadczenie we wszystkich rodzajach rządów oświeciło i przeniklejszymi uczyniło w sprawach publicznych. Te przyczyny równie się ściągają co do krytyki; dodać do nich należy mniej uprzątnione, jak za czasów naszych, przesądy, nie tak obfity zbiór materyałów, jak go dziś mamy, do porównywania i sądzenia zdarzeń historycz-

nych. Pochlebstwo piszących dla własnych współobywateli, których chełpliwość przeważała nad krytyką i lubiła to wszystko, co ich w własnych wznosiło oczach, nakoniec tok przejęty w pisaniu historyi, co się więcej za ozdobami stylu i wymowy ubiegał, niż za ścisłą rzeczywistością poszukiwań krytycznych, które są rzetelną dobrych historyków naszych zaletą, i co im w ścisłem znaczeniu historyi, to jest w wystawieniu prawdy, wyższość nad dawnymi nadają. To wszystko wytłumaczyć może, dlaczego dawni, którzy tak biegle opisują zdarzenia, często sposobem nader niepewnym wskazują nam przyczyny polityczne, wpływające na nie. Historycy Greccy wcale nas niedokładnie uwiadamiają o siłach i bogactwie różnych państw Grecyi, o przyczynach ich częstych rewolucyi, o ich domowych sprawach lub zobopólnych. W historyi Rzymu Liwiusz miał niewątpliwie obszerne pole do rozwinięcia znajomości politycznych o postępie potęgi jego i o korzyściach lub wadach rządu; przecież nie znajdujemy w nim jak nader ograniczony widok tak ważnych przedmiotów. Liwiusz jest, zaiste, wysoce wymownym pisarzem; wszystkie jego opowiadania są największej wspaniałości, lecz nie można rozciągnąć jej chwały do rozumowań i przenikłości jego. Salustyusz, opisując spisek przeciwko rządowi, coby powinien być historyą polityczną, oczywiście więcej się zaprząta wybornością opowiedni i malowaniem charakterów, niż odkryciem przyczyn tajnych. Zamiast dania nam poznać stronnictwa, które wtedy Rzym dzieliły, i okoliczności, co czyniły Katylinę tak strasznym, przestaje na wyrzekaniu przeciw zbytkowi i zepsuciu czasu swego, który porównywa z szczęśliwą prostotą upłynionych wieków.

Dalekim wszakże jestem od wymawiania wszystkim starożytnym historykom niewiadomości politycznej. Tucydydes, Polibiusz i Tacyt są w tym rodzaju pełnymi nauk pisarzami. Mądry i rozsądny Tucydydes nie zaniedbuje nigdy dokładnych wyjaśnień o tem, co opowiada; przedstawia korzyści i nieprzyzwoitości wszystkich podanych lub przysposobionych środków. Polibiusz celuje w politycznych widokach, w przenikłości systematów i w głębokiej spraw wojennych znajomości. Tacyt znał do gruntu serce człowieka i odmalował ludzi z równą prawdą, jak przenikłością i mocą.

Lecz kiedy żądamy, by historyk wystawiał nam głębokie i nauczające widoki, nie rozumiemy przez to, iż powinien zawieszać bieg historyi dla uwiadomienia nas o widokach i uwagach swoich, lecz że powinien dać nam dostateczne objaśnienie, ku rozwinięciu spraw, które opowiada; że powinien nas oswoić z konstytucyą polityczną, z siłami, dostatkami, położeniem wewnętrznem, interesami i związkami zewnętrznymi, nakoniec z całą zamożnością kraju, którego pisze historyą; trzeba, by nas postawił na wysokości, skądby się nasz wzrok rozciągał aż do przyczyn, co przywiodły zdarzenia; lecz, dostarczywszy nam najlepsze *[tak]* sposoby sądzenia, sam wyrokować nie powinien. Obawiamy się, naturalnie, by historyk, który rozumuje o tem wszystkiem, co mu się nastręcza, nie nakręcał niekiedy zdarzeń do swego systematu. Szczególniej w opowiadaniu wiernem i rozsądnem polegać powinno nauczanie historyi. Kiedy idzie o czyn wątpliwy, co wymaga roztrząsania, albo o jakie wielkie zdarzenie, którego przyczyny lub okoliczności dzielą mniemania, historyk zawiesić może na chwilę opowiadanie, lecz rzadko kiedy dozwalać sobie tego powinien.

Przystąpmy teraz do przymiotów opowiadania historycznego. Historya, będąc *[tak]* właściwie obrazem przeszłych zdarzeń, rzeczą jest oczywistą, że sposób opowiadania ich wpływ wielki mieć musi: i żeby się przekonać, iż jeden jest lepszym nad drugi, dość uważać różny skutek, który sprawuje taż sama historya, opowiadana od dwuch różnych osób.

Pierwszy przymiot opowiadania historycznego polega w jego jasności, porządku i związku przyzwoitym; lecz, mówiąc o jedności *[w T. IV. rozdział 20-sty części II]*, jużeśmy dostatecznie rzecz tę wyłuszczyli. Rodzaj wyniosły składni historycznej wymaga, żeby ton poważny ciągle się utrzymywał w opowiadaniu. Styl jego nie przypuszcza wyrazów pospolitych i nieszlachetnych, również żartów, ucinków i przysadności rozumu. Historyk może niekiedy zniżyć ton dla przerwania jednostajności opowiadania swego, co zbyt przedłużone tęsknem staje się; lecz strzedz się powinien, by go nazbyt nie zniżył, a jeźli zdarzenie pocieszne zasługuje na wspomnienie, lepiej go *[tak]* w przypisku umieścić, jak wcielić do dzieła.

Lecz jasność i powaga nie są dostatecznemi. Mimo tych

przymiotów historyk mógłby być ociężałym i nieprzyjemnym. Powinien więc przywięzywać się do nadania pociągu opowiadaniu swemu, i ten to mianowicie przymiot wskazuje gieniusz i wymowę pisarza.

Dwie rzeczy do tego przyłożyć się mogą: pierwsza polega w unikaniu porywczości, co napełnia opowiadanie czynami pomieszanymi, i rozwlekłości, co daje szczegółom zbytnią rozległość. Trzeba, by pisarz umiał rozróżnić, gdzie zwięzłym, gdzie obfitym być przystoi; zlekka dotykać mało znaczących zdarzeń, a starownie wyłuszczać te, co więcej pociągają, albo których skutki zasługują na uwagę. Powtóre, powinien baczyć na wybór rozsądny okoliczności, należących do zdarzeń, których chce dać opis dokładny. Rzecz, sucho opisana, nie zostawia w rozumie *[nic]* jak mierne wrażenia: za pomocą przyzwoicie dobranych okoliczności może jedynie pisarz pociągnąć i wzruszyć czytelnika; użycie ich w opowiadaniu jest tem, co zowiemy malowaniem lub opisem historycznym.

Niektórzy z starożytnych historyków celowali we wszystkich częściach sztuki, mianowicie zaś w opisaniach. Takie jest źródło upodobania, którego doznajemy, czytając Herodota, Tucydydesa, Ksenofonta, Liwiusza, Salustyusza i Tacyta. Lecz wnet o tem obszerniej mówić będziemy, jako też o tych mowach, któremi dawni zdobili składnie swoje historyczne, a których surowsza krytyka nie dozwala prawie użycia dzisiejszym.

Malowanie charakterów jest jedną z najwspanialszych, a wraz z najcięższych ozdób historyi. W tym rodzaju zwykle świetnych obrazów pisarz, co chce jaśnieć, wpada często w zbytek wyszukania. By uderzył głębokością przenikłości swojej, zgromadza tyle przeciwności, tyle przymiotów, z sobą walczących, że te błyskawice wyrazów raczej przerażają oczy nasze, niż oświecają wskazany im przedmiot. Pisarz, co chce ocechować osoby swoje sposobem nauczającym, powinien używać stylu prostego, unikać wszelkiego wyszukania wyborności; nie dość, by nam dał rys obwodów: trzeba, by wyraźnie zakreślił naczelne podobieństwa znamiona. Historycy Greccy dają niekiedy pochwały, lecz rzadko przedsiębiorą malować charakter. Między dawnymi Tacyt i Salustyusz uchodzą za najbieglejszych tej części składni.

Historya, będąc *[tak]* przeznaczona do nauki ludzi, wiele na tym zależy, by w niej niezmiennie panowała zdrowa moralność. Czyli maluje charaktery, czyli opowiada zdarzenia, pisarz powinien zawsze okazywać się przyjacielem cnoty, nieprzyjacielem występku; bo oprócz innych niepomyślnych skutków, któreby sprawiła w tem obojętność jego, poniżyłby godność historyi i składnią swoję zimniejszą i mniej pociągającą uczynił. Zawsze więcej przywięzujemy się do zdarzeń, kiedy ich opowiadanie wzbudza w nas współczucie; lecz historyk nigdy tego nie sprawi skutku, jeśli nie posiada ani czułości, ani cnót moralnych.

207) *T. IV, str. 558—64. Z rozdz. 34-go części II «O krytyce»*. Nie same tylko piękne nauki i sztuki są pod opieką k r y t y k i, i nie do nich jedynie dozór się jej rozciąga. Niemasz znajomości, niemasz tak wysokiej umiejętności, niemasz tak oderwanej, tak filozoficznej, coby z pod niej wyłączoną była, coby za jej nie wzrosła pomocą. Za powstaniem nauk rozwidniła krytyka ciemnotę rękopismów, po większej części klasztornej wyrwanych pleśni, dopełniła ich, zaniedbaniem czasów uszkodzone liścia *[= karty]*, sprostowała niezliczone pomyłki, grubą przepisujących niewiadomością i barbarzyństwem wieków zrządzone. Zgoła, jej winniśmy przywrócenie nam tych skarbów, tych wzorów jedynych w całej dokładności, w jakiej tylko zwróconymi nam być mogły. Te to użyteczne prace może się najwięcej przyłożyły do powrotu smaku dobrego, który się dziś niemi gardzić zdaje. Erudycya, za pomocą krytyki wyrywając ciernie, okrywające zwaliska, pod któremi zagrzebany krył się od wieków starożytności jeniusz, usłała do niego ten przystęp, te drogi, które z czasem smak dobry okrył kwiatami.

Jużeśmy wspomnieli, ile historya winna krytyce. Ona rozpędziła grubą Chronologii pomrokę, ona rozwikłała zamieszanie ludzi, czasów i wieków, ona niepewnej dat nauce pewność i gruntowność nadała; a jeźli głębokiej nocy czasów aż do gruntu przebić nie zdołała, to jedynie dlatego, że czynność krytyki, wraz z dowodami ustając, uczy nas nie kusić się próżnie o to, co jest do docieczenia niepodobnem.

Wszak za niemałą przysługę krytyki i to liczyć należy, że nie tylko wszystkim prawie poszukiwaniom naszym pewny

dała kierunek, ale i pewne położyła granice, a tym sposobem ochroniła próżnych usiłowań i pracy rozumowi ludzkiemu, zawsze nad możność przedsiębrać śmiałemu i tego często najuporczywiej poszukującemu, czego najmniej dociec można. Lecz wracając do historyi, krytyka dzisiejszym jej pisarzom wskazała tor prawdziwy, co lepiej ludzi, obyczaje, rządy, zgoła, duch *[tak]* wieków poznać daje, a nawet zdarzenia z większą rozwija pewnością. Dawni historycy wyższymi byli mowcami; dzisiejsi prawdziwszymi, dokładniejszymi historykami, słowem, więcej od tamtych tem, czem być powinni. Lecz ogólniejsze jeszcze korzyści zjednało światło krytyki, które rzucił jeniusz Bakona na wszystkie umiejętności i nauki. Stanowi ona najpamiętniejszą epokę w dziejach ludzkich umiejętności przez wpływ szczęśliwy, który na nie miała, zmianę, co w nich sprawiła, wzrost, który im dała.

Jak tylko jeniusz Bakona, natchnięty od światłej krytyki, wskazał umiejętnościom prawidła, zniknął nieład, znikła otaczająca je przesądów pomroka, a natomiast rozwinął się pewny łańcuch znajomości ludzkich i właściwy każdy porządek. Tę wielką zmianę winny umiejętności nieśmiertelnej Bakona krytyce, która, im odtąd towarzysząc, doprowadziła je drogą oczywistości i doświadczenia do tego wysokiego stopnia ich udoskonalenia, którym się wiek nasz szczyci nad inne. Jakoż niemasz żadnej umiejętności, nawet najoderwańszej, coby krytyce wiele winną nie była, którejby ona nie oznaczyła właściwego dążenia i granic, którejby nie oczyściła z tego, co jej jest obcem, lub z tego, co w nią wcielił przesądnie długi nałóg; zgoła, wszędy krytyka stała się drogą do rzeczywistości i prawdy.

Nie tylko więc równemi, ale użyteczniejszemi są przysługi krytyki w tym rodzaju, niż te, które smakowi dobremu, naukom i sztukom świadczy. Lecz nie dość jej było umiejętności na pewną naprowadzić drogę: ona je, za wskazaniem smaku dobrego, nauczyła mówić ujmującym językiem; ona suchość umiejętności przyozdobiła wdziękami jasności i stylu, ułatwiła i przyjemną uczyniła filozofią i najgłębszą mądrość. Nie mówię tu o tej wytwornej, o tej wyszukanej przyjemności, o tych wdziękach kwiecistych, niegodnych powagi tak wysokich przedmiotów, którymi je nieraz zły smak uprzyjemnić mniemał, lecz o tym tonie prostym, jasnym, wraz wyniosłym i przyjemnym, który dobrą kry-

tyka umiała nadać najoderwańszym pracom pisarzów smakownych, ustawnie ich o tem przestrzegając, że głębokość nie jest ciemnotą i że ukryta we dnie studni prawda nie mniej dlatego jest jasną.

I to jeszcze co do krytyki uważać należy, że osobliwszym trafem łączy w sobie władzę prawodawczą i sądową. Z jednej strony jest ona prawodawczą, bo jej przepisy nadali sztukom i naukom ci pisarze, których jeniusz rozbiorczy wyciągnął je z dzieł naczelnych, co przykładem poprzedziły naukę, co w wykonaniu zamykały prawidła; z drugiej, jest ona sądową, a nawet wykonawczą, strzegąc dopełnienia własnych przepisów i wyrokując przeciw wszelkiemu im uchybieniu, których się tak często niedołężność lub chciwa nowości lekkomyślność dopuszcza.

Otóż czem jest krytyka, otóż wielki jej urząd, który, jakeśmy już rzekli, wymaga niepospolitych znajomości i talentów, by krytyka na równym z swoim przedmiotem postawił stopniu. Dlatego też wielcy krytycy byli we wszystkich czasach rzadszymi jeszcze, niż wielcy pisarze, a prawie wszyscy wraz te łączyli przymioty.

D) Mowa
na obchód pogrzebu Józefa ks. Poniatowskiego (1816).

(«Pochwały, mowy...» część II, str. 397—460: «Rocznik Tow. Przyj. Nauk» XI, 393—447; tu z «Roczników»).

Przygotowana na obchód w Katedrze Wawelskiej, odczytana w Towarzystwie dnia 30 kwietnia 1816 r., zaczyna się okrzykiem: «Próżność nad próżnościami!» Na ziemi Bóg tylko jest wielkim. Biblia nastraja mówcę, daje mu tworzywo do zestawień, porównań i sentencyi, zwłaszcza księga Psalmów. W toku życia Poniatowskiego przypomina Potocki chwilę, kiedy po przystąpieniu króla do Targowicy synowiec wahał się, czy stryja usłuchać. W roku 1794 z Wiednia na ratunek ojczyzny pośpieszył. Pod Warszawą «dziwnie niedostrzeżenie, czy pomyłkę, wetuje, wpada, jak piorun, na nieprzyjaciela; klęską mści się nad nim lekkiej korzyści» (26-go sierpnia). Po nowym upadku i nowym powrocie nie chce służyć Prusakom; traci za to majątek. Życie pod Blachą mówca zasłania zupełnie przed widzem-słuchaczem. Po roku 1806 Poniatowski, minister wojny, występuje przeciwko sile pod Raszynem pięćkroć, pod Wrzawą czterykroć wyższej. Drżał już Ołomuniec, gdy Polacy weszli do Krakowa. W roku 1812, kiedy Napoleon Hieronima odpędził, a Poniatowskiego do Smoleńska wezwał, wszyscy już myśleli, że korpus polski wyruszy na Ruś. Malowniczo o po-

gromie (str. 424—26), o Berezynie (426—27). Bitwa pod Lipskiem (431—34); powiew z Psalmów na żałosne zwłoki człowieka, żołnierza i patryoty (437). Szereg prozopopei kończy całe wspomnienie, a rozjaśnia je radość ze «wskrzeszenia Polski» (445—46). Gdy w roku 1811 Potocki swą rzecz nawet o krytyce zakończył istnym pożarem uwielbień dla Napoleona, teraz, w pięć lat później, kończy mowę żałobną wyznaniem wiary, że cesarza Aleksandra »sam Bóg wypuścił na Napoleona», którego przedtem był wywyższył. Ale takimi byli oni wszyscy: nowy bóg, nowy ołtarz. Co inaczej czuło, skryło się pod ziemię.

208) *Str. 431—4.* [Bitwa pod Lipskiem; Skon Poniatowskiego]. *Z*gromadziła się przeciw Napoleonowi potęga wszystkich prawie Europejskich Mocarstw w rozległych Lipska równinach: on przeciw wszystkim groźne wystawia czoło i, jakby skała, co się wśród zaburzonego wznosi morza, wkoło miasta Lipska niewzruszone stoją roty jego. Walą się na nie wojsk rosyjskich, niemieckich, angielskich, szwedzkich i duńskich nawały; pioruny tysiącznych dział tysiączne inne odbijają; grzmi powietrze ich hukiem, trzęsie się ziemia, krew się leje, śmierć wszędzie lata, wszędzie rzeź panuje, wszędy wrze wojna i sto bitew różnych widzieć może zdumione oko z szczytów lipskich wieży *[tak]*. Oświecają je ku wieczorowi pożarem gorejące wioski, co dnie pogodne tumanami zasępiają dymu. Późno w nocy kończy się wrzawa bitew, huk dział rozpoczyna się od świtu; trwa przez dni trzy z różnem powodzeniem ta walka olbrzymia, ten obraz piekieł otwartych i, że tak powiem, ostatecznego świata zniszczenia. I z taką zaciętością ludzie, których życie jest tak krótkiem, tak nędznem, tak znikomem, tak przemijającem, sami godzą na zniszczenie swoje; nic ich zabójczej ręki pohamować nie zdoływa, jedno niemożność dalszego pokoju. Nie oni wylew krwi własnej wstrzymują, z rozkoszą się w niej nurzać zdają, ale ona nakoniec ich wściekłość gasi i zalewa. O nieszczęsne, o szalone ludzi obłąkanie, na którem się przecież najświetniej w ich oczach mniemana sława opiera!

Mami raz jeszcze los Napoleona: już się zwycięzcą mniema, już to dzwonom lipskim głosić każe, właśnie w tej chwili, w której go szczęście ze wszystkiem opuszcza, kiedy go Bóg chce mieć pokonanym. Wnet mu na sposobach nawet zbywa obrony, a ucieczka ostatnim jego staje się ratunkiem. Niełatwą ona

była i można powiedzieć, że mu ją, znużeni rzezią, sami otwierają sprzymierzeńcy. Powierza on obronę odwrotu cofającego się wojska Poniatowskiemu, który na czele 700 ludzi piechoty i 60 konnych przyjąć jej nie waha się: takie było męztwo, a może i rozpacz jego. Wierny przyrzeczeniu swemu, z taką słabą siłą ostatni rusza z Lipska, lecz wtedy dopiero, kiedy już do niego nieprzyjaciel wkracza. Płynie rzeka pod miastem, której brzegi jedyny tylko most łączy: ku niemu udaje się Poniatowski. Zamyka mu drogę przemożna nieprzyjaciela siła; uderza na nią na czele konnicy swojej i do mostu się przedziera. Lecz, niestety, w poprzedzających bitwach rannego nowy postrzał w lewe ramie godzi, a most po przejeździe Napoleona wysadzony, wrócić mu się na odwrót każe. Wtedy, do otaczających go broni towarzyszów rzekłszy: — Lepiej ginąć, jak Polakom przystoi, aniżeli żyć nikczemnie» — znowu na nieprzyjaciela uderza: drogę sobie wśród niego pałaszem otwiera. Lecz powtórna godzi go obok piersi kula: omdlewa na chwilę, a przyszedłszy do siebie, do towarzyszów, co go zaklinali, by, zostawiwszy komu z przytomnych dowództwo, chciał się jeszcze dla Polski zachować, rzekł: — «Przyjaciele! Bóg mi powierzył honor Polaków, jemu samemu go oddam». Wtem rusza w tę stronę, gdzie rzeka dwoma płynie korytami: przebył z niemałą trudnością pierwsze («Pleisse» zwane. *Przyp. Aut.);* wnet stanął nad głębszem, Elsteru, tak osłabiony, że się zaledwie trzymał na koniu. Przecież, gdy się blizkim schwytania od nieprzyjaciela widzi, śmiało się w Elster rzuca; wspiera omdlewającego odważny Blaichant [Bléchamp]. Już przebył rzekę, już się koń dzielny pnie na brzeg urwisty, kiedy konający spada z niego Poniatowski i w rzece tonie. Zanurza się za nim szlachetny Blaichant i po dwa kroć wznosi go nad wodę; lecz, wnet i sam w bystrych nurtach pogrążony, z Poniatowskim niknie. Rzucają na ten widok krzyk okropny pozostali tam Polacy, łzy mu nawet żałosne nadbiegli dają nieprzyjaciele, lecz już niemasz ratunku: zniknął na zawsze Poniatowski. Napróżno nawet przez trzy dni ciała jego szukają, które w opodal miejsca tego w bystrych nurtach Elsteru nakoniec znajdują rybacy. Runęła po sprzymierzonych obozach, runęła, jak piorun, po Lipsku w jednem oka mgnieniu nieszczęsna wieść o śmierci Poniatowskiego. Przyjaciele i nie-

przyjaciele równy prawie hołd żalu oddają jego pamięci, bo równy jest dla niego ich szacunek. Świadkiem, niestety, tego byłem; widziały smętne oczy moje te pogrzebowe zaszczyty, które oddał szlachetny nieprzyjaciel złożonym w kaplicy królewskiej zwłokom jego, a co *[tak]* łzy gorzkie wraz ze mną przytomnych Polaków skropiły!

E) Rozprawa o duchu pism Machiawela (1818).

(«Rocznik Tow. Przyj. Nauk» tom XII, str. 226—65).

Tytuł główny uzupełniony dodatkowym: «z uwagami nad tem zapytaniem czyli się z wiekiem świat pogorsza?» Rozprawę tę odczytał Potocki w Towarzystwie dnia 4 maja 1818 roku. Na wstępie dał pojęcie machiawelstwa. Niegodziwość, nawet na tronie papieskim, współczesna Machiawelowi, wywołuje w nim odpowiednie wrażenie moralne. Krótki rys żywota (str. 233—35). Świat postępuje, ale ludzie wydają się sobie gorszymi, niż są. W Księciu odbijają się tyranie włoskie, z któremi autor zestawia arystotelesową (236—38). Machiawel nie naucza, jeno opisuje. Tak go rozumiał Rousseau, gdy mówił, że Książę jest «księgą wolnych ludzi» (239(Ale w zakończeniu Machiawel, opisawszy tyranię, jako chorobę, zaleca ją, jako lekarstwo; jego książka to jakby trucizna, co i zabija i leczy (240). Pisze Włoch dla zbrodniarzy, których los powynosił na trony. Z wyjątkiem jednego rozdziału XVIII: Czy dotrzymywać danego słowa? Książę jest już dziś bez znaczenia dla Europy; możnaby go zalecić chyba tylko despotom azyatyckim (241). Na str. 242—52 zwięzły rozbiór książki, a na 253—65 wyjątki z uwagami własnemi Potockiego.

209) *Str. 235—9.* Za czasów Machiawela Włochy były punktem środkowym światła, stamtąd się po świecie szerzącego, ale oraz krajem najburzliwszym w Europie, bo nie tylko każde prawie miasto kraju tego walczyło o wolność, z której go wielcy i mali tyrani wyzuć usiłowali, lecz krwawe wojny Hiszpanii z Francyą, mianowicie za Karola V z Franciszkiem I, dążyły do całkowitego ujarzmienia tej pięknej krainy, którą tymczasem niszczyły. Tej epoce przypisać należy początek polityki, odtąd wydoskonalonej w Europie, która polega na utrzymaniu równowagi między państwami. Książęta włoscy, mianowicie papieże i Wenecyanie, najprzebieglejszymi się w tej trudnej sztuce okazali. Burzliwy Juliusz II i Leon X, następca jego, zręcznie postąpili sobie z Francuzami, zbyt groźnymi tym nawet, co im otworzyli Włochy, a później Henryk VIII, król an-

gielski, po zadanej klęsce Francuzom pod Pawią niemniej zręcznie zabezpieczył wolność Europy przeciw zamachom potężnego zwycięzcy. Świadek tych zdarzeń, ustawnych rewolucyi i niewoli Włoch, oświecony doświadczeniem, głęboką rozwagą dawnych historyków, nakoniec własnemi uwagami, Machiawel poświęcił się szczególniej polityce i utworzył wspomniane od nas dzieła, z których najgłośniejszą *[tak]* księga jego «O Księciu» stała się, acz jest tą, co mu najmniej zaszczytu przynieść była powinna.

Przecież, właściwie mówiąc, Machiawel nie jest pierwszym, który wskazał systemat tyranii, zamknięty w księdze jego o książęciu: wiekami przed nim zakreślił go Arystoteles w polityce swojej i w tych krótkich zamknął słowach: «Królestwo dochowuje się przyjaźnią i zaufaniem; przeciwnie, tyrania gruntuje bezpieczeństwo swoje na nieufności i z tego powodu sprzyja niewolnikom przeciw ich panom. Tyran nie powinien otaczać się jak tylko drżącymi przed nim służebnikami. Strzedz się ma dopuszczać do stołu swego własnych poddanych, a rzadko kiedy cudzoziemców». W treści, trwałość tyranii, podług Arystotelesa, gruntuje się na trzech głównych zasadach: «nikczemności i nieoświaty poddanych, wzajemnych ku sobie nieufności i niemożności buntowania się i tajnego spiskowania». Drugi sposób polega w naśladowaniu powierzchownem rządu królewskiego, byleby tyran miał zawsze moc w ręku i mógł rozkazywać, jako pan samowolny, w udawaniu przychylności ku publicznemu dobru, w nieobrażaniu gminu rozrzutnym skarbu szafunkiem i dumnym przepychem, w przybieraniu na się postaci nie pana, ale stróża majątku publicznego, nakoniec w zniewalaniu umysłów pozorem przyjemności i łagodności, nie zaś ich obrażaniu twardością i dumą. Tyran powinien zalecać niewolnikom swoim, by nie krzywdzili nikogo, kobietom swoim — by się nie wynosiły nad inne; powinien się ukazywać umiarkowanym w zabawach, szanować publicznie Bogów i zaszczycać mężów znakomitych cnotami, być rozdawcą pochwał i nagród, a wymierzenie *[tak]* kar zostawić sądom. Należy mu mieć tę samą, co królowi, przezorność: niewynoszenia zbyt wysoko poddanego, albo wynoszenia wraz kilku, ażeby się nawzajem śledzili i czuwali nad sobą; nie powinien ufać ludziom butnym i śmiałym, a jeśli ich

zbyt wyniósł, powinien ich zręcznie i nieznacznie poniżać. Niech się nie dopuszcza nagłego im odjęcia wziętości, bogactw i władzy; niech nie zadaje obelg nikomu, niech nie podnosi na nikogo ręki. Niech się wydaje poszukiwać kobiet miłością, miłością, nie rozzwiązłością *[tak]* ku nim wiedziony. Niech utrzymuje zgodę między bogatymi i ubogimi; lecz niech się stara mieć zawsze mocniejszych po sobie, by w potrzebie mógł ich użyć przeciwko drugim. Niech zachowuje podufałość z możnymi dworu swego, a ludowi podobać się stara powierzchowną dobroci postacią».

Nie wymyślił więcej *[= nie więcej wymyślił]* politykę swoją Arystoteles, niż poetykę lub retorykę, acz pierwszy przepisał ich zasady, bo zawsze i we wszystkiem przykłady poprzedziły *[tak]* na nich ugruntowane przepisy. Wyczerpał tedy Arystoteles jedne w dziełach Homera i najlepszych poetów, drugie w Peryklesa, Demostenesa i innych wymowie; przepisów zaś polityki jego dali mu wzór, co do części, o której mówimy, tyle liczni Greccy tyrani, że mu na wzorach w tym rodzaju nie brakło. Sprawdził je przez porównanie w kilkanaście wieków po nim Machiawel i na wzór tego, co widział, w księdze swojej o książęciu rozwinął.

Otóż źródła przepisów, które daje Machiawel książęciu swojemu, popierając je przykładem Cesarzów Rzymskich i Włoskich książąt. Jeśli te obmierzłe przepisy stały się kodeksem niektórych tyranów, coby je byli w czarnej duszy i sercu swojem znaleźli, odkryły one z drugiej strony całą zgrozę ich sztuki rządzenia i wyjawiły zbrodnicze pasmo ich polityki, tak dalece, iż, gdy wielu winią Machiawela o jego szkodliwą naukę, odpowiadają na to drudzy, iż nie więcej on winien, jak ów chemista, któregoby oskarżono, że chciał wskazać zbrodniarzom nieprawe użycie trucizny dlatego, że wskazał jej naturę i rozbiór. Podług ostatnich Machiawel, nauczając niby tyranów, dał w rzeczy nader użyteczną ludziom przestrogę, i tak zdaje się że myślał sławny Rousseau, mówiąc w Społecznej Umowie swojej: «Książę Machiawela jest księgą wolnych ludzi».

F) „Świstek krytyczny“ (1816).

(«Pamiętnik Warszawski» Bentkowskiego r. 1816: Tom IV: str. 479—84; Tom V: 103—18, 207—38, 355—78; 487—98; VI: 122—44, 232—60, 368—95, 504—30).

W tomie IV (kwiecień) wstęp p. t. «Uwagi krytyczne», podznaczony literą «W», która się i w samym «Świstku» powtarza. Dopełnieniem rzeczy głównej są: «Gadający niemowa» z tomu VI, z roku 1816 i tomu VII i VIII z r. 1817; Odpowiedź na pismo, umieszczone w «Dz. Wil.» o Zakonie Smorgońskim i o «Swistku», tom VIII 104; Listy z Kozibrodów względem kawalerów smorgońskich VIII 45; Akademia pacanowska XV 113. Polemicznie wiążą się z satyrą Potockiego: «Uwagi na uwagi krytyczne przez E. E.» (Tom V, r. 1816, maj) i «Odpowiedź...» z Krakowa przez «A.» (tamże); wreszcie dwie nowe odpowiedzi (Tom V 346, 350). W «Uwagach krytycznych» postanawia Potocki «tam śpieszyć na ratunek, gdzie rozsądek lub język polski najbardziej zagrożonymi się znajdą». Druga impreza była dla niego samego niebezpieczną. Zaraz ów E. E. wytknął mu niepotrzebne narzędniki, ale uczynił to spokojnie. Czupurny Krakowianin, ujawszy się za swym marnym nekrologiem (jakiegoś Darowskiego), zakończył nadzieją, że Redakcya «Pamiętnika» nie będzie już więcej drukowała rzeczy tak «lichego» krytyka. Ale i Bentkowski i Potocki nadzieję tę zawiedli: ciągnął się «Świstek» przez cały rok 1816, będąc właściwie «Swistakiem», jak go polemista Lindym przekonywał — tylko niewiadomo: czynnym czy biernym, świszczącym na innych, czy też wyświstywanym przez nich. Bywało i jedno i drugie; ostatecznie świst z «Pamiętnika» zagłuszył gwizdy nieprzyjacielskie. Potocki mierzył głównie we wsteczne pojęcia i skłonności indywidualne, w próżność i pychę, w przesądy, zabobony i ciemnotę, w wielkopaństwo czcze, a niechlujne; o stosunki społeczne rzadko się ocierał, gdy np. piętnował niechęć panów dziedziców ku szkole ludowej lub ośmieszał, prozą i wierszem, żądających moratoryum. Poszedł zatem inną drogą, niż wileńscy Szubrawcy, którzy, nie zaniedbując krytyki, na moralność indywidualną zwróconej, moralizatorskiej, przeważnie jednak, zwłaszcza w r. 1817, wydrwiwali przywary stanów i powołań w ich doniosłości społecznej.

Wskrzeszeniem Smorgoń Świstek wyprzedził Szubrawców. Nie tylko nie ustępując im w wolnomyślności, ale niezawodnie nad nich wyższy, nie wahał się stanąć z nimi do walki i polemizował o liberalizm i «Sześcioletnią korespondencyę arcybiskupa Raczyńskiego» (Tom VI 247, 249, 259). Dążność jego najwyraźniej występuje w Ustawie orderu niedźwiadka (T. V 234—38), do którego później przybyła jeszcze Pacanowska Koza. Stronę społeczną ukazuje Potocki dodatnio we wzorowem gospodarstwie i wzorowem też pożyciu z ludem w Zaciszy, gdzie rządzący młody Wacław i radujący się miłym widokiem jego wuj-dobroczyńca, dusza jasna i piękna, wraz z całym rządem wsi i folwarku przypominają «Pana Podstolego» (Tom VI 122—44). W Zaciszy czuje się Potocki przeniesionym jakgdyby

do Niemiec lub Anglii, a stary szlachcic, w gościnę przybyły, gaduła myśliwy, przenosi go znowu w czasy Augusta III. Próżnicki, Sentymencicka, Modnicka samemi nazwami swemi się tłómaczą. W «Gadającym niemowie», na którego powołuje się Potocki w «Podróży do Ciemnogrodu» jako na swą własność, wydrwiwa bzikowatą grafomanię wogóle, a w kobietach sawantkach nienasycony głód literackiej twórczości. Przestępca gramatyczny we fleksyach i składni, choć o wiele poprawniejszy, niż w «Podróży», nie zawahał się zawołać: «Język polski jest jak Kościół Gallikański: ma swoje swobody».! Zapewne, ale nie takie, na jakie pozwalał sobie autor «Swistka».

210) *T. V. str. 234* [Statut organiczny orderu niedźwiadka]. Najwyższy niedźwiadek z łaski jeniuszu ciemności, mistrz wielki Smorgońskiego Zakonu, pan udzielny królestwa kretów, jeziora raków, wielkiego księstwa sów, hrabstwa nietoperzów, przylądku ślepowronów, wyspy gawronów i wielu miejsc innych — wszystkim wiernym poddanym naszym, noszącym czapki, kapelusze, zawoje, krymki i t. d., wszystkim ślepym, jednookim, zyzowatym, krótkowidzącym — pozdrowienie.

Zaledwie zgodnym wyborem najszanowniejszych towarzyszów naszych na ten wysoki stopień wielkiego Smorgońskiego Mistrza wyniesionymi zostaliśmy, zważając z wielką Radą naszą, iż blask oświaty, który się szerzy w ojczyźnie naszej, a to za pomocą źle myślących ludzi, ciążąc nad oczyma naszemi i nad słabym wzrokiem mieszkańców obszernego kretowiska naszego, a chcąc, ile od nas zawisło, wstrzymać nieszczęsny postęp oświaty i zachować poddanych naszych w tej przyjemnej ciemności, w tych cieniach widocznych, w których ojcowie nasi z takiem szczęściem i upodobaniem żyli;

Dla tych przyczyn, chcąc zachęcić i natężyć usilność najmilszych i najszlachetniejszych przyjaciół naszych, co się tak pomyślnie zakrzątają przytłumieniem szerzącego się coraz więcej światła — ustanowiliśmy wraz z wiernymi towarzyszami i poradnikami naszymi order niedźwiadka, zachowując sobie rozdawanie tegoż w najwyższej kapitule tym, którzy sobie na tak znakomitą łaskę zasłużyć zdołają.

Art. I. Order niedźwiadka składa się, jak następuje: 1) Mistrz wielki, którym jest sam najwyższy niedźwiadek. 2) Wielcy urzędnicy, czyli wielcy niedźwiadkowie. 3) Kommandorowie czyli wyżsi niedźwiadkowie. 4) Kawalerowie niedźwiadka z ka-

gańcem — i 5) prości kawalerowie niedźwiadka bez kagańca. Art. II. Kierować będzie sprawami Zakonu Rada najwyższa, czyli kapituła, pod naczelnictwem mistrza wielkiego. Art. III. Kawalerów wysokich stopniów mianuje mistrz wielki na podanie kapituły po odbytym egzaminie. Art. IV. Prości kawalerowie i kawalerowie kagańcowi nosić będą przy boku jedni srebrną, drudzy złotą ozdobę niedźwiadka na żelaznych łańcuszkach, Komandorowie na szyi, a wielcy urzędnicy przewleczoną od lewego ramienia do prawego boku. Art. V. W uroczystych obrzędach wielcy urzędnicy przyodziani będą skórą niedźwiedzią nakształt płaszcza i czapką nakształt głowy niedźwiedziej, dłuższemi wszakże przyozdobioną uszami, i oni jedni mieć będą prawo noszenia drąga nakształt tych, jakie niedźwiednicy używają. Art. VI. Zakon, mając *[tak]* za cel wygaszenie światła, przypuszczonymi do niego być nie mogą jedno ci, którzy udowodnią cztery pokolenia grubego nieoświecenia tak z ojcowskiej, jak z macierzystej strony. Art. VII. Mają być uwolnieni od wszelkich genealogicznych dowodów: 1) Ci, którzy od lat kilku wyznają zasady zakonu naszego i za nie walczą; 2) Ci, którzy wsławili się czynem jakim znakomitym przeciwko liberalności i oświacie; 3) Zbiegowie i wszelki pisarz, co udowodni, że mieni zdania z okolicznościami, albo, że ma je na zbyciu. 4) Źli pisarze, smak i język psujący, smutno-weseli, nadętopłascy, tęskno-żartobliwi, nadewszystko zawiło-nierozsądni, a to w miarę zaświadczonej dziełami i pismami zdatności i praw swoich do zakonu naszego. Z tego powodu co kwartał odbywać się będzie publiczny egzamin, na którym popisywać się każdemu z barbarzyństwem, niewiadomością i nierozsądkiem swoim wolno. Sędziowie, od nas wyznaczeni, złożą wyborową listę najznakomitszych w tym rodzaju subjektów i z kolei nam ich na miejsca wakujące kawalerów podawać będą. Spis ten, złotemi literami wyryty, wisieć będzie obok tronu naszego w sali wielkich obrad. Art. VIII. Lubo kawalerowie ślubują niewiadomość, nie wyrzekają się w potrzebie złej wiary. Art. IX. Nie powinni oni nigdy spuszczać z oka tych trzech głównych zasad zakonu naszego: zaślepiać, by rządzić; prześladować, by przekonać; czołgać *[tak]*, by się wywyższyć. Art. X. Kawalerowie niedźwiadkowi przyrzekają: walczyć bez ustanku z prawdami

przeciwnemi widokom zakonu naszego; nie wzdrygać się żadnej niedorzeczności, jakożkolwiek oczywistej, ile razy znajdą więcej zysku, niż ohydy w jej popieraniu. Art. XI, Wykonają przed nami przysięgę wiecznej nienawiści ku wszelkiej oświacie, dobremu wychowaniu, dobremu smakowi, myślom liberalnym, zgoła — zdrowemu rozsądkowi. Art. XII. Ażeby zaś przeniknęli się powinnościami swojemi i dochowali rozum w stanie ciemnoty, której naukę rozszerzać winni, czytać będą i rozważać dniem i nocą pewnę *[tak]* korespondencyę kilkoletnią, świeżo wydaną, i inne dzieła tego rodzaju, które im osobnem urządzeniem najłaskawiej wskażemy. Art. XIII. Wykonanie niniejszej ustawy wielkim urzędnikom naszym, w czem do kogo należy, obwieszczenie zaś wielkiemu naszemu kanclerzowi powierzamy. Dan w Ciemnogrodzie, pierwszej nocy panowania naszego. (podpis). Mruczayło Mistrz wielki. Liziłapa kanclerz. Głupiewicz sekretarz.

211) *T. IV. str. 509—10* [Odwiedziny u Pana Próżnickiego]. Jeszcze za dnia stanęliśmy u Imci Pana Próżnickiego, a gdyśmy na podzamkowej grobli tonęli w błocie, bo z okrąglaków wśród trzęsawicy złożonej, huk armat, a raczej jakichści pukawek, oznajmował nasz szczęśliwy przyjazd zamkowi. Przy wjeździe do najbrudniejszego żydowskiego miasteczka, które kiedy w Polszcze widziałem, wznosiła się tryumfalna brama, z deszczek pełnych szpar złożona i oblazłem okryta malowaniem, co może już dziesiąty raz służyła na obchód dnia Imienin gospodarza; skromny jej napis pierwszeństwo sławie i imieniowi *[tak]* Pana Próżnickiego nad Aleksandrów i Cezarów przyznawał. — Wydrapaliśmy się nakoniec niegodziwą drogą do zamku, na wzgórku leżącego. Wypadło naprzeciwko nas dwuch niezgrabnych laufrów, widocznie parobków lub stróżów, dnia tego przyodzianych liberyą, przez rok cały na kołkach wiszącą. W ich tedy towarzystwie przebywszy tryumfalnie most zwodzony i zamkową bramę, wzdłuż muru której Jegomość Pan Próżnicki odmalować kazał obwach *[tak]*, broń prezentujący i jaki niegdyś czy antenaci jego czy on w tym zamku miewali *[tak]*, wjechaliśmy w smutne podwórze nawpół zrujnowanego zamku, którego część tylko mieszkalną była, reszta — opuszczona nietoperzom i sowom. Wyszedł naprzeciwko nas gospodarz z dość

licznym gości orszakiem i pompatyczną mową powitał w domu swoim przyjaciela mego, na którą ten pokrótce odpowiedziawszy, przedstawił mnie gospodarzowi; poczem weszliśmy do brudnego, ale adamaszkowego salonu, gdzie na nas damy czekały.

G) „Podróż do Ciemnogrodu" (1820).

Pobudkę do «Podróży» dało Potockiemu wezwanie «Swistka» do pióra w Nrze 32 «Tygodnika wileńskiego» z roku 1819. Są w Europie, są u nas ludzie — tłómaczy się autor we wstępie — uważający oświatę za «matkę i karmicielkę klęsk rewolucyjnych», gdy właśnie, jako żywo, brak oświaty, namiętności «zhańbiły, zakrwawiły europejskie rewolucye». Drogo kosztowały te przewroty, ale obaliły wiele przesądów. Dziś trzeba się mieć na baczności przeciw tym, którzy «chcieliby wrócić nas do ciemnoty i przesądów feudalnych wieków». Dziełko ma na celu odsłonienie tych ludzi i napiętnowanie «obłudnej gorliwości», pokrywającej tylko «żądzę zysku»; jest jakby dalszym ciągiem «Swistka». Podróż swą odbywa autor wespół z owym Wacławem z Zaciszy. W smorgońskiem państwie Ciemnogrodzkiem odnajduje «Świstek» swój kochany Zakon smorgoński, dostaje się w społeczeństwo czarownic, złych duchów i strachów i w szkodliwsze — rozbójników-panów feudalnych, organizujących rozboje i łupiestwa, urządzających zasadzki, a ciemiężących lud z pomocą duchowieństwa. Widzi wkoło siebie królewską pychę z żebraczą ciemnotą i zbrodniczą chciwością, patrzy na katownie dla ludu, stawiane obok świątyń, dostrzega wszędzie nabożność bezbożną, zabobony i gusła, czary i uroki, wiarę w cuda, mesmeryzm, cudownych lekarzy i illuminatów; obserwacyjne jego oko ogarnąć nawet nie zdoła niezliczonych tłumów, całej armii bonzów, mołłów, szeików, czarnych rabinów w mnóstwie klasztorów, pagód, kaplic i synagog żydowskich, — a wszędzie ciemnota, zdzierstwo, gwałt, fałsz, rozpusta, lenistwo, bieda, brud i niechlujstwo. Duchowieństwo, z władzą teokratyczną, we własnej stolicy, Swiętogrodzie, żyje z oszukiwania wiernych, ludu przedewszystkiem, uprawia rozpustę, bałuje i romansuje; Boga tylko na szyldzie maluje: gotyckie barbarzyństwo! Państwo Ciemnogrodzkie mogłoby wyżywić ze 12 milionów, a ma zaledwie 3 mil. mieszkańców. Żydów huk; pijawki te jednak są złem koniecznem, bo lud niemrawy, sam nie podjąłby funkcyi przemysłu i handlu. Dobra narodowe stanowią $^1/_9$ część powierzchni kraju, ale lud nie ma ziemi, bo ziemia należy do duchownych i baronów, którzy ją zamieniają w pustynię. W całym kraju ukazuje się jedna tylko na rok księga uczona świecka — Kalendarz, a jedyną drukarnię utrzymuje — Inkwizycya święta. Z niej wychodzi dwa razy na tydzień gazeta za pozwoleniem rządu. Inkwizycya pali i ludzi i książki (zagraniczne). Szkoły tylko po klasztorach — a jakie jeszcze szkoły: prawodawcą w nich Arystoteles scholastyków i sama scholastyka, i w dodatku jeszcze

alwar. Przywilej szlachecki żarzy się ponad wszystkiem. Nawet klasztory dostępne tylko dla szlachty, i to starej, z 64 pokoleń, i tak samo prelatury. Najciemniejszy Pan Smorgonii, świadomie oszukiwany przez gubernatorów, celników i kasyerów, podpisuje wszystko naoślep, wierzy, że świat (ziemia) nie jest okrągłym, ale czworograunym, wyznaje religię zabobonu i mroku. Na str. 120, tom II Potocki odrzuca zmyśloną formę bajki i usty Wacława usprawiedliwia się ze zniesienia w roku 1818 wielu nieużytecznych zakonów; od str. 127 odpiera uroszczenia i skargi duchowieństwa; na str. 155 staje w obronie systematu szkolnego w Królestwie — a wszystko to czyni tonem poważnym, stylem jakby urzędowym. Na str. 170 przypomina jeszcze *liberum veto* i augustowskie toasty i bizuny i poddaństwo chłopskie, a na str. 121 tomu III, daje przelotny rys Trybunału owych czasów. Tak pokazane Państwo Smorgońskie zdmuchuje naglą rewolucyę na lepsze, a z dymów i ogni jej korzysta bajka, aby dać podróżnikom możność powrotu do ojczyzny. Satyra, z wielu stron jakby odbijająca w sobie staroświecką Japonię, godzi w rzeczywiste wstecznictwo i samolubstwo i ambicyę rządzenia społeczeństwem, które przejawiały się pomiędzy 1815—20 rokiem w Królestwie, na Litwie i Rusi. Wysłowienie w «Podróży» jest gorsze, niż w jakiemkolwiek innem piśmie Potockiego: Tom I: str. 154 nadużyciów, 226 wyniesły, 229 odmówić łaskę; II: 143 nazwiskowi, 180 zdaniowi, 181 go (wojsko), 224 one (obłąkanie); III: 41 modów kobiecych, 77 ku morzowi, 90 dwoma nymfami, 208 każdy ruszywszy, stanęli; IV: 61 drugą kursę, 75 budowów, 110 szarmyclował, 111 przerzadził, 158 zleceniowi — i wiele, za wiele innych.

212) *Cz. I str. 123 – 9.* Ucichły kotły i trąby na znak, dany od Barona, który temi słowy posiedzenie nasze zagaił: «Rycerze, kiedy nas Opatrzność Boska i męstwo nasze z srogiego wybawiły niebezpieczeństwa, kiedy duchy, czarownice i rozbójnicy haniebnie pierzchnęli przed bronią naszą, po krótkiej, lecz, jak mniemam, krwawej dla nich rozprawie, najprzód mi podziękować Bogom należy za tak oczywistą ich opiekę; potem zapisać ten czyn między pamiętnymi zamku tego, wsławionego od wieków Bohatyrską odwagą przodków moich, jak to świadczą te wojenne godła, na turniejach i zajazdach zdobyte, co zewsząd na tych murach jaśnieją. Niewyrodny potomek Derusowskich rycerzów, nie gnuśnieję ja w spoczynku. Towarzysze broni, waleczni wojownicy, powiedzcie tym zacnym cudzoziemcom, czy jest jaki kopiec rozległych granic włości moich, coby nie był potem lub krwią naszą skropiony, w tej wojnie, którą od, lat 10 z sąsiadami moimi, mniej lub więcej potężnymi Baronami i Bonzami, ciągle i niezwyciężenie toczę. Ujrzycie jutro

o zacni Gościowie, w ciemnych lochach zamku tego okutych w kajdanach ich wazalów i żołnierzy, a stąd osądzicie, jaka jest potęga i męstwo moje. Mam prócz wojska, z któremeście świeże niebezpieczeństwo dzielili, drugie tylu mężnych wazalów, wiernych towarzyszów broni. Czemuż niewczesne przybycie wasze do zamku mego nie dozwola *[tak]* mi przedstawić wam ten kwiat *[tak]* Ciemnogrodzkiej szlachty? Lecz chcecież być świadkami, a jak mi to męstwo wasze wróżyć każe, towarzyszami najsroższej wojny, jaką te okolice za czasów naszych widziały, zatrzymajcie się dni kilka w tym zamku; wyjdzie z niego pod dowództwem mojem wyprawa przeciw zamożnemu klasztorowi, co się gnieździ w niedostępnych górach, a zuchwały bogactwy swemi i kupną opieką sąsiedzkich Baronów, przywłaszcza sobie pastwiska wspólne mu z dobrami mojemi i przystępu do nich broni moim poddanym, a wdziera się w lasy moje, prawem zastarzałego wrębu. Odmówicież mi pomocy waszej, zagraniczni rycerze, w tak sprawiedliwej wojnie? Wy, co, jak mniemam, wędrujecie po świecie, byście od Wschodu do Zachodu, od Południa do Północy imie wasze głośnem uczynili?» — Rzuciłem okiem na Wacława, do którego, jako wojskowego, odpowiedź na tę Bohatyrską mowę należała, którą on natychmiast tak uczynił: «Potężny i waleczny Baronie, zacne i dostojne damy! Poniesiemy w świat wam obcy odgłos cudów męstwa, którymi słynie ten zamek, usłyszy je Europa zadumiona i zapisze imie potężnego Barona Derusa na czele mężnych. Ach, czemuż los przeciwny nie pozwala mi ćwiczyć się w sztuce wojennej pod takim wodzem, i taktyką Ciemnogrodzką Europejską *[tak]* zbogacić! Lecz wola Najciemniejszego Pana woła nas bez zwłoki przed jego Pańskie oblicze. Najwyższym jego rozkazom poświęcić winniśmy nawet tę wiekopomną sławę, której nas obfite żniwo czekało w okolicach zamku tego. Daruj, przezacny Baronie, lecz wiesz, że posłuszeństwo jest pierwszym przymiotem żołnierza, i żem mu wszystko poświęcić winien».

Kiwnął Baron głową na znak udowolnienia, mówiąc do mnie: «Żałuję, zaiste, że ten młody rycerz w szkole mojej zostać nie może; ukształciłbym go na doskonałego rycerza i na prawego szlachcica, jakich pono już w krainach waszych zbrakło». — «Jakżeż — rzecze z żywością Wacław — mniemasz, mości

Baronie, że szlachta nasza zniewieściała? Wolałbym dać mu przeciwne tego dowody, niż cierpieć, by tak gruby błąd dłużej go uwodził». Na co ostrożniejszy nad spodziewanie moje Baron tak odpowiedział: «Przystoi ta żywość młodości, wielbię ją w niej, bo jest oznaką szlachetnego serca; lecz inny był cel mowy mojej: zmierzała ona do świętych, do przyrodzonych szlachcie praw feudalności, niestety, już pono na całym świecie wygasłych, a w tym jednym tylko państwie mądrze dochowanych. W ich zaniedbanej w Europie nauce ćwiczyć ja Wać Pana chciałem i stać się bodźcem męstwu jego do jej wskrzeszenia».

Podziękowałem grzecznie Baronowi za tak życzliwe dla szlachty europejskiej chęci, a Wacław zapewnił go, że ma ona jeszcze żarliwych feudalności obrońców w najświatlejszych Europy narodach, co serdecznie do niej wzdychają. — «Tym lepiej, tym lepiej» — zawołał uradowany Baron, dodając: «Ach, szczęśliwe feudalności czasy, kiedy wszyscy inni ludzie byli niczem — a szlachta wszystkim! Kiedyż znowu przyświecicie światu; i kiedyż przykład Ciemnogrodzkiej ziemi stanie się dla niego opiekuńczą gwiazdą w głębokiej oświecenia nocy! Tego ja mu, jako szlachcic, a nadewszystko jako godny kawaler orderu tego, życzę» — dotykając się niedźwiadka 2-giej klasy, co mu wisiał na piersiach.

213) *Cz. II str. 127—36.* Dwa się jeszcze ważne do odpowiedzi zostają punkta, których nie dotknął mój towarzysz. Pierwszy się ściąga do wskrzeszenia, a raczej do utworzenia w Polsce inkwizycyi świętej, której — z chlubą powiem dla naszego narodu *[tak]*, on nigdy u siebie nie chciał dopuścić, mimo największych Rzymu usiłowań, a to w czasach, gdzie *[tak]* najświetlejsze Europy kraje dały się jej ujarzmić. Czyliż mniemacie, że tę klęskę, od której nas ocaliła mądrość przodków naszych, wprowadzi pełen ludzkości i światła rząd dzisiejszy dlatego, że się ją Hiszpanii i niektórym innym krajom przywrócić podobało? O, bodajby nie my obcych książąt, lecz oni wspaniałomyślność z bogobojnością połączoną naszego naśladowali Monarchy! a takby ich błogosławili ich poddani, jak my błogosławimy tego, co nam jest raczej ojcem, niż panem.

Nie więcej jest ugruntowanem drugie życzenie wasze, to jest: iżby wychowanie młodzieży jedynie zakonnym *[— zakon-*

nikom] powierzone było. Znam ja dobrze korzyści takowego systematu i bynajmniej im nie zaprzeczam; lecz pytam się was samych: czyli do tego usposobieni jesteście? i czy długie, a — wybaczcie, że dodam — wstydliwe zaniedbanie wasze w naukach i umiejętnościach czyni was do tego zdolnymi? Wszakże najwyższa magistratura, nad wychowaniem u nas przełożona, a po części złożona z osób duchownych, czyniła i czyni, co może, by zwrócić zakony do tego użytecznego celu. Lecz w kilkunastoletnim czasu przeciągu zaledwie się to jej w dwuch lub trzech miejscach udało, a w wielu klasztorach o propozycyi nawet takiej słyszeć nie chciano, jako odrywającej zakonników od wyższego pobożności celu.

Miała wprawdzie Polska dwa naukom oddawna poświęcone zakony: Jezuitów i Pijarów; drugi, że do dziś dnia nie upadł, winien to po większej części opiece Komisyi Oświecenia, która, czując użyteczność i widząc, jak najszczerszą chęć jego popierania jej zamiarów pomocną podała mu rękę, pomnożyła jego fundusze, opatrzyła seminarya, byt profesorów porównała z świeckimi, nakoniec zabezpieczyła winne wysłużonym nagrody. Spytajcie się zakonu tego, a on wam powie, czyli bez tych starań Komisyi nie byłby upadł, z wielkiem wychowania publicznego uszczerbkiem, którym się równie gorliwie, jak świetle *[tak]*, od lat tylu zaprząta. Nie wdaje się on do Rządu, do polityki i do światowych czynności; dalekim jest od tego ducha panowania, co nakoniec zgubił Jezuitów, gdy się o nim przekonali Europejscy Mocarze. Rzym, który wtedy, kasując ich, okolicznościom uledz musiał, gdy mu one tego dozwalają, dziś ich przywraca. W innych także krajach podnosić oni głowę zaczynają; lecz już powiedziałem, daje, nie bierze od innych Rządów wzory ten, równie potężny, jak mądry, Monarcha, co zaburzeniom świata koniec położył. Wszak wspaniałomyślność jego dozwoliła przytulenia Jezuitom w stolicy państwa swego, gdzie, żyć mogąc *[tak]* swobodnie, do oddalenia ich stamtąd przymusili go nakoniec niespokojnością swoją. Możnaż tedy żądać rozsądnie, by stolica Polski otworzyła łono swoje tym, których odrzucić z łona swego stolica Państwa Rosyjskiego musiała?

Mniemam, iż wam oczywiście dowiodłem, że Rząd nasz nie jest temu bynajmniej przeciwnym, by wychowanie publiczne

równie duchownym, jak świeckim powierzone było, jak się to działo u nas odwiecznie, a nawet, że stara się usposobić ku temu świeckie i zakonne duchowieństwo; lecz nie można po nim żądać tego, czemu się i rozsądek i samo niepodobieństwo jawnie sprzeciwia. Snuje się ta myśl po pismach waszych, że w świeckiem wychowaniu dzisiejszem zaniedbaną jest religia; ale oprócz tego, że one *[tak]* nie jest dziś więcej świeckiem, niż od wieków u nas bywało, i że na niego *[tak]* stan duchowny ma wpływ przyzwoity, twierdzenie takowe jest zupełnie samowolne. Biorąc albowiem rzecz z góry, w Komisyi Oświecenia, która jest u nas stróżem wychowania młodzieży, zasiadają biskupi, prałaci i księża, znakomici nauką i pobożnością swoją; całe zaś jej grono jest z zbyt światłych mężów złożone, by nie byli przekonani, iż bez zbawiennej pomocy religii żadne państwo ostać się nie może; czego jawniej nad wszystko dowiodła rewolucya francuska i okropne jej skutki, dopóki religia we Francyi przywróconą nie została. Przejęty jest tem uczuciem nasz bogobojny Monarcha, tchną niem publiczne mowy jego, równie jak partykularne zlecenia, a ich jest skutkiem, że u nas nigdy z większą starannością nie usiłowano wcielić, że tak powiem, religię i pobożność w wychowanie młodzieży, jako najgruntowniejszą jego zasadę. Miałaż kiedy Polska fakultet teologiczny, jak go ma dziś, złożony z sześciu duchownych nauczycielów, których nauka obejmuje wszystkie jej części, a nawet potrzebne do znajomości pism świętych, a oddawna u nas zaniedbane, hebrajski i grecki języki? miałaż przy każdej szkole nauczycieli religijnych i kapłanów, którzy czystą naukę Chrystusa w młodzież wpajają? miałaż po wszystkich województwach dozory szkolne, których biskup jest naczelnikiem, a członkami równie duchowne, jak świeckie osoby? byłoż powierzone proboszczom i plebanom wychowanie włościan naszych, jak jest dzisiaj? nakoniec, pytam się, w proporcyi rozległości teraźniejszej Królestwa Polskiego do dawnej, byłoż więcej szkół w ręku zakonnych, niż ich dzisiaj liczymy? Ma tedy Duchowieństwo wszelką sposobność czuwania, by pobożność i duch religijny kwitnął w szkołach naszych, stosownie do usilnego życzenia Monarchy i Rządu jego; a gdyby rzecz się tak nie miała, niech nie zwraca na kogo innego winy własnej w tem opieszałości. Lecz daleki jestem, bym mu taką

czynił wymówkę, odpowiadam tylko na nieugruntowane zarzuty, którymi zbytnia może gorliwość źle zawiadomionych duchownych siebie samych kazi. Lecz jeżeli zabobonność na miejsce pobożności kłaść będziecie, jeżeli fanatyzm na miejsce chrześcijańskiej tolerancyi i słodyczy, wtedy nie mam wam co innego do odpowiedzenia, jak tylko, że się srodze mylicie, biorąc przesądy wasze za prawdę.

Opracował S. KRZEMINSKI.

XXVIII.

SŁOWACKI EUZEBIUSZ

(1772—1814)

Urodził się we wsi Podhorcach w Galicyi Wschodniej, z rodziny szlacheckiej, herbu Leliwa, jako jedno z pięciorga dzieci niezbyt zamożnych rodziców; miał dwu braci: Erazma i Józefa, i dwie siostry, z których jedna, Anna, była za Baczyńskim. Przyszedł na świat Euzebiusz dnia 15 grudnia 1772 roku; osierocony w 7-ym roku życia przez ojca, zawdzięczał wychowanie stryjowi, który oddał go do szkół krzemienieckich. Po ukończeniu ich, nie mając środków utrzymania, a tem bardziej na dalsze kształcenie, wcześnie musiał pomyśleć o pracy zarobkowej: za sprawą przyjaciół wyjednał sobie od Stanisława Augusta patent na geometrę królewskiego (31 maja 1792 roku) i poświęcił się tej pracy zmudnej a niemiłej, grożącej utratą wzroku, a roboty miał niemało, gdyż wówczas właśnie mocą uchwały sejmowej nastąpiło rozgraniczenie dóbr ziemskich w całym kraju. Na nową drogę życia wszedł z chwilą, gdy, w charakterze nauczyciela domowego, dostał się do domu obywatelskiego w Tahańcu na Wołyniu, u Poniatowskich. Tam znalazł bogatą bibliotekę, obfitującą zwłaszcza w dzieła klasyków starożytnych i nowoczesnych, tam zaczęła się jego rzetelna edukacya literacka, tam wykształcił się w znajomości języków starożytnych i kilku nowoczesnych, tam też jął się pióra: przekładał «Andromachę», «Ifigenię», przekładał «Henryadę», którą nawet wydano w Warszawie r. 1803, bez jego wiedzy — inne tłómaczenia pozostają w rękopisach. Poznany przez Czackiego, zyskał jego zaufanie i sympatyę; w r. 1807 otrzymał katedrę «wymowy, poezyi, literatury i języka polskiego» w gimnazyum wołyńskiem. Samouk, wiele musiał poświęcić trudu, by poczuć się przygotowanym do pracy pedagogicznej: jak sam powiada, «nigdy nie rzucił się w pracowitszy zawód». W roku 1808 ożenił się z Salomeą Januszewską, córką zarządcy dóbr, należą-

cych do gimnazyum wołyńskiego, która dnia 23 sierpnia 1809 r. powiła mu jedyne dziecko, syna, któremu dano imię Juliusz. Z czasów pobytu Słowackiego w Krzemieńcu pochodzi kilka mów szkolnych oraz życiorys dyrektora gimnazyum wołyńskiego, Józefa Czecha. W roku 1809 stanął Słowacki do konkursu o katedrę wymowy i poezyi w Uniwersytecie Wileńskim i za rozprawę «O sztuce dobrego w polskim języku pisania» otrzymał nominacyę. Nowe stanowisko objął od 15 września 1811 r. i pozyskał miłość i sympatyę kolegów i współuczniów. W roku 1812 objął redakcyę «Kuryera Litewskiego», gdzie już od września r. 1811 zamieszczał sprawozdania teatralne. Pisał też wiele rozpraw i studyów literackich, z których znaczna część pozostała w rękopisach, niektóre nie ukończone: tak np. zamierzał stworzyć krytyczną historyę literatury polskiej, ale zdążył wykończyć do niej zaledwie kilka rozbiorów pisarzów. Choroba piersiowa, którą przekazał w spuściźnie synowi, szybko niszczyła organizm. W przewidywaniu rychłej śmierci napisał ten rzewny wiersz w pamiętniku dla syna, zdaje się, zaginionym:

Wędrownik, w drodze życia mdłą stargawszy siłę,
Wkrótce rzucę, co miłe i co mi niemiłe,
Bez trwogi, nie bez żalu, widzę kres zbliżony,
Który nagle w nieznane przeniesie mnie strony,
W tę spokojną uchronę, gdzie wieczność przebywa
I którą chmura pełna tajemnic pokrywa.

Smutne przeczucie nie zawiodły go: dnia 29 października 1814 r., w sile wieku, zmarł w Wilnie, pochowany na Rossie. Katedrę po nim objął Leon Borowski, który wykładał zastępczo już od początku roku 1814.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

A) Wydanie zbiorowe «Dzieł pozostałych z rękopisów ogłoszonych» w 4 tomach wyszło w Wilnie r. 1824—6: t. I. Teorya smaku w dziełach sztuk pięknych, Uwagi powszechne nad językami, sztuką pisania, postaciami mowy; II — Teorya wymowy, Teorya poezyi, Rozprawa o sztuce dobrego pisania w języku polskim, Przestrogi względem wprawiania uczniów do dobrego w języku polskim pisania; III— Rozbiory pisarzów, Przykłady stylu w prozie, Pisma własne w prozie (mowy szkolne i uniwersyteckie, o życiu i pracach Józefa Czecha, elegia prozą na śmierć Józefa Czecha); IV— Przekłady (Wirgiliusz, Horacyusz, Propercyusz, Owidyusz, Tasso, Gessner, Delille poema o imaginacyi, początek pieśni V), dwie tragedye oryginalne: Mendog i Wanda oraz kilka drobiazgów.

B) Osobno wyszły: 1) Oda na obchód uroczysty dnia 15 sierpnia 1810 roku w Wilnie; 2) Wiersz z powodu wielkiego zwycięstwa pod Lipskiem dnia 6/18 października 1813 r. otrzymanego (w wydawnictwie

Alojzego Capelli p. t. *In occasione delle insigni vittorie riportate degli alleati sull esercito Francese nel mese d'Ottobre dell'anno 1813*, Wilno 1813); 3) kilkakrotnie wydawane «Prawidła poezyi i wymowy, wyjęte z dzieł» (Wilno 1826, 1833, 1844, 1847, 1853, 1858).

C) O Słowackim pisali: Borowski Leon: Wiadomość o życiu i pismach E. Słowackiego («Dziennik wileński» 1815. I; toż samo, jako przedmowa do dzieł Słowackiego); Chmielowski Piotr: «Dzieje krytyki literackiej w Polsce» (Warszawa 1902); Tyszyński Aleksander: «Euz. Słowacki i Jul. Słowacki» («Tygodnik Illustrowany» 1879, t. III, serya 3, str. 92—93); Méyet Leopold: «Szlachectwo rodu Słowackich» (Bibl. Warsz., 1903, t. II). Życiorysy w «Pamiętniku lwowskim» (1816. I), w «Lwowianinie» (1838. III), a także wzmianki w życiorysach Juliusza: Małeckiego, Hoesicka.

Teorya smaku w dziełach sztuk pięknych.

(Dzieła, tom I, str. 1—148).

Rozprawa niniejsza, najlepiej charakteryzująca poglądy estetyczne Słowackiego, składa się z trzech rozdziałów: w pierwszym autor wyłuszcza, co to są nauki wyzwolone czyli piękne, o stosunku sztuk pięknych do natury, o imaginacyi i geniuszu, o wzorze idealnym, o smaku, jako przewodniku geniuszu i imaginacyi, o jego roli i znaczeniu w twórczości; rozdział drugi mówi o piękności, o uczuciu albo smaku nowości, o uczuciu wielkości i górności, i uczuciu, czyli smaku naśladowania, o harmonii, o gracyi, o śmieszności, o uczuciu, czyli smaku moralnym; rozdział trzeci wykłada o ukształceniu, przymiotach i wpływie smaku, o czułości, delikatności i trafności smaku, o związku smaku z krytyką, o przymiotach smaku i korzyści z jego wydoskonalenia, o wpływie smaku na obyczaje i namiętności. Chmielowski świadczy, że Słowackiemu nieobce były nowoczesne teorye estetyczne, Sulzer i Eschenburg. To też poglądy, wygłaszane przez niego, nie są bynajmniej ściśle pseudoklasyczne: on pierwszy w naszej literaturze estetycznej opisał «widzenia poetyckie» (halucynacye); pierwszy użył terminu «wzór idealny» (t. j. ideał piękna); pierwszy wyznaczył imaginacyi dużą rolę w twórczości poetyckiej, przyznając jednak pewne prawa «smakowi»; pierwszy położył nacisk na pierwiastek indywidualny w krytyce; pierwszy wreszcie, jak mówi Chmielowski, «był blizkim hasła sztuka dla sztuki», jak o tem świadczy cytowany poniżej urywek.

Rozdział II § I. O piękności.

214) *Str. 47—53.* To wielkie pytanie, co jest pięknem, na czem zależy i jakie są charaktery prawdziwej piękności, od najdawniejszych czasów było celem dociekania mędrców. W ustach każdego człowieka ten wyraz oznaczał pewny stopień

ukontentowania i rozkoszy, które mu widok, albo w ogólności czucie jakiej rzeczy sprawiało. Ale niepewność znaczenia, które każdy do tego słowa: piękność przywiązywał, dała powód uczonym do głębokich w tym względzie badań.

Platon w dwóch rozmowach, w jednej pod tytułem *Phaedrus*, w drugiej *Hippiasz większy*, dotknął tej materyi; lecz w pierwszej mówi bardziej o tem, co nie jest pięknem, w drugiej nie tyle rozwija naturę piękności, jako raczej mówi o przyrodzonem ludzi do tego, co jest pięknem, przywiązaniu.

Święty Augustyn napisał traktat o piękności; ale ten nie doszedł do naszych czasów. Myśli jego w tym względzie, które w różnych swych dziełach, osobliwie w piśmie o mieście Bożem, rozrzucił, odnoszą się do tego ostatecznego twierdzenia, że jedność jest kształtem i istotą piękności: *omnis pulchritudinis forma unitas est.*

Wolf w swojej psychologii twierdzi, że, ponieważ jedne są rzeczy, które się nam podobają, drugie, które się nie podobają: z tej różnicy wynika wyobrażenie naturalne ludziom piękności i szpetności.

Crouzas, na tem samem wspierając się założeniu, twierdzi, że piękność zależy od uczucia, które widok jakiej rzeczy w nas wzbudza; i tak, gdy mówię, iż widzę rzecz piękną, wyrażam przez to, iż widzę rzecz, którą pochwalam i która mi rozkosz przynosi. Rozszerzając dalej swoje uwagi, zakłada piękność na jedności, rozmaitości, porządku i stosownych kształtach.

Andres napisał dzieło pod tytułem: *essai sur le beau*, dociekanie nad pięknością. Jest to jedno z najlepszych pism w tym rodzaju i którego części są najlepiej z sobą połączone. Autor nie zacieka się zbyt głęboko w metafizyczne badania, co jest piękność w swoim pierwiastkowym kształcie. Dzieli swój traktat na cztery części, w kształcie mów napisane. Uważa 1-ód piękność widzialną *(le beau visible)*: 2-re piękność w obyczajach *(le beau dans les moeurs)*; 3-cie piękność umysłową *(le beau intellectuel)*; 4-te piękność muzykalną *(le beau musical)*. W każdym znowu podziale uważa piękność pod trojakim względem: piękność bezwzględną *(le beau absolu)*, piękność naturalną *(le beau*

naturel), piękność sztuczną *(le beau artificiel)*. Zasada jego nauki jest, iż piękność zależy na jedności *(unité)*, w której się mieszczą rozmaitość, porządek, harmonia i t. p.

Marmontel w swoich zasadach literatury pod artykułem: *le Beau*, rozbiera obszernie tę materyę i tem się różni od poprzedników swoich, że nie przypuszcza tylko jeden rodzaj piękności, a tą jest piękność względna *(le beau relatif)*. Dowodzi 1-ód, że wyobrażenie piękności, tak jak wyobrażenie okrągłości, twardości, miękkości i t. p. pochodzi od zmysłów; że się z tem wyobrażeniem nie rodzimy, ale go nabywamy; 2-re, że piękność nic innego nie jest, tylko uczucie stosunków *(sentiment des rapports)*, które między rzeczą a władzami duszy i naszymi zmysłami zachodzą, tudzież tych, które upatrujemy między częściami dzieła a jego całością i celem. Eschenburg i inni pisarze estetyk niemieckich twierdzą, że piękność zależy na zamysłowem wystawieniu jedności w rozmaitości.

Bouterwerk głębiej tę rzecz w estetyce swojej rozważa, kiedy powiada, że to jest pięknem, co estetyczne pragnienia duszy ludzkiej, czyli pragnienia nieograniczonej rozkoszy i przyjemności, podług praw natury i rozumu, zaspokaja.

Badanie, co jest piękność, jaka jest jej natura, jakie istotne cechy, samo z siebie trudne i głębokie, jest jeszcze utrudnionem przez równie nieuważne, jak rozmaite użycie tego wyrazu piękność. Zwyczaj w języku przywiązał je do wszystkiego, co tylko się podobać może; dzieci, potrawy, które im dobrze smakują, pięknemi zowią; pospólstwo przez wyraz: piękny rozumie często pewną miarę wielkości. Naprzód więc starać się będziemy przywiązać do tego wyrazu właściwe jego znaczenie.

Jako jest rzeczą pewną, że, co jest pięknem, zwykło się nam podobać, tak też jest z drugiej strony pewną, że nie wszystko, co się nam podoba, jest pięknem. Piękność jest tylko jedną z własności rzeczy, które w nas upodobanie i rozkosz wzbudzają. Zastanówmy się więc nad źródłami przyjemnych uczuć naszej duszy, nad sposobami, jakimi ich kosztujemy; i w tem rozróżnianiu szukajmy, co się właściwie pięknem nazywać powinno.

Codzienne uczy doświadczenie, że są rzeczy, które się nam

podobają, które przyjemne w nas wzbudzają uczucia, chociaż o ich własnościach i istocie żadnego nie mamy wyobrażenia. Takimi są wszystkie przedmioty, które przez swoje działanie wzruszają mile materyalne części zmysłów naszych; do czego się bynajmniej nie przyczynia ani ich kształt, ani poznanie istoty. Możemy nie wiedzieć, co jest rzecz sama z siebie, jakie są jej własności, a lubimy jednak to wrażenie, które na zmysłach naszych sprawuje. Takie rzeczy mają ścisły stosunek z naszemi potrzebami, składają klassę tych, które dobremi nazywamy. Tu także należy wyobrażenie o dobroci moralnej, kiedy, nie mając względu, tylko na pożytek, wynikający dla nas z jakiej sprawy, mówimy, że jest dobrą.

Są znowu rzeczy, które nam się nie wprzód podobają, aż póki przez oczywiste przekonanie nie poznamy ich własności. Tymi naprzód zatrudnia się rozum, rozważa ich cel i środki, jakimi do swego przeznaczenia zmierzają, sądzi o nich podług praw swoich: i po tej dopiero czynności rozumu następuje rozkosz, którą nam sprawują. Do tej klassy należy wszystko, co się nam podoba przez doskonałość; jakiemi są machiny, tak dobrze złożone, tak umiejętnie rozporządzone, iż zupełnie odpowiadają celowi swemu; jakiemi jest dowód, w którym pojedyńcze zdania i założenia są tak dobrze powiązane, iż z ich połączenia wynika zupełne przekonanie.

Lecz oprócz tych jeszcze jest pewny gatunek rzeczy, które wzbudzają nasze upodobanie. Środkują one pomiędzy dwiema wyżej wspomnianemi, tak, że nieco z pierwszej klassy, nieco z drugiej mają. Już ta własność i kształt rzeczy zajmuje naszę uwagę; ale często wprzód, nim ją zupełnie poznamy, wprzód, nim się o jej własnościach i ich łączeniu oczywiście przekonamy, wprzód, mówię, odbieramy od niej przyjemne wrażenie. Do tej klassy należy to wszystko, co się pięknem nazywać powinno.

Stąd wynika, 1-ód, że dobrem jest to, co się nam podoba przez swe materyalne własności, które bez względu na kształt rzeczy, na jej istotę i stosunki, mogą obudzać i utrzymywać w nas przyjemne uczucia; 2-re pięknem jest to, co się nam podoba przez swój kształt, postać i własności bądź zewnętrzne, bądź wewnętrzne, chociażby przedmiot nie miał w sobie nic

takiego, coby go w innych względach pożytecznym czynić mogło, i choćby nam prócz wewnętrznego ukontentowania żadnej innej nie obiecywał korzyści; 3-cie doskonałem jest to, co się nie podoba ani przez wartość materyalną swej istoty, ani przez zewnętrzną formę, ani przez nieoznaczone dążenie swoich własności, ale z wewnętrznego bądź zewnętrznego swego składu, który odpowiada zupełnie zamierzonemu celowi.

Przywiązawszy tym sposobem pewne wyobrażenie do tego, co piękności nazywać powinniśmy, gdybyśmy mogli oznaczyć jej kształt i powszechne własności, dopełnilibyśmy zamiaru, który sobie estetyka zakłada; bo znaleźlibyśmy wzór prawdziwy i nieodmienny, do któregoby wszystkie dzieła sztuki stosować można i podług niego sądzić o ich wartości. Ale w tym razie granice między pięknością, doskonałością, górnością i innymi przedmiotami uczuć smaku tak są nieznacznie zakreślone, że z jednego w drugie łatwo bardzo przejść i obłąkać się można. Tyle jest w ludziach różnic w sposobie myślenia i czucia, tylu odmianom smak od wieku do wieku, od narodu do narodu podpada, tak wielki do niego mają wpływ stopień cywilizacyi, obyczaje i samo położenie, że trudno sobie obiecywać, aby w tym względzie rozum ludzki zbliżył się kiedy do ostatniego kresu i wszystkie pokonał trudności. Będziemy się jednak starać tyle, ile można, rzecz tę w następnych objaśnić uwagach. Zastanawiając się nad kształtem i własnościami, przez które piękność nam się podoba, przekonywamy się, iż ona znajduje się pomiędzy dobrocią i doskonałością i z obiema graniczy. Częścią wartość jej cenioną bywa przez uczucie delikatne, ale nie oznaczone, równie jak wartość tego, co dobrem nazywamy; częścią przez działanie rozumu i poznanie, które jednak w oszacowaniu tego, co jest pięknem, może nie dochodzić aż do stopnia oczywistego przekonania.

Piękne nie jest toż samo, co dobre, w którem człowiek może na nic więcej nie dawać uwagi, tylko na działanie i wrażenie, na swoich zmysłach sprawione; nie jest tem, czem jest doskonałość, w której rozum przez swoje władze musi dojść aż do oczywistego poznania. Piękność więc ma swoje istotne charaktery, i te są następne: 1-ód rzecz powinna mieć jedność i całość; 2-re kształt jej, w swojej całości uważany,

powinien bez wielkiej trudności i wyraźnie módz być objętym i ogarnionym; 3-cie powinna w niej panować rozmaitość, ale w rozmaitości porządek; 4-te części rozmaite tak się łączyć i tak się przetapiać w jednę całość powinny, aby żadna część, osobno wzięta, mocniejszego, niż całość, nie czyniła wrażenia, to jest powinny mieć proporcyę i przyzwoitą symetryę.

Opracował H. GALLE.

XXIX.

BOROWSKI LEON

(1784—1846).

Urodzony 1784 r. w pow. pińskim, wychowywał się w domu swej matki chrzestnej, wojewodziny Zofii z Tysenhausów Chomińskiej. Nauki odbywał w szkole wydziałowej w Postawach. Po śmierci opiekunki musiał radzić sam o własnym losie. Przybywszy do Wilna w r. 1801, otrzymał tu, za poparciem Poczobuta, zajęcie w kancelaryi akademii wileńskiej, a jednocześnie uczęszczał na wykłady wydziału nauk moralnych, który w liczbie 6 katedr miał katedrę historyi powszechnej (ks. Husarzewski) i literatury, a raczej wymowy i poezyi (ks. Golański). Otrzymawszy stopień kandydata filozofii w r. 1803, nie porzucił zajęć kancelaryjnych i doszedł do stanowiska buchaltera w r. 1805. Jednocześnie rozpoczął zawód literacki przekładem komedyi Moliera p. t. «Skępski» (1806) i żartobliwo-rubaszną dedykacyą nowego wydania: «Uwag o śmierci niechybnej ks. Baki» szlachetnemu panu a panu Piotrowi Dubińskiemu, burmistrzowi Jego królewskiej mości miasta Wilna, promotorowi bractwa św. różańca, hetmanowi buławy wielkiej tegoż bractwa, i t. d.

W tymże roku (1807) otrzymał miejsce nauczyciela poezyi i wymowy w gimnazyum świsłockiem, skąd przeniesiony został w r. 1811 do gimnazyum wileńskiego. W czasie choroby Euzebiusza Słowackiego (1814) Uniwersytet powołał go na tymczasowego zastępcę do wykładu poezyi i wymowy. Po uzyskaniu stopnia magistra filozofii w r. 1816 Borowski został adjunktem przy katedrze poezyi (1818 r.) W r. 1820 ogłosił rozprawę: «Uwagi nad poezyą i wymową pod względem ich podobieństwa i różnicy» i pracą to zdobył nominacyę na profesora nadzwyczajnego. W r. 1823 był już profesorem zwyczajnym i na stanowisku tym przetrwał aż do zamknięcia uniwersytetu w r. 1831. Po utworzeniu, na miejsce zwiniętej wszechnicy, akademii duchownej, otrzymał w niej Borowski katedrę homiletyki i prowadził

przytem wykłady literatury polskiej do r. 1842. Zmarł w Wilnie r. 1846. Samouk, bez wyższych uzdolnień, z umysłem trzeźwym, hołdującym pojęciom wieku XVIII, pracą wytrwałą zdobył dość rozległą znajomość główniejszych dzieł literatur starożytnych, a z nowszych: włoskiej i francuskiej. Nieobcą mu nawet była poezya angielska i niemiecka. Z polską zapoznawał się stopniowo, od wieku XVIII począwszy posuwając się wstecz. Poznał się także, zapewne ze wskazówkami Grodka, z pracami Niemców na polu krytyki filologicznej i estetyki. Oprócz wymienionej powyżej rozprawy: «Uwagi nad poezyą i wymową» ogłosił w «Dzienniku wileńskim» (r. 1818) «Uwagi nad Monachomachią Krasickiego,» które miały rozpocząć szereg rozbiorów najważniejszych dzieł pisarzów polskich. Jest to właściwe krytyczne opracowanie pierwszej pieśni poematu, ze wstępem i objaśnieniami rzeczowemi, tudzież oceną zalet i wad utworu. W tymże czasopiśmie pomieścił w r. 1826 drobną rozprawkę (15 stron.) «O wpływie obcych wzorów starożytnych i nowych na ukształcenie smaku». Z przekładów ogłosił drukiem «Kobiety filozofki» Moliera (Wilno 1826), tudzież «Żale Tassa» Byrona, «Allegro» i «Penseroso» Miltona, wreszcie urywki z Lukrecyusza, pomieszczone częściowo w «Dzienniku wileńskim», a następnie zebrane razem i dołączone do odbitki pracy «Uwagi nad poezyą i wymową» (str. 156). Przekład «Don Kiszota» zostawił w rękopisie. Przysłużył się też wydaniem «Przeobrażeń» Owidyusza w przekładzie Żebrowskiego (Wilno 1821) i «Jerozolimy» Tassa w przekładzie Piotra Kochanowskiego (Wilno 1826, 2 tomy, z obszernym wstępem krytycznym, na 110 stron). Jako członek towarzystwa Szubrawców, pomieszczał żartobliwe wiersze w «Wiadomościach brukowych,» a prócz tego ogłosił w «Tygodniku wileńskim» (z r. 1820) «Porównanie życia Szurłowskiego i Baki» (Dwa typy wierszokletów). Z opracowań, odnoszących się do historyi literatury polskiej, ogłosił r. 1841 w «Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych» żywo skreśloną, lecz mało krytyczną, rozprawę o Filipie Kallimachu, odmawiającą włoskiemu humaniście i sławionemu przez niego Grzegorzowi z Sanoka przypisywanych im przez Wiszniewskiego uzdolnień wysokich i zasług. Urywki z wykładów historyi literatury w akademii duchownej pomieściło, po śmierci Borowskiego, «Album literackie» Wójcickiego (Warszawa 1848). «Wiadomość o życiu pismach uczonych Grodka» pozostała w rękopisie.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

Staranną i szczegółową biografię z oceną prac skreślił Piotr Chmielowski w «Encyklop. wychowawczej» t. II, Warszawa 1882, str. 226—252. Wszystkie dane biograficzne wziął Chmielowski z nekrologu, napisanego przez Dominika Chodźkę. «Athenaeum» 1847, I 115—151).

A) Uwagi nad Monachomachią Krasickiego.

(Dziennik wileński, r. 1818 t. II, str. 485).

Szereg objaśnień i uwag, w jakie krytyk zaopatrzył przedrukowaną tu pierwszą pieśń powyższego poematu, zakończył następującą oceną całości.

215) Dzieło to pod względem sztuki uważać należy za wdzięczną igraszkę szczęśliwego dowcipu i dorywczy, jak mówi Dantiscus*), płód pióra Krasickiego; więcej w nim uderzają piękności szczegółowe, to jest dowcip i wesołość w pojedyńczych obrazach, w osobnych wymysłach i strofach, niżeli trudna sztuka w porządnem złożeniu całości. Lubo ta właśnie piękność szczegółów sprawuje, że dzieła Krasickiego tak się podobają i zawsze podobać się będą; bo zawsze większa liczba czytelników zdolna jest czuć przyjemność obrazu lub charakteru osobno wziętego, niżeli oszacować wszystkie zalety powieści rymotwórczej, mianowicie znaczniejszej, poważniejszej lub wesołej, w jej zamiarze, postępie i całkowitym układzie. Dziwiąc się talentowi prawdziwie narodowemu Krasickiego, jedynemu w swoim rodzaju w naszej literaturze, nie można nie żałować sprawiedliwie, ze czcigodnym Dantyszkiem, «że natura, uszczęśliwiając Krasickiego tak niepospolitych talentów darem, zapomniała przydać do nich szczyptę cierpliwości, tak potrzebnej do odczytywania i do wygładzenia robót wszelkich; niesłychana łatwość, z którą wiersze ronił bez przeglądania ich, była przyczyną, dla której dzieła jego nie są bez skazy».

B) Przedmowa do wydania Jerozolimy wyzwolonej w przekładzie Piotra Kochanowskiego.

(Wilno 1826, t. I, str. VIII).

216) Od czasu jak płody sztuki głębiej oceniać poczęto, nie chcemy już przestawać na ciemnem i niewyraźnem czuciu upodobania lub wstrętu, które przy ich rozważaniu w nas powstają, ale usiłujemy wydobyć z duszy naszej czyste i wolne od wszelkiego przesądu wyobrażenie, któreby w każdej chwili

---

*) Jest to pseudonim ks. Adama Czartoryskiego (ojca kuratora szkół i ministra spraw zagranicznych za Aleksandra I). Przytoczony następnie sąd o Krasickim wzięty jest z jego rozprawy: «Myśli o pismach polskich». *(Przyp. Aut.)*

smak chciał potwierdzić, a rozum mógł usprawiedliwić. Do tego jednak nie dosyć posiadać sam twór poetycki, trzeba jeszcze poznać początek i sposób jego powstania; bo umysł podoba sobie w upatrywaniu harmonii między zdolnością i sposobami poety a zaletą lub niedostatkami dzieła; lubi postępować z poetą, śledzić wszystkie drogi, które przebywał, patrzyć na zawady i pomocy, a wtenczas dopiero czuje się zdolnym dać wyrok, o ile to być może, niezawodny.

Gdyby na to potrzeba było przykładów, dawna i nowa poezya obficieby ich dostarczyła; w nichbyśmy ujrzeli, że skutkiem podniesionego sposobu sądzenia już dla nas owe twory, niewiadomego początku, podobne z nieba spadłym (τοῖς διοπέτεσι), które były przedmiotem zdumienia i uszanowania dla dawnych Helenów, nie mają ceny, że potrzeba koniecznie, aby umysł, dokładnie i zdrowo sądzić chcący, poznał nie tylko sam główny przedmiot, lecz i względy, które mu towarzyszą, które, lubo nie będąc istotą, składają atoli część jednej zupełnej całości.

Te uwagi służą wszystkim wielkim poetom każdego narodu i wieku, szczególny jednak zbieg okoliczności mocniejszy lub słabszy ich wpływ miarkuje. Przemieniający się wielokrotnie sposób życia i działania rodu ludzkiego przynosił widoczne odmiany nie tylko w sposobie czucia i pojmowania piękności, ale nawet w stosunkach poetów ze światem zewnętrznym.

Opracował BR. CHLEBOWSKI.

XXX.

KOPCZYŃSKI ONUFRY

(1735—1817).

Najzasłużeńszy po Konarskim Pijar, który, wespół z innymi pracownikami, tradycye Komisyi Edukacyjnej przeniósł do w. XIX, a w dziejach pedagogii i dydaktyki polskiej zajął miejsce niepoślednie — Onufry Kopczyński urodził się 30 listopada 1735 roku w Czerniejewie, w województwie Gnieźnieńskiem. Uczył się w szkołach pijarskich w Warszawie. W roku 1752 wstąpił do Zgromadzenia ks. Pijarów w Podolińcu na Śpiżu, a w 1754 został wyświęcony. We dwa lata potem, w r. 1756, rozpoczął zawód nauczycielski w kolegium pijarskiem w Szczuczynie. W następnych latach wykładał literaturę rzymską i wymowę w kolegiach w Radomiu, Piotrkowie, Rzeszowie, Złoczowie i w Podolińcu (1768). W charakterze mentora młodego Antoniego Wisłockiego, Kopczyński udaje się za granicę i zwiedza Wiedeń, Paryż i inne ogniska naukowe europejskie. Powróciwszy do kraju, osiada w Warszawie i zostaje nauczycielem w Collegium Nobilium pijarskim. Z polecenia Komisyi Edukacyjnej opracowuje dla szkół narodowych gramatykę języka polskiego i łacińskiego, która, po roztrząśnieniu przez Towarzystwo do ksiąg elementarnych, uzyskuje aprobatę Komisyi dnia 2 października r. 1778. Ogłoszona p. t. «Gramatyka dla Szkół Narodowych» w l. 1778—1783, w trzech częściach, na klasy I, II i III, wprowadzona została do szkół. (Liczne wydania w wieku XVIII i XIX). Towarzystwo do ksiąg elementarnych wybrało Kopczyńskiego na swego członka (1780), a król Stanisław August obdarzył go za tę pracę złotym medalem «Merentibus». W r. 1783 mianowany przez Komisyę Edukacyjną pomocnikiem bibliotekarza Biblioteki Rzpltej (Załuskich), gorliwie zajmuje się porządkowaniem jej zasobów. W tym czasie Kopczyński ogłasza w opracowanym wespół z Piramowiczem i ks. Jędrzejem Gawrońskim «Elementarzu dla szkół

parafialnych narodowych» (Kraków 1785, wyd. 2-gie 1792) wyborną «Naukę pisania i czytania», oraz osobno «Układ gramatyki dla Szkół Narodowych, z dzieła już skończonego wyciągniony» (Warsz. 1785, Gröll) i «Zbiór nauki chrześcijańskiej i obyczajowej» (Warsz. 1786). Jako współautor złośliwej ody «De meritis Bielavii» (1789) wywołał Kopczyński przeciw sobie zjadliwy wiersz Trembeckiego p. t. «Bielawski do nieboszczyków». W pamiętnych latach 1791—1792 ukazują się dwa jego utwory okolicznościowe wierszem łacińskim: jednokartkowy «Pileus, libertatis symbolon et palladium, quo usus est Stanislaus Augustus, Poloniarum Rex, dum memorabili die 3 Maji 1791 ad cantandum Ambrosianum hymnum iret in Ecclesiam, Aeviternae memoriae ac cultui in Zalusciana Reipublicae Bibliotheca dicatus» (1791; wyszedł jednocześnie w przekładzie polskim Michała Wyszkowskiego p. t. «Czapka, znak i puklerz wolności...»); drugi obszerny p. t. «Ad quosdam Polonos diffidentes adhuc rebus patriis» (1792, 24 str.). D. 5 listopada 1794, po szturmie Pragi, Kopczyński przeprawił się przez Wisłę z żywnością i lekarstwami dla ocalałych. Po upadku powstania Kościuszkowskiego znalazł się wraz z innymi w Dzikowie u Tarnowskich. Zawikłany w proces patryjotów polskich, oskarżonych w r. 1796 przez rząd austryacki o zbrodnię stanu, Kopczyński przewieziony został w r. 1800 z Krakowa do Nikolsburga na Morawach i osadzony w klasztorze; stąd przeniesiono go w roku 1802 do klasztoru we Freudenthal na Śląsku. Zgnębiony więzieniem, podał prośbę o uwolnienie do cesarza Franciszka II, w formie ody łacińskiej, która wszakże skutku nie odniosła. Dopiero za wstawieniem się Aleksandra I, dzięki staraniom ks. Ad. Czartoryskiego, uwolniony w lipcu r. 1802, wraca z wygnania do Warszawy, zajętej wówczas przez Prusaków. Towarzystwo Przyjaciół Nauk wybiera go na posiedzeniu dnia 4 listopada r. 1802, na swego członka czynnego. Na posiedzeniu publicznem w dniu 16 listopada roku 1804 odczytano rzecz Kopczyńskiego «O duchu języka polskiego» (ogłosz. w Roczn. Tow. Prz. Nauk» t. IV, r. 1807). Obrany prowincyałem Pijarów (1804), obejmuje rządy tego zgromadzenia i sprawuje do roku 1807. W tym samym roku 1804 Kopczyński otrzymał od rządu pruskiego wezwanie do objęcia wykładów nauki obyczajowej w świeżo założonem liceum warszawskiem, od czego się wymówił, przyjął natomiast urząd efora czyli inspektora szkół. W grudniu roku 1806 stanął na czele deputacyi przed księciem Muratem, w celu uproszenia opieki nad zagrożonym zakonem Pijarów i jego zakładami wychowawczymi. Za Księstwa Warszawskiego Kopczyński był członkiem Izby Edukacyjnej i pełnił urząd wizytatora szkół. W tym okresie wydał dwie prace językowe: w r. 1807, czyniąc zadość potrzebie, przez siebie głoszonej, podręcznik gramatyki języka polskiego dla Francuzów, p. t. «Essai de grammaire polonaise pratique et raisonnée. Pour les Français» (Varsovie, 171 i XIX str.), z listem do Napoleona na czele; w następnym zaś roku, dbały o nieskazitelność języka ojczystego, rozprawę

p. t. «Poprawa błędów w ustnej i pisanej mowie polskiej» (Warszawa 1808). W pamiętnym r. 1814 Kopczyński ogłosił wiersz elegijny «Ad Congressum Vindobonensem» (str. 14), w którym wystąpił w obronie praw Polski. Wiersz ten wyszedł jednocześnie po polsku, w przekładzie J. D. Minasowicza, p. t. «Do Kongresu Wiedeńskiego» (1814). W uczczeniu zasług, położonych przez Kopczyńskiego na polu pracy nad językiem ojczystym Stan. Potocki, minister oświecenia, wręczył mu dnia 30 listopada 1816, w dzień jego urodzin, publicznie medal złoty, wybity na jego cześć, z napisem: «Za Gramatykę polskiego języka — Ziomkowie. 1816». We trzy niespełna miesiące po tej uroczystości, dnia 14 lutego r. 1817, Kopczyński zakończył pracowite i pełne zasług życie. Do ostatniej chwili pracował nad wykończeniem, w nowym obrobieniu, gramatyki polskiej, która wydana została już po jego śmierci, p. t. «Gramatyka języka polskiego. — Dzieło pozgonne». (Warsz. 1817). O przedsięwzięciu swojem napisania tego dzieła Kopczyński zawiadomił rodaków w odezwie, wygłoszonej na posiedzeniu Towarzystwa Przyj. Nauk jeszcze w r. 1806. Oprócz wymienionych powyżej pism Kopczyński ogłosił nadto następujące: «Mowa przy założeniu pierwszego kamienia na kościół Złoczowski XX. Scholarum Piarum d. 6 lipca 1767 miana» (b. m. i r.); «Prawidła przystojności i obyczajności» dla studentów pijarskich (Warsz. 1806); «Nauka o dobrem piśmie» (Warsz. 1807 [o kaligrafii]; «Treść Gramatyki polskiej, służąca za wstęp do nauk filozoficznych» (Wilno 1806), oraz szereg wierszy łacińskich okolicznościowych, w osobnych drukach, między innymi — do księcia warszawskiego, Fryderyka Augusta («Religiosus et sapiens Princeps Fredericus Augustus». 1809) i do Aleksandra I («Ad Alexandrum Rossiarum Imperatorem». 1816; jednocześnie wiersz ten wyszedł po francusku; przekład polski J. D. Minasowicza w «Gaz. Koresp. Warsz. i Zagr.» 1816, nr. 81). Kopczyński (nie Kniaźnin) był ostatnim poetą polsko-łacińskim.

Kopczyński zasłynął głównie jako autor «Gramatyki dla Szkół Narodowych« i «Gramatyki» t. z. «pozgonnej». Współcześni nazywali go «prawodawcą języka polskiego» i w takim charakterze zażywał przez lat kilkadziesiąt niemałej powagi. Lubo sam twierdził, że «jedynym prawodawcą i sędzią ojczystej mowy» jest «Duch językowy», «Ducha» tego jednak utożsamiał z gramatyką («Popr. błędów», str. 5), którą nazywał «księgą praw językowych». O sobie mówi, że «zjadł zęby i osłabił oczy na śledzeniu Ducha językowego» (tamże, str. 4) i wreszcie «odkrył» tego przyrodzonego prawodawcę (tamże, str. 16). «Natura» zdaniem Kopczyńskiego, «nie utworzyła, ani żadnej kobiety, ani żadnego języka w zupełnej doskonałości, ale, podzielając swoje dary, pomieszała wady z przymiotami. Sztuka, oddzielająca wady od przymiotów i łącząca w jedno rozsypane dary, stwarza niby istoty doskonalsze». «Nie było nigdy zbioru piękności kobiecych, a przecie Apelles odmalował je w obrazie Wenery» («O Duchu języka pol.»). Kopczyńskiemu zdawało się, że takim sztukmistrzem może i powinien

być gramatyk! Stał jeszcze na stanowisku francuskich autorów t. zw. «gramatyk filozoficznych» XVII i XVIII w., którzy stosowali kategorye logiczne do faktów językowych. Sądził, że, aby napisać dobrą gramatykę, dość, «zapomocą tylko loiki przypatrywać się pilnie i uważnie ze wszystkich stron mowie ludzkiej». Nim jednak przystąpił do pisania gramatyki dla szkół narodowych, «udał się do czytania pism filozoficznych o mowie ludzkiej. Platon, Arystoteles, Bakon, Kartezy, Sankcyusz, Locke, Pluche, Marsais, Gibelin, Kondyllak, odkryli mi w postrzeżeniach swoich wielkie światło na poznanie mowy ludzkiej» (Wstęp do «Układu gram. dla szkół narod.» str. 5, 6). Kopczyński widział «ścisły związek między gramatyką, logiką i retoryką», a gramatykę swoją nazywał «dziełem metafizycznem» (tamże, str. 13, 23); to też nazywano go «badaczem filozoficznym języka», a gramatykę jego «filozoficzną». Jako wychowaniec wieku XVIII, był racyonalistą na polu badań językowych i mniemał, że zadaniem gramatyka jest «gruntownie o języku rozumować» («Przypisy» do gramatyki na kl. I, § III). — «Gramatyka dla Szkół Narodowych» ma niemałe zalety dydaktyczne; odznacza się jasnością i przystępnością wykładu, który Kopczyński prowadzi sposobem indukcyjnym, przechodząc od rzeczy wiadomych do niewiadomych, od szczególnych do powszechnych, od łatwiejszych do trudniejszych. Naukę języka polskiego prowadzi w gramatyce równolegle z nauką języka łacińskiego. Rozłożył ją autor na trzy lata. Do gramatyki włączył naukę o znaczeniu wyrazów, o przenośni, o iloczasie, o wierszopisarstwie i o czytaniu książek. Do każdej części dodał osobno obszerne «Przypisy», przeznaczone dla nauczycieli, zawierające dokładniejsze uwagi gramatyczne i cenne dydaktyczne wskazówki. Dla nauczycieli również przeznaczył ów osobno wydany «Układ Gramatyki dla Szkół Narodowych« (1785). «Gramatykę» t. z. «pozgonną» (1817) Kopczyński przeznaczył już nie wyłącznie dla szkół, ani dla nauczycieli, lecz dla «Kochanego Narodu» (ob. Wstęp). Język łaciński z wykładu wyrzucił, a całość podzielił na trzy części, odpowiednio do trzech stron języka: «głosu, myśli i pisma».

Kopczyński wprowadził do gramatyki polskiej szereg dowolnych przepisów; między innymi domagał się kreskowania *a* ścieśnionego, które w wymowie ogółu znikło już w w. XVIII. Niektóre jego prawidła przetrwały do dziś, jak np. przepis, który wprowadził (za Szylarskim) wbrew zwyczajowi narodowemu i uświęcił niejako swoją powagą, przepis odróżniania rodzaju nijakiego od męskiego w narzędniku i miejscowniku l. p. deklinacyi zaimkowej i przymiotnikowej (-em, -ym) i w narzędniku l. mn. (-emi, -ymi); oraz przepis wtrącania spłgł. *ł.* w imiesłowach na -szy. — Gramatyki Kopczyńskiego nie miały wprawdzie ściśle naukowej wartości nawet w swoim czasie; były to jednak bądźco bądź prace niepospolite, pierwsze podręczniki, z których się naród zaczął uczyć języka ojczystego. Wystąpienie Kopczyńskiego ma znaczenie historyczne; wywarł bowiem wpływ na ogół i na późniejszych gramatyków i stworzył całą szkołę naśladow-

ców. Czas jakiś nawet, w okresie panowania klasycyzmu w literaturze, uchodził za taką powagę i wyrocznię nieomylną w dziedzinie gramatyki, że mniemano, iż raz na zawsze «przepisał» niewzruszone prawidła języka (ob. Mowę Szwejkowskiego; Śniadeckiego «O języku pol.» — «Dzieła» IV, str. 5), jak Dmochowski — prawidła poezyi (Śniadecki «O pism. klas. i romant.»). Kopczyński był więc jakby twórcą «kodeksu językowego», jak Dmochowski — «kodeksu poetycznego» («Sztuka rymotwórcza»). Łudzono się co do trwałości jednego i drugiego. Już nawet za życia Kopczyńskiego powstawano przeciwko niektórym jego twierdzeniom i przepisom (np. Bohusz w «Dodatku do poprawy błędów» 1808). Pierwszy dopiero Mroziński odważył się wystąpić z ostrą krytyką przeciw powadze Kopczyńskiego, w słynnej swej «Odpowiedzi» (1824); oddawał hołd obywatelskim Kopczyńskiego zasługom, ale odmawiał mu talentu, a gramatyce jego naukowej wartości (ob. str. 164 i nast.). W kilka lat potem Mickiewicz, pisząc swą filipikę przeciw klasykom p. t. «O krytykach i recenzentach warszawskich» (1829), dopatrzył się trafnie analogii pomiędzy swojem wystąpieniem przeciw powadze Dmochowskiego, a wystąpieniem Mrozińskiego przeciw Kopczyńskiemu. Dmochowski (syn), występując w obronie zasług i pamięci ojca, bronił i Kopczyńskiego przeciw Mickiewiczowi, ale dość niefortunnie (ob. jego «Odpowiedź na pismo p. Mickiewicza», Warszawa 1829, str. 84,. Pomimo wszystko, zasługi Kopczyńskiego są niespożyte. Gorąco przywiązany do kraju, całe życie poświęcił pracy nad językiem ojczystym, uczył, krzewił zamiłowanie do niego wśród rodaków, unosił się nad jego pięknością i doskonałością, gorliwie przestrzegał czystości jego i poprawności. «X. Onufry Kopczyński, Pijar, — powiada Libelt — ten nieśmiertelny Kopczyński, czuł całą duszą swoją, miłości ojczyzny pełną, ile na zamiłowaniu i kształceniu języka narodowego zależy» («O miłości ojczyzny», Rozdz. VII). Ostatecznie «Gramatyka dla Szkół Narodowych» (1778), pomimo, że oddawna przestarzała, jest dziełem epokowem, «najlepszą naówczas nad ojczystym językiem pracą» (Kryński: «Kwestya językowa», str. 28), a terminologia gramatyczna, przez niego stworzona, została w całości niemal przyjęta i wprowadzona do nauki. To też słusznie nazwał Kopczyńskiego Linde «nieśmiertelnym autorem gramatyki naszej narodowej», a Kryński, surowo oceniający jego przepisy — «największym gramatykiem swojego czasu». Jako pedagog i dydaktyk Kopczyński odznaczał się niepospolitemi zaletami, o czem świadczy biograf jego, Al. Osiński, i takie dzieła, jak «Gramatyka dla Szkół Narodowych» i «Nauka pisania i czytania», znakomita, na swój czas, pod względem metodycznym, praca. Za życia otaczano Kopczyńskiego powszechnym szacunkiem — pamięć o nim do dziś przetrwała.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

I. Bibliografię prac Kopczyńskiego drukowanych podali: Al. Osiński w «Pochwale Kopczyńskiego» (niedokładna), Estreicher w «Bibliografii polskiej» t. II i XX. — Spis rękopisów, po śmierci Kopczyńskiego pozostałych, podaje Osiński (niedokł.) i «Catalogus librorum Bibliothecae Collegii Regii Varsaviensis cler. reg. Schol. Piar. renovatus» (Varsaviae 1822; na str. 497). Wykaz S. Bielskiego przytacza Kraushar w «Tow. Przyj. Nauk», t. V (str. 19). Tablice, w ilości kilku tysięcy, w których rozłożył wyrazy polskie, według swego systemu, w kilka tomów oprawne, Kopczyński złożył «na wieczną pamiątkę» w Bibliotece Załuskich (ob. Wstęp do «Układu Gram.» str. 31). — «Wyjątek z rękopisma X. Kopczyńskiego» (z «Dykcyonarza pol.») podany w «Pam. Warsz.» t. VI. 1823.

II. Przyczynki do życiorysu. — Bielski S. «Vita et scripta quorundam e Congregatione Sch. Piarum in prov. Pol. professorum» (Vars. 1812): Osiński Al. «Pochwała X. Onufrego Kopczyńskiego», wyd. drugie (Warsz. 1819. Odb. z «Roczn. Tow. Przyj. Nauk» z r. 1818; w końcu dodane: list Kopczyńskiego z r. 1809, «Zdanie Kopczyńskiego o nowym Słowniku X. Al. Osińskiego» i Rajm. Korsaka «Elegia na śmierć Kopczyńskiego»). Broszura p. t. «Uroczystość oddania medalu złotego X. Onufremu Kopczyńskiemu S. P. w dniu 30 listopada r. 1816... z ryciną tegoż medalu i mowami przy tej okoliczności mianemi». (Warsz. 1817). Są tu mowy X. Rekt. Sawickiego, prowincyała pijar., X. Szwejkowskiego, prof. Liceum Warsz. Stan. Potockiego, Oda K. Brodzińskiego «Przy oddaniu medalu Kopczyńskiemu» i mowa Kopczyńskiego, która wyszła i osobno. Mowy Szwejkowskiego i Potockiego ogłoszono współcześnie w «Pamiętn. Warsz.» (t. VII r. 1817). — Opis pogrzebu Kopczyńskiego, mowy uczniów szkół pijarskich, Leona Potockiego i Fr. Sal. Dmochowskiego, oraz wiersz z powodu jego zgonu Stan. Wyżewskiego w «Gaz. Koresp. Warsz. i Zagr.» 1817, nr. 14 i 15; Kudasiewicz «Kopczyński O.» w «Enc. Orgelbr.» t. XV (1864); Woycicki «Cmentarz Powąz.»; Wisłocki «Poczet chronologiczny prac Piramowicza» (Rozpr. wydz. filol. Akad. Umiej. V, 1877, str. 311, 351 i 399—400); Karbowiak «O książkach elementarnych Komisyi Edukacyi Narodowej» (Lwów 1893, odb. z «Muzeum», str. 54—59); Kraushar. «Towarzystwo Przyj. Nauk» (Warsz. 1900—1906); Lector «Onufry Kopczyński jako austryacki więzień stanu» («Kraj». 1904, nr. 51, streszcz. z «Czasu»); Bartoszewicz K. «Drobny przyczynek do 3 maja» («Świat». 1906, nr. 22). Szczegóły do życiorysu rozproszone ponadto po pamiętnikach i innych dziełach. Są nieraz bałamutne, np. ciekawa wiadomość, podana przez Ehrenberga, z ust Ks. Ad. Jakubowskiego, w «Wykładzie bajek Krasickiego» (Kraków 1871, str. 217).

III. Oceny. Bohusz «Dodatek do książki p. t. Poprawa błędów»

(Warsz. 1808); Feliński «Przyczyny używanej przezemnie pisowni» («Pisma». I. 1816): Mrozinski. «Odpowiedź na recenzyę» (Warsz. 1824); «Rozprawy i wnioski o ortografii polskiej przez Deputacyę od Tow. P. N. wyznaczoną» (Warsz. 1830. Artykuły Mrozińskiego, Szwejkowskiego i innych); Kryński «Kwestya językowa» (Warsz. 1873); wykazał bezzasadność odróżniania rodzaju nijakiego od męskiego w deklinacyi przymiotników; Hanusz «O zakończeniu instrumentalu i locativu sing. masc. neutr. i instrum. plur. deklinacyi zaimkowej i złożonej w jęz. pol.» (Kraków 1880); Kryński «Rozbiór gramatyki pol. histor.-porówn. Małeckiego» (Warsz. 1880); Tenże w art. «Językoznawstwo polskie w XIX st.» («Prawda». 1901, nr. 3) i w art. «Gramatyka polska» («W. Enckl. Powsz.» t. XXXVIII); Bieńkowski «Gramat. polska» (Encykl. Wychow. t. V); Wisłocki «Nauka języka polskiego w szkołach polskich przed Kopczyńskim». (Lwów 1868); Chmielowski «Stylistyka polska» (Warsz. 1903, str. 38). — O «Nauce pisania i czytania» pisali: Zarański w «Zarysie dziejów nauki czytania» (Krak. 1868) i Nowakowski Fr. w «O Elementarzu Komisyi Edukacyjnej» (Lwów 1871) i w art. «Elementarz» («Enc. Wych.» t. III).

„Grammatyka Języka Polskiego" (1817).

Wychodząc z zasady, że «język składa się ze trzech części(!): z głosu, z myśli i z pisma», Kopczyński rozpatruje naprzód «powierzchność języka», potem «wewnętrzność języka», wreszcie «mowę pisaną». W części pierwszej zajmuje się głównie faktami z zakresu głosowni i fleksyi; w drugiej mówi o słoworodzie, przenośni i składni; w trzeciej — o pisowni, «dobrem piśmie» (t. j. kaligrafii) i najobszerniej o akcentach, głównie o kreskowaniu samogłosek ścieśnionych, przyczem podaje tabele wyrazów i form z samogłoskami otwartemi i ścieśnionemi. W mowie swej z r. 1816 Kopczyński nazywa «tę niewidzianą dotychczas teoryę akcentów» «potrzebną tak języka, jak gramatyki koroną». Zachowujemy tu pisownię oryginału.

a) Ze „Wstępu czyli Przemowy do Narodu".

217) Kochani Rodacy! nie śmiem zdaniem moiem uprzedzáć waszégo sądu. Stawiam tylko przed oczy wasze zbiór krótki postrzeżeń nad ięzykiem Oyczystym: wnidźcie w ich iasną i rzetelną prawdę: a po wydanym narodowym wyroku, otworzą się swoyskie i cudzoziemskie oczy, a niewiadomość i zazdrość zamknie usta.

Jescze iedna uwága niechây wesprze potrzebę wydaniá tégo dziełka. Losy bytu naszégo bardzo go chylą ku zgubie i ię-

zyk też za sobą ciągną. Jeżeli sąsiedztwo cudzoziemców, tyle czystości uięło naszemu ięzykowi, czegoż się nie lękać od spoienia? O! miłości oyczyzny! o! żądzo narodowéy sławy! o! zacności polskiégo ięzyka! czyliż razém z odmianą panów ziemi ginąć macie? Dwa sławne przykłady Greków i Rzymian nie dadzą nám rozpaczać o nieśmiertelności naszego imienia. Wymazane są z Jeograficznéy karty dwa té naysławnieyszé narody, a imié ich w porządku Historyi politycznéy i moralnéy błysczy przed wszystkiemi. Cóż im tę sławę zjednało? Język. Język pełen umieiętności, pełen wdzięku, pełen mocy, maluiący naybliżéy i nayiaśniéy nayskrytszé rozumu i serca ludzkiego tayniki. Czy nasz Słowiański odnożek blizko do tych wzorowych mów przystępuie, koniec postrzeżeń naszych dowiedzie. Języki są kluczem nauk, kluczem ięzyków są Grammatyki. Bez grammatycznego rozbioru, ięzyk iest rodakowi nawet obcy, martwy i umarły, ani iego obfitość albo niedostatek, ani moc, albo słabość, ani gładkość albo chropowatość, ani regularność albo nieforemność nie da się poznać, póki pod sznur grammatycznych prawideł podciągnionym nie będzie. Zaczém i dla korzyści doczesnéy, i dla nieśmiertelnéy imienia Polskiego sławy, maluymy prawdziwy obraz naszego Języka.

Przed malowaniem obrazu tégo zrobmy wprzód rys iego ogólny, żebyśmy iaśniéy i porządniéy w działaniu naszém postępowali.

Jak ięzyk nasz składá się ze trzech części: z głosu, z myśli i pisma; tak nauka o nim czyli Grammatyka, na takież części dzielić się będzie.

W porządku przyrodzonym myśl iest piérwszá, głos iest drugi, pismo iest trzecie: w porządku grammatycznym, rozbieraiącym ięzyk, głos iest pierwszym, myśl iest druga, pismo iest trzecie. Chcąc tedy dokładnie, a porządnie poznać cały ięzyk, trzeba pilną a głęboką uwagą przypatrywać się tym wszystkim trzem częściom, iuż osobno każdéy, iuż łącznie iednéy z drugą, bo wszystkié ściśle są między sobą spoioné. Piérwszá wpadnie w oczy powierzchność ięzyka, czyli mowa ustná, drugá wnętrzność téy mowy, czyli znaczenie, trzeciá, ręczne téy mowy malowanie: wszakże, iedna część w drugą często wpadać będzie.

b) Z części I: Powierzchność Języka.

Rozdział I. § 2. *Rozbiór pisanéy mowy skąd się má zaczynać?*

218) Wszelkie szczegóły iakożkolwiek są nudne; są do poznania całości, którą składaią, istotnie potrzebne. Poiętność ludzká, tak iest ograniczoná; że nic dokładnie nie poznaie, tylko stopniami cząstek. Nie wstydźmy się tedy spuścić się aż do Elementarnych drobiazgów, wystawiwszy wprzód oczom przykład iaki, całkowitéy mowy, w którym się te drobiazgi znajdują

Przykład:

»Czego płaczesz? staremu mówił czyżyk młody:
«Mász teraz większe w klatce niż w polu wygody.
«Tyś w niéy zrodzon (rzekł stary) przeto ci wybaczę:
«Jám był wolny; dziś w klátce: i dlatego płaczę*).

Uczyńmy tu piérwszé postrzeżénié, iż pospolité Elementarze nieporządnie i niegruntownie w uczéniu dzieci postępuią; nieporządnie: gdy od Abecadła poczynaią: niegruntownie: gdy dalszych figur pisma, pisownemi znamionami nazwanych, a w czytaniu koniecznie wydáwać się maiących, nie pokazuią i nie uczą. Skąd pochodzi niedokładné pospolicie czytanié.

Rozbiór mowy, tak się porządnie zaczynać powinien, iak Anatomiia ciała ludzkiego. Wystaw wprzód całość, a dopiero iéy cząstki. Nie zaczynáy od kości, nie pokazawszy skąd są wzięte. Abecadło urodziło się z mowy; poczynáy od mowy. Mowa zamykaiącá myśl rozumną, bawić roskosznie będzie przebiegaiącégo gołe figury i dźwięki A, B, C, nic przez się nie znaczące. W pisanym przykładzie znáydziesz té same figury, poznasz ich dźwięki, ich wcielenié i związek z całością mowy, iako matki, w któréy się poczęły.

Jeżeli ieden przykład o wolności: czego płaczesz? nie iest dostatecznem zrzódłém całego Abecadła i wszystkich znamion pisownych, nie trudno znaleźć drugi i trzeci np.

«Święta miłości kochanéy oyczyzny!
«Czuią cię tylko umysły poczciwe:
«Dla ciebie zjadłe smakuią trucizny,
«Dla ciebie więzy, pęta, nie zelżywe,

*) Krasicki, w Baykach. *(Przyp. Aut.)*.

«Kształcisz kaléctwo, przez chwalebne blizny
«Gniéździsz w umysłach roskoszy prawdziwé.
«Byle cię tylko wspomódz, byle wspiérać;
«Nie żál żyć w nędzy, nie żál i umiérać.*)

Té i tym podobne mowy przykłady, iako matki Abecadła, poprzedzać maią Abecadła naukę, która tak się rozłoży.

c) Z części II. O Wewnętrzności Języka Polskiego.

Rozdział I. § 1.

Grammatyk łączyć powinien znaiomość słów ze znaiomością myśli.

219) Rozważaliśmy dotąd ciało ięzyka naszego, iako rzecz powiérzchowną; czas teráz przyszedł, abyśmy stąpili wewnątrz do iego duszy. Głos, jest ciałém: znaczénié głosu jest duszą. Głos nasz nie jest świstaniem wiatrów, albo mruczeniém niemych strumyków, ale iest tchniéniem żyiącego w nas ducha, oznajmuiącego myśl swoię, towarzyszącemu z nim człowiekowi. Niebáczni przodkowie nasi Grammatycy, anatomizuiąc ciało, a usypiaiąc duszę, robili z mowy, istnego trupa: a przeto nie mogli iéy, ani sami poznać, ani drugim pokázáć. Pierwszy Bakon, Angielski Kanclerz, krusząc stary przesąd, powziął i wyiawił myśl swoię o takiéy Grammatyce, filozoficzną mianowanéy, którąby odkrywała, nie związek słów między słowami, ale związek między słowami a myślą, ponieważ słowa, są znakami myśli*). Możná osobno słowa, a osobno myśli, rozważać, iako części składaiące mowę; ale całości mowy rozważać nie możná bez słów, razem i myśli. Nawet chcąc gruntownie poznać samych słów własności, nie obeydzie się bez myśli, iakeśmy tego doznali w stopniowaniu, rodzaiowaniu, przypádkowaniu i czasowaniu, chociáżeśmy tę piérwszą część Grammatyki powiérzchowną nazwali. Wzaiémnie teráz maiąc rzecz o wewnętrzności mowy, nie obéydziem się bez słów pomocy. Jak w żyiącym człeku, tak i w mowie, ciało bez duszy, dusza bez ciała bydź nie może. Prawda, że im kto więcéy słów umié; tém więcéy umié ięzyka: wszakże, gdyby kto wszystkie słowniki zapakował w pamięci swoiey, a nie wiedziáł, co które

*) Krasicki, w Myszeidzie. *(Przyp. Aut.)*.

**) W xiędze V. Rozdz. I. o zacności i pomnożeniu nauk.
(Przyp. Aut.).

słowo znaczy, na coby się, proszę, albo iemu, albo komu, ta wiadomość przydała? Mowa z natury swoiéy, iest tłumaczką myśli; iakże niewiadomą myśl tłumaczyć będzie?

§ III. *Przez co się wiąże mowa z myślą?*

220) Co czyni związek między ciałém a duszą; toż samo czyni związek między mową a myślą. Jeżeli mię domysł moy nie uwodzi, związek ten zawisł na Ruchu wspólnym ciału i duszy.

Ruch, tak powiérzchowny, iak wewnętrzny, że iest w żyiącym człeku; ten chyba wątpić może, kto całą czułość utracił. W naywiększym mniémanym spoczynku, iaki iest w siedzącym, leżącym, i śpiącym nawet, odprawuią się ruchy przyrodzone. Płynie krew w żyłach, sercé biie, oddychaią płuca, żołądek trawi.

Że i dusza má swóy ruch, ten chyba nie wié, kto iéy władz i działaniá tychże władz, nie uważa w sobie, i nie poznaie. W pomyślnéy chwili, w spokoyném zaciszu, o! iak się dusza rozpływá, w rozbiorze szczęściá swoiégo! zdrowié czérstwé, przyiáciele wierni, mieszkanié wygodné, dostatki obfite, potomstwo wesołé, służący na zawołaniu, porywaią do siebie roskoszną duszy uwágę, i pomyślniéyszemi iescze karmią nadzieiami. Nie przestaiąc iuż na rozrywce domowéy, puściwszy cugle wyobraźni, czyli imaginacyi swoiéy, látá myślą po mieścach, w których albo bywała, albo przynaymniéy widziała ié na ieograficznych atlasach. Nic iéy nie morduie, przebiédz z Lisbony do Kamszatki, z cieśniny Weygatz do Przylądka dobréy nadziei; i na Xiężyc nawet z Gawłém się wzbiia. Wpadnieli na gazeciarskie nowiny, słyszy marsowe wrzawy od Moskwy i Madrytu aż do Paryża; dziwi się millionom uzbroionéy tłuszczy z oderwaniem rąk od pługa, warsztatu, handlu, od żon i od dzieci własnych. Zdumiéwá się nad ukáraniém potomka Cyrnusa, a cieszy się z przywróconego pokoiu światu, przy którym wzdychá do zmiany losu, biednego kraiu swego.

To, w imaginacyi ruch taki, a iakiż nie musi bydź w rozumie? Właśnie iak rzéki do morza ze wszystkich spływaią kraiów, i poruszéniá mu przyczyniaią, tak powiérzchowne i wewnętrzne zmysły pchaią hurmem do rozumu tysiączne czucia

swoié, zadaią mu umysłowe práce, względem poymowaniá, rozróżnianiá, sądzéniá, przetwárzaniá natłoczonych wyobrażeń. Krzątá się żywo koło tych działań, które żeby nie były niepłodnémi, i niepożytecznémi, układá w głowie nowe myśli, stroi głosowé narzędzia, i wiążąc się z niémi, zalécá i pilnuie, aby, co od społeczności ludzkiéy wzięły przez zmysły, w surowym, że tak rzekę, materyale, toż samo, ale nowym smakowitszym kształtem, urobioné, oddál na wzaiém téyże ludzkiéy społeczności.

Pochlebiám sobie, że to rozumowanié, zasłuży na wniosek odpowiadaiący pytaniu: przez co się łączy mowa z myślą?

Opracował G. KORBUT

XXXI.

LINDE SAMUEL BOGUMIŁ.

(1771—1847).

Twórca wielkiego słownika języka polskiego pochodził z ubogiej rodziny niemieckiej, protestanckiej, jakoby ze Szwecyi wywodzącej swój początek. Urodził się w r. 1771 dnia 14 kwietnia w Toruniu i tam pobierał nauki gimnazyalne. Zamierzając się poświęcić stanowi duchownemu, udał się r. 1789 do Lipska i zapisał na wydział teologiczny. Wkrótce jednak zwrócił się do studyów filozoficznych i za radą głośnego wtedy profesora Ernestiego zaczął pracować nad językiem polskim, by objąć miejsce lektora tegoż przedmiotu przy uniwersytecie. Gramatyka Monety i słownik Trotza stanowiły ubogie bardzo źródło wiedzy językowej młodego lektora, który, uzyskawszy r. 1792 stopień doktora filozofii, rozpoczął swe lekcye języka polskiego dla młodzieży, mieszczańskiej i protestanckiej, przybywającej tu na studya. Wszedłszy w bliższe stosunki z gronem patryotów polskich, szukających w Lipsku schronienia przed prześladowaniami Targowicy, zapoznał się dopiero lepiej z językiem i literaturą współczesną polską. Dla wprawy zabrał się do przekładu «Powrotu posła» na język niemiecki, a następnie przełożył zbiorową pracę grona patryotów: «O ustanowieniu i upadku Konstytucyi 3 maja». Przekład ten niemiecki ukazał się w druku jednocześnie z oryginałem polskim (1793). Za podnietą swych przyjaciół polskich przybywa wraz z nimi do Warszawy i w bibliotece Załuskich oddaje się pracy nad przygotowaniem materyału do zamierzonego słownika polskiego. Wypadki r. 1794 przerwały te studya, i wtedy, za radą Ignacego Potockiego, udał się młody lingwista do Wiednia, gdzie otrzymał miejsce bibliotekarza przy Józefie Maks. Ossolińskim, który wysyłał go na wycieczki po kraju w celu wyszukiwania i nabywania, po klasztorach głównie, zabytków dawnej literatury. Zbierając dawne druki, odczytywał je skwapliwie i gromadził jednocześnie notaty dla swego słownika. Zachętę i pomoc w pracy otrzy-

mywał od całego grona bawiących tam wtedy wybitnych osobistości, jak: Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, Stanisław Małachowski, Staszic. Czartoryski wyznacza mu stały zasiłek na utrzymanie pomocnika w gromadzeniu wypisów. Znajomość z głośnym slawistą Dobrowskim ułatwia mu poznanie różnych narzeczy słowiańskich i ich literatur. W chwili kiedy ogłosił już program zamierzonego «Słownika», otrzymał od rządu pruskiego propozycyę urządzenia w Warszawie liceum niemiecko-polskiegoi kierowania niem. Przyjąwszy to stanowisko, przybył w końcu r. 1803 do Warszawy i zajął się powierzonem mu zadaniem. Do rady nadzorczej przy nowej szkole weszli sami Polacy ze Stan. Potockim na czele. Nowy zakład otwarty został z początkiem r. 1805. Pełniąc gorliwie obowiązki dyrektora, nie przestaje Linde pracować nad słownikiem, a obok tego bierze czynny udział w pracach Tow. Przyjaciół Nauk, którego członkiem został jeszcze r. 1800, a więc przed rozpoczęciem publicznej działalności tej instytucyi. Mając zapewnione hojne zasiłki ze strony możnych protektorów, jak: Ossoliński, Stan. Zamojski, Czartoryski (pokrywał $^1/_4$ kosztów), poparcie ze strony rządów (rząd pruski zalecił zakup dla bibliotek szkolnych, w dawnych prowincyach polskich), rozpoczął wreszcie Linde r. 1806 druk swego Słownika w drukarni Pijarów w Warszawie. Czcionki, papier i zecerów sprowadził z zagranicy. Tom pierwszy ukazał się w końcu r. 1807; tom szósty, wydany z zasiłku Wincentego Tyszkiewicza, referendarza lit. (za poparciem Jana Śniadeckiego), wyszedł r. 1814 (wydanie drugie, uzupełnione, ukazało się we Lwowie, nakładem Zakładu Narodowego Ossolińskich, 1854—1861).

Najpoważniejsze instytucye naukowe niemieckie i francuskie zaliczyły teraz Lindego w poczet swych członków. Namiestnik Królestwa Zajączek wręczył mu wielki medal złoty z napisem: «Za Słownik języka polskiego ziomkowie 1816». Za Księstwa Warszawskiego Linde był członkiem Izby, a następnie dyrekcyi edukacyjnej. Za Królestwa polskiego brał udział w organizowaniu uniwersytetu warszawskiego i przez czas jakiś wykładał w nim psychologię i gramatykę powszechną, przytem zajmował się urządzeniem biblioteki uniwersyteckiej. Obok tego nie przestawał pełnić obowiązków rektora liceum. W r. 1823, na popisie tej szkoły, odczytuje Linde, schlebiając występującej wtedy reakcyi, przekład rozprawki rosyjskiej Kajdanowa o korzyściach z nauki historyi, w której autor dowodził, iż upadek narodów jest zawsze zasłużony i usprawiedliwiony. Z tego powodu na obiedzie, urządzonym dnia 1 lutego 1824 r. w hotelu wileńskim z okazyi uroczystego posiedzenia Tow. Przyj. Nauk w nowo zbudowanym gmachu, generał Krasiński w ostrych słowach skarcił ten postępek Lindego i oświadczył, że zamyka przed nim swój dom. Dotknięty tem Linde pisze list do Staszica, jako prezesa Towarzystwa, ze skargą na swe pokrzywdzenie i zapowiedzią usunięcia się z instytucyi. Staszic sprawę tę załagodził. Linde członkiem pozostał, nawet w r. 1831 był wybrany na posła do sejmu z miasta Warszawy. Dopiero przy zamykaniu Towa-

rzystwa, w r. 1832 pomścił się na swych kolegach w sposób, nie przynoszący mu zaszczytu (Al. Kraushar, Tow. Przyj. Nauk, t. VI i VII). W r. 1833 został dyrektorem gimnazyum i członkiem rady wychowania, lecz, już r. 1835 otrzymawszy emeryturę, usunął się ze służby rządowej. Zmarł w Warszawie 8 sierpnia 1847 r. Jako człowiek, o ile w życiu domowym był zacnym i tkliwym mężem i ojcem, o tyle znowu okazywał się słabym, chwiejnym, próżnym i uległym każdej władzy urzędnikiem.

WIADOMOSĆ BIBLIOGRAFICZNA.

Główniejsze źródła i prace o życiu i działalności Lindego. 1) Autobiografia, umieszczona na czele tomu VI Słownika. 2) P. Koeppen. S. G. Linde, eine biographische Skizze, Wiedeń 1823 (odb. z Jahrbücher der Litteratur,. 3) Jan Papłoński. O trudach Linde, piśmo i z Warszawy (w czasopiśmie «Moskwitianin», 1842, część VI, ks. XI, 97—115, i 1854, N 5, 20, 21). 4). Bielowski, Żywot S. B. Lindego (na czele I tomu Słownika, Lwów 1854). Znajduje się tu spis prac L., ogłoszonych drukiem i pozostałych w rękopisie; są to drobne bez trwalszej wartości rozprawki albo przekłady z rosyjskiego (Sopikowa, Grecza, Kajdanowa) i niemieckie przekłady ważniejszych dzieł polskich. W tejże rozprawie znajdują się listy L. do Ossolińskiego. 5) Saint-Maurice Cabany, Notice nécrologique sur S. Th. de Linde, Paryż 1856. 6) Życie domowe Lindego z opowiadań rodziny skreślił Wójcicki, Cmentarz Powązkowski, III, Warszawa 1858. 7) Listy L. do Śniadeckiego ogłosił Baliński, Pamiętniki o Janie Śniadeckim II, Wilno 1865. 8) J. Papłoński, Kłosy 1871, XII, 268, 262. 9) Józef Przyborowski, Tyg. ilust. 1871. VII, 261, 280. 10) Listy do B. Lindego, Aut. B. Lindes Briefmappe, wydał K. J. Petelenz (sprawozdania gim. św. Jacka, Kraków, 1885—1888). 11) Najszczegółowszą ocenę słownika podał Brückner, Język W. Potockiego, Kraków 1900 (odb. z t. XXXI Rozpraw Wydz. Fil. Akad. Um.). 12) Wiele materyału zawiera dzieło Kraushara, «Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk,» Warszawa, 1900—1906. 13) G. Korbut, Encyklopedya Wychowawcza VI, Warszawa 1904, str. 506—511; ob. także Album biograficzne zasłużonych Polaków i Polek I, Warszawa 1901, str. 335—338. 14) Listy L. do Hanki ob. W. Francew, Pisma k W. Hankie iz sławianskich ziemiel, Warszawa 1905. 15) W. Francew. Srawnitielnyj sławianskij słowarj S. B. Linde, Warszawa 1905.

Prawidła etymologii, przystosowane do języka polskiego (1805—6).

Jest to praca, skreślona w dwu językach (po polsku i po niemiecku), częściowo w programach popisu liceum warszawskiego z lat 1805 i 1806, a następnie w całości osobno z datą r. 1806. Pomieścił ją też Linde na czele

pierwszego tomu swego «Słownika». Zaczyna od odróżnienia w wyrazach «głosek istotnych» (należących do źródłosłowu), następnie zajmuje się sprawą przemiany brzmień spółgłoskowych, przy tworzeniu się form pochodnych i odmian, dalej — zmianami w samogłoskach, badaniem okoliczności, utrudniających dochodzenie etymologiczne (przestawianie brzmień, upodobnianie, zatrata), przedstawia pomoce etymologiczne (porównawcze zestawienia z innymi językami, dawnemi formami), rozmaite stopnie pewności etymologicznej i wreszcie ostateczne zamiary etymologii. Podajemy tu ustępy z ostatniego (X) rozdziału.

Ostateczne zamiary etymologii.

221) § 76. Nie trzeba więcej wymagać po etymologii, niż może i niż powinna ziścić. Niesłusznieby, zaiste, po niej żądano, ażeby pierwiastki dzisiejszych języków od pierwszej osady człowieka w raju, albo od korabia Noego wyprowadzała; na toby się nawet i nierozsądnie siliła. Kogo świadectwa historycznie o rozrodzeniu się ludzkiego plemienia z jednej pary nie przekonywają, tego też pewnie o tem nie przeświadczy etymolog, którego pracy nie inny jest ostateczny zamiar, jak okazać jedyne źródło wszelkich na świecie języków, w rozsądnem natury naśladowaniu, wyrażeniem uczutych poruszeń i stąd wynikłych wyobrażeń; okazać w każdym z osobna języku mowę ludzką z drobnych pierwiastków, podług pewnych, umysłowi ludzkiemu przyzwoitych prawideł, do niezmiernego bogactwa zapomożoną.

222) § 79. Zagęściliśmy w języku naszym obcych słów plemię, przejąwszy ich wiele, już to w sąsiedzkiem obcowaniu, już w przypadkowych zdarzeniach, już nakoniec z towarami, naukami, zwyczajem. Skąd się rzeczy brały, stamtąd razem z niemi i imiona tych rzeczy. I tak przyswoiliśmy Tureckie: kilim, kobierzec, dywan, kaftan, dyma, tutuń, cybuch, lulka, kapciuch, imbryk, filiżanka, bazar, targ; Tatarskie: kołczan, sajdak, taftaj, dziryd; Węgierskie: huzar, dobosz, szereg, orszak, dołoman, ciżma. Rzemieślnicze i kunsztowne słowa przyszły do nas po większej części z Niemiec, jako i same rzemiosła i kunszta; ślosarz, ślosarstwo, rymarz, garbarz, farbiarz, hebel, warsztat, szruba, szrubsztak, szorc, majster, cech, kunszt, sztuka, malarz, pendzel, snycerz, rysunek, i t. d. Kościelne pol-

skie słowa w obrządku rzymskim wyczerpane są z łaciny, jak: ołtarz, cmentarz, kielich, msza, ofiara, kancyonał, konfessyonał, ambona; w Greckim zaś obrządku, a też i u innych Słowian, trzymających się tegoż, wyszły z Greckiego języka n. p. monaster, cerkiew, trebnik, i t. d. — Niekiedy atoli, przyswajając obce słowa składane, chciano je niejako na swojskie przelać, czyli przepolszczyć, przetasowaniem zgłosek, jak się pokazuje z słów: *incarnatio*— wcielenie, *transsubstantiatio*—przeistoczenie, *substantia*—podstata, podstawa, *omnipotens*—wszechmocny, *propheta*—prorok; *Sechswöchnerinn*—sześcioniedziałka (później położnica).

Opracował BR. CHLEBOWSKI.

XXXII.

MROZIŃSKI JÓZEF

(1784—1838).

Jeden z pierwszych badaczy języka polskiego, urodz. 19 marca 1784 we wsi Koniuchy w pow. brzeżańskim w Galicyi. Odbywszy nauki w miejscowych szkołach niemieckich, zaciągnął się w r. 1807, z chwilą utworzenia Księstwa Warszawskiego, do pułku huzarów, z którego przeszedł do 1-go pułku legii nadwiślańskiej, z nią odbył kampanię hiszpańską, uczestniczył w oblężeniu Saragosy i, dosłużywszy się stopnia kapitana, przeszedł do sztabu marszałka Sucheta w charakterze adjutanta. Przy organizacyi armii Królestwa Polskiego, jako podpułkownik, został szefem sztabu pierwszej dywizyi piechoty. W roku 1820 otrzymał rangę pułkownika, a 1829 r. generała brygady. Za udział w kampaniach od r. 1807 do 1814 roku dostał krzyż legii honorowej z tytułem kawalera państwa francuskiego i pensyą 1000 franków. Otrzymawszy dymisyę r. 1831, zmarł r. 1838 w Warszawie.

Pobudką do podjęcia studyów lingwistycznych stały się liczne błędy językowe, jakie wytknął Mrozińskiemu Bentkowski w pracy jego, złożonej redakcyi «Pamiętnika Warszawskiego»: «Oblężenie i obrona Saragossy w latach 1808 i 1809, ze względem szczególniejszym na czynności korpusu polskiego». Zabrawszy się do studyowania ówczesnych gramatyk, znalazł w nich tyle sprzeczności i wątpliwości w kwestyach ortograficznych, że, zapaliwszy się do przedmiotu, postanowił go zgłębić wszechstronnie, by dojść do pewniejszych rezultatów. Zapoznał się więc zarówno z dotychczasowemi pracami na polu gramatyki i ortografii polskiej, jak i z dawnymi zabytkami języka z wieku XV i XVI. Zwrócił się też o wskazówki w kwestyi powstawania brzmień do prac niemieckich Meinerta i Adelunga. Pierwszą pracą Mrozińskiego na tem polu były: «Pierwsze zasady gramatyki języka polskiego» (Warszawa 1822). Adryan Krzyżanowski i Andrzej Kucharski ogłosili oceny tej pracy w ówczesnej «Gazecie literackiej».

Z powodu czynionych mu zarzutów ogłosił Mroziński r. 1824 «Odpowiedź na recenzye», w której rozwinął swe poglądy na kwestye gramatyczne i ortograficzne.

Gdy w roku 1827 na posiedzeniu dnia 7 lutego na wniosek Skarbka powołało Tow. Przyj. Nauk deputacyę, złożoną z ks. Szwejkowskiego, Bentkowskiego, Brodzińskiego i Osińskiego, «ażeby zajęła się pisownią polską i stałe jej prawidło podała», grono to zaprosiło następnie do udziału w pracy Mrozińskiego, który nie był członkiem Towarzystwa (wykaz członków podany w dziele Kraushara nie zawiera jego nazwiska) ale mimo to, jako najbardziej uzdolniony i zapalony do badań językowych, zajął w deputacyi stanowisko kierownicze, chociaż prezesem był ks. Szwejkowski. W ogłoszonym roku 1830 zbiorze prac tejże deputacyi p. t. «Rozprawy i wnioski o ortografii polskiej» (Warszawa 1830, str. XXIII i 588) prace Mrozińskiego zajmują połowę zbioru i wartością naukową górują nad rozprawami innych członków, z wyjątkiem Szwejkowskiego, słabo przygotowanych do powierzonego im zadania. Z wymienionych powyżej prac Mrozińskiego jedna tylko, a mianowicie «Oblężenie i obrona Saragossy» doczekała się przedruku w «Bibliotoce polskiej »Turowskiego. Biografii specyalnej i oceny pism zasłużonego lingwisty nie posiadamy dotąd.

O znamionach nad samogłoskami (1830).

Jest to jedna z siedmiu rozpraw Mrozińskiego, pomieszczonych w książce: «Rozprawy i wnioski o ortografii polskiej». Rozpatruje on naprzód historyczny przebieg sprawy odróżniania w piśmie samogłosek otwartych i pochylonych, a następnie szuka podstawy w fizyologicznych warunkach wytwarzania brzmień głosowych do sformułowania zasad, według których umieszczano znamiona w piśmie.

223) *Str. 48—50.* Wszyscy dawni pisarze, którzy zastanawiali się nad ortografią polską, odróżniali w samogłoskach: a, e, o, dwojakie brzmienie, jedno otwarte, drugie ściśnione *[tak]*. Różnicę tę brzmienia wyrażono w piśmie zwykle przez znamiona, kładzione nad literami. Jest wprawdzie wiele pism z czasów Zygmuntowskich, w których niemasz wcale znamion nad samogłoskami; pochodzi to stąd, że znamiona, utworzone w piśmie naszem dopiero na początku XVI-go wieku, nie zaraz mogły się upowszechnić w piśmie ręcznem, wprowadzenie ich nawet do druku wymagało nieco czasu.

W połowie XVIII-go wieku zniknęło zupełnie z pisma polskiego *a* kreskowane. Późniejsi gramatycy nadmieniają o *a* ści-

śnionem, jako o brzmieniu w mowie polskiej, w niektórych tylko województwach dochowanem. Kopczyński usiłował koniecznie zaprowadzić na nowo znamię nad literą *a*, i powrócić brzmienie ściśnione samogłoskom we wszystkich przypadkach, w których je miały w wieku XVI, lecz usiłowania Kopczyńskiego były bezskuteczne. Zaledwie kilku pisarzów zdołał nakłonić do kreskowania samogłosek podług dawnego zwyczaju. «Niewielu nawet, mówi Feliński, znalazło się nauczycielów ściśle posłusznych, którzy do tego kreskowania w szkołach przymuszali, a i tych nawet uczniowie przestali kreskować, jak tylko mogli przestać, to jest, jak tylko wyrwali się ze szkół (str. LXII)».

Kopczyński, wskrzeszając znamię nad samogłoską *a*, która, jak sam w Układzie Gramatyki wyznaje (str. 139), w żadnej już książce po roku 1746 drukowanej nie była znamionowaną, odwołuje się do powagi pisarzów wieku Zygmuntów: «Dźwięk ten dwojaki, mówi, był od dawności w naszym języku; świadectwem tego są znamiona pisarskie nad temi samogłoskami. statecznie u dawnych Polaków zachowywane (Przyp. do G. n. k. III, str. 16). Za czasów Zygmuntowych, wszyscy pisarze, choć nie ze wszystkiem jednostajnie, zachowywali znamiona (Przyp. do G. n. k. III, str. 29)». Feliński twierdzi (str. LI), że w licznych rękopismach dawnych nie widział litery *a* kreskowanej, że wiele nawet jest dawnych druków, w których *a* wszędzie jest bez znamienia. «Skądże więc, mówi, dzisiaj możemy mieć pewność, że to prawidło i w owym nawet czasie było powszechnie przyjęte, a nie raczej uważane tylko za próżny wymysł niektórych literatów?» Gdyby *a* ściśnione było tylko wymysłem ówczesnych literatów, nie byłoby się w drukach dochowało aż do wieku XVIII-go, nie byliby się na jedno zgadzali wszyscy gramatycy i wszyscy pisarze, którzy rozważali ortografię polskiego języka, nie byliby niektórzy, dla wyrażenia dwojakiego brzmienia samogłosek, zaprowadzili do pisma liter, nawet nieznanych w alfabecie łacińskim. Sama rozmaitość środków, których używano dla odróżnienia otwartego i ściśnionego brzmienia samogłosek w piśmie, jest niezaprzeczonym dowodem, że różnicę tę wszyscy w mowie czuli. Zaborowski kreskuje *a* otwarte. Po nim Seklucyan radzi kreskować *a* ściśnione, Kochanowski, w piśmie swojem o ortografii, każe nad otwartem

a pisać znamię od prawej ręki, nad ściśnioném zaś od lewej; mówiąc znowu przed śmiercią swoją z Januszowskim, radził, aby ani nad otwartem, ani nad ścieśnionem *a* nie kłaść kreski, lecz, aby dla wyrażenia ściśnionego *a*, utworzyć w alfabecie literę *a* innego kształtu. Następnie wszyscy pisarze, aż do wieku XVIII-go, którzy rozważali brzmienia mowy polskiej, mówią o różnicy między *a* otwartem i *a* ściśnionem. Gramatycy ówcześni, którzy pisali dla cudzoziemców, uczą, jak ściśnione polskie *a* należy wymawiać. Mesgnien mówi, że głoska ta wymawia się nakształt francuskiej głoski *au*. Schlag, aby dać wyobrażenie o brzmieniu ściśnionego *a* w słowie *pan* każe bardzo prędko przeczytać *paon*. W najpierwszych próbkach druków polskich nie widzimy wprawdzie różnicy między *a* otwartem i *a* ściśnionem, bo też te druki nie mają jeszcze liter na wyrażenie głosek polskich, które się nie znajdują w mowie łacińskiej, niemasz w nich różnicy między *o* otwartem i *o* ściśnionem, między *ł* i *l*, między *cz* i *ć*, w niektórych nawet nie różni się *ą* od *a*; niemasz w nich znamion nad samogłoskami, bo ich niema jeszcze i nad spółgłoskami. Alfabet polski, taki, jaki jest teraz, ustalił się dopiero w XVI-tym wieku.

XXXIII.

KRÓLIKOWSKI JÓZEF FRANCISZEK

(1781—1839).

Badacz języka, pedagog i pisarz, ur. 1781 w Galicyi, pobierał nauki od r. 1793 w Sanoku, Przemyślu, Zamościu, a w końcu na wydziale prawnym uniwersytetu lwowskiego. Przez czas pewien pełnił obowiązki sędziego w pow. brzeżańskim. W r. 1808 zostaje zastępcą nauczyciela matematyki i filozofii w Zamościu. W roku 1809 przechodzi do służby administracyjnej i od r. 1814 do 1816 jest prezydentem Radomia. Wreszcie r. 1820 obejmuje stanowisko nauczyciela literatury polskiej w Poznaniu, gdzie wydaje przez krótki czas pisma peryodyczne: «Mrówkę poznańską» (1821) i «Pismo miesięczne poznańskie» (1822). Powołany na stanowisko inspektora szkół elementarnych, przeniósł się do Warszawy i pełnił te obowiązki do roku 1833. Zmarł r. 1839, pochowany na Powązkach. Syn jego Jan zasłynął, jako pierwszorzędny artysta dramatyczny sceny warszawskiej.

Miłośnik muzyki i teatru, interesował się żywo sprawą zgodności muzyki z rytmiką wiersza. Tłumaczył sam trzy opery dla sceny warszawskiej (w latach od 1818 do 1820). Umieszczony w «Pamiętniku warszawskim» z r. 1817 «Panegiryk nowych, a szczęśliwie wynalezionych rymów» przez St. Okraszewskiego, pobudził Królikowskiego do pomieszczenia w temże piśmie rozprawki: «Uwagi nad jednozgłoskowym rymem» (przedrukowanej później we wstępie do «Prozodyi»). Następnie, rozczytując się w dziełach niemieckich, poświęconych temu przedmiotowi, skreślił na podstawie pracy Marpurga «Anleitung zur Singcomposition» rozprawę «O śpiewach polskich z muzyką», pomieszczoną w «Pam. warsz.» (nr. 10. z paźdz. 1817 do nru 4 z kwietnia r. 1818). Ogłoszona w roku 1818 «Rozprawa o rytmiczności i metryczności języka polskiego» przez Józefa Elsnera (Warszawa 1818, w tem 7 arkuszy pracy Elsnera i 4 arkusze przykładów, wybranych przez K. Brodzińskiego), wywołała ze strony Królikowskiego: «Uwagi

nad dziełem: Rozprawa o metryczności i rytmiczności języka polskiego» (Warszawa 1818). Uwagi, żartobliwym tonem wypowiedziane w sprawie wierszy miarowych przez St. Okraszewskiego, pobudziły Królikowskiego do pomieszczenia w «Pam. Warsz.» (luty i marzec roku 1818) odpowiedzi i rad w tej kwestyi. Zebrawszy wszystko, co w tej sprawie był ogłosił, uporządkował Królikowski swoje spostrzeżenia, uzupełnił je i pomnożył dodatkami tudzież nowym rozdziałem o heksametrach polskich i wydrukował w r. 1821 w Poznaniu, jako osobne dzieło p. t. «Prozodya polska czyli o śpiewności i miarach języka polskiego z przykładami w nutach muzycznych» (215 str. i kilka tablic nut). Ogłoszenie pracy tej przypada właśnie na chwilę wschodzenia nowej poezyi i blizkiego już momentu rozkwitu muzyki polskiej. Mickiewicz, który pracę Królikowskiego będzie studyował w Moskwie, urzeczywistni, a nawet prześcignie życzenia jej autora w cudownej muzykalności sonetów krymskich i lirycznych ustępach Konrada, zwłaszcza w tak porywającej melodyą słowa «Pieśni z wieży» i rozmowie, a raczej dwuśpiewie Konrada z Aldoną.

Prócz wymienionych powyżej ogłosił Królikowski następujące prace i wydawnictwa:

«Rozrywki literackie prozą i wierszem» (Poznań 1824, 2 tomiki).

«Proste zasady stylu polskiego, rozmaitemi spostrzeżeniami względem języka, dla użytku jasno, zwięźle, poprawnie, gładko i szczerze po polsku pisać chcących, praktycznie w przykładach okazane, a wzorami rozmaitego toku i sposobu pisania, nauką o listach, wykładem pewnej liczby synonimów i kilku rozprawkami o języku tudzież wyjaśnieniem pisowni dopełnione, przez Józefa Franciszka Królikowskiego, Doktora filozofii, prof. języka i literatury polskiej w król. gimnazyum poznańskiem, Towarzystw: Królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk, Krakowskiego Naukowego, Warszawskiego Przyjaciół Muzyki kościelnej i narodowej członka; orderu Ś. Stanisława kawalera. W Poznaniu i Bydgoszczy u T. A. Munka 1826, str. XXIV; 224. Dedykacya ks. Antoniemu Radziwiłłowi, Namiestnikowi królewskiemu w wielkiem ks. Poznańskiem».

«Wzory estetyczne poezyi polskiej, w pięknościach pierwszych mistrzów naszych z przytoczeniem teoryi wystawione» (Poznań 1826).

«Rys poetyki wedle przepisów teoryi, w szczegółach z najznakomitszych autorów czerpanej, ułożony» (Poznań 1828).

«Biblioteka konwersacyjna czyli wykład wiadomości rzeczy najpotrzebniejszych i najpożyteczniejszych w pożyciu towarzyskiem» (Poznań 1830, 4 tomiki).

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA. 1) Wójcicki, Cmentarz Powązkowski, tom I. Warszawa 1855, str. 148—158. 2) Plenkiewicz, Roman Encykl. Wychowawcza, tom VI, Warszawa 1904, str. 391—397.

Prozodya polska (1821).

Najważniejsza z prac Królikowskiego, zaczyna się od wstępu, podającego genezę dzieła, mieszczącego uwagi nad rytmiką polską i jednozgłoskowym rymem (XXXI str.), poczem idzie część pierwsza, obejmująca rozprawę o potrzebie zgodności poezyi z muzyką (w operach i śpiewach). Część druga obejmuje prozodyę i budowę wiersza. Zajmuje się tu autor akcentem, iloczasem, miarami, rodzajami wiersza polskiego, heksametrem polskim w porównaniu ze starożytnym, rytmem i własnościami wierszy, dla muzyki przeznaczonych, w końcu zaś formami muzycznemi w operze (arya recitativo, duet, chór i t. p.).

Podajemy tu dwa ustępy z części pierwszej.

224) *§ 5, str. 7—8.* Nie wszystko, co poeta nazwał śpiewem, jest nim istotnie, a częstokroć najpiękniejszy wiersz nie ma tych przymiotów, które w śpiewie zachowane być powinny, bo, ażeby śpiewy były dobrymi, powinien poeta choć w małej części być muzykiem. Łatwo w tem miejscu przewiduję zarzut, na bardzo pozornych mniemaniach oparty: «Dawniej poeci nie wszyscy byli muzykami, a przecież śpiewali». Prawda; ale czy wszyscy istotnie śpiewali, czy tylko dzieła swoje nazywali śpiewami, potrzebuje być okazanem. O starożytnych poetach innych narodów wiemy, iż ci w samej rzeczy przy instrumentach muzycznych wiersze swoje odśpiewywali, a uważając po ich wierszu miarowym, mniej wątpić można, ażeby śpiewy ich nie miały być zgodne z muzyką. Czyli to samo i o poetach polskich powiedzieć można, bez przekonania się nie śmiałbym tego utrzymywać, i kto nas zapewni, że starzy nasi poeci, a po nich i późniejsi, nazywając pisma swoje śpiewami, nie naśladowali w tem tylko poetów innych narodów, chociaż poezya tamtych co do wiersza najmniejszego z naszą nie miała podobieństwa. Że jednak starzy poeci bliżsi, aniżeli my, byli śpiewności, widać tego ślady niejakie w śpiewach kościelnych i narodowych; a potem czyli wyraz śpiewam zawsze dowodzi śpiewanie z muzyką albo śpiewanie muzykalne, to wprzód udowodnionem być powinno: i kto wie, czyli ten wyraz nie był brany częściej za opiewam, co nie koniecznie pociąga za sobą muzykę.

225) *§ 12, str. 17—18.* Ażeby śpiew był dokładnym i zgodnym z muzyką, nie dość jest zachować akcent mowy, ale potrzeba jeszcze, ażeby się poeta z muzykiem zgadzali

w myśli i uczuciach. Jak szkodliwą jest niezgodność w tej mierze, wkrótce poznamy. Każda rzecz ma swoje cele — poeta chce zawsze wzbudzić jakoweś uczucie; łatwiej tego dokaże zapomocą muzyki, ale potrzeba, ażeby się te dwie sprężyny, poruszające umysł ludzki, bardzo porozumiały z sobą. Muzyka ma wyrażać namiętność wyrozumianą nie tylko z ogólnej myśli śpiewu, ale często stosuje się do jednego wiersza, do jednego nawet wyrazu, inaczej śpiewy będą martwą tylko muzyką. Czyli do śpiewów polskich dotychczasowych można było taką pisać muzykę, lub nie? dlaczego? i czyli tej niedogodności na przyszłość zaradzić można, przekonamy się z doświadczenia. Kompozytor, pisząc muzykę do śpiewu, na strofy podzielonego, robi ją tęż samą do wszystkich strof; jakże jej charakter zgodzi się z charakterem poezyi, jeżeli poeta, na to nie pomny, w każdej strofie inną wyraża namiętność, innem się unosi uczuciem? bo czyliż niepodobną jest rzeczą, ażeby poeta w pierwszej strofie swojego śpiewu pałając najtkliwszą miłością, w drugiej lub następujących zapalił się do najsroższej zemsty? i czyliż można wymagać, ażeby na ten czas taż sama melodya wszystkim strofom towarzyszyła?

Opracował BR. CHLEBOWSKI.

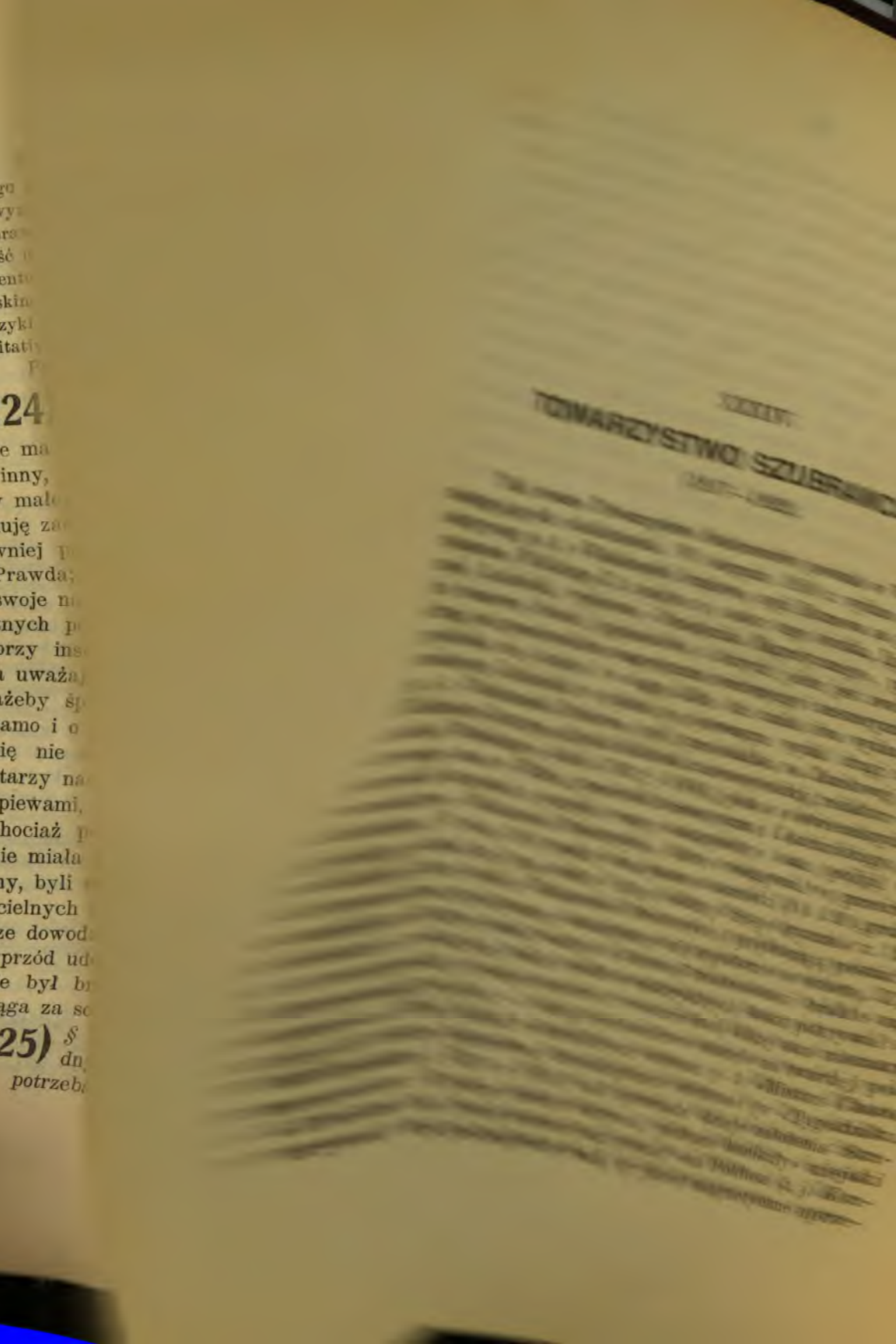

dzić roztyrki, wypalił, jak z Baroko, gatunek satyrki, a żywo zachęcony tak zręcznym przypadkiem, palnął i drugą piórem złośliwem, lecz gładkiem». Poklus, widząc, że się rzecz podoba, «układa w płodnej zawsze na projekta myśli, czy nie dobrzeby na nim (t. j. na onym «Świstku») literaci wyszli»; zwołał więc przez swego Sanszy «tłum literatów goły i drażliwy» do mieszkania jednego ze swych przyjaciół, Pateli. Tu, przy dobrej herbacie, Poklus wyłożył zebranym powody, dla których ich zgromadził; wreszcie rzekł: «Bracia, wiecież co?... ot... mam projekt za katy. — Zostańcie Szubrawcami...!» i łyknął herbaty. Na to powstaje wrzawa, projekt przechodzi, a kierunek nowego towarzystwa obejmuje Perkunas; tym pseudonimem przezwał się Jakób Szymkiewicz, doktor medycyny, poważny i zasłużony działacz społeczny († 1818). Od 11 lutego 1817 r. posiedzenia przybierają charakter stały, spisuje się z nich protokóły. Na jednem z pierwszych wybrano komisyę do ułożenia «Kodeksu Szubrawskiego», składającą się z Szymkiewicza, Kontryma, Balińskiego Michała i Strawińskiego Kazimierza; ten ostatni był w tej komisyi przewodniczącym, czyli prezydentem. Kodeks ten, rozszerzony i uzupełniony na posiedzeniu w dniu 26 stycznia r. 1819, za prezydentury Jędrzeja Śniadeckiego, został wydany w Wilnie w r. 1819. Składał się z 16-tu «prawideł», które nakazywały: nie pić, nie grać w karty, czekino i bilard, nie być pieniaczem, nie chlubić się tytułami ojców, wystrzegać się uniżoności względem wyższych, a butności i pogardy dla niższych, nie chwalić bezkrytycznie wszystkiego, co swoje, głosić przekonanie, że urzędy powinny iść za zasługami, nie zaś urodzeniem, prenumerować co najmniej jedną gazetę polityczną i jedną literacką, mieć księgozbiór, składający się co najmniej z 10 tomów, powiększając go co rok o jedną książkę i pisywać do «Wiadomości Brukowych» (co najmniej na ćwiartkę druku co 20 dni) i t. p. Pierwszym prezydentem Szubrawców był Jakób Szymkiewicz, po jego zaś śmierci zastępował prezydenta Kontrym, któremu zbywało jednak na energii do utrzymania w karbach organizacyi szubrawskiej: schadzki nie dochodziły do skutku, wkradły się nieporządki. Baliński w powyżej powołanem pisemku tak mówi o tej epoce: «Lecz gdy ten patryarcha (t. j. Szymkiewicz) poszedł do mogiły, szanowny po nim Poklus dzwonił z całej siły; złote to były wieki, wszyscy smaczno spali, Auszlawis (t. j. sam Baliński) tylko, Gulbi (t. j. Szydłowski Ignacy) i Ojciec (t. j. Kontrym) gadali». Dnia 5 stycznia r. 1819 został prezydentem Jędrzej Śniadecki, i odtąd w działalności Szubrawców zapanował ład i gorliwość. Wówczas to powstał projekt rozszerzenia sfery działalności szubrawskiej na Warszawę, Kraków, Lwów, Białoruś, Podole i Wołyń i zmiany tytułu pisma na «Powszechne wiadomości brukowe»; projekt ten, opracowany przez Szubrawców: Warpu II, Gulbi i Auszlawisa, nie został jednak wcielony w życie. Towarzystwo istniało lat sześć, wydając regularnie «Wiadomości Brukowe», których ostatni numer wyszedł 3 czerwca 1822 r. (Nr 287), poczem zostało nagle

XXXIV.

TOWARZYSTWO SZUBRAWCÓW.

(1817—1822).

Tak zwane Towarzystwo Szubrawców powstało w Wilnie wśród następujących okoliczności. W sierpniu 1816 r. wydano tu świstek satyryczny p. t. «Wiadomości brukowe, czyli Rozmowa na placu przed ratuszem Wielkiego X z małym x»; autor tego świstka, Ignacy Emanuel Lachnicki, wydawca «Pamiętnika Magnetycznego», przedstawił tu rozmowę dwuch jegomościów, z których jeden jest zwolennikiem, drugi zaś przeciwnikiem magnetyzmu zwierzęcego i mesmeryzmu. Rzecz podobała się bardzo i w ciągu kilku dni miała dwa wydania, czem zachęcony Lachnicki w tydzień po pierwszym wydał drugi numerek, p. t. «Wiadomości Brukowe, czyli przechadzka na Zamkowej górze». Kazimierz Kontrym, adjunkt biblioteki uniwersyteckiej, redaktor «Dziennika Wileńskiego» (około 1762 † 1836), jeden z oświeceńszych ludzi owego czasu w Wilnie, przeciwnik mesmeryzmu i Lachnickiego, postanowił skorzystać z pomysłu swego antagonisty i sam podjął wydawnictwo «Wiadomości Brukowych», które redagował w przeciwnym duchu. W roku 1816 wyszły dwa jeszcze numerki (16 i 20 grudnia), piąty ukazał się 10-go, szósty 13-go, siódmy 20-go stycznia r. 1817; odtąd luźne świstki «Wiadomości Brukowych» przybierają postać wydawnictwa peryodycznego, ukazującego się regularnie co sobotę. Z początku Kontrym musiał walczyć z licznemi trudnościami: brakło organizacyi redakcyjnej, brakło środków materyalnych, koszt pokrywał się z rozprzedaży pierwszych numerów; wreszcie ktoś, bliżej nam nieznany, dopomógł pieniędzmi — i odtąd wydawnictwo stanęło na twardej podstawie. Michał Baliński w żartobliwym wierszu p. t. «Mixtum Chaos, czyli historya Szubrawstwa, chronologicznie ułożona» (w «Tygodniku Wileńskim», t. VIII z r. 1819), tak opowiada dzieje założenia Szubrawców: «W pewnym miesiącu sierpniu, podczas kanikuły» niejaki «Dzidzis Lado» (również nieznana nam postać) «za Poklusa (t. j. Kontryma) i innych przedrwigłówków radą, by jakieś magnetyczne uprze-

dzić roztyrki, wypalił, jak z Baroko, gatunek satyrki, a żywo zachęcony tak zręcznym przypadkiem, palnął i drugą piórem złośliwem, lecz gładkiem». Poklus, widząc, że się rzecz podoba, «układa w płodnej zawsze na projekta myśli, czy nie dobrzeby na nim (t. j. na onym «Świstku») literaci wyszli»; zwołał więc przez swego Sanszy «tłum literatów goły i drażliwy» do mieszkania jednego ze swych przyjaciół, Pateli. Tu, przy dobrej herbacie, Poklus wyłożył zebranym powody, dla których ich zgromadził; wreszcie rzekł: «Bracia, wiecież co?... ot... mam projekt za katy. — Zostańcie Szubrawcami...!» i łyknął herbaty. Na to powstaje wrzawa, projekt przechodzi, a kierunek nowego towarzystwa obejmuje Perkunas; tym pseudonimem przezwał się Jakób Szymkiewicz, doktor medycyny, poważny i zasłużony działacz społeczny († 1818). Od 11 lutego 1817 r. posiedzenia przybierają charakter stały, spisuje się z nich protokóły. Na jednem z pierwszych wybrano komisyę do ułożenia «Kodeksu Szubrawskiego», składającą się z Szymkiewicza, Kontryma, Balińskiego Michała i Strawińskiego Kazimierza; ten ostatni był w tej komisyi przewodniczącym, czyli prezydentem. Kodeks ten, rozszerzony i uzupełniony na posiedzeniu w dniu 26 stycznia r. 1819, za prezydentury Jędrzeja Śniadeckiego, został wydany w Wilnie w r. 1819. Składał się z 16-tu «prawideł», które nakazywały: nie pić, nie grać w karty, czekino i bilard, nie być pieniaczem, nie chlubić się tytułami ojców, wystrzegać się uniżoności względem wyższych, a butności i pogardy dla niższych, nie chwalić bezkrytycznie wszystkiego, co swoje, głosić przekonanie, że urzędy powinny iść za zasługami, nie zaś urodzeniem, prenumerować co najmniej jedną gazetę polityczną i jedną literacką, mieć księgozbiór, składający się co najmniej z 10 tomów, powiększając go co rok o jedną książkę i pisywać do «Wiadomości Brukowych» (co najmniej na ćwiartkę druku co 20 dni) i t. p. Pierwszym prezydentem Szubrawców był Jakób Szymkiewicz, po jego zaś śmierci zastępował prezydenta Kontrym, któremu zbywało jednak na energii do utrzymania w karbach organizacyi szubrawskiej: schadzki nie dochodziły do skutku, wkradły się nieporządki. Baliński w powyżej powołanem pisemku tak mówi o tej epoce: «Lecz gdy ten patryarcha (t. j. Szymkiewicz) poszedł do mogiły, szanowny po nim Poklus dzwonił z całej siły; złote to były wieki, wszyscy smaczno spali, Auszlawis (t. j. sam Baliński) tylko, Gulbi (t. j. Szydłowski Ignacy) i Ojciec (t. j. Kontrym) gadali». Dnia 5 stycznia r. 1819 został prezydentem Jędrzej Śniadecki, i odtąd w działalności Szubrawców zapanował ład i gorliwość. Wówczas to powstał projekt rozszerzenia sfery działalności szubrawskiej na Warszawę, Kraków, Lwów, Białoruś, Podole i Wołyń i zmiany tytułu pisma na «Powszechne wiadomości brukowe»; projekt ten, opracowany przez Szubrawców: Warpu II, Gulbi i Auszlawisa, nie został jednak wcielony w życie. Towarzystwo istniało lat sześć, wydając regularnie «Wiadomości Brukowe», których ostatni numer wyszedł 3 czerwca 1822 r. (Nr 287), poczem zostało nagle

rozwiązane. Bliższych szczegółów tej katastrofy nie znamy; zdaje się, że Szubrawcy, którzy w ostatnich latach puścili się na mętne fale satyry osobistej i paszkwilu, musieli w swojem pisemku obrazić jakąś wysoko położoną osobę, i to spowodowało upadek towarzystwa. List niejakiej p. J. K. donosi, że męża jej aresztowano, przyczem «papiery szubrawskie zostały opieczętowane i zabrane», niemałą więc figurę musieli dotknąć redaktorowie i wydawcy «Wiadomości Brukowych». Członkowie dzielili się: na «urbanów» (miejskich), t. j. członków czynnych, których było zawsze 40, rustykanów I i II rzędu (wiejskich), t. j. osób postronnych, sprzyjających celom towarzystwa i współdziałających z niem (w liczbie nieograniczonej), i korespondentów. Urbani przybierali przezwiska z mitologii litewskiej. Lista znanych nam z pomiędzy nich, według Hordyńskiego i Ottmanna, różniących się jednak między sobą pod pewnymi względami, przedstawia się w następujący sposób: Szymkiewicz (Perkunas), Kontrym (Poklus, zwany też «Dygnitarzem Ojcem, jubilatem Towarzystwa, trzykroć od braci tem nazwiskiem nazwanym i od każdego serdecznie obramionym«), Śniadecki Jędrzej (Sotwaros), Szydłowski Ignacy (Gulbi), Baliński (Auszlawis), Giecewicz Jan, Gorecki Antoni, poeta (Litwanos), Grzymała Franciszek (Gurcho, cz. Curcho), Karczewski Wincenty, Borowski Leon (Pergrubis), Lachnicki Ignacy (Chaurirari), Marcinowski Antoni (Sejmi, cz. Siejmi), Niemczewski Zacharyasz, dziekan wydziału fizyczno-matematycznego (Kielu), Porcyanko Konstanty, prof. chirurgii (Eskulap), Baliński Józef, brat Michała (Sweytistiks), Rychter Jan, Strawiński Kazimierz, Sękowski Józef, znany oryentalista, Zan Tomasz, Worcell (Gryromir Tukan), Łagiewnicki Ignacy, Szantyr Jan, Sakowicz A., Dąbrowski. Do rustykanów należeli: Chodźko Ignacy (Wirszajtos), Chodźko Jan (Wajzgantos), Szulc Maciej, Puttkamer Wawrzyniec, Grabowiecki, Kuszelewski, dwaj bracia Maniewicze z Rafałówki, w powiecie pińskim (jeden z nich przezwał się: Duzares), Moniuszko Aleksander, magister prawa, Marczyński Wawrzyniec, dr. teologii, Smokowski, Śniadecki Jan, Tymieniecki, Wilamowski, Wolski, Mianowski, profesor położnictwa, Witowski Maurycy («Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia», autor korespondencyi z Warszawy do «Wiadomości Brukowych». Ottmam podaje, że w pracach szubrawskich brali też udział księża: Filip Golański i Jan Kanty Chodani, członkiem korespondentem (zdaje się, jedynym) był Franciszek Zabłocki. Jak świadczy list Maryli Wereszczakówny do Mickiewicza, i on też pisał coś do «Wiadomości»; co to było, nie wiemy wcale, gdyż Szubrawcy zamieszczali swe artykuły bezimiennie. Znamy tylko, skądinąd, listę prac Śniadeckiego Jędrzeja, Balińskiego, Szydłowskiego, Chodźki Ignacego, jedną Kontryma. Zarząd Towarzystwa spoczywał w rękach «dostojników», wybieranych jednomyślnie, i «urzędników»,

powoływanych większością głosów. Do pierwszych należeli: «fundator», osoba, bliżej nam nieznana, może ów ukryty pod przezwiskiem Pateli przyjaciel Kontryma; dalej założyciel Szubrawców, zastępca przewodniczącego, obok niego zajmujący honorowe miejsce za stołem obrad, «ojciec» Kontrym. Dalej «witajnicy» pierwszego i drugiego rzędu i «zaletnicy», wprowadzający nowych członków do stowarzyszenia. Urzędników było pięciu, a każdy z nich miał swego «namieśnika»: prezydent (do r. 1818 Szymkiewicz, potem aż do końca Śniadecki), mówca (Borowski-Pergrubis; zastępcą jego był Gulbi-Szydłowski), strażnik (Auszlawis-Baliński), sekretarz i redaktor (Marcinowski). Obowiązkiem «strażnika» było utrzymywać porządek na schadzkach, godłem jego była łopata, którą walił w stół dla przywrócenia ciszy i spokoju; na łopacie widniał napis: *tacere qui nescit, nescit loqui* (t. j. kto nie umie milczeć, nie potrafi i przemawiać). Prócz onej łopaty, która stanowi często powtarzający się motyw w «Wiadomościach», jako symbol działalności szubrawskiej, na stole prezydyalnym obok sakramentalnego dzwonka stał gąsior, napełniony wodą, z napisem: *aqua fontis* (t. j. woda źródlana), szklanka oraz podręczniki geografii i historyi. Pod błazeńskim strojem tych dziwacznych akcesoryów, tajemniczości, przemów, symbolów, stylu przesadnie humorystycznego, pseudonimów mitologicznych Towarzystwo Szubrawców kryło myśl zdrową i szlachetną. Byli oni spadkobiercami idei wolnomularzy, na których niewątpliwie poniekąd się wzorowali: stąd ich kierunek satyryczny, ośmieszanie zastarzałych nałogów, obskurantyzmu umysłowego, szulerstwa, pijaństwa, pieniactwa («juromanii»), zabobonności, wespół z wszelkim mistycyzmem, magnetyzmem zwierzęcym i mesmeryzmem, przesądów kastowych, ucisku chłopów, uniżoności względem możnych, pogardy maluczkich, próżności rodowej, zaślepionego nacyonalizmu i wstecznictwa, ciemnego konserwatyzmu, zbytniego uwielbiania przeszłości narodowej, złego wychowania młodzieży męskiej i żeńskiej i t. d. Ale z drugiej strony, jako ludzie epoki suchego racyonalizmu, potępiali budzący się wówczas w tajnych stowarzyszeniach ruch polityczny, zwłaszcza wśród młodzieży, potępiali też kierunek romantyczny. I, rzecz znamienna, może tylko prosty zbieg okoliczności: «Wiadomości brukowe» przestały wychodzić w tym samym 1822 roku, kiedy ukazał się pierwszy tom poezyi Mickiewicza: młodemu pokoleniu chłodny liberalizm Szubrawców już nie wystarczał. Odegrali oni jednak poważną rolę w dziejach umysłowości polskiej na Litwie w pierwszej ćwierci XIX stulecia i położyli znaczne zasługi w walce z ciemnotą i reakcyą umysłową, prędko jednak wyczerpali swe zasoby ideowe, jak również i pomysły literackie, które w dalszych rocznikach powtarzają się do znudzenia; listy z krain egzotycznych i opisy podróży po niebywałych krainach: Nipu, Eldorado, Balnibarbi, Ryspa i t. d., nieskończone wędrówki «szlachcica na łopacie», listy nieistniejących korespondentów, często znalezione w nadzwyczajny sposób (motyw «Historyi» Krasickiego), dyalogi na ziemi

i w państwie cieniów — oto najczęściej używane formy, w które wlewała się treść myślowa grona Szubrawców. «Wiadomości Brukowe» wzięły w spadku ideały społeczne i moralne, a po części i formy literackie «Monitora», wzorując się, jak i on, na zachodnio-europejskich czasopismach satyrycznych, a zwłaszcza na angielskim «Spektatorze», z którego pewne artykuły tłómaczono lub przerabiano; poza tem czerpano materyał ze Sterna, Goldsmitha, Swifta «Podróży Gulliwera», Pope'a, Woltera, Jounga, Krasickiego «Przypadków Doświadczyńskiego».

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

a) **Materyały** do dziejów Szubrawców można odnaleźć przedewszystkiem w «Wiadomościach Brukowych» (1816—1822), kompletny egzemplarz znajduje się m. inn. w bibliotece ord. hr. Krasińskich w Warszawie; dalej w «Kodeksie szubrawskim» (Wilno 1819), w niektórych czasopismach współczesnych, jak «Pamiętnik warszawski» (t. IX), jak «Tygodnik wileński» (t. VII i VIII), wreszcie w «Pismach Szubrawskich z papierów M. Balińskiego» (rkp. Biblioteki Jagiellońskiej), a także u M. Balińskiego w zbiorowem wydaniu dzieł Jędrzeja Śniadeckiego (Wilno 1840). Są także w notatkach i pamiętnikach współczesnych, jak: Sobarri: «Obrazy litewskie ze wspomnień tułacza» (Poznań 1874), Kirkor Adam Honory: «Przechadzki po Wilnie» (Wilno 1856), P. nakoniec życiorysy Śniadeckiego Jędrzeja, Balińskiego Michała i innych wybitnych Szubrawców; ze współczesnych oceniali działalność Szubrawców: Mochnacki, Goszczyński, Jundziłł i inni.

b) **Opracowania** działalności Szubrawców dali: Chmielowski P.: «Towarzystwo Szubrawców i Jędrzej Śniadecki, zarys obyczajowo-literacki» («Tygodnik Illustrowany») 1878, V); Hordyński Zdzisław: «Towarzystwo Szubrawców» («Przewodnik Naukowy i Literacki» 1882, w odbitce r. 1883 we Lwowie); Ottmann R.: «Przyczynek do historyi Szubrawców» («Tygodnik Illustrowany» 1882, t. XIII; toż samo: «Reforma» 1882, Nr 75—81); Chmielowski P.: «Obskurantyzm i liberalizm na Litwie i Rusi (1816 do 1823)» w «Ateneum» 1883, t. I i II i osobno; Bartoszewicz K.: «Księgi Humoru Polskiego».

A) Mowa Dygnitarza Szubrawissymusa Okopirnosa z powodu przyjęcia do Szubrawstwa nowego członka (zwój dziuplowy).

(«Wiadomości Brukowe» 1818, Nr 19, str. 129—131).

226) Szanowny, nowo przyjęty Szubrawcze! Posłuchaj słów kilka Dygnitarza, które on dla powitania ciebie, wcho-

dzącego w grono naszego towarzystwa, i dania niektórych ostrzeżeń do twej szanownej osoby obraca.

A najprzód, nie dziwuj się, że tu słyszysz o godności Dygnitarskiej. Tytuł ten u nas nie jest przywiązany, jak niegdyś bywało, do opasłości, próżniactwa, pychy i wzgardy stanu niższego, nie robi on między nami różnicy, nie narusza równości; jest bardziej przez nas ustanowiony dla nadania powagi całemu Szubrawstwu, niż wywyższenia szczególnych osób.

Wszyscy zarówno staramy się usilnie pracować i w zamiarach naszych dążymy do obrzydzenia złych nałogów: pijaństwa, kosterstwa, złodziejstwa, przekupstwa, chciwości, lichwy i tego wszystkiego, co tylko hańbę obyczajom dobrym przynosi. Znajomy twój dowcip, szanowny kandydacie, połączony z nauką i talentem, czyni nam wielką nadzieję, że usiłowania nasze dzielną pomocą wspierać będziesz.

Zaletnik WPana, szanowny nasz kolega Auszlawis, Strażnik poważnej łopaty i mianowany Dygnitarz, przy zaleceniu przynosił, stosownie do naszych prawideł, pismo WMPana w bajce, wierszem ułożonej, pod tytułem «Owca i Wół» *). Duch Szubrawski, jaki w niej daje się spostrzegać, skłonił wszystkich głosy na jednomyślne przyjęcie WPana do grona naszego.

Gdy wszakże przez porównanie nas do szpaków, językiem chińskim często mówiących, okazałeś niedoskonałe o towarzystwie naszem wyobrażenie: jako gorliwy członek, przy powitaniu WPana, czuję się być w obowiązku odwrócić obojętne jego mniemanie i przytoczeniem pokrótce naszej historyi okazać, dlaczego pisma nasze nie zawsze dla wszystkich są zrozumiałe.

Gdyby tu czas pozwalał, mógłbym obszernie WPanu dowieść, że Szubrawcy od wielu tysięcy lat trwają, a to, poczynając od potopu świata. Noe, Patryarcha ten, przez lat wiele budując arkę, ciągle upominał zepsuty lud, ażeby w występkach i niegodziwościach swoich poprawił się. Syn jego, Cham, był Szubrawcem, bo się z pijaństwa naśmiewał. Zle wprawdzie zrobił, że nie przebaczył tej ułomności własnemu ojcu; został też za to ukarany, bo ród, po nim idący, zdegradowano na chłopów, z którego to stanu i my, jego potomkowie, już w później-

*) Obacz Nrek 78 »Wiadom. Brukow.» *(Przyp. Aut.)*.

szym czasie przeszliśmy na szlachtę, to przez indygenaty, to przez nobilitacye... Ale naśmiewanie się z pijaków zostało naszą przyrodzoną namiętnością; tak dalece, iż, chociaż przekonani jesteśmy, że z ojcowskiej przywary urągać się jest grzechem prawdziwym, jednakże ten grzech może się w nas porównać z pierworodnym, którego aczkolwiek wyrzekamy się, słabość wszakże ludzka częstokroć do niego powraca. Zdarzało się więc i nam z naszego własnego Ojca*) śmiać się. To jest pierwszy wielki dowód, że od Chama pochodzimy. Drugi, równie mocny, że własności przyrodzonej człowieka, to jest wolności, broniąc, jesteśmy wielkimi przyjaciółmi chłopów i niemiłosiernie szydzimy z tych mniemanych panów, którzy nic po ludzku z chłopami się obchodzą i ich uciskają. A tu wyraźnie odkrywa się, pomimo powierzchowne uszlachcenie, wrodzona braterska miłość, z ciekiem krwi w żyły nasze wlana.

Cham miał trzech synów, między którymi jeden, imieniem Chus, zostawił po sobie sześciu, w których jeden miał imie Raamah. Ten spłodził dwuch synów i jednemu z nich dał imie Szeba, od którego nasza gałąź jenealogiczna zaczynając się, świetnem imieniem Szubrawców nas zaszczyca. Wiadomo albowiem, że Szeba, prawnuk Chama, podług zwyczajów starozakonnych do swego imienia dodając ojcowskie, nazywał się Szeba Raamicz. Ten wielki mąż założył w południo-wschodniej części Arabii miasto, nazwiskiem Sabana, z jakiego powodu sława jego, na całym świecie rozszerzając się, imie jego od pokolenia do pokolenia podawała. Mieszkańców też miasta nazywano od tego imienia Szebaraamce, które z wiekami, przez różne narodów języki przechodząc, zamiast Szebaraamiec przemieniło się na Szubrawiec; nakształt owych cyganów, których, dla częstego powtarzania ja cygan, przezwano Jadźwingami.

Historya jest strawą naszą; tej gdybym do sytości mógł w tym momencie użyć, dowiódłbym, że w każdym wieku i narodzie znanych światu ludzi za krewnych swoich liczymy. Zamilczeć jednakże nie mogę tego, co jest najważniejszem.

Twórca wszech rzeczy, rozmnażając pokolenie Szubrawców na liczne familie, udzielił nam szczęścia należeć do jednej

*) Tytuł Dygnitarski w Szubrawstwie *(Przyp. Aut.)*.

z najsławniejszych. Jesteśmy z rodzaju Strutelbrugsów, o którym sławny Szubrawiec Jonatan Swift, w opisaniu podróży i przypadków Szubrawca Guliwera, daje wiedzieć. Przodek nasz, nazwiskiem Grumdrypp, urodził się w mieście Gaugnapp, w kraju Lugnagianów. Świadczy o tem część historyi, ogłoszonej światu przez wiekopomnej pamięci Szubrawca Krasickiego. Nie tajna jest WPanu zapewne ta historya. Czytałeś w niej o rodzaju ludzi nieśmiertelnych. Wiedzże o tem, że Szubrawcy, w grono których wchodzisz, do tego rodzaju należą, posiadają sekret odmładzania się, i znane im jest drzewko, wydające balsam wiecznej trwałości.

Urywek historyi o przodku naszym Grumdryppie, przypadkiem między Biłgorajem a Tarnogrodem znaleziony, nie naucza, co się dalej z nim stało. Ale jak deputacya wywodowa w kraju naszym utworzyła się, my, szukając dla siebie wywodów, znaleźliśmy testament Grumdryppa, przed odmłodnieniem sporządzony, w którym, dostatecznie opisując dalszy ciąg życia swojego, donosi, że w Litwie długi czas mieszkał, gdzie po rozmaitych w ciągu nieśmiertelności przemianach stanu sprobował ożenić się. Jakoż, upatrzywszy nadobną i zacnych przymiotów szlachciankę, pojął ją sobie za małżonkę i spłodził z nią dwunastu synów. Dotknięty nakoniec nieszczęściem całego kraju polskiego, za panowania Króla Jana Kazimierza, pod rokiem 1655, kiedy z jednej strony Król Szwedzki, Karol Gustaw, prowincye polskie, z drugiej Chmielnicki z Buturlinem całą Ukrainę opanowali, a Litwa, przez Rosyan zajęta, w dniu 8 sierpnia bramy Wilna otworzyła i 18 tegoż miesiąca i roku, za zdradą jednego z panów podpisała haniebne punkta, poddając się Szwedowi, zmierziwszy sobie klęski tego kraju i okrucieństwa, jakiego nieszczęśni mieszkańcy od nieprzyjaciół doznawali, nie przewidując polepszenia kiedykolwiek losu tego narodu — postanowił odmłodnieć i w dalszą puścić się wędrówkę. Że zaś w tej epoce życia, jako po zniszczeniu wojennem, nie był przy dostatkach, więc przy kawałku pustej ziemi zostawił swym dzieciom w spadku za skarb najdroższy klejnot szlachecki, z wywodem pochodzenia od Chama i nazwiskiem Szubrawców, oraz sekret o balsamie.

Od tych 12 synów rozmnożeni potomkowie żyli dotąd

poosobno. Ale drugi już rok temu upływa, jak niektórzy, poznawszy się na pokrewieństwie, pamiętną w dziejach Szubrawskich epokę ustanowili: zbierania i łączenia się w jedno grono rozproszonych krewnych, i od tej daty utworzyło się sławne nasze Towarzystwo Szubrawskie, czyli Szebaraamskie. Ażeby zaś wiecznej trwałości cechę utrzymywać i rodzajowi ludzkiemu, na wzór poczciwego przodka naszego Grumdryppa, pożytecznymi być mogli, obraliśmy sobie pewny przedmiot prac i dla zachowania w nich porządku uchwaliliśmy prawidła. O jakiem powodzeniu dowiedziawszy się przodek nasz Grumdrypp, powrócił do kochanych dzieci swoich i pod imieniem Szlachcica na Łopacie nie tylko z nami przebywa, lecz oraz jest prezydentem towarzystwa. Pierworodny zaś syn jego, Poklus, miejsce jego zastępuje, jako uznany przez nas za Ojca; chociaż niektórym bratem się tylko godzi i zarówno z nimi, za panowania Stanisława Augusta, kiedy nauki w kraju naszym ożywiać *[tak]* zaczęły, odmłodniał.

Z tego, com tu w krótkim obrazie naszego pochodzenia okazał, chciej WPan uważać, że przodek nasz Grumdrypp, odwiecznie wędrując po rozmaitych krajach, różnych zwyczajów, języków i sposobów mówienia nauczył się; a żyjąc teraz między nami pod postacią Szlachcica na Łopacie, naukę swoję w nas przelewa. Wiadomo WPanu, że on długi czas w Chinach przebywał, z tego powodu i w naszych pismach częstokroć chińszczyzna się przebija. Ale pisma w tym języku obracane pospolicie były do tych osób, które, pomimo urodzenie swoje w kraju naszym, duszą i ciałem przywiązane są do obyczajów azyatyckich. Pojmiesz to WPan z łatwością, skoro naszego języka się nauczysz. Przodek nasz Grumdrypp, za przybyciem do Chin, uczył się wprzód języka krajowego, potem był przyprowadzony do Cesarza; o czem tak pisze w swojej historyi: «Cesarz, pilnie się mojej twarzy i całej postaci wprzód przypatrzywszy, rzekł: «człowiek, bo gada, ale musi być rodzaj inszy». Pytał mnie zatem, jeżelim umiał język jakowy, niżelim się nauczył gadać w Chinach? Powiedziałem, że umiem język mój własny. Kazał mi nim mówić: zacząłem więc życzyć mu zdrowia, lat długich, szczęśliwego panowania; nie dał mi dokończyć, tak się zaczął wielce śmiać; ja, zmieszany, umilkłem;

postrzegł to i rzekł: «Nie godzi się naśmiewać z cudzych przywar. Ojcowie nasi kazali mieć w uczciwości przychodniów».

Owoż i my nakształt owych Chińczyków, do których nas w bajce obok ze szpakami WPan porównałeś, przed przyjęciem do naszego towarzystwa upatrzonego krewnego chcemy wprzódy poznać, jak własnym językiem gada. Próba czyni się przez pismo; podobną próbą była Bajka, przez WPana ułożona. Chociaż sens, w niej zawarty, do wielkiego śmiechu mógł nam być pobudką, pamiętając wszakże na naukę Cesarza Chińskiego, którą przodek nasz Grumdrypp podał, że z przywar cudzych śmiać się nie godzi, a przychodniów w uczciwości mieć trzeba, nie tylko przyzwoitą skromność zachowaliśmy, lecz owszem, przekonani i z ducha, i z czoła twego, szanowny kandydacie, że do krwi naszej należysz, jak z przyjemnością ciebie do rzędu Szubrawców, czyli Szebaraamców, zapisaliśmy, tak z uczuciem radości przybywającego witamy.

B) Wyjątek z podróży na wyspę Balnibarbi.

(«Wiadomości Brukowe» 1820, Nr 194, str. 133—134).

227) Na wyspie Balnibarbi otyłość, szczególniej w kobietach, uważana jest za wielką przywarę ciała, i dlatego Balnibarbianki najmocniej się o to starają, żeby mieć kibić, jak trzcina, wysmukłą. Wstrzymują się przeto od wielu pokarmów, a natomiast dekokty z ziół i lekarstwa różne piją, snu się pozbawiają i wpół ciała mocno krępują się paskami rzemiennymi i żelaznemi obręczami, co nie tylko że im mocno dolega, ale nawet wolnie oddychać nie dozwala. Tak skrępowane, przez kilka godzin, a czasem i całemi nocami hasają i w kółko się kręcą prawie bez odpoczynku, co do tego stopnia je morduje, że od zmysłów niekiedy odchodzą; co większa, wiele Balnibarbianek dostaje z tego różnych piersiowych chorób i w kwiecie wieku umiera. Nie zrażają się one tem jednak, a wyszedłszy nawet z pod dozoru i opieki rodziców, krępować się tak i wiązać nie przestają, częstokroć w tym wieku nawet, kiedy powaby ciała więdnąć i niknąć zwykły. Balnibarbiankom nie zbywa całe na wdziękach przyrodzonych, ale te bynajmniej tam nie popła-

cają, tak, że zamiast wydobycia ich i wykształcenia, starają się, żeby ani ślad ich nie pozostał. Naprzód więc matki i mistrzynie prostują je, łopatki w tył wychylają, głowę podnoszą, ręce w dół pociągają; potem rodzaj ludzi z professyi skoczków zajmuje się ukształceniem ich ciała. Ci przez kilka lub więcej miesięcy uczą je stać, chodzić, siedzieć i witać, a ciągłem musztrowaniem i wykręcaniem członków nie tylko że udatności i wdzięku postawie nie nadają, ale często przetwarzają je na żyjące machinki i stworzenia całkiem do siebie niepodobne. Jakoż w całej postawie Balnibarbianek widać przymus i sztukę, w każdem poruszeniu przesadę i dobrowolne cierpienie; łopatki mają sterczące, a ramiona tak w tył wygięte, że łokcie niemal się z sobą stykają. Również w ubiorach nie mają względu na naturalność i prostotę, a wykwintnemi ozdobami i nieskładnem ich dobraniem rażą i ćmią resztę wdzięków swoich. Wszystkie prawie bez braku lubią wytworność, a w odzieży, nie trwałość i wygodę, ale większą wziętość mają na baczeniu; i dlatego wszystko niezmiernie drogo przepłacają. Kiedy się kilka Balnibarbianek z sobą zejdzie, natychmiast nawzajem sobie przypatrywać się zaczynają i oglądają na wszystkie strony. Ta obserwacya zaczynać się zwykła od koszów słomianych różnego koloru, kształtu i ubrania, które na głowach noszą; a byle co nowego u drugich postrzegły, wszystkie natychmiast swoje dawne odzienie zarzucają lub też za bardzo nizką cenę Szacherom zbywają, a nowe skupują*). Lecz za niczem z większym zapędem Balnibarbianki się nie uganiają, nic drożej nie płacą, jak rodzaj pięknych płacht, z miękkiej wełny tkanych, formy podłużnej, które na szyi nosić zwykły. Kupcy, znając gust kobiet tamecznych, z dalekich bardzo stron je sprowadzają i za bardzo wysoką cenę przedają. Właśnie, kiedym bawił na wyspie, kilku kupców z takiemi płachtami przybyło; natychmiast wiadomość rozeszła się o tem po całej wyspie, a Balnibarbianki nie posiadały się z radości. W gospodzie, do

*) Szacherowie — jest to naród, oddawna na wyspie Balnibarbi osiadły; różnią się oni całkiem od mieszkańców mową sobie właściwą i ubiorem; noszą brody i długie czarne płaszcze, a na głowie kapelusze z brzegami jeszcze szerszymi, jak *[tak]* w naszych boliwarach; bawią się pokątnem handlarstwem i kręcicielstwem, jako i wyraz ten szacher w języku tamecznym znaczy wierutnego kręciela *(Przyp. Aut.)*.

której zaszedłem, jedna zawołała do siebie dwie szacherki, i widziałem, jak im wielki tłumok różnej odzieży oddała; poszła potem do kupca, blizko mieszkającego, zaniosła mu kilka płacht większych i spory worek złota i powróciła z tryumfującą twarzą do domu, mając na szyi płachtę bardzo małą i cale, jak mi się zdawało, niepozorną, którą zaraz skwapliwie wszystkim sąsiadkom pokazywała. Przeciwnie, Balnibarbianie przez cały czas pobytu tych kupców byli bardzo w myślach ponurzeni i smutni; szeptali sobie do ucha, ścisły post zachowywali i bardzo mało bawili w domu. Kiedym stąd jednemu mieszkańcowi moje podziwienie wyraził, tak mi odpowiedział: «Widać, że jesteś cudzoziemcem, bo u nas co rok podobne rzeczy się odnawiają, a to, co widzisz, niczem jest w porównaniu z tem, co się wewnątrz domów dzieje. Kupcy ci są klęską na nasze dobytki, i oddawna myślimy, jakby złemu zagrodzić. Niejeden już ziemię swoję z domem i całem zabudowaniem za jednę taką płachtę oddał! Niejeden zupełnie się wyzuł z majątku i do ostatniej nędzy przyszedł... A pomiędzy Balnibarbiankami są takie, co gotowe sobie, dzieciom, czeladzi wygód potrzebnych ująć, byle się tylko na jednę płachtę taką zdobyć. My, mężczyźni — mówił dalej — cale tego nie żądamy, ani nawet cenić tego nie umiemy, i one też cale nie dla nas to robią, ale najwięcej dla sąsiadek swoich, żeby się przed niemi pokazać, popisać i uniknąć ich wzgardy i potrącania. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że bez takiej płachty i kosza słomianego na głowie żadna z kobiet do poufałości równych sobie stanem przypuszczona być nie może. A jak te dwie rzeczy są pierwszym do zabrania znajomości i zaprzyjaźnienia się sposobem, tak najczęściej stają się pierwszą do jej zerwania podnietą: jedna bowiem stara się uprzedzić drugą, jedna drugą przesadzić, a czy dokaże swego lub nie, zawsze z jednej lub z drugiej strony nieporozumienia, niesnaski i gniewy». To mówiąc, pożegnał mię, a ja sobie pomyślałem: «Chwała Bogu, że w moim kraju kobiety dalekie są od podobnych urojeń, śmieszności i dziwactw!...»

C) Tabella, ukazująca liczbę bogatych mieszkańców tego kraju, bawiących się zagranicą, oraz ilość wywiezionych pieniędzy i ich wydatek, ze wszystkich gazet i dzienników zagranicznych przez niżej podpisanego pracowicie i rzetelnie ułożona, a teraz dla dobra publicznego na jaw wydana (Artykuł nadesłany).

(«Wiadomości brukowe» 1820, Nr 196, str. 143—144).

228) Od dnia 1 stycznia 1819 roku do dnia 1 tegoż miesiąca 1820 roku wyjechało zagranicę właścicielów i posiadaczów ziemi dla poratowania zdrowia, edukacyi dzieci i przepędzenia czasu w towarzystwie wielkiego świata 163 głów, nie licząc w to półgłówków*).

Wywieźli z sobą zagranicę gotowych pieniędzy, uważając na monetę w kraju kursującą, złotych 15.200.000, czyli czer. zł. 800.000.

Prócz tego pereł, klejnotów i różnych fantów drogich, dla zastawienia w nagłej potrzebie, za czer. zł. 16.000.

Z powyższej liczby wędrowników powróciło do kraju w ciągu przeszłego roku tylko osób trzy, to jest: 1) kawaler nie bardzo majętny dla dokończenia projektu ożenienia się ze starą, ale bogatą panną; 2) mężatka, lat 45 mająca, dla dokończenia rozwodu; 3) młody panicz, dla objęcia spadłej teraz na niego sukcessyi i zastawienia dóbr, a przynajmniej wypuszczenia ich w dzierżawę arendowną.

Zagraniczny wydatek wyżej pomienionych pieniędzy jest następujący:

1) Za wyjęcie starych, a włożenie nowych zębów; za wstawienie szklannych *[tak]* oczu; wyprostowanie garbów z tyłu i z przodu; za wyprostowanie nóg i rąk; za farbę do włosów; za peruki i peruczki; za materace do łytek *[tak]*; za zadarcie nosów do góry i ich wychędożenie od tabaki i tytuniowego dymu, nosowym luftem wypuszczonego; za uleczenie spazmów krajowych, z nudów i próżniactwa pochodzących, czyli za przerobienie ich na miłe i przyjemne oczu zawracanie; za zatyczki do uszu, żeby nie słyszeć skarg i narzekań poddanych: słowem, za przekształ-

*) Półgłówków: rozumie się, dzieci i sług *(Przyp. Aut.)*.

cenie osób we względzie fizycznym i moralnym na sposób zagraniczny, co się nazywa poratowaniem zdrowia, czer. zł. 281.300

2) Za różne perfumy, kadzidła, olejki, spirytusy i octy orzeźwiające . . . . . » » 7.620

3) Na bale, widowiska, karty i inne gry, loterye, najęcie pałaców i domów, pensyą dla sług, ofiary dla różnych przyjaciół i przyjaciółek, za domowników poczytanych . . . » » 325.000

4) Osobno za różne ofiary dla cudzoziemców, a to dla dogodzenia fantazyi i okazania wielkiej jaśniewielmożności swojej . . . . . » » 17.500

5) Składki na żołnierzy polskich, dotąd jeszcze na szczudłach zagranicą tułających się » » 26

6) Na szpitale ubogich, słabych i żebraków » » 21

7) Na edukacyą dzieci, to jest na główny cel, dla którego się najwięcej zagranicę wyjeżdża . . . . . » » 66

8) Osobno za lekcye tańców i śpiewania, które biorą nie tylko dzieci, lecz nawet stare ich rodzice . . . . . » » 8.400

9) Za różne towary, do ubiorów i strojów służące; za meble, karety, kocze, szory, zegary, toalety, estampy i tym podobne sprzęty i fanty, co wszystko taborami, jakby na jarmark berdyczowski, do kraju przychodzi . . » » 240.000

10) Za książki polskie w czasie przejazdu, we Lwowie, Krakowie, Warszawie, Poznaniu i Lipsku, dla służących swoich kupione*) . . . . . » » 6½

A zatem ogół wydatku czer. zł. 983.939½

Okazany tu nad przychód wydatek, zaspokojony jest zaciągniętą u lichwiarzy zagranicznych pożyczką, z umiarkowanym za zwyczaj po 75 od sta procentem, częścią na zastawy, a częścią na proste weksle, z którymi (jak słychać) śpieszą

*) Panowie, jako ludzie bogaci, a zatem i wysoce edukowani, nigdy po polsku nie czytają *(Przyp. Aut.)*.

cudzoziemcy do akt właściwych krajowych, dla zapewnienia ewikcyi na dobrach.

Uwaga. Jeśli ziomkowie nasi nie przestaną ratować zdrowia, edukować się i szukać rozrywek zagranicą, niechybnie pomnoży się w kraju liczba eksdywizyi. A tak niżej podpisany radziłby spokojnym obywatelom, sąsiadującym z dobrami, wyżej opisanym sposobem obciążonemi, aby się wcześnie usunąć z sąsiedztwa starali, bo po rozdzieleniu sched eksdywizorskich między dentystów, okulistów, magnetystów, różnych operatorów, artystów i tym podobnych zagranicznych wierzycieli oczy, nosy, uszy i zęby, choćby nawet i zdrowe, będą mogły podpaść pod niebezpieczną zagranicznych artystów krytykę i naprawę.

Mateusz Łamigłówka, Rachmistrz.

D) Ogłoszenie o nowej pensyi dla panien.

(«Wiadomości brukowe» 1820, Nr 199, str. 153—155).

229) Niżej podpisana, po odbytych w cudzych krajach rozmaitych podróżach, po zwiedzeniu najsławniejszych instytutów ku wychowaniu młodzieży, po różnych stolicach państw założonych, umyśliłam osiąść w Litwie i otworzyć w jej stolicy pensyą dla płci żeńskiej, w nowym, w kraju tym dotąd mało znanym rodzaju. To moje dla zacnych tego kraju mieszkańców poświęcenie się, spodziewam się, że mile przyjętem będzie, zwłaszcza, że wychowanie panien bardzo tu jest zaniedbane. Z litością patrzeć przychodzi, jak po niektórych pensyach, pod pozorem niby skromności, zaniedbują istotnych wychowania zasad, którym świat tyle sławnych kobiet winien. Z poniższego prospektu lekcyi, mających się dawać w ciągu roku na mojej pensyi, łatwo się każdy przekona, że powierzone moim staraniom i troskliwości młode panienki wkrótce na wielkim świecie jaśnieć poczną.

Prospekt lekcyi, dawać się mających na pensyi.

Historya starożytna. O początku i postępie tańców u Greków i Rzymian. Wybór anegdot o najsławniejszych w starożytności tancerzach. Mody za panowania rzymskich

cesarzów Tytusa i Karakalli. Życie prywatne Aspazyi z rozprawą o ubiorze, w którym się na igrzyskach olimpijskich pokazywała.

Historya nowożytna. O postępie wielkiej sztuki tańczenia u Francuzów i Anglików. Historya turniejów, festynów i balów, które cesarzowie i królowie swoją bytnością zaszczycali. Historya francuskich i włoskich teatrów, a mianowicie wiadomość o operach, baletach i tragedyach. Żywoty publiczne i prywatne najsławniejszych śpiewaczek i aktorek.

Geografia. Statystyka mody, czyli rzut oka na ubiory rozmaitych narodów, ze szczególnem zastanowieniem się w sposobie rozprawy nad tymi, któreby najstosowniej można wprowadzić do tutejszego kraju. Wiadomość geograficzna, statystyczna i polityczna krajów, z których przychodzą najdroższe szale, najmodniejsze wstążki, koronki najcieńsze, perły, korale, dyamenty: słowem, to wszystko, co do ubioru pięknej kobiety posługiwać może; i na tem kończy się kurs geografii.

Języki. Z góry zapowiadam, że języka polskiego na mojej pensyi uczyć nie będę, ponieważ tyle, ile się panna nauczyła od nianiek i służących w domu po polsku, aż nadto wystarcza; za to język włoski i francuski ze szczególniejszą bacznością dawać się będzie, aby zaś panien zawiłemi grammatycznemi regułami nie mordować, cała grammatyka ułożona jest w krótkich śpiewach, które Francuzi kupletami *(couplets)* zowią. Wprawiać się będą panny w wymawianie, aby akcent w mówieniu samą tkliwością oddychał. Ukończy kurs języka francuskiego czasowanie słowa *aimer* z gracyą i miłością.

Mitologia. Dawać w całej obszerności naukę mitologii nie widzę potrzeby. Uczyniłam przeto wybór ze wszystkiego, cokolwiek młode serca zajmować może: miłostki Tezeusza i Aryadny, sąd Parysa, przypadki Psychy i tym podobne. Metoda w dawaniu mitologii będzie na wzór listów do Emilii o mitologii. Oprócz tego mój professor mitologii, człowiek pełen grzeczności, odbywać będzie ćwiczenia mitologiczne z uczenniczkami, ułożone w madrygały, w których je porównywać będzie do Wenery lub do trzech Gracyi.

Tańce, muzyka, deklamacya. Ponieważ te trzy przedmioty są istotną zasadą dobrego wychowania, przeto wszel-

kiego dołożę starania, aby nauki te w całej obszerności dawane były na mojej pensyi. Teorya i praktyka połączą się z sobą, aby moje uczenniczki stały się godnemi wielkiego świata, na którym mają figurować. Tańce zajmować będą codzień po godzin sześć, z których dwie poświęcone będą części teoretycznej. Wtenczas panny za wydoskonalone w tej sztuce uważać się będą, skoro potrafią udawać wiatry w powrocie zefira. Muzyka także zaniedbaną nie będzie; moje uczenniczki nauczą się na pamięć najnowszych aryi z oper ulubionych, oznajomią się ze wszystkimi instrumentami, tak, iż każda panna po wyjściu z pensyi może być uważana za prawdziwe Panharmonicon. Deklamacya, równie jak tańce, tymże samym sposobem dawana będzie; część naukowa poprzedzi praktyczną: jest to bowiem rzecz równie istotna, jak przystojna, aby panny umiały grać komedye.

Nauka moralna i obyczajowa. Na ten przedmiot oddzielnego kursu nie będzie, wiadomo bowiem całemu światu, że teraz wszędzie pełno moralności: jest ona w śpiewach, znajduje się w romansach, nawet balety, opery i komedye mają swoję moralność. Pod tym względem tańce i muzyka niemało się przyłożą do oswojenia panien z moralnością; obie te sztuki wzbudzają tkliwość, łagodzą temperamenta i kształcą obyczaje. Deklamacya także niemały ma udział w moralności, teatr jest szkołą świata, i nie widzę potrzeby powtarzać, że tryumf moralności szczególnie jest zalecanym przez Arystotelesa piszącym komedye i tragedye.

Z tego wszystkiego każdy się przekona, że dosyć posiadam sposobów gruntowania powierzonych mi panien w moralności i obyczajności. A w końcu, moi professorowie historyi, geografii i mitologii mogą, kiedy ku temu czas i ochota posłuży, w godzinach od zatrudnień wolnych wykładać pannom prawidła moralności.

Na końcu każdego roku szkolnego rozdawane będą na mojej pensyi nagrody dla panien, w przytomności zaproszonych osób, i to po odegraniu komedyi. Takich nagród będzie rozdanych 20 za tańce; 15 za deklamacyą; 10 za muzykę; 8 za mitologią; 6 za geografią; 4 za historyą; 2 za grammatykę, a 1 za moralność.

Wszystkie panny będą miały uczestnictwo w nagrodach; jeżeliby zaś znajdowały się takie, które na żadną nie zasługują, takim dawane będą nagrody nadziei.

O szczegółach tego instytutu, warunkach i mieszkaniu niżej podpisanej dowiedzieć się można każdego czasu w biurze «Wiadomości brukowych».

Zefiryna.

E) Rozmaitości.

(«Wiadomości brukowe» 1822, Nr 283, str. 72).

230) Pewny obserwator narachował w mieście naszem 1.992 małżeństw, które rozklassyfikował następującym sposobem:

Pięćset małżeństw, będących w otwartej wojnie . .	500
Trzysta dwadzieścia siedm żyjących w niezgodzie, lecz ukrywających się z tem przed światem	327
Dwieście czterdzieści siedm rozłączonych	247
Siedmset pięćdziesiąt trzy żyjących w obojętności .	753
Osiemdziesiąt ośm udających, że się kochają . . .	88
Pięćdziesiąt dwa takich, które są w mniemaniu, że się kochają	52
Dwadzieścia cztery takich, które się kochają, lubo same temu nie wierzą	24
Jedno, które się kocha, ma tego tysiączne dowody i jest szczęśliwe	1
Ogół . . .	1.992

NB. Czy coś podobnego nie ogłoszono w jednem z pism peryodycznych?

Opracował H. GALLE.

XXXV.

BANDTKE v. BANDTKIE JERZY SAMUEL.

(1768—1835).

Według autobiografii swej ur. d. 24 listopada 1768 r. w Lublinie, gdzie ojciec, jego, Jan Samuel, prowadził znaczny handel, przywędrowawszy nad Bystrzycę z Wielkopolski. Matką mu była Anna z Noaków. Na wiosnę 1779 r. ojciec wyprawił go do Wrocławia, do gimnazyum św. Elżbiety. Po ośmioletniej nauce wstąpił młodzieniec na uniwersytet w Halli, przebył w nim dwa lata i na rok jeszcze udał się do Jeny. Z wdzięcznością wspomina stryja, który po ruinie majątkowej ojca zasilał go talarami i troską przez cały czas samodzielnej już nauki. W roku 1790 został Bandtkie nauczycielem domowym dzieci pastora Nürnbergera w Hermansdorfie pod Wrocławiem, ale już po trzech miesiącach zamienił te obowiązki na inne: u Piotra Ożarowskiego, wówczas jeszcze tylko kasztelana wojnickiego, a w Targowicy hetmana w. k., tego samego, którego lud warszawski w Rynku Starego Miasta dnia 9 maja 1794 r. obwiesił. Katastrofa ta nie wpłynęła na stosunek do Ożarowskich. Przez trzy pierwsze lata ochmistrzował Bandtkie w Warszawie i Brzózce, przez trzy dalsze w Dreźnie i Berlinie; dwa ostatnie na swem nauczycielstwie spędził w Petersburgu, gdzie, dzięki książkom i uczonym, pobyt szczególniej sobie chwalił. W roku 1798 otrzymał posadę nauczyciela-substytuta w tem samem gimnazyum, które przed laty dało mu pierwsze światło nauki. W rok potem został tłómaczem przysięgłym przy magistracie wrocławskim, później i przy Izbie wojenno-ekonomicznej *(Kriegs- u. Domänen-Kammer)*. W gimnazyum posunięty w r. 1804 na pełnego nauczyciela, stał się już «kolegą siódmym»; przez cały czas wykładał łacinę i język polski. Gdy w szkole szpitalnej św. Ducha na Nowem Mieście otworzył się wakans, mianowano go jej rektorem, a w tym samym czasie (1805—6) bibliotekarzem u św. Bernarda. Nauczycielstwo od pierwszej chwili łączył Bandtkie z pracą naukową badawczą.

Najwcześniejszym jej owocem są rozprawy w «*Schlesische Provinzial-Blätter*» i w dodatku literackim do nich, w znacznej części przedrukowywane w «Analecten» (1802). Zajmował się w nich słowiańszczyzną, językami jej, pismem, Śląskiem piastowskim, losem i stanem społecznym chłopa polskiego (za Skrzetuskim), z którego zdzierał nazwę niewolnika, daną mu jeszcze w parę lat później przez Bonapartego w Konstytucyi Księstwa; miał zamiar napisać historyę Śląska do roku 1355. Uczył Niemców, że «Wasserpollacken» są to Polacy, a język ich najrodowitszym polskim i zachęcał szczep panujący politycznie na obszarach ziemi polskiej do zerwania z «celtomanią» i poznawania Słowian. Zapuszczając się w dzieje Polski piastowskiej poza obrębem Śląska (arcybiskup Henryk v. Brene), powoli gromadził zasoby w takiej obfitości i ciągłości, że postanowił posunąć się dalej z biegiem lat dziejowych i zyskać podstawę do napisania książki, całą przeszłość ogarniającej: tak zrodziło się «Krótkie wyobrażenie dziejów Królestwa polskiego», wyd. w r. 1810 we Wrocławiu. Wiedząc już o «Analectach», Tow. Przyj. Nauk w Warszawie przybrało go do grona swych członków. Już od roku 1804 należał do Towarzystwa, uprawiającego nauki na Górnych Łużycach w Zgorzelcu (Görlitz); był też członkiem Towarzystwa, popierającego naukę i kunszta we Wrocławiu; układał gramatyki dla Niemców, elementarze dla ludu polskiego i słowniki.

W r. 1811 Izba Edukacyjna Księstwa, wskrzeszając akademię krakowską, wezwała Bandtkiego na bibliotekarza przy niej i profesora bibliografii. Straszliwy stan tego księgozbioru (po Voigcie i Przybylskim), przez niego samego opisany (1821), pochłonął mu dziesięć lat życia, zanim się z nim jako bibliotekarz uporał, ale już po roku zmudnej pracy doprowadził zbiory do porządku o tyle, że mógł je do użytku publicznego otworzyć. Tym znojom, w których łączył «polską odwagę z niemiecką wytrwałością», winien jest swą wiedzę historyczno-literacką. Działając metodycznie jako bibliotekarz, a uzupełniając Bentkowskiego, wcielanie tej wiedzy w druk rozpoczął od cennej rozprawki o inkunabułach krakowskich (1812). W trzy lata później wydał «Historyę Drukarń krakowskich», a po kilkunastoletniej pracy na podstawie Daniela Hoffmanna opracował już dzieło syntetyczne, o całej Polsce (1826). Przytem ogłaszał zabytki języka i literatury polskiej, zajmował się językoznawstwem słowiańskiem i potrącał o ogólne, opisywał rzadkości bibliograficzne, ogłaszał swe odkrycia starożytnicze, opisywał mapy ptolemeuszowe, podejmował poważne badania nad średniowieczem polskiem, zapuszczał się nawet w gąszcze dziejów zamierzchłych. On pierwszy chyba podał badaczowi polskiemu wiadomość o Psałterzu floryańskim, otrzymaną od Kopitara; on dał nam w wydaniu poprawnem «Libellus» Parkosza; powybierał z rękopisów różnych lat, ze starych druków, ze «Slavina» i «Slovánki» dawne brzmienia Modlitwy Pańskiej i drukiem ogłosił; wreszcie swoje «Miscellanea Cracoviensia» odkryciami własnemi i krytyką historyczną zasilał. W świecie naukowym polskim i czeskim nabierał coraz więk-

szego rozgłosu i powagi. Chociaż bibliografia w hierarchii nauk nie stała wysoko, od r. 1814 – 6 wydział filozoficzno-literacki obierał go na swego dziekana; w r. 1815 został członkiem Towarzystwa Nauk krak., a przez rok 1819 zasiadał w senacie wolnego miasta Krakowa. Stosunki z uczonymi zacieśniały się, zwłaszcza z Dobrovskym (1810—27) były stałe, ściśle w granicach dociekań naukowych zamknięte i stąd szczególniej ważne. Dochowało się kilkadziesiąt listów obu badaczy: bije z nich uczoność Bandtkiego. Korespondencya naukowa łączyła go z Lelewelem, Ossolińskim, Czarnockim, a z zagranicznych z Kopitarem, Hanką, Koeppenem, Rumiancewem.

Oddany wiedzy, żył mimo ożenienia się, w odosobnieniu od świata, zajęty badaniami, biblioteką i bibliotekarstwem, które wykładał wraz z bibliografią, «ucząc się wespół z uczniami», co, choć objawia nam skromność człowieka, dowodzi przytem jednak i niesprawności nauczyciela: i rzeczywiście, wykłady Bandtkiego nie były wzorowe. Zewnętrzny też, materyalny porządek w układzie książek, niezależny od wewnętrznego, przedmiotowego, w katalogach, wywoływał sarkanie. Jako racyonalista i protestant nie wahał się Bandtkie w nadpobożnym Krakowie rąbać prawdy o bigoteryi i przesądach, może nawet niekiedy pozwalał sobie na uszczypliwe docinki. A gdy do tego jeszcze w «Historyi biblioteki Uniwersytetu krakowskiego», opisując stajnię Augiaszową, którą zamiatać musiał, dotknął, chociażby pośrednio, tego i owego, zerwała się burza. Zaczęto wypominać przeszłość; owo ochmistrzowanie wystawiano, niemal jako wspólnictwo ze zdrajcą; w nowem wydaniu «Krótkiego wyobrażenia dziejów» dopatrywano się stronniczej, niepatryotycznej surowości, wytknięto mu wreszcie pochodzenie niemieckie — jemu, który wśród Niemców zawsze «rodowitym Polakiem» się nazywał, a badanie przeszłości Polski obrał sobie za cel życia: został złym Polakiem. Wrzała już dawniej niechęć, ale dopiero «Pszczółka» krakowska Majeranowskiego w r. 1821 napisała na Bandtkiego, już nie krytykę, ale paszkwil. Stanęli w jego obronie Helcel («Gaz. liter. warsz. 1821), Ossoliński («Wiad. hist. kryt.» III cz. II) i bezimienny z Płocka, prawdopodobnie Żdżarski, redaktor «Dziedzilii». Oszczerstwo ucichło, a Bandtkie pracował dalej, więcej rozmową, roztrząsaniem i objaśnieniami, niż wykładem z katedry kształcąc przyszłych uczonych, jak Helcel, Maciejowski, Muczkowski, następca jego w bibliotece, i inni, i do śmierci już trzymał się Krakowa. Raz tylko jeszcze wychylił się z niego: w r. 1824, do Drezna, w sprawach rodzinno-majątkowych; zawitał wtedy aż do Sztutgardu, zatrzymał się dłużej w Lipsku. Wtedy już może, albo wkrótce po podróży, otrzymał od Perthesa propozycyę napisania Historyi Polskiej: odmówił. Dlaczego? bo «*prima lex historiae ut vera sit*, a Polacy nie lubią prawdy»; zastąpił go Münnich.

Około r. 1830 energia naukowa Bandtkiego słabnie; po roku 1831 śladów jej w druku już nie widać. Dotychczas jeszcze nie wydobyto dowodów zachowania się jego podczas powstania narodowego,

wrzenia emigracyi w Galicyi, dyktatury trzech mocarstw w r. 1833. Zajęcia Krakowa przez wojska sprzymierzonych przeciwko Polakom w Münchengrätz nie doczekał: zmarł dnia 11 czerwca 1835 r., nie zdążywszy wydać swego «Krótkiego wyobrażenia» w trzeciej edycyi, już jako «Dziejów Narodu Polskiego». Jeżeli liczne prace literacko-naukowe i wydawnicze zapewniły mu już za życia prawo do tego tytułu, którego pożądał, kiedy o sobie mówił, iż wyłamuje i obciosywa kamienie, aby z nich inni budowali, to w «Dziejach» już sam budował: są one rzeczywiście dziełem historyi, opowiadającej sumiennie przeszłość.

Całość pracy człowieka, który, jako badacz i pisarz, zawsze się czuł, zawsze był Polakiem i nigdy się od rzeczy polskich nie oderwał, rzetelnie tak charakteryzuje Ossoliński w owej obronie słowy, jakoby od niego samego wychodzącemi: «Oto wszystkie moje pisma: w domu, zagranicą nigdym ojczyzny mojej z celu nie spuścił; wciąż pracowałem na jej użytek, na wyjaśnienie jej dziejów, na rozszerzenie jej nauk, na obeznanie obcych z jej zaszczytami, na odkrycie źródeł pewniejszych o niej wiadomości». Trzeba tu tylko na miejsce «Ojczyzny» wstawić «wiedzę ojczystą».

BIBLIOGRAFIA I. Pisma i wydania Bandtkiego. Estreicher sporo druków pomija; i tu wymienić wszystkich niepodobna. Chronologicznie: 1) «*Histor.-kritische Analecten zur Erläuterung d. Geschichte d. Ostens von Europa*» (Wrocław 1802, Meyer; XII, 308 str. 1 k.; 12⁰). 2) «Ueber d. Bauernstand in Polen» (tże t. r.); 3) «Heinrich, Erzbf v. Gnesen (tże t. r.); 4) «Fredra przysłowia» (tże 1802); 5) «Nowy Słownik kieszonkowy niemiecko-polsko-francuski» (tże 1805; z Trotza; wyd. nast. 1813, 1820, 1823, 1828, 1834: z tych wydań pierwsze dwa opracował wespół z bratem, Janem Winc.). 6) «Słownik polsko-niemiecki» (tże 1806). 7) «Gramatyka polska dla Niemców» (tytuł drugi niemiecki; tże 1808, 1818, 1824, 2 t.). 8) *Ueber d. gräfliche Würde in Schlesien*» (tże 1810). 9) «Krótkie wyobrażenie dziejów Król. Polskiego» (ob. objaśnienie wstępne do wypisu A). 10) «*De primis Cracoviae incunabulis in arte typographica*» (Krak. 1812). 11) «*Miscellanea Cracoviensia*» (I 1814, II 1815, III 1829; Kraków; 4⁰. Tu w roczniku I streszczenie-przekład z rozprawy o Fiolu w «Historyi Drukarń krakowskich» pióra, W. Al. Maciejowskiego, p. t. «*De Sueboldo Fiolo et Joanne Hallero...*»). 12) «Historya drukarń krakowskich» (Kraków 1815; ob. Objaśn. do wyp. B). 13) «Historya Biblioteki uniw. Jagiellońskiego» (Krak. 1821). 14) »Modlitwa pańska w języku polskim i w innych słowiańskich 22 razy» (Wrocław 1825). 15) «Historya drukarń w Królestwie Polskiem i W. Ks. Litewskiem jako i w krajach zagranicznych, gdzie książki polskie wychodziły» (Krak. 1826 [1825—6], 3 t.: I: V—XI, III—XXXII Wiadomość o Hoffmanie Danielu Toruńczaninie, którego B. znacznie rozszerzył, uzupeł-

nił późniejszemi i uporządkował, właściwie użył go za osnowę; II: 353 str. [ważne podanie od drukarzy na sejm 1784 r. przeciwko drukarniom pijarskim i wogóle zakonnym, oraz inne dokumenta]; III 299 str.; 8⁰ min.). 16) «Wiadomości o najstarszym może psałterzu polskim w rękopisie pergaminowym w klasztorze św. Floryana kan. reg. św. Augustyna w Wyższej Austryi; drugi tytuł: «*De psalterio Davidico trilingui*» (Kraków 1827). 17) «*Jacobi Parkossii de Żórawice antiquiss. de orthographia polon. libellus*» (Poznań 1830; str. III—IV, V—XVI *Vita Parcossii*, str. 17—35 *Anonymi praefatio*, 36—99 *J. P-ii Dissertatio*; 16⁰).

W czasopismach i pismach zbiorowych: α) polskich: 1) «Roczniki Tow. Nauk. krak.» 1817—31: Tom I (Hanza), IV (Gazety polskie) V—VII, VIII («Krotochwila z wyrazów Adam i Ewa»), XI (Szachy Kochanowskiego, Stanisław Chrościński) XII (Psałterz Floryański) XIV (Dodatek do Chróścińskiego). 2) «*Index lectionum in universitate Stud. Jag....* 1822—3» (Mapy ptolemeuszowe w Bibl. Jag.). 3) «Rozmaitości naukowe» (Krak. 1828—31; współredaktor Bandtke): m. in r. 1829 nr. I O języku i piśmie; że mowa ludzka nie da się zupełnie pismem wyrazić. 4) «Pam. warsz.» Osińskiego 1809 III Mieszkańce w górach śląskich nie są szczątkami starożytnych Germanów (ze *Schles. Pr. Bl.* T. XXXIX). 5) «Pam. Warsz.» Bentk. (1816—22): 1815 I Uwagi nad językiem czeskim, polskim i teraźniejszym rossyjskim; 1816 IV O najdawniejszych monetach polskich i śląskich (przekł. J. W. Bandtkiego ze «*Schl. Pr. Bl.*»); 1816 V Jędrzej Gałka o Wiklefie; 1816 VI Pisownia polska ze zbioru Piotra de Ilkusz; 1819 XIV Sobudki, góra sobótska na Śląsku; 1821 XXPochwist. 6) «Dziennik Warsz.» 1826 III Dopełnienie wiadomości o Stanisławie Iłowskim i Fr. Masłowskim, tłómaczach Demetryusza z Falery. 7) «Dz. wileński» 1815 II Slavin i Slovánka, dwa dzieła niemieckie o literaturze słowiańskiej. — β) w obcych. 1) «*Schlesische Provinzial Blätter*» 1798 do 1810 T. XXXIX, LVI, LVIII, oraz rozprawy włączone do «Analecten». 2) «*Schlesien ehedem u. jetzt*» 1806 zesz. V—VII. 3) «*Hallische Liter. Ztg*» z pierwszej ćwierci XIX w.

II. O Bandtkim: 1) Jego autobiografia («Kwartalnik naukowy »Helcla i Wielopolskiego, Kraków 1835, II). 2) Listy do Lelewela z roku 1809—21 (Rkps Bibl. Jag. nr. 4170). 3) Korespondencya z Ossolińskim r. 1811—21 (Rkps Ossol. nr 179—96). 4) Korespond. z Chodakowskim (Czarnockim; «Pam. nauk.» Krak. 1837 III; ob. w niniejszym tomie Chodakowski Zoryan (Czarnocki). 5) Helcel Ant. Zygm. «J. S. Bandtke w stosunku do społeczności i literatury polskiej» (»Kw. nauk»). 6) «Wiadomość o życiu i pismach J. S. Bandtkiego» («Wiz. i roztrz. nauk.» serya II r. 1842 T. XIII). 7) «Korrespondence Josefa Dobrovského dil II: vzaienne dopisy... a Jiřiho Samuelk Bantkeho z let 1810—27; k vydani upravil V. A. Francev» (Praga 1906; ze zbioru «Sbirka pramenův ku poznani literarniho Života

v Čechách, na Moravě a v Slezsku». (Najcenniejsze ze wszystkich dotychczasowych). 8) «Pamiętnik literacki» 1903 (T. II), 1904 (T. III). 9) Kraushar Al. «Warsz. Tow. Prz. Nauk» ks. I.

A) Dzieje Narodu Polskiego (1835).

W wyd. 1-em tytuł: «Krótkie wyobrażenie dziejów Królestwa Polskiego» (Wrocław 1810, Korn; 2 tomy 12°). W T. I, str. 1—68 Wstęp o ziemiach, na których mieszkali Słowianie przed powstaniem Polski, i o Litwie; str. 68—120 Bajeczna historya Polski i o religii pogańskiej w Polsce i Litwie. Historyę pewną doprowadza T. I do Jagiełły w Krakowie (str. 432). W T. II kończy się opowiadanie na r. 1763 (str. 622); za dalszy czas jest tylko regestr chronologiczny do r. 1795. W obu tomach 22 rys. kolor. W przedmowie mówi autor, że cały Wstęp jest jego własny, i nie przechwala się: rzeczywiście, opracował go samodzielnie. Historyę prawdziwą do Ludwika brał z Naruszewicza, niekiedy od niego odstępując. Do T. II czerpał zasób z kronik, aktów publicznych, świadectw współczesnych i z własnych swych badań. O Wadze nie wspomniał. Dzieło swe przeznaczył dla dzieci w wieku 12—14 lat; ale już z powyższego widać, że było ono odrazu książką dla dorosłych. Przejmował je duch krytyczny, ale nie dość jeszcze pogłębiony, wiele też jeszcze źródeł stało przed autorem, czekając na otwarcie. Drugie wydanie, wolne już od błędów i braków, wytkniętych przez krytykę (Lelewel «Dz. Wil.« 1816, III) i dostrzeżonych przez samego Bandtkiego, jako «Dzieje Królestwa Polskiego» (Wrocław 1820, 2 t.: T. I:XII, 468; II:VI, 560 str., 8 rycin, 8° min.), mimo usterek wskazanych przez Lelewela («Rozbiory», Poznań 1844, str. 117 n.) pozwoliło dziełu już wystąpić z powagą naukową: wzmocniony znacznie Wstęp, pomnożony nieco dodatkiem o Wielkiej Morawie i bóstwach słowiańsko-hinduskich; w ciągu tekstu obu tomów liczne uzupełnienia wyd. pierwotnego. Chronologia doprowadzona do pierwszego sejmu królestwa konstytucyjnego (1818), kultura wszędzie uwzględniana, wydobywana na wierzch. Wielki badacz był zachwycony: «Bandtkie jeszcze raz (pierwszy w «Analecten») staje obok Naruszewicza i Czackiego, a nikomu nie godzi się nad dziejami narodowemi pracować bez zgłębienia dzieła jego» (str. 119). W wyd. 3-iem stanęły «Dzieje» jeszcze wyżej: tchnie z nich życie wewnętrzne, a wykład jest równomierniejszym, niż w poprzednich. Choroba nie pozwoliła przetworzyć dzieła tak, jak zamysł nakazywał. Nie doczekał Bandtkie druku: prowadził go ktoś uproszony, osłoniony w bezimienność. Trzecie to wyd., zatytułowane «Dzieje Narodu Polskiego» (Wrocław 1835, Korn; 2 t.: I:VIII, 359 str.; II:IV, 391 str. 1—42; 8°, podobizna litogr. autora, 8 ryc., 1 tabl. monet, 1 tabl. ewaluacyi monet), równie jak poprzednie, doprowadza wykład tylko do śmierci Aug. III; wykaz zaś chronologiczny, nie wolny od błędów, sięga w niem do koronacyi ces. Mikołaja w Warszawie (1829). Z nową paginacyą w T. II rzecz O monetach polskich i litewskich. W podręczniku B-go

sąd o ludziach, gromadach i czynach politycznych wyzwolony jest z pod uczuć, a im dzieje bliższe upadku, tem surowszy. Sam on na innem miejscu (Listy do Dobrovskiego) wyznaje, że od początku Wojny Północnej musiał się powściągać, a od bezkrólewia po Auguście ustał w drodze, bo nie chciał iść w pętach. Z rzetelnym zmysłem historyka, dając ów swój Wstęp, dopominał się już w przedmowie do wyd. 1-go przynajmniej spisu miejscowości na ziemiach słowiańskich, zapalał się na samą myśl słownika synonymów geograficznych. Po ostatecznem opracowaniu można za Helclem powtórzyć, że Bandtkie nie tylko był pragmatykiem, ale pierwszy z pisarzów syntetyków zajrzał w życie wewnętrzne narodu: miał też prawo wyd. 3-e nazwać «dziejami narodu«. Szkoda, że pracy jego dalej w nowych wydaniach nie prowadzono według wymagań postępującej wiedzy: podręcznik Bandtkiego stałby się normalnym; musiałyby się do niego stosować inne, liczne a bałamutne.

231) *T. II, str. 125—7* [Zdanie o Zygmuncie Auguście i jego panowaniu]. Wielkie dary przyrodzenia zdobiły króla Zygmunta Augusta. Posiadał także i nauki, matematykę znał dobrze i umiał po łacinie doskonale. Po włosku i po niemiecku mówił tak jakby w ojczystym języku. Lubił muzykę i kochał się w uczonych ludziach. W prywatnem życiu pomierny, stronił od wszelkiej okazałości; ale gdy chodziło o wspaniałość królewską w publicznych sprawach, nie ochraniał wydatków bynajmniej i utrzymywał jak najświetniej powagę swoję. Powolność przyrodzona domowi Jagiellońskiemu była w nim cnotą dziedziczną, lecz nie bez wady zbytniej dobrotliwości, która i poprzednikom jego była właściwą. Z tego źródła pochodziła Jagiellończyków wspólna słabość: nie oszczędna rozrzutność, której, wyjąwszy Zygmunta I, wszyscy podlegali. Nie był i Zygmunt August od niej wolnym. Zaciętość i upór, od ówczesnych pisarzy Zygmuntowi Augustowi wyrzucane, uniewinnia po większej części smutny los jego w małżeństwach nieszczęśliwych i ustawicznych o zmniejszenie władzy królewskiej targach. Miękkie wychowanie, gdy aż do 17-go wieku matka go z rąk swoich wypuścić nie chciała, przyczyniło się do opieszałości i nierezolutności Króla w wojnach z najstraszniejszym nieprzyjacielem Litwy i Polski: z Iwanem II *[tak]* Wasilewiczem. Ale w sądach, w wymiarze sprawiedliwości, w słuchaniu skarg poddanych, był król niespracowanym i aż do podziwienia czynnym. Podagra i chiragra dręczyły go tak, że nawet rząd złożyć zamyślał przed śmiercią; ale jednakowoż nie zaniechał zbytków

w miłości. Jak roztropnie sądził o różności w wierze, tak ulegał zabobonnie zdaniom gwiazdowieszczbiarzy i wierzył w czarodziejstwa i gusła. Dlatego rozumiał, że aż do wieku 72-go dożyje, ponieważ astrolog jakiś wywróżył mu, że we 72-m roku umrze, co trafunek uiścił, nie co do lat Króla, lecz co do liczby r. 1572-go, bo nie miał wtedy nad lat 52 wieku. Że krew ludzka dla różności zdań w religii w Polszcze w owym wieku nie płynęła, wiekopomnem jest to jego zaszczytem, równie jak i całego Narodu. Nauki były w kwitnącym stanie. Lubił Zygmunt August język polski i upowszechnił go w Litwie. Złoty wiek literatury polskiej nastał pod nim; nie brakło na uczonych w każdym rodzaju umiejętności. Ustawy prawa, czyli Konstytucye, zaczęto odtąd pisać po polsku. Mikołaj Rej z Nagłowic, wierszopis, Stanisław Orzechowski, mowca i dziejopis, Łukasz Górnicki i Krzysztof Warszewicki, dziejopisowie, Bartłomiej Paprocki, rodopis, Andrzej Frycz Modrzewski, polityk — celowali nad innymi. Biblia pierwsza przez Leonarda Dominikana, albo przez akademika Jana Leopolitę i Mikołaja Scharffenberger r. 1561 wydana, a druga, w Pińczowie przez Jana Łaskiego, Zacyusza, Piotra Statoryusza z Tionville, Grzegorza Orsacyusza, Andrzeja Trzecieskiego, Jakóba Lubelczyka i innych tłumaczona, nakładem książęcia Mikołaja Radziwiłła Czarnego na Nieświeżu i Ołyce r. 1563 wyszła w Brześciu Litewskim. Obie dotąd czynią sławę narodowi zagranicą. Słynął Zygmunt August tak dalece, że cesarz Maksymilian II uczynił go sędzią między sobą i siostrzeńcem jego, królewiczem węgierskim, Janem Zygmuntem. Hanseatyckie miasta obrały go sobie protektorem; ale, że całą sprawę odłożono do sejmu, nie było nic z tej protekcyi. Wątpić nie można, że, gdyby Król był szczęśliwszym w związkach małżeńskich, a zostawił potomstwo, Polska byłaby inszego losu doznała. Za pomocą mniejszej szlachty dokazał Król tego, że przyszła egzekucya praw, czyli odzyskanie starostw i dóbr stołowych, do skutku. Mimo ustawicznych targów o zmniejszenie władzy królewskiej, jednak nie dał jej bynajmniej uczynić uszczerbku, ale z stałością utrzymywał się przy tem, co od ojców odziedziczył. Lecz, widząc się bez potomstwa i bez nadziei, lubo chciał, nie mógł, dla słabości zdrowia, a bardziej jeszcze, że już wielcy panowie na wolną elekcyą zamierzali,

myśleć skutecznie o ustanowieniu następstwa. Rozumiał też pożyć dłużej, a do tego dwie siostry jego, w dalekie kraje zamąż wydane, nie miały jeszcze potomstwa do rządu zdolnego, a trzecia wcale za mężem nie była. Los to był jakiś dla Polski, że, gdy wszędzie indziej dokoła trony obierzcze w dziedziczne się zamieniały, w Polszcze naopak dziedzictwo Jagiellonów poszło na wolnej elekcyi wichry niespokojne, które nareszcie całą ojczyznę w bezdennej nieładu przepaści pogrążyły. Krótko przede śmiercią Króla Zygmunta Augusta Iwonia, Hospodar wołoski, wykonał przysięgę wierności.

B) «Historya drukarń krakowskich» (1815).

Dzieło wyszło w Krakowie w r. 1815 (4 knlb. List., str. 1—504, 5 knlb. regestr. 8° min.) p. t. «Historya drukarń krakowskich» od zaprowadzenia druków do tego miasta aż do czasów naszych, wiadomością o wynalezieniu sztuki drukarskiej poprzedzona». List «Do Feliksa Bentkowskiego, przyjaciela mego» z d. 25 lutego 1815 r., z Krakowa, wskazuje, jako punkt wyjścia do «Historyi», zamiar obronienia Świętopełka Fiola przeciwko Hallerowi, wywyższonemu ponad prawdę w rozprawie tegoż B-go «O najdawniejszych książkach drukowanych w Polszcze...» (Warszawa 1812). Obronę tę podjął B. skutecznie, oparty o dowody archiwalne, str. 122—73, poruszając w niej przedmioty styczne i odsłaniając fakty z bibliografii i typografii, przedtem nieznane; cenne tu zwłaszcza są opisy mszałów wrocławskich i krakowskich, z własnego, bezpośredniego zbadania zabytków. Następnie mówi B. o Statucie r. 1491 «czyli» 1496, biorąc błędnie, co mu wytknął Lelewel, dwa wydania za jedno. Wielce zajmujące, a na czas swój nowe są wiadomości o kalendarzach, Judiciach, Cyzyojanach. Właściwą historyę na str. 211 rozpoczyna Haller, co do kolei życia w Krakowie z badań archiwalnych wyprowadzony; po nim idą późniejsi: Vietor, Ungler, Lern. Na str. 283 zjawia się rodzina Scharffenbergerów (Scharpf—, Szarf—, —berg) i zajmuje tekst do str. 349. Sybeneycherowie, Wierzbięta, Łazarz Andrysowicz, Januszowski, inni Andrzejowicze zakończają wykład XVI w. (str. 405). Nieco obszerniej o Piotrkowczykach; wyróżnione drukarnie, które dotrwały do XVIII w. W końcu o Fauście w zestawieniu z Twardowskim. Wszędzie pełno wiadomości, z których my dziś jeszcze korzystamy, wiele faktów na zawsze ustalonych naocznem poznaniem; sporo też ważnych wyjątków. «Historya» jest pierwszą u nas po Bentkowskim poważną książką polską o drukarstwie i bibliografii.

232) «Do W. J. P. Feliksa Bentkowskiego, przyjaciela mego» (Wstęp, str. 3—8 nlb.). Zamiast Historyi Drukarń Krakowskich wolałbym był dać historyą druków

krakowskich; ale do jakiegoż dzieła byłoby mię przedsięwzięcie takowe zaprowadziło? Byłbym się jednak na to odważył, gdybym wiedział do tego sposobność jaką. Ale w zniszczonych po części pomnikach literatury naszej, po części w zaniedbanych i zakopanych jej skarbach niepodobną było mi rzeczą badanie takowe. Myślałem zatem, tak jak Fredro, nasz pierwszy filozof, każe: «kiedy nie można zdziałać, co jest najlepszego lub najdoskonalszego, to trzeba to zrobić, co mniej jest dobrem i doskonałem, byleby do tamtego było najbliższem». Na cześć Krakowa i drukarń jego w wieku XVI i XVII śmiało powiedzieć mogę, iż, ktoby zdołał porządny spis krytyczny dzieł tutecznych wydać, to objąłby bez wątpienia trzy czwarte części historyi literatury naszej, do której poznania krytycznego Ty, kochany i szanowny przyjacielu, uczyniłeś krok pierwszy, stały, niezawodny i wiekopomny w pięknem dziele Twojem «Historya literatury polskiej». Że moje dzieło o drukarniach krakowskich nie wyszło prędzej, nie wyszło przed Twojem dziełem, żałuję mocno, a to tem bardziej, im więcej podchlebiam sobie, że niejedna ukryta dotąd wiadomość byłaby Ci się do umieszczenia w Twem dziele przydała. Lecz co Ci teraz służyć nie mogło, niech Ci to posłuży do drugiej Edycyi; bo że nauki prawdziwe u nas kwitnąć zaczną, mam niemałą do tego otuchę. Niemożność korzystania z archiwum Uniwersytetu Krakowskiego, które do Warszawy przewiezionem zostało, wprawiła mię nieraz w obawę, że dzieło moje może podobnem się stanie do Meermana pism, choć zawsze zaletę jakąś mających, ale jednak w treści swej uchybionych. Wszelako pilne Akt Radzieckich przeglądanie i przetrząsanie skarbów Biblioteki Krakowskiego Uniwersytetu ufać mi każą, że aż do r. 1670 niewiele zbłądzić mogłem w wyobrażeniu rysów ogólnych.

Niedostatek w narodzie naszym gazet literackich, brak konkurencyi i emulacyi należytej, zabytki nieszczęsnej niewoli nauk, w której zrodziły się czasy panegiryczne, nie wiem na jak długo zatamowały u nas bieg wolny krytyce, od wzrostu nauk nieodłącznej. Ucho, do podchlebstwa przyzwyczajone, nie lubi śmiałego prawdy wyrazu, nie cierpi nawet i przyjacielskiej sprzeczki. Ty, wśród wolności literatów niemieckich wychowany, nie zrazisz się zapewne, kiedy ujęcie się za prawdą dalej mnie

może uniosło, w wyrazach niektórych w obronie Świętopełka Fiola, jak mi się należało. Nie idzie i Tobie, ukochany przyjacielu, o zdanie niczyje, ale o prawdę co do czynu dziejopisnego *(factum historicum)*; umiesz różnić *[tak]* rzecz, osobę i wyraz: a tak, śmiało wyrzec mogę, iż jestem pewnym, iż jeżelim, pp. 99, 134 i gdziekolwiekbądź jeszcze za daleko się posunął, to mi raczysz darować i nie wytłumaczysz inaczej, jak tłumaczonem być powinno. Szło mi o prawdę, nie o zdanie moje. W czem się pomyliłem, to niech nie będzie prawdą: może to publiczność wiedzieć z Twojej własnej ręki, jeżelim czego w szacownem Twojem piśmie o d r u k a c h k r a k o w s k i c h nie zrozumiał, albo wziął naopak; ale pomyłki w wyrazach, opaczne tłumaczenie moje niech nie wadzi istotnej prawdzie, niech nie przeczy udowodnionemu pierwszeństwu starożytnemu, które, jak w naukach Krakowowi się należy, tak w drukach niepodległemu od Hallerowskich pras Świętopełkowi Fiolowi, pierwszemu słowiańskich druków na całym świecie wydawcy, przypada...

Z dwuch przyczyn w Historyi drukarń krakowskich tak pisałem, jakgdybym z Akademią Krakowską żadnych nie miał związków. WJPanu Józefowi Sołtykowiczowi oddać trzeba zaszczyt, że najpierwej o Akademii Krakowskiej światu nawet polskiemu dał wyobrażenie, jakie przystoi, a zatem wtrącać się w dzieło Jego choć pobocznie miałbym za świętokradztwo literackie *(plagiatus)*: więc, jeżeli mi się zdarzyło co powiedzieć, co do Historyi Akademii Krakowskiej służy, nie chciałem nigdy to *[tak]* inaczej uczynić, jak nawiasem. Uważałem się bowiem tak, jak kamieniarze się uważać powinni, co zwożą materyały dla architektów; a tego niech mi nikt niema za złe, kto wie, ile na materyałach budowli zawisło. Druga przyczyna była ta, że, czując zawsze wstręt nieprzezwyciężony od zatajenia prawdy historycznej albo od upięknienia przedmiotu, przestawać chciałem na gołem prawdy wystawieniu, która nikomu nie szkodzi w wiekach upłynionych XV, XVI i XVII. Wszakże już w wieku XIX żyjemy, a jeżeli gdzie trzeba było co powiedzieć o w. XVIII, to łaskawy Czytelnik postrzeże, że zawsze było wcześnie prawidłem mojem: *manum de tabula* [= ręka precz ze stołu!]; że, jak mi było miło sięgać niedocieczonych dotąd badań historycznych w wieku XVI, tak już mniej tego dozwalałem sobie w wieku

XVII, a w XVIII tylko wiadome rzeczy przypomniałem, i to w liczbie bardzo określonej. Mam bowiem otuchę, że dzieło niniejsze moje, równie jak ów program r. 1812, wzbudzi badaczów historyi i literatury do dochodzenia niejednej prawdy historycznej, która, chwała Bogu, coraz więcej u nas pozyskuje miłośników, a której szczere ulubienie jedynie tylko może zakończyć szkaradne zabytki owych panegirycznych czasów, które nie cierpią, jak tylko chwalby, albo wierszyki... Nie zważając na to, co może być prawdą niemiłą, pisałem raczej w względzie na to, co jest prawdą istotną. Naród nasz nie potrzebuje błyskotek z pochwał, które mu się nie należą. Ma on ich dosyć z własnej cnoty, a niedola, w której był nie tak z swojej winy, jak z biegu okoliczności, z losu nieszczęsnego, ta sama niedola daje mu jakąś zaletę, której gdzieindziej u innych nie znajdowałem. Praca niezwyciężona, niczem nieodparta, dążenie do jednego celu, to u nas i w naukach może być kiedyś, a podobno i w krótkim czasie, cnotą Polaka, jak to było i jest w innych względach. Wszystko, prawda, u nas trudniej idzie, ale wszystkiemu chęć szczera podoła podług staropolskiego przysłowia: Trudność ustąpi, gdy chęć przystąpi. Zaraza monopolismu wieku XVII, a później z literatury francuskiej w w. XVIII pochodząca, zatruła nam zarodki polskiej w naukach gruntowności, do której w XV i XVI wieku dążono, a od której potem odwiedziono umysły młodzieży. Ale kiedy serce i umysł Polaka są nieskażone, nie trzeba nam rozpaczać. Znikną wady zarazy tej, jak już znikły makaronizmy w. XVII. Wątpię bowiem, aby makaronizmy w. XVIII swego kresu nie znalazły, chociaż jak tamte tak i te nie zostaną bez zostawionego nam zakału, który dopiero z czasem lepszy smak wygubić potrafi.

Opracował S. KRZEMINSKI.

XXXVI.

BANDTKE JAN WINCENTY

(1783—1846).

Brat młodszy Jerzego Samuela, przy nobilitacyi otrzymał do nazwiska swego dodatek «Stężyński». Urodzony w Lublinie 1783 r. Dzieciństwo upływało mu w biedzie, bo, kiedy na świat przychodził, ojciec stracił był już całe mienie. Zajęła się dzieckiem zrazu rodzina dalsza, w Prusach, i w wieku szkolnym ściągnęła je do Wrocławia (ok. 1795). Następnie opiekę rzetelną i pomoc materyalną dawał chłopcu brat starszy, za co później samodzielny już, powszechnie poważany człowiek nie zawstydził się w przedmowie do «Jus Culmense» (1814) z rzewnem uczuciem publicznie mu dziękować. W tem samem gimnazyum, co i on, otrzymał wykształcenie średnie; po wyższe pojechał, znowu tak samo jak on, do Halli, na wydział prawny. Z trzech lat, spędzonych na uniwersytecie, przy niezwykłych a odrazu przez zwierzchność dostrzeżonych zdolnościach, w latach 1804—5 był po Bentkowskim lektorem języka polskiego, a w nauce prawa skupił około siebie młodzież i polską i niemiecką, aby z nią powtarzać wykłady, chwytane szybko i dobrze. Po odbyciu studyów w r. 1806 nie przyjął ofiarowanej sobie posady w Magdeburgu, odrzucił inną we Wrocławiu i pojechał do Warszawy, pod rządy jeszcze pruskie. Został aplikantem przy Regencyi t. j. sądzie departamentowym. Odrazu polskiego ducha swego stwierdził, gdy w zaofiarowaniu swej uniwersyteckiej rozprawy «De studio juris polonici» dygnitarzom sądowym upomniał się o prawa języka polskiego i znajomość jego tym, którzy polskim rządzą krajem, zalecił. Po wkroczeniu Francuzów i ustanowieniu Kom. Rządzącej przeszedł do Izby (1807), a po zaprowadzeniu w nowem Księstwie konstytucyi lipcowej — do ministeryum sprawiedliwości. Tu Łubieński zamianował go assessorem Sądu Apelacyjnego, dopiero podówczas organizowanego. W r. 1808 otrzymał Bandtke stanowisko

pisarza aktowego, przy Sądzie Apelacyjnym, który był jeden na całe Księstwo, w skutek czego i pisarstwo obejmowało cały kraj. W r. 1809 został młody prawoznawca członkiem tymczasowej Komisyi prawodawczej. W tym czasie zawiązywała się już w Warszawie Szkoła Prawa i Administracyi i znany już z gruntownej wiedzy Bandtke na kursach, jeszcze nieujętych w organizacyę, zaczął razem z innymi prowadzić wykłady, a gdy je w r. 1811 usystematyzowano, z delegacyi wszystkich na otwarciu szkoły wygłosił przemowę, z którą związał pochwałę Jana Zamojskiego. Wyznawca zasad prawa rzymskiego, stanął w jego obronie przeciwko Czackiemu, a pracując wciąż nad prawem polskiem, wydał o niem nieco później zbiór cennych rozpraw. Imię miał tak rozgłośne, zasługi tak wybitne, działalność tak ożywioną, że Tow. Prz. Nauk, przybrawszy go do siebie, w bardzo krótkim czasie wezwało na członka czynnego (1812). Za «Jus Culmense» uniw. królewiecki zrobił go doktorem *honoris causa*, już w 30 r. życia; w parę lat później został Bandtke członkiem uniwersytetów w Krakowie i Wilnie, oraz T. N. Krak. Opracowawszy cały dział prawa do «Hist. Lit. Polsk.» Bentkowskiego, w nauce swej krzątać się nie przestawał, a obycie się z dyplomatami w Metryce Koronnej pozwoliło mu z czasem wychylić się i na pole wydawnicze ściśle już historyczne: opracował drugie, po Lengnichu, wydanie t. zw. Galla (1825). W nowem Królestwie zamianowany notaryuszem wojew. Mazowieckiego, gdy zaprowadzano uniwersytet, w r. 1816 wszedł do Komisyi organizacyjnej, wpłynął przeważnie na redakcyę ustawy, a po otwarciu uczelni w r. 1817 został professorem prawa rzymskiego i dawnych praw polskich. Dla ułatwienia nauki zrobił słuchaczom digesta z Instytucyi Justyniana. Młodzież go lubiła, ceniąc w nim nie tylko dobrego nauczyciela, ale i prawego człowieka; koledzy chętnie poddawali się jego powadze; ponawiane co trzy lata wybory powoływały go wciąż ponownie na urząd dziekana. Ostatni rok istnienia uniwersytetu oznacza datę wyjścia dzieła, które obok «Jus Culmense» i «Historyi prawa polskiego«, z wykładów uniwersyteckich dopiero po śmierci ogłoszonej, zapewnia mu trwałe imię w dziejach umiejętności polskiej. Jest to «Jus polonicum», z wielką pilnością, po wieloletnich poszukiwaniach z porównywaniem i ustalaniem tekstów dokonane wydanie aktów prawa publicznego, bądź nie znajdujących się wcale w «Vol. legum», bądź też skażonych; między innemi wydrukował tu Bandtke głośny ze sprawy Zborowskich Przywilej Mielnicki z r. 1501, podając go za autentyczny. Po Powstaniu Listopadowem zasiadł w Statutowej radzie stanu, a po jej zepchnięciu przez IX i X departament Rządzący Senatu (1841) był już tylko członkiem Kom. Sprawiedliwości. Uszlachcony jako Stężyński, nie wypuszczając pióra naukowego z ręki, zmarł w Warszawie d. 7 lutego 1846 r. Jego synem był Kazimierz B.-Stężyński, wydawca «Numizmatyki krajowej» (Warsz. 1837—40, 2 t.).

BIBLIOGRAFIA. I. α) po polsku: 1) Mowa na otwarcie szkoły prawa i administracyi, wydana os. p. t. «Obrona Jana Zamojskiego» (nadb. z «Otwarcie Szkoły Prawa i Administracyi» — Warsz. 1811). 2) «Zbiór rozpraw o przedmiotach prawa polskiego» (tamże 1812). 3) «Uwagi o potrzebie nauki prawa w kraju naszym w szczególności, a użytku onejże w ogólności» (tamże 1814). 4) Opracowanie działu prawnego w T. II «Hist. lit. polsk.» Bentk. 5) «Rzecz o czwartym groszu siostrom z pozostałości ojczystej przez braci udzielanym» («Pam. Warsz.» Bentk. II str. 1—40, r. 1815). 6) «O notaryacie dawniejszym, czyli pisarstwie aktowem kraiowem tak dawniejszem, iako i nowszem» («Pam. Warsz.» Bentk. III 327, 413, r. 1815). 7) «Co stanowi prawnika» («P. W.» B. VI 309, r. 1816). 8) «O Macieju Śliwnickim i xiędze prawa powszechnego z woli Zygmunta I przezeń ułożonej (czyt. na pos. Uniw. Warsz. w r. 1825, os. Warsz. 1827). 9) Przekład polski w «Monumentum». Pośmiertne: 10) «Historya prawa polskiego, wykład... w Un. Alex. w Warsz.» (Warsz. 1850). 11) «Prawo prywatne polskie» (tamże 1851). 12) «Rozprawy o prawie i sądownictwie karzącem i o urzędach w dawnej Polsce» (tamże 1858). 13) «Skład i formacya chorągwi polskich z w. XVIII» («Bibl. Warsz.» 1858, III). β) po łacinie: 14) «De studio juris polonici, Dissertatio, auctore... jurisprudentiae candidato» (Wrocław 1806). 15) «Vindiciae juris romani Justinianei» (tamże 1808). 16) «Jus Culmense, cum appendice privilegiorum et jurium...» (Warsz. 1814); po wstępie wywód historyczny praw Prus Królewskich i Prus Wschodnich). 17) «Lineamenta juris romani ad ordinem Institut. Just. Imp. digesta» (tamże 1816). 18) «Martini Galli chronicon» (tamże 1825; wstęp i żywot łaciński Stanisława Szczepanowskiego, przez Wincentego z Kielc). 19) «Clarissimi Baronis, J. Utr. Doct. Joannis de Ostroróg... Monumentum pro Comitiis Gen. Reg... congestum» (tamże 1831; przekład polski). 20) «Jus polonicum, codicibus veteribus manuscriptis et editionibus quibusque collatis edidit...» (tamże 1831). Są w obu oddziałach α i β mowy Bandtkiego w sprawozdaniach i progmatach uniwersytetu warsz. Współpracownictwo z bratem ob. Bandtke J. S.

II. O Bandtkim pisała «Bibl. Warsz.» 1846 I 603, 613.

Historya prawa polskiego (1850).

Dzieło to powstało z wykładów uniwersyteckich w r. 1818—30, urobionych przez samego Bandtkiego w książkę, wydaną dopiero przez syna, jako «dzieło pogrobowe» (Warsz. 1850; str. I—VIII przedmowa, str. 1—32 Scytowie, Sarmacya, Słowianie; 32—55 Polska (rozdz. I); 56—249 Czasy od przyjęcia religii chrześcijańskiej do Ludwika króla (II); 250—523 do Zygm. Aug. włącznie (III); 524—722 do upadku (IV); 723—8 Czasy późniejsze; str. I—XVI spisy; I—III, 1 kulb.; 8°). Podział na okresy, przystosowany do zmian dynastyi i sposobu obsadzania tronu, odpowiada przyję-

temu przez J. S. Bandtkiego i postawieniu r. 1386 na miejsce 1370-go, dziś jeszcze najpowszechniejszemu. Nie tylko w faktach, ale i w sądzie historycznym idzie autor za bratem swoim, okazuje się nawet większym jeszcze od niego monarchistą, ale zupełnie już z nim zrywa, gdy nieprzystojną historykowi nienawiścią ku szlachcie pałać zaczyna (okres II). W każdym okresie zosobna rozpatruje: rządców i stan kraju, podział wewnętrzny, charakter mieszkańców, przemysł, obyczaje, nawet ubiory, różność stanów, a w dwu pierwszych i mieszkańców, dalej — oświatę, skład rządu, dochody i skarb, policyę, wojskowość, sądownictwo, nakoniec prawa w najobszerniejszym zakresie, wskazując ich źródła i zbiory. Dzieło, gruntownie opracowane, jest raczej historyą państwa polskiego na tle kultury społecznej, niż prawa, chociaż w niem sądownictwo i prawo więcej, niż inne działy, miejsca zajmują; najpełniejszy ich obraz otrzymujemy w rozdz. III. Pomimo postępu wiedzy «Historya» dziś jeszcze jest nauczającą, i nie można jej czytać bez żywego zajęcia i pożytku tam, gdzie jej postęp nie prześcignął (roz. I). Wybrana tu rzecz o postawie duchowieństwa, króla i sejmu wobec uchwał Sob. Trydenckiego daje jasne wyobrażenie o metodzie krytyki historyczno-prawnej, której autor trzymał się we wszystkich swoich pracach.

233) *Str. 500—15.* Czy ustawy Soboru Trydenckiego były u nas uznane przez Sejm i przyjęte bez ograniczenia przez duchowieństwo?

Chcąc rozważyć to zapytanie: czy ustawy Soboru Trydenckiego były w Polsce przyjęte lub nie, należy się zastanowić nad rozwiązaniem następujących okoliczności: I. Co rozumiemy pod przyjęciem, czyli recepcyą uchwał Soboru Trydenckiego i iloraka recepcya ta być mogła? II. Czy ustawy i postanowienia władzy duchownej najwyższej, t. j. papieżów i Soborów, nie potrzebowały sankcyi najwyższej władzy krajowej, czy obowiązywały same przez się i czy władza świecka nic w tem nie postanowiła? III. Czy i jaka ustawa Soboru Trydenckiego była przyjęta przez duchownych w Polsce? IV. Czy była przyjęta przez najwyższą władzę krajową w Polsce?

Co do I. Władza najwyższa duchowna, nie mając promulgacyi prawa, czyni przyjęcie swych postanowień zawisłem od władzy miejscowej, krajowej lub prowincyonalnej, duchownej i świeckiej. Sobór Trydencki ustanawia sam dwa rodzaje recepcyi swych ustaw: *a)* przez władzę duchowną, nakazując jej przyjęcie jawne na najbliższym Synodzie... *(Sessio XXV, decretum de reformatione, caput II); b)* przez władzę świecką krajową... *(Sessio XXV, decretum de indulgentiis).* Mniemał Kościół mieć prawo do nakazywania władzy duchownej, aby na pierwszym prowincyo-

nalnym Synodzie jawnie przyjęła ustawy, a najwyższej władzy świeckiej doradza, napomina przyjęcie ich podług przekonania i możności. Miano w tem na uwadze miejscowe przyjęcie, zawisłe od okoliczności, a usuwanie przeszkód, zachodzących w recepcyi, poruczono papieżowi, stosownie do rozmaitych potrzeb... Łatwo mogły były być przewidywane trudności w przyjęciu, skoro ustawy tego Soboru miały stanowić poprawę nauki i Kościoła, wzruszonych przez Marcina Lutra, Kalwina i innych, i przywrócić jedność wiary i wiernych, od pocz. XVI w. jawnie rozdzielonych. Sprawdzają to słowa tego Soboru, znajdujące się na początku rozdziału *De recipiendis et observandis decretis concilii* [O przyjęciu i przestrzeganiu uchwał Soboru]. W Polsce istniały te przeszkody i ze strony stanu i duchownego i świeckiego. Gdy ustawy Soboru w r. 1564 do Polski przez kardynała Kommendoniego były przywiezione, odbywał on narady z Hozyuszem, biskupem warmińskim, kardynałem i bywszym prezesem tegoż Soboru, względem sposobu, jak zbiór ten przewieść przez upragnioną recepcyę, a przewidywał przeszkody ze strony Jakóba Uchańskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego i naczelnego duchowieństwa polskiego kapłana, jak opowiada kardynał Pallavicini w historyi Soboru Trydenckiego *(lib. XXIV cap. XIII nr. 1)*: «[Roztrząsnąwszy sprawę pomiędzy sobą, uznali z jednej strony, że w danym wypadku nie będzie to dość zaszczytnem, ani też wystarczającem do trwałości, jeżeli się księgę prywatnie doręczy królowi, gdyż wtedy możnaby zawsze zarzucić, iż król nie ma w sobie władzy krępowania państwa prawami wieczystemi. Z drugiej strony, gdyby księgę wręczono w senacie, uznano to za mniej bezpieczne, gdyż senat podówczas składał się z licznych heretyków i pierwszy w nim głos miał Uchański, arcybiskup gnieźnieński i prymas państwa, człowiek porywczy do walki i ambitny i do tego stopnia z heretykami potajemnie złączony, że usiłował pod powagą króla wytworzyć własny Synod narodowy, czemu opierał się nuncyusz]». Senat składał się z różnowierców, co Pallavicini i krajowi pisarze wyznają. Stan ogólnego przygotowania umysłów w Polsce najlepiej wykazuje konfederacya jeneralna z r. 1573, lat dziewięć późniejsza, która, zamiast heretyków wyklinać, jak chce tego zbór Trydencki, bracią ich mianuje.

Co do II. Lubo atoli sam zbiór Soboru mówi tak wyraźnie o przyjęciu, mógłby może kto zarzucić, że, co najwyższa władza duchowna postanowiła, było samo przez się prawem, że nie potrzebowało przyjęcia *quo ad dogmata*, że władza świecka nic w tem nie była mocną stanowić, zmieniać i że winna była ulegać. Dlatego też Kazimierz III przyznał wiarogodność świadectwu osób, pod klątwą zostających, chociażby takowej z nich na prośby nie zdjęto. Kazimierz IV, zatwierdzając godność kardynała, przez Zbigniewa uzyskaną, zastrzegł zakaz warunkowy starania się o nią nadal... *(Vol. leg. I 171)*, nad czem Długosz czyni zabawne żałosne uwagi. Postanowienia papieżów (bulle) mogły były być zamieszczane w zbiory praw za szczególnem na to upoważnieniem, lub nabierać powagi za dozwalaniem przez najwyższą władzę ich wciągania w akta metryki lub grodzkie *(Vol. leg. III 857)*, a nawet konkordaty wymagały sankcyi i zatwierdzenia stanów, ogłaszania pod pieczęcią monarchy, jak tego mamy dowód w konkordacie Klemensa VII z r. 1525 i w zatwierdzeniu, pod Zygmuntem I nastąpionem, oraz w konkordacie o kompozyty za Władysława IV.

Co do III. Duchowieństwo polskie spostrzegało niektóre niedogodności w ustawach Soboru z powodu krajowych stosunków i zaraz po ogłoszeniu [ich] i ukończeniu onegoż czyniło starania u Piusa IV o zwolnienie tych niedogodnych postanowień dla Polski. Uchański, arcybiskup gnieźnieński, opierał się przyjęciu i zwołaniu tym celem Synodu, o który Karnkowski nalegał, czyniąc nadzieję, że Rzym skłoni się do zmian niedogodności. Na Synodzie prowincyonalnym gnieźnieńskim, odbytym w Piotrkowie, pod Wawrzyńcem Gembickim r. 1621, czytamy (w rozdziale III), że, «gdy Sobór Trydencki był przez przodków chętnie przyjętym, arcybiskupi i biskupi mają łożyć starania, by przez wszystkich, ile być może, był zachowywanym po dyecezyach»; lecz jakie to było przyjęcie i dlaczego tak spóźnione zalecanie zachowywania Soboru, dowiadujemy się zaraz z dalszej osnowy tego samego rozdziału... Na obudwuch Synodach tak r. 1577, jak r. 1621, domagano się moderacyi, zwolnienia! Papiery o przełożeniach i poselstwach do Rzymu, przez duchowieństwo czynionych, znajdować się mają w bibliotece Uniw. krakowskiego. W czternaście więc dopiero lat po Synodzie *[tak]*

Trydenckim zastanowiano się nad przyjęciem onegoż, a w pięćdziesiąt ośm lat, z ponawianem zastrzeganiem żądanej moderacyi, zalecano jego wykonanie. Moderacya ta ogólna z Rzymu nie nastąpiła, lecz zaszła i była wykonaną w kraju przez duchowieństwo na dalszych Synodach w następującym sposobie: Ten sam Synod prowincyonalny Gembickiego, Piotrkowski z r. 1621, nakazał uskutecznić nowe wydanie, czyli redakcyę ustaw synodalnych prowincyonalnych, i wyznaczył na to osoby. Po śmierci Gembickiego dzieło wygotowane zostało złożonem na Synodzie późniejszym prowincyonalnym, odbytym w Piotrkowie r 1628 przez Jana Wężyka, arcybiskupa, którego upoważniono do wydania onegoż, a Andrzej Piotrkowczyk, doktor obojga prawa i typograf krakowski, otrzymał od Synodu przywilej na jego druk. Wyszła ta redakcya z druku ozdobnie i starannie p. t. «*Constitutiones synodorum metropolitanae ecclesiae...*» (Kraków 1630, 4°). Wydanie to jest autentycznem i aprobowanem przez Synod pod Maciejem Łubieńskim w r. 1643. Zbiór ten zawiera pięć ksiąg, a w ostatniej są: bulla Jana XXIII z r. 1412, Marcina V z t. r. (po złożeniu poprzedniego papieża), nadające Mikołajowi Trąbie, arcybisk., władzę... «[poprawiania, łagodzenia, wyjaśniania, przetwarzania, zmieniania i uzupełniania, jak niemniej wydawania rzeczy nowych, stanowienia i porządkowania...]». W ostatniej, piątej księdze, ułożonej już na Synodzie Piotrkowskim r. 1577, za czasów króla Stefana Batorego i Uchańskiego arcybiskupa, znajdujemy: zatwierdzenie tej księgi przez Grzegorza XIII z r. 1577, ogłoszone przez Uchańskiego w r. 1578; podziękowanie królowi Stefanowi, że na Synodzie Piotrkowskim ustawa Soboru Trydenckiego była przyjętą; i poruczenie *[tak]* arcybiskupowi gnieźnieńskiemu i biskupowi krakowskiemu (wszystko z r. 1578) do wykonywania ustaw Synodu Piotrkowskiego z r. 1577. Cała więc piąta księga zawiera ustawy Synodu prowincyonalnego Piotrkowskiego z r. 1577, na którym ustawa Synodu Trydenckiego miała być przyjętą. Wykazuje się to jawnie z pierwszego, prywatnego wydania. Na tym tedy Synodzie Piotrkowskim znajdujemy takowe dwa, co do ustawy Soboru Trydenckiego artykuły, z których pierwszy przyjmuje, a następny moderacyę w przyjęciu jej zastrzega... «[Rozdział I. Kanony i postanowienia świętego Soboru Trydenckiego przyjęte

i w rozkaz do powinnego wykonania zaopatrzone... Rozdział II. Pewne punkta Soboru Trydenckiego ze strony tej prowincyi potrzebują złagodzenia...]» Moderacye, uproszone i dokonane przez same Synody prowincyonalne Piotrkowskie z r. 1577 i 1621, wykazują się poniekąd z samych drukowanych zbiorów tychże Synodów, bo tak przyjęto i zamieszczono w zbiory te «*Decretum de reformatione matrimonii* [= małżeństwo] *ex sessione XXIV concilii Tridentini*», z opuszczeniem atoli dwunastu kanonów anatemizujących. Nie szło więc tylko w tych moderacyach żądanych «[o wielość beneficyów i przebywanie przy beneficyach]», jak to w tym sposobie mylnie przedstawia ks. Ksawery Szaniawski («Historyczny wywód, jakim sposobem Sobór Trydencki przyjęty był w Polsce») lub «Themis Polska» (T. VII, poszyt IV, str. 364—5, 369). Ustawy zaś dyecezyalne i prowincyonalne mają najpierwszą powagę, a po nich dopiero idą *Canones* i *Glossarum et doctorum decisiones*, jak to już za Łaskiego na Synodzie drugim Łęczyckim przepisano.

Co do IV. Prawie wszyscy pisarze nasi duchowni utrzymują, że na sejmie w Parczowie r. 1564 nastąpiło przyjęcie ustawy Soboru Trydenckiego. Możnaby powątpiewać, czy sejm w Parczowie wtedy się odbył, a to z przyczyn następujących: 1) iż niema żadnych z niego ustaw, lecz znajdują się ustawy z tego roku sejmu warszawskiego; 2) iż nasi pisarze uważają sejm ten Parczowski za nieczynny, za niedoszły, gdyż ks. Jan Bielski, jezuita, mówi: («Widok królestwa polskiego» r. 1763, T. II, str. 65): «r. 1564 w Parczowie, marszałek Siennicki, podkomorzy Chełmski; niedoszły [sejm]»; Dawid Braun («De comitiis Regni Poloniae generalibus» 1721) powiada: «[W r. 1564 w Parczowie z limity poprzedzających... lecz nic tu nie postanowiono, i stąd też w voluminie żadnych akt niema»]. 3) Gracyan, towarzysz Kommendoniego, legata papieskiego, który opisał całe poselstwo ([w życiorysie legata] po łac. Padwa 1685, przekł. franc., Flechier, Paryż 1671)... opowiada, że Kommendoni pojechał do Parczowa, gdzie był sejm; lecz w rozdz. XII mówi: «[stąd po rozpuszczeniu zjazdu Warszawskiego Kommendoni powziął zamiar zwiedzenia całej Polski]»; prowadzi go potem istotnie Wisłą do Gdańska. Możnaby więc mniemać, że w rozdz. XI przez pomyłkę drukarską Warszawę przezwano

Parczowem. 4) Raynald w historyi pod r. 1564 przytacza list Zygm. Aug. do papieża, donoszący o przyjęciu Soboru Trydenckiego, pisany «[na zjeździe ogólnym warszawskim]«.

Wszelako za bytnością sejmu w Parczowie r. 1564 (chociaż tego samego roku był także sejm w Warszawie) mówią następujące niewątpliwe dokumenta. Relacya Kommendoniego, zdana Rzymowi o przyjęciu Soboru, datow. d. 7 sierpnia 1564 r. z Parczowa, znajduje się w Rzymie *in codice manuscriptorum bibliothecae Barberianae* nr. 2403. Kopia jej z biblioteki St. Augusta przeszła przez Czackiego do Puław. Tamże znajduje się list Zyg. Augusta pisany do papieża d. 9 sierpnia 1564 r., datowany *in conventione Regni generali Parczoviensi.* Wzmianki o tym sejmie Parczowskim są w *Vol. Legum* II fol. 796 i w aktach Metryki Kor. w księdze X. E. S. 56. 82. i w księdze X. B. S. 399, gdzie niema wprawdzie uchwał, praw, lecz tylko przywileje, uniwersał poborowy i uniwersał króla przeciw kacerzom. Hozyusz wyraźnie w liście wzmiankuje o Parczowie i podaniu tamże Synodu Trydenckiego królowi. Łukasz Górnicki słusznie więc uważa, że był sejm w Parczowie, złożony na dzień św. Jana, że doszedł, lecz, że się mało na nim sprawiło.

Dla ocenienia, jak i czy ustawa Soboru Trydenckiego była przyjętą, nie trzeba spuszczać z uwagi, że za Zygmunta Augusta do stanowienia, a zatem i przyjmowania, praw było potrzebnem zezwolenie senatu i Izby poselskiej. Gratian w życiu Kommendoniego opisuje (rozdz. XI), że tenże był wprowadzonym do senatu, że po mowie jego była krótka narada, że Uchański, arcybiskup, przekładał potrzebę bliższego roztrząśnienia podanej ustawy Soboru Trydenckiego, że król, bez zbierania głosów, oświadczył przez podkanclerzego przyjęcie. W relacyi Kommendoniego do papieża, w listach Zygm. Augusta, do tegoż i od niego do króla pisanych, niema nigdzie mowy o przyjęciu ustawy w sejmie i przez stany, lecz o podaniu i przyjęciu (odebraniu!) [= otrzymaniu] przez króla w gronie rad, czyli senatu. Hozyusz w liście do Zygmunta Augusta przypomina królowi [o ustawach], że w Parczowie «[w licznem gronie senatorów przez kardynała Kommendoniego... Waszej Królewskiej Mości ofiarowane były i W. Kr. M. ...z wielkiem poważaniem do rąk swych je przyjęła]». Stąd też Olszowski, arcybiskup

gnieźnieński, z godności i powołania znający rzecz, pisząc poufale do kardynała Altierego roku 1675, tak się wyraża: «[Sobór Trydencki niema nic wyraźnego przeciw prymasom i urodzonym legatom... Nadto, ponieważ nie zostajecie w niewiadomości... czy nie jest nawet niebezpiecznem dopuszczać do roztrząsania: zali król i stany świeckie w Polsce związane są uchwałami reformacyjnemi Soboru Trydenckiego? (skoro nigdzie zgoła z akt postanowień publicznych nie wynika, żeby je król wraz ze stanami świeckiemi przyjął): pozostawiam to do rozwiązania przezorności samych interesowanych]». Sprawiedliwe także czytamy zdanie w dziele «Histoire de la reception du Concile de Trente dans les differens états catholiques» (Amsterdam 1756, 8°. T. I str. 148): «[Przyjęcie Soboru Trydenckiego w Polsce powinno być uważane raczej za dzieło Zygmunta, niż sejmu]».

Nadto, zwykle autentyczne wydanie Soboru Trydenckiego wychodziło z deklaracyami *sacrae Congregationis* i z adnotacyami Dominika Barbosy. Ten do sesyi XXIV cap. I mówi w przypisie: «[Zali małżeństwo, potajemnie zawarte bez proboszcza i świadków w miejscach, gdzie nigdy Sobór Trydencki nie był ani ogłoszonym, ani też przyjętym, jak w niektórych dzielnicach Francyi i w Polsce, dla ich mieszkańców, dopóki tam mieszkają, jest ważnem?]» — i tu powołuje wielu uczonych, tego zdania będących. Czyż można przypuścić, aby pod powagą samej stolicy Rzymskiej i przy jej ścisłej cenzurze wychodziły dzieła, któreby dopuszczały powątpiewania o tak ważnym przedmiocie?

Zresztą, list Grzegorza XIII, do króla Stefana pisany i w aktach synodalnych («Constitutiones» Wężyka, Kraków 1630, str. 405) znajdujący się, nie mówi wcale o recepcyi zboru Trydenckiego przez stan świecki, lecz przez stan duchowny, jak przekonywują słowa: «[oddał nam list W. Kr. Mości, a wraz z nim akta Synodu prowincyonalnego]» i przyrzeczenie moderacyi przez duchownych żądanej, przez króla Stefana wspieranej: «[żądaniom duchowieństwa, o ile w mocy naszej będzie, uczynimy zadość i pozna W. Kr. Mość, że zalecenie z jej strony bardzo wiele u Nas waży]». Że sam Stefan Batory względem małżeńskiego swego pożycia i niemieszkania z żoną lub rozwodu

powoływał się w paktach konwentach, nie na ustawy Soboru Trydenckiego, lecz na pismo i słowo Boże, przekonywa *Vol. leg.* II, 901.

Powiadano mi, że w aktach sochaczewskich ma się znajdować protestacya, zaniesiona przeciw przyjęciu ustaw Soboru Trydenckiego.

W piśmie księdza Ksawerego Szaniawskiego wystawiono, że Sobór Trydencki *quo ad dogmata et quo ad disciplinam* nie potrzebował przyjęcia, że obowiązywał sam przez się, jako w kraju katolickim. Lecz widzieliśmy, że *quo ad dogmata* kanony *de matrimonio* anatemizujące są opuszczone w autentycznem wydaniu Gembickiego z r. 1630, a które gorliwy Karnkowski w swe prywatne wydanie zamieścił; *quo ad disciplinam* zaś nie palono przecież u nas z woli Ojca św. ludzi, niby na chwałę Boga, tak jak w Hiszpanii i t. p.

Opracował S. KRZEMINSKI.

XXXVII.

RAKOWIECKI IGNACY BENEDYKT

(1783—1839).

Urodził się w r. 1783, nie w 1782, jak podają, w Berdyczowie, gdzie ojciec jego był rytownikiem przy drukarni Karmelitów. Studya prawnicze odbył w uniwersytecie wileńskim, a po ich ukończeniu udał się do Zaboru Pruskiego. Za Księstwa, otrzymawszy notaryat ziemiański w Poznaniu, porzucił go dla posady plenipotenta u Zamoyskich i Potockich. Za Królestwa otrzymał kuratorstwo nad szkołami Woj. Podlaskiego, a pod koniec życia, gdy kuratorstwa już zniesiono, był inspektorem jednej ze szkół obwodowych na Podlasiu. Obok tego jako zawód uprawiał notaryat publiczny w Warszawie. Rozgłosu nabrał, jako słowianofil literacki, filolog i lingwista, związujący język polski ze starosłowiańskim. Wcześnie już wczytywał się w książki o przeszłości Słowian, przeważnie w rosyjskie, korzystał też i z naszych pisarzów dawniejszych, a później i z czeskich. Badań i poszukiwań samodzielnych nie prowadził; poznawał i przyswajał sobie fakta więcej dobrą wiarą swą i domniemaniami niż dochodzeniem i krytycyzmem naukowym. Taką samą, jak on, metodą docierał i Surowiecki do owej Słowiańszczyzny, którą Bandtke J. S. «barankową» nazywał, i rzeczywiście obaj malowali ją jak sielankę; Rakowiecki najprzejrzyściej ukazał swoją w rozprawie «O stanie cywilnym dawnych Słowian», wygłoszonej w Tow. Przyj. Nauk dnia 20 maja 1820 r., kiedy wchodził do jego grona jako członek przybrany. Zaszczyt ten wyrobił mu był przekład Prawdy ruskiej Jarosława W., zaopatrzony w objaśnienia i ogólne obrazy zamierzchłego życia Słowian i języka, a wzbogacony (T. I) przekładami trzech traktatów, z dołączeniem pieśni czeskich, wówczas poodkrywanych, lub za odkryte uważanych. Stosunki Rakowieckiego z Hanką, wrzekomym odkrywcą Rękopisma Królowodworskiego, wielką współczesną sławą, oczarowały Towarzystwo: po sprawozdaniu, złożonem w r. 1822, w następnym już został członkiem

czynnym. Pracę nad Słowiańszczyzną ciągnął jeszcze lat dziesięć, zużywając siły na takiego Ekonomidesa, płatnego historyografa, który sięgał jeszcze w wieki urojonego współżycia Słowian pierwotnych z pierwotnymi Grekami. W młodych latach zajmował się Rakowiecki ekonomią polityczną, odznaczył się światle napisanym listem do «Gazety Warszawskiej», napominał do uporządkowania zasad ziemiaństwa, nawoływał do moralności i oświaty, a lękał się oświecania ludu bez umoralnienia go, które samo tylko daje oświatę rzetelną; rozważał gospodarstwo wiejskie pod względem moralnym, obmyśliwał «Sztukę rządzenia się w każdym stanie i powołaniu» — i właśnie kiedy pierwszy arkusz pierwszego tomu obszernego dzieła miał już wydrukowany, zaskoczyła go śmierć, dnia 22 lipca 1839, we wsi własnej na Podlasiu.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA. T. I «Prawdy ruskiej» ukazał się w r. 1820, II w 1822, oba w Warszawie, p. t. «P. R. czyli prawa Wielkiego Księcia Jarosława Władymirowicza, tudzież Traktaty Olga *[tak]* y Igora W. W. X. X. Kiiowskich z cesarzami greckimi y Mścisława Dawidowicza X. Smoleńskiego z Rygą zawarte, których teksta obok z polskiem tłomaczeniem poprzedza Rys historyczny zwyczajów, obyczajów, religii, praw y ięzyka dawnych słowiańskich i słowiańsko-ruskich narodów...» (T. I: XVI str., 1 knlb. str. 1—277 «Rys historyczny zwyczaiów i obyczaiów; T. II: XII str. 1—148 Traktaty i Prawda R.; str. 149—244 Rys historyczny początku i stanu języka słowiańskiego i polskiego cz. I; str. 245—316 cz. II; str. 317—20 Słownik celniejszych wyrazów słowiańskich. Tabela postaci słowiańskich. Oba tomy druk Pijarów, 4°). Rozprawa «O stanie cywilnym...» wydruk. w T. XIV «Roczn. Tow. Prz. N.». List z r. 1807, w porządku kolejnym LIV, wyszedł w nadbiciu ze zbioru współczesnego. Programat owego pierwszego tomu, zatyt. «O istotnych i naturalnych człowieka potrzebach», znajduje się w posz. I cz. II «Pism rozmaitych B. R-go» (Warsz. 1835 2 posz.) wraz z dwiema jeszcze rozprawkami: «O sposobach moralnego ukształcenia ludu pospolitego» i «O zasadach gospodarstwa ziemiańskiego, stosownych do gospodarstwa krajowego» i z ową «Sztuką rządzenia się»; cały poszyt I cz. I wypełnia nie fortunny Ekonomides, starannie streszczony.

«O stanie cywilnym dawnych Słowian» (1820)

(«Roczn. Tow. Prz. N.» T. XIV str. 19nst.).

Błogi był stan cywilny i rozwijający się z niego stan polityczny Słowian. Nie znali oni jedynowładztwa, nie znali anarchii i wojen wewnętrznych; rządzili się demokratycznie, żyli religijnie: i pomimo to mówi się o ich ciemnocie i dzikości! Ze wszystkich ludów oni najwięcej się zbliżyli do poznania prawd odwiecznych. Cześć Najwyższego Bóstwa była

u nich tak wielką i czystą, że tylko bogom niższym świątynie stawiali, a w tych niższych jeszcze uosabiali niektóre przymioty Bóstwa wraz z dobrodziejstwami uspołecznienia. O ileż wyższe jest niebo mitologiczne Słowian od takiegoż nieba Greków i Rzymian! Po wyliczeniu bogów autor mówi o uroczystościach. Ognie Kupały («ku-upału») symbolizują życiodajny ogień słoneczny. W czasie Kolady («ku-ładu»), godów, ponawiano przymierze zgody i przyjaźni. Mieli też Słowianie bardów: Rusina Bojana, Czecha Lumira przechowały podania. Doszły do nas i śpiewy z czasów Libuszy. Znane było w Słowiańszczyźnie własne, swoiste pismo, i to od czasów niepamiętnych. A język? Wspaniały, do wszystkiego najzdolniejszy, żyje nieskalany w dyalektach. Dosięgną kiedyś Słowianie wyższych przeznaczeń, zwłaszcza, że mają pomoc z «najczystszych zasad chrystyanizmu». «Ani czas, ani nadzwyczajne przygody, ani srogie wrogów usiłowania nie zdołają zniszczyć plemienia słowiańskiego».

234) W powszechnem Średnich Wieków całej Europy i Azyi zaburzeniu, różne starożytne narody ojczyste swoje siedliska opuszczać, lub też obcemu ujarzmieniu uledz i pamięć swego bytu utracić musiały. W tym nadzwyczajnym zamęcie Rzym tylko i Konstantynopol uczone pisma Greków i Rzymian, podające do potomności pamięć stopnia ich oświaty, mógł zachować. Gdy na gruzach dawnych państw i krajów zniszczonych nowe powstały narody; gdy przemijać zaczęły burze srogości i okrucieństwa, a duch spokojny na łono Europy powracać zaczął, — dała się uczuć potrzeba światła i nauk: szukały więc onych nowe różnego pokolenia narody w księgach i języku starożytnych Greków i Rzymian, szukał onych w temże źródle i naród pokolenia Słowian i, podobnie jak inni, mniej zwracając uwagi na zwyczaje, obyczaje, stopień oświaty i język swych przodków, mimowolnie stawać się musiał czcicielem czynów greckich i rzymskich, a to tembardziej, iż w pozostałych ich pismach znajdował o sobie złe obok dobrych, jako przez obcych poczynione, wzmianki. Skromna jednak prawda, im później daje się poznawać, tem w świetniejszej onę spostrzegamy postaci. Nie dozwolił los przodkom naszym zostawić nam w spuściźnie ksiąg i pism uczonych; lecz pozostawili oni trwalsze pomniki swojej wielkości i sławy, to jest: niezmieniony przeciągiem wieków charakter, zwyczaje, obyczaje, i nader obfity i udoskonalony język. Tych niewzruszonych pomników ani czas, ani nadzwyczajne przygody, ani srogie wrogów usiłowania zniszczyć nie zdołały. Porównywując one z wiadomością, którą nam o naszych

przodkach historya zachowała, łatwo poznajemy ich stan cywilny, zwyczaje, obyczaje, prawa i zasady Paganizmu*), który, acz nie będąc świętą objawioną religią, był atoli duszą ich związku cywilnego, stawiałich w wysokim stopniu oświaty, ukształcał ich obyczaje, był duchem ich rządu, praw i języka.

Tak starożytni, jako też wielu późniejszych pisarzy z różnych uprzedzeń przypisywać zwykli dawnym Słowianom: dzikość, ciemnotę i niewiadomość; a obok tego, nie mogąc naruszyć istoty rzeczy, przyznają jednozgodnie, iż Słowianie, niegdyś i dotąd pod różnemi nazwiskami znani, od czasów niepamiętnych prowadzili życie towarzyskie, nie byli, jak inne hordy, narodem koczującym, lecz mieli swe wsie i miasta, w których się znajdowały ozdobne świątynie. Trudnili się rolnictwem, chowem bydła, górnictwem, rzemiosłami i handlem. Byli przemyślni, czynni, ludzcy i nadzwyczajnie gościnni. Lubili spokojność domową, zabawy przyjacielskie, śpiewy i muzykę. Oni, zajmując większą część Europy i Azyi, nie znali jednowładztwa, rządzili się gminnie, będąc podzieleni na większe lub mniejsze Rzeczypospolite, rządzone przez Starszych, Starostów, Panów, Żupanów, Hospodarów, Hosudarów, Wojewodów, Bojarów, Kniaziów, Królów, Carów, którzy powszechnie, wolnym głosem na ten stopień wybierani byli. Naczelnicy główni, czyli rządcy, czynności tyczące się dobra powszechnego ułatwiali w zgromadzeniach narodowych, które odbywały się niekiedy na ich dworze, najczęściej zaś w świątyniach umyślnie na to przeznaczonych. Jedne z takowych świątyń nazywano K o n t y n a m i od słowa «Kon», «Zakon»; drugie nazywano Gradzinami, Grodami, Horodyszczami, od słowa grodzić, św. zagroda. Takowych Zagród czas zniszczyć nie zdołał; są to lub na wyniosłych górach, lub rozległych równinach, powszechnie przy gajach i przy wodzie ogromne i nader wysoko usypane z ziemi lub kamieni ułożone wały, niejaki kształt okopów lub twierdzy mające. Aleksander Sapieha takowe Gradziny w «Podróżach» swoich po krajach słowiańskich opisał. Zoryan Chodakowski dociekł, iż one co cztery mile zaludnionego miejsca w całej przestrzeni krajów słowiań-

*) Używa się tu wszędzie słowo *[tak]*: P a g a n i z m, zamiast P o g a n i z m, albowiem to pochodzi od P a g u s, nie zaś od «Nagany», «Pogany». Patrz Du Cange «G l o s s» *(Przyp. Aut.)*.

skich przy miastach były wystawiane. Tam wszelkie religijne i narodowe zgromadzenia uroczyście pod powagą Starszych i Kapłanów ułatwiały wszelkie czynności publiczne.

Jedne z takowych zgromadzeń nazywano Sniemami, Sjemami, Sejmami od słowa «z-jąć», to jest zebrać się, zgromadzić się. Drugie zaś nazywano Wetami, Wieczami, Wiecami, od słowa «Wet», to jest «Prawo, Wiadomość». Stosownie do odległości wspomnionych Kontyn i Grodów czyniony był statystyczny krajów słowiańskich podział, jak oto ślady tego historya i język przodków naszych dochował. Nowogród i territorium do niego należące podzielone było na pięć końców, czyli konów, w których ustanowione były sądy, Konami zwane. Nazwisko Grodu, Grodztwa, jako też Ziemi Powiatów z tegoż samego pochodzi źródła.

Opracował S. KRZEMINSKI.

XXXVIII.

SZANIAWSKI JÓZEF KALASANTY

(1764—1843).

Józef Kalasanty Szaniawski urodził się w Kalwaryi Zebrzydowskiej (dzisiejsza Galicya) r. 1764. Nauki odbył w Kaliszu, a studya uniwersyteckie w Królewcu, gdzie słuchał prawa, oddając się jednocześnie filozofii, i uczęszczać miał na wykłady Kanta: «Chodził on na filozofię Kanta, nie przeszedłszy szkół przygotowawczych», — pisze Łubieński w swoim pamiętniku. Przeczy temu jego własna opowieść, według której zaczął studyować pisma w zamiarze ich krytykowania; im bardziej jednak wczytywał się w nie, tem goręcej przejmował się uwielbieniem dla tego filozofa.

Przez trzy lata pełnił urząd komisarza sądowego w województwie kaliskiem za Stanisława Augusta; przez dwa lata był w kawaleryi narodowej, jako towarzysz chorągwi generała Łuby.

Brał czynny udział w wypadkach krajowych w czasie powstania 1794 r., poczem znalazł się na emigracyi. Należał do «Deputacyi Polskiej» w Paryżu, utrzymującej stosunki z rządem francuskim za Dyrektoryatu.

Za rządów pruskich wrócił do Warszawy i oddał się wyłącznie literaturze. Był on jednym z pierwszych członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Po ustąpieniu Prusaków z Warszawy został powołany na członka chwilowej Najwyższej Izby Administracyjnej (5 grudnia 1806 r.), w następnym roku przeniesiony do Dyrekcyi Sprawiedliwości, wysłany został do Berlina w celu odebrania archiwów tyczących się odjętych Prusom prowincyi polskich. Został następnie prokuratorem sądowym. Pełniąc ten urząd, dał dowód niezależności charakteru. Gdy bowiem minister Łubieński pociągnął do odpowiedzialności sądowej Kuczyńskiego za list otwarty, wyrzucający mu nadużycie władzy, Kuczyński zaś nie chciał wymienić drukarza, który ten list ogłosił, Łubieński polecił sądowi zagrozić Kuczyńskiemu jednym z artykułów prawa pruskiego (wówczas już w Księstwie zniesionego), który dozwalał

sądowi użycia środków przymusowych, t. j. chłosty, dla wymuszenia zeznań. Cały kraj oburzył się przeciw odnawianiu barbarzyńskiej tradycyi pruskiej na wyzwolonej ziemi polskiej. Szaniawski zaniósł przeciw Łubieńskiemu skargę o nadużycie władzy, którą Rada Stanu przedstawi królowi. Gdy król dał odpowiedź odmowną, Szaniawski złożył swój urząd. Dopiero po dwu latach procesu Rada Stanu, jako najwyższy sąd kasacyjny, sprawę umorzyła na podstawie praw polskich, zabezpieczających każdemu obywatelowi *liberam vocem*, a za wroga ojczyzny uważających tego, ktoby na to prawo się targnął. Wynik ten zapewne umożliwił Szaniawskiemu powrót do urzędu, który opuścił ostatecznie z powodu słabości zdrowia w r. 1811. Od r. 1807 w dodatkach do «Gazety Warszawskiej» zamieścił szereg listów.

Gdy Księstwo zajęły w roku 1813 wojska rosyjskie, Szaniawski został wysłany przez komitet centralny rad departamentowych do głównej kwatery dla pertraktacyi.

Podczas Kongresu Wiedeńskiego bawił z Czartoryskim w Wiedniu, pomagając mu w załatwianiu spraw dyplomatycznych w zakresie wyraźnych zleceń Aleksandra I, poczem wraz z Czartoryskim wrócił do Warszawy.

Po utworzeniu Królestwa uczestniczył w pracach komisyi trilateralnej, zajmującej się uregulowaniem rachunków nowego Królestwa z sąsiedniemi mocarstwami.

Jako sekretarz rządu tymcz. i referendarz stanu, położył podpis swój pod konstytucyą 1815 r. Na stanowisku referendarza stanu i głównego sekretarza ogólnego zgromadzenia Rady Stanu zostawał do końca r. 1816, kiedy mianowano go prokuratorem generalnym, prezydującym w prokuratoryi Królestwa. W r. 1822 został dyrektorem generalnym w dyrekcyi wychowania w Komisyi Wyznań i Oświecenia, prezesem towarzystwa ksiąg elementarnych i kierownikiem Wydziału cenzury. Spotykamy więc na wielu książkach ówczesnych podpis dawnego jakobina, występującego obecnie w roli gorliwego cenzora, ten sam podpis, który razem z podpisami Mniewskiego, Taszyckiego i Fr. ks. Dmochowskiego figurował niegdyś u spodu tajnych relacyj Deputacyi Polskiej do Dyrektoryatu francuskiego.

Jak daleko Szaniawski posuwał gorliwość cenzorską, dowiadujemy się z raportu Nowosilcowa do cesarza pod datą 8/20 lutego 1823 r., z którego widzimy, iż domagał się wstrzymania wydawnictwa rosyjskiej «Gazety Petersburgskiej» za to, iż w jednym z numerów swych dała wzmiankę o pismach Napoleona na wyspie św. Heleny.

To też przed samym wybuchem rewolucyi 1830 r., przeczuwając niebezpieczeństwo, uciekł do Wiednia. W r. 1833 mianowany ponownie członkiem Rady Wychowania i Rady Stanu, był jednocześnie (od 1832 do 1834) członkiem najwyższego sądu kryminalnego, ustanowionego dla osądzenia kierowników i główniejszych uczestników powstania. W roku 1839 otrzymał emeryturę. Umarł 16 maja 1843 w Warszawie.

Szaniawski był człowiekiem gruntownie wykształconym, śledził

bacznie rozwój literatury Zachodu. Jako pisarz bez własnej twórczości, położył jednak pewne zasługi, wykładając stylem jasnym i zrozumiałym poglądy nowszej filozofii. Jest on jednym z nielicznych pisarzy, zwracających uwagę na doniosłe znaczenie filozofii Kanta. Najbardziej cenione były przez młodzież jego «Rady przyjacielskie», w których wytknął drogę samodzielnego wykształcenia i wyrobienia się na pisarza. Również godną uwagi jest jego rozprawa «O naturze i przeznaczeniu urzędowań w społeczności», pomyślana w duchu nieznanej jeszcze wówczas filozofii Schellinga.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA. 1. «Co jest filozofia, niektóre myśli służyć mogące do porozumienia się względem odpowiedzi na to pytanie» (Warszawa 1802). 2. «O znamienitych systemach moralnych starożytności» (Warszawa 1803. Umieszczone przedtem w Roczn. Tow. Przyj. Nauk T. II). 3. «System chrystianizmu krótko wyłożony; pismo służące za dalszy ciąg wykładu systemów moralnych» (Warszawa 1803, oraz Rocznik Tow. Przyj. Nauk T. II). 4. «Rzut oka na dzieje filozofii od czasu jej upadku u Greków i Rzymian, aż do epoki odrodzenia». Przydana rzecz o skeptykach moralnych i o szkodliwem dążeniu filozofii XVIII w.» (Warszawa 1804. Roczn. Tow. Prz. Nauk T. III). 5. «Rady przyjacielskie młodemu czcicielowi nauk filozofii, pragnącemu znaleźć pewniejszą drogę do prawdziwego i wyższego oświecenia» (Warszawa 1805; Lwów 1823). 6. «O naturze i przeznaczeniu urzędowań w społeczności (Warszawa 1808). 7. «Mowa o duchu klasyczności i romantyczności we względzie filozoficznym» (Warszawa 1822). 8. «Pochwała Cypryjana Godebskiego», czytana na publicznem posiedzeniu Tow. Przyj. Nauk r. 1809». 9. «Korespondencya w materyach obraz kraju i narodu polskiego rozjaśniających» (Warszawa 1807. Listy Szaniawskiego znajdują się tu obok listów Horodyskiego, Nejmana i kilkudziesięciu innych, nadesłanych do «Gazety Warszawskiej»). W «Pielgrzymie» Ziemięckiej w r. 1842 umieścił Szaniawski «Przygotowane uwagi do filozofii polemicznej w czasopismach polskich», oraz «Prawdy najwyższe, Synteza». On był jednym z tłómaczy Rulhière'a «Historya bezrządu w Polsce» (1808; wyszedł tylko I-szy tom). Prócz tego sam Szaniawski we wstępie do «Rad przyjac.» wymienia rękopis, p. t. «Historya pragmatyczna Logiki», który nie był drukowany. Miała też w rękopisie zostać Historya Legionów. »Pochwała Godebskiego» wydruk. na pocz. wyd. jego pism.

Co to jest filozofia? (1802)

(według pierwszego wydania).

Autor zwraca uwagę, że pismo to wypowiada myśli, które są oddawna przedmiotem badania filozofów niemieckich, a które on podaje rodakom jako tekst do obszerniejszych wykładów.

Filozofia jest to miłość mądrości. Mądrością jest «posunione do najwyższego stopnia ogarnienie właściwych dla człowieka celów, drogi i środków, oraz natężenie woli, zwyciężającej wszystkie opory... ku udoskonaleniu». Zródło jej nie tkwi ani w zmyślności (zmysłach), ani w rozsądku i rozeznaniu, lecz w rozumie, który wydobywa szczególności z zasad ogólnych. Pod względem formy filozofia jest podciągnięciem wszystkich części poznawania pod jedną zasadę; pod względem treści składa się w widoku teoretycznym z metafizyki i fizyki, a w widoku praktycznym z prawa i polityki, «w najogólniejszym objęciu (pojęciu) uważanych». Obejmuje także formalną naukę logiki, oraz krytykę spekulacyjnego i praktycznego rozumu.

Po tem następuje:

§ 13.

Zagadnienie względem ostatniej zasady.

235) *Str. 23—26.* Filozofia owocem jest potrzeby, którą ma rozum, aby w poznawaniu i działaniu naszem wszystko ujednostajniał, wszystko pod pewne najogólniejsze podciągał widoki, wszystko ku główniejszym zwracał zamiarom. Potrzebę tę czuje człowiek tem mocniej, im liczniejszych nabywa wiadomości, których mnogość, wielorakość i rozmaitość systematycznego wymaga uporządkowania. Skoro natęży się w człowieku zmysł wewnętrzny; skoro ten niepojęty widz działań i postępów umysłu wyjdzie z owego ciągłego letargu, w którym jest pogrążony u ludzi, trzymających się ściśle w obrębie pospolitego rozsądku; skoro do baczniejszego nazwyczajonym zostanie czuwania: naówczas duch filozoficzny zaczyna przewodniczyć nabytkom umysłowym, nie przestaje już na żadnem trafunkowem gromadzeniu, na żadnej upstrzonej łataninie wiadomości; wszędzie wzajemnych śledzi stosunków, aby wiedział, co i ku którym zwracać ma celom; w każdym rzędzie skutków bada spólnej przyczyny, w każdym szeregu prawd i twierdzeń szuka spólnego pewności ich źródła. Każdy oddział wiadomości układa się tam w porządne genealogiczne drzewo; widać, skąd każda wychodzi cząstka, na czem się trzyma, dlaczego egzystuje, jakie ma wzajemne stosunki względem pobliższych części i względem całości, oraz gdzie jest spólne wszystkim źródło życiodajnych soków. Wprawiony takowem porządkowaniem, wprowadzonem co do każdego rodzaju wiadomości, nie ustaje odtąd człowiek w zaciekłem ku owej rozumowej

jedności dążeniu. Oddzielne poznań układy uważa, jak pojedyńcze ogniwa, i usiłuje spoić wszystkie w jeden porządny łańcuch. Ale im lepiej ta udaje mu się robota, tem bardziej oddala się od niego stanowisko odpoczynku. Cały ów łańcuch jest wówczas znikomem tylko dla niego zjawiskiem, póki nie znajdzie węgielnej opoki, do którejby początkowe przykuć zdołał ogniwo. Owa zadziwiająca koordynacya ustaw, skutków i przyczyn wszędzie dręczące przedstawia mu zagadnienia, póki w źrzódłowej wszystkiego przyczynie nie znajdzie pierwotnego punktu, od którego całe zaczyna się rozgałęziowanie i który tem samem wszystko wyjaśnia, a na miejsce pozorów i znikomości uspokajająco stawia rzeczywistość i trwałość. Wszelkie pojedyńcze prawdy, na których ta lub owa opiera się umiejętność, dają mu tymczasowe tylko ubezpieczenie; wszędzie on warunkową tylko pewność i zawisły byt upatruje: dlatego wtenczas dopiero zupełną znajdzie spokojność, kiedy przez odkrycie ostatniej i bezwarunkowej wszelkiego bytu oraz wszech prawd i poznań zasady nada ogółowi ich związek rzeczywisty i wiecznotrwały, właściwym dla siebie celom niemylne zjedna oznaczenie, widokom swym i nadziejom dotykalniejszą niezawodność. Dzieje postępów umysłowych przyświadczają na każdej karcie to, co dopiero powiedziałem i co jawnie dowodzi, że, im dalej kto posuwa prawdziwe w filozofii nabytki, tem żywiej czuć zaczyna potrzebę śledzenia owej ostatniej wszelkiego poznania zasady. Cała metafizyka dowodem jest dręczących wymagań rozumu, który zawsze posuwać się pragnie za granice własnych zdolności: w składzie ciał bada pierwotnego ich zawiązku; w bezmierności przestrzeni śledzi ostatnich jej zakresów; w następstwie czasów szuka chwil, toż następstwo ograniczających; od uwagi nad samowolnemi działaniami zapuszcza się w zgłębienie przyrodzenia działającej istoty; ogrom zjawisk i skutków oraz tajemnicę wszelkiego bytu wyjaśnić usiłuje przez odkrycie bezwarunkowego bytu źrzódłowej istoty, na której kończą się owe bezliczne warunków i pochodzeń szeregi.

Odkrycie tej zasady — mówi dalej autor — zabezpiecza rozwój dalszy filozofii; przebiega więc w kilku słowach dzieje myśli, jej szukającej; wskazuje dzieło Kanta, dającego «niezwrotny popęd ku gruntownym śledzeniom, od których zawisło uszczęśliwienie rozumu i serca uspokojenie».

§ 15.

236) *Str. 30—32.* Ubezpieczenie tej ostatniej zasady zostanie podobno upokarzającem na zawsze zagadnieniem, którego rozwiązaniu ograniczenie własnych naszych zdolności nieprzebytą zastawia tamę. I pod tym więc względem filozofia, uważana jako systematyczna całość, architektonicznie uczłonkowana, a na jednym widocznie obwarowanym oparta węgle, ukazuje nam się znowu (§ 3), jak niedosięgłe *Ideale*, do którego zbliżać się tylko coraz więcej możemy. Ciągłe ku niemu dążenie rzeczywistą jest potrzebą rozumu, który w samem jego tworzeniu zadziwiającą ukazuje wyższość. *Ideale* to musi być niedosięgłem, by postępujący ku niemu umysł w ustawnem trzymało natężeniu; aby, posuwając przed nim coraz dalej ów kres szlachetnego ku udoskonaleniu zawodu, otwierało mu coraz rozleglejszą przestrzeń umysłowych nabytków. Przez usilne, porządne i nieprzerwane takową drogą postępy uzupełniemy *[tak]* filozofię, jako umiejętność, symmetrycznie w swoich związaną częściach: takowa wystarcza do szczęścia i udoskonalenia naszego, chociaż nie czyni zadosyć wszystkim wymaganiom rozumu. Zaczyna ona od jednego punktu porządne części rozgałęziowanie, chociaż nie zdoła obwarować punktu tego przez jasne, umiejętne i niezawodne jego objęcie. Wszelki byt jest tyle tylko rzeczywistym względem nas bytem, ile się o nim przez władzę poznawania przeświadczamy: w nas więc samych jedynie znajduje się ostatnia probiernia bytu i prawdy; niepodobna nam jest posunąć się za obręb subjektywnej niezawodności. Tam upatrywać należy punktu pierwotnego, od którego zaczynać się ma wywód prawd, wiążących poznania, składające całość filozofii. W widoku praktycznym mamy wszystko, czego nam do uzupełnienia tej budowy potrzeba; sama tylko przewrotna chęć może dyalektyczne wykrętarstwa przenosić z pośród szkoły na rzeczywisty teatr działania w społeczeństwie. Ten praktyczny kierunek poprowadzi nas niezawodnie ku właściwemu dla rodu ludzkiego celowi; znajdziemy nawet wszelką na tej drodze pomoc do udoskonalenia naszego w teorycznym *[tak]* względzie. Ale trzeba, by duch filozofii ożywiał zawsze wszelkie nasze postępy: inaczej ani

w poznaniach, ani w działaniach naszych nie będzie owego ujednostajniającego dążenia, które każdej rzeczy nadaje siłę, związek i doskonałość.

«Minęliśmy epoki fantazyi, zmysłowości — mówi w ostatnim § 16 autor — świta zorza rozsądku, a głos geniusza zwiastuje dobę prawdziwego światła. Do czcicieli filozofii należy zbliżyć ją. We śnie tylko żyjemy, dopóki postępy filozofii nie obudzą w nas zmysłu wewnętrznego, nie ukażą czczości wielu nauk, nie otworzą widoku bezgranicznego doskonalenia».

Opracował WŁ. M. KOZŁOWSKI.

XXXIX.

JAROŃSKI FELIKS

(1777—1827).

Należał, wraz z J. K. Szaniawskim, do rządu pierwszych uprawiaczy filozofii Kanta u nas. Wykształcenie wyższe otrzymał w Akademii krakowskiej. Był proboszczem kościoła Wszystkich Świętych w Krakowie. Po przyłączeniu Krakowa do Księstwa Warszawskiego w r. 1809 został profesorem filozofii w Uniwersytecie krakowskim, gdzie wykładał do r. 1818. W roku następnym objął katedrę profesora teologii w seminaryum w Kielcach.

Pierwszem pismem drukowanem Jarońskiego jest «Kazanie na dzień Niepokal. Pocz. N. Maryi Panny, miane w kościele kolegiaty lwowskiej» (1800). We dwa lata potem (6 czerwca 1802) wygłosił w Krakowie «Kazanie teologa Polaka do filozofów», w którym zalecał łączenie dogmatów religii objawionej z wynikami badań filozoficznych. W r. 1810 miał «Mowę na dzień obchodu imienia Najjaśn. Fryd. Augusta, króla saskiego, książęcia warszawskiego», — a w d. 15 paźdz. tegoż roku czytał na publicznem posiedzeniu Akademii krakowskiej obszerną rozprawę, p. t. «Jakiej filozofii Polacy potrzebują?» (Kraków 1810). We dwa lata potem Jaroński wydał dzieło swe: «O filozofii» (Kraków 1812), które oparł w znacznej części na dziele kantysty G. E. Wentzel'a «Elementa philosophiae methodo critica adornata» (1807). Składa się ono z trzech części: I. «Wiadomości o filozofii w powszechności». II. «Logika» i III. «Przypisy i objaśnienia do logiki». (Rozbiór tego dzieła przez Dowgirda w «Dzienniku Wileńskim» 1817). W pismach swych filozoficznych Jaroński największy nacisk kładł na stronę etyczną. Chociaż zwolennik Kanta, był jako filozof eklektykiem. Z późniejszych pism Jarońskiego zaznaczyć należy rozprawę «De Michaele Vratislaviensi» (w «Miscellanea Cracoviensia» 1814).

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA. O Jarońskim pisali: Krupiński w «Dodatku» do «Historyi filozofii» Schweglera (Warszawa 1863,

str. 391—393); Struve w «Wykładzie systematycznym logiki» (Warszawa 1870, str. 201—204); Chmielowski w «W. Encyklop. Powsz.» T. XXXII.

Jakiej filozofii Polacy potrzebują?

(Kraków 1810).

Po krótkiej przedmowie o uczczeniu dnia tego wykładem o filozofii autor przypomina stan filozofii w dawnej Akademii krakowskiej, sławnych mężów, których na tem polu wydała. Komisya Edukacyjna w r. 1781 zniosła katedrę logiki i metafizyki, a zachowała tylko filozofię moralną, pod nazwą prawa natury, politycznego i narodów. Było to skutkiem zniechęcenia do scholastycznego kierunku metafizyki, a po części i przeniesienia logiki do szkół wydziałowych. Po r. 1795 rząd austryacki utworzył w Akademii katedry logiki i filozofii spekulacyjnej, a jednocześnie postanowił, że każdy przystępujący do nauk wyższych, medycyny, teologii lub prawa, musi posiadać dostateczne wiadomości z filozofii. Podajemy poniżej jeden z najcharakterystyczniejszych urywków: o ostatnich granicach rozumu, oraz o zadaniach i podziale filozofii.

237) *Str. 28—34.* Co się zaś tyczy ostatnich granic rozumu ludzkiego, każdy zna, że powinnością jest rozumu robić pojęcia, czyli dostarczać wiadomości.

Wiadomości, czyli pojęcia, pożyteczne są człowiekowi wtenczas tylko, kiedy są zastósowane; więc filozofia swe wiadomości zastosować powinna do pewnych i oznaczonych granic rozumu, i to do granic ostatnich: bo filozofować nie przestaje filozof, poki wszystkich granic filozofii nie przejdzie; te zaś granice muszą być dla rozumu ostatnie. A któreż one są? oto:

1. Niech człowiek to tylko chce wiedzieć, co objęcia ludzkiego nie przechodzi.

2. Niech człowiek to, co umie, zastosowywa do większego siebie doskonalenia, to jest do zrządzenia sobie większej moralności i szczęścia.

Otóż to, co nazywają *Maxima suprema hominis*, tak można powiedzieć: «Człowiecze, usiłuj poznać to, co rozum twój poznać może, i stosuj to, co poznałeś, do tego zamiaru, abyś moralnie dobrym, a przez to szczęścia godnym stał się».

Czem jestem? co mogę wiedzieć? czego się mam spodziewać? co mi czynić wypada? oto są pytania, na które filozofia każdemu odpowiedzieć powinna.

Nie obrażając więc prawdy, a dogadzając wielkiej liczbie

współrodaków naszych, możemy taką definicyę filozofii dla Polaków uczynić: «Filozofia, czyli umiejętność wstępna, jest wykład porządny wspólnych wszystkim umiejętnościom wiadomości, jakich tylko rozum ludzki dojść może, pozbieranych, dla czynienia człowieka lepszym i szczęśliwszym».

Z tej definicyi każdy widzi, że dwojako zamiar filozofii wypada podzielić: chce bowiem

a) rozum ludzki czynić zdolnym do czerpania w samym sobie wiadomości i prawd;

b) wolę naszą i sprawy nasze wolne do moralnej doskonałości doprowadzać, to jest: filozofia usiłuje zwiększać zdolność umysłu i moralną dobroć człowieka.

Ile ma zamiar uiszczać pierwsze usiłowanie, to jest: ile pracuje nad udoskonaleniem człowieka, jako pojmującego i używającego swego rozumu, jest teoretyczną; gdzie zaś zatrudnia się udoskonaleniem woli i moralnej dobroci człowieka, tam się zowie praktyczną.

Mówiąc jednak, że filozofia podziela się na doskonalącą rozum, czyli teoretyczną, i doskonalącą wolę, czyli praktyczną, nie twierdzimy, że dwie są filozofie, lub że ich więcej nad jedną być może. Jeden tylko umysł, jeden rozum, więc i filozofia jedna tylko może bytować. Lecz użycie rozumu jest dwojakie: jedno gdy poznajemy tylko i myślimy, drugie gdy wolę naszą działaniem wyjawiamy. To ostatnie praktycznem, tamto teoretycznem nazywamy. Pierwsze umiejętności pojmujące, drugie moralne urodziło.

Otóż widzimy, że pod dwojakim względem uważać filozofię musimy. Otóż doszliśmy już myśli tych, co ją na spekulatywę *[tak]* i moralną rozdzielili.

Na pytania: czem jestem, co mogę wiedzieć, czego się mam spodziewać? — odpowiada filozofia teoretyczna.

Na pytanie: co mi czynić wypada? — odpowiada filozofia moralna. Filozofia teoretyczna te w sobie zawiera nauki, które bezpośrzednio umysł ludzki mają za przedmiot, które wglądają w prawidła myślenia i poznawania, które wykładają władze i siły, człowiekowi od przyrodzenia dane.

Do niej należy: *a)* logika, *b)* metafizyka natury, *c)* historya filozoficznych systematów.

Filozofii praktycznej przedmiotem jest czynienie woli lepszą, szlachetniejszą, użyteczniejszą; do niej więc należą nauki: *a)* metafizyka obyczajów, *b)* prawo filozoficzne, czyli natury, *c)* wprawa roztropności.

Innemu czasowi, innem *[tak]* okolicznościom zostawione być musi wykazywanie, w jakim najlepszym układzie, w jaki sposób każda z tych nauk byćby napisaną i uczoną powinna. Są to przedmioty, mające zatrudniać gorliwych o użyteczność kraju swego i uczonych rodaków. Ja w tych momentach najdogodniej obecną tutejszą zajmę się potrzebą, gdy okażę, że te nauki koniecznie w naszym narodzie ojczystą mową dawane być powinny.

Opracował WŁ. M. KOZŁOWSKI.

XL.

SIARCZYŃSKI FRANCISZEK

(1758—1829).

Wyszedł z rodu oddawna osiadłego w wojew. Ruskiem; ur. d. 12 paźdz. 1758 r. w Hruszowicach (nie *Ch*ruszowice) w ziemi Przemyskiej, w dzisiejszym pow. Jarosławskim, jako syn Ludwika Siarczyńskiego, podczaszego nowogrodzkiego i szambelana St. Augusta. Bratem jego starszym jest Antoni, sekretarz Wielkiego Sejmu w zdwojonym składzie. W dzieciństwie uczył się Franciszek w Jarosławiu. W 15-m roku życia złożył śluby religijne, przywdział sukienkę pijarską i wszedł do nowicyatu podolinieckiego; po dwu latach został zakonnikiem. Dokończył nauk w Rzeszowie i Międzyrzeczu Koreckiem i, obyczajem zgromadzenia Szkół Pobożnych, odrazu nauczał klasy niższe. Po odbyciu teologii w Krakowie, w r. 1781, otrzymał dnia 5 kwietnia 1783 r. od Kaspra Cieciszowskiego w Warszawie święcenia kapłańskie. Już w r. 1782 wykładał w *Collegium Nobilium* geografię i historyę i wykłady te przez trzy lata prowadził. W r. 1785 zwierzchność przeniosła go do Radomia na nauczyciela wymowy, ale już po roku zabrała napowrót do stolicy na stanowisko kaznodziei *(concionator)* w głównej świątyni pijarskiej; jednocześnie miał nauczać wymowy w kollegium. Dał się był już wtedy poznać z działalności piśmienniczej; korzystano z jego przekładów książek geograficznych i historycznych, a polemika ze współ-pijarem, Michałem Dym. Krajewskim, o «Podolankę», napiętnowaną przez Siarczyńskiego w «Liście Paryżanki» jako plagiat, nadała mu nawet rozgłos. Musiał być też mówcą nieostatnim, jeżeli w czasach, kiedy Kniaźnin, Piramowicz i Koblański byli umysłowymi przewodnikami młodzieży w Puławach, sprowadzano go tam umyślnie na niektóre święta i niedziele, aby się słowem bożem z ust jego pożywić. Król zaprosił go do siebie, wprowadził w świat obiadów czwartkowych, a pochopny do otaczania się

sekretarzami, zaczął go używać do robót głową i piórem. Wkrótce, przekonawszy się o jego pracowitości, pilności, porządku i sporym zasobie wiadomości, skorzystał z pociągu jego do historyi i zlecił mu opracowanie wyczerpującego referatu w tej samej sprawie, w której widzieliśmy Czackiego wysłanego aż do Mołdawii: w sprawie soli, za którą kompania pruska w Wieliczce niemiłosiernie obdzierała Rzplitą. Siarczyński opracował memoryał, noszący charakter przeważnie praktyczny, z taką starannością, że król nagrodził go medalem *merentibus*, a zachęcony dobrym początkiem, zajął młodego zakonnika wyszukiwaniem w metryce koronnej i w archiwum zamkowem wszelkich umów z obcemi mocarstwami, od wstąpienia swego na tron zawartych: w dobie palących jeszcze układów z Prusami o traktat handlowy i traktat polityczny (1789—90) zbiór taki miał ułatwić dyplomacyi polskiej niełatwe rokowania z Lucchesinim i Goltzem. I z tego nowego zadania wywiązał się Siarczyński dobrze: miał już za sobą pracę podobną, choć nie tożsamą, kiedy wydawał trzy tomy pijarskiego zbioru traktatów (1790). Podczas Wielkiego Sejmu okazał się królowi z innej jeszcze strony użytecznym: posiadał wprawę w szybkie, skrócone pisanie, jakby stenograficzne; korzystał z niej St. August, kiedy miał Siarczyńskiego pod ręką, posyłał go na ważniejsze posiedzenia i kazał mu spisywać mowy przedstawiające szczególną wagę. Takim sposobem znalazł się użyteczny człowiek w sali sejmowej dnia 3 maja 1791 r. i mógł dać od siebie dotychczas najlepszy, źródłowy opis pamiętnej chwili dziejowej, uzupełniony jeszcze opowiadaniem o dniu 5 maja. Podobno nawet król zlecił mu opracowanie historyi konstytucyi od pierwszych początków; ale zamiar ten, jeśli był, nie urzeczywistnił się.

Już wtedy Siarczyński nie nosił sukni pijarskiej. W r. 1789 wysłany przez Prowincyę Polską na kapitułę generalną do Rzymu, wyrobił sobie u Piusa VI zwolnienie ze ślubów zakonnych, a zaledwie wrócił, król dał mu sute probostwo w swej ekonomii kozienickiej. Biskup poznański, Okęcki, dorzucił od siebie kanonię warszawską, a Krasicki warmińską. Nie zaniedbywał się na nowem stanowisku Siarczyński: był pasterzem rzetelnym, troszczył się o lud, nie pozwalał go wyzyskiwać, założył dla niego szkółkę parafialną i szpital. Po r. 1794 fundacye te zniszczały, a w samym tym roku probostwo wraz z całemi Kozienicami poniosło wielkie straty podczas łupieżczego odwrotu gen. rosyjskiego Nowitskiego po dniach kwietniowych z pod Warszawy. Wkrótce potem zawitał Siarczyński do stolicy, a po ustanowieniu Rady Najwyższej (d. 28 maja) zupełnie się do niej przeniósł, aby z polecenia władzy rządzącej powstaniem redagować «Gazetę Rządową» (od 1 lipca) wespół z Dmochowskim.

Po upadku powstania proboszcz kozienicki dolegliwie odczuwał ówczesny nacisk cudzoziemski w świeżym zaborze austryackim; to też, korzystając ze stosunków, wyrobił sobie bez trudu, przy dobrej woli Elżbiety Lubomirskiej, inne probostwo, już w Galicyi, w Łańcucie

(9 września 1799 r.). Tu zastał go już ostatni rok XVIII stulecia; ale świetne i huczne życie dworskie, chociaż różniło się od gospodarki Austryaków w Nowej Galicyi, tak samo przecież spokojnie pracować nie pozwalało. Chciał się więc jak najprędzej wyrwać z Łańcuta; udało się mu to jednak dopiero w r. 1804: otrzymał probostwo kollegiackie w Jarosławiu Czartoryskich. Tu, mając pod bokiem Sieniawę, bywał często i pracował w tamtejszym księgozbiorze i archiwum, podejmowany szczerze przez księcia-generała i nawzajem dochowujący mu życzliwości. Bliższe też stosunki łączyły go z biskupem przemyskim, Antonim Gołaszewskim. Obu ich odprowadził do grobu.

Przez 22 lata pobytu w Jarosławiu Siarczyński gromadził z wielką pilnością wiadomości historyczne o Polsce, śladami Łojki i Wyrwicza poszukiwał faktów z geografii i statystyki, przyczem oddawał się głównie epoce Zygmunta III. Większy zbieracz niż badacz, ale oczytany, oryentujący się należycie w przeszłości i w źródłach wiedzy o niej, zdolny przytem własnym ją umysłem wyrozumiewać, a nadewszystko miłujący papier archiwalny i książkę — zyskał sobie takie imię, że po skonie Ossolińskiego ks. Henryk Lubomirski wezwał go na dyrektora zbiorów przywiezionych z Wiednia (1827). Siarczyński wezwanie przyjął, przeprowadził się do Lwowa i czynność swą rozpoczął od doglądania budowy przyszłego Ossolineum. Odrazu podjął wydawnictwo organu instytutu («Czasopism»). Na tem samem miejscu, na którem zastał zwalone na kupę zabytki przeszłości, zaczął je porządkować, przeglądać, czytać i wyciągami z nich pomnażać swe pliki, teki i koperty. Wydobywając nowe rękopisy do druku, z dawniejszych zasobów własnych wydrukował, teraz dopiero, dwutomowy słownik z czasów Zygmunta III. Za całą działalność dotychczasową Towarz. Naukowe krakowskie zamianowało go swym członkiem (1828); przyjacielem nauk przybranym był już od pierwszych lat istnienia towarz. warszawskiego. Spotkał go też i zaszczyt pseudo-polityczny: po otrzymaniu kanonii w Przemyślu został z wyboru duchowieństwa miejscowego deputatem na sławetne Stany Galicyjskie.

Przejęty czcią do przeszłości ojczystej i zajęty ogłaszaniem wydobywanych o niej świadectw, marzący o wielkim słowniku wszystkich znakomitszych i wyższych ludzi w narodzie od początku jego historycznego życia, przywiązujący się coraz mocniej do «Czasopisma», pragnący Zakład postawić na stopie rzeczywistej oficyny światła dla tych, którzy go szukają — pełen jeszcze wiary w swe naukowe jutro — nagle zmarł dnia 7 listopada 1829 r.

Praca jego życia, choć nie naukowa, była jednak i jest do dziś dnia użyteczną, o ile się z niej korzysta krytycznie: niebezpieczny dla terminatorów, pożytecznym jest dla majstrów historycznego rzemiosła. «Czasopism», który założył, umiał utrzymać na wyżynie przyzwoitej, a z własnej pracy w ciągu dwu lat dostarczył mu przeszło dwadzieścia opracowań. Nie umieli myśli twórczej uszanować bezpośredni następcy, a w r. 1834 rząd austryacki, zamykając sam zakład, pasmo istnienia

jego organu piśmienniczego przeciął. Dopiero Adam Kłodziński wskrzesił wydawnictwo Siarczyńskiego w «Bibliotece», równie jak ono poważnej.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE. I. Pisma Siarczyńskiego drukowane: A) Geografia: 1) «Geografia czyli opisanie naturalne, historyczne i polityczne krajów i narodów we czterech częściach świata... z dołącz. geografii astron.» (Warszawa 1790—4, 3 t. 8⁰ min. T. IV, o Polsce, i 2 końcowe nie wyszły. O zaborach pierwszego i drugiego rozbioru T. II str. 540, III str. 684). 2) «Wiadomość historyczna i statystyczna o mieście Jarosławiu» (Lwów 1826; XIV, 144 str. 8⁰). 3) «Opis pow. Radomskiego» (Warszawa 1847; wyd. Lipiński T.; wzmianka biograficzna). 4) «Słownik hist.-statyst.-geogr. Galicyi» (T. I; Lwów 1855, dod. do «Gaz. Lwowskiej»; dalsze tomy nie wyszły). 5) «Galicya, jej ziemia, płody i ludy» (tamże 1857). — Przekład: «Dykcyonarz geograficzny, po ang. napis. przez p. Echarda, po franc. przez K. Vosgien, z 8-ej ed. franc. ..... z umieszczeniem wielu miast i prowincyi polskich» (Warszawa 1782, 3 t.). — B) Historya: 6) «Traktaty między mocarstwami europejskiemi od r. 1648 zaszłe» (T. IV—VI; Warszawa 1790). 7) «Dzień Trzeci Maja 1791 r.» (Warszawa 1791; 1 knlb. przedmowa, str. 1—260, 16⁰; wyd. bezimienne; jest tu i d. 5 Maja; wkońcu błogosławieństwo Piusa VI dla Rzplitej z d. 8 czerwca 1791 r.). 8) «Trakt. konwenc., handlowe i graniczne, wszelkie publ. umowy między Polską i obcemi państwami od r. 1764 do 1791» (tamże 1793, 3 t.). 9) «Obraz wieku panow. Zygm. III, czyli obraz stanu narodu i kraju, wystawiający obyczaje, nauki, prawa i prawodawstwo, swobody szlachty, obieralność królów, swawolę możnowładzców, czyny duchowieństwa, stan wojska, handlu, rolnictwa, rzemiosł; pobory, monetę; ludzi znamienitych w obywatelstwie i rycerstwie, w naukach i sztukach; związki z państwami obcemi; przymioty i dzieje osobiste króla i jego rodziny: zgoła wszystko, co do dokładnego obrazu wieku tego należy» (2 t.: I: Poznań 1843; XI, 337 str., 8⁰; II: tamże 1858; 404 str., 1 knlb. spis. 8⁰ maj. Przed T. I. życiorys, wykaz druków, rzeczy w «Czasopiśmie» 1828—9 i rękopisów w Ossol. Wyjątek z T. II. p. t. «Wojsko polskie za Zygm. III w «Oręd. nauk.» 1843, nr. 36—8). 11) «Czasopism naukowy księgozbioru publicznego imienia Ossolińskich» (Lwów 1828—9; 8 zeszytów). — Przekład: Raynal «Historya polit. rewol. ameryk.» (Warsz. 1783). — C) Różne: 12) «Uwaga na koszta pogrzebowe w Wiedniu» (Wrocław [Kraków] 1781, 20 str., 8⁰. Por. w T. I «Stu lat» Wybicki, część I; Bibliografia). 13) «Sztuka ogrodnicza...» (Kraków 1780, wyd. 4-e Łuck 1803, 5-e Kraków 1819; ob. Estr. «Bibl. XIX w.»). 14) «List Paryżanki do Podolanki, czyli oryginał do kopii» (b. m. i r. drk. [Warszawa 1784]; knlb. 7. 8⁰ min.; wyd. 2-e b. m. i r.). 15) Rozbiór rozpraw Trzcińskiego, prof. Akad. krakowskiej («Zakus nad zaciekami Wszechnicy Krakowskiej» Dmochowskiego; Warszawa

1788). 16) «Krótka fizyczna i historyczna wiadomość o soli» (Warsz. 1788). 17) «Pochwała Stan. Szcz. Potockiego» (Warszawa 1789, drk. pij.; 43 str., 16°; rzadka). 18) «Mowa żałobna na śmierć J. O. ks. Adama Kaz.... Czartoryskiego... przy wyprowadzeniu zwłok jego... dnia 25 marca 1823 r. w Sieniawie» (Lwów 1823; 16 str., 12°). 19) «Kazanie pogrzebowe na śmierć Gołaszewskiego... d. 30 kwietnia 1824 r. miane» (tamże 1824). 20) «Nowy kalendarz czyli Świętnik lwowski... r. 1829» (Lwów; 12°). 21) Rozprawki, recenzye, wiadomości w «Pszczole»; «Rozmait.», dod. «Gaz. Lwow.»; «Pątniku». 22) «Krótki katechizm». 23) «Kazania, wyd. z pozostałych rękopisów» (Lwów 1832). — Przekłady: «Zgodność i różność między wschodnim i zachodnim Kościołem rzymsko-katolickim. Dzieło Józefa Hermana Schmitta, kapelana w Lohr przy (!) Aschaffenburgu, po niemiecku napisane, a przez Fryd. Schlegela wydane, przełoż. i przekształcone po polsku... z różnemi ważnemi jego dodatkami i wydawcy» (Warszawa 1831; 533, XXIX str., 8°; wydawca Błażej Gutkowski, którego Estreicher błędnie uważa za biskupa podlaskiego Marcelego Gutkowskiego). «Listy moralne» (z niem. przekł. oryg. angielskiego; Kraków 1788, Grebl; wyd. 4-e, tamże 1808, 2. t. 8°).

Nr. 6—8, 12—17, jakoteż przekłady: «Dykcyonarz geogr.», «Hist. polit. rewol. amer.» i «Listy moralne» za życia autora wychodziły bezimiennie.

II. Rękopisy. Oprócz wydanych pod nr. 3—5, 10 i 23 Siarczyński pozostawił bardzo wiele zasobów i rzeczy opracowanych — wszystkie w Ossolineum («Katalog» Kętrzyńskiego T. II i III). W «Czasopiśmie» na r. 1830 wymieniono z większych: «Słown. hist.-statyst.-geogr. król. Galicji» T. II i III; «Dzieje narodu i kraju Rusi Czerwonej»; «Obraz wieku panowania» (nr. 9, słownik) urosły do 6 tomów; Zasoby do słownika znakomitych Polaków wszystkich wieków; 28 rozpraw i wiadomości, przygot. do druku, m. in. «O cenzurze duchownej», «O inkwizycyi», «Swobody i wole», «Klasztory bazyliańskie w Galicyi», «Ordynacya Ostrogska», «Sławianie, nie Słowianie»; «Biskupstwo bakońskie wołoskie». Przezorne korzystanie dostarczało dotychczas pisarzom historycznym, np. Szajnosze, wielu wiadomości i wskazówek.

Jedyną rzetelną wiadomością o Siarczyńskim jest krótki życiorys w «Czasopiśmie księgozbioru im. Ossolińskich» na r. 1830, zeszyt I.

«Obraz wieku panowania Zygmunta III»

(wyd. pośm. T. I r. 1843; T. II r. 1858).

Niezwykle obszerny tytuł wyłuszcza jak najdokładniej zawartość (Bibliogr. nr. 10). Dzieło ogarnia całe życie polityczne, narodowe i społeczne; ukazuje lub usiłuje ukazać czytelnikowi nietylko rząd i państwo, ale oświatę, kulturę, przemysł, handel, obyczaje, zwyczaje, sposób życia —

wszystkie funkcye zbiorowego jestestwa. Nie jest to historya, bo niema tu ciągłego a przewijającego się ruchu; jest raczej opisanie stanu z 45-u lat w jedną jakby chwilę ściśniętych. Na wielką, zbyt wielką formę zamało było materyi w faktach, nie w wiadomościach, zamało też zespalającej je siły w samym autorze. W założeniu swojem nie kusił się on o dzieło pragmatyczne; chciał napisać tylko dokładne, ale kanonu tego nie wszędzie dotrzymał. Wszelako miłość prawdy w drodze mu przewodniczy: choć sam ksiądz, surowo sądzi duchowieństwo; choć monarchista, wywyższający Zygmunta III, błędy polityki ostro mu wytyka; tylko tam, gdzie mówi o różnowierstwie, z pod historyka wydobywa się ksiądz z mgłą na oczach. Panującą ideą w dziele jest zmarnowanie wielkiej chwili dziejowej: stąd gniew, stąd namiętny tok opowiadania. Możnowładztwo spotyka w autorze nieubłaganego sędzię, ale z jego wyroków gminowładztwu nie dostaje się żadna okoliczność łagodząca — i na obie te żywiołowe moce spada jednakowe potępienie: winną jest i poruszana przez wichry fala. Szczególną nienawiść odczuwa Siarczyński do rokoszu; w umysłach szlachty widzi go nieprzerwanie i w czasach wolnych od wojny domowej. Zajmujący, rzadko gdzie spotykany, jest rozbiór polityki zagranicznej (T. II, str. 238—360). Zestawiony ze słodkim Niemcewiczem, Siarczyński wydaje się dla przeszłości okrutnym.

Z rozdziału V: Wolna obieralność króla, swobody szlachty, przewaga możnowładzców.

238) *T. I, str. 249—51.* Nie był wybór Zygmunta III ani porządny i podobno ani prawny. Czyliż nie zajmowały wojska orężne miejsca narodowego zjazdu? Nie byłyż warowne obozy, lud do boju gotowy? Nie dowodziłyż przekupstwa rozproszone po rękach szlachty austryackie talary? Jakiż poczwarny rząd w bezkrólewiu losem narodu władał? Pilna zaradzenia potrzeba wymagała ustawy. Sejm r. 1588 zamysł swój o tem do dalszego czasu odłożył. Znowu 1589 r. rzecz na stół przyszła. Z różnemi zdaniami sejmujący słyszeć się dali. Ci, co w tej mierze rej wiedli, byli prymas Karnkowski i kanclerz Zamojski. Prymas kładł za najpierwszy warunek, aby król wiarę tylko rzymsko-katolicką wyznawał. Zamojski utrzymywał, że dosyć było wyrazić, aby był katolik. Okrzyknął go, jako podejrzanego, Karnkowski i zbijał zastrzeżenie, które kanclerz umieszczone mieć żądał, aby książęta austryaccy od korony polskiej uchwałą sejmu za wyłączonych uznani zostali. Spory stron rzecz tak zbawienną znowu w odwłokę puściły. Zamojski jednak swego na sejmie następnym dopiął.

Chęć prześladowania króla, połączona ze zbytkiem troskli-

wości o zachowanie narodowi zupełnie wolnego wyboru, z podejrzeń samych, niepewnych powieści plotki na Zygmunta roznosiła, wmawiała obawę o stratę wolności, potrzebę zabezpieczenia ich przez nowe sejmu uchwały tworzyła. Takowa roku 1593 w tym sposobie stanęła: «Acz swobody Narodu Polskiego niewątpliwie są i wszemu światu jawne, jednak podług ustawy na wyborze Henryka zapadłej, każą stany, że król ani następcę mianować, ani oń się starać, ani nikomu ustępować mocen nie jest, pod nieważnością czynności całej; pod karą, ktoby się tego ważył lub do tego pomagał, jako na zdrajcę Ojczyzny». Dodaje zaś: «które prawo wiecznymi czasy ma być świątobliwie zachowane i, ktoby je w wątpliwość przywodził, ma być mian i karan, jako zdrajca». Jakby na tem zabezpieczeniu nie dosyć było, nie przestano trwożyć narodu, siejąc płonne wieści, iż Zygmunt o ustąpieniu tronu polskiego zamyśla, iż zmowy takowej z domem Rakuskim pewne dowody odkryto... Nie będę powtarzał, co w tej mierze obszerne dzieje nam Zygmunta podały. Tu do mej rzeczy należy, że znowu r. 1607 rokosz Zebrzydowskiego wymógł na królu to uroczyste oświadczenie, że, jak dotąd naród Polski miał zawsze wolną obieralność królów, tak ją i teraz ma i mieć powinien.

Nikt tak na własną zgubę się nie usadził, nikt do niej tak nagle i pilno nie dążył, nikt się właściwiej mniemanem szczęściem nie zgubił. Ocalając szlachta tą ustawą tyle cenioną wolność wyboru, podała na szwank powagę i władzę króla, kiedy warunek, uwalniający naród od posłuszeństwa królowi, gdyby zarzeczone przyrzeczenie złamał, tak wątpliwymi okryślono *[tak]* wyrazami, iż się stał niezrozumiały *[tak]* i domysłom podległy. Smutny to był widok i razem oburzający, kiedy król do potrzeby usprawiedliwienia się przeciw zuchwalcom, budującym na podejrzeniach zarzuty swoje, przeciw możnowładzcom, chodzącym w zapasy z władzą tronu, przeciw rokoszanom, podnoszącym broń buntowniczą na panującego, przywiedzionym został.

Na zjeździe sejmowym 1607 r. wpośród zgromadzenia senatu i posłów, wobec licznego ludu przy drzwiach otwartych izby sejmowej, iż każdemu wnijść i słuchać wolno było, mówił król głośno, że zarzuty nieprzyjaciół jego są czystą potwarzą, jakoby podkopywał swobody narodu. «Pomny na swą przysięgę

i powinności, zawsze je dopełniać, wolności nie zmniejszać, ale pomnażać i utrzymywać będę. O tem i sami pewnymi bądźcie, i braci, myślących inaczej, zapewnijcie». Tu dalej mówić łzy nie dozwoliły. Warunek zaręczenia żądanego, od niechętnych i podejrzliwych sobie podany, król podpisał, a zatwierdzony pieczęcią koronną i litewską, do składu ważnych pism państwa oddał. Nie dosyć miano na tem: warunek rzeczony wciągniony do księgi ustaw sejmowych... [*Vol. leg.* II 1596; por. 1595].

Opracował S. KRZEMINSKI.

XLI.

SUROWIECKI WAWRZYNIEC

(1769—1827).

Urodzony w roku 1769 pod Gnieznem. Ojciec, drobny i zbiedniały szlachcic, nie mógł sam zapewnić mu pierwszego wykształcenia; po dojściu dziecka do lat szkolnych zaopiekował się niem znacznie starszy (ur. 1750) brat Karol, już wówczas ksiądz, późniejszy słynny reformat, obrońca i apostoł kościoła średniowiecznego. Ten, przeprowadziwszy chłopca przez szkoły początkowe, oddał go do seminaryum misyonarskiego w Warszawie; ale trzechletnia nauka (1788—91) nie urobiła Wawrzyńca na alumna stanu duchownego, a sama wątłość zdrowia ułatwiła mu wydostanie się z narzuconego przez opiekuna zawodu. Wiadomości nabyte w seminaryum niewiele zwiększyły wiedzę z dopadkowego czytania książek: zyskał trochę łaciny i historyi, jednym ciągiem już wykładanej; czas był stracony, a podstawy wykształcenia słabe i błędne. Surowiecki wszystko, czem później się odznaczył, zawdzięczył, tylko samouctwu, bo na systematyczną naukę nie pozwoliła mu bieda.

Biograf jego, Bentkowski, pisze, że «po trzykroć chwytał się zawodu wojskowego, ale zawsze nie mógł przywieść do skutku». Możnaby to rozumieć tak, że w latach 1792 i 1794 wskutek jakichś przeszkód, choć chciał, nie mógł walczyć za upadającą ojczyznę, a po jej upadku zamyślał o służbie w legionach. W roku 1795 znalazł się we Lwowie i tam przez trzy lata pracował w redakcyi jakiegoś pisma peryodycznego. W latach 1795—7 we Lwowie wychodziły: «Dziennik patryotycznych polityków» i «Zbiór pism ciekawych»»; w nich przeto mógł Surowiecki zarabiać na chleb; dla chleba też dokonał przekładu, wyszłego w roku 1796. Pod koniec zaprzeszłego stulecia, szukając środków utrzymania, podjął się nauczycielstwa domowego u podkomorzyny Stroynowskiej, od niej przeniósł się do Szczanieckich w Wiel-

kopolsce i został ochmistrzem Ludwika, późniejszego pułkownika, jednego z blizkich Dąbrowskiego przed skonem i autora znanych pamiętników. Wyjechawszy z wychowankiem do Drezna, sam tu kształcił się w historyi i prawie.

Autobiografia, spisana dla Tow. Przyj. Nauk w Warszawie, opiewa, że «biadając nad stratą ojczyzny, postanowił napisać dzieło, wystawiające rzetelny obraz historyczny Polaków» i oddał się pracy tej w Dreźnie 1802 r., ale gdy spostrzegł, że nie mógłby zadania spełnić «bez wykrycia winy samych Polaków», powzięty zamiar przeniósł na dzieje pierwiastkowe w okresie jeszcze ogólnie-słowiańskim, co z konieczności doprowadziło go do badania początku Słowian w Europie. Niewątpliwie do takiego skierowania się energii umysłowej dopomogło świeże zaznajomienie się z pomnikowemi badaniami Jana Potockiego. Wieloletni pobyt w Dreźnie, pilność, porządek i sumienność, przy wskazówkach Niemców, uprawiających naukę, pozwoliły Surowieckiemu nabyć poważnej już wiedzy historycznej, a nadto i rozjaśnić swe pojęcia o ustroju i życiu społecznem, ze strony zwłaszcza ekonomicznej, która wówczas głównie zajmowała społeczników niemieckich. Z Drezna pisywał artykuły i rozprawy tak o Polsce, jak i z zakresu wiedzy ogólnej do poważnych czasopism drezdeńskich i lipskich.

W roku 1806 powrócił w Poznańskie z myślą o podróży naukowej dla owego, wówczas jeszcze nie zaniechanego, dzieła potrzebnej; chciał jechać do Petersburga, Sztokholmu i Kopenhagi, a potem udać się na studya archiwalne do Niemiec i Francyi. Zawitał już nawet do Warszawy i stąd datował swój list z własnego doświadczenia «o wadach wychowania domowego»: sobkostwie, uniżoności wobec wyższych a pysze gnębiącej niższych, wreszcie niezdolności do rzeczywistego obywatelstwa. Zwycięstwo jenajskie zdmuchnęło zamysły. Nad światem, nad Ziemią Polską błysnęły zorze dnia nowego; ojczyzna Polaków miała byt polityczny odzyskać. Dnia 19 listopada 1806 roku na uroczystem przyjęciu deputacyi poznańskiej i kaliskiej w Berlinie Napoleon zapowiedział wskrzeszenie państwa polskiego: będzie więc Polska, choćby w znacznie szczuplejszych, niż niegdyś, granicach. W oswobodzonym od nieprzyjaciela zaborze pruskim zaczął się naród organizować politycznie. Chciał i Surowiecki uczestniczyć w zbiorowym trudzie i bez długiego namysłu życiu oddał pierwszeństwo przed badaniem naukowem.

W Warszawie jedna myśl poruszała wszystkich. Kto nie zaciągnął się pod chorągwie, kto nie wszedł do urzędu publicznego, ten, za przewodem Staszica, niósł sprawie odrodzenia pomoc publicystyczną. Z listów do jedynej wówczas «Gazety Warszawskiej» wytworzyła się obszerna «Korrespondencya», a w niej znalazły się także rady, uwagi i wskazówki Surowieckiego p. t. «Myśli w różnych materyach statystycznych», dotychczas, z wyjątkiem «Uwag», ze zbioru nie wydobyte. Jeszcze przed dekretem grudniowym 1807 r. Surowiecki, widząc jałowość słynnego art. IV Konstytucyi napoleońskiej: «*Le servage est*

aboli», podał w tych «Uwagach» całkowity projekt uwłaszczenia ludu wiejskiego za wynagrodzeniem dworów bądź pieniędzmi, bądź robocizną dobrowolnie umówioną; projektu nie przyjęto w kraju, dla którego był przeznaczonym, ale w roku 1823 Prusy nie jeden pomysł z niego przy urządzaniu włościan w Poznańskiem przejęły. Publicystyczna działalność zjednała Surowieckiemu zaszczyt: Towarzystwo Przyjaciół Nauk przybrało go w r. 1807 na swego członka; w roku 1812 został towarzyszem «czynnym». Świeżo powstałe Towarzystwo Nauk. Krakowskie nadało mu w roku 1816 godność członka honorowego.

Zaraz po traktacie tylżyckim został ceniony już człowiek urzędnikiem w sekretaryacie stanu przy królu w Dreźnie. Po roku zawiązane stosunki z Łubieńskim zapewniły mu urzędowanie w Warszawie, w ministeryum sprawiedliwości. W roku 1811 minister powołał go do wykładów w szkole prawa i administracyi; powołany wykładał statystykę. Po przekształceniu Izby Edukacyjnej na Dyrekcyę (od stycznia 1812 r.), gdy Lipiński z sekretaryatu ustąpił, na ważne to stanowisko dostał się Surowiecki, popierany przez Łubieńskiego wbrew woli Potockiego. Ale prezes rady stanu i zarazem dyrekcyi, głowa otwarta a charakter czysty, prędko pozbył się niechęci, kiedy poznał gorliwą pracę, światły umysł i zdrowy sąd narzuconego przez protekcyę; obdarzył go swem zaufaniem, uczynił współpracownikiem i doradcą. Surowiecki prowadził korespondencyę, kierował kancelaryą, zajmował się żarliwie śledzeniem i odzyskiwaniem porozdrapywanych — przez szlachtę polską — funduszów edukacyjnych, pisał i poprawiał projekty urządzeń szkolnych, przystosowywał ustawy z roku 1812 do wymagań życia i wskazówek doświadczenia. Kiedy w roku 1813 Potocki tułał się po Niemczech, tylko Staszic z Surowieckim we dwóch podtrzymywali działalność wydziału oświaty.

Przez cały czas istnienia Księstwa nie porzucał Surowiecki publicystyki. Napisał znakomitą na swój czas, dziś jeszcze w historyi umysłowości naszej ważną, obszerną rozprawę o «Upadku przemysłu i miast w Polszce» (1810), a uzupełnił ją inną, «O rzekach i spławach» (1811). Gdy po utworzeniu Królestwa radzono nad osłoną i zachętą dla rzemiosł i rękodzieł, ujęcie się Surowieckiego za cechami odniosło skutek w postanowieniu namiestnika z dnia 31 grudnia 1816 roku, do dziś dnia obowiązującem.

W r. 1817 Surowiecki, zamianowany przez Potockiego członkiem czynnym komisyi wyznań i oświecenia publicznego, objął ster spraw administracyjnych i funduszowych. Jak za Księstwa, tak i teraz odznaczał się niezwykłą w Polakach ścisłością w urzędowaniu, oddaniem się obowiązkowi i czcią dobra publicznego; pomiatał wszelkimi osobistemi i towarzyskiemi względami tam, gdzie szło o prawo państwa, prawowitą władzę rządu i własność narodową. Biograf, człowiek zimny, przyznaje mu na urzędzie «męstwo obywatelskie». Wyniesiony przez Potockiego, Surowiecki wraz z nim upadł (koniec 1820 r.) i za

Grabowskiego był już tylko członkiem Rady Ogólnej, zwanej także Radą Wychowania Publicznego.

W pracy nad dziejami Słowiańszczyzny nie ustawał, a prowadził ją z wielkim mozołem, starając się wyzyskać do niej literaturę powszechną od Herodota do najnowszych wydawnictw niemieckich. Literackie owoce jej ogłaszał w «Rocznikach T. Prz. N.» Prócz tych rozpraw drukowanych pozostało w archiwum Towarzystwa wiele jeszcze uwag i rozbiorów w rękopisach.

Surowiecki zmarł w Warszawie dnia 9 czerwca 1827 roku; pochowany na cmentarzu Śtokrzyskim. W testamencie zapisał 36.000 złot. na stypendyum w uniwersytecie warszawskim dla «młodzieży, kształcącej się na światłych urzędników», jakim był sam.

WIADOMOŚĆ BIBIOGRAFICZNA. Z wieku XVIII pozostał tylko przekład z Eckartshausena «Bóg jest najczystszą miłością» (Lwów 1796). W wieku XIX:1) «List do przyjaciela mieszkającego nad rzeką Wartą, z Warszawy dnia 28 września 1806 roku o wadach edukacyi młodzieży polskiej» (podznacz. «W. S.»; Warszawa 1806; wyd. 2-gie tże 1807; 48 str. 8⁰). 2) «Uwagi względem poddanych w Polsce; projekt do ich uwolnienia» (tże 1807, druk. «G. Warsz.»; 64 str. 8⁰). 3) «O sposobach dopełnienia historyi Słowian... posiedz. publ. dnia 19 stycznia 1809 r.» («Roczn. T. Prz. N.» T. VII cz. I, r. 1812, str. 82—119). 4) «O spławności i połączeniu niektórych rzek krajowych» («Pam. Warsz.» Os. nr. X, r. 1809 Grudz., str. 7—19). 5) «O upadku przemysłu i miast w Polszce» (Warsz. 1810; 281 str. 8⁰). 6) «O rzekach i spławach krajów Księstwa Warsz.» cz. I (Warsz. 1811, drk. rząd.; 20 str. 8⁰; mapa. Części dalsze nie wyszły). 7) «Uwagi o cechach, napis. w roku 1816» («Rocz. T. Prz. N.» XIII, r. 1820, str. 528 ust.). 8) «Zdanie o piśmie Z. Chodakowskiego o Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej» («Pam. Warsz.» Bentk. XIV, r. 1819, str. 35 nst.; «Tygdn. Lwowski» t. r.; wyd. wznow. «Kwartalnik Nauk.» krak. 1835, wraz z rozpr. Chodakowskiego «O Słowiańszczyźnie» os. Krak. t. r.; rkps. w Bibl. Ord. Zamoyskich. 9) «O charakterach pisma runicznego u dawnych Barbarzyńców europejskich, z domniemaniem o stanie ich oświecenia... pos. publ. T. Prz. N. d. 30 kwietnia 1822 r.» («Rocz. T. Prz. N.» XVI; r. 1823, str. 152-208; tabl. pisma). 10) «Śledzenie początku Narodów Słowiańskich»... pos. publ. T. Prz. N. dnia 24 stycznia 1824 r.» («Rocz. T. Prz. N.» XVII, r. 1824, str. 165—357; os. Warsz. 1824: 195 str. 8⁰, 1 ryc.). 11) «Dzieła» (Krak. 1861; 561, IV str. 8⁰; mapa, tabl.; «Bibl. Polska» Tur. Tu przedruk. wszystkie powyższe z wyjątkiem nr. 4). — «Projekt do urządzenia hierarchii akademicznej w krajach Księstwa Warszawskiego» (Warsz. 1815; VI, 26 str. 4-to) jest operatem urzędowym. W rękopisie pozostał wykład szkolny Statystyki.

O Surowieckim pisał Bentkowski Fel. w «Rocz. T. Prz. N. XXI

(ostatni), r. 1830, str. 134—57; o pojęciach ekonomicznych Pietkiewicz Zygm. w «Dod. do Przegl. Tygodn.» 1885, zesz. VIII, paźdz., str. 289—301. Co do «uwag względem poddanych» porówn. Grabski Wład. «Historya Tow. Rolniczego».

A) „O upadku przemysłu i miast w Polszce" (1810).

(Tu z wyd. 1810 r.)

Urzędowi państwowemu i zbliżeniu się do Łubieńskiego zawdzięczył Surowiecki dostęp do archiwów. Raz rozpoczęta działalność publicystyczna ześrodkowała się na kulturze materyalnej społeczeństwa polskiego, a gdy poszukiwania w pisarzach dawnych, zwłaszcza w rzetelnie zasłużonym, do dziś dnia nieuznanym należycie, Switkowskim, dały ogólny zasób faktów, spostrzeżeń i środków przedsiębranych jeszcze za Rzplitej, archiwa pozwoliły go skontrolować, przebrać i zamierzone dzieło o przemyśle wyprowadzić z samych źródeł. Z jednej i tej samej pracy powstała i druga książka, na swój czas szacowna, dziś jeszcze zasługująca na poznanie: «O rzekach i spławach» (1811). W książce o przemyśle i miastach autor poprzedza wykład ogólną teoryą gospodarstwa, jasno i gruntownie zarysowaną. Jak u Smitha i Saya tak i u niego źródłem istotnem mienia społecznego jest praca, ale praca wolna; takiej wymaga dla siebie i samo rolnictwo i przemysł, przetwarzający jego płody wraz z surowicami, skądinąd dostarczonemi przez naturę; oboje zaś potrzebują pracy uczonego i technika, aby nie zgnuśnieć, rozwinąć się i należycie zużytkować płodność przyrodzoną ziemi a właściwości przetwarzanych surowic. Autor jest wrogiem ceł protekcyjnych i cen *maximum*, a przeciwnikiem cechów; drugie to stanowisko zmienił w roku 1816 w rozprawie «O cechach». Lepsze od ceł wspomagających są zapomogi dla rękodzieł i rzemiosł. Po wyjaśnieniu społecznego znaczenia bogactwa, wartości, ceny, kapitału, pieniądza, obiegu wspólnego znaku wartości zamiennej następuje wyborny rozdział o kupiectwie i handlu jako rodzaju pracy społecznej. Wszystko to zajmuje połowę książki. Potem dopiero zaczyna się autor trzymać ściśle tytułu. Przedewszystkiem wytyka dawnej Rzplitej niedolę ludu wiejskiego, upośledzenie rolnictwa przez niewolę pracy, a przemysłu i rękodzieł przez fizyokratyzm i sobkowstwo szlacheckie. Następnie stwierdza w dominiach brak wszelkiego tytułu prawnego do zaprowadzenia stanu, który od konfederacyi warszawskiej 1573 r. stał się już powszechnym, a beznadziejnym; przyczem, jak na chwilę, w której pisał, zachowuje uderzającą powściągliwość wobec Konstytucyi 3 Maja. Dalej, ze świadectwami w ręku ukazuje i sumuje miasta, do XVI w. kwitnące, później, dzięki pp. starostom, ciemnocie i egoistycznemu wszechwładztwu szlacheckiemu, upadłe. Ponura wymowa ruin Kruszwicy targa mu serce aż do łez. Zakończają dziełko rzeczy uzupełniające wykład: obszerna obrona Żydów od bezwzględnego potępienia, rozpatrzenie ich przymiotów i wad, konieczność powołania do handlu wskutek samego uwarstwienia się społeczeństwa i rozkładu pracy

społecznej, wreszcie przytoczenie rad współczesnego Żyda myślącego społecznie Kalmansona; krytyka kolonizacyi pruskiej; rzecz o fałszywej monecie za Sasów i w początkach Stan. Augusta.

a) Z przedmowy do Łubieńskiego.

239) *Karta 5—6 nlb.* Z upadkiem przemysłu upadło znaczenie narodu; nieszczęsna ta zmiana tem jest boleśniejsza, że Polacy, jak się okazuje, sami byli jej sprawcami. Słynąc *[tak]* orężem, gasząc światłem i dostatkami postronnych, od nich samych zależało wynieść Ojczyznę do pierwszej w Europie potęgi, utrzymać krzepką ręką szalę całej północy i zjednać sobie poszanowanie i przyjaciół. Nieszczęściem wypuścili z rąk ten los, który im długo wiernie sprzyjał, i zamiast wielkości zostawili swym wnukom poszarpaną dziedzinę. Nie traćmy jednak męstwa: po takowej stracie jeszcze nam pozostaje ta pociecha, że możemy być szczęśliwymi; niewyczerpane źródła naszej ziemi, leżące dotąd po większej części w zaniedbaniu, mają to wszystko, co jest potrzebnem do dobrego bytu. Nieco pracy i kosztu na ich odgrzebanie nagrodzi się wkrótce stokrotnym zyskiem. Pilne przerabianie surowych płodów, ułatwiony handel wewnętrzny oszczędzi wydatków, zapewni odbyt i przyczyni nam wygód życia. Zatem zniknie na zawsze niedostatek, powstaną miasta, a naród wzbije się na nowo do tej powagi, jaką się szczycili jego przodkowie i do jakiej wzywają go wrodzone przymioty.

b) Z rozdziału: O przemysłach w Polszce ,Rolnictwo.

240) *Str. 156—165.* Włościanie rolnicy do XVI wieku, zwani powszechnie w Polszce kmieciami, dwojakiego byli gatunku: jedni na swych gospodarstwach siedzieli za zwyczajami i prawem Polskiem, drudzy za prawem Magdeburskiem. Jak jednych tak drugich zwyczaje i prawa uważały zawsze za właścicieli. Jeśli kmieć prawa Polskiego porzucił swoją osadę, panu dopóty nie było wolno rozrządzać opuszczonem jego gospodarstwem, dopóki nie dowiódł, że po czterokrotnem wezwaniu i zaniesionej przez siebie do urzędu protestacyi nie mógł go skłonić do powrotu (Stat. r. 1420 1347). Kmiecie prawa Magdeburskiego, że kupowali i przedawali swoje gospodarstwa, byli przez to niewątpliwymi ich właścicielami.

Prócz tego inny jeszcze był rodzaj rolników w Polszce pod imieniem zagrodników, i tych równie dwa liczono gatunki: jedni osadzeni byli na mniejszej roli od kmiecej, a drudzy tylko na samych ogrodach lub chałupach. Największa część tych, podobnie jak dziś chłopi kontraktowi, za dobrowolną umową i do zamierzonego czasu siedziała na swych zagrodach. Do tej klassy należeli karczmarze, młynarze, rybacy, kowale, pilarze, folusznicy, stępiarze, młynarze wietrzni, papiernicy, rudnicy, saletrnicy, hutnicy, śkielni [od «śkieła»; Linde = loch, kleć na rybę, z ross.] płókarze kopalni, dziekciarze, smolarze, popielarze, smelcarze, prasołowie furmani, węglarze, dymarze i t. d. (Uniw. pobor. od r. 1564—1629; ksg. rewiz. 1564 roku; Czacki «O lit. i pol. pr.»; Szczygielski «Tin.»), którzy, podobnie jak tamci, albo byli właścicielami, albo najemcami swych posiadłości.

Ludzie pod imieniem: gołotów, pachołków, obłomków, hultajów, wałasów, odartusów i sierot nie należeli nigdy do liczby włościan rolników. Równie wolni jak ci tu, bez majątku i miejsca stałego, używani byli od innych do prac ręcznych i posług domowych. Ten, co im dał przytułek lub służbę u siebie, odpowiadał zwyczajnie za ich przewinienia (Statut 1347, 1496, 1578 roku).

Nakoniec ludzie, znani w Polszce pod imieniem rabów i niewolników, byli brańcy wojenni; porabki [przekręcone na parobek], zaś rodzice i ojczyce z ich pokolenia byli tem, czem później zrobiono wszystkich włościan, to jest poddanemi swych panów (Czacki «O lit. i pol. pr.» II 216). Ponieważ o tej klasie rzadko i mało gdzie jest wzmianka, stąd domyślać się można, że i liczba jej w kraju była szczupła i że, podobnie jak u postronnych narodów północnych i wschodnich, najwięcej jej używano do służby domowej lub do robót podręcznych.*)

---

*) *Pachołek i pacholę* do naszych czasów znaczy zawsze sługę domowego; *parobek* zaś — człowieka, używanego od kogo do prac i robót gospodarskich. Pierwsi byli potomkowie ludzi ubogich, gołych, lecz wolnych; drudzy pochodzili od rabów, czyli niewolników. Parobek albo porabek znaczy *plemiennika [potomka] raba*, a nie *pańskiego raba*, jak mylnie wywodzi Naruszewicz. *(Przyp. Aut.).*

Niemasz ani śladów, ani podobieństwa, ażeby dawni Polacy kupowali lub przedawali kiedy niewolników; handel taki nie zgadzał się z ich powołaniem. Ci przeto, którzy się u nich znajdować mogli, byli tylko z brańców wojennych. Od niepamiętnych czasów Polacy pilnowali rolnictwa i pasterstwa; to powołanie, wymagając spokojności i bezpieczeństwa, łagodzi zwyczajnie charakter narodu i czyni wstręt od wojen i napaści. Rolnik przywiązuje się do miejsca i do swoich płodów; wojna, która go odrywa lub niszczy w mgnieniu oka całe jego nadzieje, nie może mu nigdy nagrodzić tych ofiar. Łupy są niczem dla tego, który, przyzwyczajony do pokoju, przy swoich progach znajduje wszystko, co mu jest potrzebnem do wygodnego życia. Polacy, przez długie wieki otoczeni z trzech stron od narodów pobratymskich, mało prócz tego mieli sposobności opatrywać się w ludzi niewolnych: z powszechnych bowiem praw i zwyczajów żaden Słowianin nie mógł brać Słowianina za niewolnika; taki jeniec, skoro tylko stanął na ziemi Słowiańskiej, był natychmiast wolnym, i zwycięzca nie miał już żadnego prawa do niego (Prokopios «Goth».) Od przyjęcia Chrztu religia nie dopuszczała także Polakom traktować jeńców Chrześcijańskich jak niewolników; tych zatem, których jeszcze mieć mogli, wyprowadzali przez czas niejaki z Prus i z Litwy. Ale że te narody równie im wiele zagarniały ludu, stąd częste zamiany, wracając jeńców do własnych dziedzin, mało zostawiały niewolników.

Mylą się zatem ci, którzy chłopów w Polszce biorą za ród dawnych niewolników; zdanie to, łapane na powietrzu, sprzeciwia się podaniom, prawom i obyczajom pierwiastkowym narodu. Jak pod Piastami tak pod Jagiełłami chłopi uważani byli za właścicielów swych zagród i za wolnych co do osoby i majątku: za każdą krzywdę pociągali swych panów do odpowiedzialności przed trybunały krajowe, i te wymierzały im sprawiedliwość porówno z innymi. Takich praw nigdzie niewolnik nie używał i nigdy ich mieć nie mógł; bo-by tem samem przestał być niewolnikiem. Ktoby, nie zważając na te dowody, jeszcze chciał przeciwne utrzymywać zdanie, musiałby nam wprzód okazać, przez kogo i kiedy chłopi w Polszce ze stanu niewolniczego przypuszczeni zostali do praw równych krajowcom.

Można zatem utrzymywać śmiało, że mała tylko cząstka włościan polskich może brać początek z jeńców wojennych, reszta zaś pochodzi z tej samej krwi słowiańskiej, jaką się sprawiedliwie zaszczycać może większa część szlachty. Olizarowicz *[Olizarovius]* ma słuszność, gdy powiada («*Politica*» § 17), że chłopi w Polszce równi byli swym panom, bo ani podbici, ani mieli kiedy książąt tyranów, którzyby ich ujarzmili.

Kmieć posiadał zwyczajnie łan jeden, czyli włókę gruntu; z tego dwojakie miał obowiązki: względem pana i względem książęcia. Pierwszemu albo robił pańszczyznę i pewne składał daniny, albo oddawał czynsz gotowy; drugiemu, prócz zsypek w zbożu i podatku łanowego, zwanego królestwo lub poradlne, musiał w potrzebie i na każdy rozkaz dostarczać podwód, przewodów, żywności w przejazdach, zwanych godnem, robotników do naprawy zamków i t. d. To wszystko zwano pomocne. Zwyczaje mogły być różne, lecz prawo nie obowiązywało kmiecia jak tylko do jednego dnia pańszczyzny w tygodniu (Stat. Zyg. I r. 1520). Siedmiu kmieciów, posiadających siedm włók gruntu, obrabiało pospolicie jedną włókę folwarku pańskiego (Czacki tamże T. I, str. 250). Po wygaśnieniu domu Piastów ciężary publiczne znacznie dla kmieciów zmniejszone zostały; od Ludwika aż do Zygmunta Augusta szlachta na każdym panującym wymagała dla nich pewne uwolnienia, które z czasem na własny swój pożytek obracać miała. Zniesione zsypki, zmniejszone łanowe, ograniczone roboty około zamków miały potem być zastąpione przez nowe powinności i ciężary na pana.

Do XVI w. wolno było wszelkim włościanom odmieniać pana i przenosić się z jednej osady do drugiej podług upodobania. Prawa porządkowe przepisywały im pewny czas i warunki, których się w tym razie trzymać mieli: miesiąc listopad przeznaczony był do przeprowadzania; zagroda powinna była być zostawiona w dobrym porządku, obowiązki wypełnione i na raz jeden dwóm najwięcej gospodarzom wolno było opuszczać jedną wioskę. W przypadku jednak rzuconej klątwy na pana, zgwałcenia przez niego żony lub córki kmiecia i ucisków, doświadczanych z jego winy, wszystkim zarazem i w każdym czasie wolno było porzucić osadę (Stat. Kaz. W. i Zygm. I).

Jan Olbracht, zapobiegając nieprzyzwoitościom i zbytecznym odrywkom ludzi od rolnictwa, pierwszy dopiero postanowił, ażeby jednemu tylko synowi kmiecia wolno było opuścić grunt ojczysty: udać się do rzemiosł, kunsztów lub nauk, a reszta powinna była pozostać przy roli (Stat. J. Olbr. r. 1496).

Przy takich swobodach, przy opiece i sprawiedliwości rządowej, przy prawach własności i przy tak umiarkowanych powinnościach stan rolniczy miał wówczas zupełną sposobność do udoskonalenia swego przemysłu. Mógł spokojnie obrabiać obfite to źródło, bo nikt nie miał prawa odrywać go dowolnie; mógł zgromadzać majątek na polepszenie swego losu i poprawę gospodarstwa, bo mu było wolno rozrządzać nim podług upodobania; mógł nareszcie zdobywać się na nowe odkrycia, bo miał na to środki potrzebne i wiedział, że sam będzie korzystał z swej pracy i wynalazku. Rolnictwo zatem tyle podówczas krzewić się i kwitnąć musiało, ile było rąk, ochotnie niem zajętych; tyle musiało podnosić się do stopnia doskonałości, ile było głów, przemyślających nad sposobami pomnożenia z niego zysków.

Chociaż pod panowaniem Jagiełłów stan włościan już się zaczął zmieniać, dalekim przecież był jeszcze od tego stopnia, który zwykł szkodzić [im] i otrętwiać ich przemysł. Prócz pewnych obrębień porządkowych jeszcze rolnik był wolnym co do osoby i majątku i żył pod opieką ogólnych praw kraju; jeszcze obowiązki i powinności między nim a panem miały pewne granice, których żaden przestępować nie mógł. Pod rządem dopiero monarchów wybieralnych, kiedy zaczęto targać dawne ogniwa towarzyskie, szczęśliwe położenie włościan poczęło się raptem zamieniać w najsmutniejsze. Stan rycerski, przyswoiwszy sobie całą władzę prawodawstwa i rządu, zdeptał wszelkie swobody innych mieszkańców, a włościan zamienił w niewolników. Już odtąd nie tylko im zabroniono odwoływać się do dawnych względów i opieki rządowej, ale nadto gwałcono w nich często same prawa ludzkości; niesprawiedliwi prawodawcy, nie pytając się już, czyli dziedzic wioski jest nieograniczonym panem majątku i osoby chłopa, czyli go może przedać lub darować, to tylko dla niego jeszcze zawarowali, że go z samej swawoli i rozważnie nikt nie mógł zabijać bezkarnie.

Nieszczęśliwy ten stan włościan niezmiernie się przyczynił do ruiny kraju. Rolnictwo zawsze było najgłówniejszem i prawie jedynem źródłem jego bogactwa. Ta pierś, która ożywia, karmi i daje wzrost wszystkim przemysłom ludzkim, dopóty jest niewyczerpaną, dopóki doświadcza troskliwego pielęgnowania; pod ręką niedbałą, słabą i niesposobną usycha prędko i ogładza wszystko naokoło siebie. Rolnik w Polszce, zniechęcony pozbawieniem wszelkich swych praw, zniewolony poświęcać cały owoc swej pracy komu innemu, stał się niezdolnym do przyzwoitego obrabiania tego źródła. W swojem położeniu, bez pobudek osobistych, bez własności i sposobów gromadzenia majątku, ani mógł zdobywać się na nowe i użyteczne przedsięwzięcia, ani zasilać inne *[tak]* przemysły krajowe.

B) „Śledzenie początku narodów Słowiańskich"

(Tu z «Roczn. Tow. Prz. Nauk» T. XVII, r. 1824, str. 165—357).

Owoc dwudziestokilkoletniej pracy, rozpoczętej jeszcze w podróży ze Szczanieckim, daje treść tego, do czego doszła i zdolność krytyczna i siła odtwórcza Surowieckiego. Sam autor uważa tę rozprawę tylko za plan wielkiego dzieła, które napisać chciał, ale którego napisać nie zdołał. Przeszło dwieście dzieł od najgłębszej starożytności już piśmiennej do najnowszych wydawnictw współczesnych sobie, zbadał wytrwały pracownik, wybieracz «ziarnka złota z piasku,» jak sam określa czynność badacza Słowiańszczyzny pierwotnej. Tak uzbieranym skarbem są Wenedzi, w czterech punktach Europy ukazujący się pod tą nazwą jako przodkowie Słowian historycznych: wziął ich dla siebie Słowacki. Najpierwszem i najtrudniejszem było wydzielenie tych przodków z tumanów ludów, kłębiących się przed oczyma historyka od Ktezyasza jeszcze aż do XIII w. po Chr. W osobnym rozdziale «Cechy dawnych narodów Europejskich» autor zbija mniemania wyprowadzające Słowian z innego matecznika, zbiera fizyczne i uczuciowo-społeczne znamiona Traków, Celtów, Germanów i narodów Scytyi i, wykazawszy odrębność Wenedów, odtwarza na podstawie kronikarzy germańskich, bizantyjskich i Nestora jestestwo, sposób życia i uspołecznienie pierwotnych Słowian. Wielce pomocne mu są w tem hypotetyczne zarysy u Jana Potockiego, a sfałszowany skarb prylwicki umacnia go w wierze, iż Słowianie mieli nie tylko runy, ale rzetelną już kulturę. Zakończają rozprawę «Postrzeżenia i wnioski ogólne względem rodu i następstwa dawnych mieszkańców Europy» — dziś jeszcze godne uwagi. «Śledzenie» przełożone na język niemiecki przez Szafarzyka, dało mu punkt wyjścia do samoistnych badań (*„Über d. Abkunft d. Slaven nach Lorenz Surowiecki"* Buda-Pest 1828, 204 str.). Jeszcze w roku 1846 Towarzystwo histo-

ryi i starożytności w Moskwie poleciło rozprawę Surowieckiego przetłómaczyć i staraniem swem przekład wydało.

241) *Str. 311—8.* O rządzie Słowian, mamy świadectwo Prokopa. Nie było u nich ani panującego, ani książąt, ani różnicy stanu między obywatelami; każdy starosta, t. j. gospodarz albo naczelnik rodziny, porówno należał tak do wyboru swoich zwierzchników, jako też do stanowienia praw i głównych obrad narodowych. Taki rząd utrzymywał się u narodów Słowiańskich aż do upadku pogaństwa; bo, chociaż niektóre miały już wcześniej stałych naczelników pod imieniem wielkich żupanów, wojewodów lub książąt, tych jednak władza tak była ograniczona, że bez starszyzny narodowej nic stanowić i nic przedsiębrać nie mogli. Dopiero po przyjęciu wiary chrześcijańskiej i z czasem naczelnicy ci zyskali większą powagę i zaczęli rozszerzać swoją władzę. Ponieważ Słowianie podzieleni byli na wielką liczbę pokoleń osobnych, stąd każde z nich składało osobną rzeczpospolitą, która w potrzebie tylko spólnej obrony lub pomocy łączyła się z drugiemi. Żupany, odznaczeni od innych gatunkiem zaszczytnej sukni, panowie, władyki, z dodanymi sobie starszymi, byli wykonawcami praw i stróżami porządku w poruczonych sobie obwodach, zwanych żupanije. Te władze długo się jeszcze utrzymywały po zmianie religii i pierwotnych rządów; między innemi u Bulgarów do późnych czasów liczono żupanii 10, w Kroacyi 11, w Miśnii nad Elbą 11; w Polsce do XIV w. są jeszcze wzmianki o nich. Jeden pan miał pod sobą kilka żupanii; w niektórych prowincyach węgierskich dawny słowiański podział kraju na banaty, czyli panaty, dotąd się utrzymuje.

Jak główne obrady narodowe, tak sądy odbywały się pod przewodnictwem kapłanów i naczelników pokolenia w miejscach i gajach poświęconych. Na pierwsze zgromadzano się zbrojno do wielkiego koła; wpośród tego było miejsce nieco wzniesione, gdzie każdy, chcący przemówić, wstępował i przez zastukanie w stopnie żądał posłuchania. Ci, co się zgadzali na wnioski lub zdania, dawali znak przez podniesienie swoich włóczni. Kto się sprzeciwiał ogólnej uchwale, surowo, nawet cieleśnie, jak twierdzi Dytmar, bywał karany; a jeśli się poważył opierać jej wykonaniu, podlegał albo ciężkiemu okupowi, albo mu pod-

palano dom z całym dobytkiem. Wyrokowanie w sprawach sądowych i porządkowych nie zależało od samych naczelników albo żupanów; w każdym wypadku większość zdania dodanej im starszyzny miejscowej była stanowczą. Te zdania były karbowane na lasce przez osobnego urzędnika, którego u Rusinów zwano metelnikiem czyli karbowym.

Dawny sposób obierania żupanów, a następnie książąt naczelnych rodu, długo był zachowywany u niektórych pokoleń Słowiańskich. Obrządek ten odbywał się zwyczajnie w gaju albo w polu przy wielkim kamieniu. Żeby przyśpieszyć jednomyślny wybór, wyznaczano z grona starszyzny kilka osób, które w czasie trwającego zgromadzenia narodu miały moc podług woli i własnego uznania niszczyć pola i palić domy współobywateli. Skoro nastąpiła zgoda, sadzano nowowybranego na kamieniu, obok niego kładziono najlichszą odzież, torbę i kij; pytano się: czy będzie sprawiedliwym dla każdego, opiekunem dla sierot i t. p.? W końcu, uderzony w policzek od jednego z przytomnych, rozpoczynał zaraz sądy na miejscu. Domy tych naczelników wraz z swemi obwodami, podobnie jak miejsca bogom poświęcone, były ucieczką w niebezpieczeństwie dla każdego, i nikomu nie było wolno tykać tam schronionych. Wogóle tak wielkie miano dla nich uszanowanie, że w samych nawet rozprawach wojennych żaden Słowianin nie ważył się użyć na ich osobę oręża.

Wielu nie pojmuje, jak narody słowiańskie, wszędzie podzielone na drobne i niepodległe rzeczypospolite, przy gminowładnych rządach mogły dłużej, niż wszystkie inne, ocalić pierwotne swoje instytucye i uchronić się do ostatniej chwili niepokojów wewnętrznych i przemocy zewnętrznej. Zastanawiające te wypadki nie mogły być tylko skutkiem panującego ducha zgodności, przywiązania do praw i zwyczajów, zamiłowania życia spokojnego i związków przyjaznych między osobnemi pokoleniami. Takiemi przymiotami zalecały się w rzeczy samej narody słowiańskie, i tych nie odmawiają im nawet nieżyczliwi pisarze współcześni. Dytmar powiada między innemi o sąsiedzkich Lutyczanach albo Wilkach, że, nie mając ni książąt, ani panujących, sami na obradach narodowych jednomyślnie roztrząsali własne sprawy, że wszyscy na to dawali swoje

zdania, co miało być przedsięwziętem lub zaniechanem. Pomimo to zawsze pomiędzy nimi panowała zgoda i jedność. Inni podobne dają świadectwa Słowianom i wystawiają ich za wzór przywiązania do własnych swobód, spółbraci i narodów pobratymskich. Mało w dziejach mamy przykładów podobnego męstwa, z jakiem, między innemi, drobne pokolenia Nadelbiańskie przez ciąg kilku wieków broniły swej niepodległości przeciw potędze Niemców i Dunów. Sprawa jednego stawała się sprawą innych, często odleglejszych pokoleń, które się wspierały nawzajem radą i pomocą. Uważano powszechnie, że Słowianin, gdziekolwiek spotkał Słowianina, osobnym zwyczajem narodowym całował się z nim w twarz uprzejmie; a jeśli obcy przemówił jego językiem, tem samem miany już za brata i przyjaciela.

Opracował S. KRZEMINSKI.

XLII.

SOŁTYKOWICZ JÓZEF.

(1762—1831).

W 20-m roku życia pisał wiersze, w 24-m był nauczycielem szkół wojewódzkich w Lublinie; prowadził tę część nauki moralnej, która w klasach wyższych według ustaw Kom. Edukacyjnej ze strony religii spełniała się w kościele, a ze strony wiedzy społecznej świeckiej, oparta o panujące wówczas w całej Europie Prawo Natury, w szkole kształtowała się w naukę Prawa Politycznego, Prawa Narodów i wiadomości z Praw Polskich. Wszystkie te dyscypliny wykładano w klasach wyższych, poczynając od IV, głównie w VI (w początkach VII); stosowano je wprawdzie do poziomu młodocianych jeszcze umysłów, ale wykładający musieli poważnie nad sobą pracować, aby wymaganiom nowej zupełnie w Polsce wiedzy sprostać. W r. 1786 pomimo młodego wieku spotkał Sołtykowicza od zwierzchności zaszczyt: delegowała go do wygłoszenia mowy na zagajenie roku szkolnego wobec Najjaśniejszego Trybunału i licznych dostojnych gości; mowca uwydatnił społeczny charakter nauki i pogłębił jeszcze tę zasadę praktyczności, której już i tak Kom. Edukacyjna, nad miarę może, hołdowała.

We dwa lata później nauczał już w Krakowie, w Szkołach Przygłównych czyli w dawnem kollegium Nowodworskiego-Władysławskiego, zreformowanem przez Kołłątaja odrazu po rozpoczęciu wizytacyi w końcu czerwca 1777 r. Tu znowu wygłosił mowę otwierającą rok szkolny 1788 - 9, a dotknął w niej już samego rozkładu, przedmiotów i jakości nauk, które w szkołach wojewódzkich ze względu na interes narodowy dawane być powinny. W Krakowie wykład Prawa Politycznego uzupełnił ogólnemi zasadami gospodarstwa społecznego. O patryotyzmie i obywatelstwie jego umysłu świadczy mowa miana w lutym 1792 r. przy odbieraniu przysięgi na konstutucyę Trzeciego Maja od dyrektorów szkolnych; prawdopodobnie był już wtedy rektorem.

W Krakowie doktoryzował się z Filozofii i Nauk Wyzwolo-

nych jakoteż z Obojga Prawa. Kiedy wszedł do Akademii — nie wiemy; w szkołach wykładał jeszcze w r. 1792. Reforma austryacka, zniemczając szkolnictwo w zaborach trzeciego rozbioru, jeżeli go już na stanowisku nie zastała i nie utrzymała, nie mogła go w żaden sposób dopiero do instytucyi wprowadzić; jeżeli w niej w r. 1801 był, to musiał wejść jeszcze za Rzplitej. Wzmacnia się to domniemanie faktem wyboru Sołtykowicza na dziekana, skoro tylko po ustąpieniu najazdu uczelnia starodawna polskiem odetchnęła powietrzem. Stanowisko to na wydziale Nauk filozoficznych zajmował wybrany aż do r. 1815. Jeżeli Rkps Bibl. Jag. nr. 3399 nie jest pogramatem jego wykładów w »Powszechni« krakowskiej, jak on sam Szkołę Główną nazywał, to dopiero poszukiwania archiwalne nad dziejami Akademii w XIX w. odkryć będą mogły co i w jakim zakresie wykładał Sołtykowicz; na pewne prawie powiedzieć można, że się od swej specyalności jeszcze ze szkół wojewódzkich nie odwrócił.

Kiedy po traktacie w Schönbrunn (d. 14 października 1809 r.) zwiększyło się Księstwo zdobyczami na Austryi, Fryd. August odwiedził odzyskany gród jagielloński, aby się przedstawić nowym swoim poddanym. Akademii, reformowanej właśnie pod nieosobliwie wybranym sterem Horodyskiego, przy prywatnym tylko udziale Kołłątaja, wypadało powitać nowego monarchę. Zadanie to włożono na dziekana wydziału filozoficznego. Dnia 10 maja 1810 r. wygłosił Sołtykowicz długą mowę o przeszłości akademii, a zacność jej podnosząc, dla pracy przetwórczej Kołłątaja znalazł słowa poważnego, przy ścisłości i gorącego też uznania. Obszerne przypisy, z akt Akademii, z *Libri Fastorum* Radymińskiego czerpane, o osobach, naukach i prawach powszechni, uzupełnione jeszcze rozsądnemi spostrzeżeniami nad zadaniem uniwersytetów, doborem i rozdziałem w nich nauk, nad znaczeniem i potrzebą stopni akademickich i niezbędności wykształcenia naukowego w urzędnikach — łącznie z mową wytworzyły obszerne dzieło, z którego piszący później o profesorach Akademii i o niej samej skrzętnie korzystali, nie zawsze odsłaniając wiedzy swej źródło.

W r. 1815 opuścił Sołtykowicz katedrę w Akademii; został profesorem wysłużonym, pracować jedna knie przestał, nauką się żywo zajmował, u Bandtkiego często bywał, Bibl. Jagiellońską nawiedzał, ale przy tem wszystkiem i z życiem nie zrywał. Już pod koniec swego nauczycielstwa posiadaną wiedzę i rozwagę ekonomiczną zużytkował dla narodu w obrębie ówczesnego księstwa, skazanego już na rozbiór między Prusy i Rosyę; napisał zapomniany dziś, a nader ściśle pomyślany i wykonany traktat o ludzie wiejskim i dworach, o konieczności ustalenia stosunku między nimi na nowych zupełnie zasadach, któreby teoretycznej wolności włościanina w dekretach z d. 21 grudnia 1807 i 18 stycznia 1810 r. nadały rzeczywistą doniosłość dla porządku i życia społecznego. Mało dziś znane pojęcia Sołtykowicza o gwałtownej potrzebie reformy dają taki całokształt: Przedewszystkiem trzeba ustanowić taksę powinności, tak pieszych jak

i ciągłych, jakoteż wszelkich danin, gwałtów, powabów dla dworu; ustalić liczbę dni pańszczyźnianych; nie pozwalać na wytwarzanie posiadłości włościańskich mniejszych od dwuwłokowych; — a potem zamienić posiadłości włościańskie dwuwłokowe na dzierżawy wieczno-lenne, z możnością płacenia czynszu w robociźnie, osepie lub pieniądzach, z ubezpieczeniem wzajemnem od strat, zniesieniem zupełnem wszelkich danin i powinności roboczych i uznaniem nowo-wydobywanych gruntów i nowo-otwieranych »kopanin« za nieulegające nigdy pańszczyźnie, lecz jedynie tylko czynszowi. Większe od dwu-włókowych posiadłości mogą powstawać tylko tam, gdzie dominium dla siebie nie zatrzymuje więcej nad szóstą część ogólnej przestrzeni gruntów włościańskich, których również i włościanie przez zamiany i sprzedaże między sobą nigdy zwiększać nie będą mogli. — Cała reforma miała być połączona z ogólnym pomiarem kraju i katastrem. Wyglądał po niej Sołtykowicz przerzucenia się szlachty do przemysłu i większych przedsiębiorstw. Był w pomysłach jego i ten stosunek, jakiego domagał się na wzór angielski w późniejszem królestwie Andrzej Zamojski, i *homestead* astralijski, i wieczysta dzierżawa, wprowadzona w r. 1825 na miejsce art. 530 Kod. Napoleona.

Przyjęty odrazu do grona profesorów Uniwersytetu, zorganizowanych w Tow. Naukowe krakowskie (pierwsze posiedzenie d. 25 lutego 1816 r.), wysłużony profesor odczytywał w niem swą obszerną a częściami pisaną pracę o przesądach przeciw nauce, uczestniczył w jego zajęciach i rozprawach. Poza towarzystwem w r. 1828 starł się polemicznie o Kraków i jego stan polityczno-ekonomiczny. Ze strony Akademii zasiadał Sołtykowicz do śmierci w Senacie Wolnego Miasta. Zmarł w Krakowie d. 25 kwietnia 1831 r.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGAFICZNA. I. Pisma Sołtykowicza: A) drukowane: 1) «O stanie Ak. krakowskiej od założenia jej w r. 1347 aż do teraźniejszego czasu, krótki wykład historyczny Najj. Panu Fryderykowi Augustowi ... na pos. publ. Szkoły Głównej d. 10 maja roku 1810 podany...» (Kraków 1810, Gröblowa; przedtytule: «O stanie Ak. krak. i o publ. a mianowicie uczonych pracach Akademików»; zaofiarow. królowi dopiero z d. 10 maja 1812 r. i wtedy też ukończony druk; 4 k. nlb., str. 1—632, 5 str. Omyłki znaczn.; 8°). Zapowiedziane dopełnienia i Rejestr Materyj nie wyszły. Wskaźnik wydał Sozański Ant. »Rejestr do dzieła J. Sołtykowicza O Stanie Ak. krak. i o publ. a mianow. ucz. pracach akademików krakowskich, 1810...» (Przemyśl 1859; 56 str. 8°). 2) «O przyczynach wewnętrznych i najbliższych, tudzież zewnętrzn. i dalszych nędzy naszych włościan, z wyłożeniem sposobów zniszczenia tychże przyczyn i ich skutków» (Kraków 1815, Matecki; 10 str., 343 str. 12°; 1 tabl.). 3) «Uwagi o podatku konsumcyjnym» przedruk. z «Gaz. Krakowskiej» z d. 16 listopada 1817 r. nr. 92, 8 str. 4°. 4) «Rozprawa nad przyczynami uwłaczających naukom mniemań, odradzających się w różnych wiekach świata.

Na czterech pos. publ. Towarz. Nauk. z uniw. krak. połączonego...» (Kraków 1828, Matecki; 312 str. 8⁰ min.). 5) «Uwagi nad pismem p. t. «Rzut oka polityczny na obecny stan miasta Krakowa i jego okręgu, czyli Rzut oka prosty na Rzut oka krzywy» (Lipsk 1828, 66 str. 8⁰). 6) «Rys życia x. Bonifacego Garyckiego» («Roczn. T. N. krak.« pocz. I. T. XI str. 90 nstp.) 7) Przy tytule «Moralność w wykładzie prawa przyrodzonego stosownie do przepisów Kom. Eduk. w klasie IV Szkół Przygłównych krakowskich, podczas przerwania bytu Polski dawana przez A. M(arkiewicza)» (Kraków 1809) Estreicher czyni uwagę (III 70): «Autorem jest właściwie Sołtykowicz, z którego skryptów Markiewicz korzystał bezprawnie». — B) w rękopisach Bibl. Jagiell. 1) nr. 3748 »Zbiór wierszy pisanych przez ...., które mu zostały od r. 1782», 36 kart, folio. 2) nr. 2840 «Mowa w r. 1786 w Lublinie w dzień rozpocz. nauk szkolnych miana do Trybunału o potrzebie stosowania nauk i wszelkich umiejętności do stanu narodu«. 3) nr. 3347 «Mowa o potrzebie poprawy prawodawstwa i wykonywania onego dla uczynienia skuteczną edukacyi publ... przy otwarciu dorocznych nauk w Szkołach Przygłównych krak...» d. 29 września uczyniona«. 4) nr. 3398 «Początki czyli zasady różnych twierdzeń ekonomicznych .... w r. 1790 w Szk. Przygł. krak. wykładane«, 99 kart 8⁰. 5) nr. 3751 «Prawo polit. w Szk. Przygł. krak. w r. 1790—1 dawane uczniom klas. VI«. 6) nr. 87 «Mowa d. 15 [14?] lutego 1792 r. w Szk. Przygł. krak. do dyrektorów wobec młodzi szkolnej przed odebraniem od nich przysięgi na konstyt. 3 i 5 Maja 1792 r.» 7) nr. 3399 «Ekonomia polit.» 31 kart 8⁰; bez daty czasu. 8) nr. 1041 «Papiery z dziekanii 1809—15 r.».

II. Prócz nekrologu w «Gaz. krakowskiej» jest w Bibl. Jag. Rkps. nr. 3028 «Żywot...», skreślony przez prof. Uniw. krak. Ferd. Kojsiewicza.

„Rozprawa nad przyczynami uwłaczających naukom mniemań" (1828).

(«Rocznik Tow. Nauk. z uniw. Krakowskim połącz. i osobno. Tu z wydania książkowego).

Pełniejszy tytuł w Wiad. Bibliograficznej. Pracował Sołtykowicz nad tą rozprawą długo, opracował ją też starannie, z wielką erudycyą, zyskaną nietylko umyślnie do danego celu, ale i w dawniejszej jeszcze pracy naukowej. Liczne, odsyłające czytelnika do źródeł, przypisy dają dowód sumienności i rzetelnej oryginalności; z drugiej ręki bierze autor świadectwa historyczne; rozumienie ich i sąd o nich ma swój własny. Myślą jego przewodnią jest obrona rozumu ludzkiego i jego dzieła, spełniającego się ustawicznie w nauce i oświacie, od napaści tego przesądu jakoby idealne i społeczne dobra Ludzkości cierpiały na rozwoju nauk a religia, moralność, tak zwana cnota u pisarzów współczesnych autorowi i dawniejszych, doznawać musiały krzywdy od swobodnie działają-

cego rozumu. »Nie myśleć o tem, czego poznać nie można« nie stanie się nigdy kanonem dla umysłu ludzkiego: będzie on zawsze budował hypotezy, ilekroć nie zdoła wznieść przybytku prawdy, którą znowu każdy przezorny mędrzec za Cyceronem pojmuje i odczuwa jako jeno podobieństwo do prawdy. W rozprawie uderza znajomość współczesnego piśmiennictwa naukowego na Zachodzie, śledzenie go, dotrzymywanie kroku postępującej wiedzy. Teza, wręcz wroga słynnej rozprawie Rousseau'a z r. 1750 na temat zadany przez Akademię Dywońską «*Si le rétablissement des sciences et des Arts a contribué à épurer les moeurs?*» musiała doprowadzić autora do starcia z sofistą francuskim. Stało się to w trzeciej części rozprawy odczytanej na pos. Tow. Nauk. z Uniw. krakowskim połączonego w d. 18 paźdz. 1818 r.; z niej właśnie pochodzi poniższy wypis. Wygłoszenie całości ciągnęło się lat dziewięć i zajęło cztery posiedz. Towarzystwa: początek odczytał Sołtykowicz z d. 15 czerwca 1817 r.; koniec wydrukował dopiero w «Roczniku T. N.» już z r. 1827. W zbiorze «Roczników» rozprawa zawiera się: w T. III str. 246—312 i 312—345; V str. 77—164; VIII str. 191—282; XII str. 90—150. Całość w osobnej książce ukazała się w r. 1828.

242) *Str. 130—34.* Oto on [Rousseau] nam jeszcze powiada że nauki wygaszają w obywatelu miłość ojczyzny. Miłość ojczyzny? Jakże więc trudne stało się już pojęcie tego imienia, jak, owszem, przesadne jego wyobrażenie! Kiedy synów Brutusa niemiłosierna ręka krew przelewała przed tem Bożyszczem, Etrurya wylewała krew pod murami Rzymu dla interesu i woli tylko Porsenny, przyjaciela królów-wygnańców. Któż tu miał ojczyznę, którą powinien był kochać? Etruskowie-li czyli Rzymianie? O Russo! gdybyś był nad tym tylko jednym rysem historycznym pomyślał, byłbyś się spostrzegł, że cały naród ludzki nie mieścił się w granicach wolnej i spokojnej twojej Genewy, gdzieś ty pisał. Gdybyś do tego był patrzał z nami przez ćwierć wieku na morderczą walkę narodów najsłynniejszych naukami i kunsztami pod hasłem Ojczyzny, nie byłbyś twierdził, że umiejętności i sztuki rugują z serc obywatelskich jej miłość, nie byłbyś chciał widzieć zapewne więcej tak rozdzielonych i rozbratnionych tym egoizmem narodowym dziatek jednejże matki. Byłbyś raczej całemi siłami obstawał za zdaniem cnotliwego Fenelona, który mówił: «Kocham bardziej moją Rodzinę niż siebie samego; bardziej Ojczyznę niż moją Rodzinę; ale bardziej jeszcze kocham cały naród ludzki, niżeli moją Ojczyznę».

O, zaiste! po tylu wykrzykach patryotycznych: Niech

żyje Ojczyzna! — wykrzykach, które, nieszczęściem, bywają tak często godłem tylko samoistności *[= samolubstwa*; staszicowy *samoiściec = samolub]*, pokrywką dla pychy i chciwości i hasłem wojny, nie zawołają przecie kiedy pokolenia ludzkie, składając zakrwawione oręże i dopełniając — bo też już czas — gorących życzeń filozofii — nie zawołają, mówię, wszystkie przynajmniej pokolenia Europy: «Niech żyje Naród Ludzki!»? Kiedy Russo przypisuje wzrostowi umiejętności i kunsztów wygaśnienie w Narodach Patryotyzmu, my, przeciwnie, nie będziemy wierzyć w postęp oświecenia dopóty, dopóki temu szczególnemu uczuciu miejsca powszechny i cnotliwy Kosmopolityzm nie weźmie.

Jeżeli tak dalece, przewrócone przez interes ludzkich namiętności, znaczenie Powinności, Cnoty, Męztwa, Miłości Ojczyzny przed epoką jeszcze światła nauk wpłynęło na zdania samychże uczonych, a na szkalowanie umiejętności dostarczyło im razem źrzódeł i języka, — niemniej także fałszywe wyobrażenie o Religii, i owszem, najwięcej naraziło je na niesprawiedliwe im uwłaczanie. — Nauki szkodliwemi stały się religii podług Russa. Takież, nie bez podziwienia i osłupienia, prawie po całej Europie rozlegające się słyszeliśmy niedawno zdanie przez sławne pismo o Duchu czyli Istocie Chrześciaństwa *(Génie du Christianisme)* głoszone. Ważyłbym się zapytać tych poważnych Pisarzów: czyli wszystkie Religie, jakie były i jakie są, bądź o upadek, bądź o poniesienie uszczerbku mają przyczynę żalenia się na nauki? Dzieje albowiem ludzkie przeświadczają nas, że Religię Staro-Egipską wywrócili prawi czciciele Oromaza i Arymana pod przewodem srogiego Kambyzesa; że Mojżeszową gnębiły wszystkie Bałwochwalcze Narody; Bałwochwalską Ewangelija Jezusa Chrystusa, przez nieuczonych głoszona, w nic obróciła; Chrześciańską miecz Machometa z Azyi, Afryki i części Europy wyrugował; na wytępienie Machometyzmu grubi Wechabici z bronią w ręku uporczywie nastają... Cóż tu temu wszystkiemu winny nauki, sztuki nadobne, kunszta i wszelkie jakiebądź umiejętności ludzkie?« Chyba, jeżeli za umiejętność poczytamy napadać, bić się i gwałcić. A jeżeli kiedy dzielący się opiniami i muszący pióra, nie mogąc oręża, zapaśnicy używać wezwali do przykraszenia

swych nabożnych kłótni pomocy od świeckich nauk, — dziwna rzecz! aby one za to odpowiadać miały i żeby naród ludzki wygnaniem ich z niego za to karano! Alboż kolor, pędzel i światło nawet samo, winić będziemy za sprosność obrazu, który nas mierzi? lub kruszec i nóż, który z niego jest, wywołamy z ludzkich użytków dlatego, że nimże samym można ukroić dla łaknącego nędzarza kawałek chleba i poderznąć bliźniemu gardło? A potem, nie jestże pożyteczniej dla społeczności, aby ludzie, rozerwani w różne strony fanatyzmu zapałem, długą a wszelką nakoniec zapamiętałość wyczerpującym z czasem, piórem prowadzili wojnę niźli, żeby się nawzajem wyrzynali żelazem i, nie rozsądniejszemu, ale sroższemu jedynie i mocniejszemu stronnikowi przekonanie swoje poddać narażani byli? Zapewne, najstosowniej-by było do Ducha Religii, gdyby nietylko pisać o przechodzących ich pojęcie tajemnicach, ale nawet myśleć nie wolno było. Kiedy atoli nie jest podobnym na długo środkiem powściągnąć ludzi od myślenia nad rzeczami Wiary, musi przeto pójść za tem, że skoro tylko zaczną myśleć, zaczną niezawodnie i pisać, jeżeli będą umieli. Przebaczcie, Panowie moi [członkowie Towarzystwa Naukowego krakowskiego], przychodzącą mi w tem miejscu myśl osobliwą, kiedy powiem, że niewiele brakowało do tego potwarcom nauk, aby za złe poczytali głośno Mocarzom świata, iż dla interessu Religii nie postąpili za przykładem króla Thamusa, który do przyjęcia od Boga Theuta przywiezionej dla jego kraju sztuki pisania żadnym sposobem nakłonić się nie chciał. Niewiele przynajmniej nie dostawało do tego Russowi, który tak gorzko narzekał na nieszczęsny wynalazek Drukarni *).

*) *Discours sur les Sciences. Seconde partie. Collection complète,* T. XIII. pag. 83, gdzie tak mówi Rousseau [tu w przekładzie]: »Czyliż oddające się wszelkim obłędom rozumu ludzkiego pogaństwo zostawiło potomności coś, coby się dało porównać z haniebnemi pomyłkami, które jej zgotowało drukarstwo pod rządami Ewangelii? Bezbożne pisma Leukippa i Diagorasa zaginęły wraz z nimi. Jeszcze wówczas nie było wynalezionej sztuki uwieczniania wybryków umysłu ludzkiego. Ale dzięki czcionkom drukarskim i użytkowi, jaki z nich czynimy, niebezpieczne marzenia senne Hobbesów i Spinozów pozostaną już na zawsze«. *(Przyp. Autora).*

Opracował ST. KRZEMINSKI.

XLIII.

CZARTORYSKA Z FLEMINGÓW IZABELLA.

(1746—1835).

Córka Jerzego Fleminga, podskarbiego wielkiego litewskiego, i Antoniny z Czartoryskich, córki Michała Czartoryskiego, przyszła na świat dn. 3 marca 1746 r.; mając rok, straciła matkę i wychowywała się przy babce, ks. kanclerzynie Czartoryskiej, w Warszawie i Wołczynie. Lata jej dzieciństwa i pierwszej młodości upłynęły wesoło, wśród ciągłych uciech i zabaw; nie męczono jej przytem nauką, to też wykształcenie jej było mocno zaniedbane. Wyszedłszy w 16-m roku życia, w dniu 19 listopada 1761 roku, za Adama Kazimierza, generała ziem podolskich, znalazła się wobec wielkiego świata polityki i życia umysłowego. Długi czas wstydziła się swej ignorancyi i najczęściej milczała w towarzystwie, a i od wychowania dzieci usunęła się prawie zupełnie; wychodząc za mąż, wszak «zaledwie wiedziała, że jest druga Hemisfera», a o Franklinie żadne nie dochodziły jej wieści. Później, pracując usilnie nad sobą, wypisywała całe foliały notat z różnych autorów, które pozostały po niej, świadcząc o pracowitości i żądzy wiedzy. Wierna ówczesnej modzie, założyła sobie rezydencyę w Powązkach pod Warszawą, siedlisko fałszywej sielskości, panegirycznie przez Trembeckiego wychwalone. Dodatnio na jej rozwój umysłowy wpłynęły podróże zagranicę (pierwszy raz pojechała w 1787 r. z synem Adamem Jerzym, jako towarzyszka i opiekunka), gdzie zapoznała się z wybitnymi przedstawicielami myśli europejskiej, jak Lawater, który długi czas prowadził z nią potem serdeczną korespondencyę, nazywając ją w listach po prostu: *l'incomparable amie Czartoriska,* i Delille'a, dla którego piękną prozą francuską opisała ogród puławski, z czego poeta skorzystał w ustępie o Puławach w «Ogrodach»; dodać należy, że sama lubiła ogrodnictwo i jest autorką «Myśli różnych o sposobie zakładania ogrodów» (Wrocław 1805 i 1807). Temi drogami szedł jej rozwój umysłowy, aż

stała się jedną z najoświeceńszych Polek swego czasu: do niej to podobno stosował już Fryderyk II słowa: «w Polsce kobiety wszystkiem kierują, kiedy mężczyźni ucztują tylko». Ostatnia epoka jej życia zaczęła się z dn. 2 czerwca 1796 r., kiedy po upadku kraju osiadła w Puławach, wzniósłszy je po spustoszeniu. Odtąd stała się dobrym duchem całej okolicy, założyła szkółkę dla dzieci wiejskich w Puławach i zachęcała sąsiadów do pracy nad oświatą ludu; w parku puławskim wzniosła «świątynię Sybilli», opiewaną przez Woronicza, w zacnej myśli ratowania zabytków przeszłości, zgromadzając w niej pamiątki narodowe (nie zawsze autentyczne). Ks. Izabella pierwsza z Polek układa dziełka dla ludu: przedewszystkiem «Książkę do pacierzy dla dzieci wiejskich» (I wydanie: Wrocław 1815), a potem znakomitego «Pielgrzyma w Dobromilu» (I wydanie Warsz. 1818, II, z dodaniem powieści wiejskich pióra jej córki, Maryi ks. Wirtemberskiej, Warsz. 1819; II część «Pielgrzyma» wyszła w Warszawie 1821). Pierwsza ta próba skreślenia historyi Polski dla ludu jest zarazem znakomita, doczekała się kilkunastu wydań, a przez współczesnych stawiana była wysoko: pochlebne sprawozdanie pisał o niej Lelewel w «Pamiętniku Warsz.», XVI, 293—336, a rektor Twardowski w liście do generała (w r. 1822) stawiał «Pielgrzyma» narówni ze «Śpiewami historycznymi« Niemcewicza. Słusznie Dębicki w «Dwu autorkach» nazywa tę książkę «pierwszem hasłem zwrotu do ludu». Zmarła Czartoryska d. 17 czerwca 1835 r. w Wiedniu.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

A) Wydania zbiorowego Czartoryskiej nie mamy. Osobno wyszły: 1) «Książka do pacierzy dla dzieci wiejskich podczas mszy świętej dla szkółki Puławskiej napisana (Wrocław 1815; Warszawa 1821; Puławy 1830); 2) «Myśli różne o sposobie zakładania ogrodów« (Wrocław 1805 i 1807); 3) «Pielgrzym w Dobromilu, czyli Nauki wiejskie, z 40 obrazkami królów polskich wyobrażającymi»; (Warszawa 1818); 4) toż samo z dodatkiem powieści (Warszawa 1819); II część w r. 1821, potem liczne wydania: 1822, 1826, 1830, 1834, 1843—4, 1848, 1852, 1857, 1860, 1861); 5) «Poczet pamiątek zachowanych w domu gotyckim w Puławach» (Warszawa 1828). W rękopisie pozostał francuski przekład «Emroda» Kropińskiego. Listy Czartoryskiej zamieszczono w »Kronice Rodzinnej» (1886—7); patrz też »Z dziennika podróży Izabelli Czartoryskiej 1787—1790« («Kraj» 1886, nr. 34—36).

B) O Czartoryskiej p. przedewszystkiem literaturę o Adamie Kazimierzu Czartoryskim (t. I. «Stulecia»); poza tem Dębicki L.: «Z pamiętnika ks. I. z Flemingów Czartoryskiej» («Przew. Nauk i Liter.», Lwów 1885); tenże: «Dwie autorki» (tamże, 1887); tenże: «Puławy» (tom I, 77—219; II, 253—392; III, 47—149); Grzegorzewska S.: «Dziesięć dni w Puławach 1828» (»Przegl. Polski«,

1897, odb. Kraków 1897); Żmigrodzki Michał: «Izabella Czartoryska» («Encyklopedya Wychowawcza». Tom III, Warszawa 1882); Dobrowolski Adam: «Iz. Czartoryska» («Album znakomitych Polaków i Polek w. XIX», t. I) wreszcie wspomnienie pośmiertne w «Kron. emigr. polskiej» t. III, i w «Tyg. emigracyi polskiej» cz. VI (ustęp z pam. Dwernickiego).

„Pielgrzym w Dobromilu" (1818).

(Według nowego poprawnego wydania, Warszawa 1830).

Dziełko nie jest pozbawione pewnego węzła powieściowego: zaczyna się od tego, że do wsi pod Krakowem, zwanej Dobromil, przychodzi Pielgrzym, imieniem Chwalibóg, dawny żołnierz, o ile można wnosić, kościuszkowski, a przyjęty gościnnie przez zacnego gospodarza Birę, postanawia zamieszkać u niego na czas dłuższy. Wzamian za gościnność uczy dzieci Biry pacierza, czytania i pisania, wpaja w nich wyższe pojęcia moralne pracowitości, uczciwości, ochędóstwa, porządku, zgody i t. d., a pokazując im obrazki królów i świętych polskich, opowiada przystępnie dzieje ojczyste od Mieczysława I do Stanisława Augusta, a nawet do czasów współczesnych, do Aleksandra I, którego autorka nazywa «aniołem pokoju i szczęścia» i takiem wezwaniem część tę kończy: «Niech Polak z Rossyaninem, podawszy sobie ręce, szczerze zapomną o ranach, wzajemnie sobie przez długi przeciąg wieków zadawanych, i niech odtąd wzajemnie do szczęścia pomagają». W drugiej części Pielgrzym naucza dzieci o sławnych mężach Polski: Kochanowskim, hetmanie (!) Belinie za Krzywoustego, Prandocie Gałce za Łokietka, Zawiszy Czarnym, Oleśnickim, Mieczysławie z Konar i Spytku z Melsztyna, Beacie Dolskiej, Janie Tarnowskim, Janie Zamojskim, Stanisławie Żółkiewskim, Janie Karolu Chodkiewiczu, Lwie Sapieże, Stefanie Czarnieckim, Jerzym Ossolińskim, Kacprze Karlińskim, o kronikarzach, od Kadłubka i Długosza, uczonych, poetach, od Kochanowskiego i «Symonidesa» i t. d. Dopełniają dziełka dwie modlitwy, «Katechizm rolnika« oraz pięć powieści pióra Maryi z Czartoryskich ks. Wirtemberskiej: 1) «Rozyna, dobra córka, czyli jarmark św. Małgorzaty w Jeziorowie«, 2) «Kul, czyli chłop sumienny», 3) «Jasiukowa grobla», 4) «Wieczerza wiejska, czyli traf, przez Grzegorza Hoinę dzieciom opowiadany», 5) «Ucieczka Kasi».

243) *Str. 1—10.* Niedaleko Krakowa mieszkał we wsi, zwanej Dobromil, Bira, rolnik i gospodarz dobry. Ta wieś, w pięknem położeniu, rozmaite miała dogodności: grunta dobre, łąk wiele, sady duże, lasy blizkie, góry od północy, rzeczkę od południa. Bira, człowiek pracowity, sam koło roli chodził, sam łąkę kosił; zawsze czynny, a zatem zawsze zdrów, żył szczęśliwy z Małgorzatą, żoną swoją, i z dziećmi, których miał

czworo. Jednego wieczora Bira, zgrabiwszy siano, które już pod sychało na łące, widząc słońce blizko zachodu, wracał do domu ścieżką, ubitą nad brzegiem rzeczki, którą osłaniały z obu stron drzewa stare i krzaki kwitnące. Bira, całodzienną pracą zmordowany, w pół drogi chcąc spocząć, usiadł pod dawnego buku cieniem, a dobywszy z kobiałki chleba i sera, smaczno zajadał. Po chwili, gdy już zamyślał do domu wracać, usłyszał w oddaleniu głośne, ale przyjemne śpiewanie, które się pomiędzy górami rozlegało. Mimowolnie wstrzymany, słuchał ciekawie, dziwiąc się nie bez przyczyny, że taki głos w Dobromilu się znajduje, gdzie był pewny, że oprócz organisty, który przez nos śpiewał, żadnego innego śpiewaka nie było. Odgarnąwszy gałęzie, spostrzegł schodzącego z gór Pielgrzyma, który ku niemu zdawał się dróżką kroki swe kierować. Jak, już zbliżonego, lepiej słyszeć go można było, Bira te słowa uchwycił, które po każdej strofie powtarzał:

Jesteś Bogiem, jesteś Ojcem,
Zmiłuj się nad nami.

Bira, to słysząc, przekonał się i nie wątpił, że ten Pielgrzym, którego już zbliżającego się widział, pewnie poczciwym i bogobojnym być musi, i zwykłym u nas zwyczajem przywitał go temi słowy: «Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus», na co Pielgrzym odpowiedział: «na wieki. Amen». Już tem samem zaznajomili się. Bira, chcąc bardziej jeszcze znajomość zagruntować, wskazał mu kamień, mchem obrosły, na którym, gdy oba siedli, Bira zapytał się Pielgrzyma, kto on jest, skąd i dokąd idzie? Ten mu tak na to zapytanie odpowiedział: «Jestem szlachcic, zowię się Chwalibóg. W młodych latach moich chodziłem do szkół, potem byłem w wojsku, biłem się za ojczyznę, póki mi Bóg sił dodawał, ale, dwa razy cięty w głowę, nogę mając przestrzeloną, przytem już i wiekiem przyciśniony, potrzebuję odpoczynku. Podziękowałem dlatego za rejestr*) i wróciłem się do tego kąta, gdziem się urodził. Już żadnego tam nie znalazłem z tych, co mi dobrze życzyli; jedni wymarli, drudzy się porozchodzili, domek, w którym się wyhodowałem, zni-

*) Podziękować za rejestr tyle znaczy, co się podać do władzy wojskowej, prosząc o uwolnienie ze służby *(Przyp. Aut.)*.

szczony, lipa nawet, pod którą spędziłem wiek mój młody, zwalona i spróchniała, na ziemi leży! Cóż miałem tam robić? Zapłakawszy na grobie rodziców i przyjaciół, ułożyłem sobie po świecie chodzić, póki nie znajdę przytułku, w którymbym mógł życie zakończyć. Chciałbym wesołego położenia, izdebkę ciepłą *[tak]*, a najbardziej ludzi spokojnych. Już ośm miesięcy wędruję, bom chciał pierwej święte miejsca obejść; byłem u Najświętszej Panny Sokalskiej, u świętego Antoniego w Rodecznicy, potem w Częstochowie, a teraz idę z Krakowa Już mi nogi ustają, chciałbym spoczynku i Boga o to proszę. Odzienie Pielgrzyma obrałem, bo wszędzie w tej sukni łatwiejszy mam przystęp, a wędrując po świecie, zdaje się *[tak]*, że mam do niej prawo. W torbie noszę obrazki dla dzieci, paciorki dla matek, szkaplerze dla ojców». Bira, oparty na kiju obu rękami, słuchał tego wszystkiego z uszanowaniem i z pod oka każde ruszenie *[tak]* staruszka pilnie uważał, potem, uchyliwszy czapkę, zaprosił go do siebie: «Przenocuj Wasze u nas — powiadając mu — ja się zowię Bira, jestem gospodarzem w tej wsi, co tu blizko widać; moja kobieta zowie się Małgorzata, dobra i poczciwa, mam kilkoro dziatek. Wasze u nas przenocujesz, a da Bóg, jutro, to obaczysz naszą wieś, nasz kościół, naszego proboszcza, a może i naszą karczemkę... No! kto wie, co się z tego wyświęci». Poczciwy Bira wieś swoją nad wszystkie inne przenosił, a zatem był pewnym, że, jak ją tylko Chwalibóg zobaczy, to o wszystkiem zapomni i dalej nie pójdzie. Pielgrzym, przystawszy na wszystko, z Birą ku wsi się puścił.

Przy zaszłem już słońcu właśnie wtedy bydło z pola wracało, fujarki się odzywały, głos kobiet słychać było, wołających na gęsi, kury i gołębie. Śmiechy radośne młodych parobków rozlegały się po wsi, kiedy, postąpiwszy dalej Pielgrzym, ujrzał domy dobre, zabudowania dosyć porządne, ogrodzenia niezłe. Przed chałupami na ławkach kobiety wiejskie przędły; koło nich tymczasem dzieci drobne wśród ulicy igrały: słowem, wszystko okazywało byt dobry i życie spokojne. Wszedłszy *[tak]* do Biry, Małgorzata przyjęła gościa mile i wesoło. Co dzieci, te, w kątek się wbiwszy, ze strachem na Pielgrzyma patrzały: jego twarz, pracą i wiekiem pomarszczona, jego czoło, dwa razy cięte, blizny głębokie, kij ogromny w ręku, a naostatek broda

długa i siwa, wszystko to zdawało się dzieciom strasznem i okropnem.

Bira oznajmił żonie, że starca tego przyjął na nocleg do siebie, a zatem, żeby mu zjeść nagotowała i wszelkie o nim miała staranie. Sam, poszedłszy do stodoły, słomy i siana nabrał i do komory zaniósł; tam usławszy niby łóżko, przykrył je świeżo upranem prześcieradłem, a zwinąwszy stary, co miał po ojcu, żupan, zrobił z niego wałek i w głowach położył. Tymczasem gospodyni przystawiła spory garnek kaszy, okrasy dodała, a w rynce kartofle smażyć zaczęła. Pielgrzym, widząc Birę i Małgorzatę zajętych, umyślił tymczasem dzieci przyswoić; wyjąwszy z kieszeni garstkę orzechów, które był w lesie nazbierał, z daleka im te orzeszki pokazywał. Najstarsza dziewczynka, odważywszy się postąpić kilka kroków, wyciągnęła rękę, porwała orzechy i co prędzej do kąta uciekła. Chwalibóg, to widząc, innego użył sposobu. Otworzywszy torbę swoją, zaczął z niej wybierać szkaplerze, paciorki, a naostatek obrazki rozmaitego gatunku. Ciekawość zniewoliła bojaźliwych: powoli zaczęły się dzieci przyswajać i, nie uważając już na marszczki, na blizny, nawet i na brodę, ławkę otoczyły i obstąpiły Pielgrzyma. Starzec każdemu darował obrazek, a dzieci w największej radości z krzykiem do matki poleciały dla pokazania darowanych im obrazków. Małgorzata, wdzięczna, że tak Pielgrzym dzieci obdarzył, dodała nieznacznie słoniny do kaszy, a do rynki kilka kartofli przyrzuciła.

Dzieci już bez trwogi zbliżyły się znowu do Pielgrzyma, w nadziei, że im coś jeszcze daruje; lecz staruszek zapytał się starszych: czy znają choć jednego z tych świętych, których na obrazkach mają? Przyznali szczerze, że o żadnym nic nie wiedzą; na to im Chwalibóg powiedział, że, jeżeli się w tej wsi zabawi, to im o tych Świętych bardzo ciekawe różne wypadki opowiadać będzie, bo tego wieczora, będąc zmordowanym, musi to na inny dzień odłożyć. Wtem też Bira wrócił do izby, a Małgorzata kaszę i kartofle na stół postawiła; smaczno zjadłszy wieczerzę, spać poszli. Sen spokojny zwykle jest nagrodą dobrze użytego dnia, pracy rolnika, spokojnego sumienia lub też czynu dobroczynnego. W chacie Biry można było wszystko to znaleźć. On sam poczciwy i pracowity; ona, najlepsza matka,

gospodarstwo domowe porządnie i pilnie utrzymywała. Oboje bogobojni, nie zamykali chaty przed biednym, przed cierpiącym, Pielgrzym też ze swojej strony służył wiernie swej ojczyźnie; będąc żołnierzem, bił się odważnie, ale nie krzywdził wieśniaka nie rabował nieprzyjaciela, a zatem i gospodarze, i gość użyli tego spoczynku, który jest nagrodą sprawiedliwego, i przez noc całą wybornie spali.

Nazajutrz, ledwie jutrzenka rumieniła niebo, a Pielgrzym dopiero ze snu był obudzony, kiedy już ruch jakiś w chacie słychać było. Oddawszy hołd i dzięki Bogu za schronienie, które w tym domu znalazł, starzec wszedł do izby i zastał Birę, już ubranego, który się wybierał na łąkę po siano, od kilku dni skoszone. Wtedy Pielgrzym, wziąwszy Birę i Małgorzatę za ręce, oświadczył im, że, jeżeli go przyjmą do siebie, to ma chęć już w tej wsi zostać. «Szukałem, dołożył, wesołego położenia, to tu znajduję; ludzi dobrych, zdaje mi się, że lepszych, jak wy, ciężko się spodziewać; izdebkę ciepłą, tę mi odstępujecie: więc wszystko, czegom żądał, tu połączone mieć będę, jeżeli się na to zgodzić zechcecie... Ale, że nie chcę być próżniakiem na świecie i wasz chleb *[tak]* jeść darmo, ofiaruję się wam uczyć dzieci tego, co sam umiem, to jest czytać i pisać. Będę przytem wbijał w ich młode głowy bojaźń Boską, miłość bliźniego, przywiązanie do ich stanu, a wstręt do leniwego życia. Przytem, korzystając z tych obrazków, czasem im będę opowiadał dzieje polskie. Póki siły moje wystarczą, tym sposobem wdzięczność moją wam okażę za tak dobre przyjęcie». Bira i Małgorzata, niezmiernie kontenci, na wszystko chętnie pozwolili i z radością przystali. Śniadanie wszyscy zjadłszy *[tak]*, każdy poszedł do roboty, a Pielgrzym kroki swoje ku kościołowi obrócił, mszy wysłuchał, z proboszczem się poznał, potem do domu wrócił dla trudnienia się dziećmi i nowym swoim obowiązkiem.

Bira, idąc na łąkę, powierzył cały swój z Pielgrzymem układ gospodarzowi, którego spotkał przed kościołem, i Grzywaczowi z końca wsi, z którym żył w przyjaźni; ten to powiedział Białasowi. Małgorzata ze swojej strony znowu powiedziała kumie, ta się zwierzyła Sołdajowej, Sołdajowa Wojciechowej. Słowem, ta nowina gruchnęła po całej wsi. Różnie o tem gadano; jedni ganili, drudzy chwalili, byli i tacy, co za-

zdrościli. Tymczasem Chwalibóg zaczął swoje nauki z dziećmi Biry, których było czworo: Kasia, najstarsza córka, miała lat dwanaście, Wojtuś dziesięć skończonych, a Magdusia i Adamek, bliźnięta, dopiero dziewięć wiosen przeżyły. Chwalibóg, chcąc w nich ochotę wzbudzić ciekawością, wspomniał owe obrazki, w wilią dane, i kazał je sobie podać. Kasia, że była najstarsza, najpierw swój obrazek podsunęła, a Wojtuś, Magdusia i Adamek Pielgrzyma obstąpiły, który tak do nich mówić zaczął.

Opracował H. GALLE.

XLIV.

WIRTEMBERSKA KSIĘŻNA Z KSIĄŻĄT CZARTORYSKICH MARYA

(1768 – 1854).

Urodzona w dn. 15 marca 1768 roku, księżniczka Marya Anna Czartoryska, córka Adama Kazimierza, generała ziem podolskich, i Izabelli z Flemingów, autorki »Pielgrzyma w Dobromilu«, była najstarszą z czworga rodzeństwa (Adam Jerzy ur. w r. 1770, Konstanty 1773, Zofia 1774; starsza od niej siostra Teresa, zmarła wskutek nieszczęśliwego wypadku, wynikłego od zapalenia się na niej sukni balowej). Czem były Puławy w dziejach umysłowości polskiej XVIII w., drugie ognisko sztuk pięknych i nauki w Polsce po Warszawie, wiadomo: stolica sentymentalizmu polskiego za Stanisława Augusta, brały Puławy żywy udział w ruchu umysłowym. Wychowano ją w atmosferze czułych piosenek i sielanek, sielsko-pasterskich teatrów amatorskich, w których reprezentacyi brała udział cała rodzina książęca, zwłaszcza jak szło o uroczystości rodzinne, i wesołopoważnych prób naukowych (jedną z nich w poemacie «Balon» opisał nadworny poeta puławski, Franciszek Dyonizy Kniaźnin — było to doświadczenie z balonem systemu braci Montgolfierów). Kształcono ją przytem nader starannie, jako na dziedziczkę części magnackiej fortuny Czartoryskich i Flemingów przystało: prócz matki, guwernantki panny Petit, uczyli ją: Koblański — historyi polskiej, Kniaźnin — literatury ojczystej. Czy prawdą jest podanie, jakoby autor «Balonu» kochał się beznadziejnie w swej młodziutkiej uczennicy, że ta miłość nieszczęśliwa, między innemi, przyprawiła go o pomieszanie zmysłów — rzecz to jeszcze do sprawdzenia; o wiele mniej prawdopodobną wydaje się wiadomość, podana przez Aëra (Adama Rzążewskiego), że Marya odpłacała poecie równym działem uczucia («Przegląd Polski» w szkicu: «Pierwszy romantyk« 1882 3 i osobno: Kraków 1882—3). Tymczasem Marya padła ofiarą kombinacyi dy-

plomatycznych, pod każdym względem nieudanych. Dla wzmocnienia niejako przymierza pruskiego wydano ją w 17-m roku życia (28 października 1784 r.) za Ludwika ks. Wirtemberg-Montbeliard, ubogiego, ale krwi panującej, siostrzeńca Fryderyka II, i to jeszcze bez zezwolenia rodziców pana młodego, co wystawiło Maryę na liczne przykrości ze strony rodziny mężowskiej. Kniaźnin na cześć księżniczki napisał pieśni weselne: «Amarylla» i «Rozmaryn» — i młoda para pojechała zagranicę. Zamieszkano w Berlinie, potem w zamku rodowym Montbeliard, wreszcie, kiedy Ludwika wezwano do garnizonu, w zamku Treptau w Pomeranii. Te 8 lat pożycia małżeńskiego były najcięższą dobą życia księżnej Maryi. Mąż nie ziścił żadnej z pokładanych w nim nadziei: hulaka, karciarz, brutal, przekładający polowania i kompanię kolegów koszarowych nad towarzystwo miłej i inteligentnej żony, nie tylko zaniedbywał Maryę, zostawiając ją na pastwę samotności i tęsknoty w smutnym burgu pomorskim, ale, co gorsza, obchodził się z nią po grubijańsku: lżył, chorą za włosy z łóżka wyciągał. A łagodna i cierpliwa Marya taiła przed najbliższymi smutne pożycie małżeńskie, nie chcąc martwić ukochanych. Doszło do gorszych rzeczy. W roku 1788 oboje księstwo przenieśli się do Polski; Ludwik uzyskał indygenat, został mianowany nawet jenerałem dywizyi. Niema nic haniebniejszego nad postępowanie ks. Wirtemberskiego podczas smutnej pamięci kampanii 1792. Z początku nie chciał wcale iść na wojnę, udając chorego na nogę; a kiedy Marya, wstydząc się jego tchórzostwa i matactwa, zagroziła rozwodem, zaczął się wymawiać, że niema o czem wyruszyć. A kiedy i temu zaradzono, (20.000 dukatów ze szkatuły królewskiej), pojechał, ale celem zdradzenia sprawy polskiej: rozstawił oddziały polskie dla tem łatwiejszego zwalczania ich przez nieprzyjaciół, co jednego dnia posunął się z wojskiem, to drugiego się cofnął, znosił się potajemnie z rządem rosyjskim. Kiedy wreszcie przejęto te listy, pozostawało tylko — ratować się w szybkiej ucieczce. Marya natychmiast uzyskała rozwód, kosztem największej ofiary, na jaką matka może się zdobyć: oddała mężowi jedyne dziecko, syna Adama, urodzonego dn. 16 stycznia 1792 roku. Odtąd uzyskała zupełną swobodę, ale życie jej było już na zawsze złamane. Zamieszkawszy przy matce w Puławach, w pałacyku «Marynkach», oddała się pracy społecznej i literackiej; chodziła po chatach, opiekowała się troskliwie wieśniakami, trzymała im dzieci do chrztu. Za czasów Księstwa Warszawskiego zamieszkiwała przez kilka lat w Warszawie: dawała obiady literackie, od 1810 r. była wizytatorką pensyi żeńskich, świeżo zakładanych. Drukowała niewiele: prócz «Malwiny» (1816) i «powieści wiejskich», dołączonych do drugiego wydania «Pielgrzyma w Dobromilu» (1818) nic więcej drukiem nie ogłosiła. W rękopisach pozostało jednak sporo rzeczy polskich i francuskich, prozą i wierszem: powieść o dwóch księżniczkach, Hermine i Phébé, komedya «Korale», tłómaczenie komedyi «Dobry ojciec», przygotowane na imieniny ks. generała, dzien-

nik podróży p. t. *Pensées,* «Niektóre zdania, myśli i uczucia doznane zagranicą» i inne — wszystkie w papierach rodzinnych. W r. 1831 czekało ją jeszcze jedno, najboleśniejsze bodaj w całem życiu przejście, kiedy syn jej rodzony, Adam, służący w armii rosyjskiej, rozkazał strzelać do pałacu puławskiego, zamieszkanego przez 63-letnią matkę i 85-letnią babkę. Po śmierci matki († 1835 r.) oddała się niepodzielnie pracom dobroczynnym i modlitwie: dbając o dobro ludu, m. in. do dóbr swoich Wysocka w Galicyi sprowadziła siostry miłosierdzia, uposażając je wsią Moszczary. Przejeżdżając przez Genewę, postanowiła i tu pozostawić pamiątkę swego miłosierdzia i, pomimo szalonych trudności, osadziła w tem mieście, ojczyźnie Kalwina, zakonnice zgromadzenia Wincentego à Paulo. Stratę majątku, zagarnionego przez wyrodnego syna, przyjęła z rezygnacyą, żałowała tylko, że nie może tyle, co dawniej, świadczyć dobra potrzebującym. Od roku 1835 stale mieszkała zagranicą: w Wiedniu, a potem prawie ciągle w Paryżu, przy bracie Adamie, w domu jego przy ul. de la Roule. Tam dożyła późnego wieku, zachowując do ostatnich lat trzeźwość umysłu. Zmarła 21 października 1854 roku, mając lat 86.

WIADOMOSĆ BIBLIOGRAFICZNA.

A) Pierwsze wydanie powieści: «Malwina czyli domyślność serca, romans oryginalny» (2 tomy) ukazało się w Warszawie w r. 1816, następne wydania również w Warszawie w r. 1817, 1821, 1828—9. Przekład francuski pani Nakwaskiej w pierwszej edycyi wydane w Warszawie w r. 1817 p. t. «Malvina ou l'instinct du coeur, roman traduit du polonais par une Polonaise»; w drugiej — w Paryżu (u Peytieux) r. 1822 p. t. «La Polonaise, ou l'instinct du coeur, traduit du polonais de la princesse W*** par Madame Nakwaska»; przekład rosyjski w Moskwie 1834 r. Marya Wirtemberska jest też autorką «Powieści wiejskich», dodanych do «Pielgrzyma w Dobromilu» (p. życiorys i bibliografię Izabelli Czartoryskiej).

B) O Czartoryskiej pisali: Duchińska S.: «Wspomnienia z życia Maryi z ks. Czartoryskich ks. Wirtemberskiej» («Kronika Rodzinna», 1885, odbitka: Warszawa 1886); «Marya z ks. Czartoryskich Wirtemberska» («Przegląd Poznański«, t. XIX i XXIV); Siemieński L.: »Marya z ks. Czartoryskich» (1768—1854) w «Dziełach» (t. III. Warszawa 1881); tenże: «Małżeństwo z ks. Ludwikiem Wirtemberskim» («Przew. naukowy i liter.», 1886); Dębicki L. «Puławy» (Lwów 1887—8); Dębicki L.: «Dwie autorki» («Przewodnik nauk. i literacki», 1887); Chmielowski P.: «Autorki polskie w. XIX» (Warszawa 1885); Tarnowski St.: «Romans polski w początkach XIX wieku» («Przegląd Polski», 1874); Śniadecki Jan: «Malwina. List stryja do synowicy» («Dzieła», tom IV, Warszawa 1837); Plenkiewicz Roman: «Ks. Marya Wirtemberska» («Album znakomitych Polaków i Polek XIX w.», tom I).

„Malwina czyli domyślność serca“ (1816).

(Według czwartej poprawionej edycyi 1828—9).

Tytułowa bohaterka tego romansu jest młodą wdową, którą w 15-ym roku życia wydali rodzice za człowieka podeszłego wieku, o niezbyt wysokim poziomie moralnym: zaniedbywał on żonę dla przyjaciół i polowania. To też pożycie małżeńskie Malwiny, szczęściem że krótkotrwałe, nie było wesołe: w długich chwilach samotności, gdy męża nie było w domu, jedyne jej rozrywki były: muzyka, śpiew i czytanie. Owdowiawszy, Malwina zamieszkała z młodszą siostrą w jednej ze swych majętności, Krzewinie, sprowadziwszy sobie ciotkę na opiekunkę. Tu podczas pożaru jednej z chat wiejskich, którego omal że sama nie stała się ofiarą, poznaje młodzieńca, który wyjawia jej tylko imię swoje: Ludomir. Zraniony podczas wynoszenia nieszczęśliwych z palącego się domu, doznaje gościnnego przyjęcia w Krzewinie. Okazuje się, że był to pierwszy człowiek, który odczuł i pojął umysł rzadki i serce tkliwe Malwiny. Lecz kiedy dochodzi do wyznania, ona odpowiada mu jednym wyrazem: «Niewdzięczny!», co miało oznaczać wzajemność; nazajutrz jednak Ludomir wyjeżdża z Krzewina, wziąwszy od niej przysięgę, że nigdy nie będzie badała jego przeszłości.

244) *Tom I, str. 55—63.* Miłym był, nader miłym dla Malwiny dzień jej imienin, ten dzień, w którym tyle miała dowodów zajęcia się nią Ludomira. Ale ten dzień minął. Niestety! najszczęśliwsze zawsze najprędzej mijają! Wróciwszy w wieczór do siebie, te słowa jego: «Niech ta łąka przynajmniej przypomni kiedy biednego Ludomira», słowa, które z tak bolesnem wyrzekł był westchnieniem, ustawnie w uszach jej, a raczej w sercu brzmieć zdawały się. Dotąd bez żadnych trosk nadal, ani rozwagi, spokojnością używała tysiącznych przyjemności, które wypływały z przytomności Ludomira; ale te kilka słów wyrzeczonych stały się urokiem, który ją z nader miłego oczarowania ocucił. Ta zielona niewiadomości zasłona, która jej oczom przyszłość i własne zakrywała serce, spadła raptem. Pierwszy raz Malwina pomyślała, że Ludomir mógłby ją porzucić; pierwszy raz uczuła, że z nim i słodycz życia by ją porzuciła. Z trwogą dostrzegała, ile jego pamięć głęboko w jej sercu wyryła; z trwogą rozważała, że ten Ludomir, tak jej miły, tak do jej życia potrzebny, tak (wyrzec nareście trzeba) ukochany, zupełnie był jej nieznajomy, że nie wiedziała, czem, ani kim on jest, i że tajemnica, którą się otaczał, mogła równie występki, jak i nieszczęścia ukrywać; nareszcie, że tenże sam

Ludomir, choć nią jedynie zdawał się zajętym, nigdy dotąd słowa o miłości nie wyrzekł i z szczególnem nawet staraniem szukał tego, by sam na sam nigdy się z nią nie znajdował. Te wszystkie rozwagi gdy Malwina uczyniła i stan serca, rzec można, przed zimnym rozsądkiem rozwinęła, tysiączne troski, bojaźni, żale, których nigdy dotąd nie była znała, wcisnęły się raptownie w jej duszę; i dziwić się nie trzeba, jeśli świtać już zaczynało, a Malwina oczu jeszcze nie była zmrużyła. Nie mając już nadziei zaśnięcia i strudzona najsmutniejszemi myślami, wstała, lekką na siebie suknię wzięła, by wyjść z pokoju, sądząc, że świeże ranne powietrze osłabiony umysł orzeźwi. Nim wyszła, mimowolnem poruszeniem zajęta, padła na kolana i z tkliwem uczuciem rzekła: «O! Boże litościwy, który Ojcem pozwalasz nazywać siebie, nie opuszczaj mnie nigdy! Nieszczęśliwe losy z zupełnem oddaniem się twej woli przyjmę od ciebie, jakiebądź zechcesz na przyszłe moje zesłać lata, ale, Boże litościwy, broń mię od postępków, któreby na nie zasługiwać mogły!»

Tę krótką wymówiwszy modlitwę, Malwina mocniejszą się uczuła. Okno otworzyła i, chcąca czemścić się rozerwać, wzięła gitarę z sobą i wyszła na taras, który wokoło dom opasywał. Ranek najpiękniejszy — najpogodniejszy dzień obiecywał. Gęste krople rosy ślkniły się na listkach ziół i kwiatów, którym blasku i świeżości dodawały. Powietrze było uwonione kwiatem pomarańcz, do których lekki zapach mirtu się mieszał. Skowronki, w górę wzlatując, i zięby na gałązkach radośnie zorzę witały, pszczoły brzęczały koło kwiatów, rybki skakały w wodzie. Zdaleka słychać było wesole śpiewy oraczów i ryk trzód, na paszę wychodzących. Cała natura budzić się zdawała, by nowych używać rozkoszy. Ale powszechna ta radość, zamiast coby ją miała rozerwać, boleśniej jeszcze serce Malwiny ścisnęła. Ah! nigdy skryte troski boleśniej się nie czują, *[tak]* jak w pośród okazałości szczęścia lub w gronie zabaw i radości!

Malwina, zadumana, patrząc na tę piękną krainę, w zamyśleniu oparła się o duże pomarańczowe drzewo, które kwiatem obsypane było. Wtem lekki wietrzyk zawiał, i białe listki tego kwiatu, jakby śnieg gęsty, całą Malwinę okryły. «Ach, niestety — pomyślała — ten rodzaj kwiatów później od innych

się rozwija, najpóźniej opada; niedługo i liście opadać zaczną, niedługo jesień nadejdzie! O, jakże prędko to lato minęło!»

Schodząc potem z tarasu, Malwina weszła na wał, który panował nad brzegiem łachy, zdobił ogród i razem bronił go od szkodliwych wylewów. Ławka, stojąca pod rozłożystym kasztanem na końcu wału, wabiła ku sobie. Widok na łachę, na kępę, na Wisłę i kraina najpiękniejsza szczególnie to miejsce miłem czyniły. Malwina tam spoczęła i, zdjąwszy z głowy biały welum, co ją osłaniał, machinalnie wzięła gitarę i, pograwszy czas niejaki, te słowa, które uczuciom jej odpowiadały, cichym głosem śpiewać zaczęła:

Być kochaną, jak się kocha,
Znaleźć duszę do swej duszy —
Czyliż to prośba zbyt płocha,
Co niebios nigdy nie wzruszy?

Szczęścia domyślne marzenia,
Serc rozkosze nie zmienione,
Próżne uczuciów mamienia,
Nie będziecie uiszczone!

Dziwią się czasem, gdy zakochani, szczególnem jakiemści szczęściem, zawsze trafnie znajdują się tam, gdzie mogą choć na chwilę ujrzeć cel swego kochania. Nie czarami to się dzieje, i należałoby zaprzestać temu się dziwić. Łatwą jest rzeczą do pojęcia, że ci, co jednostajnemi myślami są zajęci, równie poniekąd działają. Ludomir, jedynie Malwiną zajęty, jak ona podobnie nim, ze świtem takoż był wstał i wyszedł był do ogrodu, by myśleć o niej swobodnie. Usłyszawszy jej głos, przybiegł, od niej nie postrzeżony; lecz jak przestała śpiewać, Ludomir z nadto już pełnem sercem, by rozum najmniejszą mógł utrzymać przewagę, straciwszy głowę zupełnie, padł do nóg Malwiny — i nic innego nie mógł wymówić, jak: «Przestraszyłem cię, Malwino! ach, daruj!... wybacz... ależ bo ja tak nieszczęśliwy!...» Malwina, zlękniona, zmięszana, oniemiała. Serce jej tylu przeciwnościami w ten moment było miotane, że sama nie wiedziała, co ma odpowiedzieć; ale, oczy podniosłszy na Ludomira, postrzegła wyryty na jego twarzy takowy wyraz żalu i cierpienia, że ten słaby cień gniewu, który między innemi

uczuciami z jego raptownem zjawieniem mignął się był w jej myślach, zniknął zupełnie, i nic innego w sercu nie zostało prócz najtkliwszej litości. Zamiast wyrazów gniewu, śpiesznie wyrzekła: «O, nie bądź nieszczęśliwym! to najwięcejby mnie dręczyło; tego najbardziej wytrwaćbym *[tak]* nie mogła». Te kilka słów wymówiwszy, zapłoniona i zmięszana, twarz w welum schowała i rzewnie zaczęła płakać. «Malwino uwielbiona! Aniele dobroci! — rzekł Ludomir — nie płacz... ah, nie płacz nigdy... ostatnią kroplą krwi mojej radbym odkupić każdą łzę, którą wylewasz». Hałas z przyczyny nadchodzących osób, który zdaleka usłyszeli, przerwał tę rozmowę. Malwina z pośpiechem wstała, Ludomir, zatrzymując ją, z najczulszem dołożył rozrzewnieniem: «Malwino, na wszystko, co ci tylko jest drogiem w świecie, zaklinam cię, nie porzucaj mnie, nie zostawaj z tą myślą tak okropną, żem cię obraził. Przez litość przynajmniej; bo nie możesz pojąć, nie pojmiesz nigdy, co to jest śmieć ciebie kochać, nie mając nigdy nadziei być od ciebie kochanym!»

Malwina w ten moment tak żywo w sercu czuła, ile Ludomira kochała, że, nie mogąc *[tak]* pojąć, by on się tego nie domyślał, to słowo: «Niewdzięczny!» z ust jej się wymknęło; a słysząc coraz bliżej nadchodzące osoby, czas miała tylko najśpieszniej uciec, welum swój, łzami jej jeszcze zmoczony, w tym pośpiechu zapomniawszy. «Niewdzięczny!» z niewypowiedzianem uczuciem powtórzył Ludomir i, schwyciwszy welum Malwiny, do serca go przyciskając, rzekł z zapałem: «Chyba z życiem go stracę!»

Ta przysięga staje się osią całego romansu. Zasmucona po wyjeździe kochanka, Malwina nie może znieść samotności: chcąc więc rozerwać smutek i tęsknotę, udaje się wraz z ciotką do Warszawy. Tu na jednym z balów poznaje Ludomira w osobie ks. Melsztyńskiego, wytwornego bałamuta-salonowca, który uwija się koło lwicy wielkoświatowej, Dorydy. W pamięci Malwiny powstają wspomnienia krzewińskie, ale serce przestrzega ją, znajdując ks. Melsztyńskiego innym zupełnie, niż jej sentymentalny Ludomir z Krzewina. Z przeszłości ks. Melsztyńskiego dowiaduje się Malwina tylko tyle, że jest on synem Taidy, że matka jego, wbrew woli ojca, który chciał ją wydać za ks. Sanguszkę, wyszła za rycerskiego Ludomira, że syn urodził się w lichej wiosce na granicy tureckiej po śmierci ojca, że matka wkrótce umarła, jego zaś wychowywała lat parę młynarka z tamtejszej wioski. I nie omyliła Malwiny »domyślność serca»: na turnieju, urządzonym na życzenie Malwiny przez ks. Melsztyńskiego w dniu

3 maja, zjawia się tajemniczy czarny rycerz, który zwycięża wszystkich i otrzymuje z rąk Malwiny nagrodę. A kiedy wojska polskie gotowały się do boju (zapewne w r. 1812) i ks. Melsztyński, udając się na wyprawę, nocą w parku wilanowskim, prosił na klęczkach Malwinę o przyrzeczenie mu ręki, ta już miała mu dać odpowiedź przychylną, gdy wtem z pobliskich krzaków z okropnym krzykiem wyłoniła się blada twarz Ludomira.

245) *Tom II. Str. 80—88.* Malwina, jak drudzy, wiadomość o wojnie u siebie zastała; zastała także listy ciotki i siostry; każda z nich podług swego widzenia mówiła jej o księciu Melsztyńskim: Wanda, wspominając Krzewin i rozumiejąc, że Malwina poniekąd, równie jak wtedy, myśli; ciotka zaś, na tem najbardziej gruntując uwagi swoje, iż miłość Ludomira zbyt już była w społeczeństwie znana i od Malwiny jakoby pobłażana, ażeby bez powszechnej nagany odpowiedzi jakiejkolwiek przynajmniej już mu nie dała. Malwina, zawsze prędka do sądzenia się winną, z przykrem wrażeniem przeczytała uwagi ciotki i z bolesnem uczuciem życzenie siostry. Krzewin, Ludomir, wojna, odjazd na nią księcia Melsztyńskiego, rycerz o czarnej zbroi, wspomnienie nawet tego nieszczęśliwego jestestwa, o którym u Dżęgi słyszała i który, po tej długiej chorobie mieszkanie odmieniwszy, żadnego śladu po sobie nie zostawił: wszystkie te przedmioty i tysiączne przykre i przeciwne jedne drugim uczucia cisnęły się do serca Malwiny i boleśnie myśli jej niespokojnością napełniały. Obraz wojny, czarną wydany farbą, ustawnie stawał jej w oczach, i niemało pomnażał niespokojności. Dzień cały przepędziwszy w smutnych i trwożliwych rozmyślaniach, wieczorem chcąc się rozerwać, a nie czując ani siły, ani chęci do znajdowania się między ludźmi, umyśliła użyć samotności, korzystając razem z pogodnego wieczora. Zaprządz kazała i, wioząc się sama, nie bardzo uważała, którędy jedzie. Po chwili znalazła się blizko Wilanowa, zajechała na dziedziniec; ale że zamek nie był wtedy zamieszkanym, cichość tam największa panowała, cichość, która po hałaśnym i świetnym dniu przeszłym tem bardziej się i głuchą i smutną wydawała. Malwina wysiadła z pojazdu i weszła do ogrodu. Słońce już było zaszło, i blask księżyca oświecał tylko odwieczne szpalery, poważne świry i statuy kamienne, świadki owe wieków dawnych, które tyle już pokoleń przeżyły, tyle odmian koło

siebie widziały. Malwina, u której odwaga nie była cnotą wrodzoną, nie bardzo śmiała oczu podnosić na te posągi, cieniem okryte, którym promień księżyca, niekiedy przez liście przedzierający się, ruchu jakiegoś zdawał się udzielać. Do tego jeszcze trwożliwa pamięć Malwiny przypomniała jej wieść, mocno między pospólstwem zakorzenioną, jakoby w wilanowskich ogrodach widmo jakieś nadzwyczajne czasem miało się pokazywać. Wtem zegar na wieży zamkowej godzinę dziewiątą wybił, i Malwina, coraz bardziej strwożona, wspomniała, że od tej godziny w poniedziałki mało kto bywał w ogrodzie dla przesądu zadawnionego, że wtedy właśnie widmo to nocne wśród ciemnoty zjawiać się zwykło. Nieszczęściem, trafiło się właśnie, że tego dnia był poniedziałek, i Malwina, która, przy jasnem jeszcze słońcu z Warszawy wyjeżdżając *[tak]*, ani pomyślała o tych wszystkich bajach, w tej chwili umysł jej, tylu smutnemi uczuciami zmęczony i osłabiony, tymi nawet drobnymi szczegółami przelękniony został. Nie śmiejąc na dziedziniec wracać, bo znowu-by przez cały ogród przechodzić trzeba, gdzie każda biała statua zdawała się marą dla niej, w grobową płachtę odzianą, wolała w przeciwną udać się stronę. Zbiegła do dolnego ogrodu i odetchnęła swobodniej, gdy się w ulicy nad łachą znalazła. Ta ulica, z jednej strony wysokim lipowym szpalerem brzeżona, z drugiej strony do samej wody dochodzi. Księżyc w całym blasku, wzniesiony nad łachą, srebrną pręgą ją przedzielał, a słowik, wdzięcznym swoim głosem ciszę przerywając, zdawał się chcieć wypędzić okropność z serca Malwiny, a słodką tylko melancholią napełnić. Malwina, trochę już spokojniejsza, została zdolną cenić piękności tej nocy wspaniałej; szal i kapelusz zdjęła, by lepiej z powietrza korzystać. Wietrzyk igrał w jej włosach i z białym muślinem, którym była odzianą; a ktoby ją był wtedy spotkał, mógłby ją wziąć łatwo nie za marę okropną, ale za ducha powiewnego. Ławka na końcu ulicy nad wodą stała, Malwina doszła do niej i usiadła; strach ją był niemal zupełnie opuścił, ale skłonność do rozrzewnienia się i ściśnienia serca nie ustawały jeszcze. Rok mijał właśnie, jak w tym samym miesiącu, o tej samej niemal porze Ludomira była poznała w Krzewinie. Wieluż zdarzeń przez ten rok doświadczyła? wieleż uczuć, dotąd jej obcych, doznała? wieleż

nadziei przyćmionych, wiele odmian zgasłych?... Zdawało jej się, to wszystko wspominając *[tak]*, że dłużej żyła przez ten rok jeden, niż przez resztę bytu swojego na ziemi.

Wtem dumania jej przerwane, a strach znowu wzbudzonym został postrzeżeniem figury, idącej ku niej z końca ulicy; lecz wkrótce uspokojoną została, gdyż poznała, że to był książe Melsztyński. «Nie śmiałbym nigdy przerywać samotności twojej, śliczna Malwino — rzekł, do niej przybliżając się — ani naprzykrzać się powtórzeniem wyrazów nieszczęśliwego uczucia, które, gdy nie jest dzielonem, aż nadto nieznośnem być musi; lecz rozpacz czasem zuchwałym czyni. Rozpacz serce moje zajęła, gdy, nie widząc cię dzień cały, w wieczór nie zastałem cię w domu. Jutro równo ze świtem rozkaz mamy rzucać Warszawę; wychodzim na wojnę. Wojna okropna nas czeka; losy wszystkich niepewne. Malwino! myśl, że może przyjdzie zginąć; nie widząc ani pożegnawszy ciebie, nie powtórzywszy ci raz ostatni, że uwielbiam cię nad wszystko w świecie, myśl ta okrutna opanowała całą duszę moję i żadnej innej nie dopuściła rozwagi. Dowiedziawszy się, żeś w tę stronę pojechała, przyleciałem i u nóg twoich o przebaczenie mojej zuchwałości, o litość błagam nad moją rozpaczą!» To mówiąc, książe Melsztyński padł u nóg Malwiny i, wlepiwszy w nią oczy, z trwogą czekał, rychło ona słowo wyrzeknie.

Tysiąc uczuć cisnęło się w serce Malwiny i moc do odpowiedzi odejmowało zupełnie. Lecz wyraz boleści, wyryty na twarzy Ludomira, przestrogi ciotki, tylokrotnie powtórzone i które w ostatnim liście tyle jej uczyniły wrażenia, tkliwe rozrzewnienie, któremu zbiór okoliczności, miejsce, pora, ledwo nie powiem, godzina, mocy niezwyczajnej dodawały, a bardziej, jak *[tak]* to wszystko, obraz niebezpieczeństw, na które szedł Ludomir, które żywa imaginacya Malwiny najokropniej jej wystawiała, wszystko to, złączone razem, opanowało jej duszę i wymogło (rzec mogę), że, podniosłszy oczy, podała rękę księciu Melsztyńskiemu i raptownie wymówiła: «Wróć książe tylko szczęśliwie, a po wojnie...» Wtem krzyk okropny przerwał jej słowa, i widmo nad zwyczajne zmysły jej odjęło. W gęstwinie szpalerem, blaskiem księżyca zupełnie oświeconego, na przeciwko siebie Malwina ujrzała drugą postać Ludomira; postać ta okropność i roz-

pacz nosiła na twarzy; nieład włosów i bladość nadzwyczajna mieszkańca już nie tej ziemi wyrażać zdawała się. Malwina zemdlała zupełnie, a książe Melsztyński, który, tyłem obrócony do szpaleru, nie mógł widzieć przyczyny jej przestrachu, rozumiejąc, że krzyk ten okropny, któren oboje słyszeli, jedynie sprawiał jej trwogę, niemniej jednak, jak Malwina, został zlęknionym, widząc ją leżącą bez duszy i tak daleką od wszelkiego ratunku. Oparł ją o ławkę, a sam poleciał do łachy czerpać wodę w kapelusz, nie mając naprędce innego sposobu ratowania jej. Szczęściem ludzie Malwiny, niespokojni, widząc, że tak długo nie wraca, szli właśnie jej szukać i, słysząc ten krzyk okropny, zbiegli się nad łachę, gdzie znaleźli panią swoją, jak martwą, leżącą, a księcia Melsztyńskiego, któremu ten widok przytomność odejmował, w ostatniej rozpaczy.

Długą i ciężką chorobą przypłaciła Malwina to widzenie, a po przyjściu do siebie uciekła od tych wspomnień do Krzewina. Tymczasem z pola walki dochodzą wieści, że w bitwie pod Mohylowem ks. Melsztyński został ocalony przez nieznajomego rycerza, który o mało tego nie przypłacił życiem; szukano go potem wszędzie, chcąc go wynagrodzić za to bohaterskie poświęcenie, ale znikł gdzieś bez śladu. Nadspodziewanie odnajduje się w Krzewinie, w samotnym domku na kępie; ku jeszcze większemu zdziwieniu wszystkich okazuje się, że jest on łudząco podobny do ks. Melsztyńskiego, a Malwina poznaje w nim owego Ludomira, z którym spędziła tyle uroczych chwil w Krzewinie. Z opowiadań młynarki, ktora pielęgnowała Taidę podczas choroby, okazuje się, że Taida powiła nie jednego, lecz dwu synów-bliźniaków, z których jeden, dla znamienia na rączce, został nazwany Płomieńczykiem. Ow Płomieńczyk, wyszedłszy kiedyś do lasu na jagody, zaginął, a młynarka, chcąc uniknąć odpowiedzialności, utaiła przed ojcem Taidy istnienie dwu synów. Płomieńczyka wzięli z sobą cyganie, a potem wychowywała go pewna dobra kobieta, u stóp Karpat, wśród skał i lasów; owa to właśnie natura górska bogata i dzika wyrobiła w chłopcu wrażliwość i uczuciowość, cechy charakteru, które od pierwszego poznania pociągnęły ku Ludomirowi serce i wyobraźnię Malwiny. Wszystko pomyślnie się kończy, bo i Malwina wychodzi za Ludomira Płomieńczyka, i ks. Melsztyński, wyrzekłszy się płochych i lekkich miłostek, żeni się z jej siostrą, Wandą. Romans cechuje właściwy Puławom sentymentalizm, ujawniający się i w postaciach bohaterów i w sytuacyach. Rozmowy miłosne, pełne uczuciowości tkliwej, urywane, z towarzyszeniem wykrzykników, westchnień, a wreszcie i łez, całymi potokami przelewanych przez bohaterów i bohaterki — oto czem charakteryzuje się Malwina. Jeżeli kochają, to czule i stale, z sercem gotowem do poświęceń; jeżeli spotykają się, to zawsze nocą, w parku: krzewińskim lub wilanowskim; jeżeli urządzają jakie zabawy lub uroczystości, to na tle mitologicznem jakiś obraz sielan-

kowy: np. na imieniny Malwiny Ludomir układa żywy obraz, w którym Wanda gra rolę Przyjaźni, a mała dziewczynka, Alina — Miłości. Ta skłonność do sentymentalizmu i marzycielstwa rozwinęła się w autorce pod wpływem Rousseau'a i Sterne'a, a także jej własnego, smutnego w samotności życia po rozejściu się z mężem. Nie ulega wątpliwości, że w opisie pożycia Malwiny z pierwszym mężem autorka ma na myśli siebie samą i ks. Wirtemberskiego. Dodać należy, że rozdział p. t. «Kwesta» zawiera sporo szczegółów obyczajowych z życia ówczesnej Warszawy; przytem Krzewin, nad brzegiem łachy wiślanej, z kępą, «cienistymi umajoną laskami», przypomina Puławy; jest tu też opis Wilanowa ze wspaniałym parkiem; nie brak wreszcie i podkładu narodowo-patryotycznego. Ma jednak »Malwina kilka punktów słabych, na których osnuwają się wypadki z życia obu Ludomirów i Malwiny: np. przysięga Malwiny, że nie będzie nigdy starała się odkryć tajemnicy pochodzenia Ludomira, nadzwyczajne podobieństwo obu braci, niespodziewane zjawienie się Płomieńczyka w parku wilanowskim, przybycie jego do Krzewina, które rozwiązuje splątaną sytuacyę, i t. d.

Opracował H. GALLE.

XLV.

CHODŹKO JAN

(1777—1851).

Jan Borejko Chodźko urodził się w r. 1777 dnia 24 czerwca we wsi Krzywiczach w województwie mińskiem, powiecie mińskim. Chmielowski w «Wielkiej Encyklopedyi Illustrowanej» podaje, jako rok urodzenia — 1776, jako miejsce urodzenia — Zaborze, nie wskazując jednak źródła, skąd czerpie te wiadomości. My idziemy tu za wskazówkami Dominika Chodźki. Osierocony w młodych latach przez rodziców, nauki szkolne pobierał w Wilnie. Po ukończeniu szkół oddał się gospodarstwu rolnemu, nie zapominał wszakże i o obowiązkach społecznych i był kolejno sędzią, podkomorzym, wreszcie prezesem izby cywilnej mińskiej. Dom jego w Mińsku był prawdziwem ogniskiem oświaty i ruchu umysłowego. Między innemi był Chodźko członkiem loży wolnomularskiej, a potem założycielem i wielkim mistrzem dwu lóż: w Mińsku i Wilnie. Ożeniony z Klarą Korsakówną, nabył majętność Parafianów, w blizkości rodzinnych Krzywicz. Przeniósłszy się do Wilna w charakterze prokuratora masy Radziwiłłowskiej (jedyną spadkobierczynią olbrzymich dóbr Radziwiłłowskich była Stefania, późniejsza Wittgensteinowa), zyskał i tu uznanie: brał udział w pracach Szubrawców pod przydomkiem Wajzgantosa, został mianowany honorowym członkiem uniwersytetu wileńskiego, piastował też godność wizytatora szkół gubernii mińskiej i wileńskiej. W r. 1815 przedsięwziął podróż do Warszawy dla nawiązania stosunków z miejscowymi literatami i wolnomularzami. Do ulubionych jego rozrywek należał teatr amatorski: widowiska, składające się przeważnie z tragedyi pseudoklasycznych, odbywały się w miasteczku Zaborzu w powiecie oszmiańskim, u marszałka Bujnickiego; Chodźko organizował je i sam też brał udział w ich wykonaniu z aktorami Teatru Narodowego w Warszawie. Sam też pisywał dramaty: sztuka okolicznościowa, napisana w r. 1812, zjednała mu rozgłos; w spuściźnie jego

literackiej pozostały dwie jeszcze tragedye: «Bolesław Krzywousty» i «Krakus», z których pierwsza tylko była wystawiona. Największy jednak tytuł do pamięci dały Chodźce nie dramaty, i nie powieści, choć najlepsza z nich, «Pani kasztelanowa i jej sąsiedztwo», dzięki wyrazistości typów i scen rodzajowych, podobała się w swoim czasie niezmiernie, a Syrokomla wysoko ją stawiał» dla niezmiernie trafnej prawdy i rysunku staroświeckich typów i miłości, jaką te postaci otoczył», i nie przekłady Scribego tem bardziej, ale nadewszystko i niemal jedynie utwór, przeznaczony dla szerokich warstw czytelniczych, p. t. «Pan Jan ze Świsłoczy, kramarz wędrujący» (Wilno 1821; wyd. 2-e tamże 1825, przekład litewski ks. prałata Rupejki, Wilno 1823); dziełko to przez komitet szkolny uniwersytetu wileńskiego zostało uznane za elementarne dla szkółek miejskich. Na starość Chodźko usunął się od spraw publicznych, osiadł zrazu w Krzywiczach, potem zaś, po sprzedaży Krzywicz i Parafianowa, w wydzierżawionym folwarku Janowszczyźnie, na samej granicy gubernii mińskiej i wileńskiej. Powołany w r. 1851 na członka mińskiej komisyi budowlanej, przeziębił się w drodze podczas wizyt urzędowych i zmarł w Mińsku dnia 10 listopada; pochowany w Zasławiu.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

Zbiorowe wydanie dzieł Chodźki wyszło w Wilnie w r. 1837—42, w dwunastu tomikach. Treść tych tomików, jak również szczegółowy wykaz osobnych druków i rękopisów, podaje Dominik Cezary Borejko Chodźko w życiorysie Jana Chodźki («Teka Wileńska» N. 5, str. 271—292) «Pr. art. Chmielowskiego w «Wielkiej Encyklopedyi Ilustr».

„Pan Jan ze Świsłoczy, kramarz wędrowny" (1821).

Dziełko niniejsze, «uznane przez Rząd Cesarskiego Wileńskiego Uniwersytetu za pożyteczne dla szkół parafialnych», a natchnione przez «Pielgrzyma w Dobromilu», składa się z dwu części, każda po 11 rozdziałów. Pomysł jego przypomina nieco »Pana Podstolego« Krasickiego: w szatę powieściową przybrany szereg nauk i przepisów życiowo-moralnych. Akcya powieściowa, jak i w pierwowzorze, niezmiernie uboga: pan Jan ze Swisłoczy, zacny kramarz wędrowny, chodzi od wsi do wsi, z kiermaszu na kiermasz, z odpustu na odpust ze swoim towarem, składającym się z książeczek popularnych, rzeczy potrzebnych i pożytecznych włościaństwu, a także z przestróg, nauk, wskazówek, które wypowiada bądź w rozmowach z chłopami, bądź do autora. Są tu więc rady gospodarskie: o orce i uprawie roli, o hodowaniu i leczeniu bydła rogatego i koni, o pszczelarstwie, o sadownictwie aż do drobiazgowych wskazówek bielenia płótna, rozpoznawania grzybów trujących i jadalnych i t. p. Wiele tu też znajdziemy wskazówek

hygienicznych, dyetetycznych, a także ratowniczych w nagłych wypadkach utonięcia, zaczadzenia, zmarznięcia, zduszenia w tłumie, utracenia przytomności od pijaństwa, a to wszystko zaczerpnięte z dziełek popularnomedycznych, jak np. «Instrukcya o rozpoznaniu śmierci prawdziwej od pozornej», «O pozornej śmierci» Jędrzeja Sniadeckiego («Dziennik Wileński», 1805—6), «O ospie krowiej« prof. Augusta Becu. Wszędzie, gdzie zjawia się pan Jan, jest prawdziwym dobroczyńcą i opiekunem wieśniaków: ratuje ginących, uczy ciemnych (zapomocą popularnej wówczas metody Lankastra), wykorzenia zabobony, jak np. wiarę w czarownice, zwiedza szkółki wiejskie, łagodzi dzikość obyczajów, tłómacząc np. chłopom, że nie należy bić żony, choć własna, przestrzega przed wyzyskiem oszustów i wydrwigroszów: cyganów, Węgrów-olejkarzy, znachorów, arendarzy, powstaje zwłaszcza przeciw Żydom, ciesząc się nadzieją, że rząd przesiedli ich do południowej Rosyi, podnosi dobrobyt, ucząc np. dzieci wiejskie koszykarstwa, gromi najbardziej za pijaństwo, a z powodu jakiegoś chłopaka, który odciął sobie palec, by nie pójść w rekruty, karci uchylanie się od służby wojskowej; wreszcie w postaci dawnego wojskowego kreśli typ doskonałego, rządnego, pracowitego i postępowego rolnika. Dziełko to, drugie z szeregu ludowych w naszem piśmiennictwie po »Pielgrzymie w Dobromilu«, natchnione ideami wieku »oświecenia«, mimo pewnych tendencyi nad miarę lojalistycznych sprawia niezwykle dodatnie wrażenie swą gorącą chęcią niesienia dobrobytu materyalnego i duchowego pod strzechy.

Kiermasz w Czaśnikach. — Zdanie pana Jana o żebrakach. — Przygoda z małżeństwem swarliwem. — Wróżbiarstwa Cyganów.

246) *Cz. I. str. 29—37.* Nic szczególnego nie zdarzyło się nam w dalszej podróży. Pan Jan znalazł wiele osób znajomych sobie na kiermaszu w Czaśnikach; a że te doświadczyły nieraz jego rzetelności i innym ją zaleciły, wyprzedał znacznie towarów, tak dalece, że, czując potrzebę odpoczynku, wcześnie przed wieczorem zamknął kram i udał się ze mną na przechadzkę dla przypatrzenia się kiermaszującym.

Blizko kramów siedzieli na ulicy we dwa rzędy żebracy, rozmaitem kalectwem dotknięci, i ciągłym wrzaskiem wzbudzali przechodzących do litości. «Mospanie, rzekł do mnie pan Jan, nigdy nie mogę bez gniewu i zawstydzenia patrzyć na nieład i prawdziwie niechrześcijański obyczaj w naszym kraju. Niema tego gdzieindziej: każdy gospodarz w domu utrzymuje okaleczałych lub zgrzybiałych rodziców i krewnych swoich; a gdy są pozbawieni familii, wieś ich rodzinna dostarcza z ogólnej składki na wyżywienie i odzież. Ta obojętność na cierpienie i nędzę bliźniego przeciwna jest głównej zasadzie świętej re-

ligii naszej, nakazującej, abyśmy się wspólnie, jak bracia, kochali i wzajemnie wspierali siebie we wszystkich przygodach życia tego, zwłaszcza nie z winy naszej przytrafionych *[tak]*. Scierpiż przykładny i bogobojny chrześcijanin, aby dzieci własnych rodziców zgrzybiałych z domu na żebraninę puszczały? aby rodzina nie przytuliła w chacie swojej krewnego, gdy go kalectwo dotknęło? A gdy ci nieszczęśliwi nie mają nikogo ze krwi, czyliż dopuści, aby dlatego włóczyć się mieli? Nie jestże powinnością każdego korzystać z nauk, jakie gorliwi plebani wykładając prawdy Ewangelii świętej, tak często powtarzają i własnym zachęcają przykładem? Nie trzeba na załatwienie nieodbitych potrzeb prawdziwie ubogich wielkich nakładów; małe ofiary, ale rządnie użyte, stałyby się dostatecznym w każdej parafii funduszem do utrzymania zgrzybiałych i kalekich. Co gorsza, mospanie, że liczba żebraków coraz zdaje się powiększać. Niejeden, sprzykrzywszy pracowity kawałek chleba, okryje się brodą, zawiesi torbę na plecy i dalej na wędrówkę; a nikt go nie spyta: dokąd i dlaczego wędruje? Patrz WPan! Oto ślepy dziadek mija, chłopak wyrostek prowadzi go; rozumiesz może, że to syn pobożny czyni tę posługę ślepemu ojcu? Przekonajmy się. — «Staruszku! czy tutejszy jesteś?» — «Nie, dobrodzieju, przywlókłem się z daleka». — «Skądże przecie? Aż z za Połocka». — A tenże chłopiec, czy to twój wnuk?» — «Nie, mospanie, to jest sierota, służył za pastuszka u gospodarza, namówiłem go, aby mnie prowadził, i poszliśmy razem». — «A widzisz WPan — rzekł dalej pan Jan — to już nowe pokolenie żebraków. Chłopak ten do niczego zdatny nie będzie, nauczy się zmłodu próżnowania, pijaństwa i temu podobnych nałogów; przywyknie do łatwego chleba: cóż będzie czynił, gdy mu go zabraknie? Bogdajbym nie wywróżył! ale wyjdzie niezawodnie na hultaja i złodzieja. Gdyby ten ślepy został w swojej wiosce i pilnował parafialnego kościoła, nie potrzebowałby przewodnika. Gdyby gospodarze, sąsiedzi jego, znali obowiązki religii, nie puściliby go na włóczęgę; przewodnik pomagałby któremu w chacie i wyrósł z czasem na dobrego parobka, a teraz już go i poprawić niełatwo».

Szliśmy dalej. »Hej, hej, panie gospodarzu! — zawołał pan Jan — za cóż waszeć bijesz tę biedną kobietę?» — «To jest moja

żona» odpowiedział. — «Tem ci gorzej, przyjacielu! Bóg ci dał towarzyszkę nie dlatego, abyś się z nią po katowsku obchodził; jest to wspólniczka twego życia, matka twych dzieci i gospodyni domu, a zatem warta poszanowania». — «Ej, co tam — ofuknął się wieśniak — co to do waszeci należy? ja wiem, co robię». — «Nie chce mi się temu wierzyć — odpowie pan Jan — ale przecież powiedzcie, o co rzecz idzie». — Wieśniaczka: Ach, dobrodzieju! nie uwierzysz waszeć, co to za przeklęty opilec! Dziś rano poszliśmy na kiermasz i kozę do sprzedania wyprowadzili, przedaliśmy ją za złotych 6, potem on i ja byliśmy na chwałę Bogu u spowiedzi, po nabożeństwie wypiliśmy kwaterkę wódki; chciałam, żeby się na tem skończyło; ale ten opój, dobrawszy sobie podobnych towarzyszów, już dwa złote przepił, i nie można go z karczmy wyciągnąć; biedna ja kobieta! Dzieci bez chleba w domu płaczą, a on tu bankietuje i póty będzie siedział, aż wszystkie pieniądze przepije. — Wieśniak: Co tobie do tego, te pieniądze są własne moje, rozumiesz? ja za swój grosz piję. — Wieśniaczka: Twoje, opoju, twoje! a to skaranie Boże!... przemieniłeś z Żydem-arendarzem moją posażną krowę na tę kozę, wziąłeś przydatku rubla i dwa garnce wódki, przepiłeś wszystko i jeszcze teraz gadasz... O, ja nieszczęśliwa kobieta! skarał mię Pan Bóg takim hultajem. — Wieśniak: A pókiż tego... Tu znowu zabierał się do bicia żony, ale pan Jan przeszkodził i tak mówił do wieśniaczki: «Matko! zatrzymaj swój język, on tu nie tylko nic nie pomoże, ale gorszego jeszcze narobi licha. Powiadasz, że byłaś u spowiedzi, musiałaś wyznać przed kapłanem grzech tak ciężki, to jest świegotliwość, dla której, jak uważam, ustawnie mężowi głowę piłujesz. Któż wie, może zmartwienia, jakich stajesz się przyczyną, przyprowadzają go do pijaństwa? Bądź więc, matko, łagodną: powiedz w czasie, co masz powiedzieć, bez wyrzekania i przeklęctw; zobaczysz, że Bóg cierpliwość twoją pobłogosławi, mąż się ustatkuje, i gospodarstwo poprawicie». — «Ach! jakże WPan słusznie mówisz — przerwał wieśniak — Powiedziawszy prawdę, nie myślę czasem pójść do karczmy, ale, jak zacznie Agata mleć językiem... Człowiek nie święty, w złość wpadnie i upije się z biedy«. — «To nie wymówka, gospodarzu— odpowie pan Jan — mąż jest głową domu; żebyś waszeć był

pracowity i stateczny, żebyś dawał dobry przykład żonie i dzieciom, żebyś dobytku i chudoby z domu do karczmy nie włóczył, wszystko inaczej byłoby; żonaby ciebie szanowała i słuchała, ustałaby przyczyna do swarów, gospodarstwo szłoby, jak z płatka, a dobra corazby przybywało. Ale to, jak uważam, obojeście lepsi; a co najgorsza, że i spowiedź wam nie pomaga; gdy nawet tego dnia, któregoście za grzechy swoje żałowali, znowu do nich powracacie. Posłuchajcież mnie teraz, wstrzymajcież się od nałogów swoich i od dziś dnia zaczniejcie *[tak]*; z początku będzie może ciężko, ale potem sami nie postrzeżecie, jak lepszemi zostaniecie. Ty, gospodarzu, zanieś resztę pieniędzy do domu, abyś miał czem dzieci pożywić. A ty, matko, cierpliwością i łagodnością staraj się zasłużyć na jego przychylność; pracujcie szczerze i wspólnie, a Bóg wam dopomoże. Tymczasem ruszajcie zaraz z kiermaszu i prosto jedźcie do domu». — «Niechże i tak będzie — rzecze wieśniak — aby tylko w pokoju». — «Ręczę ci za to, Macieju — odpowie żona. — Dziękujemy WPanu za dobrą radę».

— «Cóż tam znowu nowego — rzecze pan Jan — gdyśmy kilkadziesiąt kroków rynkiem uszli. — To są, widzę, Cygani i Cyganki, których tłum wieśniaków otacza; otóż podobne Żydom pijawki; pójdźmy przypatrzyć się ich oszustwu». Cyganki wróżyły wieśniaczkom z rąk i z oczu, a cygani grali na szałamajach i tańcowali. Zbliżaliśmy się w cichości. Pan Jan poskoczył raptownie i schwycił jednego Cygana, wyciągającego wieśniakowi worek z kieszeni. «A tuś mi, łotrze! — zawołał — także to pięknie bawicie tych łatwowiernych ludzi?» Wyrwał się winowajca i potrafił ukryć się w ciżbie; pomieszały się tańce i wróżbiarstwo. A pan Jan, oddając skradziony worek wieśniakowi, tak mówi: «Moi przyjaciele, żal mi was prawdziwie, że się pozwalacie durzyć tym oszustom; gdy jedni was zabawiają, a drudzy przyszłe rzeczy niby wróżą; każdy z nich o tem tylko myśli i na to cały próżniacki wysila dowcip, jakby was oszukać lub okraść. Pomiarkujcie sami: żeby ich wróżby szczęście jakowe sprawić wam mogły lub przyszłe rzeczy przepowiadały, czyliżby najpierw sobie co dobrego nie wywróżyli i nie znaleźli sposobu wydźwignienia się bez pracy z nędzy, w jakiej zostają? Przyszłość jednemu tylko Bogu wiadoma; ukrył on

przed człowiekiem dalszą kolej życia jego, aby w pracy swojej szukał zabezpieczenia od nędzy i kawałek chleba spokojny na starość przygotował. Ty, matko, chciałaś się zapewne od tych bałamutek dowiedzieć: czy będziesz miała z dziatek swoich pociechę? lecz ta od ciebie samej zawisła: wychowuj je w bojaźni Bożej, bądź sama przykładną i cnotliwą i nic takiego nie dopuszczaj się, coby dzieci gorszyć mogło; zaprawiaj je wcześnie do pracy i trzeźwości, nie psuj pieszczotą, nie kochaj jednego więcej nad inne, a zobaczysz, że ci się wszystkie udadzą, i na starość będziesz z nich miała pomoc w domu i poszanowanie, najmilszą za starania rodzicielskie nagrodę. A ty, dziewczyno, czegoś się pytała? pewnie o zamążpójście, kiedy nastąpi, i jakiego dostaniesz męża? Płonisz się! więc prawda! wiedzże o tem, że i ja wróżbitem jestem, a jeżeli rady mojej posłuchasz, najlepszy w wiosce dzieciuch nie minie ciebie. Bądź zawsze obyczajną i skromną, tak ściśle przestrzegając siebie, aby i najjadowitszy język nic złego o tobie powiedzieć nie mógł; to w twoim stanie najpierwsza cnota. Niewiele usiłuj, aby ubrać się wykwintnie i piększyć; to płochych tylko pociąga i niejednego kłopotu staje się przyczyną; ochędożnie i podług stanu ubrana dziewka najlepiej się podoba, bo często ludzie o wewnętrznych przymiotach z powierzchowności sądzić zwykli i nie zawsze się mylą. Bądź pracowitą, wszystkie roboty, stanowi swemu przyzwoite, umiej dobrze i wypełniaj je ochoczo, unikaj swarów i plotek, nie mów źle o nikim, aby o tobie we trójnasób nie odgadali. A z tymi przymiotami, choćbyś i posagu nie miała, zaręczam, że najlepiej za mąż pójdziesz. Wy zaś wszyscy, jeżeli dobra swojego pragniecie, unikajcie na zawsze społeczeństwa Cyganów; czegóż dobrego od tych włóczęgów nauczyć się możecie? Zastanówcie się sami i osądźcie, jakiej wartości jest człowiek, który, będąc zupełnie zdrowym, unika pracy i z oszustwa tylko chce pożywać chleba? Strzeżcie się ich, jak morowej zarazy, i, skoro się we wsi pokażą, wyganiajcie natychmiast. Hultaje nie zasługują na litość; okazać im, owszem, wzgardę należy i zamknąć serce i chatę przed nimi. To będzie jedyny sposób poprawienia ich i przyuczenia do pracy».

Ledwie skończył mówić pan Jan, hałas wielki dał się słyszeć opodal. Pobiegliśmy w tę stronę i dowiedzieliśmy się, że

Cygan ukradł włościaninowi konia i co tchu z nim umknął. «Otóż to prawdziwie nauka, doświadczeniem wsparta — rzekł do mnie pan Jan, wzruszając ramionami. — Mój Boże! i takich prożniaków i złoczyńców cierpią jeszcze! Lecz i my tutaj czekać nie mamy czego; opuśćmy miasteczko przed nocą, aby i nam co podobnego nie przytrafiło się w kiermaszowym zgiełku».

Opracował H. GALLE.

XLVI.

CHODAKOWSKI ZORYAN
(Czarnocki Adam)

(1784—1825).

Przyszedł na świat w Podhajnej pod Nieświeżem w województwie Nowogrodzkiem, jako syn oficyalisty wiejskiego, Jakuba Czarnockiego, zbiedniałego, może nie bez winy własnej, szlachcica, którego stryjowie i bracia posiadali wsie i wioski na Białorusi, zwłaszcza w Słuczczyźnie. Gdy matka zmarła, a ojciec w poszukiwaniu lepszej doli powędrował na Mazowsze, ośmioletniego chłopca wziął do siebie brat matki, ksiądz Borodzicz w Mińsku. Chłopiec umiał już jakotako czytać, wuj go w sztuce tej wykształcił, a dziecko chciwie bardzo jęło się książki. Po trzech latach ojciec wrócił w strony rodzinne, lecz za nim szła i dawna bieda; widząc zdolności marniejące z braku nauki, odważył się uderzyć do zamożnego krewnego, Ksawerego Czarnockiego, podstolego witebskiego w Lecieszynie: przywiózł mu syna na wychowanie. Podstoli nie był niechętny, wybaczył krewniakowi biedę i dziecię jego do swego domu przyjął. Adaś dostał się pod ochmistrza domowego Malewicza, któremu wspomnienia rodzinne wystawiają dobre świadectwo. Chłopiec uczył się tak pilnie, iż po dwu latach niespełna można go było oddać już do środkowej klasy (gramatyki) trzyklasowych szkół słuckich. Szkoły słynęły, ale uczeń, ponad zwykły poziom już oczytany, żywy, rozumny i poważny, nie był z nich zadowolonym; wszedłszy na retorykę, w 15-m roku życia, w pamiętniczku swym zapisał westchnienie: «O, żebym ja choć od jednego człowieka doznał zachęty! Żeby mnie choć jeden zechciał nauczyć co myśli, żeby choć jeden chciał zbadać co ja myślę» — a ojcu usprawiedliwiał się ze złych cenzur: «Nie ma tygodnia jak stopy nauczycieli łzami oblewałem, błagając: uczcie mnie, uczcie. A oni, zowiąc mnie niesfornym, upartym, zgromili i gniewają się, że ja dalej a może głębiej zapuszczam spojrzenia niż oni». Mógł się nawet co do tych

spojrzeń nie mylić: w szkole umysłowi tak ciekawemu i rozprężliwemu było zaciasno i stąd zniechęcenie, zaniedbywanie się w nauce, która, będąc przeważnie formalną, filologiczną, w duszy rwącej się do życia, do ludzi żywych, nie do liter, zostawiać musiała po sobie czczość. Niezawodnie też do ujemnego nastroju przyczyniło się i uczucie miłości własnej, nieraz smaganej w domu bogatych krewnych. Przebywszy obie dwuletnie klasy, d. 12 lipca 1801 r. ukończył retorykę a z nią i szkoły.

Ojciec już nie żył, zmarł był przed rokiem. Osierocając 17-to letniego syna, zwalał na niego ciężar: dwoje przyrodnich z drugiego małżeństwa. Adam zaopiekował się drobiazgiem jak mógł: wyjednał obojgu przytułek u krewnych, ale już innych, w głębszej Słuczczyźnie. Co miał z samym sobą robić — nie wiedział. W palestrze pewny był zawsze kawałek chleba. Czarnocki, przy swej chciwości na książki, i dawniej już nieraz pewno do Statutu zaglądał, a teraz, gdy musiał nietylko o sobie samym myśleć, ale i rodzeństwem się opiekować, odzyskanie domu w Mińsku, wydzieranego jeszcze ojcu w niesprawiedliwym procesie, mogło się stać poważnym celem wiedzy prawnej, sztuki wygrywania procesów. Tej też sztuce poświęcił się młodzieniec szukający drogi swej przez świat. Tułając się po Nowogrodzkiem, w r. 1803 zaczął praktykę przy adwokacie-regencie w Nowogródku; wyrobił się szybko; w końcu r. 1805 musiał zdać jakiś egzamen, gdyż w styczniu następnego wystawiono mu patent na regenturę ziemską w Słucku, co dawało już stanowisko. Jedną z najpierwszych spraw wygranych było wypędzenie wdzierców z owego domostwa mińskiego; oddał je Adam bratu i siostrze przyrodniej, zrzekając się wszelkich praw własnych. W całej krótkotrwałej praktyce największe dla niego samego znaczenie miały archiwa sądowe w Nowogródku, Słucku i Mińsku, które przeglądał, wraz z kronikami i herbarzami; sama praktyka przywiązać go do siebie nie zdołała; dążności czysto umysłowe silniejsze były od ponęt materyalnych korzyści, jakie daje adwokatura. Bywając w Lecieszynie, przemieszkując tam nawet czas dłuższy, pozbywał się niechęci, zawiązał nawet z młodym krewniakiem swoim Karolem stosunek serdeczny i zapewne temu pożyciu zawdzięczył poparcie do Niesiołowskiego, ostatniego wojewody nowogrodzkiego; w marcu 1807 r. został zastępcą pełnomocnika, a wkrótce i samym pełnomocnikiem, i osiadł w Worończy. Obowiązki swe spełniał dobrze, ale z największą gorliwością porządkował archiwum, które znowu pozwoliło mu zajrzeć w przeszłość. Niema śladu, aby zetknięcie się z ludem obudziło wówczas już, w okresie poszkolnym, jąkąkolwiek chętkę ludoznawczą; żadne też świadectwo nie stwierdza skierowania się już wtedy myśli twórczej na Słowiańszczyznę.

W życiu Czarnockiego miał nastąpić zwrot niespodziewany. Sięgnęła po niego z księstwa idea niepodległości. Skarżył się był później na Czarnockich, że wychowany wśród Polaków, nie był wychowanym na Polaka; teraz sam zapragnął Polakiem się okazać.

Jeden z młodych Niesiołowskich zbiegł był do Księstwa i zaciągnął się pod chorągiew narodową. Dobrze mu było w wolności i w wojsku; napisał do pełnomocnika w Worończy: przyjeżdżaj. Czarnocki usłuchał i nierozważnie oddał list na pocztę. Czujne miała wtedy oczy, uszy i nosy policya rosyjska: list przejęła i d. 5 marca (s. s. 1808) uwięziła Czarnockiego w Worończy. Wsadzony na kibitkę, przywieziony przed gubernatora w Grodnie, stamtąd dostawiony do Petersburga, przesiedział w Petropawłowsku do końca roku. Dnia 12 stycznia 1809 r. pognano go w partyi do Nowogrodu nad Wołchowem. Tam dopiero dowiedział się, że za owo przestępstwo listowe skazany jest na całe życie «w sołdaty» i to w niezwykłe sołdaty, bo aż do drugiej dywizyi, Głazenapa, o 3550 wiorst, do Omska. Oczywiście, utracił i szlachectwo. Znana dobrze Polakowi droga na Kazań, Perm, Tiumeń, prowadząc Czarnockiego na Syberyę, dała mu poznać Rosyę północną i zetchnęła go z jej ludami i ludyszczami, poza Wołgą już wyłącznie fińskiemi i mongolskiemi. Zdaje się, że wtedy dopiero zaczęła się w nim obudzać ciekawość etnograficzna w najrozleglejszem pojęciu. Sam on mówi, że po drodze zbierał wiadomości o Czeremisach, Wotiakach i Wogułach, ściągał z nich znamiona antropologiczne i układał słowniczek gwar ludków fińskich. Spotykanym Polakom pisywał listy do kraju. U celu podróży stanął w początku lipca 1810 r. Niedługim miał być jego pobyt zrazu w Presnowsku, później w Omsku. Ledwo go w mundur żołnierski przyodziano, dywizya otrzymała rozkaz wymarszu do Europy; Aleksander I, przygotowując się do wojny z Napoleonem, ściągał zawczasu swe siły. W końcu września rekrut maszerował już napowrót do Rosyi. Na zimowe leże dywizya stanęła w Permie i w okolicy. Czarnocki prowadził dalej swe wywiady etnograficzne, niedotykające jeszcze wcale Słowiańszczyzny. Wczesną jesienią roku 1811 znalazł się w Bobrujsku, gdzie kazano dywizyi się zatrzymać. Całą tę drogę wygnańczą tam i napowrót opisał w dzienniku-pamiętniku p. t. «Bez chęci podróż moja». Los obecny tych zaciekawiających zapisek wiadomym nie jest; zdjęcia etnograficzne uronił Czarnocki w podróży.

Zamiar powstrzymany w r. 1808 urzeczywistnił się w warunkach o wiele cięższych w 1811-m. Czarnocki zbiegł z szeregów rosyjskich do Księstwa; w kontrolach zapisano go jako umarłego. Według Lelewela do Warszawy przybył jako Zoryan Lubrański, a przybywał z «planem Bobrujska». Zapewne ten «plan», który mógł nie mieć istotnej wartości dla wojskowych, natchnął go myślą napisania listu do ks. Józefa i drugiego, do Sobolewskiego, następcy ministra policyi. Rezydent francuski de Serra używał go do układów z duchowieństwem dalmackiem, prowadzonych właśnie w Warszawie (Napoleon chciał wtedy w Dalmacyi urządzić hierarchię i liturgię słowiańską). Zbieg wstąpił do V pułku piechoty jako podoficer-furyer (pisarz kancelaryi batalionowej). W kwietniu z wielkiej armii, już ciągnącej na Rosyę, Davoust wysłał Czarnockiego za Niemen. Furyer był prawdopodobnie

użytecznym, bo kiedy d. 30 maja 1812 r. dawano mu urlop z pułku, zatrzymano go przy głównej kwaterze. Domyśla się Lelewel, że dociągnął tylko do Smoleńska. Po pogromie ukrywał się w okolicy Kieżgajłowic w rodzinnem Nowogrodzkiem, gdzie mu największe właśnie groziło niebezpieczeństwo, spotęgowane jeszcze zakochaniem się w jakiejś Julii Czarnockiej, do której, jak z przekąsem pisze historyk, «czułe kwilił piosenki». Nie wykwilił małżeństwa i usunął się na Wołyń, gdzie go wcale jeszcze nie znano, a teraz poznać miano pod nazwiskiem Chrzanowskiego. Przystań znalazł w Worończynie Kropińskiego, którego poznał był w Księstwie, jak i Karola Sienkiewicza. Zawiązał się stosunek ściślejszy; z dochowanych listów całość ogłoszonych dotychczas szesnastu stanowi ważny przyczynek do życia, umysłowości i prac etnograficzno-topograficznych Czarnockiego, a ukazuje generała w uczciwie spełnianej roli protektora i pośrednika do Puław i Sieniawy.

Na Wołyniu dopiero, i wogóle na Rusi polskiej, zrodził się badacz jestestwa i życia ludowego oraz marzyciel o przeszłości Słowian. Lata 1813—7 uczyniły go takim, jakiego już widzimy w dziejach naszej umysłowości. Wtedy-to zebrał te wszystkie pieśni, legendy, dumy i podania ludu rusińskiego w ziemiach Rzeczypospolitej, które kto inny (Rosyanin Maksimowicz) miał wydać pod swojem nazwiskiem. Wtedy, przebiegając rozległą krainę mogiłami usianą, horodyszczami w dorzeczu Prypeci tak zaciekawiającą każdego podróżnika, powziął pierwszą myśl układu jakby systematycznego, w którym przy bujnej swej naturze, więcej do poetyzowania w nauce, niż do twardego trudu stworzony, postawił zuchwałą hypotezę podziału prastarej Słowiańszczyzny na «okręgi duchowne», ześrodkowane właśnie w horodcach, horodyszczach, — nie w grodach, ale w grodziskach, miejscach ogrodzonych, świętych, typowo skupiających w około siebie, jeżeli nie te same, to pojęciowo i celowo zbliżone nazwy uroczysk, miana miejscowości wybitnych. Wtedy zaczął szukać owych «starych set» (stare sta), które miały uzupełnić systemat ogrodzisk jako całostki społeczne świeckie pod wspólnym teokratycznym zarządem. Wtedy-to zawołał: »Jest, zaiste, szczęście na ziemi tułać się pomiędzy ludem, żyć całą siłą poetycznego życia wieśniaków«. Zakochany w ludzie rzucał światu, rzucał szlachcie polskiej wyzwanie: «Pokażcie mi chociaż jednego rolnika chłopa, któryby z własnego popędu źle robił! Złe ma serce, kto ludu nie kocha całą braterską miłością». Wtedy też nakoniec, podczas tych wędrówek po Rusi gromadziły się w marzycielskiej głowie postaci do tego uroczego widzenia, blaski do tej jakby jutrzni przyszłego naukowego rozumu, które jego rozprawce «O Sławiańszczyźnie przed chrześciiaństwem» zapewniają najtrwalszą u potomnych wartość.

Dawszy się poznać w Krzemieńcu, dokąd często zaglądał, aby się uczyć, wczytywać w książki i rękopisy, a gdzie pozawierał liczne stosunki osobiste (tylko nie z Czackim, jak chce Gawroński, bo

Czacki od 20 lutego 1813 r. już nie żył), zaznajomiwszy się z Gołębiowskim w Porycku, zalecony przez Kropińskiego, znalazł się w sierpniu 1817 r. w Puławach już jako «Zoryan Dołęga Chodakowski» — od chodaków nazdzieranych w wędrówkach między lud. Do tej transfiguracyi przykładała się i pieczęć z herbem Dołęga w otoku sfałszowanych run prylwickich, które wyrażać miały imię i nazwisko. Zbiory, które nagromadził, badania, których dokonał, opowiadania przygód, może nawet i zwierzenia się z tajemniczej przeszłości, ogień w oczach, głowie i mowie — cała niepospolitość zjawiska, czyniąca z twarzy grubej, ospowatej, brzydkiej oblicze piękne, uderzyła księcia-wojewodę i przychylnie go usposobiła: poddał Czarnockiemu myśl ujęcia pojęć zasadniczych jakby w prospekt przyszłego wielkiego dzieła. Obejrzawszy zbiory puławskie, zasilony na drogę, wyruszył starożytnik dnia 7 września 1817 r. na wędrówkę; zwiedził Czarnolas, Sandomierz, Łysą Górę, Kielce, Chęciny, Małogoszcz, Lelów, Częstochowę, Smoleń, Skałę i Doliną Ojcowską wyszedł na północne płaskowzgórze Krakowa. Na Łysicy doznał wrażenia «jakby jakiegoś przedziału w świecie»; nie wątpił już, że tu spełniała się cześć «Łady, Leli i Poleli». Pieśni z ludu polskiego nie zbierał tak, jak z rusińskiego. Dopiero w N. M. Korczynie i pod Gdowem zapisuje pieśń o Turze, której potrzebował do swego systematu. W całej tej wędrówce i w dalszych, już po zaborze austryackim, głównie go zajmują owe «stare sta»; jak zbierał je z okola Łysej Góry, tak się o nie kusił około Krakowa, Przemyśla, Halicza, Lwowa. Przebiegając kraj polski nadzwyczaj szybko, nie tak, jak na uczonego przystało, zawyrokował, że nie ma tu nawet jednej dziesiątej tego, co między Dnieprem, Dniestrem i Bugiem. W Krakowie oglądał, wymierzał, porównywał, starożytniczo oceniał mogiły, nicował nielitościwie Kraka, księży, chrześcijaństwo, Kadłubka, martwotę krakowską. Naukowość Bandtkiego odrazu dostrzegł i do niej przylgnął, a znajomość, przeciągnioną w korespondencyę, starał się dla mogił, domyślnych grodzisk, daleko, aż pod Opawą i Wrocławiem, wyzyskać. Po 9-tygodniowym pobycie w Krakowie w grudniu ruszył nad Nidę; szukał jeziora Czartoryi, ale znalazł tylko rzeczkę pod Winiarami. Dunajcem i Białą podpłynął pod Tarnów. Mogiły spać mu nie dawały: zwiedzając je na zachodzie, wypatrywał je pod Moskwą, dopominał się ich wymiarów z pod Owrucza.

Na Nowy rok 1818 zjawił się u księcia-generała w Sieniawie. Ks. Adam Jerzy nalegał o rozprawę. W lutym Czarnocki zebrał i uporządkował myśli, a d. 15 marca donosił już o rzeczy napisanej. Chociaż rys Słowiańszczyzny uważał za «przedwczesny», chociaż uległ był namowie «z niechęcią», z pracy jednak gotowej był zadowolony i jął osnuwać na niej wielkie nadzieje. Przesyłając rękopis Czartoryskiemu, dołączył zaofiarowanie staro-słowiańskie dla Alexandra I, ułożone stylem niesłychanie nadętym, wraz z prośbą o jaknajszybsze odpisanie rozprawki i złożenie jej wraz z dedykacyą »Wielkiemu Kaganowi, Najstarszemu staroście słowiańskiemu«; pewny był

że mu cesarz i król przyzna sutą na wiele lat pomoc pieniężną. Czy Czartoryski prośbę spełnił? Braknie dowodu przeciwnego, ale jest dowód w rzeczy samej tkwiący, że chyba nie spełnił; poprzestał zapewne na oddaniu rozprawki do «Cwiczeń naukowych» Krzemieńczan, w Krzemieńcu bowiem, «na szczycie Dziewiczej góry» wysnuł Czarnocki pierwsze pasma tych myśli, które weszły w rozprawkę. Marzyciel tak wielką przejęty jest wiarą w swój poemacik prozą, że poleca w Krzemieńcu odczytać go zbiorowo, wyznacza nawet lektora; posyła odpis własnoręczny Kropińskiemu, każe sporządzić z niego inny dla Platera i inny znowu dla wyższego duchownego prawosławnego, Romanowskiego w Ostrogu; dba o przekład rosyjski jaknajlepszy i wysłanie jego do kanclerza Rumiancewa zaleca. Już wtedy, w Sieniawie, widząc, że Czartoryscy nie dadzą mu upragnionego subsydyum, a przeczuwając, że Uniwersytet Wileński lub Liceum Krzemienieckie dadzą zbyt małe — myślał o zwróceniu się na wschód, o zawitaniu do Moskwy i uderzeniu osobistem do kanclerza.

Rozprawka, napisana świetnie, jakby jednem tchem, pełna wiary w niezawodność marzeń i skuteczność naukową pomysłów, roztwierająca szerokie widnokręgi, wypełniona myślami o wielkim promieniu — gorąca, jasna i z ducha swego młoda, podobała się szczególniej młodym, pośród których wielu zapaliła, a zjednała sobie również uznanie i w pośród starych. Tow. Przyj. Nauk nie mogło odrzucić wniosku o zaszczycenie tak świetnie występującego badacza tytułem członka-korespondenta. «Pamiętnik Lwowski» z r. 1819 nie zawahał się rozprawy przedrukować. Imię Chodakowskiego stało się głośnem na całą Polskę. Ozięble, trzeźwo zachowali się Śniadeccy; otrzymawszy od kuratora przed zamierzonym zasiłkiem stałym rozprawę do opinii, wraz Jundziłłem nie ulękli się wytknąć «niedostatecznego» przygotowania naukowego.

Odezwa rektora Malewskiego z taką opinią zastała już Czarnockiego w Międzybożu na Podolu. Przebiegłszy w maju przez Halicz, Wierch Racie, Rawę, Potylicze, Żółkiew, Krechów, Goraj («Górę Rajską»), na początku czerwca zawitał do Lwowa, gdzie spotkał się z Gołębiowskim. Zaczął sobie wyrabiać urzędowe pozwolenie na wędrówki po Galicyi. Czy je otrzymał — niewiadomo; ale niema śladu, aby z niego korzystał. Korespondencya ukazuje go w środku paźdz. 1818 r. już za kordonem, w Klewaniu. Stąd zwiedził Peresopnicę i Czartorysk i napisał list do Ordynata Zamoyskiego o zapomogę; w odpowiedzi otrzymał «list chlubny», ale bez pieniędzy. Środek ciężkości groził przeniesieniem się na wschód, bo i Czartoryski milczał, a nowa miłość, dla Józefy Kulczyńskiej, posażnej panny w Peredylu, na Wołyniu, podczas wycieczek z Klewania skrystalizowana w pomysł małżeństwa, rozbiła się o odmowę i samej panny i jej rodziców. Jakby na ironię właśnie z rąk jej otrzymał od Rumiancewa zachętę do przyjazdu. List z Międzyboża d. 25 (13) listopada do Kropińskiego oddaje ten nastrój, w którym dusza polska, zwolna, lecz

stale, wskutek radykalizmu w myślach, omdlewająca, a wskutek samych marzeń wiedzy przez pra-słowiańską wypierana, chylić się zaczęła ku «Rusej kosie», jak Czarnocki krainy państwa rosyjskiego nazywał. Korzystając z zachęty pojechał do Homla i był tu już niezawodnie na wiosnę 1819 r. Pół roku w tej miejscowości przepędził i dopiero gdy Czartoryski przysłał pieniądze, d. 21 (9) września wyruszył na Mohylew, Witebsk, do Połocka, gdzie pożegnał Litwę i na Siebież pojechał do Pskowa. Tam nagle wziął ślub z towarzyszką podróży, Konstancyą Fleming. W Nowogrodzie odwiedził uczonego archiepiskopa Eugeniusza, wypatrywał zabytki, wskazał niezawodne horodyszcze; podążył ku Narowie, był w Narwie, a rozpoznawając upostaciowanie powierzchni, ludność brał błędnie, ale uporczywie, za staro-słowiańską. Dnia 12 listopada 1819 r. donosił już Karolowi Czarnockiemu, że od d. 21 z. m. jest w stolicy północnej. Doznał tu przyjęcia nadspodziewanie uprzedzającego. Jego projekt podróży po Rosyi, zarysowany może już w Sieniawie, opracowany teraz na miejscu, w marcu złożony Galicynowi, min. oświaty, zaimponował nad Newą. Prezes Akademii Szyszkow odrazu już ofiarował był Polakowi tytuł członka-korespondenta. Zjednany Karamzjin wydał sąd przychylny. Galicyn wyłożył cesarzowi pożytki naukowe przedsięwzięcia. W lipcu cesarz plan zatwierdził, kazał wypłacić 3000 rubli i wystawić glejt, otwierający dostęp do wszystkich miejsc badania i nakazujący dawać wszelką pomoc. Otrzymał Chodakowski i pomocnika, niejakiego Koszelewskiego, płatnego ze skarbu. Cała podróż miała trwać cztery lata i sięgnąć do Starej Ładogi, Białego Jeziora i Dźwiny północnej, przeciąć Rosyę od północy na południe, od zachodu na wschód tam i napowrót, na wschodzie przekroczyć Wołgę; zapuścić się aż do Jaiku i Uralu; na południu dotrzeć do ujść Donu, do Tauryki i limanów czarnomorskich; wreszcie zasięg jej zachodni ustać miał dopiero na Rajgrodzie, już w Królestwie.

Część tylko nieznaczną rozległego planu wykonał Chodakowski od września 1820 do grudnia 1821 r. Poznał najpierw lud ziemi Iżorskiej na zachód od Petersburga, potem Czudów ok. Narwy; i tu i tam znalazł gródki, uroczyska, rzeki z nazw swoich słowiańskie, i ucieszył się, niepytając czy przed niemi nie było innych, nie-słowiańskich. Zwiedził ponownie Psków, Nowogród; był w Izborsku i Ładodze, Nowej i Starej; rozkopywał «sopki» (usypiska); odkrycia i spostrzeżenia zestawiał, porządkował, przerabiał na wiedzę — wciąż w ogniu zapału. W Ładodze pochował syna; chrzcił mu go i grzebał duchowny prawosławny. «Nie dobrze jest Polakowi rodzić się na obczyźnie» — zawołał nieszczęśliwy ojciec; ale nie dodał: «nie dobrze i żyć i umierać» — co na nim samym sprawdzić się miało. Na południo-wschód zapuścił się w gub. Kostromską; za górną Wołgą napotkawszy pole B j e ł y e B o g j i, rozradował się odkryciem, bo właśnie końcówki b o g szukał. Wróciwszy na zachód, w Twerze utracił żonę. Teraz był już sam — z «ludami Rusej kosy», ze «skrzynią swych

marzeń» i charakterem uczonego rosyjskiego. Wędrował dalej; przywędrowawszy do Moskwy, z chlubą pisał: «Pierwszy ten kurs przyniósł mi 2000 grodzisk, wiele imion Dunaju, Łady, Leli, Radogosta, Pieruna i 49 wyrazów kończących się na b o h i b u k». W Moskwie zajął się opracowaniem zdobyczy: według szczegółowych map 21 gubernij pooznaczał miejsca odkryć świeżych i dawniejszych, podobno nawet «Mapę słowiańskiego grodztwa»; poumiejscawiał dyalekty, krywickim szczególniej się zajmując; wzbogacił dawniej już rozpoczęty słownik geograficzny, do którego już w pierwszem wydaniu Historyi Bandtkiego mógł znaleźć zachętę.

Obszerne sprawozdanie z podróży dostało się do rozpatrzenia umyślnej komisyi z Kałajdowiczem na czele. Sprawozdanie opracował śmiało, jak przedtem rozprawę twórczą. Ponieważ sam człowiek niezdolnym był do autokrytyki, nie było więc krytycznego zmysłu w summie jego pracy; spotkał ją też sąd surowy, a skutek sądu łatwo dawał się przewidzieć: już na jesień 1822 r. stosunki były zerwane; badacz został na bruku Moskwy. Życzliwość M. Polewoja, u którego bywał i który go w ciężkiem położeniu wspierał, chroniła go od rozpaczy. Zarobku z odkryć swych spodziewać się nie mógł, a od pracy fizycznej odwodziło go jakby opętanie horodyszczami. Nieraz w głodzie i chłodzie chodził na t. zw. Rynek Błotny, aby się wieśniaków wypytywać o horodyszcza; ciągniono go niekiedy na policyę jako podejrzanego. Natarczywym też był wobec nowych znajomości. Żył, sprzedając swe książki, pożyczając po kilka rubli, korzystając z miłosierdzia Polewoja, któremu w tragicznem położeniu swojem nie mógł się czem innem wywdzięczyć jak tylko fałszywą autobiografią. I gdyby zdolnym był do sądu o sobie, niezawodnie wtedy, tułając się po Moskwie, byłby poczuł całą chełpliwość tego zaręczenia przed wyjazdem na wschód, w którem zapewniał, że i za Dnieprem okaże się równie dobrym Polakiem jak nad Wisłą.

Z upokarzającego położenia wydobył go dopiero po roku Polak, niewiadomego nazwiska, właściciel ziemski z gub. Twerskiej: wziął do siebie na oficyalistę. Niegdyś zaród na wielkiego człowieka, teraz rozbitek, zaczął się gryźć swym upadkiem, tracił coraz bardziej równowagę, grzązł coraz głębiej w środowisko, które już ani naukowym dążnościom, ani narodowemu sumieniu, ani samowiedzy własnej, tak niezwykłej indywidualności nie odpowiadało. Ożenił się z kobietą z ludu, i tak zasiawszy przed sobą nieszczęście, zapadł w mrok, zapragnął śmierci. «Wraca bocian w kraje przodków swoich; porzuca jaskółka nasze okolice i gil pieśń wznosi na bezlistnem drzewie! Ach, kiedyż ja porzucę to życie, co mi już przykre jest, co mię udręcza? Kiedyż powrócę w żalnik, tę krainę, w której się znajdę jak pod własną strzechą?» Nie był to już jęk duszy polskiej; było tęskne jakby rwanie się ducha, który z zamierzchłej przeszłości pra-słowiańskiej zabłąkał się w wiek dziewiętnasty i nie umiał w nim żyć, a teraz chciał z niego w przedwiecze powrócić. I jako uczony i jako

człowiek strawił się wewnętrzną gorączką. Zmarł d. 29 (17) listopada 1825 r. w Petrowskoe Seło; Lelewel dodaje: «otruty».

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA. I. Jedynym drukiem polskim jest rozprawa «O sławiańszczyźnie przed chrześciiaństwem», wydr. w «Ćwiczeniach Naukowych» warsz. z r. 1818 nr. 5, przedrukowana w «Pamiętniku Lwowskim» z r. 1819 T. I nr. 1, następnie przez Helcla w Krakowie 1835 r. wraz z krytyką Surowieckiego (ob.), czterema listami do Gołębiowskiego i wzmianką biograficzną, wreszcie przez Gawrońskiego w jego pracy o Chodakowskim; przetłumaczona na jęz. rosyjski. «Bez chęci podróż moja» znana była przed r. 1830 i Gołębiowskiemu i Lelewelowi, pierwszy z nich odtworzył ją z notat Skimborowiczowi; obaj różnią się w opisie manuskryptu, liczącego dwieście kilkadziesiąt stronic. Po śmierci Czarnockiego miała się ta «Podróż» dostać Tow. Prz. N. w Warszawie, a jeśli jej gospodarka Lindego nie usunęła ze zbioru, dziś jeszcze powinnaby się w nim znaleźć bądź w Warszawie, bądź w Petersburgu. W Moskwie miał Czarnocki pozostawić po polsku ułożony Słownik nazw horodyszcz i uroczysk okolicznych. «Projekt Chodakowskiego podróży do Rosyi dla objaśnienia historyi Słowian» zamieścił «Dz. Wileński» 1820 w przekładzie z «Syn Oteczestwa» nr. 33—6, 38—41. Fałszywa autobiografia, dla zatajenia przeszłości w r. 1822 napisana dla Polewoja, znajduje się w wyciągach w «Bibliografjiczeskije listy» Koeppena, r. 1826, a w całości w «Syn Oteczestwa» z r. 1839. Podanie do kuratora uniw. Charkowskiego zamieściła «Kijewskaja Starjina» 1891 T. XXXIII (Gawroński). Zaofiarowanie Aleksandrowi I Rkpis nr. 1002 Bbl. Ord. Kras. W Ossolineum Rkps nr. 953 «Drogi komunikacyjne w starożytnej Rosyi» (8 kart 4⁰). Listy wydane dotychczas w liczbie kilkudziesięciu: 1) Do Gołębiowskiego — «Pamiętnik umiejętn. moral. i literatury» Warsz. 1830 (4). 2) Do Bandtkiego J. S. z r. 1817—8, z Krakowa i Sieniawy — «Pamiętn. naukowy» krak.; wyd. Gieszkowski, r. 1837 T. III, str. 16 (9). 3) Do Karola Czarnockiego z r. 1818—22, z Tarnogrodu, Międzyboża, Kijowa, Petersburga i Moskwy (od D. Chodźki) — «Athenaeum» Krasz. 1842, tom I str. 227—36, II 203—18 (9). 4) Do Rakowieckiego J. B., Moskwa 29 stycznia (s. s.) 1822 r. — «Cmentarz Powązkowski» Wóycickiego T. II str. 56—8 (1). 5) Do Ludwika Kropińskiego z r. 1817—21 z Puław, Krakowa, Sieniawy, Lwowa, Klewania, Międzyboża, Homla, Petersburga i Moskwy. — «Bibl. Warsz.» 1866 II 161—97 (16). 6) Listy w streszczeniach i wyciągach w artyk. Skimborowicza w «Przegl. Naukowym» (ob. niżej).

II. O Czarnockim najwięcej wiadomości zebrał Rawita-Gawroński Fr. «Zoryan Dołęga Chodakowski; jego życie i praca» («Przew nauk. i lit.» 1897 i os. Lwów 1898 188 str. 189—206 przedr·

«O Sł. przed Chrześc.»). Pierwszy prawdziwe nazwisko wyjawił Eustachy Marylski we «Wspomnieniach». Wzmiankę poważną dał «Kuryer Polski» 1830 nr. 259. Dom. Chodźko w «Encyklop. powsz.» wileńskiej Odyńca-Glücksberga (1838) zamieścił wiadomość o rzeczywistem życiu Chodakowskiego przed znalezieniem się w Rosyi, a w «Tece Wileńskiej» 1857 nr. II str. 277—303 powtórzył ją, uzupełnił z listów, dodał przekłady z czasopism rosyjskich, między innemi ważny artykuł dotyczący pozostałości rękopiśmiennej rosyjskiej przez Starczewskiego w «Biblioteka dlja cztenija» CXII r. 1852 wydrukowany. Tu również znajduje się i fałszywa autobiografia. W r. 1842 Skimborowicz pisał o Chodakowskim w «Przegl. Nauk.» warsz. T. III; korzystał przytem z posiadanych listów, a w «Tece Wil.» 1858 nr. VI dał dopełn. i sprostowania «Jeszcze o Zor. Chod.». Dalsze wiadomości przyniósł «Dzien. warszawski» 1855 nr. 101 i tego samego roku «Gaz. Codzienna» w «Listach z Cudnówki». Najwybitniejsze jest wspomnienie, pióra Lelewela, w «Dzienniku liter.» lwowskim 1859 nr. 79. Odbicie wpływu na młodzież dał Wóycicki w «Warszawie... (1800—30)» str. 112, 126. Wogóle życiorysu i krytycznej oceny pracy ze stanowiska dzisiejszej wiedzy dotychczas niema.

W literaturze rosyjskiej (Gawroński): Życiorys przez Pypina w «Istorija Russkoj Etnografiji» T. III, poprzednio w «Wjestnjik Ewropy»; «Zapjiskji K. A. Polewoja» (Petersb. 1888). Inne, dawniejsze, u Chodźki.

„O sławiańszczyźnie przed chrześciiaństwem" (1818).

(Tu z «Pamiętnika lwowskiego 1819 T. I nr. 1 str. 17—48.

Po poglądzie ogólnym, poniżej zamieszczonym, na str. 28-ej stawia Chodakowski twierdzenie, że na każdej mili czworogrannej znajdowało się sto miejscowości, uroczysk i osad a w pośrodku wyniosłość na święte obrzędy. W całej Słowiańszczyźnie powtarzają się tesame nazwy. Przyświecało starym Słowianom, którzy tworzyli jeden naród, «siedem gwiazd wozowych, trzy księżyce, trzy zorze dziewicze, świeciła nad nim zorza Lelowa, trzy rzeki płyną u nich pod stopami oblubieńcom». Pieśni mieli piękne. Że też Kochanowski nie wpadł na myśl ich zbierania! Przez herby polskie przemawia także prastara przeszłość. Robiono w herbarzach kłamstwa zamiast wyciskać z herbów prawdę. Wszyscy zgadzają się na to, że były herby już za pogaństwa; ale dopiero Wacław Potocki miał odwagę powiedzieć, że Łada jest zabytkiem bożyszcza. W samych postaciach, w zarysach herbów są przypomnienia wierzeń i obrazów symbolicznych» starodrzewia «[starożytności] słowiańskiej. Szacownym, zaiste, jest ten zodyak szlachecki: szkoda, że ustał już duch obrończy szlachectwa i nikt nie myśli o dopełnieniu zbioru herbów» Były w Słowiańszczyźnie i pieczęci, ale poprzepadały. Wędrujmy tylko z ułożonym należycie planem; badajmy, spisujmy, rozkopujmy, a «przekonamy się o pochodzie naszym zinąd, t. j. z Indyi

(str. 47)», Charakterystyczne jest zakończenie o «duszy północnej», którą sam w sobie odczuwał. «Postawiwszy siebie myślą za dziewięciu wałami wieków oddalonych, przed obliczem osiwiałej i poważnej brody naszych przodków, nie mogłem już mówić bez pewnej czci dla nich i jakby w ich imieniu, bez pewnej śmiałości, która, wspierając się na rzetelnej prawdzie, ze skutków dotykalnych wywiedzionej, duszy północnej zawsze powinna być znamieniem». Nie było w tej potężnej głowie muru bezpieczeństwa między wiedzą a fantazyą; płomienie tej pożerały tamtę.

247) *Str. 17—28.* Zniknęły przed wiedzą uczoną dzieje, obrzędy, i zwyczaje nasze w Epoce wielobóztwa. Nie sprzyjała oświata Europy całemu czasowi, w którym krzyż święty wznosić się począł wśród rozległej i podzielonej Sławiańszczyzny. Pierwsi posłańcy do nas z wiarą dzisiejszą dalecy byli od umiarkowania, ażeby mieli co uszczędzić dla Historyi i wieków, i ten nieprzychylny zapał w ich następcach ledwo do naszych czasów nie doszedł. W tym duchu dziesięciu lub więcej władców naszego plemienia kolejno wywracali budowę przyrodzonem natchnieniem wzniesioną i obok nowych prawideł nieba nie zdołali zabezpieczyć własności ziemskiej, którąby przetrwała do nas i była ichże samych pamiątką.

Wypadek ten jest najgłówniejszym w Sławiańszczyźnie, bo całą jej rozległość z czasem objął, upoważnił nowo tworzące się dzielnice i coraz więcej pomnażał. Ogniwa nowej wiary wcielały niepodobnych nas do reszty narodów Europy. Uczęszczał Słowak z nabożeństwa lub potrzeby do Rzymu lub Carogrodu, a przejąwszy się nienawiścią wzajemną stolic chrześcijaństwa, zapalał pochodnie wiekuistych wojen na przestrzeni swojej o to, że nie jednej głowie uświęconej daninę płaciła. Biada nam! Długo nazbyt przetrwaliśmy w tych obłędach. Nie wspominałbym ich może, gdyby nie miały zgubnego wpływu na ten zakres naszej historyi i nie były pierwszym podkopem miłej nam zawsze narodowości. — Czas przyszły wyjaśni tę prawdę, że od wczesnego polania nas wodą zaczęły się zmywać wszystkie cechy nas znamionujące, osłabiał w wielu naszych stronach duch niepodległy, i kształcąc się na wzór obcy, staliśmy się nakoniec sobie samym cudzymi.

Pierwsze dłóto dziejów północy w czyim było ręku, wszystkim wiadomo; łatwo widzieć, że powołanie zawsze trącało ich ręką i szczerby sprawiało w obrazie ojczyzny. Niedziw zatem,

że u nich epoka przedchrześcijańska, jeżeli nieominiona całkiem i niezarzucona wymysłami, wystawia nam tylko grube obyczaje, dzikość i ślepotę naszych ojców. — U nich to z łatwością jednaką w Poznaniu, Kijowie i Nowogrodzie dzieje się przejście do wiary; podług nich dosyć było przykładu i woli panującego, aby dzień jeden lub rok to przeznaczenie spełniły.

Tak mniemając, ci Latopisarze, rzekłbyś, nie znali uporczywej duszy sławiańskiej, nie znali dziejów rodzinnego i pierwotnego ludu, u którego sposób rządzenia się i życia, obyczaje i mowa sama ściśle były spojone z nauką o Bogach. Przeobrażenie więc nagłe i szczęśliwe być nie mogło i w istocie nie było. Nowogród wielki o cztery laty *[tak]* spóźnił się po Kijowie, w sto lat Rostów, a jeszcze później u nas Szczecin nawróciły się. Nieprzywodząc naszych dowodów, spomnijmy co Naruszewicz mówi o okropnościach u Lachów w 70 lat nowej wiary, z powodu prześladowania pogan, zamilczanego od naszych Kronikarzy. Schronienie się naostatek kapłanów z wielu Bogami wśród zapadłej Litwy podwyższyło nieznaną dotąd krainę, i w porze dogodnej do zemsty nieraz miecz poniesło *[tak]* na Polskie i Ruskie sadziby. Jatwież przy źródłach Narwi ileż dokuczyła jednemu i drugiemu spółbraciom. Co Nestor pisze o spółczesnych Radymiczanach i Wiatyczanach, a życiopis S. Wojciecha wyraża o Czechach i w życiu S. Benna, biskupa Miśneńskiego, co się działo na Ostrówie Ranowców, — wszystko okazuje: że nigdy człowiek żyjący pośród swojej rodziny nie przemienił siebie, nigdy z uprzedzeń i nałogów, które jemu długo towarzyszyły, razem nie otrząsnął się. Bo niełatwo jest powstać przeciw sobie samemu, zmienić sposób życia, myślenia, poniechać wszystko, co mu jest miłem, nadewszystko nadać inny obrót językowi uzwyczajonemu czcić wielorakie bóstwa i pełnemu tych przenośni, przysłów i wzorów przyrodzonych, które stanowiły jego śpiewy obrzędowe, igrzyska, potoczną mowę i zawsze tchnęły jego wiarą.

W dziejach zapomnianych, dawno rozsławionych i obecnych, nasz ród zajmuje swoje miejsce. Nie zebrał się on z wygnańców ani szczątków upadłych mocarstw, był zawsze ludem pierwotnym, właściwym i jednosłownym. Niewiadomy jeszcze czas i przyczyny, dla których on opuścił sąsiedztwo Indowego Stanu, jak długo był w tej wielkiej drodze, nim wkroczył do Europy

i zajął jej połowę od strony Azyi. Pewnem tylko jest, że po usadowieniu się w nowem stanowisku zajmowali razem okolice zadunajskie aż do podstawy Bałkanu, nad Adryatykiem, za Łabą, i całą między niemi przestrzeń, jako też północ od ściany Sweonów, rządzoną przez wielkich kaganów, nim przenieśli stolicę do Kijowa. Ze zmiany takowej na ziemi poczynili niektóre poprawy w zasadach wielbionych świateł nieba, liczne przenośni *[tak]* z jestestw przyrodzonych rozciągnęli do poznanych na północy, i, całą jej przestrzeń na jednakie Sta podzieliwszy, jednymże ustawom, obrzędom i zwyczajom podlegali. Widać wszędy w tej epoce naczelników z chorągwią przewodniczącą w pokoju, wojnie i świętych obrzędach. Połączenie w jednej osobie tak wielorakiej władzy nad licznym narodem tyle podawało sposobów stanowienia i wykonywania wszystkiego, że Sławianie w tym stanie rzeczy, i ręką przyrodzenia czczonego kierowani, nie mogli być ludem nieczynnym, ani uśpionym. Wojna dla ubezpieczenia i rozszerzenia bytu, a w pokoju łowy, rola, rzemiosła pewne, obrzędy, połączone z wielkiemi grami i ucztą, były ich powszechną zabawą, znamienitem i płci obojej spólnem zatrudnieniem. W pamiętnikach owych wieków, dosyć często natrafia się na wyrazy: rola, pług, socha, kosa, kowal, stolar, tiesla, tkę, dłubię, dłóto, a nawet pisar i malar. Wszystko to było potrzebnem i użytem, zyskiwało swoją cześć i przyniosło do późniejszych wieków wysoką, ale już przenośną pochwałę. Nigdzie niewidać śladu, aby przed epoką poloru naszego byli na północy poddani; nie mogli być oni w przechodzie z Azyi do Europy, i dotąd w drugiej części świata nie znają co jest pracować na wieczystego Pana, który w oczach swojego Monarchy jest im *[tak]* równy.

Wrodzona Sławianom prostota, wesołość, uprzejmość i szczerość wydawały się nawet w oczach nieprzyjaciół, i to świadectwo zyskały. Męztwo, miłość i ta gościnność doskonała, na podziw i uwielbienie starym Saksonom służąca, bóstwami były całej naszej ziemi wzajemnie się wynagradzającemi, i hojne dary im niesiono.

Kiedy mniej będziemy oczekiwać od wieszczych pisarzów zagranicznych, mniej na nich polegać, a przedsięweźmiem wśród siebie na własnej przestrzeni, w gnieździe ojców naszych, szu-

kać o wszystkiem wiadomości, znajdziemy może więcej niźli dotąd gdziekolwiek pisano. Wpatrzmy się tylko w ziemię naszę. Może Sławianie zostawili ją dla nas jako najtrwalszą księgę, może ją zaklęli, aby nigdy z dziedzictwa potomków nie wychodziła, i w tym celu urzekli owoczesnym sposobem, by mogła służyć za świadectwo odwiecznej własności najpóźniejszym wnukom. Nie śmiejmy przeczyć naszym założycielom troskliwej przezorności o zachowanie takiej pamiątki, bo kto z ludem przeszedł rozległość między Indem i Baltykiem, ten pewnie zyskał wiele doświadczenia i baczności na przyszłość i mógł być, jak Mojżesz, drugim zakonodawcą swojego plemienia. Poznajmy się więc z naszą ziemią, obliczmy wszystkie jej miana czyli uroczyska. Będziemy widzieć, iż mimo dziewięciu wieków, mimo tyle *[tak]* wojennych zniszczeń, mimo niewiadomość i próżność samochwalną w odmienieniu starych nazwisk, zachowały się przecież i doszły jeszcze do nas imiona Bogów, imiona do czci ich należące, imiona jej sprawców i tego jestestwa ziemnego, które, w przestrzeni czasów zaleciwszy się wielkiem dobrem i złem, na chlubę rodu ludzkiego i mowy naszej Czołem Wieków nazwane zostało*). Będziemy na tejże ziemi czytali nazwiska wszystkich zwierząt i ptaków, zarówno w Indzie zostawionych jako i w tutejszym klimacie poznanych, wszystkich drzew leśnych i owocowych, ziół przyjemną wonią i kwiatem wabiących jak i do pożywienia sposobnych, niemniej tych, co do leków i mniemanych czarów służyć mogły, oznaczenie wszystkich kruszców wtenczas wiadomych, imiona wojny ze wszystkiemi jej na tę porę narzędziami jako też miru, wiodącego długi szereg na łonie swojem zabaw i trudów; uroczyska morza ze wszystkiemi podziałami wody i statków na niej używanych, wszystkie odmiany powietrzne, pewne liczby znaczące, lub Bogom poświęcone, wyrażenia wszystkich przeciwności, jakie tylko wyobraźnia człowieka wystawić sobie może; wszystkie przymioty złe

*) Miło dla nas byłoby za jednym razem okazać ten tryumf Sławiańskiej mowy, gdyby ta rzecz nie zawierała się w ogólnem jej prawidle składania i mnożenia wyrazów. Tak wszystko poszło na niewiadomość, że, chcąc jednę rzecz objaśnić, trzeba całą, tak nazwę, machinę poruszyć; wszelako można przeświadczyć się o tem i ze Słownika P. Lindego pod wyrazami Czoło, Wiek i Człowiek... *(Przyp. Aut.)*

i dobre, wszystkie członki, które składają ogół żywotnego ciała, wszystkie ich działania, wszystkie władze zmysłowe, wszystkie nazwiska ogólne i szczegółowe. Nakoniec myśl, pamięć i sława jako sprężyny i cel tego obrazu, krócej mówiąc, cała encyklopedya, rzekłbyś, i cały słownik nasz w prostem lub przenośnem znaczeniu, pojedynczym i składanym sposobie, na ziemi naszej rozwinięty, dzielące ją stare sta w pewnym porządku napełnia. Niema stopy ziemi w starej Sławiańszczyźnie, żeby nie należała do tego rządu słownego. Zarówno okrywa on osiadłe jak i próżne miejsca, użyteczne i dzikie, wyniosłe i poziome, najeżone góry jak doły i zapadłe bagna, czyste pola jak zamierzchłe lasy: słowem, cała powierzchnia ziemi była stolicą naszych Bogów jedną tablicą naszej wiary.

Opracował ST. KRZEMINSKI.

XLVII.

GODEBSKI CYPRYAN

(1765—1809)

Cypryan Godebski urodził się w r. 1765 na Polesiu wołyńskiem. Po skończeniu szkół pijarskich w Dąbrowicy, pełnił obowiązki aktowego wiceregenta w powiecie swoim. Porzucił jednak ten urząd i w zaciszu wiejskiem oddał się studyom nad literaturą rzymską. Niebawem przerwać musiał owe studya i zajął się przygotowaniem do powstania Kościuszkowskiego. Kiedy w r. 1797 powstały we Włoszech legiony polskie, Godebski po całym Wołyniu rozszerzał proklamacye Dąbrowskiego, wzywające do formowania tych legionów. Gdy się rząd dowiedział o propagandzie, Godebski musiał natychmiast uciekać z kraju. Z wiosną 1798 r. dotarł do Rzymu. Jako adjutant jenerała Rymkiewicza, przebywał G. w Mantui. Tu z inicyatywy jenerała wydawał G. z kapitanem Paszkowskim dla żołnierzy rękopiśmienną gazetę, p. t. «Dekada», w której pomieszczał wiadomości ze zdarzeń we Francyi i Polsce. Ciężko ranny w bitwie pod Weroną, gdzie otrzymał stopień porucznika, G. przemesiony został do Mantui i tam w szpitalu leżał przez cały czas oblężenia, które opisał później. Po zdobyciu Mantui przez wojska nieprzyjacielskie G. o kulach podążył ku swoim. Na kanwie wrażeń z tej uciążliwej podróży osnuł później powieść, p. t. «Granadyer-filozof. Powieść prawdziwa wyjęta z dziennika podróży r. 1799» (Warszawa 1805). Po przybyciu do Lugdunu, otrzymawszy nominacyę na kapitana w legii naddunajskiej, formowanej przez Kniaziewicza, walczył G. pod Offenbach, Hochstadt, Filipsburgiem, i Hohenlinden (1800). Po zawarciu pokoju lunewilskiego (1801) odprowadził swój oddział do Toskanii, a sam udał się do Paryża, skąd wkrótce wrócił do kraju. W Warszawie w latach 1803—6 wspólnie z Ksawerym Kosseckim wydał 5 tomików «Zabaw przyjemnych i pożytecznych», w których umieścił kilka wierszy oryginalnych i przekładów z francuskiego. Prócz tego pomieścił kilka sprawozdań z literatury obcej; między innemi wydrukował tu w streszczeniu i wyjątkach na podstawie przekładu fran-

cuskiego świeżo ogłoszoną «Pieśń o pułku Igora». Wydał też osobno geografię dla dzieci i «Wiersz do legiów polskich», który mu zjednał rozgłos. W listopadzie 1805 r. został członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Kiedy w roku następnym otrzymał wezwanie Dąbrowskiego, natychmiast udał się do Poznania. Powierzono G-mu utworzenie pułku piechoty i polecono przełożyć z francuskiego regulamin musztry pieszej. Po kampanii 1807 r. został dowódcą twierdzy Modlińskiej. W wolnych chwilach od zajęć przekładał utwory obce i napisał oryginalne «Listy o wsi» i niedokończony «Wiersz do płci pięknej». Po wybuchu wojny z Austryą podążył G. z pułkiem pod Raszyn, gdzie zginął śmiercią bohaterską d. 19 kwietnia 1809 r. Utwory G-go, pomieszczone w wydaniu zbiorowem, są przeważnie tłómaczone i wzorowane na francuskich pisarzach podrzędnych. Jedynie «Wiersz do legiów», pomimo formy pseudoklasycznej, odznacza się prawdziwem uczuciem i odtwarza zapał rycerski, który zrodziły legiony.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

a) Zbiorowe wydanie utworów G-go wyszło p. t. «Dzieła wierszem i prozą Cypryana Godebskiego», 2 części w jednym tomie (Warszawa 1821). Osobno za życia wydał Godebski: 1) Granadyer-filozof. Powieść prawdziwa, wyjęta z dziennika podróży, r. 1799» (Warszawa 1805); 2) «Wiersz do legiów polskich». (Warsz. 1805) i 3) «Wiersz do JW. Dąbrowskiego, generała dywizyi, dowódzcy legionu 3 w. p..... z powodu jego małżeństwa napisany d. 13 listopada 1807». B. w. m. d. Wydał też G. przekłady: 1) Geografia, ułożona w grę kart 96, czyli sposób nauczenia się samemu geografii z zabawą w posiedzeniu, tłumaczona z francuskiego i powiększona wielu dodatkami, przez dwóch przyjaciół, w języku polskim i francuskim (Warsz. 1803); 2) Przepis musztry i manewrów dla piechoty francuskiej, wydany w r. 1791, tłumacz. z francusk. (Warsz. 1807—8) 4 części; 3) Toż dzieło rozszerzone wyszło w r. 1811 i 1815. Z papierów pozostałych po G-m wydrukował syn jego, Ksawery, «Pamiętnik oblężenia Mantui» (Lwów 1864).

b) O Godebskim pisali: 1) Szaniawski Józef Kalas.: «Pochwała Cypryana Godebskiego» (przy zbiorowem wydaniu z r. 1821); 2) Wójcicki K. Wł. «Warszawa, jej życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu». (Warsz. 1880); 3) Galle H: «Godebski C.» (Album zasłużonych Polaków i Polek); Schnür-Pepłowski Stanisław: «Rycerz-poeta». (Opowieści historyczne. Lwów 1899).

A) „Granadyer-Filozof. Powieść prawdziwa".

(Warszawa 1805).

Powieść ta jest rodzajem dziennika, przeplatanego wierszami, z czasów podróży autora przez Weronę, Novi i Mont-Cenis. Autor byłby niechybnie zginął, gdyby nie pomoc ze strony Henry'ego, bohatera powie-

ści, który za własne pieniądze wynajął dla Godebskiego i jego współrodaka muły. Ow Henry, granadyer-filozof, syn zamożnego mieszczanina, podczas rewolucyi gwałtem zaciągnięty został do wojska. Tego rodzaju doświadczenie nie mogło go pociągnąć na stronę rządu republikańskiego. Pomimo pozornego okrucieństwa pozostał granadyer szlachetnym w duszy. I Godebski nie zachwyca się porządkami wolnej Francyi; woli on spokojny żywot Szwajcarów.

248) *Str. 26—34.* Jednego dnia burza nas zachwyciła wśród góry, na wierzchołku której postrzegliśmy chatkę, otoczoną drzewami. W nadziei schronienia przeciw nadchodzącej chmurze chcieliśmy się tam dostać; — ledwo połowę drogi przebyliśmy, pełzając po skałach, gdy człowiek, podobny swym ubiorem do mieszkańca Kanady, wyskoczył ku nam i zaprowadził do tego górnego przybytku. — Była to raczej buda, niżeli chatka, zamieszkana przez alpejskiego pasterza. — Ciało czerstwe, postać dorodna, twarz rumiana i wesoła malowały nam w nim szczęśliwego człowieka. — Te korzyści były dla niego, ale co w nim znaleźliśmy zyskownego dla nas, była to jego uprzejmość i sposób ujmujący, choć prosty. Pozdrowiwszy nas mile, ukazał nam ławkę, wyniósł chleb i mleko, które jego małżonka, świeża, jak róża, tylko co przyniosła od kozy. — «Przyjmuję was, rzecze, tem, co mam, i przyjmuję sercem najszczerszem. My, pasterze, nie znamy podróży, ale lubimy oddawać posługę podróżnym. Powracam właśnie z poblizkiej wsi, gdzie zaprowadziłem jednego z waszych; takiż bowiem miał ubior i tak, jak wy, zarywał, mówiąc językiem naszym. Nie wiem, skąd był rodem, bo my, pasterze, widząc potrzebującego pomocy, nie pytamy się, z jakiego jest kraju. Pomnę tylko z tego, co mi powiadał, że był w wojsku francuskiem, ale nie był Francuzem, i że do jego ojczyzny sześć razy dalej stąd, jak *[tak]* do Rzymu. Zabłąkawszy się pomiędzy górami, postrzegł mnie, pasącego trzody, i prosił o pokazanie drogi do Chambery. Widząc go być strudzonym, zaprowadziłem do siebie i, dawszy mu nieco posiłku, którego zdawał się potrzebować, wywiodłem go prostemi ścieżkami do wsi poblizkiej na wielki gościniec». — Nie wymienił wam czasem nazwiska swojej ojczyzny? przerwiemy pasterzowi. — «Tak jest, odpowie, mianował mi ją po kilkakroć, ale jak wam powiedziałem, że nazwiska krajów mało nas obchodzą, nie zatrzymałem go w pamięci;» — potem, zamyśliwszy się nieco

i kładąc rękę na czole, jakby dla przypomnienia czego: «Ach może, rzecze, zaspokoję ciekawość waszą! — Widziałem, jak przed chatką, wsparty na kamieniu, ryl jakieś na nim słowa, skrapiając je łzami. Smutek jego przeniknął mnie tem bardziej, że to były pierwsze łzy, com w tej widział ustroni«. — Idziemy oglądać kamień i znajdujemy na nim dwa wiersze z Eneidy w języku Marona, których zbyt słabe w języku naszym łączę naśladowanie:

Niema takiej krainy, niema prawie ludu,
Gdzieby ślady nie doszły klęsk naszych i trudu.

Po tych wyrazach poznaliśmy nieszczęśliwego ojczyznę i ledwo sami wstrzymaliśmy się od płaczu, ażeby nie pomnażać smutnych pamiątek w życiu szczęśliwego pasterza. «Sposób, mówił on dalej, jakim dziękował mi za moje przyjęcie, dał mi poznać dobre jego serce; można go bowiem okazać, nawet odbierając posługę. Piękna to jest rzecz ta wdzięczność!»

Śniadanie, co nam hoża sporządziła Dorota (było to imię żony pasterza) i które głód przysmaczył, zdało się nam wyborniejsze nad wszystkie włoskie łakocie.

Patrząc na pomyślność dwojga tych ludzi: Nieszczęście, rzekłem, od nas pochodzi, bo szczęście naszem jest dziełem. — Wszystko, co otaczało tego dobrego człowieka, służyło do jego szczęśliwości. Chatka była składem jego bogactwa i schronią w przykrej porze czasu; góry czyste wyrzucały zdroje; trzody dostarczały mu odzienia i zdrowego pokarmu; nakoniec posiadał ulubiony przedmiot, od którego był równie kochanym.

Luba chatko! ty stawiasz w mych oczach wiek złoty,
Gdzie człowiek żył na łonie niewinnej prostoty;
Był szczęśliwym, a jasnej życia jego przędzy
Nie zasępiały pasma i zgryzot i nędzy;
Gdzie ludzkość była długiem, co się płacił wzajem;
Własne uczucie prawem, a cnota zwyczajem.
Wszyscy tam jednym rodem, jednym byli stanem:
Żądze niewolnikami, a rozum ich panem.
Kontenci ze schronienia, wśród niekształtnej budy,
Nie znali, co pałace, ani co ich nudy.
Zabawy ich niewinne nie rodziły sporów:
Gra w chwili nie chłonęła wieloletnich zbiorów!
Gra, to dziecko łakomstwa, a matka rozpaczy,
Która jednych niesławą, drugich nędzą znaczy!

W obyczajach niewinni, w powinnościach zgodni:
Niewiele znali ustaw, a mniej było zbrodni.
Mniej znali cnoty nazwisk, — więcej ich pełnili:
Mniej mówiąc o ludzkości, bardziej ludźmi byli.
Każdy w sobie nadgrodę znajdował swych czynów;
Przykład ojca praw księgą był dla jego synów;
Miłość tworzyła związki, a te wieńczył statek;
Matki cór były wzorem, te ozdobą matek.
Podłość nie ubóstwiała niszczycielów świata:
Człek w rządcy widział ojca, rządca w człeku brata;
Ani sąsiad, o swoją własność bojaźliwy,
Kamieniem swej od cudzej nie przedzielał niwy.
Dumny patron z praw ciemnych nie wyjeżdżał księgą:
Ufność była rękojmią, a słowo przysięgą.
Obłuda dobra kraju nie brała postaci:
Człek swe szczęście zakładał na szczęściu współbraci;
Zasługiwał na pamięć, choć nie znał, co sława;
Mniej mówił o przyjaźni, znał lepiej jej prawa.
Kontent z swych ojców ziemi, z swej pracy bogaty,
Nie szukał śmierci, nowe odkrywając światy;
Wad obcych za ojcowskie w kraj nie niósł dostatki,
Nie wstydził się języka, który wyssał z matki.
Zdań różność nienawiści nie była pochodnią:
Błąd umysłu był błędem, wady serca zbrodnią.
Szczęk broni lękliwego nie płoszył pasterza:
Nie znał on innych wrogów, prócz leśnego zwierza;
Radośnych jego pieni nawykłe multanki
Nie umiały się skarżyć na zdradę kochanki;
A nucąc swoje szczęście na wieśniaczym flecie,
Nie wierzył, żeby inne być mogło na świecie.

Taki byłeś za naszych ojców, czasie złoty!
Potomki snem być mienią ich szczęście i cnoty;
A z czasu, w jakim sami żyją, biorąc miarę,
Słodzą go, między bajki kładąc wieki stare.

«Widzę, rzeknę do pasterza, że pokój i szczęście udziałem są waszej ustroni; ale winszujemy wam nowej onych rękojmi». — «Jakiej?» zapyta. — «Konstytucyi, co wam przynieśli Francuzi». — «Oto jest, rzecze, nasza konstytucya» — wskazując na skały — póki te trwać będą, póty my zostaniemy wolnymi! — Ja ledwo wiem, że w Sabaudyi są Francuzi, i nie wiedziałbym o tem, gdybym nie był przymuszony iść niekiedy do miasta, dla kupienia soli. — Widziałem ja tych republikanów, szczepiących

drzewa wolności po rynkach! — ale to nie tam, lecz tu, pokazując na serce, potrzeba je szczepić».

Słysząc tak dobrze rozumującego, zagadywaliśmy go w różnych szczegółach, tyczących się pasterskiego życia; — odpowiedzi jego były w słowach krótkich, w przypowieściach i w uderzających podobieństwach. — Zapytaliśmy go, co sądził o miastach: — «Jest to, rzecze, nieustanny jarmark, gdzie ludzie pędzą życie na kupczeniu. — Każdy ci tam gada o swojej rzetelności, ażeby ci lepiej przedał nierzetelność swoją».

Ponieważ w opowiedzi jego zabaw dniowych nie było wzmianki, ażeby kiedy szedł do kościoła, dałem jemu poznać moją w tej mierze ciekawość. — «My tu, odpowie, bliżej jesteśmy Bóstwa, ażebyśmy go mieli szukać po dolinach.» — «Macież tu kiedy księży dla obrządków wiary?» — «Nie — ci Jchmość nie lubią pełzać po niepłodnych skałach. Widziałem niegdyś nasze wsie i miasta, rojące się tymi posłańcami nieba, nim znowu inni, co się być mienią posłańcami rozumu, nie wygnali pierwszych; — ale mi się zdaje, że jedni nie lepiej służą swemu panu, jak drudzy».

Patrząc na jego wzrost piękny, cerę świeżą i postawę kształtną, różniące go od innych Sabaudczyków, po wsiach i miastach zamieszkałych, zapytaliśmy o przyczynę. — «My, górale, odpowie nam, wskazując na sosnę, podobni jesteśmy do tego drzewa: — tak dorodne na miejscach piaszczystych, traci moc swoją i bujność, na żyzną przeniesione ziemię». — Na te słowa, zdało się nam, że słyszymy mówiącego Buffo, w pasterskiej odzieży; widok zaś tego patryotycznego drzewa głębokie w nas wycisnął westchnienie, tak jak głos pieśni krajowej wyciska łzy Szwajcarowi, oddalonemu od swojej ojczyzny.

B) „Wiersz do Legiów Polskich" (1805).

Nox erat et coelo fulgebat luna sereno. *Hor.*

249) Kiedy jeden z narodów, w tej płonnej nadziei,
Że wieku żelaznemu wiek zwróci Astrei,
Chciał świata moralnego dawną burzyć postać,
Polak pragnął szczególnie swą własność wydostać

I płochych z Ikarami nie dzieląc układów,
Żądał tylko odzyskać szczęśliwość naddziadów;
Ufny w dzielnem ramieniu, a bardziej w swej sprawie,
O własnej, nie o świata zamyślał poprawie;
A biorąc samą zemstę w zbytne może kluby,
W ocaleniu swem obcej nie zamierzał zguby;
I — rozpacz każe wyrzec, na wieku sromotę, —
Dlatego tylko zginął, że zbyt wierzył w cnotę.
O wy! których opiewać przedsięwziąłem czyny
I przenieść na ojczyste z cudzych ziem wawrzyny;
Wy, co, jedni po różnych rozsypani stronach,
Szukacie śmierci w obcych już dla nas znamionach,
Drudzy, kiedy nieszczęsne przeznaczeń kowadło
Każe nam broń przerabiać na lemiesz i radło,
Chlubni obywatelstwu wypłaconym długiem,
Kroki wprawne do boju oswajacie z pługiem:
Darujcie, że się ważę smutnymi obrazy
Rozjątrzać w sercach waszych niezgojone razy,
I że w rymie, niezdolnym oddać waszych czynów,
Łzę wam niosę, współbracia, na miejscu wawrzynów!

Już głuchej nocy postać okryła narody,
A księżyc świecił miłej nadzieją pogody:
Wy, czując w sercach waszych cnotorodny płomień,
Szliście tam, gdzie nadziei prowadził was promień,
Promień, na który blednie występek i zdrada!
On dla nich strasznym błyskiem, w którym grom wypada;
Im wszędy towarzyszą postrach i zgryzoty:
Nadzieja jest udziałem samej tylko cnoty!
«Wszak ją mają, kto rzecze, równie i zbrodniarze!»
Tak jest! — lecz ta z postrachem idzie do nich w parze.
Gdzie się każesz spodziewać, nie wzbudzając trwogi,
Tam ja ciebie poznaję, darze niebios drogi!
Ten to promień, szlachetne zapalając dusze,
Wystawiał dla was niczem i śmierć i katusze;
Odległość, niedostatek i ostre zakazy
Nie sprawiły do stałych przedsięwzięć odrazy.
Próżno zaparto bramy, podwojono straże:
Czegoż miłość ojczyzny z chęcią nie dokaże?

Tak, gdy ukryte w ziemnym wulkany przestworze,
Ze swojego łożyska wypierają morze,
Próżno one swe bełty ciska pod obłoki,
Napróżno, lądem zwarte, chce rozpostrzeć boki,
Nie mogąc siłą swoją naprzeciw naturze
Ani wylać na lądy, ani zostać w górze;
Kiedy wiatr coraz bardziej rozdyma je srogi,

Skryte sobie pod ziemią wynajduje drogi
I rozsyła swe nurty na różne manowce;
A gdy błędne po drodze zdybią się krajowce,
Czyniąc otwór swobodny sił swych połączeniem,
Te małe dotąd żyłki stają się strumieniem:
Nakoniec okazałe rzek wziąwszy nazwisko,
Powracają wspaniale w rodzinne łożysko:
Równie i wy obiegli kraj świata daleki,
By wrócić do ojczyzny, jak do morza rzeki.
Zamiar z niebezpieczeństwem kładł każdy na szalę,
I mówił: «Albo zginę, lub kraj mój ocalę».
Każdy z was tę przysięgę powtórzył najszczerszą:
Szczęśliwy ten przynajmniej, co uiścił pierwszą.

Ty! pod którego berłem znalazłem schronienie
I te wolne od trwogi niosę braciom pienie,
Co, łącząc godność człeka z blaskiem majestatu,
W monarsze cnót domowych dajesz przykład światu;
Gdy cię radość twych dzieci otacza dokoła,
Nie sądź o mojem czuciu z posępnego czoła
I daruj, że się stawię przed tobą w żałobie!
Polak jestem! — chcę płakać na mej matki grobie.
Królu! — naszych przeznaczeń ty nie jesteś winą!
Ten tylko broni płakać, kto łez jest przyczyną.

Tkwi mi zawsze ten moment w pamięci niestarty,
Gdy srogi los Polaka wymazywał z karty;
I kiedy on, rzucając dom, ród i dostatki,
Rozpierzchnął się po świecie, jak pszczoły bez matki;
Ja, wśród zagonu łzami zlewając rzewnemi
Pług, idący z oporem w nowych panów ziemi,
I myśląc nad ojczyzny smutnem przeznaczeniem,
Usnąłem, zadumany pod jaworu cieniem.
Gdy się myśli unoszą po krainach marzeń,
Snując pasmo zwodniczych obrazów i zdarzeń,
Na skrzydłach urojenia niesiony po świecie,
Ujrzałem się na Alpów niebotycznych grzbiecie;
Skąd hesperyjskie pola i Tanaru brzegi
Postrzegłem Lechickimi okryte szeregi.
W ich zbrojnem ciele dusza narodu jaśniała;
Na twarzy była rozpacz, a na czole chwała;
Każdy pyłem okryty marsowego znoju,
Nucąc hymny ojczyste, pałał żądzą boju;
A gdy wśród tętu koni, trąb i kotłów wrzawy,
Godzinę walki bożec zapowiadał krwawy,
Zamiast odkazu innej dla siebie spuścizny,
Jeden drugiemu pomstę polecał ojczyzny.

Choć zaś śmierć ich małego nie szczędziła liku,
Szeregi zawsze pełne stawały do szyku;
Zdawało się, że z każdej pobitych mogiły
Nowe roty mścicielów na plac wychodziły.
Tam ludów, różnych mową, ubiorem, postacią,
Napiersnie zdobił napis: «Wolni wszyscy bracią».
Widziałem, jak się boje rozpoczęły krwawe
I jak człowiek za własną potykał się sprawę;
Ale w takowej walce spór nie mógł być długi,
Gdzie naprzeciwko wolnym pan wysyłał sługi.
Próżno zbladły fanatyzm z mistycznego tronu
Tłuszcze zwoływał znakiem grzechotki i dzwonu:
Głos wolności zagłuszył poświęcone spiże,
A przed jej chorągwiami uciekały krzyże;
I ten, co swe Polakom winien ocalenie,
Drżał Wiedeń na zdradzonych wybawców zbliżenie;
Sztandar zaś Mahometa, ten wojenny spadek
Naszych przodków, a sąsiad niewdzięczności świadek,
Co go polskie wydarło Muzułmanom ramię,
A Loret ze czcią chował, jako cudu znamię,
Stawiąc na myśl Polakom Sobieskich przykłady,
Wiódł tam wnuków, gdzie mężne zdobyły go dziady.

Gdy się oko zwodniczym nasyca obrazem,
Zbir srogi mnie go zbawił, przysłany z ukazem.
Obłęd snu tak był dzielny, kiedy mnie przebudził,
Że chciałem tem go straszyć, czemem się sam łudził.
Czytam pismo; — lecz skończyć nie czułem się zdolnym:
Kazano mi przysięgać, że nie będę wolnym.

O ty, ulgo nieszczęsnych, darze niebios miły,
Co krzepisz śmiertelników utrudzone siły,
A w naczynia ciał naszych lejąc trunek boski,
Usypiasz nas na łonie rozkoszy i troski,
Śnie luby! — czemuś, klejąc spłakane powieki,
Nieszczęsnemu zarazem nie zawarł na wieki?

Jak na łożu boleści, gdy zmysły sen złudzi,
Chory z większem się jeszcze udręczeniem budzi,
Tak ja równie ockniony z pięknego marzenia,
Czułem dotkliwiej srogość mego przeznaczenia;
I, jak ów zwierz, śmiertelnym pociskiem rażony,
Ciska się, party bolem, w rozmaite strony,
Rozumiejąc, nieszczęsny, że z miejsca odmianą
I srogie jego razem cierpienia ustaną,
Obiegałem nadbrzeża, doliny i góry,
Chcąc myśl smutną ożywić pięknością natury;
Ale wszystkie jej niegdyś wdzięki i ozdoby

Wdziały przed niewolnikiem postawę żałoby.
Nie zmieni stanu serca, zmieniając przedmioty,
Komu wewnątrz śmiertelne dokuczają groty.
Gdziem tylko wzrok zapuścił, i za każdym krokiem,
Smutny obraz ojczyzny snuł mi się przed okiem;
To znowu sen w łudzącej stawiając postaci,
Chciałem nim cieszyć siebie i moich współbraci;
Lecz oni, próżno w Syon kołacząc skargami,
Mieliż ufać bożkowi, co nas we śnie mami?
Jeden, sporym w niewoli postępując krokiem,
Bał się wspomnieć, czem byli Polacy przed rokiem;
Drugi, snów nawet samych słuchając z ostrożna,
Mówił, że za podobne karze podpaść można;
Inny, zwykły brać wszystko pod rachunek ścisły,
Liczył mile po skali od Padu od Wisły;
I gdy cerklem na karcie miejsc odległość zmierzył,
Wstrząsnął głową i radził, bym we sny nie wierzył.

Jeszcze złoty wóz Feba, w kół ognistych toku,
Nie dostarczył szat nowych czterem córom roku,
Jeszcze w pierwotne brózdy pokrajana niwa
Nie dała dwukrotnego swemu panu żniwa,
I ptak, co był w jesieni ścierń smutną porzucił,
Jeszcze z wiosną na gniazdo ojczyste nie wrócił,
Kiedy odgłos nad Padem zebranych Polaków
Wzywał z niemi się łączyć walecznych rodaków.
Mając miłość ojczyzny i wzór ich na celu,
Szedłem z chlubą, choć w liczbie pośledniejszy z wielu;
I, co sen mi wystawiał w zwodniczej postawie,
Gasło przed ich świetnymi czynami na jawie.

Kiedy chmura naokół zionęła pioruny,
Świat jęknął i obadwa wstrzęsły się bieguny;
Gdy grom potrójny w Lecha uderzył siedlisko,
Zamieniając gmach pyszny na gruzów zwalisko:
Tak, jak Noe, co niegdyś wśród świata powodzi
Plemię człeka od zguby unosił na łodzi,
Polak równie, wśród losów nieszczęsnych kołei,
Chciał się jeszcze ratować na łódce nadziei.
Czemuż do niej nie zabrał jedności i miru?
Nikt nie chciał robić wiosłem, każdy pragnął stéru:
Wy ten korab, nadziei falami tłuczony,
Parli przeciwko wiatrom własnemi ramiony.
Niestety! — on był jeszcze daleko od lądu:
Sternicy się kłócili o nowy ster rządu;
I, chcąc dom na nadziei kształcić budowany,
Ten podwyższał sklepienia, ten odmieniał ściany;

A czego jeszcze wspomnieć nie można bez sromu,
Już się nawet o miejsca kłócono w tym domu.
Ani w środkach ratunku jedności nie było:
Ten chciał powstać przez pomoc, drugi własną siłą;
Gdy inny polityczne przedstawiał układy,
Drugi w nich gramatyczne ukazywał wady:
Wy, nie trwoniąc tak drogiej dla ojczyzny pory,
Z nieprzyjacielem w boju toczyliście spory,
Zwracając świata baczność na dzieł świetnych sławę,
Wasz oręż czczą zagłuszał tych Solonów wrzawę.

Czułości! — wstrzymaj twoje niewczesne zapędy!
Już teraz późno przeszłe ukazywać błędy;
Dziś nad grobem ojczyzny płaczą wszyscy razem.
Darujcie, żem się z smutnym rozciągnął obrazem!
Jest to wadą niektórych, że mają w zwyczaju
Unosić się, gdy mówią o nieszczęściach kraju.
Nakoniec, skryte dla nas przeznaczeń są drogi:
Niech błędy ojców dzieciom służą za przestrogi!
Ten zarzut nie ubliża szacunku ich cnocie:
Różni w środkach, lecz byli zgodnymi w przedmiocie;
Każdy niósł na ratunek sił swoich ostatki,
Gotowy własnem życiem zgon okupić matki;
Na tych tylko niech spadnie hańba i sromota,
Niechaj bojaźń z rozpaczą umysłem ich miota,
Niech im robak wewnętrzny twarde serca toczy,
Co na jej zgon patrzyli spokojnemi oczy!
Ale po co odrodków ojczyzny wspomnienie
Przerywa jej obrońcom poświęcone pienie?

Jak błędne w nocy światła, co łudzą podróżnych,
Tak cień matki was wodził po krainach różnych;
Niosąc z sobą nadziei i braterstwa znamię,
Szliście z ludem walecznym złączyć wasze ramię;
A dzieląc z nim odwagę i trudy i sławę,
Sądziliście, że swoją złączy z waszą sprawę.

A czyliż dla Polaka tak jest przeznaczono,
Żeby od tych brał ciosy, których był obroną?
Myślałyż nasze dziady pod Wiedniem za Jana,
Że, zamiast przyjaciela, dadzą wnukom pana?
Mogliścież i wy myśleć pod Sessą*), Weroną
Że was poszlą pić wodę Oceanu słoną?
O, jak bolesne miejsca drugiego wspomnienie!
Stawają mi przed oczy Rymkiewicza cienie.

*) Sessa, albo Suessa, miasto w królestwie Neapolitańskiem. *(Przyp. Autora).*

Czytam ten zarzut w jego surowej postaci:
«Żal niegodnym jest hołdem dla mężnych twych braci».
Pomnę, kiedy w nieszczęsnej pod Leniago stracie
Los mi kazał, prócz innych, płakać śmierci w bracie:
«Łza w boju żołnierzowi, rzecze, nie przystoi,»
A wskazując na roty: — «To są bracia twoi».
Ach przebacz, raz ten jeszcze, drogi wodza cieniu,
Lutni w ręku żołnierza żałosnemu brzmieniu!
Nie mogąc innej braciom wypełnić posługi,
Wdzięczność, w miarę sił swoich, płacić winna długi.

O ty! który, żyć nie chcąc po wolności zgonie,
Zamiast pomścić się onej, miecz topisz w swem łonie
I cios matce zadajesz, ugadzając w siebie,
Katonie! ja w tym kroku nie poznaję ciebie:
Cóżeś twoją rozpaczą dla ojczyzny zrobił?
Zamiast bronić jej swobód, tyś jeszcze je dobił;
Zdaje się, że wolności cios gotując srogi,
Dałyć tę myśl przychylne Cezarowi bogi.
Ona nie tak Farsalską zachwiała się stratą,
Ile rozpaczający zaszkodził jej Kato.
Jeśli dość na stoika, że mężnie umiera,
Nie sama wzgarda śmierci robi bohatera.

Gdy czyn Katona z waszym porównywam czynem,
Chlubniej być mi Polakiem, niźli Rzymianinem.
Krew Katona jest tylko klęską dla współbraci:
Wasze rany zbyt drogo nieprzyjaciel płaci.
Ów zgon Rzymu przez swoją pieczętuje bliznę,
Z was każdy swoję z sobą unosi ojczyznę;
A nie mając swej ziemi na jedną już stopę,
Mierzy krokiem zwycięskim zdziwioną Europę,
I ten, którego imię zniknęło na karcie,
Dla jednych postrach zemsty, drugim niesie wsparcie.

Tak, gdy niegdyś Pers dumny wszystkie siły wschodu
Na zagładę greckiego poruszył narodu,
Tworząc dziwy na ziemnem i wodnem przestworzu,
Płynął, gdzie były góry, przechodził po morzu;
A pomstę swoich przodków mając w przedsięwzięciu,
Na jednego Greczyna swych zbroił dziesięciu;
Ateńczyk, chcąc odeprzeć napaśnicze tłumy,
Rzuca miasto, ten przedmiot najezdnika dumy,
Łącząc siłę i rozpacz z miłością ojczyzny,
Idzie walczyć z nachódcą wśród morskiej płaszczyzny;
I ten, co się na ziemi rozgościł był Greka,
Pan tysiąca okrętów, na barce ucieka.

Z równym i wy ojczyznę rzucili zapałem!
Choć szczęście Aten waszym nie było udziałem,
Przynajmniej wasza chwała nie jest pośledniejsza:
Los przeciwny szacunku ofiary nie zmniejsza.

Co za widok wspaniały uderza me oczy!
Tam, gdzie Erydan nurty lazurowe toczy;
Gdzie Gallów z Germanami Ren dzieli szeroki,
I gdzie Tyber, skrapiając Scypijonów zwłoki,
Zazdrośny sławy Rzymu, w swem łonie głębokiem
Ukrywa twórcze dzieła przed najezdcy okiem,
I skąd, niesyty niegdyś i sławy i danin,
Jednym berła, a drugim słał pęta Rzymianin,
Który dla swych widoków i wojennych trudów,
Nie znał innej granicy, nad pokorę ludów;*)
Gdzie potem na Trajanów i Tytusów tronie
Siadłszy święty rybołów w troistej koronie,
Ze schodów marmurowych, nakształt majestatu,
Dwa palce, zamiast berła, pokazywał światu;**)
Gdzie bystry Dunaj, świadek tylu krwawych bojów,
Niesie morzu daninę krajoróżnych zdrojów,
I gdzie Wulkan z swej paszczy czarną lawę ziewa:
Wszędzie sztandar zwycięski Sarmatów powiewa;
A wśród ojczystej mowy, stroju, obyczaju,
Zda mi się, że na łonie mego jestem kraju.
I nie prędzej to słodkie omamienie ginie,
Aż gdy wzrok mój po obcej zapuszczę krainie.

Liczbą zbrojnych przychodniów mieszkaniec zdziwiony,
Trwożnem okiem przebiega obce legiony,
Jakie ich przedsięwzięcie, jaki zamysł, bada;
Sam siebie zapytuje i sam odpowiada:
«Może umysł, napadów albo zwycięstw chciwy,
«Nowych wiedzie Attylów na Auzońskie niwy?»
Nie. — To naród szlachetny, łagodny, spokojny:
Zawsze był mężny w boju, lecz nie szukał wojny.
«Może klima niewdzięczne, chciwość lub potrzeba
«Zagnały tych wędrowców pod te szczęsne nieba,
«Gdzie ziemia, co rok płodna, nie znając odłogów,
«Lubym niegdyś pobytem była ojca bogów?».
Nie. — Zamożny i w niwy i stada i trzody,
Ten lud inne odziewał i żywił narody;
Gościnny, dzielił z obcym dostatek krajowcem,
Lubił wspierać przychodniów, sam nie był wędrowcem.

---

*) Parcere subjectis et debellare superbos *(Przyp. Aut.)*.
**) Orbi et urbi *(Przyp. Aut.)*.

«Może, smutne Pergamu rzuciwszy zwaliska,
«Nowi jacy Trojanie szukają siedliska,
«Chcąc, na wzór Eneaszów, nowem państwem słynąć?»
Nie. — Przyszli kraj swój zbawić lub za niego zginąć.

Ale próżne, niestety, zamiary i znoje!
Jak nie dla siebie znoszą miód pracowne roje,
Jak nie sobie pod jarzmem wół kraje zagony *),
Równie kto inny zebrał pracy waszej plony.
Co za smutne uczucie dla Polaka duszy!
Lecz nowy jakiś odgłos uderza me uszy:
Auzończyk, wsparty dzielnem Lechity ramieniem,
Niesie mu hołd wdzięczności swem ponętnem pieniem;
A nie mogąc mu równym odsłużyć wymiarem,
Płaci jego ofiary obietnicy darem.

Brzeg auzoński za mały na wasze był czyny:
Sława was w odleglejsze wzywała krainy;
Kędy ojce szukały winy odpuszczenia,
Ich dzieci szły na hasło ojczyzny zbawienia;
Tam, okryty laurami na werońskiem polu,
Dzienne rozkazy **) Polak dawał z Kapitolu;***)
I gdzie bagna pontyńskie dech zabójczy zioną,
Wszędy widziano ziemię, krwią jego zbroczoną ****);
Walcząc mężnie na polach nowej Partenopy,
Utkwił sztandar Sarmacki na krańcach Europy.
Tam obiegłszy zwycięskim krokiem okolicę,
Zdobił w pamiątki męstwa niewdzięcznych stolicę *****),
Może kiedyś życzliwsze od swych ojców plemię,
Patrząc na zhołdowane i ludy i ziemie,
Na zwycięskich w swym grodzie znaków skład bogaty,
Wspomni imię z wdzięcznością mężnego Sarmaty.

---

*) Sic vos von vobis... *(Przyp. Aut.)*.

**) Wyraz wojskowy, po francusku: l'ordre du jour *(Przyp. Aut.)*.

***) Kapitolium było pod strażą Polaków. Sztab Legii 1-szej, i szef jej, generał Kniaziewicz, mieli tam swoją kwaterę. Dzień zaś 3-go maja, którego polskie bataliony weszły na Kapitolium, stał się dwakroć pamiętnym w dziejach tego narodu *(Przyp. Aut.)*.

****) Zaburzenia w okolicach Terracina ściągnęły Legię polską w te strony, gdzie jadowite z bagna Pontyńskiego wyziewy zarażają powietrze. Ta wyprawa sprawiła znaczną klęskę w ludziach przez choroby i wściekłość uzbrojonego fanatyzmem mieszkańca. Legia straciła kilku oficerów — kilku było ciężko ranionych. Między pierwszymi, major Podoski; w liczbie drugich znajdował się kapitan Downarowicz, idący na czele grenadyerów do szturmu *(Przyp. Aut.)*.

*****) Wzmianka tu jest o chorągwiach Neapolitańskich, które generał Kniaziewicz odwiózł do Paryża i złożył w Dyrektoryacie na uroczystem jego posiedzeniu. — Miane z tej okazyi mowy i wszystkie szczegóły tej pamiętnej dla Polaka epoki przyjemnym dla niego będą obrazem w historyi Legiów, już będącej pod piórem *(Przyp. Aut.)*.

Lecz tu nie koniec waszych i trudów i chwały:
Nowe was laury, nowe cyprysy czekały;
Wy, na wszystkie przygody mając umysł męski,
Znosiliście zarówno zwycięstwa i klęski,
A krótkie w czasach krwawych trąb wojennych przerwy
Przyjemnym poświęcali zabawom Minerwy *).
Ten pracowny spoczynek nie był dla was długi:
Żądano od was nowych ofiar i posługi;
Wkrótce chmury gromowe, rycząc od Tyrolu,
Kazały wam się stawić na marsowem polu.
Tam odwieczne Zachodu i Północy siły
Siłom, jeszcze w kolebce będącym, groziły;
A ziemia, co darzyła rozkosznym pobytem,
Wzięła postać krainy, oblanej Kocytem.

Jak, kiedy Trójzębego chcąc burzyć dziedzinę,
Wiatrowładny z swych miechów poruszy drużynę;
Pędząc nawał świszczący Eolskiej czeladzi,
Rozwala, o co tylko po drodze zawadzi;
Zasmuciwszy rolnika, swą srogość wymierza
W schronią ptaków i pobyt swodobny pasterza,
Gdzie, z posępnym wód szmerem, słabych listków drżenie
Zapowiada strasznego przychodnia zbliżenie;
I gdy już swoją wściekłość na drzewach wywiera,
Te, łącząc swe ramiona, jedno drugie wspiera, —
Tak wy równie z narodem Padu i Sekwany
Dzielili męstwo, klęski i trud naprzemiany;
A słoniąc obraz śmierci wolności obrazem,
Mówił jeden drugiemu: «Umierajmy razem».

---

*) Wielu z oficerów czas, zbywający od zatrudnień wojskowych, poświęcało naukom; wielu z nich było, co godziny spoczynku i zabaw łożyli na uczenie żołnierza. Rozkaz dzienny generała Dąbrowskiego, wydany w Rzymie dnia 3 maja, r. 1798, godny jest wiadomości rodaków. — Zachęcając w nim do uczenia się matematyki, historyi, geografii i języków, powiada, że nie liczbą, ale przymiotami i cnotą możemy zwrócić baczność Europy. — Generał Rymkiewicz w Mantui zmierzał do tego celu wszystkie swoje usiłowania; a między innemi naukami, zwracając wzgląd na ojczysty język, w niedostatku polskiej drukarni, ważniejsze wiadomości i tłómaczone z lepszych dzieł wyjątki kazał czytać żołnierzom obok dziennych rozkazów. To pismo, w dwóch arkuszach, pod nazwiskiem Dekady Legionowej, wychodziło co dni dziesięć. Kapitan Paszkowski, który się przykładał do tej pracy, w osobnych godzinach dawał początki historyi, matematyki i języków. W Phalsburgu, gdzie się tworzył zawiązek Legii Naddunajskiej, szefowie Fiszer i Drzewiecki założyli szkołę żołnierza, zachęcając w niej równie nauczycielów i uczniów. — Młodzież zaś, która wyższych nauk wzięła początki w kraju, znalazła w nich dalszego przewodnika i poradcę w osobie szanownego rodaka, co, całe swe życie pędząc na usługach ojczyzny, ostatki jego poświęca szczęśliwie obowiązkom ojca z pożytkiem rodaków *(Przyp. Aut.)*.

Może w czasie wędrowiec, zwiedzając te strony,
Kiedy ujrzy na polach stek mogił wzniesiony,
Czyjeby kryły zwłoki, mieszkańca zapyta:
«Tu, szukając ojczyzny, grób znalazł Lechita;
«Tam Francuz, co nam niegdyś prawił o wolności;
«Tu, rzecze, moich ziomków spoczywają kości»

Gdy zaś błędem, czy zdradą, czy z losów wyroku
Francuz trzykroć Germanom ustępując kroku,
Na zgubną straż zostawił szczątki nowej Troi,
Na męcie stęchłych jezior wzniesionej ostoi,
Każdy z was, bieżąc nowym do sławy zawodem,
Walczył z nieprzyjacielem, chorobą i głodem;
A kto śmierci uniknął, na zabójczej kępie
Znalazł więzy w mniemanych wybawców podstępie.

Tak, jak roje swobodne hyblejskich ogrodów,
Gdy je sąsiad napadnie, chciwy cudzych miodów,
Rzucając ulubione swej matki siedlisko,
Puszczają się, jak błędne, na wiatrów igrzysko
I z swych gajów ojczystych lecą w obce knieje,
Mając za przewodnika rozpacz i nadzieje;
A zdybawszy po drodze wśród swego przechodu,
Chociaż cudzokrajowce, ale tegoż rodu,
Naówczas różnych gajów zjednoczone roje
Świętym węzłem braterstwa łączą siły swoje.
Jeśli zaś i w tych stronach napastne owady
Rozbiją lotne kłęby wędrowczej gromady,
Cna rzesza znowu w inne zapuszcza się ziemie,
Niosąc, zamiast słodyczy, swoich nieszczęść brzemie,
I w powszechnem cierpieniu srogi smutek tuli
Nadzieją powrócenia do ojczystych uli;
Ni przeciwność jej stałej nie przerywa pracy:
Tak różnym losem wszędy miotani Polacy,
Ci, rzucając brzeg Padu, ci ojczyste gniazdo,
Gromadzą się raz jeszcze pod łudzącą gwiazdą;
I, gdzie Ren licznych krain użyźnia płaszczyzny,
Idą szukać gościńca do swojej ojczyzny.
Tam dowódca, podobny Marsowi z postaci,
Przykładem swym do męstwa zagrzewał współbraci,
Co nigdy śmiałych kroków trudnością nie mierzył,
Budząc odwagę hasłem, któremu sam wierzył,
I sam nim zawiedziony, — próżnej sławy syty,
Przeniósł ziomków szacunek nad obce zaszczyty.
Tam każdy z swego stopnia w rycerskim zapale
Stawił wieczne pamiątki narodowej chwale.
Tam żołnierz, idąc w swoich przełożonych ślady,

Łamał hufce i czerni rozpędzał gromady,
Które chytry Włoch dusznej ponętą nagrody
Krwią znaczonym gościńcem na wieczne słał gody.
Tam, czyn godząc obrońców z przeznaczeniem brańców,
Żołnierz za dnia wzniesionych bronił w nocy szańców;
Niosąc karabin z rydlem na służbę z wysługą,
Jedną ręką je sypał, a zasłaniał drugą.
Naostatek, zwycięzca w nadreńskiej krainie,
Poszedł utkwić swój sztandar tam, gdzie Dunaj płynie;
A przechodząc sąsiednej tej rzeki łożysko,
Uiścił, że nie próżnie jej nosił nazwisko:
Tkwią mi jeszcze w pamięci Hohenlindu błonie,
Gdzie Francuz jego męstwem swe uwieńczył skronie.

Niestety! — jakież dano wam za to podzięki?
Krew się ścina w mych żyłach — pióro pada z ręki;
Boleść zatłumia mowę — nie staje wyrazu!
Ale na co powiększać okropność obrazu?
Szliście na głos braterstwa, — lecz, o losie srogi!
Ten grób znalazł, ten wróci bez ręki lub nogi,
Oddalony od braci, domu i rodziny,
Niejeden pije gorycz w pośród słodkiej trzciny;*)
A drugi, przebiegając okropne pustynie,
Lub cudzy głód nasyca, albo własnym ginie.

O hańbo! o ślepoto w ludziach niepojęta!
Ten, który został wolnym, poniósł drugim pęta.
Poniósł — ale słusznego nie uszedł pogromu:
Znalazł lub zgon za morzem, lub niewolę w domu.
O narodzie niewdzięczny! — takaż twa wypłata,
Byś na rzeź słał przyjaciół wśród obcego świata,
Nadzieje matek zmieniał na rozpacz i trwogę?
Takąż nam do ojczyzny ukazałeś drogę?

Świadek waszego męstwa, a uczestnik biedy,
Koledzy, przyjaciele, zobaczęż was kiedy?
Będziemyż sobie nasze powiadać przygody,
W przekonaniu wewnętrznem szukając nadgrody?
Ach! czemuż dla Polaka losy niełaskawe
Nie dadzą ulżyć braciom, których dzieli sławę?
Jak łódź, miotana burzą po morskiej przestrzeni,
Jak listek, z drzewa spadły, błąka się w jesieni,
Tak z was każdy, z rodzinną ziemią rozłączony,
Idzie, nie wiedząc, w jakie los go niesie strony,

*) Wyspa St. Domingo, czyli Hispaniola, w Ameryce, sławna cukrowemi trzcinami, gdzie Legia Naddunajska zginęła prawie do szczętu. *(Przyp. Aut.)*.

Albo walcząc ze śmiercią na morskiej płaszczyźnie,
Ostatnie swe westchnienia przysyła ojczyźnie.

O wy, drogie narodu ogromnego szczątki!
Czyż nie dość ginąć marnie? — trzebaż bez pamiątki?
Niktże waszych dzieł świetnych nie ogłosi światu,
Ni rzuci na mogiły ojczystego kwiatu?
Macież dla nas pić gorycz wszędy rozproszeni?
Albo ginąć, a jeszcze ginąć zapomnieni?
Nie! — Myśl słodka mnie cieszy, że pamięci córa
Dar nam gotuje w płodzie ojczystego pióra;
I że z waszych popiołów (przeczucia me tuszą)
Powstanie polski Maro z Jasińskiego duszą;
On wasze czyny poda do wiecznej pamięci,
A gasząc moje rymy, wspomni dobre chęci.

Opracował J. MICHALSKI.

XLVIII.

REKLEWSKI WINCENTY.

(1786—1812).

Wincenty Reklewski urodził się w r. 1786 we wsi Obręcznej w powiecie radomskim. Po skończeniu szkoły podwydziałowej w Słupi Nowej w r. 1804 wstąpił na wydział filozoficzny uniwersytetu krakowskiego. Podczas pobytu na uniwersytecie, zaprzyjaźnił się serdecznie z Andrzejem Brodzińskim, również studentem filozofii, z którym poza wspólnością usposobień i upodobań, łączyła go poezya. Obaj tworzyli «proste sielanki», naśladując Karpińskiego, Gessnera, Kleista, Hallera i innych. W roku 1806 opuszcza R. uniwersytet, aby zaciągnąć się do wojska polskiego. W kampanii 1809 r. walczył pod Raszynem, odznaczył się w bitwie pod Sandomierzem, za co otrzymał rangę kapitana i krzyż złoty. Po zawarciu pokoju półtrzecia roku przebywał w Krakowie ze swoim oddziałem, w którym służył, jako kadet, Kazimierz Brodziński. Podczas tego pobytu zabrał się znowu R. do pisania poezyi, których zbiorek wydał w Krakowie w 1811 r., p. t. «Pienia wiejskie». W tymże roku przeniesiony został do Modlina, do korpusu inżynierów, i, jako poddyrektor, kierował fortyfikacyą tej twierdzy. Z Modlina wyruszył na wyprawę Napoleońską 1812 r. Po bitwie pod Smoleńskiem za męstwo otrzymał rangę podpułkownika. W dalszym pochodzie zachorował ciężko i, zaledwie dojechał do Moskwy, umarł tam w szpitalu w 27-m roku życia.

«W urodnej postaci śpiewaka «Pień wiejskich» — pisze K. Brodziński — wszystkie zamieszkały cnoty; trudno było dać w nim pierwszeństwo jednej nad drugą. Najbardziej uderzała w oczy skromność jego, ta pierwsza ozdoba przymiotów i wdzięków. Czułe jego serce wzdychało zawsze do wsi, i większą część krótkiego tu pobytu swego przepędził on na marzeniu o przyszłej w zaciszu szczęśliwości. Przyjemna wesołość w posiedzeniu z przyjaciółmi, stosowna powaga w dopełnianiu powinności, łagodność z niższymi, szczerość z poufałymi,

uleganie wyższym — oto rzadki oręż, którym sobie serca wszystkich, nawet powszechnych nieprzyjaciół ludzi, podbijał Reklewski».

W puściźnie literackiej Reklewskiego dużo miejsca zajmują naśladowania i przeróbki sielanek Naruszewicza, Karpińskiego, Gessnera i Kleista. Poza temi blademi konwencyonalnemi figurami spotykamy postacie, wzięte ze wsi polskiej z dosyć dużą dozą realizmu. Utwory R-go, osnute na tle życia wsi polskiej, stanowią przejście od sielanek w guście Karpińskiego do tego rodzaju utworów K. Brodzińskiego, na którego R. wywarł wpływ znaczny.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

a) Wydania utworów Reklewskiego są następujące: 1) «Pienia wiejskie przez W. R.» (Kraków 1811); 2) Wybór z «Pień wiejskich» wydał Żegota Pauli w Krakowie w 1850 r., p. t. «Sielanki krakowskie Wincentego Reklewskiego»; 3) «Wieńce, poema pastoralne przez Wincentego Reklewskiego. Dzieło pośmiertne» i «Sonet» wydrukowano w «Pamiętniku warszawskim» t. XIX, 1821 r.

b) O Reklewskim pisali: 1) Brodziński K. «Wincenty Reklewski» (Pisma. V t. Poznań 1872); 2) Gawalewicz Maryan «O śpiewaku Wiesława» (Sylwetki i szkice literackie. Kraków 1888); 3) Gubrynowicz Bronisław «Wincenty Reklewski. Szkic literacki». (Lwów 1893); 4) Krček Franciszek «Do życiorysu W. Reklewskiego» (Pamiętnik literacki. Lwów 1902, zeszyt I); 5) Pauli Żegota «Krótka wiadomość o życiu Wincentego Reklewskiego» (wstęp do wydania «Sielanki krakowskie». Kraków 1850).

A) Krakowiaki.

(Sielanki krakowskie, str. 1—4).

250) Przyjechały z obcej wsi parobeczki hoże,
Wprowadzili koniki na nasze podworze;
Jeden z nich przed okienkiem w podkóweczki krzesze,
Kiedy Kasia w kómorze czarny warkocz czesze.
Proszą ojca i matki, by córce kazali
Wyjść z kómory. Ojcowie córkę zawołali.

Wyszła Kasia, do ziemi spuszczone oczęta;
Uśmiechały się na to sąsiedzkie dziewczęta,
Które się pozbiegały, słysząc niespodzianie
Na podwórku Kasinym podkówki i granie.
Kiedy Staś urodziwy, co dla Kasi płonie,
Ściska jej drobną rączkę w ogniste swe dłonie;
Uderza w podkóweczki, pięknie się uśmiécha,
Nachylony kilka słów powiada jej z cicha;

Podniosła Kasia oczy na Stasiowe lica:
Widać, jak ich wzajemnie uroda zachwyca.

Do czegóż, kiedy grają, młodych chętka wiedzie?
Zawsze trzeba tańcować, kiedy Staś przyjedzie.
Bo Staś z sobą przywiezie zawsze skrzypiciela,
Dziewczęta pozaprasza i chłopaków wiela:
A to wszystko, by Kasię ubawić do woli;
Kasia nockę tańcuje i główka nie boli.

Lecz ojcowie w podworku tańcować nie dali,
Ani krzesać do składu w podkówki ze stali,
Dlatego że od rana dziadek zachorował;
Oni zaś chcieli, by się prawnucząt dochował.

Więc poszli na środek wsi, gdzie cieniące dęby,
Gdzie często kochankowi poda dziewcze gęby,
Gdzie jest ziemia ubita niedzielnemi tany,
Gdzie często spadnie w tańcu wianeczek ruciany;
Dziewczyna się zapłoni, po wianek się schyla:
Już nierychło! zgubiła wianek jedna chwila.
Matka o wianek pyta i dziewczynę łaje,
I z którym tańcowała, temu ją oddaje.
Oni się uśmiechają, bo takie skaranie
Za łajanie, za płacze i za wianek stanie.
Tutaj więc, gdzie okólne dęby dają cienie,
Gdzie jest miejsce do tańca, dla starych siedzenie,
Przy świetle palonego na środku łuczywa,
Odzywają się basy, gdy skrzypek wygrywa.
Piękna Kasia ze Stasiem na sterze zamiata,
W zawrotach zgina ogień rozpuszczona szata;
Za niemi zaś drużyna pusty taniec toczy,
Sobie miłe wzajemnie rozmawiają oczy.
Staś, jak dawna w Krakowskiem uczy nas zabawa,
Po kilkunastu kołach na prost skrzypka stawa,
W podkóweczki uderza i śpiewkami wiela
Nadobny chłopiec rącze hasania przedziela:

«Zagraj mi moją piosnkę, luby skrzypicielu!
Bo ja będę za drużbę na twoim weselu;
A ty się kręć, dziewczyno! wyciągaj kolanka,
Trzymaj główkę prościuchno, by nie zgubić wianka.

Mały jeszcze gdym wybiegł do stada na błonie,
Najśmielej w jeździe dzikie mordowałem konie;
Nie zaraz na mem czole potne staną piany,
Nie zmożesz mnie, dziewczyno, jakiemi chcesz tany.

Raz się Kasia z wiewiórką w leszczynie spotkały,
Odskoczyły od siebie jako lotne strzały;

Nie dziwcie się wiewiórce i dziewczynie mojej,
Tamta się Kasi zlękła, ta wiewiórki boi.

Biegnij ze mną, koniku, do nocy od rana:
Staniemy u dziewczyny, tam dadzą ci siana,
Dadzą ci dużo owsa, w źródełku napoją,
Pogłaszcze cię dziewczyna, która będzie moją.

Żaden mi dziarski chłopak nie stanie na drodze,
Cztery konie na jednym lejcu dzielnie wodzę;
Żaden mnie wóz, gdy jadę z Krakowa, nie minie —
W tobie dopiero pierwszej kocham się dziewczynie.

Powiedzże mi, dziewczyno, czy jestem lubiony?
Wyskoczy po podworku ze mną konik wrony;
Podkówki sypną ognia, krakowiak pohasa,
I pięćdziesiąt kółeczek zabrząknie u pasa.

Lubi zima na Karpach, a wiosna w dolinie —
Kasiu! kiedy bez ciebie dzień mi nędznie płynie,
Powiedzże mi, matulu, jeśli Kasia moją?
Bo się smucę i smutne moje konie stoją.

Niemasz nic piękniejszego nad słońce na niebie,
Ni na ziemi piękniejszej, dziewczyno, nad ciebie;
I kiedy słońce zgaśnie, noc pola zamroczy,
Pomiędzy nami świecą twoje lśniące oczy.

Przestań już, skrzypicielu! bo mojej dziewczynie
Po rumianych jagodach czysta rosa płynie;
I matka na nią mruga, że już czas do doma:
Muszę je odprowadzić, bo noc niewidoma».

B) Jolenta.

(Sielanki krakowskie, str. 10—15).

251) Słońce jeszcze z różanej nie wyszło osłony,
Szary dzionek rozległe odkrywał zagony:
Wieńczone drzewem wioski i wody w dolinie,
I gór rozległe pasmo w niebieskiej mgle ginie;
Jolenta na przydróżne ugoru wzniesienie
Wesołe ojca stada zasmucona żenie.

Usiadła pod jaworem, co stoi przy drodze,
I te słowa z bladawych ust płyną niebodze:
«Paś się, trzodo! te pola dłonie jego siały;
Tu z niego pot ciągnęła praca i upały.
Pij ze zdroju, wszak on go wydobył z pod góry;
Tutaj go zimnym deszczem często zlały chmury.

Pamiętne są, kochanku, polom twe usługi,
Tyś z jutrzenką wywodził na ugory pługi;
Przez ciebie ojciec niwy uprawne dziedziczy,
Chowam ja twoją kosę, chowam sprzęt rolniczy.
Obyś ty jeszcze w łąki niósł porankiem kosę,
Obyś orał! te prośby codzień w niebo niosę.

Witaj, słońce! na ciebie czekam utęskniona,
Prędko zajaśnisz w pośród bławatnego łona.
Niech ten dzień, który twoja obecność wyleje,
Przyjemne poda wieści i zmocni nadzieje.
Uprzedzam po pagórkach twoje złote kroki,
Skąd śledzę dróg rozlicznych dalekie widoki;
Każdy jeździec, do mego podobny z odzieży,
Każdy mnie biedną zwodzi, gdy w te strony mierzy.

Niechaj z was który spocznie, niechaj tu zaczeka!
Czyliście nie widzieli, przechodnie, z daleka
Urodnego na wronym koniu gdzie młodziana?
Mówcie o nim, co wiecie! jam jemu kochana.
Nosi teraz błękitne z czerwonem odzienie,
Dzida w ręku, na wronym koniu prędko żenie;
Z białem piórem za czapką czerwoną, nad głową
Na znak mojego żalu ma rózgę świerkową.
Czyliście nie widzieli takiego młodziana?
Mówcie o nim, co wiecie! jam jemu kochana.
Tutaj przeciwko niemu co ranek wychodzę;
Jego gościnne dłonie dały cień tej drodze.

O kochanku! jakże ci wojny los posłuży?
Będęż się jeszcze z tobą kiedy cieszyć dłużej?
Bo mnie bojaźń z rozpaczą przychodzi do serca:
Sroga bojaźń! jak samo nieszczęście morderca.
Gdy z mężnymi młodziany ku dzielnej obronie
Ojczyzny poświęciłeś mężne twoje dłonie,
Do serca ja twojego prawo mam jedynie:
Niech me imię z miłości twojej po wsi słynie.

Może przed tobą miłość przykra w oddaleniu
Oskarża moją wierność w samotnem myśleniu,
Nie biadaj na mnie! Ani mnie bukowe gaje,
Ani strumień mnie widział, że z innym przestaję.
Nie biadaj, bo jeżeli — niech nie mówię wiele!...
Nieme świadki zmienności niech będą mściciele.
Pamiętam ja, na konia rękem ci dawała,
Przysięgając przed niebem, że ci będę stała.

Kochanku! chowam chustkę, ostatniego rana
Którą, kiedyś mnie łajał, żem jest zapłakana,

Otarłam zaszłe łzami czarne oczy twoje:
Przyciskam do ócz moich i łzami ją poję.

Gdy w lasku dumam między świerkami smutnemi
Ze drżeniem ucho moje przyciskam do ziemi;
Żaden odgłos wystrzału mej duszy nie mija,
W każdym słyszę śmierć twoją, i to mnie zabija.
Strzał każdy, gdy okropny we mnie zgon powtarza,
Nadzieja boską mocą życie moje stwarza,
A ciekawość do nowej prowadzi mnie zguby.
Tysiąc razy umieram — raz ty giniesz, luby!...
Siedząc w okienku, wlepiam oczy w tamte strony,
Gdzie zwycięstwa lub śmierci szukasz, ulubiony:
Lubo przez góry, lasy wzrok przebyć nie może,
Widzę krew, widzę ogień i gonitwy hoże.

Upadasz — napróżno cię twój przyjaciel broni,
Widzę cię, krwią zbroczonyś pod kopytem koni...
Znów cię widzę, jak toczysz koniem upocony,
Zawalasz gęstym trupem krwią naszłe zagony.
Rzucasz się na pioruny, dymu chmury sine
Biorą cię oczom moim, ja za tobą ginę...
Lecz wychodzisz szczęśliwy! — tu nadziei wiele!
Zawcześnie radość z twojej waleczności dzielę.
Oj! nie dla ciebie wiosna w tym się sadzie sili:
Spadną kwiaty, nie zerwiesz ty ich w rannej chwili,
Ani ja w twoje włosy wleję z kwiatów wonie;
Marną tylko nadzieję zapłakana gonię.

O nadziejo przyjemna! smutne omamienie!
Gdzie mnie znowu przezorność niedołężna żenie?
Nie wiem wyroku niebios, czy się niebo śmieje,
Czy na moją zagładę ostry piorun leje.
Znużonam, przez noc całą i od wschodu zorzy,
Niepewna przyszłość do mnie śmieje się i sroży.

Koniu, którego moje głaskiwały dłonie...
I ty, widzę, z twym panem leżysz na zagonie,
Zrywasz się i upadasz, grzebiąc nogą ziemię;
Pan pod tobą, w strzemieniu noga, cięte ciemię.

O smutne przeznaczenie! kiedy w obcej ziemi
Tarzać się będziesz, luby! z trupami obcymi,
A ktoś szczęśliwszy wróci do ojczystej roli,
Powie, żeś zginął — kogoż los mój nie zaboli!
Precz, okropność! przynieś go do mnie, koniu wrony,
Kiedy pierzchnie najezdnik z kraju zwyciężony;
Przynieś go! o północy u mnie sen nie bywa,
Uderz nogą o wrota, wybiegnę szczęśliwa.

Pozna go serce moje mimo nocne cienie,
Przywita go kochanki wymowne milczenie,
Na nowe jego wąsy całą czucia siłę,
Całą duszę wyleję przez całunki miłe.

Zagęszczaj twardym liściem twe, dębie, konary,
W twoim cieniu odbierze najmilsze mu dary;
Broń tu złoży, co w piersiach nieprzyjaciół tonie:
W twoim cieniu odpocznie na kochanki łonie.

Rośnij, bluszczu! co rano pilnie cię podleję.
ośnij, bluszczu! ziszczą się miłosne nadzieje.
Sam cię zerwie kochanek na wieńce weselne,
Głowę moją uwieńczą jego dłonie dzielne.

Lecz gdy zginął! — o nieba! — moja miłość wściekła
Poniosłaby mnie za nim do samego piekła.
O radość! o pociecha! o weselne gody!
Cieszyć się będą na nich piekielne narody.

Ale precz, udręczenie! ustąp, myśli sroga,
Wznieś się, duszo, od piekła do dobrego Boga:
Ty, co dajesz nadzieję, z dobroci nam znany,
Który odwracasz kule i łamiesz kajdany,
Boże obrońco cnoty! o Stwórco potężny!
Wiem, że się nie ochrania kochanek mój mężny:
Niechaj go Twoja dzielna prawica ochrania,
Niech wróci i odbierze nagrodę kochania,
Niechaj skutecznie swemi nadstawia piersiami,
Niechaj go podła bojaźń nigdy nie omami;
A jeźli mu okropne naznaczysz koleje,
Niechaj wprzódy najeźdzców hojnie krew rozleje.

Ale nie — tak nie będą srogie twoje losy,
Miłością oddychają szczęśliwsze niebiosy!
Krople tego napoju darowałeś ziemi...
Wróci się do mnie luby z wieńcy zwycięskimi.

Powracaj, ulubiony! gdy się skończy wojna,
Kiedy przeżegna ziemię dłoń Boga spokojna;
Na niwy, któreś orał, wiosna dar wylewa,
Pierwszy raz zakwitnęły, któreś szczepił, drzewa».

C) Halina.

(Sielanki krakowskie, str. 16—17).

252) Jechali przez wieś ułani po wojnie,
Chorągiewkami wiewał wiatr spokojnie,

Ku nim wieśniaków z chat wybiegły tłumy,
Kiedy podolskie wyciągali dumy.

Matki — łzy w oczach — synów oglądały,
Których w młodości powaliły strzały.
Smutna się ku nim zbliżyła Halina
I temi słowy mówić im zaczyna:

«Dziarscy bojanie! a gdzie konia macie,
Który po moim został u was bracie?
Nosił go, nosił daleko po świecie,
A z pól Raszyńskich nie uniósł go przecie.

O, nie dziwcie się, że go jedna płaczę...
Niech wam powiedzą tutejsi oracze,
Że ojciec umarł i matka już kona,
W grobie nieszczęsna kochanka złożona.

Pochowałam ją ongi w czarnym lesie:
Wiedziałam dobrze, że się tam przeniesie
Cienie braterskie z powojennej niwy,
Zwiastowały go straszące powiéwy...

I wyprzedził was! — o północnej dobie
Wzdychał zdyszany na kochanki grobie;
I broń jęczała na smutnym kamieniu,
Rzucając ogień po okropnym cieniu».

Umilkła, żenąc,*) gdzie jest matka chora,
Krówkę, co z paszy wróciła z wieczora.
Ułani ze wsi ku lasom jechali;
Widać chorągwie i łyskanie stali.

D) Wiesław.

(Sielanki krakowskie, str. 30—32).

253) Szedł Wiesław w czasie zimy przez karpackie góry,
Mróz ściskał, nad skałami wisiał dzień ponury,
Ścieżki, które udeptał, śniegami zaległy,
Potoki, jemu znane, natedy nie biegły,
Potoki, z którymi on często na doliny
Razem zbiegał pod lubej mieszkanie dziewczyny;
A jeżeli ją wprzódy zoczył u potoka,
Puszczał jej z wodą jabłka czerwone z wysoka.
Nie znalazł tych strumieni: błędne znaczy kroki,
Pnie się na ślizkie lodem skały lub głęboki

*) goniąc, pędząc (P. w.).

Brodzi rozdół, mroźnymi śniegami zawiany;
Ustępuje mu z twarzy wieku kwiat rumiany;
Mróz ściska... a w połowie góry, poświęconej
Bogu, który się zjawia gromem rozpalony,
Pada Wiesław na śniegu, w górę wznosi głowę,
Gdzie stoją ciężkie zimą gaje Piorunowe.
Głaszcze psa... śnieg na niego opada z drzewiny.
Z rozczuleniem te słowa mówi Wiesław siny:

Wierna ty służbo, psino mój srokaty!
Nie pójdę dalej na te lodu skały;
Piorun okrutny chce mojej zatraty; —
Jednymże ogniem z nim gorę zuchwały?

Zadyma lasy zielono-świerkowe
Prędki bóg wiatru śnieżystymi stogi;
Upadnie zaspa z góry na mą głowę,
Wali mnie zimny sen... mróz okuł nogi.

O Kwiatosławo! skarbie modrooki!
Do której Żywie goni mnie w te burze,
Choćby cię inny swemi zwiódł uroki,
Tybyś zrosiła nade mną twe róże.

Niedawne wąsy i pokrętne włosy,
Które tylekroć gładziły twe dłonie,
Ciążą mi, pełne zlodociałej rosy:
Przejęty mrozem Wiesław w śniegach tonie.

Bogowie nasi! żalcie się przechodnia,
Którego żywcem taki grób pożera:
Zawita wiosna, grób zniknie! (o zbrodnia!)
Na pastwę dziczy Wiesława otwiera.

Niechaj nie pukną brzozy biało-pniowe,
Jeźli kto inny łono Kwiatosławy
Dziedziczyć będzie: niechaj śniegi nowe
Zasypią miejsce pierwszej ich zabawy.

Żywie! ty jeszcze grzejesz moje siły,
Leśna Dziewanno! Pogodo! o bogi!
Gdy ja przebędę góry do mej miłéj,
Będzie wam danią baran kręto-rogi.

Dalej! psie wierny! pnijmy się na lody;
Nas Kwiatosława ciemnowłosa czeka:
Rozdnieje żywszym promieniem urody,
Gdy ciebie wprzódy zobaczy z daleka.

E) Urodziny.

(Sielanki krakowskie, str. 41—43).

254) Duże upadły śniegi i z pola i z błoni;
Wszystko się do zaciszy i ogniska chroni.
Słońce rumieni białość, gdy za góry spada,
Po pracy idzie sąsiad gwarzyć do sąsiada.
Siedział w oknie Mikuta, przyjaciel wsi całéj,
Śnieżne mu włosy z brody na piersi spadały;
Z każdej chaty do niego biegła ścieżka nowa,
Bo tu bywa bogaty i uboga wdowa.
Westchnął starzec do nieba, kiedy liczne trzody
Do obory wracały skurczone od wody;
Syn Mikuty szedł w tyle z siekierą u boku,
Pewnie robił przeręblę dla trzody w potoku.
Beczą krowy i owce; gdy weszły w podwórze,
Skaczą czerwone ciołki i źrzóbaki hoże.
A wnuczek, który matce podobny w urodzie,
Z małym koziołkiem, krzycząc, goni się i bodzie.
Starzec się uwesela, gdy młodość swawoli;
Kazał wynieść owieczkom pod okienko soli.
Wyniosła soli w białej odzieży dziewczyna,
Śmieje się, gdy się wojna wkoło niej zaczyna;
Wszystko się skupia, tłoczy, spycha i wywraca,
Słońce ten piękny widok, zachodząc, pozłaca.
Mróz pościągał przejrzyste sople wkoło strzechy...
Słychać we wsi przyjemnej odgłosy uciechy.
Domyślał się Mikuta tej wrzawy przyczyny:
Bo jutro przypadały jego urodziny,
A u sąsiadów miłym to było obchodem
Święcić tę uroczystość ze słońca zachodem.
Szły skrzętne gospodynie, z niemi piękne córy,
Potem mężczyzni, nad nie wzniesieni do góry,
Starzy i młodzi, którym kwitnie wiek rumiany.
Każdy ma w ręku dzbanek, miodowcem nalany.
Rozpłakał się Mikuta, gdy miła drużyna
Pod dom jego zbliżona tak śpiewać zaczyna:

* * *

Nie idziemy tu z darami,
Bo jesteś niebu kochany;
Ale wesołość jest z nami:
Wypijamy miodu dzbany.

Gdy wchodzimy w twoje progi,
Wypijamy bez kolei;

Wesel się, Mikuto drogi!
Pełen przyjemnej nadziei.

By twe uczcić skromne cnoty,
Razem jesteśmy zebrani
W ustroniu twojej prostoty,
Wesołość ci niosąc w dani.

Gdy wchodzimy w twoje progi,
Wypijamy bez kolei;
Wesel się, Mikuto drogi!
Pełen przyjemnej nadziei.

* * *

Tak śpiewali wesoło i razem w tej chwili
Czystego miodu dzbanki z wykrzykiem wypili.
Potem weszła do chaty wesoła gromada...
Chędoga na jej przyjście czekała biesiada.

Opracował J. MICHALSKI.

XLIX.

BRODZIŃSKI ANDRZEJ.

(1786—1812).

Andrzej Ksawery Brodziński urodził się 26 września 1786 r. w Lipnicy w Krakowskiem. Mając lat 8, stracił matkę i znosił prześladowania macochy, o czem wymowne mamy świadectwo we «Wspomnieniach mojej młodości», skreślonych przez młodszego jego brata, Kazimierza. Po skończeniu gimnazyum w Tarnowie wstąpił w 1804 r. na wydział filozoficzny w uniwersytecie krakowskim. Tu zaprzyjaźnił się z W. Reklewskim. «Igrając na polach Łobzowskich», układali «wesołe śpiewki» i «proste sielanki». Po śmierci ojca, z braku funduszów, musiał B. przerywać studya uniwersyteckie, które dopiero po pewnym czasie ukończył we Lwowie. Za czasów Księstwa Warszawskiego zaciągnął się do wojsk polskich, brał udział w wyprawie Napoleońskiej 1812 r. i w czasie odwrotu zginął nad Berezyną w 27-m roku życia.

Z utworów Brodzińskiego za jego życia wyszły w 1808 roku w Krakowie «Zabawki wierszem». W tym zbiorku większość utworów jest wzorowana na Karpińskim, Gessnerze, Kleiście i Wirgiliuszu. Po śmierci z puścizny literackiej B-go wydał młodszy brat, Kazimierz, przekład «Dziewicy Orleańskiej» Szyllera i kilka pomniejszych utworów oryginalnych. Nie weszły do tego zbioru «proste narodowe pieśni wojenne», jakie, wedle słów Kazimierza, pisał Andrzej w czasie pobytu w wojsku; pozostała też w rękopisie oryginalna tragedya «Ludgarda» i przekład z Tomasza a Kempis «O naśladowaniu Chrystusa»

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

a) **Wydania** utworów Brodzińskiego są następujące: 1) «Zabawki wierszem» w Krakowie 1808); 2) «Dziewica Orleańska, trajedya romantyczna z Szyllera, polskim wierszem przełożona przez Andrzeja

Brodzińskiego. Wystawiona pierwszy raz na teatrze narodowym w miesiącu grudniu 1820 r. Z dodaniem różnych poezyi tłómacza» (Warszawa 1821).

b) O Andrzeju Brodzińskim spotykamy wzmianki w następujących pismach: 1) Brodziński Kazimierz: «Wspomnienia mojej młodości» i inne urywki autobiograficzne (wydał i wstępem opatrzył Józef Tretiak, Kraków 1901); 2) Hordyński Zdzisław: «Brodzińskiego [Kazimierza] lata szkolne, Lwów 1888 (odbitka z «Kwartalnika historycznego»); 3) Brodziński K. pomieścił wstęp do wydania przekładu «Dziewicy Orleańskiej»; 4) W «Gazecie literackiej», wydawanej w Warszawie w 1821 r., w Nrach 1, 2 i 3 bezimienną umieszczono recenzyę przekładu B-go «Dziewicy Orleańskiej» ze wzmianką o tłómaczu.

A) Pożegnanie z kochanką.

(«Zabawki wierszem», str. 107—108).

255) Czyliż ojczyzny nie kochasz, o luba,
Że mi iść bronisz, piersi stawiać za nię,
I czyliż nie znasz, jak wielka stąd chluba
I jak jest słodkie na placu skonanie?

Alboż tak dufasz męstwu memu mało,
Że się pociskom nie zdołam odwinąć,
Że bić nie zdolę nieprzyjaciół śmiało,
Lub ich zwyciężyć, lub z honorem zginąć?

Wrócę li, wrócę zwycięzcą, a tobie
Nie miłoż będzie oglądać mię w chwale?
A gdy nie wrócę, wiedz, żem poległ w grobie,
Lecz pomnij na to, żem poległ wspaniale.

Żalże ci będzie, żeś mą lubą była,
Gdyć rzekną: poległ dla ojczyzny sławy?
Lub czyż się ze mnie nie będziesz pyszniła
Na głos: twój luby był bojownik żwawy?

Jeszczem na względy nie zasłużył twoje.
Czegoż kosztowne twe nie warte wdzięki?
Pójdę na wojnę, ty mi przywdziéj zbroję,
A wnet pokażę, żem twojej wart ręki.

Bądź zdrową, luba; daj mi chustkę twoją,
Nią otrę czoło z marsowego potu,
Pod nią się prędko rany moje zgoją:
Będę do ciebie pisował z namiotu.

B) Ranny powraca zwycięzcą.

(«Zabawki wierszem«, str. 111—112).

256) Szlachetne blizny! wyście dla mnie chwałą,
Z wami się chlubnie pokazuję wszędy,
Wy cechą męstwa jesteście wspaniałą,
Wy u monarchów czynicie mi względy.

Lecz jakże pójdę do kochanki z wami,
Jakże jej chustkę zbroczoną pokażę,
Co ją hojnemi oblewała łzami,
Gdy mi ją niosła wśród rozstania w darze?

Ach, obwijajcie, gójcie rany moje!
Zmyjcie krew z chustki, a zmyjcie bez zwłoki,
Inaczej płakać będziemy oboje,
Aż łzy hojnemi popłyną potoki.

Ona zna dobrze, co jest honor święty,
Lecz razem tkliwa, będzie łkać zapewne:
Jam wojak mężny, lecz jej łzami tknięty,
Będęż się wstydził, że mam serce rzewne?

Ale cóż czynię? Tak długo mię czeka,
Tak długo tęskni beze mnie; już może
Zwątpiła o mnie i na mnie narzeka,
A ja się bawię: daj skrzydeł mi, Boże!

C) Pieśń.

(«Dziewica Orleańska» i t. d., str. 169—171).

257) Odstąpcie, straże przemocy,
Odbijcie mi zamki rdzawe;
Pójdę dzień ujrzeć po nocy,
Obudzę śpiącą mą sławę.

Mój orzeł do góry leci.
O drogi orle mój biały!
Już my dwunastu, twe dzieci,
Żniw pod twym skrzydłem nie miały.
Lecz jakże chmura ta krwawa,
Którą wskrzeszony ty prujesz!
Znać, ciężka twoja przeprawa:
Dzieci na pomoc zwołujesz.
Odstąpcie, straże przemocy,
Odbijcie mi zamki rdzawe;
Pójdę dzień ujrzeć po nocy,
Obudzę śpiącą mą sławę.

Pójdę, choćbyście kazali
Wiatrom w południę dąć srodze,
Moc onych z nóg mię nie zwali;
Pójdę ku północnej drodze.
Rżące powodzie przebędę,
Ku sprzecznej wiodące stronie,
. . . . . .
. . . . . .
Odstąpcie, straże przemocy, i t. d.

O rodzie, rodzie kochany!
Lej łzy nade mną w tej chwili:
Już ja nie zadam tym rany,
Którzy mej sprawy bronili.
Wytocz łez radosnych zdroje,
Nie ujrzysz w więzach mej nogi,
Ochota stroi mię w zbroje,
Nie wdziewa jej przymus srogi.
Odstąpcie, straże przemocy, i t. d.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
Niech jej tysiącem nie grożą
Są, co dumnych moc ukrócą,
Tysiące strzał ich położą,
A na nich milion rzucą.
Odstąpcie, straże przemocy, i t. d.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
A duch w weselnej postaci,
Chodząc w empirze przez gaje,
Doniesie cieniom swych braci,
Że polskie powstały kraje.
Odstąpcie, straże przemocy, i t. d.

D) Pieśń.

(«Dziewica Orleańska» i t. d., str. 160—161).

258) Na cóżem wyszedł z pod twojej opieki!
Dręczony smutkiem, pokoju daleki,
Wiosnę dni moich trawiąc na żałobie,
Myślę o tobie.

Jeśli źle jeńcom u srogiego pana,
Przynajmniej wolność myślenia im dana,
A ja nie umiem, tylko w każdej dobie
Myśleć o tobie.

Rażą świat strasznym tyrani widokiem, —
Ty, tak łagodnym poglądając okiem,
Tym mię w dotkliwszym zniewalasz sposobie
Myśleć o tobie.

I niewolnicy wychodzą z więzienia;
Dla mnie i tego niema pocieszenia
I nie przestanę, chyba w rychłym grobie,
Myśleć o tobie.

E) Mazurek.

(«Dziewica Orleańska» i t. d., str. 175).

259) «O mój Jasiu złoty!
Kochanka cię prosi:
Nie chciejże tęsknoty
Szczęsnej z tobą Zosi».

Tak Zosia mówiła.
Zlitujcie się, nieba!
Jej mowa tak miła,
Jej mi słuchać trzeba.

Jakże tu pojechać,
Kiedy Zosia prosi!
Ach, trzeba poniechać
Wszystkiego dla Zosi.

Już ja nie pojadę;
Wracaj, kary koniu;
Gdy mi dziewczę rade,
Ty bujaj po błoniu,

Paś się na wygodach:
Nie pojedziem wprzody,
Aż po naszych godach
Do naszej zagrody.

Opracował JAN MICHALSKI.

L.

TYMOWSKI KANTORBERY

(1790—1850).

Kantorbery Tymowski urodził się w r. 1790 w Kaliskiem. Po skończeniu szkół średnich za czasów pruskich wstąpił do wojska polskiego, bił się w Hiszpanii. Po powrocie do kraju został urzędnikiem. Za czasów Królestwa Kongresowego mianowany referendarzem stanu. Zostawszy wolnomularzem, był reprezentantem 3-go stopnia w loży Kazimierza (w r. 1817). Był również członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W życiu literackiem brał żywy udział, zasilając utworami «Pamiętnik warszawski», «Astreę», «Sybillę nadwiślańską», «Tygodnik polski». Łączyły go zażyłe stosunki z L. Osińskim i K. Brodzińskim. Należąc do obozu postępowego, którego duszą był Stanisław Potocki, «kochał lub nienawidził, według słów K. Brodzińskiego, pisarzów zawsze o tyle, o ile się ich płody wolności religijnej lub politycznej tyczyły». Z tego powodu wysoko cenił Woltera, którego «Mahometa» tłómaczył, a później Szyllera. Pod wpływem Brodzińskiego przestał «według zwyczajów starszych literatów pogardzać» pisarzami niemieckimi, poznał Schillera i Goethego i bronił ich «przeciw napaściom naszych mniemanych klasyków». T. jeden z pierwszych u nas drukował przekłady Schillera: «Marzenia» (die Ideale), «Do radości». Najulubieńszym jednak poetą Tymowskiego był Horacyusz, który odpowiadał najwięcej jego pogodnemu i wesołemu usposobieniu. W 1816 r. wydał T. «*Ody Horacyusza, wybrane z ksiąg różnych, rymowym i nierymowym wierszem*». Wznowił w tym przekładzie rozpoczętą w XVIII w. przez ks. Nowaczyńskiego sprawę prozodyi polskiej. Uważał on, że poezye Greków i Rzymian, którzy nie znali rymu, można wiernie tłómaczyć jedynie wierszami miarowymi. Niestety, próby, podjęte w tym kierunku przez tłómacza, który nie posiadał widocznie poczucia melodyi, niezbyt były szczęśliwe. Oryginalne utwory Tymowskiego posiadają charakter różnorodny. Część ich wywołana jest wypadkami naro-

dowymi. Największym rozgłosem cieszyły się z początku jego anakreontyki, a później pisane pod wpływem Schillera: «Zamiłowanie prawa», «Narodowość», «Ojczyzna». Po rewolucyi 1830 i 1831 roku podążył T. na emigracyę. Umarł w r. 1850 w Montpellier.

WIADOMOŚC BIBLIOGRAFICZNA.

a) Zbiorowego wydania utworów K. Tymowskiego niema. Wiersze jego rozproszone są po czasopismach warszawskich z lat 1815 do 1831. Oddzielnie wydał następujące utwory: 1) «Dumanie żołnierza polskiego na wałach starożytnego zamku Maurów w Hiszpanii» [b. w. m. i r. (1810)]; 2) «Oda z powodu ogłoszenia aktu Konfederacyi Jeneralnej w Krakowie napisana» (1812); 3) «Do braci naszych w służbie moskiewskiej» (1812); 4) «Wiersz do Litwinów» (1812); 5) «Rym liryczny do Ludwika Osińskiego» (b. w. m. i r.); «Na rok nowy do St. hr. Potockiego, Prezesa senat. Król. Polsk.» (Warsz. 1821); 7) «Ody Horacyusza, wybrane z ksiąg różnych, rymowym i nierymowym wierszem» (Warszawa 1816); 8) «La Pologne, le Russie et l'Europe. Discours prononcé le 29 novembre, jour anniversaire de l'insurrection polonaise», (Paris 1835); 9) «Przyszłość. Do ziomków pospólstwo miłujących» (Bordeaux 1841).

b) O Tymowskim spotykamy wzmianki u następujących pisarzy: 1) Sulima L.: «Polacy w Hiszpanii» (1808—1812). Opowiadanie historyczne». (Warszawa 1888); 2) Wójcicki K. Wł.: «Warszawa, jej życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu» (Warszawa 1880); 3) Brodziński K.: «Nieznany urywek z «Wspomnienia mojej młodości» (Pamiętnik literacki. Lwów 1905, zeszyt 1).

A) Dumanie żołnierza polskiego w starożytnym zamku Maurów nad Tagiem.

(«Pamiętnik warszawski», t. I. Warsz. 1815, str. 80—81).

260) Umilkły bębny, gasną tlejące ogniska,
Księżyc z srebrnego wozu blady promień ciska;
Drżą w bystrych nurtach Tagu niebotyczne bramy
Zamku, gdzie panowały kiedyś Abderamy*).
Wiatr uparte bałwany roztrąca o wieże,
Których spiż polski broni, a odwaga strzeże.
Stokroć odgłos: «Kto idzie?», wiekami nieznany,
Obija się o czarne sklepienia i ściany.
Bezpieczni tarczą hasła: zginę lub zwyciężę!
Oparci na żelezie spoczywają męże.

---

*) Nazwisko kilku kalifów, którzy panowali w Hiszpanii *(Przyp. Aut.)*.

Noc spokojność rozlewa na całą naturę,
Mnie tylko sen przerywa wspomnienia ponure...
O Ty! co ogień męstwa zapalasz w mem łonie,
Ojczyzno! Ciebie szukam, za Twem szczęściem gonię.
W Twej sprawie Piramidy i Hajtejskie skały*)
Nieraz szczękiem oręża sarmackiego brzmiały;
A krew, co kapitolskie broczyła świątynie,
Pod słupami Alcyda w ziemi Maurów słynie.
Choć wszędzie piękną sława dla kraju usługi,
Odbijając przekute na oręże pługi,
Podpierając zasady Iberyjskich tronów,
Tracę zaszczyt obrony ojczystych zagonów!...
Tępię lackie żelazo na Kantabrów murze
I od swojej daleki, — obcą ziemię burzę!...
Lecz gdzież mnie myśl unosi?... Łańcuch z oczu gubię,
Łączący los mych ziomków w twórcy ich rachubie...
Potrój się, męstwo moje! niech wiślańska ręka,
Straszna pod Albuhera, mur Gadeski spęka;**)
A wtedy niech Bellona przez podbite grody
Wiedzie znużoną stopę do ojców zagrody.
O przyjemna nadziejo! spełnij szczęście moje:
Niech nad brzegami Wisły ciężką zdejmę zbroję:
A powietrzem ojczyzny odetchnąwszy drogiem,
Powrócę orać rolę, leżącą odłogiem.
Tam zgromadzonych braci pod jaworu cieniem
Rozrzewniać będę chlubnem, lecz tkliwem wspomnieniem
I wyliczę imiona godne potomności —
Tych, co za Pirenejmi położyli kości,
Bohatyrów, co, walcząc dumne syny Cyda,
W stu bitwach zadziwili rycerzy Alcyda.
Okkana, Almeida, gór Moreńskich szczyty,
Talawera***) zachowa wiślańskie zaszczyty;
I prędzej czas zazdrosny prawicą ze stali
Warownej Saragossy kamienie obali,
Pokruszy starożytnej Tarragony skały,
Niż zgaśnie w Iberyi pamięć polskiej chwały.
Któż przebył wąwóz Somo****), którego broniła
Potrójna męstwa, sztuki i natury siła?

---

*) Haiti nazwisko pierwotne wyspy S. Domingo *(Przyp. Aut.)*.

**) Gadez dawne nazwisko dzisiejszego Kadyksu *(Przyp. Aut.)*.

***) Okkana, Almeida, Talawera, miejsca sławne walnemi bitwami *(Przyp. Aut.)*.

****) Somo-Sierra, wąwóz, prowadzący na płaszczyzny Kastylii, sławny zdobyciem go przez pułk ułanów polskich dowództwa pułkownika (dziś jenerała) Krasińskiego. *(Przyp. Aut.)*.

Lud, do zwycięstw przywykły, tego zdobyć nie mógł;
Polakowi przystało: uderzył i przemógł.
Tu poległ Dziewanowski, waleczny młodzieniec,
Gdy nadzwyczajnej sławy biegł osiągnąć wieniec.
Tu z nim jezdnego hufcu naczelnicy śmieli,
Krzyżanowski, Rudawski męską krew przeleli.
Ileż chwały potomność ziomkom moim przyzna!
Blaskiem jej z żalem jednak zdobi się ojczyzna,
Z żalem zgasłych rycerzy zaszczyty wspomina...
Jakiegoż w Sobolewskim utraciła syna!
Mąż nieulękły w boju, nieugięty w cnocie,
Polskiej pod Almonacid*) przywodził piechocie;
Dzielną ręką zwycięstwa sam przeważył szalę
I śmiertelne zdał życie nieśmiertelnej chwale.
Tutaj Sielski, Wiśniewski, wojownicy biegli,
Obok dowódcy swego chlubną śmiercią legli,
A pola, świetnych laurów zbogacone plonem,
Gajewski i Tomicki swym wsławili zgonem.
Gdziebądź stąpi wędrownik po krainie Gotów,
Wszędzie ślady sarmackiej odwagi i grotów.
Walladolida grobem Boguckiego słynie,
Pod Alkaraz waleczny Horowicki ginie;
Miejsce to sławne dziełem ręki Rzymianina**).
Piękniejsza zdobi sława mogiłę Suryna***):
Bez przodków, narodową dzierżąc tylko dzielność,
W męstwie znalazł szlachectwo, w zgonie nieśmiertelność.
Zwaliska Arragonu stolicznego miasta
Zwycięską świadczą bytność wojowników Piasta.
Tam, uwieńczywszy męstwo warowni zdobyciem,
Szot, Emeryk, Bieliński rozstali się z życiem.
Czemuż tak piękny wawrzyn krew bliźniego plami?!
Gromiliśmy nieszczęsnych, nieszczęśliwi sami.
Tak miłości ojczyzny uniesione żądzą,
Ludy ze zbytku cnoty na drodze jej błądzą.

Chwała wam, święte cienie! lecz dwakroć szczęśliwy,
Kto przed zgonem ogląda rodowite niwy,
A ległszy, broniąc kraju, lub usnąwszy mile,
W usutej z ziemi przodków spoczywa mogile.
O współziomkowie moi! których drogie zwłoki
Pochłonęły w swych głębiach kastylskie potoki,

*) Pamiętnej walną bitwą w roku 1809 *(Przyp. Aut.)*.
**) Wodociąg rzymski *(Przyp. Aut.)*.
***) Suryn, żołnierz prosty, poległ, nadzwyczajne okazawszy męstwo. *(Przyp. Aut.)*.

Lub przykrył głaz nieczuły ojczyzny Pelaga*);
Choć nieśmiertelny pomnik wzniosła wam odwaga, —
Na obcej ziemi chwila wybiła ostatnia!
Już smutnych grobów waszych łza nie skropi bratnia,
Ani ich mirtem ręka kochanki ocieni,
Ni przyjaciele zwiedzić przyjdą zasmuceni.
Kiedyś rolnik hiszpański wyorze te szczątki
I urągać się będzie z przykrej mu pamiątki...

Marsie! coś z walki w walkę wiodąc krok mój śmiały
W utrudach dla ojczyzny szukać kazał chwały,
I stawił w rotach mężów na Ibru podbicie,
Nie oszczędzaj krwie mojej, lecz ochraniaj życie!...
Pozwól jeszcze widoku ulubionych brzegów!
Szczęściem mojem śmierć będzie wśrzód bratnich szeregów!
Głowę moję na roli ojczystej położę,
A dłoń Wandy zaszczepi na mym grobie róże.

B) „Elegia z powodu wprowadzenia zwłok ks. Józefa Poniatowskiego przez wojsko narodowe, wracające do ojczyzny".

(«Almanach lubelski na rok 1815 dla amatorów literatury ojczystej». Lublin, str. 122—133).

261) Kiedy bogi zazdrośne śmiertelnika chwały
Wóz zwycięstw w ziemi naszej piewszy raz wstrzymały,
I raz jeszcze cofnąwszy polskiej łódź nadziei,
Przywiodły do Luteku ród Newy i Sprei;
Gdy bohater, wzgardziwszy dalszych bojów trudem,
Wyrzekł się panowania nad niestałym ludem, —
Wy, ostatni stróżowie dobroczyńcy tronu,
Wracacie do polskiego gruzów Ilijonu!
Wracacie do rodziny po łzy i nadzieje:
Pierwszych brakło zrzenicy, druga już więdnieje.
Rozlały się po globie lackiej krwi strumienie,
Wielkich ofiar owocem laur i podziwienie.
Dla serc waszych nadgroda nie wystarcza taka;
Innych może nasycić, nie może Polaka!
Szlachetniejsze uczucia duszą jego władną,
I chwała bez ojczyzny nie jest chwałą żadną.

* * *

*) Wskrzesiciel niepodległości hiszpańskiej w wieku VIII, pierwszy król Leonu i Asturyi. *(Przyp. Aut.)*.

Rycerze! ta ojczyzna, żałobą okryta,
Ze łzami was żegnała, ze łzami was wita.
Któryż o jej wdzięczności powątpiewać mniema,
Ceni wielkość zasługi, lecz nadgrody nie ma?
Znajdzie ją w sercach, które z męstwem niestrwożonem
Tchnęły miłością ziemi i gardziły zgonem.
Chwalebnych nieszczęść waszych zazdroszczą nam ludy,
Cóż, gdyby szczęście świetne uwieńczyły trudy?
Wysilił się gniew Niebios, dusze jednak stałe
Pęta w chlubę, niedolą zamieniły w chwałę.
Lecz po cóż świetność dzielnych przypominać czynów?
Wszędzie smutek się łączy do blasku wawrzynów!
Jakaż to blada żałość czoła sępi męskie?
Obwiodła krep ponurość ramiona zwycięskie;
Orły w kirze, ku ziemi pochylone bronie,
Nowy żal, nową chwałę rozniecają w łonie.
Już nic zaszczytów waszych przewyższyć nie zdoła:
Bluszcz wdzięczności otoczył bohatyrskie czoła...

* * *

Kiedy walcząc daremnie tyranów liktory,
Na polu Filipickiem skonał Brutus wtory,
Prochów męża, pod obcem porzuconych niebem,
Nie przyszedł wolny ziomek zaszczycić pogrzebem.
Szczęśliwszą jesteś, Polsko! Syny twoje prawe
Zapomnianą od Rzymian odzierżyli sławę.
Blizko Sali, co, żyzne oblewając niwy,
Po słupach Bolesława toczy nurt gniewliwy,
Wzniósł się gród, przemysłu zbogacony plonem,
Sławny walką olbrzymią i Józefa zgonem.
Tam wydarte Elsterze bohatera ciało
Na splamionej niewiarą ziemi spoczywało!
Lecz gdzież Polak dziedzicznej chwały zapomina?
Zawołała ojczyzna o popioły syna!
I ci, na których walczył i zwyciężał czele,
Przyszli po świętą własność — smutni właściciele.
Przyszli! i na orężu do grobowca matki
Przynoszą sarmackiego Brutusa ostatki.

* * *

Ponura cichość bramy ogarnęła miasta,
Milczący w sercach smutek z każdą chwilą wzrasta.
Wszystkie dusze zajęło widowisko wielkie
I żałości uczucia ustąpiły wszelkie.
Ledwie trzykroć pogrzebne spiże zaryczały,
Wybiega lud stolicy zmieniony, zwątpiały!

I na drodze wolności od płaszczyzny Woli
Czeka na ostatniego potomka swych króli.
Próżno! już on nie przyjdzie w tej świetnej postaci,
Kiedy spękał *[tak]* okowy Małopolskich braci —
I gdy, zbawczym orężem zdumiwszy Karpaty,
Wracał bluszczem wdzięczności i laurem bogaty.
Płacz, Warszawo, Józefa! za kraj wiodąc boje,
Dwakroć własną zasłaniał piersią mury twoje.
On na łonie twem wskrzesił narodowe roty
I przyodział się blaskiem wdzięczności i cnoty.

* * *

Ale już dźwięk okropny smutną przerwał ciszę!
Żal pogrzebowym dzwonem leniwo kołysze.
Zdrojem się łzy z męskiego wydzierają oka,
Nie może ukryć smutku wieczorna pomroka.
Błysnęły wachle śmierci i światłość niemiła
Straszny wielkiego zgonu obraz oświeciła!
Zbliża się wóz żałobny i żałobne bronie!
Smutne rączego biegu zapomniały konie,
A Wisła, świadek wieczny poległego chwały,
Żałości głuche toczyć rozkazała wały.

* * *

Patrzcie! Nieme Józefa kir osłonił ciało!
Tyle nam z najpierwszego Polaka zostało!
Skoro w nurtach Elstery drogie zgasło życie,
Stanął duch nieśmiertelny na Olimpu szczycie.
Szukał sprawiedliwości, a znalazłszy głuchą,
Wrócił na łono braci z nadziei otuchą.

* * *

Widzę go w tych zastępach, które w obręb mały
Całą chwałę poległych i własną zabrały.
Widzę w ludzie: szlachetna go unosi pycha;
Cierpi, ale miłością ojczyzny oddycha.

* * *

Tak gdy zazdrośna chmura czoło skryje Feba,
Gaśnie świetność natury, niknie błękit nieba;
Lecz dzień, rozwodząc światło po cieniach obłoku,
Świadczy przytomność Boga śmiertelnemu oku.

* * *

Jakiż to rycerz blady z pojrzeniem wspaniałem
W powietrzu nad Józefa unosi się ciałem?

Opiera dłoń na trumnie obwiedzionej kirem.
I cień jeszcze nad zmarłym czuwa bohatyrem?
Walecznego Bleszama czyż nie poznajecie?
Nic rycerskiej młodzieńca nie zrówna zalecie.
Towarzysz wodza, z wodzem zawód skończył męski,
Wielką podzielił chwałę i nie przeżył klęski.
Wy, których los ojczyźnie w czas zachował dalszy,
Z ciężkim dzielicie żalem zaszczyt najwspanialszy,
Rycerze! ten wasz hufiec nieszczęsny, lecz dzielny,
Wiódł w pole wódz zwycięski, z pola nieśmiertelny.
Ukoj łzy sprawiedliwe, niezgięty narodzie!
Już zwłoki męża w królów spoczywają grodzie!
Hołd im potomki nasze niech złożą ostatnie,
A my orły i roty powitamy bratnie.

* * *

Ziomkowie, odetchnijcie pod ojczystem niebem;
Odżywcie się po trudach narodowym chlebem.
A jeśli jeszcze szczęsne wyroki pozwolą,
Że wolni orać będziem ojców naszych rolą,
Każdy z was rzeknie bratu z szlachetnym zapałem:
«Do wskrzeszenia ojczyzny i ja należałem».
Lecz cóż? że sercom naszym kraj ojców jest miły,
Poświęcenia dostatki, Mars wyczerpał siły.
Duch tylko został dzielny w osłabionem ciele,
Chwała, męstwo, nadzieja i nieprzyjaciele.
Tamta pęta niewoli blaskiem swym oświeci,
To najdroższą wolności iskierkę roznieci,
Trzecia ożywiać będzie patryotyzm bratni,
A cnotę naszą muszą szacować ostatni.

* * *

Lecz gdzież mię myśl uniosła? natchnienie mi wieszcze
Rzekło: jest Bóg słuszności! w Nim ufajcie jeszcze.
Ty, co, rządząc północą w towarzystwie sławy,
W bluszcze uszczęśliwienia mieniasz wawrzyn krwawy;
Co, zawiesiwszy zemstę na Paryża wale,
Zwyciężyć i przebaczyć umiałeś wspaniale, —
Pójdź do nowej wielkości, tej dokonaj drogi,
Na której szczęście nasze zatrzymały bogi.
To, którego nie mogły siły wznieść olbrzymie,
Wznieś królestwo Chrobrego, zaszczyty i imię.
Europa się zawstydzi, a potomność powie:
«Upadł gmach, co go sami stawili bogowie;
Dźwigał go Alcyd Franków, lecz runął na nowo!
A jedno Aleksandra podniosło go słowo!»

C) «Elegia na śmierć Tadeusza Kościuszki».

(«Pamiętnik Warszawski» t. X, 1818, str. 103—110).

262) Jakiż to odgłos żałobny, ponury
Uderza strwożone ucho!
Posępnie zabrzmiał i głucho
Niepodległy dzwon Solury.
Serce się żalem rozdziera...
Na wolnej ziemi niezgiętego Tela
Wolnego dosiągł zgon obywatela.
Polsko! Kościuszko umiera!!
«Kościuszko nie żyje miły!» —
Usty żalu kraj powtórzył
I u Józefa uśpiony mogiły
Narodowy smutek ożył.
W łzach smutku tego pociecha!
Z tych łez, co chwale jego odpowiedne,
Zda się, że rodzina Lecha
Serce i oczy ma jedne.
Wdzięczność ojczyzny cnót rycerza żniwem,
Jej głosu potomność słucha;
Ona jest pierwszem ogniwem
Nieśmiertelności łańcucha.
Mężów wolności imiona,
Miłe i ziemi i niebu,
Powracają z wieków łona;
I kiedy pamięć Sezostrysów kona,
Żyje Brutus bez pogrzebu.
Tak podobny mu w zaszczycie,
Wyższy może cnoty swemi,
Nie ma Kościuszko grobu w swojej ziemi,
Lecz w sercach ziomków ma życie. —
Uprzedź, muzo, dziejów chlubę,
Uwieńcz laurem imię lube,
I na stratę drugiego bohatyra czuła,
Opowiedz chwałę, co dni jego snuła:
Czas narodów mści cierpienia,
Swoboda przemocy karą.
Ledwie wolności rozległy się pienia
Nad daleką Delawarą,
Gdzie Wasyngtona *[tak]* znaki powiewały,
Niosą rycerza oceanu wały,
I w cudzych swobód obronie
Sposobi te dzielne dłonie,

Co własnych ratować miały*).
Pogoda była, nad brzegiem Missury
Wolności świeciło słońce;
Polszcze trzy burzą zagroziły chmury,
I w Lipska gościnne mury
Kryjomo przyszli ojczyzny obrońce.
Jakież igrzysko losów! o pamiętny grodzie!
Tej, której zgonem zasłynął,
Stąd niósł Kościuszko ratunek swobodzie...
Tu Poniatowski za wróconą zginął.
Gdzie z olbrzymich gór strącona,
W sąsiedztwie płynie Karpatów,
Raz dopiero ujarzmiona
Rzeka Sarmatów.
Tam na słynnej żniwem roli,
Zazdrosny swobód, zazdrosny zaszczytów,
Kwitnie dzielny szczep Lechitów,
Chwała współziomków i króli:
Tu, aby nie dał w ohydzie
Zginąć ojczyźnie, która wieki chwały liczy,
Lud w bohatyrów zamienić rolniczy
Kościuszko idzie.
Ach! jakże jest wspomnieć miło,
Że jeszcze w ostatniej dobie
Zwycięstwo na kraju grobie
Mężnych wieńczyło.
Ty, ludu Wandy, co wesołem pieniem
Powtarzasz jego i imię i dzieła,
Smutnem się podziel cierpieniem;
Już chluba twoja zniknęła!...
Przez góry, potoki, łany
Smutek w każdej stanął chacie,
Po walecznym płaczą bracie,
Co do Boga powołany...
Już nad Zielonek strumieniem
Krakowianek koło
Chwałę męża swojskiem pieniem
Ogłasza wesoło:
«Ten, którego sławą brzmiały
Te pola i skały,
Co kraj ratował w potrzebie,
Już Kościuszko w niebie».
Nieśmiertelne wasze pienia;

*) Niemasz różnicy i sławy i nieba,
Gdy z jarzma wyzwalać trzeba *(Przyp. Aut.)*.

Każdy, z nim co w smutnej dobie
Krew przelał dla kraju,
Ma żal jego, laur na grobie
I mieszkanie w raju
Milczysz, Warszawo? Klio przypomina:
Wszak tutaj Kościuszki męstwo
Wyprzęgło z wozu Fryderyka syna
Upokorzone zwycięstwo.
I czemże był mur dla Troi?
Runął wśród tarcz i oręża:
Tu murem pierś była męża,
I gród wyzwolony stoi.
Ostatni to był wawrzyn, klęskę niech ostatnią
Niemcewicza muza powie,
Co z wodzem przyjaźń i boje, i zdrowie,
I niewolę dzielił bratnią.
Smutnej już chwili nie wspomnę,
Chwili ojczyzny mej zgonu,
Wieki ją laurem uwieńczą potomne,
Bo zdarła sprawiedliwość zmowy wiarołomne
U Aleksandra Augusta tronu;
Bo imię Polski ogłosiły usta
Aleksandra Augusta.
Ustąp, podbijania chwało,
Czystej wyzwolenia chwale;
Tamtę przekleństwo czekało,
Tę wdzięczność wieńczy wspaniale.
Gdy po straconej swobodzie,
Chlubnemi okryty rany,
Ozdobą więzów skarany,
Cierpiał Kościuszko w wielkim Piotra grodzie;
Kiedy śmierci tylko życzył,
Od ulubionej oddalony roli,
Szły chwile, lecz chwil nie liczył,
Bo niemasz życia w niewoli.
Jakże się dumne bohatyry mylą,
W licznych zwycięstwach szukający sławy!
Wspaniałość zemście miecz wytrąca krwawy,
Unieśmiertelnia się chwilą.
Dumał wódz polski nad losy srogiemi;
Łez dla ojczyzny smutek mu udzielał;
Krwi mu zostało, — ale brakło ziemi,
By ją za wolność jej przelał.
Wy! których pochlebne usta
Czciły rzymskiego dzieła Augusta,

Takiego czynu nie miały,
Takiej nie głosiły chwały
W nieprzyjacielu, co cnotę ocenia
I lituje się cierpienia.
Wznosi się wielkość, gdy ją zniży cnota,
W nowej świetnieje ozdobie;
Czyjaż to ręka o niezwykłej dobie
Niewoli otwiera wrota?
Czy prześladowcy nielitośna dusza
Chce dni polskiego stargać Maryusza?
Nie, — Paweł, pan milionów,
Którego rządom nie zachodzi słońce,
Wstąpił; zstępuje z najpierwszego z tronów
Wyzwalać Polski obrońce.
Wdzięczność tysiąca rodzin zapłakała
Za smutek radości łzami;
I z jakimiż wawrzynami
Taka porówna się chwała?
Potomność czyny porównywa świata:
Tu konsul wiedzie ród królów spętany,
Tutaj monarcha na ręce Arata
Targa kajdany.
Ameryko! Kościuszko powraca do ciebie;
Spoczął u Toweru wieży;
Lud niegościnny, co tylko czci siebie,
Z czcią dla bohatyra bieży,
Bo chwała wielkich ludzi do świata należy.
Ziemio wolności i wolności wzorze,
Gdzie dłoń taż sama i walczy i orze,
Ty ojczyzno Wasyngtona,
Coś w swe wygnańca przyjęła ramiona —
Pozwól, niech ci dzięki przyzna
Za syna Chrobrych ojczyzna!
«To syn mój» — matka Jefersonów powie —
«On moje zasłużył dzięki,
Część swobód z jego mam ręki,
Mój wawrzyn na jego głowie;
I cóż, że przemoc od osi do osi
Trzyma narody w kajdanach warownych:
Kto wolność w swem sercu nosi,
Ten ma ojczyznę u równych».
Już Kościuszkę zgięły lata,
Kiedy przy pamiętnej Jenie
Niedościgłe przeznaczenie
Przemieniło postać świata.
Wzywano wodza w pola ziomków żyzne;

Zamilczał, — czemu? niech rozwiążą dzieje.
Podobno dawną chciał ujrzeć ojczyznę,
A widział tylko nadzieje.
Tak sternik, co okrętu miotanego burzą
Nie mógł schronić do ostoi,
Lubo się nieba odchmurzą,
Nie ufa łódce, co u brzegu stoi.
Towarzysz Kościuszki chwały
Wsiada w nią rycerz zuchwały
I niepomny, że się chwieje,
Miłą chce przewieźć nadzieję.
Szła przy okręcie, co panował morzu,
Zwyciężała z nim bałwany,
Świata opłynęła ściany,
Aż w lodowatem zabłądził przestworzu;
Runął rozbiciem: — łódka się strzaskała
I nadzieja na ręku rycerza skonała.
Przykład ten niezgiętego Polaka zasmucił,
I choć Wielkiego Aleksandra słowem
Życiem Polska wstała nowem,
Już nie powrócił.
Wy! co płaczecie nad zgonem
Wolnego ziomka, wielkiego człowieka;
Wy! coście chwały zastąpili plonem,
Co ojczystej brakło niwie
I czego swoboda czeka;
Wy! nieszczęśliwi szczęśliwie,
Nie usypiajcie na drogi połowie:
Żywcie w piersiach ogień bratni,
Bo surowa przyszłość powie,
Że Polak skonał ostatni.

D) «Oda do brzucha».

(«Pamiętnik Warsz.», t. III, r. 1815, str. 505—508).

263) Sprężyno życia, wielowładny brzuchu,
Co ziemię całą utrzymujesz w ruchu,
Tobie, któremu hołdują i trony,
Brzmią moje strony.

Skroń się odchmurza Olimpskiego pana,
Gdy piękna Hebe, ugiąwszy kolana,
Boską prawicą leje ci nektary
Z Wulkana czary.

W obliczu twojem równymi są ludzie;
Ubogi wieśniak w pochylonej budzie,
Mocarz, przed którym sto narodów klęka,
Ciebie się lęka.

Na twe rozkazy uniża się pycha;
Tyś jednym z celów dobrego jest mnicha;
Nieraz on wspomni nawet przy ołtarzu
O refektarzu.

Ojcze przemysłu, ojcze twórczej pracy!
Daremnie z tobą walczyć chcą próżniacy;
Leniwa ręka, skoro głód dokuczy,
Robić się uczy.

Napróżno miłość, gdy żołądek pusty,
Koralowemi odzywa się usty;
Kupido zimny i Cypryda niema,
Skoro jeść niema.

Kiedy poecie żołądek się ścieśni,
Stygnie w nim zapał, przerywa swe pieśni,
I z uniesieniem za kawał pieczeni
Dramę zamieni.

Niechże o tobie w boju Mars zapomni,
Rzucą oręże rycerze niezłomni,
Złotu i twardej niedostępny stali
Mur się obali.

Dyanna srebrne rozprzęga już konie,
Puszcza dzień w nocnej ukryty zasłonie,
Twój rozkaz płoszy sen z leniwych powiek,
Budzi się człowiek.

Huczą siekiery, upadają dęby,
Krew ofiar płynie, dym wije się w kłęby
I przemyślnego geniusz kucharza
Potrawy stwarza.

Ciągłem o tobie staraniem zajęty,
Poci się rolnik, pracuje z bydlęty;
Tobie wybite silnym cepem ziarna
Trą ostre żarna.

Z twego natchnienia młoty iskry sypią,
Chrupią nożyce i podeszwy skrzypią,
Warczy kołowrot, sprzeczne śruby piszczą
I heble świszczą.

Wietrak się kręci, prędkie szumią młyny,
Wrą kotły, płoną rozległe kominy,

Goreją piece, kołacz się rumieni,
Garnek szepleni.

Tobie w haraczu od kolebki świata,
Gdzie Indus płynie, Nil żyzny i Plata,
Pławią ogromne przez ocean nawy
Drogie przyprawy.

Tobie puncz tworzy i chłodzące lody,
Jakich nie miały Pellejowe gody,
Pieni kakao i leje karmelki
Lessel nasz Wielki.

Czy Rozengarta smakuję pierogi,
Których zazdrościć mogą nam i bogi,
Czyli pieniste rozlewam szampany,
Tyś wspominany.

Tyś kęsy dzielił z bogami ofiarne,
Tobie polewki Spartan warzył czarne,
A żarłok Tybru na złotym obrusie
Niósł móżdżki strusie.

Gdy kartę dziejów odwrócę zbutwiałą,
Widzę Lukullów, służących ci z chwałą;
Dziś ku czci większej przyjaźń chowa ścisłą
Sekwana z Wisłą.

Miejski pasibrzuch teraz już nie schudnie,
Nie ranek tylko, wieczór i południe:
Wzywa go usty restauratora
Każda dnia pora.

Schnie gach z miłości, błagając nieczułą,
Mędrzec nad księgą, skąpiec nad szkatułą,
Kiedy dwaj głupcy westfalską kiełbasą,
Śmiejąc się, pasą.

Wśrzód zgiełku miasta i w ustroniu wioski,
Kiedy ty łakniesz, głuche rządzą troski;
Gdyś syt, swoboda i wesołość pusta
Otwiera usta.

Powszechne prawo twoje i potęga
Od mroźnej Zemli do Nigrytów sięga,
Dzikie i światłe narody na globie
Podległe tobie.

Tobiem poświęcił język mój i zęby,
Służyć ci mojej rozkoszą jest gęby;
Miło jej, czyli parzy się czy dmucha,
Byle dla brzucha.

E) «Narodowość».

(Sybilla Nadwiślańska I, r. 1821, str. 39—42).

264) Kto narodowość, swobody,
Światło zamiłował czyste,
Ten gardzi więzami mody,
A muzy kocha ojczyste.

Błogi mu cień swojskich gajów,
Rodzinnej spokojność wioski,
Swych miłośnik obyczajów,
Cudzoziemskiej nie zna troski.

Zamorskich błyskotek świetność
Do hołdu go nie poruszy;
W sercu męstwo i szlachetność,
Miłość ojczyzny ma w duszy.

Gościnny, otwarty, hojny,
Pan myśli swej i uczucia,
Cnót własnych prostotą strojny,
Depce obcy kwiat zepsucia.

Skromny, niepochlebną widzi
Chwałę w narodowej dumie;
Szkoły świata się nie wstydzi,
Siebie jednak ważyć umie.

Niedaremnie obca niwa
Zadziwia go skarbem plonu,
Przyswaja szczęśliwsze żniwa
Dla drogiego mu zagonu.

Grunt doświadczenia ma żyzny,
Śpieszy za przemysłu głosem
I lubej skronie ojczyzny
Piękniejszym uwieńcza kłosem.

Owoce ganić domowe,
Pożyczonem świecić pierzem,
I sekwańską pieścić mowę —
Jest to mody być rycerzem.

Płci pięknej zganić się godzi
Tę powabną zbyt przywarę;
Podłością jest w męskiej młodzi,
W pogardzie niech znajdzie karę.

Znajome są mędrków koła,
Co przed próżności bożnicą
Bezecne schylając czoła,
Żebranem się jarzmem szczycą.

Lecz, jak przed prawdy promieniem
Rój przesądów pierzchnął ciemny,
Przed dzisiejszem pokoleniem
Legnie i ten ród nikczemny.

Do swobód szczęścia i chwały
Średnią iść drogą przystoi;
Pokorny ani zuchwały
Nie przestąpi ich podwoi.

Gdzie namiętność kiełzno przerwie
W chwili w bezprawia obfitej,
Biada cnotom i Minerwie,
Niemasz rzeczypospolitej.

Gdzie oczy obywatelów
Uprzedzeń ślepią zawiązki,
Uchybią najbliższych celów
I pominą obowiązki.

Zniewalajmy muzy cudze,
Synów świata dzieła chwalmy,
Lecz narodowej zasłudze
Ponieśmy najpierwsze palmy.

Tak dla Albijonu synów
Najmilszą ojczysta lira;
Przenoszą nad wdzięk Rasynów
Surowy geniusz Szekspira.

Nie zabłyśnie promień Feba,
Gdzie zimne dla ziomka serce,
Tam godne lepszego nieba
Talenta gasną w iskierce.

Przewoźne rośliny kwitną,
A swojski wawrzyn usycha,
Chwałę jednak starożytną
Śmie przypominać nam pycha.

Jeśli pragniemy się chlubić
Blaskiem, co wiek przodków zdobił,
Nie dosyć nam męstwo lubić,
Przez które się sławy dobił.

Muzy trzeba kochać jeszcze,
Co w Czarnolesiu gościły,
Pielęgnować lutnie wieszcze,
Rozpościerać dźwięk ich miły,

Wywalczonych część wawrzynów
Na skromniejszy bluszcz zamienić,
Cześć obywatelskich czynów
Umieć i dzielić i cenić,

Tę narodowość miłować,
Co swobód tarczą i siłą;
Tak tylko możem uchować
Ojczyznę, ojczyznę miłą!

F) «Ojczyzna».

(«Sybilla Nadwiślańska» t. I, 1821 r. str. 135—6).

265) Króluje prawo, a ojciec rządzonych
U jego świętych podwoi;
Najwyższy kapłan, dłoń stowarzyszonych,
Ich siłą potężny stoi.

Wezgłowiem jego Miłość Pospolita;
Wieńcem wdzięczności nagroda;
W szczęście, wawrzyny i światło obfita,
Stróżem tronu jest Swoboda.

Nieciężkie berło Sprawiedliwość trzyma,
Porządek skinieniem szerzy;
Ani się gniewu obawia olbrzyma,
Ani piorunów rycerzy.

Kochanka nauk, na przemysłu łonie
Chwała jaśnieje spokojna;
O lwa oparta, a wierna obronie,
Nie łatwo budzi się wojna.

Rycerstwo z ogniw sprzężonych ojczystych
Jedności tylko zna ducha
I umie łączyć do wawrzynów czystych
Miłość wolności łańcucha.

Rodzina ziomków równo matkę kocha,
Wspólnie obowiązki dzieli;
Duma, przesądy, ani próżność płocha
Nie różnią obywateli.

Tak rzeka, co ją zniewoliła Praca,
Płynie strumyki małemi
I do wspólnego koryta powraca,
Chlubna żyznością swej ziemi.

Bracia! nie ziemia ojczyzną się zowie,
Nie brzeg, gdzieśmy dzień ujrzeli,
Nie święte miejsca, gdzie żyli przodkowie,
Co chwale służyć umieli:

Jest nią narodu nierozdzielna całość,
Równa mową, obyczajem;

Na praw puklerzu spoczywa jej trwałość;
Nie ogranicza się krajem.

Miło zapłakać na lubej mogile,
Walczyć za przodków popioły,
Żyć, gdzie młodości ubiegały chwile,
Gdzie Mieczysławów kościoły.

Lecz pęta w domu, za domem nadzieje
Gdyby kazał los wybierać, —
Lepiej powtórzyć Eneasza dzieje,
Niż w Ilionie umierać.

G) «Zamiłowanie prawa».

(«Sybilla Nadwiśl.», t. I, r. 1821, str. 159—163).

266) Prawo miłujcie, ten dar Ojca święty,
Tę swobód kotwicę stałą.
Niech ogień męstwa, raz w sercach zajęty,
Nieśmiertelną gore chwałą —

Chwałą, co dzielną rodzinę Lechitów
Ścigała z wieków potokiem,
Klęsk towarzyszka, piastunka zaszczytów,
Opatrznem strzeżona okiem.

Ludu, co prawa nektarem się poi,
Najpierwszą potrzebą męstwo,
Bo przemoc straszną prawicę uzbroi
I przyniewoli zwycięstwo.

Lecz prędko starga swą odwaga siłę
Bez bratniej światła przewodni;
I mężnych świętą podepce mogiłę
Niepobożnej stopa zbrodni.

Światło śmiertelnym spłynęło od Boga:
Nie zna klęski ani zgonu;
Choć karki w jarzmo dłoń nakłoni sroga,
Tli się w gruzach Ilionu.

Zazdrośne po niem stąpać będą lata,
Ciemnoty potwór łakomy,
Z tronu, z ołtarza na nadzieję świata
Zabójcze wyrzuci gromy.

Powstanie jednak chwila uwieńczona,
Rozumu niesiona pióry,
I świętą iskrę z zapomnienia łona
Zda w ręce wolności córy.

Jest nią Ustawa, co zbawienie głosi,
Tron wspiera na nowej sile,
I, obu ziemskich przyjaciołka osi,
Włada na Nocy mogile.

Jako świątynia, co ją sztuk potęga
Słupów wieńcem otoczyła,
Co ziemię dziwi, co pod nieba sięga,
Czci święta i oku miła

Stoi i póty wieków się nie lęka,
Póty wytrwa ich żelazu,
Dopóki czasu ołowiana ręka
Jednego nie ruszy głazu —

Zaraz się szczyty zachwieją wspaniałe,
Wyniosłe runą sklepienia,
Braterskich słupów legną czoła śmiałe
I chwalne umilkną pienia —

Tak praw narodu księga poświęcona
Cześć traci bez jednej karty;
Jedna gdy będzie swoboda zgubiona,
Już wszystkim żywot wydarty.

Cierpi obecna na przemocy sława...
Godzi się jej ustępować;
Ale zezwalać na uszczerbek Prawa
Jest to potomność mordować.

Skarb Praw plemieniu obecnemu dany
Własność to prawnuków święta!
Na chwilę tylko przyjąwszy kajdany,
Wiekom narzucamy pęta.

Stróże ojczystej swobody i chwały,
Nie skąpmy bluszczu ich skroniom,
Lecz umysł zawsze prawy i wytrwały
Żadnym ich nie podda broniom.

Jakże przyjemny zgon obywatela,
Co, błogosławiąc swe syny,
Nietkniętych swobód dary im rozdziela
I wolne żegna godziny!

Tak słońce, piękną gdy opuszcza ziemię,
Lica nurzając w purpurze,
Mile spogląda na wesołe plemię,
Zdane w opiekę naturze.

Opracował J. MICHALSKI.

LI.

GORECKI ANTONI.

(1787—1861).

Antoni Gorecki urodził się w r. 1787. Ojciec jego brał czynny udział w powstaniu pod dowództwem Jasińskiego w 1794 r.; po wojnie był mecenasem przy trybunałach litewskich. W domu rodzicielskim młody Antoni nasłuchał się opowiadań rycerskich z ust różnych wiarusów Kościuszkowskich. Po ukończeniu szkół średnich odbywał studya w r. 1802—5 na uniwersytecie wileńskim wraz z J. Lelewelem, z którym serdecznie się zaprzyjaźnił. Już na ławie uniwersyteckiej pisał Gorecki bajki i wiersze satyryczne, zastosowane do osób i czasu; najczęściej powstawał przeciw butnym panom, wytykając im prywatę, zbytki i ucisk chłopów. W r. 1812 porzucił Gorecki Wilno, aby zaciągnąć się do wojska polskiego. Brał udział w wyprawie Napoleona na Rosyę, walczył pod Smoleńskiem, Borodinem-Możajskiem pod dowództwem Kniaziewicza i Mielżyńskiego. Za waleczność otrzymał krzyż legii honorowej i rangę kapitana. Ciężko ranny podczas odwrotu wojsk Napoleońskich, przebywał Gorecki kilka miesięcy na kuracyi w Krakowie. Wyleczywszy się z ran, wrócił do domu i osiadł na wsi pod Wilnem. Odtąd zasilał stale czasopisma wileńskie i warszawskie poetyckimi utworami. Największym rozgłosem cieszyły się jego dumy rycerskie, krakowiaki i liczne bajki, szczególnie polityczne. Na początku roku 1816 wyjechał za granicę, zwiedził Niemcy, Francyę i Włochy. Stamtąd przysyłał również do gazet utwory, najczęściej bajki, które drukował pod pseudonimem A. Pełki. Po powrocie do kraju ożenił się w r. 1819 i osiadł na roli pod Wilnem, nie wypuszczając z rąk pióra. Pisał w dalszym ciągu ulubione bajki polityczne, przez co naraził się na gniew ks. Konstantego, który za bajkę o furmanach skazał poetę na areszt. Wychowany na wzorach klasycznych, duchem jednak i nastrojem zbliżał się Gorecki więcej do romantyków, aczkolwiek do głośnej walki ich z klasykami się nie

mieszał, pozostając w dobrych stosunkach z jednym i drugim obozem. Więcej jednak sympatyzował z romantykami:

Uważam romantycy czasem może bredzą,
Ale też za to piszą ustawicznie:
A ci, co myślą klasycznie,
Coś cicho siedzą.

Po wybuchu rewolucyi w Warszawie Gorecki stanął na czele Komitetu, który przygotowywał powstanie w Wilnie. Walczył później w szeregach bratnich i dosłużył się rangi pułkownika. Otrzymawszy misyę dyplomatyczną, wyjechał zagranicę jeszcze przed wzięciem Warszawy. Po upadku rewolucyi pozostał na emigracyi w Paryżu. Długie lata spędził rycerz-poeta na obczyźnie, zdala od żony i dzieci, w opłakanym stanie majątkowym. Rząd skonfiskował cały jego majątek i zmusił żonę do oddania synów do korpusu wojskowego w Petersburgu. Nieszczęścia krajowe i osobiste podziałały w sposób przygnębiający na poetę, co zaznaczyło się w utworach, pisanych na emigracyi. Pisał wówczas i drukował bardzo dużo, nawet za dużo. W pierwszych latach smutek i religijność panują w wierszach poety. Uczucie pobożności, w której szukał pociechy, zbliżyło Goreckiego do słynnego pokutnika emigracyi, Bogdana Jańskiego, w którego domku zamieszkał. Lecz wkrótce sprzykrzyły mu się nieustanne praktyki religijne i zerwał z Jańskim stosunki. To samo było później z Towiańskim. Z początku Gorecki pod wpływem Mickiewicza, z którym na emigracyi zawarł był ścisłą przyjaźń, z całym zapałem oddał się «sprawie», rychło jednak ochłonął i zerwał z towianizmem. W ostatnich latach życia doczekał się pociechy z oglądania syna, Tadeusza, który pielęgnował z niezwykłą pieczołowitością ojca schorzałego. Umarł Gorecki d. 18 września 1861 r. i został pochowany na cmentarzu w Montmorency, niedaleko Mickiewicza i Niemcewicza.

Puścizna literacka Goreckiego przedstawia się na ilość pokaźnie. Przed r. 1830 powstały najlepsze jego utwory — bajki, pieśni rycerskie i krakowiaki. Później powtarzał się autor, a z drugiej strony, wychowany na wzorach dawnych, nie mógł się nagiąć do nowego sposobu pisania.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

A) Zbiorowe wydania utworów Goreckiego są następujące: 1) «Krakowiaki ofiarowane Polkom. Muzykę zebrał Fr. Mirecki, śpiewy A. Gorecki». (Warszawa 1816); 2) «Poezye Litwina» (Paryż 1834); 3) «Bajki i poezye nowe» (Paryż 1839); 4) «Kłosek polski, czyli Nowy tomik poezyi...» (Paryż 1843); 5) «Siewba, czyli Nowy tomik poezyi» (Paryż 1857); 6) «Nowy zbiorek wierszy» (Paryż 1858); 7) «Jeszcze tomik pism» (Paryż 1859); 8) «Nowe pisemko» (Paryż 1860); 9) «Rozmaitości» (Paryż 1861); 10) «Wolny głos, czyli Nowy

tomik pism» (Paryż 1850); 11) «Bajki» Paryż 1867 (Biblioteka ludowa polska. Zeszyt 53); 12) «Pieśni» (z przedmową Aleksandra Rettla; Paryż 1868 [Biblioteka ludowa polska; zeszyt 54]); 13) ostatnie, najkompletniejsze wydanie «Pisma Antoniego Goreckiego» (2 tomy, Lipsk 1886 [Biblioteka pisarzy polskich tom 80 i 81]); 14) w poprzednim zbiorowym wydaniu niema «Powieści o zającach» wydrukowanej z autografu przez Wisłockiego w Kalendarzu Czecha (Kraków 1880; jest i odbitka).

B) O Goreckim pisali: 1) Rettel Al. w przedmowie do wydania z r. 1868 i 1886; 2) Mickiewicz A. w wykładach o literaturze słowiańskiej; 3) Wóycicki K. Wł. «Warszawa, jej życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu» (Warszawa 1880); 4) Wóycicki K. Wł. «A. Gorecki» (Tygodnik illustrowany. Warszawa 1862); 5) Grochowski Wojciech «A. Gorecki» (Tamże 1862); 6) Ottmann Rudolf «Antoni Gorecki, poeta-żołnierz» (Muzeum. Kraków 1881).

A) Zdobycie przez wojsko polskie w Hiszpanii wąwozu pod Samo-Sierra.

(«Pisma». Lipsk 1886, T. I, str. 65).

267) Gdzie wąwóz Samo skałami się jeży,
Jest ciasne przejście, jak na szyk rycerzy.
Tam dumny Hiszpan, siadłszy na gór szczycie,
Czekał z pioruny na wrogów przybycie.

Z jakim łoskotem w alpejskie nadbrzeża
Wód oceanu potęga uderza,
Tak szli do szturmu Frankowie zuchwali,
Lecz trzykroć biegli i trzykroć wracali.

Jak niedostępne niebo dla bogaczy,
Tak była trudną dla mężnych ta droga;
Próżne wysiłki męstwa i rozpaczy,
Najśmielsze dusze śmierć spychała sroga.

Zacięte Maury z gór wierzchu szydziły:
«Chodźcie tu, chodźcie, dawno was czekamy,
Wam tu Kastylki robią uśmiech miły,
Wam stary Madryt otwiera swe bramy».

Wtenczas bohater, co wiódł nasze męże,
Przybiegł, gdzie polskie lśniły się oręże;
W cichem milczeniu zwarte hufce stały,
Gdy on do wielkiej tak zachęcał chwały:

«Wy, co z waszymi znajome szeregi
Egiptu piaski, Apeninu śniegi,

Ty ze lwiem sercem młodzieży nietrwożna,
Wam to zwyciężać, gdzie innym nie można».

Rzekł. Huczą trąby, ostrz mieczów się świeci,
Przez grad kartaczy las proporców leci,
Grzmi grom po gromie i razem ustały —
Na wierzchu szańców usiadł orzeł biały!

B) Duma o Zakrzewskim.

(Pisano w roku 1827).

(«Pisma». Lipsk 1886, T. I, str. 67—9).

268) Nad dalekim Dniepru brzegiem
Szły ciche wojska lśniące się żelazem;
Pomiędzy niemi bystrym wiatru brzegiem
Leciałem z wodza mojego rozkazem.

Jak teraz wszystko uległo odmianie!
Koń mój był rzeźki, i ja byłem młody.
Słyszę głos silny: «Wstrzymaj się, młodzianie!
Z tobą Dnieprowej napijem się wody!»

Był to Zakrzewski, mąż sławny dziełami,
Szlachetność w sercu, surowość miał w oku;
Pod jego pierwej byłem rozkazami,
Nim mnie Mielżyński wziął do swego boku.

Pułk jego w każdej wsławiony potrzebie,
Stąpał pułk trzeci po zielonej błoni.
A on mię wzywał: «Pijemy do ciebie,
Choć nas rzuciłeś, towarzyszu broni!»

Wstrzymałem konia — rży, pieni się, wspina,
A wódz, częstując mnie Dnieprową wodą:
«Na twem weselu napijem się wina,
Po wojnie żonę wyswatam ci młodą»

— «Ach, wodzu, rzekłem, walecznemi dzieły
Oby z nas każdy doszedł twojej chwały!»
A wtem z daleka spiże grzmieć poczęły
I coraz bardziej i bardziej huczały.

«Ściskajcie szyki, dwójcie krok, rycerze!» —
Krzyknął Zakrzewski; wojsko słucha wprawne —
A już Smoleńska widać było wieże
I mchem pokryte baszty starodawne.

Trąciłem konia, leciał, jak wiatr chyży;
A na rumaku tak białym, jak śniegi,

Tam, gdzie najgęstszy szedł ogień ze spiży,
Zakrzewski swoje prowadził szeregi.

Ostatni raz już rycerza widziałem,
Jak nawałnica, szła za nim młódź dzielna;
Już przeszli szańce, już byli pod wałem,
Gdy wodza kula wstrzymała śmiertelna.

Długo tam, długo słychać strzały było,
Aż noc zakryła krwawe bojowisko;
Nazajutrz nasi szli i Dniepru blizko,
Uczcili męża mogiłą.

Tam garstką piasku zakryte,
Zakrzewski, zasługi twoje;
Rany we Włoszech nabyte,
W San-Domingo krwawe boje.

Taka zapłata od ludzi —
Spoczywaj, rycerzu, mile,
Anioła trąba cię zbudzi:
Będziesz ty jaśniał w tę chwilę.

Kiedy wieczorem dziatwa mię otoczy
I siądzie przy mnie żona urodziwa,
Zawsze mi obraz twój staje przed oczy,
Zdaje się, duch twój że z nami przebywa.

Tyś mi dotrzymał słowa i za grobem,
Tyś mi wyswatał tę żonę nadobną;
Bo jakże mógłbym ja ludzkim sposobem
Znaleźć niebiankom istotę podobną.

W tej czarnej chwili, pod tą nizką strzechą,
Kiedy rozmyślam, co jest, a co było,
Ona jest moją jedyną pociechą,
Ach! przy niej tylko żyć mi jeszcze miło.

C) Krakowiaki (1816).

(«Pisma». Lipsk 1886, T. I, str. 255—9).

I.

269) Nie będę łez ronić,
Choć mnie Stach ma rzucić;
Pójdzie kraju bronić:
Czegóż mam się smucić?

Niech się we mnie kocha
Ze wsi młodzież cała;
On wie, żem nie płocha,
Że mu będę stała.

Mam ja nietykane
Dwa krzaczki różane;
Jak wróci młodzieniec,
Uwiję mu wieniec.

Bo kto krew ochoczy
Za ojczyznę toczy,
Takiemu kochanka
Nie żałuje wianka.

II.

Ej no, piękna Rózio!
Nie droż się tak z buzią;
Nie prosim my długo,
Znajdziem sobie drugą.

Nikt kochać nie broni,
Pókiśmy dziś młodzi;
Woda wodę goni,
Dzień po dniu przechodzi.

Za wioską na łące
Jest kwiatów tysiące;
Szuka miodu pszczoła
I lata dokoła.

Kwiat jeszcze odrośnie,
Choć go zima zwarzy;
Nam już nic po wiośnie,
Gdy raz będziem starzy.

III.

Niech też matka miła
Prędzej patrzeć bieży;
Bo polskich żołnierzy
Idzie przez wieś siła.

Tato i wójt chcieli,
Żeby odpoczęli;
Lecz nie mogą oni,
Starszyzna im broni.

Widziałam, jak nasze
Z nimi orły lecą;
Zewsząd tam pałasze
I krzyże się świecą.

Z całej wsi ich proszą,
Na drogę im noszą,
I my placek mamy,
I ten im oddamy.

IV.

Jestem Krakowiaczek
Z tamtej Wisły strony,
Gdzie jodłowy krzaczek,
Naszej wsi zagony.

Za górą krynica;
Tam się coś zieleni:
To moja pszenica,
Będzie grosz w jesieni.

Wesołość w mym progu,
Choć ubóstwo w domu,
Lecz też, dzięki Bogu,
Nie dłużnym nikomu.

Oj, tanio jej nie dam,
W Krakowie ją sprzedam;
Tam dobrze zapłacą,
Będzie hulać za co.

V.

Dziewczyna ja biedna,
Zostałam ja jedna,
Odeszła drużyna,
Burza grzmieć poczyna.

Jak straszna ulewa!
Grom po gromie bije
Wicher łamie drzewa;
Pod skały się skryję.;

Niech burza grom miecie!
Nie lękam się gromu,
Nie zrobiłam w świecie
Nic złego nikomu.

Wczoraj Jaś wziął szlochać,
Że ja jego gubię;
Lecz jak go mam kochać,
Gdy już Stacha lubię?

VI.

Bywaj, Zosiu, zdrowa,
Daj buzi na drogę;
Jadę do Krakowa,
Kupić wstążek mogę.

Oj, miasto to śliczne,
A tyś w nim nie była;
Trzy dni-byś błądziła,
Tak domostwa liczne.

Gdy biją zegary,
Trąbią tam nad wieżą,
A gdzie zamek stary,
Polskie króle leżą.

I dziewcząt niemało,
A wszystko rumiane;
Bądź mi, Zosiu, stałą,
Bo z niemi zostanę.

VIII.

Jakby róża mléczna,
Nasza Zosia śliczna;
A jak koza, dzika,
Od Stacha umyka.

Ale od chłopaka
Trudno się ochronić:
Przyjdzie pora taka.
Że musi dogonić.

Oj, my Stacha znamy,
Dopędzi on Zosi;
Zawiedzie do mamy,
O rączkę poprosi.

Będzie Zosia płakać,
Będzie strachu wiele;
A my będziem skakać,
Jak przyjdzie wesele.

D) Do kmiotków (1817).

(«Pisma». Lipsk 1886, T. I, str. 80).

270) Wy, co chwalicie i króla i Boga,
Choć łzy wam codzień ciśnie przemoc sroga,
Kmiecie poczciwi! rodzie pogardzony!
Wam brzmią me strony.

Był wieszcz, co umiał słodkiem liry brzmieniem
Wywodzić z piekieł rój duchów wybladły;
Ja bym chciał tylko, by za mojem pieniem
Wam więzy spadły.

Ale to próżno — jak wietrzyk wiosenny
Nie dotknie śniegu, co na Alpach stoi,
Tak nie dochodzi do duszy kamiennej
Głos z piersi mojej.

Ta, którą żadna nie wstrzymuje tama,
Dla której niczem góry, oceany,

Ta może wasze roztrącić kajdany,
Śmierć tylko sama.

Wtenczas przyjęci ręką Zbawiciela,
W królestwie Jego poczynając życie,
Kochani bracia, wśród swego wesela
O mnie pomnijcie.

E) Chłop i kaznodzieja (1818).

(«Pisma». Lipsk 1886, T. II, str. 216—7).

271) Proszę zawierzyć, bo pan Jan był świadkiem,
Na swoje własne on to słyszał uszy,
Jak, mówiąc raz kazanie: O aniołów duszy,
Jakimś przypadkiem,
O miłości bliźniego wspomniał kaznodzieja.
Wtem chłop ozwie się w tłumie: «Spytam dobrodzieja,
Czy to z miłością bliźniego się zgadza?
Pan, któremu nad nami powierzona władza,
Pędzi nas w tydzień po sześć dni pańszczyzny!
I jeszcze dzień daremszczyzny!
Pracujemy na polu, choćby było święto,
Gdy jego żyto nie zżęto;
Już upadamy pod pługiem,
Jeszcze nas bije kańczugiem.
A kiedy przyjdzie z naszych który prosić chleba:
«Kijów (powiada), chłopie, ci potrzeba;
A gdzie podziałeś jesienne zebranie?» —
«Na podatkim oddał, panie«.
— «Patrz, jak on kłamie,
Precz, chamie!»
Toż samo i ksiądz pleban, ten także nas gubi!
O, godny pasterz, bez rubelków wzięcia
Nie pogrzebie, nie poślubi,
Choćby konało, nie ochrzci dziecięcia». —
Tu kaznodzieja zawoła:
«A nie przestaniesz, chłopie, bluźnić wśród kościoła!
Co do mojego należą kazania
Twoje chłopskie narzekania?
Ja się nie wmięszam do rzeczy światowych;
Do W i a d o m o ś c i oddaj to b r u k o w y c h». —

F) Dyabeł i zboże.

(Bajka).

(«Pisma». Lipsk 1886, T. I, str. 26—7).

272) Gdy Adam, coś tam bardzo zgrzeszywszy podobno
Z swą połowicą nadobną,
Musiał był z raju uchodzić,
Bóg, który umie słuszność z litością pogodzić,
Stworzył zboże i wszędzie po drodze im rzucił.
Widząc to, dyabeł bardzo się zasmucił.

Przejrzał on bowiem miłosierdzie Boże,
Że to z tego chleb być może,
Że się znajdą ludzie potem,
Którzy, gardząc dyabła złotem,
Za narzędzie ucisku nie dadzą się użyć,
Woląc o suchym chlebie świętej prawdzie służyć.
A więc pobiegł drogą skrytą
I, tocząc wojnę z miłościwym Bogiem,
Wszystką pszenicę, jęczmień, owies, żyto,
Zagrzebał pilnie do ziemi swym rogiem.
Mniemał, że wiecznie pozbawił nas chleba;
Ale właśnie to zrobił, co było potrzeba.
Z podziwem jego ziarno z ziemi wschodzi
I po dziś dzień chleb się rodzi.

O wy, co w więzach trzymając narody,
Przyjaciół prawdy, światła i swobody
Grzebiecie z katowskimi pomocniki swymi
Albo w wnętrznościach zamykacie ziemi!
Zniszczyć dar Boży, wszak o to wam chodzi,
Ale się na nic złość wasza nie przyda;
Wkrótce obfity plon ich wolność wyda
I właśnie z tych męczeńskich ziarnek się urodzi.

G) Bajka o furmanach (1828).

(«Pisma». Lipsk 1886, T. I, str. 82—3).

273) Leźć komu z prawdą w oczy, broń mnie, Panie Boże,
Czy ja szalony? wolę bajki prawić!
Za bajkę nikt się rozgniewać nie może,
A tymczasem niewinnie można się zabawić.

Pewnemu panu, jak się zwał, nie pomnę,
Ale ma hrabstwa ogromne,

Piękne folwarki we wszystko obfite,
Ma wielbłądy, ma stada koni rozmaite —
Raz mu z dóbr jednych słudzy zaczęli donosić,
Że rodzaj polskich koni na nic stał się warty,
Wszystko chce tylko brykać i roznosić,
Taki się zrobił uparty.
Trzeba system srogości wprowadzić w rajtszuli,
Bo go dawniejsi rządce głaskaniem zepsuli.
Pan, co był bardzo w tej chwili zajęty,
Słał na morza swe okręty,
Gdy sam we wszystko wejrzeć czasu nie ma,
Kazał tam komuś rozpatrzyć rzecz całą;
A ten sobie myśląc mało,
Potwierdził nowe systema.
Tu się zaczęły piękne widowiska!
Smutne rumaków codzień słuchać rżenia,
Biją, katują niewinne stworzenia,
Aż krew z nich tryska.
A panu codzień raport posyłają nowy,
Że niczem krnąbrność niepohamowana —
Ustawiczne schadzki, zmowy;
Niedawno chciały zabić źrebięta furmana.
Chodzą koniska chude, gdyby haki,
Oni donoszą: wierzgają rumaki.
«Otóż to, mówią, z dobrodziejstw twych zyski.
Nie bierz ich pierwej między twe zaprzęgi,
Póki ich w szkole nie ujeździm tęgiej;
Na twoje życie robią nawet spiski». —
Pan, który znany z rozsądku, z nauki,
Miał więcej czasu wolnego w tej dobie,
Sam czytał raport i pomyślał sobie:
Cóż to mnie oni prawią banialuki!
Dał go jednemu z dworzan, co ma olej w głowie.
Ten, przeczytawszy, także uwagę swą powie:
«Wiadomo, Panie, polski rodzaj koni
Wiatry wyściga po błoni.
Nie dzisiejszemi już są znane laty —
Nie potrzebna im rózeczka,
Pogłaskać tylko troszeczka,
To już gotowe lecieć na armaty».
A więc pan kazał śledzić, odkryto rzecz ładną!
Jaśnie wielmożne furmany
Żyją sobie, gdyby pany —
A skąd biorą? Obrok kradną,
Raczą siebie winkiem drogiem,
W karty grają, szumią, huczą,

A koników nic nie uczą,
Tylko ich biją batogiem.
Teraz ze strachu starszy furman chory,
I na twarzach forysi widać coś frasunek;
Lecz go wyleczą tą razą doktory:
Niechaj zda z owsa rachunek.

Opracował J. MICHALSKI.

UZUPEŁNIENIA I POPRAWKI.

T. I, str. 3. Slad odbycia kursów teologicznych, mianowicie w dawnej Akademii Lubrańskiego, za czasów Staszica Szkole wojewódzkiej poznańskiej, znalazł się w «Raportach Szkoły Wydziałowej Poznańskiej», ogłoszon. przez Teodora Wierzbowskiego w końcu r. 1905 (Warszawa), na str. 212 i 214. Na teologię, przy tej Szkole utrzymaną przez Kom. Edukacyjną, uczęszczał Staszic w latach 1777—8, w dwu poprzednich musiał przebywać w Poznaniu, gdyż Raporty wykazują go w tych właśnie latach jako dozorcę uczniów, t. zw. dyrektora.

T. I, str. 9, w. 2-gi od góry. «Kontrakt» ten, odmienny od ogłoszonego w «Dziełach» T. IV, współcześnie litografowany folio p. t. «Ustawa dla Towarzystwa Hrubieszowskiego» z r. 1822, znajduje się w rękopisie nr. 774, 6 $^{3}/_{7}$ Bibl. Un. Warsz.

T. I, str. 13, w. 2-gi od dołu. Dodać: tenże «Korespondencya co do ostatnich pism o Staszicu» («Bibl. warsz.» 1882 III).

T. I, str. 13. O przekładzie «Iliady» — «Tyg. polski» Kiciń. r 1819 T. III nr. 31—2, 38.

T. I, str. 55, w. 1-szy od góry. Przestawienie imion syna i ojca; powinno być: *Aleksicja Michajłowicza.*

T. I, str. 144. (Rękopisy Czackiego). W Bibl. Uniwers. Warsz.: 1) nr. 749, 4 $^{4}/_{21}$, obejmuje «Uwagi nad handlem Czarnego Morza... w imieniu kommisyi Skarbu Koron. Deputacyi spraw zagr. podane 1790 roku» 12 k. fol. 2) nr. 286 «Miscell.» Jaroszewicza: «O źródłach praw polskich i litewskich». 3) W tychże «Miscell.» «Odpowiedzi dane ministrowi justycyi księciu Łopuchinowi na różne kwestye prawne».

T. I, str. 145, w. 9-ty od góry. Dodać: Lachs Jan «Projekty Tad. Czackiego i Jędrzeja Śniadeckiego, zmierzające do założenia Szkoły lekarskiej na Wołyniu» (Kraków 1903).

T. I, str. 162. Dodać: D. 9 grudnia 1807 roku Albertrandi na czele Depu-

tacyi Tow. Prz. Nauk miał do Fryd. Augusta mowę o potwierdzeniu tej instytucyi nadal («Krótki zbiór wierszy, pieśni i mów», Warsz. 1809, str. 283).

T. I, str. 163. (Rękopisy Albertrandiego). W Bibl. niegdyś Szk. Głównej, obecnie Uniwers. Warsz., znajdują się. 1) Nr. 598, 4 $^{1}/_{19}$. Przekład Filangierego T. I. i II; 2) pod tymże nr. przekład Listów Pliniusza Młodszego; 3) pod tymże nr. przekład z Vellejusa Paterculusa — dwa ostatnie autograf.

T. I, str. 193. Do działalności Wybickiego wespół z Barssem w Paryżu dodać pomysł sejmu polskiego, który, w dalszym ciągu Sejmu Czteroletniego, zebrać się miał w Medyolanie.

T. I, str. 213, w. 31 zamiast: «historyczne» pow. być: «historyozoficzne».

T. I, str. 225, w. 17 zam. «przylękłego» pow. być: «przyklękłego».

T. I, str. 261, w. 23 zam.: «1816» pow. być: «1815».

T. I, str. 263, w. 15 zam.: «St. Nowicki» i t. d. pow. być: St. Nowiński: O bajkach J. U. Niemcewicza («Bibl. Warsz.», 1888, nie zaś: 1880).

T. I, str. 263, w. 29. zam.: Potocki J. pow. być: Potocki St. K. (Stanisław Kostka).

T. I, str. 263. Dopełnienia do bibliografii Niemcewicza: **a) Pisali o Niemcewiczu:** Kraushar A. Obrazki i wizerunki historyczne (Warszawa r. 1906); Kraushar A. Tow. przyjaciół nauk, 8 tomów; Wojciechowski K. Zagadnienia społeczne w powieści polskiej w w. XVIII i początkach w. XIX (Lwów 1906); Kozłowski W. M. Rozstanie się Kościuszki z Niemcewiczem w Filadelfii («Kwartalnik historyczny», 1906); Szyrma K. L. Mowa w rocznicę śmierci Niemcewicza (Paryż 1842); Łamanskij W. I. Doprosy Kostiuszkie, Niemcewiczu i drugim i ich pokazanija («Cztienija w Imp. Obszczestwie Istor. i Driewn. pri Mosk. Uniwers.», 1866, kn. I, otd. V, str. 60—130); Czarnik B. Spór literacki o Jana z Tęczyna («Pamiętnik Literacki», 1906); Kozłowski W. M. Pułaski w Ameryce («Bibl. Warsz.», 1905); por. tenże: w «Bibl. Warsz.» r. 1906. Chrzanowski Ign. Pieśń wygnańca («Myśl Polska», 1906); Chrzanowski Ign. Bohdan Chmielnicki, tragedya Niemcewicza («Pamiętnik Literacki», 1906); Dzieduszycki Tytus. Uwagi nad Janem z Tęczyna przez J. N. Niemcewicza (w «Rozmaitościach lwowskich» 1825); Chłędowski Walenty. Rozbiór uwag Philopolskiego nad Janem z Tęczyna (Lwów 1825). Kożmian K.: Raport o Śpiew. hist. N. «Pisma prozą» (Kraków 1889). **b) Osobne druki:** «Puławy» — «Przegląd Poznański», XXI; «Rok 3333 czyli Sen niesłychany», tamże, XXVI; «Mniemana sierota», «Przegląd poznański», 1858; «Powrót z Petersburga do Ameryki», tamże, 1858. **c) Rękopisy:** Pamiętniki z r. 1830—1831 znajduje się w Bibl. ord. Zamoyskich w Warszawie, pod nr. 1262.

T. I, str. 269, w. 29. Zam.: «1812» pow. być: «1821». W skutek tej pomyłki

powieść «Lejbe i Sióra» znalazła się nie w swojem miejscu: powinna być zamieszczona po «Zbigniewie», na str. 300.

T. I, str. 292, w. 1. Zam.: «1816» pow. być: «1815».

T. I, str. 317. Dopełnienia do bibliografii Sniadeckiego Jana: Libelt Karol: «Dwaj bracia Sniadeccy»; Świeżawski L.: «Jan Sniadecki» (Petersburg 1898); Lutosławski W.: «O poglądach filozoficznych J. Śn.» (Ateneum, 1894, I).

T. I, str. 398, w. 33 zam.: «O Filizofii» pow. być: «O Filozofii».

T. I, str. 411: Dopełnienie do bibliografii Śniadeckiego Jędrzeja: Libelt Karol: «Dwaj bracia Sniadeccy».

T. I, str. 449: O Majewskim pisał jeszcze Tyszyński: «Rękopisma Majewskiego» («Biblioteka Warszawska», 1842, I).

T. II, str. 2, w. 10 zam.: «ustanowianiu» pow. być: «ustanowieniu».

T. II, str. 17: Dopełnienie do bibliografii Osińskiego: o Os. pisał Kożmian Kajetan w «Pamiętnikach», tom III.

T. II, str. 40, w. 28 zam.: «Horacego» pow. być: «Wirgiliusza».

T. II, str. 41, w. 31 zam.: «piemię» pow. być: «plemię»,

T. II, str. 58, w. 23 zam.: «Pulikowski» pow. być «Rulikowski».

T. II, str. 90, w. 17 zam.: «rozwowie» pow. być: «rozmowie».

T. II, str. 165, w. 2 zam.: «Weżyk» pow. być: «Wężyk».

T. II, str. 158. Dopełnienie do bibliografii Iksów: pisał o nich Kożmian Kajetan w «Pamiętnikach», tom III, w rozdziale o Mostowskim T., który, jak się zdaje, jest autorem ocen «Barbary» i «Ludgardy».

T. II, str. 170, w. 25 zam.: «pierwszej» pow. być: «pierwszej reprezentacyi».

T. II, str. 174, w. 6 zam.: «podkanclerza» pow. być: «podkanclerzego».

T. II, str. 174, w. 23 zam.: «wzgardziła» pow. być: «wzgardził».

T. II, str. 176, w. 1-y od góry. Po «ich» dodać «wraz«.

T. II, str. 196, w. 19-sty od góry. «tych» popraw. na «tylu».

T. II, str. 203, w. 16-sty od góry. Po «co więcej» dać przecinek.

T. II, str. 214, w. 9-ty od dołu. Przed «Tyran» dać cudzysłów.

T. II, str. 221, w. 14-sty od góry. «rewolucyę» popraw. na «rewolucya».

T. II, str. 229. Dopełnienia do Bibliografii E. Słowackiego: pisali o nim też: Hoesick F.: «Szkice i opowiadania historyczno-literackie» (Warszawa 1900, str. 70—82); tenże w «Albumie znakomitych Polaków i Polek XIX w.»; Hahn W. w monografii o «Mindowem» Juliusza Słowackiego; Pawłowicz we «Wspomnieniach z nad Wilii i Niemna», Méyet L. w «Tygodniku Illustrowanym» w r. 1897. Dokładny tytuł rozprawki Tyszyńskiego brzmi: «Dwie poezye przedśmiertne (ojca i syna Słowackich)».

T. II, str. 287. Na sam koniec Bibliografii II, O Bandtkim, dodać: Francew W. A. «Polskoe słowianowadenie konca XVIII ji pjerwoj połowiny XIX w.» (Praga 1906). Są tu jeszcze przyczynki do Borowskiego,

Czajkowskiego F., profes. Uniw. Krak., Czarnockiego, Chodakowskiego, Kucharskiego, Lindego, Majewskiego, Potockiego Jana, Rakowieckiego, Sapiehy Aleks., Surowieckiego i inn.

T. II, str. 386. Wiadomość Bibliograficzna, w. 15-ty. Część «Słownika geograficznego słowiańskich miejscowości» od Ba do Chody 163 str. fol. (obszerność opracowania!) znajduje się w Bibl. Un. Warsz. Rękop. nr. 824, $3^4/_{17}$; podarował ją Leon Rogalski.

UNIVERSITY OF CALIFORNIA LIBRARY
BERKELEY

Return to desk from which borrowed.
This book is DUE on the last date stamped below.

21Apr52SS

MAY 18 1955 LU

1 Jun '55 B

LD 21-95m-11,'50(2877s16)476

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C039932545